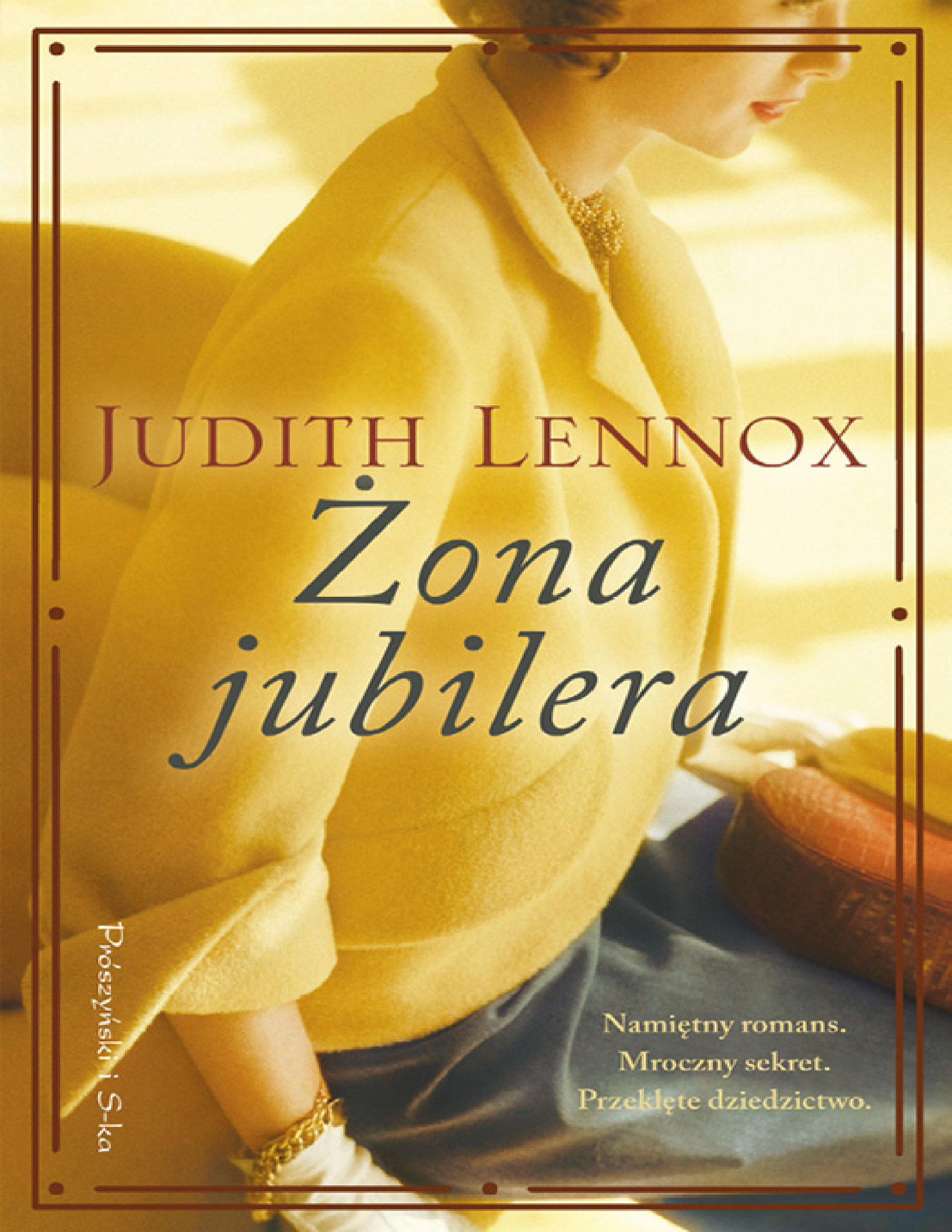
JUDITH LENNOX
Żona jubilera
Namiętny romans.
Mroczny sekret.
Przeklęte dziedzictwo.
Prószyński i S-ka

JUDITH LENNOX

Żona jubilera

Przełożyła
Alina Siewior-Kuś

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE JEWELLER'S WIFE

Copyright © 2015 Judith Lennox

Projekt okładki
Jacket photograph by Horst P. Horst.
© Condé Nast Archive/Corbis

Opracowanie graficzne okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Horst P. Horst/Conde Nast/Getty Images

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8123-444-3

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Carwyna George'a Bethencourt-Smitha

Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla mojej agentki, Maggie Hanbury, za sugestie i nieocenione wsparcie, oraz dla mojej redaktorki w Headline, Clare Foss, za wnikliwe i wrażliwe komentarze o tekście. Wielkie uznanie należy się także asystentce Clare, Emmie Holtz, i mojej redaktorce w Piper, Bettinie Feldweg.

Dziękuję gorąco mojemu bratu, Davidowi Stretchowi, za informacje dotyczące fotografii w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, i mojemu mężowi, Ianowi, za wyjaśnienia tabel pływów i prądów. Za wszelkie błędy sama ponoszę odpowiedzialność.

Pozwoliłam sobie na niejaką swobodę w kwestii topografii okolic Maldon. Wyspa Thorney nie istnieje, chociaż została zainspirowana wyspami w ujściu rzeki Blackwater.

RODZINY WINTERTONÓW I SINCLAIRÓW ORAZ ICH PRZYJACIELE

W Marsh Court:
Henry Winterton
Juliet Winterton, jego żona
Piers, ich syn
Charlotte (Charley), ich córka

W Maldon:
Jonathan Winterton (Jonny), młodszy brat Henry'ego
Helen Winterton, żona Jonny'ego
Aidan, ich syn
Louise, ich córka

W St. Albans:
Jane Hazelhurst (z domu Winterton), siostra Henry'ego
Peter Hazelhurst, mąż Jane
Eliot i Jake, bliźniacy, ich synowie
Gabrille (Gabe), ich córka

W Londynie:
Gillis Sinclair, przyjaciel Henry'ego Wintertona
Blanche, żona Gillisa
Flavia i Claudia, ich córki
Nathan (Nate) i Rory, ich synowie

W Greensea:

Joe Brandon, rolnik
Christine Brandon, jego ciotka
Neville Stone, chrześniak Joego

Oraz:

Freya Catherwood, fotografka
Anne Carilisle, gość z Ameryki

CZĘŚĆ PIERWSZA

NASZYJNIK Z PEREŁ

Lata 1938–1946

Rozdział pierwszy

Październik–grudzień 1938 roku

Podczas śniadania pokojówka upuściła wędzonego solonego śledzia na kolana Henry'ego, a on nazwał ją głupią i wyrzucił z pracy. Była głupia, Juliet Winterton zgadzała się z mężem, biedne, niewykształcone stworzenie, najmłodsza z licznej rodziny gnieżdżącej się w ciasnej chatce w Maylandsea. Ale współczuła jej, i kiedy dziewczyna, lamentując, uciekła z pokoju, wstawiła się za nią.

W oczach Henry'ego pojawił się nieprzyjemny wyraz, do którego przywykła podczas ich trwającego trzy miesiące małżeństwa. Wyrywając kręgosłup nieszczęsnej rybie, powiedział:

– Czasami jesteś strasznie słaba, Juliet.

Nie ustąpiła.

– Ethel nic nie może na to poradzić. Przerażasz ją, Henry, strasznie się przy tobie denerwuje. Mój ojciec zawsze powtarzał, że służbę należy traktować uprzejmie, ponieważ mają o wiele mniej szczęścia niż my.

– Twój ojciec był głupcem. – Henry rozciął kopertę nożem do papieru. – Roztrwonił wszystkie pieniądze i zostawił cię bez grosza, o ile pamiętam. Bóg tylko wie, co by się z tobą stało, gdybym cię nie uratował.

Juliet nie znosiła, kiedy w taki sposób mówił o jej ojcu, który umarł pół roku temu. Nauczyła się jednak mieć na baczności przed językiem Henry'ego, zajęła się więc smarowaniem masłem grzanki spalonej przez Ethel. Straciła apetyt, od oleistego zapachu wędzonego śledzia przewracało się jej w żołądku.

Skończywszy jeść, Henry odłożył sztućce na talerz.

– Dzisiaj wieczorem mamy gościa na kolacji – oznajmił. – Dostałem list od Sinclaira.

Gillis Sinclair był posłem do parlamentu i mieszkał w Londynie. Henry został ojcem chrzestnym Claudii, najmłodszej córki Gillisa, i często o nim mówił, chociaż Juliet nie poznała jeszcze ani Gillisa, ani jego żony Blanche.

– Przygotuję pokój – odparła. – Czy pan Sinclair przyjeżdża sam?

– Tak. Blanche jest niedysponowana. Przygotuj pokój w domku. Kiedy Sinclairowie odwiedzają Marsh Court, zawsze śpią w domku.

Henry wytarł usta serwetką i wstał. On, jego brat Jonathan i siostra Jane byli do siebie podobni, wszyscy odziedziczyli urodę Wintertonów, ale Henry był najwyższy i miał najbardziej imponujący wygląd.

– Wyślij też zaproszenia do Jonathana i Helen – dodał. – Oraz Barbourów. Przygotuj przyjęcie.

Charles i Marie Barbourowie byli sąsiadami Wintertonów, właścicielami wielkiego gospodarstwa leżącego na południe od Marsh Court.

– Pozwól mi porozmawiać z Ethel – przekonywała go Juliet. – Nakłonię ją do obietnicy, że będzie lepiej pracowała. Potrzebujemy jej dzisiaj wieczorem, a sam wiesz, jak trudno będzie znaleźć inną dziewczynę.

– Nie. – Henry obnażył zęby. – Powiedziałem, że już tu nie pracuje.

Rano było tyle rzeczy do zrobienia, a do pomocy miała tylko kucharkę, panią Godbold, i pokojówkę tak podeszłą w latach, że Juliet obawiała się o jej życie, kiedy ta wspinała się po schodach. Sama więc przygotowała sypialnię w eleganckim domku dla gości, pocieszając się myślą, że wieczorem zobaczy się z Helen i Jonathanem. Jonathan miał łagodniejsze usposobienie niż Henry, a jeśli chodzi o Helen, to szwagierka szybko stawała się jej dobrą przyjaciółką.

Po lunchu wyszła z domu. W tym roku drzewa wcześnie straciły liście, zerwane z gałęzi przez gwałtowną październikową burzę, i japońskie klony malowały na trawniku czerwone jak krew wiry. Gdyby nie kłótnia z Henrym, Juliet wzięłaby szkicownik i spróbowała uchwycić zmieszane barwy liści, ale czuła zbyt wielki niepokój, żeby

malować. „Twój ojciec był głupcem. Roztrwonił wszystkie pieniądze i zostawił cię bez grosza. Bóg tylko wie, co by się z tobą stało, gdybym cię nie uratował”.

Uratował mnie, pomyślała. Szła po mokrej trawie, wysokie źdźbła łaskotały ją w kostki. Czy właśnie to zrobiłeś, Henry?

Deszcz przestał padać, odsłaniając bladobłękitne niebo i spokojny bezruch. Marsh Court stał na półwyspie wcinającym się w Morze Północne, od północy graniczył z ujściem Blackwater, a od południa z rzeką Crouch. Nizinne tereny otaczające dom stanowiły kombinację delikatnych odcieni zieleni, szarości i brązu, dających odpoczynek oczom. Juliet obserwowała stado mew przecinających powietrze, promienie słońca odbijały się od ich białych piersi, z oddali wyglądały jak jeden świetlisty organizm.

Ogród łączył się z polem, za nim rozciągały się słone mokradła, ani ogrodzenie, ani żywopłot nie znaczyły granicy posiadłości. Jedynym budynkiem w zasięgu wzroku był domek z czerwonej cegły, w poprzednim stuleciu zbudowany dla ciotki, starej panny, w którym dzisiaj wieczorem będzie nocował Gillis Sinclair.

Juliet spojrzała na Marsh Court. Mury i dach od dziesięcioleci wystawione na działanie żywiołów przybrały delikatną barwę różu i złota, wtapiając się w otoczenie. Trzy szerokie szczyty wychodziły na mokradła i bagna ujścia rzeki, gdzie woda w strumykach i słonych stawach wyglądała jak pasma metalowych nici. Drzwi balkonowe prowadziły na taras zastawiony doniczkami z geranium, pszczoły bzyczały przy popękanym zakurzonym oknie witrażowym. Kominek w salonie zdobiły rustykalne płaskorzeźby Adama i Ewy, przy czym Ewa miała tłusty brzuszek i zadarty nos, a Adam był rozczochrany i zaniedbany. W sieni stały zniszczone kręgle i kije do gier, w które Juliet nie umiała grać, w bibliotece – album z fotkami psów Wintertonów. Według niej wszystkie wyglądały tak samo, ale kiedy Jane, siostra Henry’ego, przewróciła kartę, westchnęła i powiedziała:

– To Lucky, a tu, popatrzcie! Moja kochana stara Sally.

Jej bracia uśmiechnęli się i pokiwali głowami.

Juliet pokochała Marsh Court od pierwszego spojrzenia, gdy po długiej podróży z Egiptu do wschodniej Anglii zobaczyła, jak wyłania się z morskiej mgiełki. Mimo to po trzech miesiącach małżeństwa nie

mogła pozbyć się wrażenia, że tylko odgrywa rolę pani domu, że dom jeszcze do niej nie należy, że jest intruzką i oszustką. Przesuwała dłonią po wypolerowanej poręczy albo wtulała twarz w spłowiałą aksamitną kotarę, jakby dzięki temu mogła się stać częścią domu i rodziny Wintertonów.

Wraz z opadającym w dół gruntem trawa dziczała, jej szorstkie kępki zlewały się w jedno z polem. Juliet dotarła do miejsca, w którym Wintertonowie rozpalali ogniska dla uczczenia ważnych rodzinnych wydarzeń. Teraz był tu tylko popiół.

Zaczęła zgarniać opadłe liście w stos: złote dębowe, szkarłatne i koralowe wiśniowe, palczaste kasztanowców, przypominające brunatne pomarszczone dłonie. W kieszeni znalazła starą listę zakupów: „pończochy, znaczki, tabletki Beecham". Zgniotła ją w kulkę i wepchnęła w liście. Pstryknęła elegancką złotą zapalniczką, prezentem od Henry'ego, i przysunęła płomień do papieru. Kiedy zajął się ogniem, zrobiła krok w tył. W górę uniósł się słup dymu; Juliet wciągnęła w płuca ostry jesienny zapach.

Kątem oka dostrzegła ruch. Ścieżką biegnącą wzdłuż pola szedł mężczyzna. Chociaż ziemia graniczącą z dorzeczem nie należała do Marsh Court, pojawiało się tam niewielu ludzi i Wintertonowie lubili myśleć o niej jako o swojej. Wcześniej Juliet cieszyła się samotnością, paląc swoje poczucie nieszczęścia na stosie martwych liści, i teraz poczuła… To nie było zakłopotanie, właściwie nie, ale wrażenie obnażenia, jakby ktoś podejrzał ją w trakcie intymnej czynności w rodzaju czyszczenia zębów albo układania włosów.

Mężczyzna był wysoki i poruszał się sprężystym krokiem. Juliet patrzyła, jak schodzi ze ścieżki i kieruje się w stronę ogniska. Spodziewała się pytań o drogę, może prośby o szklankę wody.

Kiedy jednak nieznajomy znalazł się w zasięgu słuchu, zawołał:

– Pani na pewno jest Juliet. Byłem zaintrygowany, gdy się dowiedziałem, że Henry przywiózł żonę z Egiptu. Nie mogłem się doczekać, kiedy panią poznam. – Podszedł do niej z wyciągniętą ręką. – Jestem Gillis Sinclair. Mam nadzieję, że Henry uprzedził panią o moim przyjeździe.

Miał wysokie czoło i proste brwi nad pełnymi wyrazu szaroniebieskimi oczami. Jasnobrązowe włosy lekko się kręciły, nos

był długi, prosty i wąski, usta szerokie i ładnie wykrojone. Juliet pomyślała, że jest niezwykle przystojny. Uścisnęła mu dłoń, mamrocząc powitanie.

Roześmiał się serdecznie.

– Nie tego pani oczekiwała, pani Winterton? Wyobrażała sobie pani polityka w średnim wieku, przedwcześnie postarzałego od trosk o sprawy państwowe?

To prawda, spodziewała się kogoś starszego. Henry był siedemnaście lat starszy od niej i Juliet założyła, że jego przyjaciel jest w podobnym wieku.

– Ależ nie – odparła. – Jest mi niezmiernie miło pana poznać, panie Sinclair.

– Gillis. Mam nadzieję, że nie musimy odnosić się do siebie tak oficjalnie.

– W takim razie mów mi Juliet. Gillis to niezwykłe imię.

– Duńskie. Moja matka pochodziła z Kopenhagi.

– Znasz duński?

– Trochę. Wybacz mi, że tak nieoczekiwanie pojawiam się w twoim ogrodzie. Mój samochód jest w Maldon, naprawiają rurę wydechową. Nieszczęsne auto kopciło czarnym dymem przez całą drogę z Chelmsford. Gość z warsztatu zaproponował, że mnie podwiezie, ale postanowiłem pójść pieszo. Uwielbiam chodzić wzdłuż ujścia Blackwater.

Mówiąc, nie odrywał od niej spojrzenia. Juliet się zastanawiała, co takiego kryje się w jego uśmiechu, we wzroku, co potrafi wprawić cię w wielkie zakłopotanie, a równocześnie sprawić, że nagle czujesz się żywa, jakbyś dotąd przebywała w cieniu, a teraz wkroczyła w cudowne słońce.

– Przykro mi, że twoja żona niedomaga.

– Biedna stara Blanche. Uważa, że zaraziła się od dzieci. Ja trzymam się od nich tak daleko, jak tylko się da.

Powiedział to z błyskiem w oku. Juliet nadal zmagała się z angielskim zwyczajem mówienia niekoniecznie tego, co się myśli. Bała się, że przez to jest nudna dla otoczenia.

Ogień przygasł, pozostały rubinowe resztki z białymi krawędziami. Kiedy ruszyli w stronę domu, Juliet zapytała Gillisa, w jakim wieku są

jego córki.

– Flavia ma pięć lat, a Claudia… niech się zastanowię… dwa.

– Cudownie.

– Następnym razem przywiozę je ze sobą. Na pewno uznasz je za urocze istotki.

– Bardzo bym chciała.

– Henry mówił, że poznał cię w Kairze. Urodziłaś się tam?

Juliet pokręciła głową.

– Nie, urodziłam się w Anglii, ale z ojcem dużo podróżowaliśmy. Poznałam Henry'ego dwa tygodnie po śmierci ojca.

– To musiało być dla ciebie trudne. – Spojrzał na nią z ukosa. – Strata rodziców zawsze jest bolesna. A Henry, chociaż głęboko go kocham, nie jest najłatwiejszym z ludzi.

Ojciec Juliet, Alexander Capel, płynnie znał kilka języków i każdego nowego uczył się z niezwykłą łatwością. Egiptolog i hellenista, w wieku dwudziestu jeden lat pokłócił się z rodzicami i porzuciwszy Anglię, resztę życia spędził w krajach Bliskiego Wschodu. Kiedy Juliet miała dwanaście lat, osierociła ją matka, jej słabe zdrowie nie wytrzymało trudów wędrówki. Bolesna strata złamała serce Juliet. Do tego czasu nie przeszkadzało jej takie nieuregulowane życie, bo mama wszędzie tworzyła dom. Po jej śmierci Juliet czuła się wykorzeniona, pozbawiona swojego miejsca.

Przeprowadzili się do Kairu, kiedy miała siedemnaście lat. Na początku wynajmowali mieszkanie w Zamalek, dzielnicy zadrzewionych ulic i przestronnych willi. Mieli służącego i jadali w restauracjach. Juliet brała lekcje rysunku, ojciec pracował jako tłumacz w ambasadzie brytyjskiej. Tutaj jak wszędzie przyjaźnili się z pisarzami, intelektualistami i wagabundami różnych narodowości. Uwielbiała długie, leniwie płynące kolacje, rozmowy, które nigdy nie kończyły się przed północą, chłodne wczesne poranki i atramentowe cienie zalegające starożytne ulice.

Kiedy ojciec podupadł na zdrowiu, nie mógł dłużej pracować, więc musieli się przeprowadzić do umeblowanych pokoi w południowej części wyspy Gezira. Służącego trzeba było zwolnić, prowadzeniem

domu i gotowaniem zajmowała się Juliet. Zarabiała niewielkie pieniądze jako dama do towarzystwa i sekretarka pewnej starej Francuzki (przez kilka lat te same obowiązki pełniła wobec ojca) oraz ucząc rysunku trzy rozpuszczone angielskie uczennice. Ojciec pił tani alkohol, by stłumić ból. Zawsze otwarcie wyrażał uwielbienie dla arabskiej kultury, a teraz nabrał zwyczaju noszenia brudnej galabii i fezu oraz kłócenia się z brytyjskimi znajomymi, którzy coraz rzadziej go odwiedzali. Juliet podejrzewała, że według nich stał się tubylcem.

Na pół roku przed śmiercią ojca jego wydawca, Francuz (monografie historyczne Alexandra Capela cieszyły się niejaką popularnością w świecie francuskojęzycznym), zabrał Juliet na kolację. Jean-Christophe ostrzegł ją, że zbliża się wojna i dlatego powinni z ojcem opuścić Kair. Włoskie zwycięstwo w Abisynii położonej na południe od Egiptu było jednym z pierwszych epizodów nadchodzącego konfliktu, który jak spokojnie jej wyjaśnił, będzie niewyobrażalnie przerażający. Próbował rozmawiać z jej ojcem, ale ten nie chciał go słuchać. Juliet musi go przekonać.

Potem przeszli do lżejszych tematów. Spędzili przyjemnie wieczór, na zakończenie Jean-Christophe zabrał ją do swojej willi przy ulicy Abou el Feda i tam się z nią kochał. Pozwoliła się uwieść, ponieważ potrzebowała komfortu ludzkiego dotyku. Jean-Christophe okazał się czułym i wrażliwym kochankiem, sprawił, że uwierzyła, iż jest piękna. Zakochała się w nim i wpadła w przygnębienie, kiedy po miesiącu wrócił do swojego zamku nad Loarą, do żony i dzieci.

Kiedy stan ojca się pogorszył, Juliet zaczęła wyprzedawać cenne rzeczy, żeby zapłacić za morfinę. Jego cierpienia trwały długo, trudno było na nie patrzeć. Podczas ostatnich tygodni w żaden sposób nie umiała przynieść mu ulgi i po jego śmierci pozostała z poczuciem klęski, z którego nigdy do końca nie zdołała się otrząsnąć.

Po spłaceniu najpilniejszych długów ojca okazało się, że jest bez grosza. Było lato, panował nieznośny upał. Juliet nigdy nie lubiła Kairu, miasta hałaśliwego, głośnego i tajemniczego, ale nie wiedziała, dokąd mogłaby wyjechać, zresztą nie stać by jej było na bilet. Ciągle wsuwała dłoń do kieszeni płaszcza w poszukiwaniu monet i ukrywała się w mrocznych pokojach z zamkniętymi

okiennicami, udając, że jej nie ma, kiedy gospodarz pukał do drzwi i domagał się czynszu.

Była samotna, biedna i przerażona, że może się znaleźć na ulicy. Wielu ludzi zasługujących na lepszy los od niej sypiało na chodnikach Kairu. Nocami nie pozwalały jej zasnąć nie tylko upał i żal, ale też strach przed samotnością, porzuceniem i nędzą. Przestała odczuwać cokolwiek poza koszmarem przeszłości i obawą o przyszłość. Miała dziewiętnaście lat, a jej serce już było wyschnięte. Głód miłości okazał się potężniejszy od ochoty na słodycze z ulicznych kramów.

Postanowiła sprzedać ostatnią wartościową rzecz, perłowy naszyjnik, który ojcu podarował bogaty handlarz z Aleppo. Alexander Capel uczył angielskiego sześciu synów handlarza i tłumaczył dla niego teksty z aramejskiego na współczesny arabski i angielski. Ojciec dał jej ten naszyjnik na piętnaste urodziny. Początkowo nie miał dla niej większego znaczenia, uważała, że jest niemodny i ciężki, potem jednak go pokochała i podziwiała magiczne trzy sznury błyszczących, wielkich, okrągłych zielonkawozłotych pereł słonowodnych, które uformowały się w wulkanicznym atolu na Pacyfiku. Osadzono je w złocie i rozdzielono diamentami.

Henry Winterton wszedł do sklepu, kiedy jubiler, bez wątpienia wyczuwając jej desperację, próbował ją oszukać. Ku zaskoczeniu Juliet nowy klient złożył korzystniejszą ofertę. Przy akompaniamencie protestów właściciela sklepu Henry się przedstawił.

– Mam firmę jubilerską w Londynie – rzekł. – Na Bond Street. Wie pani o tym, panno…?

– Capel – powiedziała. – Nie, obawiam się, że nie wiem.

– No dobrze, przyjmuje pani moją ofertę?

Ponieważ popsucie szyków sklepikarzowi sprawiło jej przyjemność i ponieważ druga oferta była taka szczodra, dobiła targu, ściskając mu dłoń i dziękując. Chociaż w całej tej transakacji było coś podejrzanego, jakby Juliet zgadzała się na coś więcej niż tylko wymianę perłowego naszyjnika na pieniądze.

Kiedy wyszli ze sklepu, Juliet z czekiem Wintertona w kieszeni, nowy znajomy podał jej obite zieloną skórą pudełko z naszyjnikiem.

– Proszę się nim dla mnie zaopiekować – powiedział. – Będę w Kairze przez dwa tygodnie. Odda mi pani naszyjnik przed moim

wyjazdem. – Kiedy się wzdragała, dodał: – Jeśli perły nie będą noszone, stracą blask. Mieszkam w hotelu Shepheard. Dzisiaj zapraszam panią na kolację, ustalimy sposób oddania naszyjnika. Nie mam zwyczaju uwodzenia niewinnych uczennic, jeśli tego się pani obawia. Proszę podać mi adres, przyślę po panią o ósmej. I proszę włożyć perły. To niezwykły naszyjnik.

Henry zafundował jej kolację tamtego pierwszego wieczoru, a potem w każdy kolejny wieczór przez dwa tygodnie. Juliet nie spieniężyła czeku, tylko schowała go do cedrowego pudełka w swojej sypialni i czasami oglądała.

Mizeria jej dni kontrastowała z wieczorami w hotelu Shepheard. O ósmej wieczorem przyjeżdżał po nią samochód. Henry czekał przy stole w sali urządzonej w stylu mauretańskim. Podczas pierwszej kolacji Juliet była skrępowana i oszołomiona, dlatego mówił on, zapełniając ciszę. Powiedział, że jego prapradziadek w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku założył pierwszy sklep Wintertonów w Colchester. Trzydzieści lat później rodzina kupiła drugi lokal na Bond Street. Istnieje szlif Wintertonów, mówił Henry, wielkimi, eleganckimi dłońmi szkicując kształt, dzięki któremu diamenty błyszczą wyjątkowym światłem. Kilka razy w roku wyjeżdżał za granicę, by kupować rzadkie kamienie szlachetne, gotowe klejnoty nabywał tylko wtedy, gdy miały niezwykłą wartość. Jego spojrzenie raz po raz wracało do naszyjnika na szyi Juliet.

Później opowiedział jej o swojej rodzinie. Jego siostra Jane poślubiła Petera Hazelhursta, chirurga; mieli bliźniaków Jake'a i Eliota oraz maleńką Gabrielle. Młodszy brat Henry'ego, Jonathan, był partnerem w rodzinnej firmie. Henry zarządzał finansami i zakupem kamieni, Jonathan odpowiadał za personel i prowadzenie sklepów. Obaj brali udział w tworzeniu nowej biżuterii, ponieważ rozumieli charakterystyczną dla Wintertonów kombinację ostentacji i elegancji. Jonathan i jego żona Helen mieszkali w Maldon w hrabstwie Essex, w odległości zaledwie sześciu kilometrów od Marsh Court, domu Henry'ego.

Juliet wyobrażała sobie Marsh Court jako wilgotne, posępne miejsce. W żarze kairskiego lata ta wizja była pociągająca. Zauważyła, że chociaż Henry mówił o swojej rodzinie z uczuciem, to

czerpał przyjemność z opisywania jej wad i słabości – braku zdecydowania Jonathana, przywiązania Jane do modnych metod wychowywania dzieci.

Na trzy wieczory przed wyjazdem z Kairu Henry się jej oświadczył.

– Więc jak? – warknął, kiedy zaskoczona nie od razu odpowiedziała. – Nie masz nic do powiedzenia?

Spanikowana wzięła przykład z dziewiętnastowiecznych powieści, które lubiła czytać.

– Jestem niezwykle zaszczycona…

– Nie zamierzam sprawiać ci zaszczytu. Ani pochlebiać. Nigdy tego nie robię.

Następnie wyliczył jej korzyści małżeństwa z Henrym Wintertonem. Miał trzydzieści sześć lat, siedemnaście więcej niż ona, dlatego bez problemu będzie mógł utrzymać ją i dzieci, które ewentualnie się im urodzą. Lubił towarzystwo i miał mieszkanie w Londynie, Juliet nie musi się więc obawiać ani nudy, ani braku bezpieczeństwa. Stanie się częścią jego rodziny. Będzie miała dom.

Juliet, która już prawie się w nim zakochała, tęskniła za tym wszystkim. Henry Winterton był przystojny, pewny siebie, inteligentny i wielkoduszny wobec niej. Pod wieloma względami małżeństwo rozwiązałoby wszystkie jej problemy. Tylko że nie powiedział, że ją kocha.

Wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłoń.

– Obawiam się, że nie masz czasu na rozterki. Pilne interesy wzywają mnie do Londynu. Muszę tam wrócić tak szybko, jak to możliwe. – Zniżył głos. – Juliet, pragnę cię.

Nie „kocham cię” ani „uwielbiam”, tylko „pragnę”. Odkryła, że to potężna sprawa, jeśli ktoś nas pragnie, jeśli jesteśmy obiektem czyjegoś pożądania. To urzekało, skłaniało do uległości. Wielu Anglikom sprawia trudność mówienie o miłości, powiedziała sobie w duchu, i była przekonana, że żar w oczach Henry’ego Wintertona wyrażał wszystko, o czym musiała wiedzieć.

Tydzień później pobrali się przed ministrem sprawiedliwości. Noc poślubną spędzili w hotelu Shepheard. Zanim Juliet w koszuli nocnej wyszła z łazienki, zawahała się, czując strach przed przekręceniem gałki w drzwiach. Pomyślała, że zaraz pójdzie do łóżka

z nieznajomym. Trudna próba trwała jednak krótko, a w gruncie rzeczy nie było tak źle, jak się obawiała. Henry był pełnym wigoru kochankiem, duma nakazywała mu dać jej rozkosz równą tej, którą sam odczuwa. Jean-Christophe sprawił, że Juliet nie była kompletną nowicjuszką, ale jeśli nawet Henry to dostrzegł, nic nie powiedział.

Nazajutrz wyruszyli do Anglii. Po noclegach w Valletcie i na Gibraltarze opuścili statek w Dieppe i pociągiem pojechali do Paryża. Tam w House of Worth Juliet skompletowała swój posag. Henry polecił jej, żeby zamówiła cztery suknie wieczorowe. Ekspedienci rozłożyli na kontuarze bele tkanin i po godzinnym przyjemnym namyśle Juliet wybrała czerń, róż i czerwień.

Na czwartą nie umiała się zdecydować. Ekspedientka, drobna elegancka kobieta po sześćdziesiątce, zaproponowała prostą suknię barwy écru obszytą przy dekolcie i na dole wąską czarną wstążką. Juliet zauważyła, że całość za bardzo będzie się zlewać z jej bladą cerą i kręconymi włosami w kolorze ciemnego złota, ale ekspedientka tylko pogardliwie syknęła. Zahukana Juliet się poddała. Sześć tygodni później owinięte w bibułkę i związane satynową wstążką pudło z czterema sukniami dostarczono do Marsh Court.

Wieczorem Juliet zeszła na kolację w sukni barwy écru i perłowym naszyjniku, który potrzebował prostego stroju dla podkreślenia swojego piękna. Kiedy spojrzała w lustro, zobaczyła, że lśnienie pereł wydobywa ciepłe tony jej cery. Policzki nadal miała zarumienione po popołudniu spędzonym w ogrodzie. Przycisnęła dłonie do twarzy i wciągnęła w płuca zapach dymu, którym przesiąkła jej skóra, oczyma wyobraźni zobaczyła idącego ku niej Gillisa Sinclaira.

Henry musiał wciąż się na nią gniewać, bo kiedy weszła do salonu, powiedział:

– Wreszcie jesteś. Zaczynałem myśleć, że cię straciliśmy. Że pewnie nad rzeką ratujesz kolejne kulawe kaczki. – Zwrócił się do Jonathana i Helen oraz Charlesa i Marie Barbourów siedzących na sofach ustawionych przy kominku: – Juliet ma miękkie serce. Gdyby mogła postawić na swoim, zapełniłaby mój dom darmozjadami i głupcami.

– Przecież nie mogłeś szukać żony z twardym sercem. – Gillis Sinclair stał w cieniu koło biblioteczki. Lekko ukłonił się Juliet. – Pani Winterton, pozwoli pani, że skomplementuję pani wygląd. Henry, gratuluję ci znalezienia takiego skarbu.

– Phi. – Henry skrzywił się nieprzyjemnie. – Pogardzam naiwnością. To cecha, która czasami uchodzi za dobroć, chociaż w rzeczywistości bliższa jest głupocie.

– Zdolność do współczucia na pewno nie jest zła.

– Nie wątpię, Sinclair, że doskonale wychodzi ci udawanie współczucia, kiedy przynosi ci to korzyść.

Wdzięczna, że przestała być głównym obiektem zainteresowania, Juliet usiadła obok Helen i Jonathana. Nie cierpiała, kiedy Henry był w takim nastroju i doszukiwał się niskich motywów nawet u najbliższych mu osób. Przypuszczała, że Barbourowie podzielają jej odczucia, ponieważ z ogromnym zainteresowaniem wpatrywali się w swoje drinki. Jonathan i Helen sprawiali wrażenie nieporuszonych, zapewne byli świadkami takich pokazów niezliczoną ilość razy. A poza tym Juliet już odkryła, że kłótnia sprawia przyjemność nawet najbardziej życzliwemu z Wintertonów.

Obawiała się, że Gillis może się poczuć urażony, ale on posłał Henry'emu słodki uśmiech.

– Masz rację, z łatwością zdobywam się na odrobinę hipokryzji, kiedy sytuacja tego wymaga.

– Gillis ma serce, rozumiecie – oznajmił Jonathan. – Zawsze podejrzewałem, że to, co pompuje krew w żyły mojego brata, jest zrobione z twardego, gładkiego jak lustro kamienia.

Henry uśmiechnął się bez przekonania.

– A ty nie należysz do ambitnych, prawda, Jonathanie?

Henry miał w sobie coś z czterolatka, który zaczepia młodszego brata, kpiąc z niego i go poszturchując. Jego ostatnie stwierdzenie zawierało więcej niż tylko szczyptę złośliwości. Henry był w rodzinie tym, który zarabia pieniądze, i to on, a nie Jonathan, przekształcił rodzinny staroświecki, tradycyjny sklep jubilerski w odnoszącą sukces nowoczesną firmę.

Jonathan przyjął szpilę, unosząc kieliszek. Henry zwrócił się do Gillisa:

– Więc przyznajesz, że jesteś ambitny.

– To niezbędny składnik sukcesu.

– Ambicja i hipokryzja idą ręka w rękę, nie sądzisz?

– Jeśli sugerujesz, że polityka wymaga szczególnej umiejętności udawania, to nie będę przeczył.

– Jakiś ty szczery – powiedział Henry sarkastycznie.

– A gdybym ci wskazał skromnych, pokornych posłów do parlamentu…

– Powiedziałbym, że to najwięksi kłamcy.

Gillis patrzył w ogień, ale Juliet dostrzegła uśmiech unoszący kąciki jego ust.

– Gdybym więc ci powiedział, że pod tą niewątpliwie atrakcyjną powierzchownością jestem skromny i pokorny…

Henry ryknął śmiechem i poklepał Gillisa po plecach.

– Do twarzy ci z arogancją, stary, nie powinieneś się tego wstydzić.

Wszyscy też się roześmiali.

Niedługo potem pokojówka ogłosiła, że podano kolację. Przy stole Juliet nadal obserwowała, jak sprytnie Gillisowi wychodziło poprawienie nastroju Henry'ego. Przyglądała mu się uważnie, aby się dowiedzieć, jak on to robi. Henry tolerował dobroduszne przycinki przyjaciela, choć zareagowałby sarkazmem albo gniewiem, gdyby kpił z niego ktoś inny. W trakcie kolacji zaprezentował swoje najsympatyczniejsze wcielenie, był czarujący i zabawny, wzór doskonałego gospodarza. Z kolei Gillis, kulturalny, wesoły i niezwruszony, cudowny rozmówca, z każdego tematu potrafił zrobić zajmującą opowieść. Juliet pomyślała, jaką szczęściarą jest Blanche Sinclair, że poślubiła mężczyznę będącego takim wspaniałym towarzyszem.

Zastanawiała się, czy przyjaźń obu mężczyzn utrwaliło to, co ich łączyło, błyskotliwe poczucie humoru, wiedza i inteligencja, bystry umysł i doskonała pamięć, ale potem doszła do wniosku, że przyjemność sprawiają im dzielące ich różnice. Podejrzewała, że Henry docenia to, iż Gillis ignoruje jego zły humor, co pozwalało mu cieszyć się żarliwą wymianą argumentów. Niezależnie od fundamentów, na których opierało się ich przywiązanie, Gillis

wydobywał z Henry'ego najlepsze cechy i Juliet była mu za to wdzięczna.

Jadalnia w Marsh Court była ciepła i wygodna. Płomienie świec połyskiwały na starej kruchej porcelanie, czeskich kryształach i georgiańskim srebrze, szkarłatne kotary oddzielały ich od nocy. Rozmowa najpierw dotyczyła strzelania i jachtów oraz dwunastu skrzynek francuskiego wina, które Henry niedawno kupił. Jako ignorantka we wszystkich tych kwestiach, Juliet odzywała się rzadko, dopiero kiedy rozmowa zeszła na koncerty w Wigmore Hall, zaczęła brać w niej aktywniejszy udział. Zawsze ogromną przyjemność sprawiało jej słuchanie muzyki, która miała moc intensyfikowania szczęścia i pocieszania w smutku. Oboje Jonny i Jane Wintertonowie byli świetnymi pianistami i uwielbiała ich występy.

W trakcie posiłku musiała się kontrolować, by nie patrzeć bez przerwy na Gillisa Sinclaira. Pociągał ją, często łapała się na tym, że bada wykrój jego ust albo linię szczęki. Widziała, jak wyraz jego twarzy przechodzi płynnie od śmiechu do melancholii, oczy błyszczą inteligencją albo się chmurzą przy poważniejszych tematach. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, posłał jej uśmiech, zapraszający, niemal konspiracyjny. Później usiłowała omijać go wzrokiem.

Polityczne wydarzenia dwóch ostatnich miesięcy zaprzątały myśli wszystkich i rzeczą nieuchronną była dyskusja o Monachium. Ponieważ Gillis Sinclair był posłem do parlamentu (i w wieku trzydziestu jeden lat parlamentarnym podsekretarzem stanu), wszyscy traktowali go jako człowieka mającego dostęp do poufnych informacji. Charles Barbour zapytał, czy według niego Hitler dotrzyma obietnic, które w zeszłym miesiącu złożył w Monachium. Wprawdzie z ulgą i wdzięcznością powitano premiera Neville'a Chamberlaina, kiedy wrócił z Niemiec z – jak się wydawało – gwarancją pokoju w zamian za zgodę na utratę przez Czechosłowację Kraju Sudeckiego, wkrótce jednak pojawiła się mieszanina poczucia winy i niepokoju. Juliet pamiętała, jak jej francuski kochanek powiedział, że nadchodząca wojna będzie potworna. Miała nadzieję, że w Marsh Court odnalazła bezpieczeństwo.

– Oczywiście, że je złamie – powiedział Gillis. – Każdy myślący człowiek to wie.

– Czyli całe to truchtanie do Monachium z parasolem w dłoni było na nic.

– Niezupełnie. Zyskaliśmy czas, a bardzo go potrzebujemy do zbudowania naszej siły militarnej. – Gillis wyglądał na rozgniewanego. – Mamy zdecydowanie za mało samolotów. Dobry Boże, brakuje nam części zamiennych, by wyremontować okręty.

– Może to czas na znalezienie sposobu na trwały pokój – mruknęła Helen.

Gillis pokręcił głową.

– Nie, Helen, obawiam się, że nie.

– Mówiliśmy wcześniej o arogancji polityków – wtrącił Jonny. – Czy Chamberlain mógłby zademonstrować większą arogancję niż wiara, że jest w stanie wpłynąć na Hitlera?

Wkrótce kobiety wstały od stołu, zostawiając mężczyzn z brandy i papierosami. Podczas gdy Marie Barbour pudrowała nos, Helen ścisnęła Juliet za rękę.

– Bardzo chciałam ci o tym powiedzieć. Spodziewam się dziecka!

– Helen, to cudownie! Tak się cieszę! – Juliet objęła szwagierkę. Wiedziała, że Helen i Jonny od kilku lat starali się o dziecko.

Maleństwo ma przyjść na świat w marcu, powiedziała Helen i uszczęśliwiona przeciągle westchnęła.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będę się toczyła jak słoń ze świadomością, że niedługo wezmę na ręce moje ukochane dziecko.

Helen była wysoka, szczupła i zupełnie niezainteresowana modą i fryzurami. Tego wieczoru miała na sobie prostą suknię z oliwkowej wełny, gęste kasztanowe włosy usiłowały się wymknąć z koka, w który próbowała je upiąć. Juliet pomyślała, jak pięknie wygląda Helen z orzechowymi oczami i twarzą jaśniejącą radością.

Do pokoju wróciła Marie i temat ciąży został porzucony. Chociaż trzy kobiety starały się rozmawiać o innych rzeczach, szybko powróciły do sytuacji politycznej. Helen się niepokoiła, że Jonathan może dostać powołanie. Charles, mąż Marie, był poważnie ranny w wielkiej wojnie, co wykluczało wcielenie go do wojska. Po raz

pierwszy Juliet zaczęła się zastanawiać, co w razie wybuchu wojny stałoby się z Henrym – a także z rodzinną firmą i Marsh Court.

Głosy mężczyzn wdarły się do pokoju.

– Noc jest jasna – powiedział Jonathan, otwierając z rozmachem drzwi. – Popatrzymy na gwiazdy. Dziewczęta, idziecie z nami?

Henry zbudował małe obserwatorium, w którym umieścił teleskop. Juliet zgasiła światła w salonie, potem wszyscy włożyli płaszcze i wyszli na dwór. Trawa była krucha od szronu, gwiazdy na niebie wyglądały jak ziarnka piasku rozrzucone na czarnej podłodze.

Postawili kołnierze i drżąc z zimna, wypuszczali kłęby pary, gdy po kolei zajmowali miejsce przy teleskopie. Po chwili Juliet oddaliła się od pozostałych. Za plecami usłyszała kroki; odwróciła się i zobaczyła Gillisa Sinclaira.

Uśmiechnał się do niej.

– Juliet, wieczór jest cudowny.

– Cieszę się, że przyjechałeś. Henry zawsze wyczekuje na twoje wizyty.

Zamilkli, patrząc na gwiazdy. Nagle Gillis powiedział:

– Powinnaś mu się przeciwstawić. Wybacz, że to mówię, ale Henry'emu na tym właśnie zależy – żeby ktoś mu się przeciwstawił.

Skurczyła się, słysząc litość w jego głosie. Czuła, że to ją poniża. A chociaż Gillis miał dobre intencje, wiedziała, że się myli. Henry szanował mężczyzn, którzy stawiali mu czoło, ale zdążyła się już przekonać, że opór żony mu się nie podoba.

Ramię w ramię wrócili do domu. W powietrzu unosił się aromat jesiennych liści i organiczny zapach rzeki, ale było w nim coś jeszcze: smak nadchodzącej zimy.

Na dwudzieste urodziny Juliet Henry zaproponował, że zrobią dla niej bransoletkę. W półmroku wyrafinowanego bogactwa sklepu Wintertonów przy Bond Street ze szklanych gablot mrugały do Juliet klejnoty. Naszyjniki leżały zwinięte na posłaniu z niebieskiego aksamitu, kamienie wielkości winogron mościły się w złotych objęciach pierścionków.

Wnętrze odzwierciedlało perfekcjonizm Henry'ego. Witryny zaaranżowano z wielką starannością, co pół godziny pracownik sprawdzał, czy nie ma odcisków palców na szkle i pyłków kurzu na

granatowym dywanie. Ekspedient podsunął Juliet krzesło, jego kolega przyniósł kieliszek szampana i miskę słonych orzeszków.

Henry zapytał, jakie kamienie Juliet lubi najbardziej.

– Szmaragdy – odparła. Uwielbiała ich żywe zielone światło.

Henry chwilę przyglądał się żonie, która usiłowała siedzieć bez ruchu.

– Nie – oznajmił. – Bransoletka będzie z akwamarynami.

Juliet próbowała powstrzymać rumieniec zalewający jej policzki. Wiedziała, że cały personel słyszał tę wymianę zdań. Łzy zakłuły ją pod powiekami. Ostrożnie skierowała wzrok na tacę z kamieniami, która leżała na kontuarze.

Henry oczekiwał, że będzie wyjeżdżała z nim do Londynu dwa, trzy razy w miesiącu. Zatrzymywali się w mieszkaniu nad sklepem przy Bond Street, gdzie o wygody Henry'ego dbali kucharka, pokojówka i kamerdyner. Życie towarzyskie wolał prowadzić w Londynie, do Marsh Court zapraszał wyłącznie najbliższych przyjaciół.

Na koniec każdego wieczoru szczegółowo oceniał charaktery gości, podkreślając ich głupotę i zarozumialstwo. Juliet nienawidziła tej analizy najdrobniejszych wad ich znajomych. Żadne ludzkie szaleństwo, żadna próżność nie zdołały umknąć przed jego kpiną. Juliet uważała, że ta potrzeba ujawniania wstydliwych cech innych ludzi jest nużąca i demoralizująca. Sama wolała dostrzegać tylko najlepsze cechy.

Zrozumiała jednak, że to jedna z głównych przyjemności męża. Z zachwytem wyłapywał moralną skazę, błędny osąd albo pokaz ignorancji w kwestiach najważniejszych dla Wintertonów (muzyka, sztuka, wieś) i szydził z delikwenta. Postanowił zinterpretować jej upodobanie do szmaragdów jako przejaw chciwości i ukarał ją w obecności swoich podwładnych. Nie zdawała sobie wtedy sprawy, że szmaragdy czystej wody są droższe od diamentów. Po prostu wymieniła nazwę kamienia, który się jej podobał.

Uczyła się. Nie popełniała tego samego błędu dwa razy. Zdobywała wiedzę, żeby Henry nie miał okazji jej krytykować. Podczas przyjazdów do Londynu odwiedzała muzea i wystawy. Zawsze miała umysł żądny wiedzy. W trakcie długich spacerów po stolicy odkrywała, że pomimo innego języka i klimatu Londyn ma wiele

wspólnego z Kairem. Nędza sąsiadowała z wielkim bogactwem. Na ulicach West Endu, gdzie pary spożywały kolację w eleganckich restauracjach, a i taksówki podwoziły roześmianych młodych ludzi do modnych lokali, można było znaleźć inny Londyn, jeśli tylko ktoś chciał zadać sobie trud. Juliet nabrała zwyczaju noszenia w kieszeni płaszcza monet dla ludzi w zniszczonej, podszytej wiatrem odzieży, którzy kucali w wejściach do sklepów, trzymając wypisaną na kartonie informację, że są bezrobotnymi weteranami wojennymi. Jej problemy wydawały się drobne w porównaniu z ich problemami, i gdy wrzucała pieniądze do blaszanych puszek, czuła, że jest protekcjonalna i rozpieszczona.

Podczas trwania kryzysu monachijskiego w parkach wykopano okopy, a przed budynkami rządowymi ustawiono worki z piaskiem. Pozostały na miejscu, nadając londyńskim ulicom aurę wyczekiwania i przerażenia. Pewnego wieczoru na kolacji z Gillisem i Blanche Sinclairami Juliet sobie uświadomiła, i to był dla niej szok, że nawet Henry, pesymista i realista, liczył, że Gillis będzie miał lepsze wiadomości na temat sytuacji międzynarodowej. Ale nie miał, mówił wyłącznie o brutalnych atakach na Żydów w Niemczech i porażce dyplomacji, aż wreszcie złapał spojrzenie żony. Blanche, drobna i urocza, z czarnymi włosami i jasną cerą, przypomniała mężowi, że zamierzali spędzić miły wieczór na mieście, więc rozmowa zeszła na inny temat.

Juliet najszczęśliwsza była w Marsh Court. Usiłowała być lepszą żoną dla Henry'ego, grać rolę pani domu z wdziękiem i kompetentnie. Uczyła się od Helen, kopiując sposób, w jaki szwagierka przygotowywała menu, układała kwiaty i witała gości.

Popołudniami z akwarelami i sztalugami szła nad Blackwater, starając się uchwycić nastroje rzeki. Podczas odpływu woda opuszczała dorzecze, odsłaniając lśniące szarobrązowe błota. Małe kutry podskakiwały i wirowały, nurt niósł morskie ptaki i złamane gałęzie.

Wyspy przy ujściu rzeki zdawały się dryfować na wodzie niczym płaskodenne łodzie. Wyspa Thorney, położona w dół rzeki od Marsh Court, z głównym lądem łączyła się wąską groblą, która czasami się ujawniała, a czasami znikała. Idąc groblą, Juliet czuła się tak, jakby

kroczyła po rzece. Połyskliwe brązowe zielska czepiały się kamieni; Juliet wdychała bogate zapachy błota i rozkładu, podczas gdy promienie wiszącego nisko zimowego słońca dźgały namokły, niepewny grunt z obu stron grobli.

Na wyspie zobaczyła zagajnik, wąską drogę, kilka zagonów i dom, poza tym grunt przecinały strumyki i rowy, nadając mu mało solidny wygląd. Dom, niezbyt wielki, był zadbany. Na grządkach brązowiały astry, trawnik był starannie przystrzyżony.

Kto, zastanawiała się Juliet, chciałby zamieszkać w takim opuszczonym, nietrwałym miejscu? Stojąc na drodze, wyobraziła sobie podnoszącą się wodę, zalewającą pola i ogród, grządki i trawniki, wdzierającą się przez drzwi i okna.

Odwróciła się i pobiegła do grobli. A kiedy dotarła na trwały ląd, odetchnęła z ulgą.

Kiedy się kłócili, Juliet zadawała sobie pytanie, co Henry pomyślał, kiedy spotkali się u kairskiego jubilera. Nie chciałaby podzielać jego przekonania, że ją uratował. Bycie obiektem litości upokarzało ją. To uczucie jednak było Henry'emu obce, dlatego musiało chodzić o coś innego.

Lustro i spojrzenia mężczyzn mówiły, że jej uroda przyciąga uwagę. Wszyscy Wintertonowie podziwiali piękne przedmioty i nie dopuściliby do swojego wąskiego kręgu niczego, co brzydkie albo zwyczajne. Henry widział ją i jej naszyjnik, a z ich rozmów w hotelu Shepheard wywnioskował, że nie jest osobą niewykształconą. Może przyjemność sprawiała mu myśl, że jego powrót do Anglii z młodą żoną wywoła szok i zazdrość. Albo też uważał, że Juliet jest uległa, że jest kobietą, którą zdoła uformować w każdy kształt, jaki sobie zamarzy.

Nie kochał jej jednak. To zrozumiała. Kiedy tylko zobaczyła Helen i Jonathana razem, odkryła, jak inaczej może wyglądać małżeństwo. Kiedy tańczyli, Jonny lekko opierał dłonie na ramionach Helen i od czasu do czasu gładził kciukiem jej szyję w geście czułości, który dla obojga był tak znajomy, że Juliet przeszył ból. Nie zazdrościła im,

za bardzo oboje kochała, żałowała tylko, że choć ułamek takiej bliskości nie jest jej i Henry'ego udziałem.

Zastanawiała się, czy dla określonego typu mężczyzny, mężczyzny takiego jak Henry, pożądanie seksualne jest jedyną formą miłości. Jej to nie wystarczało. Przerażało ją, że może przeżyć swoje dni bez miłości, i nocami cicho szlochała w poduszkę.

Czasami wyobrażała sobie, jak pakuje walizkę, wsiada do pociągu i jedzie z Maldon do Londynu. Sprzedaje perły (choć według prawa należały do Henry'ego) i wynajmuje pokój w pensjonacie. Jedzie do pracy, dzięki której ma pieniądze na czynsz i jedzenie. Byłaby biedna, ale wolna. A w swoim czasie Henry zgodziłby się dać jej rozwód.

Pewnego dnia podczas śniadania, kiedy pokojówka podała Henry'emu smażone śledzie, Juliet nie zdążyła w porę dobiec do łazienki. Zwymiotowała na suknię i grzankę, którą próbowała zjeść. Wydawało się, że pokojówka pójdzie w jej ślady, za to Henry, trzeba mu to przyznać, nie skrzywił się nawet, tylko mruknął coś o świetnym początku dnia i wysłał ją z powrotem do łóżka.

Przed południem przyjechał doktor Vincent. Zbadał ją i powiedział, że jest w ciąży i że dziecko urodzi się na wiosnę. Po jego wyjściu Juliet leżała w łóżku z dłońmi splecionymi na brzuchu i patrzyła w okno.

Wtedy już wiedziała, że gdyby opuściła Marsh Court, zżerałaby ją nostalgia. Doskwierałby jej brak sąsiadów, którzy byli dla niej mili, i rodziny, którą pokochała, której częścią zaczęła się czuć. Tęskniłaby za mgiełką z samego rana otulającą słone mokradła, za krzykami morskich ptaków i za wodą zalewającą groblę. Gdzieś na wygnaniu zamykałaby oczy w upalny sierpniowy dzień i wyobrażała sobie, że jest w ogrodzie w Marsh Court. Marzyłaby o srebrnych migotaniach rzeki i wspominała senne, pachnące różami powietrze.

Po wielu latach wędrówki znalazła dom.

Nie spakuje więc walizki i nie ruszy do wielkiego miasta. Nie opuści Henry'ego. Zostanie w Marsh Court i urodzi jego dziecko.

Będzie miała kogoś do kochania.

Rozdział drugi

Kwiecień 1939 roku – maj 1945 roku

Mam nadzieję, że Harper pamiętała o syropie Flavii – powiedziała Blanche.

Wyjeżdżali z Londynu. Gillis poczuł ulgę, że niania Harper pojechała z dziećmi do Maldon pociągiem. Dziewczynki w samochodzie były utrapieniem, wymiotowały na każdym zakręcie.

Gillis podejrzewał, że Blanche wolałaby podróżować z nimi. Uważała, że jego sportowy crossley jest niebezpieczny, i zwykle trzymała się kurczowo deski rozdzielczej.

– Jestem pewien, że pamiętała – powiedział spokojnie.

– Boję się, że pozwoli dziewczynkom wychylać się z okna.

Blanche miała skłonność do zamartwiania się. Gillis wiedział, że oczyma wyobraźni żona widzi przerażający wypadek: dziecko wypadające z wagonu, piękną córkę straszliwie zniekształconą po uderzeniu głową w ścianę tunelu.

– Kochanie, nic im się nie stanie. Będą się świetnie bawić. – Wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń. Nie zareagowała, po chwili więc ją puścił i znowu ujął kierownicę.

Miał dwadzieścia pięć lat i pracował w kancelarii prawniczej, kiedy na tańcach w domu w Belgravii poznał Blanche Carteret. Jej delikatna uroda i drobna idealna figura zauroczyły go i poprosił ją o rękę po zaledwie sześciu tygodniach znajomości. Blanche była jedynaczką bogatego finansisty z Jersey, i do małżeństwa wniosła tak potrzebne pieniądze. Chociaż Gillis zakochał się w niej po uszy, był dostatecznie uczciwy, by przed samym sobą przyznać, że nie

ożeniłby się z nią, gdyby była biedna. Miał ambicje. Musiał być praktyczny.

Małżeństwo pozwoliło mu zrezygnować z prawa i zająć się polityką. Prasa rozpisywała się o jego spektakularnej karierze (poseł do parlamentu w wieku dwudziestu siedmiu lat, prywatny sekretarz parlamentarny w wieku dwudziestu dziewięciu lat, parlamentarny podsekretarz stanu w wieku trzydziestu jeden lat). Gillis przywykł do określenia „złoty chłopiec". Ponieważ był młody i przystojny, jego fotografia często zdobiła pierwsze strony gazet. Koledzy z parlamentu z tego powodu czasami się z nim droczyli.

Mimo że Carteretowie ze swoimi wpływami i kontaktami byli dla niego użyteczni, Gillis wiedział, że sam posiada cechy niezbędne do odniesienia sukcesu w polityce. Był pewny siebie, utalentowany, nawykły do ciężkiej pracy i charyzmatyczny. Brakowało mu jedynie pieniędzy, jego ojciec bowiem roztrwonił rodzinną fortunę na alkohol, kochanki i pretensjonalne projekty architektoniczne, zanim umarł w wieku pięćdziesięciu lat, zostawiając synowi jedynie długi. Gillis hołubił ambicję, by jako trzydziestopięciolatek objąć funkcję w rządzie. Nie widział powodu, dla którego nie miałoby to być możliwe.

Wspierał i podziwiał Edena i Churchilla za to, że przeciwstawiali się polityce ustępstw, prezentowanej przez Chamberlaina. Kilka miesięcy wcześniej tego roku rozważał, czy nie powinien jak Anthony Eden oddać mandat w proteście przeciwko polityce zagranicznej rządu. W końcu tego nie zrobił, bo uznał, że więcej osiągnie, pozostając na swoim miejscu, niż gdyby zrejterował. Upływające miesiące utwierdziły go w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję. Bez względu na to, jak on, Eden czy ktokolwiek inny poruszał się po parlamentarnej szachownicy, wojna była nieunikniona. W marcu 1939 roku zajęcie przez Hitlera pozostałej części Czechosłowacji zdusiło ostatnią iskierkę nadziei na jej uniknięcie.

Zostawili za sobą Londyn i teraz jechali przez wieś. Drzewa i pola zaczynały się zielenić, jasnożółte pierwiosnki znaczyły pobocza. Gillisowi nastrój się poprawił.

– Jak się czujesz, kochanie? – zwrócił się do Blanche. – Niedaleko jest zajazd. Zatrzymamy się tam na lunch?

Blanche spojrzała na zegarek.

– Obawiam się, że się spóźnimy na pociąg dziewczynek.

– Zawsze mogą wziąć taksówkę.

– Gillis, będzie je wiózł jakiś obcy człowiek!

– Świetnie, w takim razie jedziemy. – Pokonał zakręt. – Podwójny chrzest! – dodał jowialnie. – To cię cieszy, prawda?

– O tak. Wiesz, jak uwielbiam niemowlęta.

Nie odpowiedział. Miał nadzieję, że Blanche porzuci ten temat, ona jednak dodała:

– Tak bym chciała, żebyś zmienił zdanie!

– Rozmawialiśmy o tym – odparł szorstko. – Doszliśmy do porozumienia. Wiesz, że to nie są dobre czasy. Kiedy Hitler wykona ruch, będę musiał wstąpić do wojska.

– Ale chciałbyś syna, prawda, Gillis?

– Oczywiście, że tak.

– Proszę, kochany… – Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

Blanche pod wieloma względami była żoną doskonałą, prowadziła ich dom przy St. James's Place z wyrafinowaniem i kompetencją, oczarowując goszczące u nich ważne osobistości, ale miała jedną skazę. Do seksu odnosiła się z entuzjazmem tylko wtedy, gdy starali się o dziecko, poza tym traktowała go jako jeden z obowiązków. Na początku małżeństwa urządzał romantyczne weekendy z szampanem, różami i delikatnym uwodzeniem, ale to nie zmieniło jej niechęci, nawet niesmaku do fizycznych aspektów pożycia. Rozczarowany i urażony, musiał się pogodzić z tym, że chociaż na swój sposób go kochała, całą namiętność skupiała na dzieciach. Blanche je uwielbiała, najchętniej zapełniłaby nimi dom i działała w różnych organizacjach charytatywnych na rzecz dzieci. Jeśli on zacznie podzielać jej pragnienie kolejnego potomka, Blanche mu nie odmówi. Poczuł pokusę.

Ale nie. Przyszłość była zbyt nieprzewidywalna. Uważał, że w takich czasach nie należało sprowadzać na świat bezbronnego dziecka.

– Kiedy wybuchnie wojna – powiedział – będę musiał ciebie i dziewczynki gdzieś wywieźć. Nie będziecie mogły pozostać w Londynie. Bezpieczniejsze będziecie w Wiltshire.

Blanche nie lubiła tego domu, który znajdował się w jego okręgu poselskim, ponieważ panowała w nim wilgoć, był ponury i za duży. To był słaby zakup; zamierzali go odnowić, coś z nim zrobić, ale żadne nie miało do tego serca i jakoś nigdy nic nie zrobili.

– Nie będę uciekała gdzie pieprz rośnie, Gillis – oznajmiła odważnie. – Chcę, żeby dom na ciebie czekał, żeby cię witał, cokolwiek się stanie.

– Moja kochana. – Przez drogę przebiegł królik; Gillis przyhamował i zwierzę uciekło w krzaki. – Posłuchaj mnie, proszę. Jestem osobą publiczną i nigdy nie ukrywałem swoich sympatii politycznych. Naziści nie certolą się z przeciwnikami politycznymi; jeśli dojdzie do inwazji, mojej żonie i dzieciom będzie groziło niebezpieczeństwo. Gdybyś była w ciąży albo gdybyśmy mieli malutkie dziecko, to bardzo utrudniłoby sytuację.

– Inwazja? – mruknęła, otwierając szeroko oczy, w których malował się strach.

– Hitler bez wątpienia niedługo zajmie się Polską. A kto następny… nie wiadomo. Francja na pewno. Może my.

– Tatuś powiedział, że Niemcy może się zadowolą samą Czechosłowacją.

– Myli się. – Gillis po raz kolejny musiał stłumić irytację. Ojciec Blanche, Gerald Carteret, miał skłonność do wygłaszania komentarzy politycznych opartych na kompletnej ignorancji. – Blanche, musisz mi w tej kwestii zaufać, on się myli.

Widząc, jak żona odwraca głowę i przygryza wargę, poczuł wstyd, że wzbudza w niej strach.

– Niewykluczone, że niepotrzebnie się martwię – dodał łagodniejszym tonem. – Może nie będzie tak źle, jak się obawiam. Nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłości. – Zmienił temat. – Ogromnie mi pochlebiło, że Henry i Juliet poprosili, żebym został ojcem chrzestnym Piersa. To miło z ich strony, prawda? – Postanowił, że będzie dobrym ojcem chrzestnym: kiedy mały Piers Winterton osiągnie odpowiedni wiek, będzie go zabierał na herbatę do Guntera i na mecze krykieta na stadion Lord's.

Chrzest w kościele Wszystkich Świętych w Maldon przebiegł gładko. Niemowlęta Wintertonów, Piers Henry'ego i Juliet oraz Aidan

Jonny'ego i Helen, nie płakały za dużo, a rodzice i chrzestni mieli stosownie dumne miny.

Po chrzcie wszyscy pojechali do Marsh Court na lunch. Siedząc między Helen Winterton a żoną doktora, Gillis obserwował, jak Juliet Winterton wzywa pokojówkę i prosi, by sprzątnęła naczynia ze stołu. Juliet była uroczym stworzeniem, długonogim i smukłym, ze złotą karnacją, której niezwykłość podkreślały podłużne, lekko skośne orzechowe oczy. Zastanawiał się, czy jest szczęśliwa i co naprawdę myśli o swoim małżeństwie.

Gillis był szczerze przywiązany do Henry'ego, wiedział jednak, że przyjaciel bywa złośliwy. Ich przyjaźń rozkwitła, ponieważ Henry przemawiał do tej części natury Gillisa, którą ten zwykle starał się ukrywać: do zimnego wykalkulowanego egoizmu wypracowanego w latach młodości jako sposobu na przetrwanie chaosu w domu rodzinnym. Juliet była dobra, uczuciowa, miła, dbała o samopoczucie innych, a Henry Winterton żadnej z tych cech raczej nie podziwiał. Gillis założył, że ożenił się z nią dla jej urody, dla umiejętności zaprezentowania naszyjnika z brylantów Wintertonów albo rzucających refleksy szmaragdowych kolczyków. Czy można mieć o to do niego pretensje?

Po lunchu nianie zabrały najmłodszych podopiecznych na popołudniową drzemkę, a dorośli i starsze dzieci wylegli na dwór. Wintertonowie planowali ognisko dla uczczenia nowych pociech. Henry kazał ogrodnikowi rozebrać starą, rozpadającą się szopę i ułożyć deski w stos. Połamane gałęzie, gazety, kartony i tektura falista posłużyły za podpałkę.

Gillisa bawiło obserwowanie rodziny przy takich okazjach. Wszystkich, sardonicznego Henry'ego, radosnego Jonathana i błyskotliwą Jane, ogarniał nastrój, który mógł nazwać tylko pierwotnym. Krzątali się energicznie, dokładali do ognia, piszczeli z zachwytu, kiedy wiatr buchał płomieniami w niebo. Gdy ogień przygasał, odważnie zbliżali się do stosu, nie zważając na czerwone iskry, którymi pluło wilgotne drewno. Rodzinne sprzeczki poszły w zapomnienie, zjednoczyły ich pogańskie przyjemności.

Gillis kochał Wintertonów szczerym i wielkim uczuciem. Byli zamkniętym klanem i czuł wdzięczność, że przyjęli go do swojego

zamkniętego kręgu. Jego własna rodzina zawsze sprawiała mu rozczarowanie i nie lubił teściów Carteretów. Przyjaźń z Henrym Wintertonem i sympatia jego krewnych zapełniły lukę w życiu Gillisa. Poznał Henry'ego w 1934 roku na kolacji u wspólnego znajomego. Przez większość wieczoru kłócili się o to, czy Liga Narodów jest potrzebna, i od tamtego czasu pozostali przyjaciółmi.

Henry w tweedowej marynarce i myśliwskiej czapce kijem wrzucał osuwające się płonące polano z powrotem na stos. Obok niego stała siostra, Jane Hazelhurst. Jej długie włosy miały ten sam miodowy odcień blond co futro z norek, ogień nadał blask typowym dla Wintertonów rysom, wysokiemu czołu, wydatnym kościom i dość zimnym błękitnym oczom. Jane stanowiła świetne towarzystwo i Gillis bardzo ją lubił. Tryskała energią i głodem życia jak wszyscy Wintertonowie, równie chętnie odbywała długie piesze wędrówki i wieczorami siadała do butelki whisky.

Jonny Winterton i Peter Hazelhurst stali na drugim końcu kręgu. W ironicznym poczuciu humoru Jonny'ego nie było okrucieństwa, które charakteryzowało dowcipy jego starszego brata. Podobnie jak siostra Jonny był utalentowanym pianistą. Gillis zastanawiał się, czy gdyby dano mu wybór, Jonny nie wybrałby kariery muzycznej zamiast biznesu. Ale wyboru nie miał, był Wintertonem i dlatego zajmował się rodzinną firmą. Peter, mąż Jane, wysoki i ciemnowłosy, pracował jako chirurg w jednym z londyńskich szpitali i był spokojnym, opanowanym człowiekiem – Gillis uważał, że te cechy są bardzo przydatne, kiedy robi się porządek z wnętrznościami pacjenta. I kiedy się jest mężem Jane.

Żona Jonny'ego, Helen, rozmawiała z Marie Barbour. Łapiąc spojrzenie Gillisa, machnęła dłonią, dając mu znak, by do niej podszedł. Uśmiechnął się do niej, ale na razie nie zamierzał spełnić jej prośby. Blanche wracała do domku z płaczącą małą Claudią. Wzrok Gillisa znowu powędrował do Juliet Winterton. Trudno było nie patrzeć na nią, coś go do niej przyciągało. Promieniała, w świetle płomieni włosy barwy ciemnego złota połyskiwały jak pomarańcza i miedź, na twarzy malowało się radosne wyczekiwanie. Tak, ten drań Henry miał szczęście.

Gillis zawsze był podatny na nagłe zmiany samopoczucia, posępny nastrój ogarniał go bez ostrzeżenia i tak też stało się teraz. Przyszło mu do głowy, że za pół roku każdy mężczyzna stojący przy tym ognisku może nosić mundur. Jeśli wojna będzie tak brutalna, jak się obawiał, niektórzy mogą zginąć. A co się stanie z kobietami i dziećmi? Czy przestroga Stanleya Baldwina, że bombowiec zawsze się przedrze, okaże się przerażająco prawdziwa?

Aby odpędzić melancholijne myśli, chwycił za rękę swoją córkę Flavię i zaczął z nią tańczyć wokół ogniska, wydając indiańskie okrzyki wojenne i uderzając się dłonią w usta. Zaraz do nich dołączyła Jane z bliźniakami, za nią Jonny. W końcu nawet Henry, owładnięty nietypową dla siebie radością, zapomniał o godności i pląsał z resztą towarzystwa.

Gillis zawsze kochał morze. Jedno z jego najwcześniejszych wspomnień dotyczyło brodzenia po kornwalijskiej plaży i obserwowania turkusowej wody rozbijającej się o biały jak mleko piach. Krzyczał z radości, kiedy cofająca się fala wymywała piasek spod jego stóp, co groziło, że zaraz się przewróci.

Pierwszą łódź dostał, kiedy miał siedem lat; kwadratowa i skrzypiąca, nabierała wody z większą szybkością niż młyn. Później żeglował na jachcie ojca, ale sprzedano go razem z rodzinnym domem, samochodem i domkiem w Kornwalii. Wtedy Gillis zaciągał się na jachty przyjaciół, na których płynął przez Morze Północne do Holandii albo na północne wybrzeże Szkocji, na Orkady i Szetlandy.

Tak więc rzeczą nieuchronną było, że kiedy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna, wstąpił do marynarki. Jako kompletnie zielony były żeglarz-amator został skierowany do komisji poborowej admiralicji i w stopniu podporucznika otrzymał przydział na niszczyciel. „Dziwna wojna” przeciągnęła się do pierwszych miesięcy 1940 roku. Pewnego wieczoru w mesie oficerskiej inny podporucznik, sprzedawca samochodów nazwiskiem Thompson, wyjaśniał rozwlekle swoją teorię. Hitler nie zamierza zaprzątać sobie głowy Europą Zachodnią, Thompson stawiał na to ostatnie pieniądze. Odczeka trochę i zaatakuje Rosję. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny, w jednej

z najgorszych zim dekady odmrażający dupy w obozach na północy Francji, marnuje czas.

W kwietniu Hitler najechał Danię i Norwegię. Na początku maja rozpętało się piekło, Europa Zachodnia stanęła w płomieniach. Norwegia się poddała, armia niemiecka zaatakowała Holandię, Belgię i Luksemburg, potem ruszyła na południe, przez Ardeny przedzierając się do Francji, gdzie okrążyła wojska brytyjskie i francuskie, więżąc je na wybrzeżu w wąskim porcie w Dunkierce.

Gillis po raz pierwszy posmakował walki w czasie ostrego starcia na lodowatych wodach norweskich; stamtąd jego niszczyciel wrócił do Liverpoolu. Chociaż we wrześniu zeszłego roku wysłał Blanche i dziewczynki do Wiltshire, na Boże Narodzenie wróciły do Londynu i wykorzystując brak działań w pierwszych miesiącach wojny, pozostały w mieście; Gillis gorzko żałował, że się na to zgodził. Miał nadzieję, że dostanie kilkudniową przepustkę i będzie mógł bezpiecznie odwieźć je do Wiltshire.

Zamiast przepustki wręczono mu rozkaz, by natychmiast się stawił w koszarach marynarki wojennej w Chatham w hrabstwie Kent. Taki rozkaz dostali wszyscy, choć nikt nie miał pojęcia, co się dzieje. Gillis podróżował na południe z Thompsonem oraz kilkoma innymi marynarzami z załogi niszczyciela.

Parę dni później znajdował się na pokładzie barki i pomagał w ewakuacji pokonanych brytyjskich żołnierzy z Dunkierki przez kanał La Manche na południowe wybrzeże Anglii. Nad francuskim portem wisiały chmury dymu z płonącej na wrakach ropy. Żołnierze w kolumnach po ośmiu wchodzili z plaży w morze po pas, wydani na łaskę messerschmittów. Setki ludzi czekały na ratunek na falochronach. Niszczyciele zabierały na pokład oddziały z falochronów albo stojące w morzu, ale kadłuby miały za głębokie, żeby zbliżyć się do plaży, dlatego mniejsze jednostki, motorówki, szalupy ratunkowe, łodzie wiosłowe, przewoziły żołnierzy na większe okręty.

Ze względu na płytkie zanurzenie barka Rosa mogła zacumować niemal na brzegu. Żołnierze czekający w wodzie gromadzili się wokół, wyciągając ręce do drabin, które dla nich zrzucono. Byli jednak zbyt przemarznięci i wyczerpani, żeby się wspiąć, i zsuwali się

do wody. Gillis z resztą załogi barki chwytali ich i wciągali przez reling, a oni przemoknięci i bezwładni opadali na pokład.

Gillis i Thompson pracowali razem, wyciągali jednego żołnierza za drugim z wody na barkę, łapiąc za mokre pasy i nasiąknięte wodą ubrania. Nieważne, ilu wywlekli, morze wciąż kotłowało się od ludzi. Tysiące pozostały na plażach, uwięzione pomiędzy zwycięskim Wehrmachtem a kanałem La Manche.

Szum i ryk: przez dym przedarł się messerschmitt. Gillis instynktownie się skulił. Kiedy się wyprostował, samolotu nie było, ale kilka kroków dalej zobaczył przewieszonego przez reling Thompsona. Wyciągnął do niego rękę, zaraz jednak dostrzegł pocisk w jego potylicy.

– Nie może pan dla niego nic zrobić, sir – powiedział niski, przysadzisty walijski podoficer.

Gillis spojrzał na Walijczyka.

– On jest martwy – powiedział głupio.

– Bardzo martwy, sir.

Wspólnie zdjęli ciało Thompsona z relingu.

– Dobrze się pan czuje, sir?

Gillis w duchu sobą potrząsnął.

– Tak, oczywiście.

– Niech pan łyknie, sir. – Walijczyk podał mu piersiówkę.

Gillis wypił. Rum sparzył mu przełyk.

Koło barki na wodzie podskakiwały ciała żołnierzy, ofiar tego samego lotniczego ataku, który zabił Thompsona. Niebo było czarne, morze czerwone jak krew. Gillis przypomniał sobie zapomniany obraz z gorącego lata w dzieciństwie, kiedy staw w jego domu w Hertfordshire wysechł i na dnie zostały ryby. Jedne podskakiwały i wiły się, walcząc o życie, inne dryfowały na kurczącej się tafli wody, napuchnięte i gnijące.

Gillis i podoficer znowu zaczęli wyciągać żołnierzy. Walijczyk pracował jak automat, odsiewając żyjących od zmarłych. Zmęczenie się go nie imało. Miał silne mięśnie niczym kowal albo górnik i nie okazał strachu, kiedy messerschmitty powróciły.

Po zabraniu mniej więcej setki żołnierzy na pokład przetransportowali ich na niszczyciel zakotwiczony dalej w morzu

i wrócili na plażę. Zaczynał się odpływ, Rosa osiadła na piasku, co ułatwiało żołnierzom wchodzenie na dek. Kiedy nastąpił przypływ, przewieźli uratowanych na niszczyciel.

Zanim po raz kolejny ruszyli na plażę, Walijczyk ponownie podał Gillisowi piersiówkę.

– Jak się nazywasz? – zapytał Gillis.

– Morgan, sir. David Morgan.

– Doskonała robota, Morgan.

– Dziękuję, sir. – Morgan nieco kpiąco zasalutował. – I wzajemnie, sir.

Październik 1940 roku. Gillis stał na peronie dworca w Salisbury i czekał na pociąg do Londynu. Był niedzielny wieczór, fatalna pora na podróże w najlepszych czasach, a te z pewnością do nich nie należały. W stolicy szalały naloty. Gillis wątpił, by jakikolwiek pociąg w kraju kursował punktualnie, jego był już bardzo spóźniony. Poczerniałe perony miały zapach sadzy i mrozu, jedynym źródłem światła były księżyc i gwiazdy.

Zaczynał marznąć, poszedł więc do poczekalni. Zastał w niej starszą kobietę w futrze z fok i rudowłosą dziewczynę czytającą książkę. Dziewczyna miała na sobie mundur WAAF-u, Kobiecej Lotniczej Służby Pomocniczej. Gillis pozdrowił obie kobiety i usiadł.

Upływ czasu znaczyły tykanie zegara i seria komicznie donośnych, pełnych dezaprobaty chrząknięć starszej pani. Dziewczyna nadal przerzucała kartki książki, choć co pewien czas wychodziła na peron, by sprawdzić, czy wiadomo coś w sprawie pociągu. Gillisowi wpadły w oko jej ładne nogi. Po pół godzinie kobieta w futrze wzięła swój koszyk i z ostatnim drżącym westchnięciem wyszła. To był dziwny stłumiony odgłos i Gillis zobaczył, jak dziewczyna zasłania usta dłońmi.

Kiedy drzwi poczekalni się zamknęły, wybuchnęła perlistym śmiechem.

– O Boże… przepraszam… myślałam, że pęknę.

Gillis się uśmiechnął.

– To rzeczywiście było coś.

Jej czapka spadła z ławki; dziewczyna ją podniosła, otrzepała z kurzu, przygładziła niesforne miedziane loki i włożyła czapkę na głowę.

– Myśli pan, że ten pociąg w ogóle przyjedzie?

– Poszukam kogoś.

Wyszedł w chłodny mrok stacji. Kiedy wrócił, zapytała:

– I co?

– Nie mam dobrych wiadomości. Rozmawiałem z zawiadowcą. Pociąg utknął w Andover.

– O Boże.

– Papierosa? – Podsunął jej paczkę.

– Dziękuję.

– Nie chciałbym przeszkadzać pani w lekturze.

– Tego? – Obrzuciła książkę w miękkiej okładce lekceważącym spojrzeniem. – Czytałam to wcześniej. Okropne brednie.

Włożyła papierosa do ust i zaciągnęła się, gdy dał jej ognia. Włosy miała intensywnie rude, oczy w ciepłym odcieniu brązu, usta pełne. Śliczny zadarty nosek znaczyły piegi, cera była czysta i blada jak zwykle u osób rudowłosych. Gillis się zastanawiał, ile może mieć lat. Pewnie dwadzieścia kilka.

Wyciągnęła do niego rekę.

– Nazywam się Frances Hart.

– Gillis Sinclair.

– Miło mi, Gillisie Sinclair.

W jej oczach dojrzał mieszaninę rozbawienia i zainteresowania. Serce szybciej zaczęło mu bić.

– Okropne miejsce – powiedział.

– No nie? Mogli rozpalić ogień w kominku.

– Jak długo pani czeka?

– Pięć godzin.

– Biedactwo. Pewnie przemarzła pani na kość.

Dotknęła swojej twarzy.

– Dłonie mam jak lód. Proszę sprawdzić!

Opuszkami palców musnęła wierzch jego ręki. Zapomniał o nudzie i zmęczeniu. Zastanawiał się, czy zaprosić ją na drinka. Przypuszczalnie nie powinien, ale wiedział, że i tak to zrobi.

Spojrzał na zegarek.

– Zawiadowca powiedział, że mała szansa, żeby pociąg przyjechał wcześniej niż za dwie godziny. Kilkaset metrów stąd jest hotel. Może tam pójdziemy i się ogrzejemy.

Wyszli z dworca. W barze hotelu Kolejowego w kominku płonął ogień, co z kilkoma podniszczonymi fotelami i grupką gości wystarczyło, żeby nadać sali wesoły wygląd.

Gillis kupił drinki, Frances opowiadała o sobie. Pochodziła w Broad Chalke w Wiltshire, miała młodszą siostrę, a ojciec był właścicielem mleczarni. Pracowała jako sekretarka zastępcy kierownika w banku, kiedy wydarzenia w Dunkierce skłoniły ją do wstąpienia do WAAF-u. Niedawno skończyła szkolenie.

– Strasznie je sknociłam – powiedziała, parskając śmiechem. – Bałam się, że mnie nie przyjmą.

To by ją załamało, ponieważ dziewczyny okazały się świetnymi koleżankami i to była wspaniała przygoda. A teraz jej matka zachorowała i Frances dostała trzydniową przepustkę, żeby odwiedzić ją w szpitalu. Dzięki Bogu, jej stan się poprawiał.

Zamówili następne drinki i Gillis jakimś cudem przekonał barmana, żeby skombinował im coś do jedzenia. Kanapki zawierały skrawki tłustego mięsa i świetlistą kulkę ostrej warzywnej przyprawy.

– Wyglądają, jakby je kot wyrzygał – powiedziała Frances, ale oboje umierali z głodu i pochłonęli wszystko do ostatniego kęsa.

Było późno, zamykali już bar. Pozostali goście wyszli. Gillis pomyślał o Blanche, która znowu była w ciąży, i o Thompsonie przewieszonym przez reling – ten obraz nim wstrząsnął.

– Mam sprawdzić, czy uda się wynająć pokój? – zapytał Gillis.

Popatrzyła na niego i kiwnęła głową.

– Dobrze.

Wróciwszy z recepcji, podał jej klucz.

– Idź pierwsza. Ja przyjdę po kwadransie.

– Okay. – Wstała. Wykrzywiła usta i przez moment wyglądała na skrępowaną. – Zwykle takich rzeczy nie robię.

– Wiem. Jesteś piękna, Frances. A jeśli zmienisz zdanie, będę spał na podłodze.

Wyszła z sali. Gillis wypił jeszcze jedną kolejkę, potem poszedł na górę i delikatnie zastukał do drzwi.

I tak to się zaczęło.

Po klęsce pod Dunkierką Henry się zaciągnął i teraz był w obozie wojskowym na Salisbury Plain. Jonathana powołano w 1941 roku, ale zwolniono ze służby, ponieważ badania wykazały, że ma słabe serce. Większość czasu spędzał w Londynie, w mieszkaniu przy Bond Street, pod nieobecność brata doglądał sklepu i nadzorował realizację zamówień na chronografy i zegarki dla oficerów marynarki, które Wintertonowie produkowali w czasie wojny.

W tamtym okresie Juliet odbyła tylko jedną długą podróż, późną wiosną 1941 roku odwiedziła Henry'ego, który z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego leżał w szpitalu wojskowym pod Salisbury. Naloty trwały od września. Wyjazd zaplanowała na kilka dni, zamierzała po drodze wpaść do londyńskiego mieszkania. W tym czasie Helen miała opiekować się Piersem, a zakwaterowane w Marsh Court dziewczęta z Women's Land Army, których zadaniem było pomaganie w gospodarstwach rolnych, obiecały, że dopilnują domu i będą podlewać ogród warzywny.

Henry zażądał przywiezienia pewnych dokumentów. Ku rozpaczy jego adwokata, niejakiego pana Kendricka z Maldon, często dokonywał zmian w testamencie. Juliet podejrzewała, chociaż Henry nigdy by tego nie przyznał, że się obawiał, iż może nie przeżyć operacji.

Wyjechała z Maldon z samego rana, ale pociągi odwołano po nalocie poprzedniej nocy i na dworzec przy Liverpool Street dotarła o czwartej po południu. Do jadącego na zachód metra wsiadało coraz więcej pasażerów, napierali na siebie, szturchali się torbami i maskami gazowymi. Juliet nigdy nie lubiła ciasnych pomieszczeń, przywykła do otwartej przestrzeni i odosobnienia Marsh Court. Wzbierała w niej panika, serce biło szybciej. Zrezygnowała z dojechania na stację przy Bond Street i kiedy pociąg zatrzymał się przy Tottenham Court Road, wysiadła.

Cudowną ulgę, która ją ogarnęła, kiedy z mrocznego labiryntu metra wyszła na ulicę i zobaczyła błękitne niebo, szybko zastąpiły szok i przerażenie na widok zniszczeń. Idąc na zachód, z trudem rozpoznawała wielkie sklepy, do których podczas przedwojennych pobytów w Londynie wpadała na zakupy lub lunch. Ich majestatyczne fasady albo zburzyły bomby, albo zakrywały worki z piaskiem i deski, a ściany były osmalone od pożarów, które wcześniej szalały w ich wnętrzach. Budynki te zawsze wydawały się jej symbolami Londynu – i Wielkiej Brytanii – w takim samym stopniu jak katedra św. Pawła czy pałac Buckingham. Teraz zmieniły się w ruiny i cienie. Witryna sklepu Petera Robinsona przy Oxford Circus została zabita deskami, ze sklepu Johna Lewisa pozostała tylko skorupa, poobijane kolumny i puste łukowate okna przypominały jej greckie ruiny, które widziała w dzieciństwie. Poczerniałe wyższe piętra i zamurowane cegłami witryny Selfridge'a wpatrywały się w nią ślepo, gdy skręcała na New Bond Street.

W mieszkaniu przywitał ją Jonathan. Tamtego wieczoru jedli kolację w małej restauracji przy Conduit Street. Podczas posiłku powiedział, że armia niemiecka wkroczyła do Aten. Przyszła jej wtedy do głowy myśl, że cywilizacja, której częścią kiedyś była, teraz się kończy, jak wiele innych rozwijających się i upadających od zarania dziejów.

W nocy Jonny wypatrywał pożarów; po jego wyjściu Juliet wcześnie się położyła. Spała jednak źle, w głowie ciągle krążyły jej obrazy zrujnowanych ulic Londynu i ostatnie zwycięstwa państw osi, zbyt przerażające, by o nich myśleć.

Nazajutrz wstała o szóstej rano. Jonny odprowadził ją na dworzec Waterloo, podróż na zachód przebiegła spokojnie i szybko. Dręczył ją jednak mrok poprzedniej nocy i w szpitalu była niemal wdzięczna za zły nastrój Henry'ego, odzyskującego siły po operacji wyrostka robaczkowego, którą przeszedł wieczorem.

Służący z Marsh Court jeden po drugim odchodzili, by wstąpić do wojska albo rozpocząć pracę w fabryce i dostawać wyższą pensję. Kiedy kucharka, pani Godbold, pojechała opiekować się chorą matką

w Colchester, na barki Juliet spadła odpowiedzialność za syna, dom i posiadłość.

Chociaż umiała gotować, bo gotowała ojcu, musiała się nauczyć korzystania z innych składników. Niekiedy w te wojenne poranki budziła się ze snów o cierpkich czarnych greckich oliwkach, o ostrym smaku cytryny i czosnku, o słodyczy pistacji i daktyli: wszystkie te produkty w Anglii były nieosiągalne. Razem z Helen pracowały w ogrodzie warzywnym, a Piers i Aidan rośli silni i opaleni, bawiąc się pomiędzy rzędami fasoli i marchewek.

Juliet myślała o tym, jaką była ignorantką, kiedy przyjechała do Anglii. Tak niewiele wiedziała. Wojna zmusiła ją do zdobycia nowych umiejętności i doświadczeń, do wiary we własne decyzje. Zastanawiała się, czy to jej niekompetencja była powodem trudności, z jakimi borykało się ich małżeństwo. Henry był człowiekiem niecierpliwym, nie należał do tych, którzy ze spokojem znoszą przy sobie głupców. Juliet wyobrażała sobie jego zadowolenie, kiedy po zakończonej wojnie wróci do domu i przekona się, jak dobrze opiekowała się Marsh Court. Zaczną wtedy od nowa, a oparcie znajdą we wzajemnym szacunku. I może szacunek w końcu przekształci się w miłość.

Jej największym wrogiem było zimno. Wilgoć mokradeł przenikała przez mury starego domu, w najmroźniejsze dni Juliet miała dłonie czerwone i swędzące. Dom ogrzewały kominki i kuchenny piec, ale że węgiel racjonowano, a pokoje były wielkie i pełne przeciągów, Juliet nabrała zwyczaju wsiadania na rower i objeżdżania terenu, by pozbierać gałęzie złamane przez wiatr.

Pewnego dnia rano pojechała na wschód od Mayland i natrafiła na zagajnik. Widząc leżące na ziemi spore gałęzie, oparła rower o ogrodzenie i weszła między drzewa. Silny wiatr zrywał ostatnie liście. Juliet zaczęła zbierać podpałkę.

Usłyszawszy trzask łamanej gałązki i szum skrzydeł bażanta, obejrzała się. Na drugim końcu zagajnika stał mężczyzna w wojskowym płaszczu i zabłoconych butach. Powiewy wiatru szarpały jego prostymi czarnymi włosami. Ciemne oczy pod prostymi brwiami patrzyły na nią groźnie.

– Co pani tu robi?

– Zbieram drewno na opał – odparła niepewnie. Naraz zrozumiała. – To pańska ziemia?

– Tak.

– Bardzo mi przykro. Już to zostawiam.

– Niech pani bierze te gałęzie – polecił ostro. W jego głosie nie było życzliwości, jedynie pragnienie, by pozbyć się jej tak szybko, jak to możliwe. Wyraz jego surowej twarzy mówił: „Idź stąd i nie wracaj". Pośpiesznie pedałując, czuła na plecach jego wzrok.

Wieczorem Juliet opisała mężczyznę w zagajniku Meg, jednej z dziewczyn zakwaterowanych w Marsh Court, która pochodziła z Liverpoolu.

– To na pewno pan Brandon – stwierdziła Meg. – Prowadzi farmę Greensea.

– Greensea?

– Wcale nie zielone, raczej brązowe jak błoto. Jego ziemie leżą wzdłuż strumienia Mayland Creek.

Juliet podsunęła jej talerz z ciastem.

– Poczęstuj się.

Meg wzięła kawałek.

– Jego żona jest bardzo chora. Moja przyjaciółka Sarah kiedyś tam pracowała, ale przeniosła się gdzie indziej, kiedy Joe Brandon wrócił z wojska do domu. Nie lubiła tam być, bo pani Brandon jest taka chora, a on nieszczęśliwy.

– Co jej dolega?

– Gruźlica.

– Straszne. Wyglądał bardzo młodo!

Meg polizała palec i zebrała z talerza okruszki.

– Pani Brandon umrze, wszyscy tak mówią. Tylko on w to nie wierzy.

Nazajutrz Juliet spakowała do koszyka słoik dżemu zrobionego z małych dzikich śliwek rosnących w ogrodzie, ciasto posłodzone cukinią, bo cukier był racjonowany, kobiałkę późnych malin i bukiecik róż madame Alfred Carrière kwitnących aż do października, po czym na rowerze pojechała na farmę Greensea.

Gęsi gęgały, klucze w kształcie litery V przecinały niebo. Wąska droga wijąca się serią ostrych zakrętów doprowadziła Juliet do

spokojnej okolicy składającej się z zagajnika i pól. Dostrzegła iglicę kościoła pomiędzy zielonymi pniami sykomor i nieruchomy czarny staw z kaczkami krzyżówkami. Wojna wydawała się odległa, nieszczęścia ostatnich lat należały do jakiegoś dalekiego kraju.

Przy drogowskazie kierującym ją na wyboistą ścieżkę Juliet zsiadła z roweru w obawie, że wpadnie do kałuży. Po jednej stronie ciągnęły się zaorane pola, po drugiej żywopłot i jeziorko otoczone drzewami.

Dom stał na zielonym wzniesieniu, niemal całkowicie zasłonięty srebrnymi topolami, które wydawały się podskakiwać i dryfować jak blade maszty jachtu. Pomyślała, że nazwa Greensea, Zielone Morze, odpowiada rzeczywistości. Sam dom, wysoki i solidny, miał skośny dach pokryty łupkiem. W ganku były wysokie georgiańskie okna. Juliet oparła rower o ganek i zapukała do drzwi.

Otworzyła kobieta w średnim wieku. Twarz miała opaloną i ogorzałą, jakby często przebywała na dworze, siwiejące włosy zebrane w ciasny koczek.

– Tak? – zapytała, marszcząc czoło.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. – Juliet wyciągnęła rękę z koszykiem. – Przywiozłam mały podarek dla pani Brandon.

Kobieta zmierzyła koszyk podejrzliwym spojrzeniem.

– Z kim mam przyjemność?

– Jestem pani Winterton z Marsh Court.

Żylasta dłoń złapała koszyk, drzwi trzasnęły. Przez moment Juliet wpatrywała się w nie, potem wróciła do domu.

Nazajutrz rano jedna z dziewczyn, wychodząc z Marsh Court, znalazła na schodach koszyk z całą zawartością nietkniętą, także z różami, które zaczęły już więdnąć.

W środku był liścik. Juliet otworzyła go i przeczytała: „Pani Winterton, dziękujemy za pani dobroć, ale mamy mnóstwo jedzenia na farmie".

Więc to tak, pomyślała Juliet. Brandon jasno dał do zrozumienia: „Nie wściubiaj nosa w moje sprawy". Kiedy kilka tygodni później zobaczyła go w Maldon na High Street, udała, że go nie widzi.

Kuzyn Aidan był stałym towarzyszem Piersa, aczkolwiek kiedy chłopcy skończyli pięć lat, nie ulegało wątpliwości, że różnią się wyglądem i charakterem. Aidan odziedziczył po Helen kasztanowe włosy i orzechowe oczy, Piers natomiast był prawdziwym Wintertonem, jasnowłosym i błękitnookim. Aidan miał spokojniejsze usposobienie niż Piers i większą zdolność koncentracji, potrafił godzinami bawić się sam, jeśli tylko zaopatrzono go w kredki, nożyczki i papier, Piers potrzebował towarzystwa i uwagi. Piers był wybuchowy, ze skłonnością do ataków histerii, Aidan za to uparty i kiedy stawiał na swoim, Piers wpadał we wściekłość. Kłócili się o śmieszne drobiazgi, ale Juliet i Helen tłumaczyły sobie, że to chłopcy, chłopcy tacy są i wyrosną z tego.

Kuzyni tego samego dnia zaczęli chodzić do małego przedszkola w Maldon. Kiedy Juliet po raz pierwszy zaprowadziła tam synka, po powrocie dom wydał jej się pusty, każdy odgłos odbijał się w nim echem. Odkrycie małej skarpetki pod koszem z praniem sprawiło, że łzy trysnęły jej z oczu, wyszła więc do ogrodu i wybierała ślimaki, które wrzucała do wiadra z wodą, zabijając czas do odjazdu autobusu do miasta.

W kwietniu 1944 roku pojazdy wojskowe z warkotem opuściły Essex, zabierając żołnierzy na południowy zachód, gdzie mieli się przygotować do desantu na wybrzeże Francji. W końcu spełniło się marzenie Henry'ego o udziale w walkach; od końca roku 1944 do wiosny 1945 służył w regimencie przedzierającym się przez Europę do Niemiec. Wojna się przeciągała, oswobodzono Paryż i Brukselę, później jednak kampanię aliantów spowolniła nieoczekiwana ofensywa niemiecka w Ardenach. Jak wszyscy, Juliet pragnęła, by wojna wreszcie się skończyła, ale po ponad pięciu latach nie wierzyła, by to było możliwe. Współczuła Henry'emu, który musiał znosić niebezpieczeństwa i nędzę. Chciała, by wrócił do domu cały i zdrowy (wolała nie myśleć, że mógł zginąć daleko od kraju, który tak kochał) ze względu na niego, ale też na siebie i Piersa. Bo wtedy będą mogli zacząć od nowa.

Ósmego maja 1945 roku w dzień zwycięstwa Piers zachorował na ospę wietrzną. Tamtego wieczoru Juliet sprawdziła, czy synek śpi, a potem zeszła na dół i nalała sobie brandy z butelki, którą od

dawna trzymała na specjalną okazję. Zabrała szklankę i wyszła z domu, przez trawnik kierując się do miejsca, gdzie Wintertonowie rozpalali ogniska. W czasie wojny nie zrobili tego ani razu. Drewno było zbyt cenne, a ogień zwróciłby uwagę niemieckich pilotów latających w górę Blackwater.

Zebrała patyczki i liście, podpaliła je zapałką i patrzyła, jak płomienie rosną i kołyszą się. To było mizerne ognisko, wkrótce zgasło, ale w ten sposób Juliet uczciła koniec wojny, koniec rzezi i nieszczęść w Europie.

Rozdział trzeci

Wrzesień 1945 roku – czerwiec 1946 roku

Juliet była w warzywniku, ścinała zbrązowiałe łodygi groszku i fasoli na kompost. Zajmowała się Aidanem, żeby Helen, która była w zaawansowanej ciąży, mogła odpocząć. Szczeniak, radosny springer spaniel, przez Piersa ochrzczony imieniem Biscuit, grzebał w stosie zeschłych roślin.

Przez trawnik biegł Piers.

– Mamusiu, w domu jest jakiś człowiek – oznajmił z powagą.

Złota rączka, pomyślała Juliet, przyszedł naprawić piec. Wyprostowała się, wycierając dłonie o spodnie, i popatrzyła na dom.

Koło drzwi balkonowych stał Henry. Wyszedł na taras.

– Dobry Boże – powiedział, rozglądając się. – W jakim stanie jest ten dom.

Juliet pozbierała myśli.

– Henry, jak cudownie.

Podeszła do niego, zamierzając go objąć, ale Piers, zdenerwowany obecnością nieznajomego, przylgnął do jej nogi, krępując ruchy. Henry zmierzył syna wzrokiem i powiedział:

– Trzeba go ostrzyc. – Odwrócił się i wszedł z powrotem do domu.

Nic mu się nie podobało. Chociaż Juliet umyła włosy i zmieniła spodnie na sukienkę, on skomentował odciski na jej palcach i mięśnie ramion – „jak u praczki”. Chociaż odkurzyła jadalnię, żeby znowu mogli z niej korzystać, on skrytykował to, że w domu są tylko najtańsze świece – przed wojną zawsze jedli kolację przy świetle świec woskowych. Zamiast się cieszyć, że wrócił do domu, Henry

widział jedynie ruinę i zniszczenia w kraju i w samym Marsh Court, o co obwiniał żonę.

Najbardziej bolał ją sposób, w jaki traktował syna. Przypuszczała, że usłyszał słowa chłopca – „Mamusiu, w domu jest jakiś człowiek" – i to go zraniło, chociaż zgodnie ze swoją naturą tego nie powiedział. Przez ostatnie pięć lat syna widywał tylko od czasu do czasu, ostatnie osiemnaście miesięcy spędził poza krajem i nie umiał rozmawiać z dziećmi. Piers był ładnym, bystrym i żywym chłopczykiem, który uwielbiałby ojca, gdyby ten dał mu szansę. Jego zalety pewnie przełamałyby rezerwę innego człowieka, ale Henry swoim zwyczajem nawet własne dziecko podejrzewał o ukryte motywy i hipokryzję.

– Przypuszczam, że czegoś chce – mówił, zrzucając chłopca z kolan. – O co ci chodzi, Piers? O słodycze? Nową zabawkę?

Piers patrzył na ojca ze zdziwieniem, a Juliet krwawiło serce.

Henry cięgle krytykował zachowanie syna. Chłopiec musi nauczyć się siedzieć spokojnie przy stole. Powinien umieć zawiązać sznurowadła. I dlaczego Juliet nadal pozwala, żeby w nocy świecił lampkę jak chory albo dziewczynka? Dlaczego Piers tak marudzi, kiedy ma iść po zabawkę do mrocznego, pełnego pajęczyn pokoju zabaw? Powinien już umieć czytać – co z nim nie tak? Aidan czyta płynnie. I popatrz na rysunki Aidana, są o niebo lepsze od rysunków Piersa.

Z tym Juliet się zgadzała. Już w wieku czterech, pięciu lat Aidan wykazywał niezwykły talent plastyczny. Uwielbiał rysować i robił to codziennie; rysowanie wydawało się u niego równie naturalne jak mówienie. Jego szkice były kolorowe i pełne życia. Henry, który wierzył, że można zachęcić dziecko do większych wysiłków poprzez niepochlebne dla niego porównania, nie wahał się mówić o tym przy Piersie.

Juliet pragnęła mieć więcej dzieci i nie posiadała się z radości, kiedy odkryła, że znowu jest w ciąży. Córka Charlotte urodziła się pod koniec czerwca 1946 roku. Po dziesięciogodzinnym porodzie wyskoczyła z krzykiem na świat. Łysa i niebieskooka, leżała bezsennie przez godzinę po narodzinach, przyglądając się ciekawie otoczeniu.

Juliet szybko odzyskała siły i wstała z łóżka po kilku dniach. Charlotte była łapczywym dzieckiem, po wypiciu mleka leżała bezwładnie w ramionach matki, rozkosznie zaspokojona. Tuląc córeczkę, Juliet zapominała o swoich rozczarowaniach i niezadowoleniu. Nieoczekiwanie okazało się, że jej uwielbienie podziela także Henry. Charley, jak wkrótce zaczęto ją nazywać, wydobyła z niego czułość, o której istnieniu Juliet nie miała pojęcia, i nigdy nie traktował córki tak surowo jak Piersa.

Ognisko, którym Wintertonowie i Sinclairowie uczcili bezpieczne przyjście na świat Charley, było monstrualną budowlą górującą nad okolicą. Podpalając wiązkę trzcin i rzucając ją w ogień, Henry opowiedział Gillisowi i Peterowi, jak do sklepu przy Bond Street przyszedł człowiek z wielką torbą. Rzucił ją na kontuar i otworzył – w środku były nieoszlifowane kamienie szlachetne.

– Kupiłem wszystko – oznajmił Henry, kawałkiem kartonu wachlując płomienie. – Setki kamieni po cholernie niskiej cenie. Rubiny, szafiry, diamenty, żółte topazy. Bóg jeden wie, skąd pochodziły, pewnie skradziono je jakiemuś bogatemu Żydowi, ale pozwolą nam działać przez kilka następnych lat.

Blanche została w domu z małym Nathanem, który urodził się w czasie wojny, ale Gillis z córkami odwiedzili tego dnia Marsh Court i mieli nocować w domku. Kiedy jaskrawe szkarłatne płomienie strzeliły w górę, Juliet zobaczyła, jak schodzi w dół zbocza i kieruje się w stonę ujścia rzeki.

Obejrzał się i zawołał do niej:

– Idę się przejść. Popilnujesz dziewczynek, Juliet?

Promienie słońca nadały jego jasnym włosom barwę złota.

Poprzedniego wieczoru Blanche zmieniła zdanie i miała przyjechać z nim do Marsh Court, ale Nathan obudził się z katarem i ostatecznie została w domu, dzięki Bogu. Doszedłszy do ujścia, Gillis ruszył w dół rzeki. Spod chmur przedzierało się perliste białe światło, ptaki żerowały w błocie.

Po mniej więcej ośmiuset metrach jego oczom ukazała się wyspa Thorney, zaraz potem zobaczył dzieci czekające na końcu grobli.

Edmund pomachał do niego i przebiegł wąską ścieżkę, Thea pozostała na miejscu, wolała nie opuszczać bezpiecznego brzegu.

Gillis pośpiesznie się rozejrzał. W oddali wznosił się słup białego dymu, widoczny znak ogniska Wintertonów, ale na polach i rzece nie było ludzi. Edmund znalazł się na końcu grobli w tym samym czasie co Gillis.

– Dzień dobry, tatusiu!

– Dzień dobry, stary. – Gillis przytulił Edmunda i zmierzwił mu włosy.

Chłopiec był wysoki i mocno zbudowany, miał jasną karnację i wiecznie podrapane kolana. Dziewczynka odziedziczyła po matce rude włosy. Byli bliźniętami, urodzili się pod koniec 1941 roku.

– Co u was?

– Mama zrobiła mi latawiec.

– Szczęściarz z ciebie. Cudownie.

Ruszyli groblą. Gillis wziął Theę za rękę i we troje poszli w górę zbocza do domu. Thea była mała i drobna; po porodzie ostrzeżono Frances, że dziewczynka może nie przeżyć, ale poradziła sobie. Wydawało się, że potrzebuje chwili, by rozpoznać ojca po okresie nieobecności, mówienie zostawiła bratu.

Szli wąską ścieżką. Chłopcu usta się nie zamykały, dziewczynka truchtała przodem, od czasu do czasu schylając się po kwiatek. Na żywopłocie bieliły się motyle. Thea przystanęła i odwracając główkę, śledziła ich lot.

– Chodź, skarbie – powiedział Gillis. – Mam cię ponieść?

Pozwoliła, by wziął ją na ręce. Kiedy ścieżka zakręciła, kryjąc ich przed wzrokiem ludzi z lądu, Gillis poczuł ulgę. To zabawne, kiedy się wzięło pod uwagę wszystko, co robił przez ostatnie pięć lat: Dunkierka, pół roku na Atlantyku, praca w okupowanej Danii, gdzie pomagał zaopatrywać ruch oporu w sprzęt radiowy i broń, a przecież idąc teraz zalaną słońcem ścieżką z dwojgiem swoich nieślubnych dzieci, tak jak wtedy nerwy miał napięte do granic możliwości.

Frances wieszała pranie w ogrodzie. Zawołał do niej:

– Witaj, kochanie!

Podbiegła do niego. Pocałowali się, potem oparła głowę w zagłębieniu jego szyi.

– Boże, tak się cieszę, że cię widzę, Gill. Minęło tyle czasu. Wydawało mi się, że byłeś tu wiele tygodni temu. Dzieci zachorowały na katar sienny. Bałam się, że umrzemy tu z głodu.

– Ale teraz czują się lepiej?

– Tak. Chociaż Thea miała problemy z płucami. – Obiema rękami odgarnęła niesforne rude włosy. – Musiałam pojechać z nią do lekarza.

Powiew wiatru zerwał ze sznura źle przypiętą dziecięcą sukienkę. Frances pisnęła i pobiegła zdjąć ją z żywopłotu. Kiedy wróciła, Gillis zapytał:

– Czy dobrze robisz, pozwalając im bawić się na grobli? To chyba dość niebezpieczne?

– Nie mogę przez cały czas ich pilnować – odparła ostro. – Mam inne rzeczy do roboty. Wzajemnie się pilnują.

– Ale i tak lepiej by było, gdyby bawiły się w ogrodzie.

Poszedł za nią do domu. W korytarzu stały zabłocone buty, w kuchni panował bałagan, stos brudnych naczyń wznosił się w zlewie, na stole pozostały resztki po lunchu, pościel wysypywała się z wiklinowego koszyka.

– Miałam zamiar posprzątać – mruknęła cicho. – Niesamowite, jak mija czas, prawda? Podać ci coś? Herbatę?

– Nie, dziękuję.

Kiedy się do niego odwróciła, w jej oczach zobaczył niezadowolenie.

– Nie będziemy musieli długo tu mieszkać, Gill?

– Wkrótce znajdę coś lepszego, obiecuję.

– Tylko że ja nie umiem tego znieść. Tu jest tak samotnie. Boję się, że woda zaleje wyspę i utoniemy.

– Nonsens – odparł energicznie. – Dom jest całkowicie bezpieczny.

– Gdybyś tylko znalazł dla nas miły domek w jakiejś wsi, byłabym taka szczęśliwa.

Frances mówi tak, pomyślał zirytowany, jakby Anglia była pełna miłych domków czekających na lokatorów, podczas gdy tysiące ludzi mieszkało w koszarach i zbombardowanych slumsach, a małżeństwa rozpoczynały wspólne życie w pokoju gościnnym rodziców.

– Wiesz, jakie to teraz jest trudne – powiedział. – Mnóstwo ludzi nie ma w ogóle gdzie mieszkać. – Potem jednak, słysząc własny pompatyczny wykład, pomyślał o studni w ogrodzie, okropnej wygódce, strasznym brudzie i niewygodzie mieszkania na wyspie oddalonej od najbliższych miejscowości o wiele kilometrów.

Zrzuciła resztki z talerzy do kosza, odstawiła słój z piklami i maselniczkę do spiżarki. Z jej zaciśniętych ust wywnioskował, że jest zdenerwowana. Teraz, kiedy z nią był, targały nim głównie zniecierpliwienie i poczucie winy. Dzikie podniecenie i pożądanie z początku ich romansu zniknęły już dawno. Umysł mu mówił, że doświadczał tych emocji, ale z trudem je sobie przypominał.

– Posłuchaj, to nie potrwa długo. – Wziął ją w ramiona. – Wiem, że to trudne dla ciebie, ale musisz jeszcze zdobyć się na cierpliwość, Fran.

Jej usta poszukały jego ust i się pocałowali.

– Cudownie mieć cię tylko dla siebie – szepnęła. – Zostaniesz na noc, prawda, kochanie?

– Nie mogę, dziewczynki są w Marsh Court. Byłoby dziwne, gdybym nie wrócił na noc.

W jej oczach błysnął gniew. Zaraz mu przypomni, że Edmund i Thea to także jego dzieci? Najwyraźniej jednak się opanowała.

– Miałam zamiar ugotować smaczną kolację – powiedziała ze śmiechem. – Ale nie zdążyłam pójść do sklepu. Ta cholerna grobla! Zawsze, kiedy chcę gdzieś pójść, jest przypływ.

Czy to tak trudno sprawdzić tablicę pływów i zgodnie z nią zaplanować dzień? Frances przypuszczalnie wyczuła jego irytację, bo przytuliła się do niego, kciukiem gładząc jego kark. Jej piersi, pełniejsze i mniej jędrne po porodzie, miękko przyciskały się do jego torsu. Poczuł wstyd, że już jej nie pragnie.

– Chodźmy na górę – szepnęła. – Tęskniłam za tobą. Wydawało mi się, że mijają wieki.

– Skarbie, dzieci…

– Ale ja cię pragnę… – Westchnęła i wróciła do sprzątania kuchni.

– Myślę o zakupie jachtu – powiedział. – To by znaczyło, że będę tu często bywał, jeżdżąc po marinach.

– Jacht! – Frances się roześmiała. – Uwielbiałabym żeglować!

Przed oczami stanął mu obraz Frances i bliźniąt siedzących na pokładzie jachtu, który on prowadzi wodami Blackwater, obserwowany przez Wintertonów, przyjaciół z klubu jachtowego i wszystkich, którzy mogliby go rozpoznać. Czasami Frances jest taka cholernie tępa.

Bliźnięta wpadły do pokoju, rozmawiając o psie.

– Pies? – zapytał Gillis, uśmiechając się do nich.

– Wielki – odparł Edmund. – Będę mu rzucał patyki do rzeki.

– Powiedziałam, że kupię im psa, Gill. Ja też bym chciała psa. Wieczorami miałabym towarzystwo.

Frances ledwie radzi sobie z opieką nad dwójką dzieci, pomyślał, jak sobie da radę jeszcze z psem? Musiała dostrzec jego minę, bo znowu odgarnęła włosy z twarzy i powiedziała:

– Wiem, że sytuacja wygląda całkiem beznadziejnie, ale zamierzam sprawy uporządkować. Mieszkamy tu od niedawna, potem dzieci zachorowały, ale się ogarnę, zobaczysz, Gill. Nie musisz się o nas martwić. Pies dobrze by im zrobił, to wszystko.

– Zgoda. Będzie pies.

Edmund pohukiwał z radości, Thea biegała dokoła kuchni na czworakach i udawała, że jest psem.

– Macie cudownego tatusia, prawda, dzieci? – zawołała Frances. – Powiemy tatusiowi, co będziemy robić po południu?

– Piknik! – krzyknął Edmund, a Thea zrezygnowała z bycia psem i zaczęła podskakiwać.

– Piknik! Piknik!

Romans z Frances Hart, taki namiętny i frapujący od tamtej pierwszej nocy w hotelu Kolejowym w Salisbury, przyniósł wiele komplikacji po narodzeniu się bliźniąt. Na początku powiedziała mu, że się zabezpiecza, a on jak głupiec jej uwierzył. Dopiero w piątym miesiącu ciąży zorientowała się, że jest w odmiennym stanie, a wtedy było już za późno, żeby coś z tym zrobić. Kiedy mu oznajmiła, że spodziewa się bliźniąt, przez głowę przeszła mu myśl, jakie to dla niej typowe, że zamiast jak inne kobiety mieć jedno dziecko, ona będzie miała dwoje, co sytuację bardzo utrudniało.

Beztroskie, impulsywne usposobienie Frances początkowo ogromnie go fascynowało. Była odświeżającą zmianą po Blanche, która wszystkim się zamartwiała. Patrząc wstecz, Gillis rozumiał, że postawił wtedy znak równości pomiędzy impulsywnością i zapominalstwem a namiętnością i ciepłem. Z czasem i po wielu spotkaniach, na które stawiała się w złym miejscu albo o złej godzinie, przestał widzieć w tym urok.

Ale wtedy było już za późno. Frances była w ciąży i niezależnie od tego, jakim był draniem – a zdawał sobie sprawę, że jest draniem – nie należał do tych, którzy porzucają kobietę z dwojgiem dzieci. Zainstalował ich w chacie pod Hampshire, a kiedy miejsce okazało się nieodpowiednie, w domku pod Hungerford w Berkshire. Podczas wojny jakoś sobie radzili. Gillis większość czasu przebywał za granicą, a ponieważ jego praca była supertajna, stanowiła bogate źródło pretekstów wyjaśniających nieobecność w domu.

Wtedy już zniknął oszałamiający zachwyt z pierwszych miesięcy romansu. Gillis wyobrażał sobie, że ich związek powoli się wypali i Frances znajdzie sobie kogoś innego. Oczywiście będzie płacił na utrzymanie dzieci. Syna wyśle do przyzwoitej szkoły z internatem, żeby mu wynagrodzić trudny start życiowy, a dla córki, istotki uczuciowej, znajdzie coś bliżej domu.

Frances jednak nie szukała nikogo innego. Twierdziła, że nadal go kocha. Próbowała go przekonać, żeby odszedł od Blanche, a on, pogardzając sobą, lawirował. Romans otworzył mu oczy na to, jak głęboko sobie ceni porządek i spokój, które Blanche wprowadziła w jego życie.

Po zakończeniu wojny jego problemy się pomnożyły. Podczas wyborów do parlamentu w 1945 roku niewiele brakowało, a musiałby pożegnać się ze swoją karierą. Wcześniejsze sześć tysięcy głosów skurczyło się do niecałych trzystu. Gillis nie potrafił wybaczyć tego wyborcom. Nagrodą za lata walki za kraj było to, że cudem uniknął upokorzenia.

Zwycięstwo laburzystów w 1945 roku było wspaniałe, zdobyli większość głosów. Gillis przez chwilę rozważał przejście do nich (niektóre elementy ich polityki nie były takie złe), ale ostatecznie tego nie zrobił. Nikt nie ufał zdrajcom, a Gillis z całego serca wierzył,

że elity ze swym doskonałym doświadczeniem i wykształceniem są najlepiej przygotowane do rządzenia krajem.

Nie umiał otrząsnąć się z rozgoryczenia. Po demobilizacji wrócił do ojczyzny i przekonał się, że jego londyński dom został zdemolowany przez wojskowych, którzy go zarekwirowali, a możliwości remontu są niewielkie. Racje żywnościowe były mniejsze niż w czasie wojny i nic nie zapowiadało, że to się szybko zmieni. Przestał być parlamentarnym podsekretarzem stanu, teraz był zwykłym posłem, w dodatku z opozycji. „Złoty chłopak" miał teraz więcej niż kilka siwych włosów. Chociaż usiłował się pocieszać argumentami, że zwycięstwo Clementa Attlee to zatruty kielich, że kraj po wojnie jest zbankrutowany, gospodarka nie do uratowania, ale to była marna pociecha.

No i Frances. Wcześniej tego roku Edmund, chłopczyk żądny przygód, spadł z drzewa i złamał rękę. Zadzwoniła do niego do biura – jego biura – a ponieważ go nie zastała, zostawiła wiadomość. Ktoś komuś musiał coś szepnąć, ponieważ po kilku dniach jakiś dziennikarz w wiosce, w której mieszkała Frances z dziećmi, zaczął węszyć. Gillis zdawał sobie sprawę, że może utracić wszystko. Blanche rozwiodłaby się z nim, gdyby się dowiedziała o Frances, jego kariera wisiała na włosku. Klepnięcie w ramię, spokojna wymiana zdań w klubie, pomruki o rezygnacji… dla dobra partii.

Musiał ich przenieść, i to szybko. Dziękował Bogu za Davida Morgana, walijskiego podoficera, którego poznał w Dunkierce. Później utrzymywał z nim kontakt, poprosił o niego, kiedy kompletował oddział do Danii, gdzie potrzebował człowieka, który bez zadawania pytań zrobi wszystko, co mu poleci. Po wojnie zatrudniał go prywatnie, czasami jako kierowcę, czasami do załatwiania spraw, które wolał zachować w tajemnicy.

Gdy Gillis szukał domu dla Frances i dzieci, Morgan znalazł pokoje w hotelu w Eastbourne. To było zadanie niemożliwe do wykonania. W kraju brakowało domów, mieszkań i pokoi do wynajęcia. Dużo budynków mieszkalnych, z których wiele już i tak było w złym stanie, zostało zniszczonych podczas wojny.

Później w trakcie wizyty w Marsh Court Gillis pomyślał o wyspie Thorney. Położona na odludziu, mało kto się tam zapuszczał, a dom

od lat był niezamieszkany. Wszyscy najwyraźniej o nim zapomnieli, nikt nie zauważy obecności Frances. No i łatwo mu będzie widywać się z nią i z dziećmi, kiedy będzie odwiedzał Wintertonów.

Rozwiązanie wydawało się idealne. Gillis kazał Morganowi zadzwonić do właściciela, farmera w Bradwell-on-Sea, i załatwić sprawę. Frances przeprowadziła się tam w kwietniu.

Nie przewidział, jak bardzo znienawidzi ona to miejsce. Głupio z jego strony, przecież to było nieuniknione. Frances lubiła towarzystwo: drinki, tańce, rozmowy, życie. Tęskniła za siostrą w Wiltshire i przez pierwsze dwa miesiące wierciła mu dziurę w brzuchu, żeby ich stąd zabrał.

Później jakby się z tym pogodziła. Gillis się zastanawiał, czy wyczuła, że już nie jest nią zainteresowany. Przestała pytać, kiedy zamierza odejść od Blanche. Może uświadomiła sobie, że Gillis nigdy tego nie zrobi. A on zbierał się na odwagę, by jej powiedzieć, że między nimi skończone. Zrobi to, kiedy tylko znajdzie im przyzwoite lokum. Nie będzie łatwo, Frances ciężko to przeżyje, ale innego wyjścia nie ma. Potrzebowała mężczyzny i zasługiwała na takiego, który ją obdarzy niepodzielną miłością i uwagą. Dzieci powinny mieć stale obecnego ojca. Dopilnuje, żeby nie brakowało im pieniędzy.

Po południu urządzili piknik na trwiastym brzegu morza za domem, skąd widać było trzęsawiska zajmujące północną część wyspy. Później Frances i dzieci odprowadziły go do grobli. Zbliżał się przypływ, Gillis za bardzo się zasiedział. Pożegnał się z nimi i ruszył. Woda zalewała mu stopy, czuł siłę prądu. Kiedy dotarł na stały ląd, teatralnie wyżął podwinięte nogawki spodni i po raz ostatni pomachał, po czym się odwrócił.

Czuł, jak ciężar zsuwa mu się z ramion, kiedy wracał do Marsh Court. Przez długi czas prowadził podwójne życie, ale przecież wojna i praca pod przykrywką zapewniły mu mnóstwo okazji do praktyki. Dzisiaj wieczorem będzie dyskutował z Henrym, rozmawiał z Juliet, czerpiąc przyjemność z jej urody, i zdoła, przynajmniej na razie, odłożyć na bok martwienie się o swoją małą rodzinę na wyspie.

Rozdział czwarty

Lipiec–wrzesień 1946 roku

W niektóre dni tego lata, kiedy Juliet mogła zostawić malutką Charlotte z panią Barrett, służącą na przychodne, po odwiezieniu Piersa do szkoły wracała pieszo do Marsh Court, zamiast korzystać z powolnego i rzadko kursującego autobusu. Mijała port w Maldon, gdzie wiatr hulał pomiędzy barkami i kutrami, tworząc akompaniament do rozmów rybaków i wołań morskiego ptactwa. Na wschód od miasta, tam gdzie kończyło się portowe nabrzeże, ścieżka prowadziła wzdłuż ujścia rzeki, gdzie porzucone łodzie, zredukowane do czarnych szkieletów, leżały zatopione w trzęsawisku. Juliet nie spuszczała oka z Biscuita, ciekawskiego stworzenia, pilnując, by nie zaplątał się w drut kolczasty, który od wojny otaczał najniżej położone pola i rowy.

Kiedy pewnego dnia zbliżała się do wyspy Thorney, usłyszała głosy i śmiech. Wiatr porwał okrzyk i przerzucił go nad rzeką. Dwoje małych dzieci, chłopczyk i dziewczynka w czerwonej sukience, bawiło się na drugim końcu grobli. Juliet patrzyła, jak z piskiem podbiegają do małych fal i zaraz biegiem wracają na brzeg, czerwona sukienka dziewczynki płonęła na wietrze, chłopiec namawiał ją, by głębiej weszła do wody. Potem ktoś ich chyba zawołał, ponieważ się odwrócili, wbiegli na zbocze i zniknęli jej z oczu.

Czasami Juliet szła dla samej przyjemności spaceru, a czasami, kiedy Henry w ciągu tygodnia był w Marsh Court, dla odwleczenia chwili, gdy znowu podejmą walkę o władzę, która zaczęła charakteryzować ich małżeństwo. Kłócili się o to, ile płacić gospodyni

i czy Juliet powinna nadal zapraszać dziewczyny z farm na herbatę (Henry uważał, że są nieokrzesane). Niektóre z tych rzeczy były dla niej ważniejsze niż inne, ale przy każdej okazji z jednakową energią chciała postawić na swoim. To były potyczki w batalii toczącej się od powrotu Henry'ego do domu. A ona nie zamierzała pozwolić mu wygrać. Już nie.

Gillis zamierzał kupić jacht, który chciał zacumować w Burnham-on-Crouch, tego lata bywał więc często w Marsh Court. Czasami towarzyszyła mu Blanche. Juliet zauważyła, że nie jest ona kobietą wylewną, chyba że chodziło o sprawy dotyczące dzieci. Rzadko okazywała czułość Gillisowi, to on, przechodząc przez salon, całował żonę w czubek głowy, a nie odwrotnie, on brał ją za rękę, kiedy spacerowali po zamglonym wybrzeżu w pobliżu kaplicy św. Piotra. W Blanche Sinclair był jakiś chłód, uznała Juliet. Uroda królowej lodu – biała cera, czarne włosy, jasnoniebieskie oczy – zdradzała zimne serce. Uważała, że Blanche nie docenia męża.

Pewnego wieczoru doszło do nieprzyjemnej sceny podczas kolacji, kiedy Henry trafił na coś brązowego i bezkształtnego w swojej potrawce i stwierdził, że jest niejadalna. Juliet czuła się zmęczona i poirytowana. Otworzyła drzwi, a Gillis pomógł jej wynieść tacę do kuchni.

– Henry martwi się o firmę – powiedział.

– Tak, wiem o tym. – Juliet nalała gorącej wody do zlewu. – Ale Jonny też się martwi o firmę, a nie urządza scen przy kolacji.

– Nie sądzę, by Jonny czuł się odpowiedzialny za finansową stronę działalności.

Juliet zanurzyła naczynia w wodzie.

– Gillis, pani Barrett jest marną kucharką i jedzenie było wstrętne. Doskonale rozumiem, że nikt nie ma pieniędzy na kupno biżuterii i że to odbija się na firmie. Ale moim zdaniem nic nie usprawiedliwia zachowania Henry'ego. Ty nie odezwałbyś się do Blanche tak, jak on mówi do mnie.

– Może na swój sposób zachowuję się jeszcze gorzej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Po prostu to, że nie zawsze jest tak, jak z pozoru się wydaje. – Ścisnął ją za ramię. – Henry jest jak dziecko, nie umie ukryć złego

humoru. Teraz nie może się pogodzić z tym, że dom wymaga remontu, firma cienko przędzie, a jedzenie jest niesmaczne i rośnie mu w ustach. Będąc sobą, Henry mówi o tym wprost. Ja nie jestem taki przezroczysty, pozwalam, żeby sprawy się jątrzyły.

– Jakiego rodzaju sprawy?

– Czasami mam poczucie, że się pogubiłem. Że wykonuję rutynowe obowiązki: męża, ojca, polityka, ale wszystko to przestało mieć znaczenie.

– Gillis, co się dzieje?

– Och, nic takiego.

– Nie mogę patrzeć, kiedy jesteś tak nieszczęśliwy. – Ujęła obie jego dłonie. – Przyjaźnimy się od dawna, prawda? Możesz mi o wszystkim powiedzieć.

Zmarszczył czoło, oczy mu pociemniały, ale zaraz uwolnił ręce z jej uścisku.

– Przyrzekam, Juliet, gdybym miał coś do powiedzenia, ty pierwsza byś to usłyszała. Szczerze, nic się nie dzieje. Jestem trochę przybity. To taka porcja samobiczowania. – Roześmiał się. – Moi koledzy z trudem daliby wiarę.

Ona nie. Gillis mógł sprawiać wrażenie pewnego siebie, nawet aroganckiego, ale od dawna wiedziała o mrocznej stronie jego charakteru.

– Popatrz, jaką pracę wykonujesz dla swoich wyborców – powiedziała, próbując go rozweselić. – I świetnie radzisz sobie z dziećmi.

– Blanche pewnie by się z tobą nie zgodziła. Powiedziałaby, że zapominam o ich urodzinach i rzadko bywam na szkolnych występach i dniach sportu.

Juliet spojrzała na stos porcelany moczący się w zlewie.

– Czasami ja też zadaję sobie pytania – powiedziała cicho. – Jestem z Henrym z powodu Marsh Court. I oczywiście z powodu dzieci, ale Marsh Court zajmuje pierwsze miejsce. Pokochałam ten dom, zanim urodził się Piers. Nigdy go nie opuszczę, Henry także nie. Przypuszczam więc, że to oznacza, że jesteśmy na siebie skazani.

– Ha, szczęściarz z tego Henry'ego. – Gillis ironicznie się uśmiechnął. – Znam gorszy los niż bycie skazanym na taką piękną kobietę.

– Komplemenciarz.

Pokręcił głową.

– Nie, naprawdę tak myślę. – Wziął jej rękę, mokrą i pokrytą mydlinami, i przycisnął do ust.

Ta rozmowa i pocałunek pozostały z nią. Niosły pociechę, kiedy była nieszczęśliwa, i za każdym razem, gdy je wspominała, serce przeszywał jej dreszcz podniecenia.

Przy serze i porto Helen powiedziała:

– Słyszałam, że biedna Molly Brandon umarła.

– Jakie to smutne – odparła Juliet. – Chyba powinnam go odwiedzić.

– Nigdy nie utrzymywaliśmy stosunków towarzyskich z Brandonami. – Henry przeszył spojrzeniem swój kawałeczek podłego sera. – Nie zamierzam siadać do kolacji ze średniorolnym chłopem.

– Może powinniśmy. – Jonny wyglądał na rozbawionego. – Z radością usłyszałbym, jak konwersujesz o owcach i świniach, Henry.

– Rolnicy i sklepikarze – wtrąciła się Juliet. – Nie widzę większej różnicy.

– Ha! – wykrzyknął Jonathan. – To stawia nas na właściwym miejscu. Henry, obaj jesteśmy sklepikarzami.

– Od wieków nie byłam w sklepie – powiedziała z namysłem Jane. – Chyba powinnam pójść i zobaczyć moich braci w fartuchach z zielonego sukna.

Juliet posmarowała masłem herbatnik.

– Chodzi mi o to, że pan Brandon sprzedaje pszenicę, a Wintertonowie szmaragdy i szafiry. Nie da się ukryć, że pszenica i jęczmień są bardziej przydatne.

– Ale przynoszą mniejsze zyski.

– Więc od Brandonów oddzielają nas tylko pieniądze.

– Musicie wybaczyć wulgarność mojej żonie. – Henry patrzył na nią pogardliwie. – Większą część dzieciństwa spędziła, wędrując przez pustynię na grzbiecie wielbłąda. Nadal ma kłopot z zasadami obowiązującymi w towarzystwie.

– Jak możesz oskarżać mnie o wulgarność, Henry, tylko dlatego, że wspomniałam o pieniądzach? – zapytała Juliet gniewnie. – Przecież ty całymi dniami nie robisz nic innego, tylko zarabisz pieniądze.

– Oczywiście, wszyscy potrzebujemy pieniędzy na życie – wtrąciła się Helen.

– A ty, moja droga, lubisz je nosić – powiedział Henry jedwabistym głosem.

Trafił w sedno. Tego wieczoru Juliet miała na szyi szafiry Wintertonów, urocze kamienie barwy przezroczystego błękitu pochodzące z Kaszmiru.

– Charles i Marie Barbourowie jadają z nami kolację – stwierdziła sztywno. – A są farmerami. Jedyna różnica pomiędzy Barbourami a Brandonami polega na tym, że ci pierwsi mają tysiące akrów, a ci drudzy… – Nie miała pojęcia, ile ziemi uprawia Joe Brandon, zakończyła więc słabo: – Nie tak wiele.

– Juliet, moja droga. – Jonny dotknął jej ręki. – Sęk w tym, że Brandon naprawdę do nas nie pasuje. Ma lewicowe sympatie. To przyzwoity gość, dobrze gospodaruje na swojej małej farmie, ale sama rozumiesz.

Na tym zakończył się temat Brandona. Dopili butelkę porto, którą wdzięczny pacjent ofiarował Peterowi. Alkohol, tak samo jak ser, nadal był artykułem trudno dostępnym. Jane zapytała, czy mają jeszcze coś do picia.

Jonathan zaczął szukać w kredensie, a Henry powiedział:

– Zawsze potrafiłaś sporo wypić, Janey.

Jane wyglądała na zirytowaną.

– Jasne, ty za to jesteś taki wstrzemięźliwy.

– Lepiej znoszę alkohol.

– Brednie. Pijesz jak gąbka, Henry, a potem tracisz panowanie nad sobą i wrzeszczysz na biedną Juliet.

– Podczas gdy ty przez cały czas pozostajesz słodka i miła, kochana siostro.

– Przynajmniej nie jestem nieuprzejma.

– Potrafisz wrzeszczeć jak lisica, kiedy ci to pasuje. Zwłaszcza po kilku kolejkach.

Sposób, w jaki Jane się wyprostowała, odchylając do tyłu głowę, skojarzył się Juliet z kobrą gotującą się do ataku.

– Jaki stałeś się purytański, Henry – syknęła. – Przynajmniej w Marsh Court.

Słowa Jane wryły się w myśli Juliet, podczas gdy Henry patrzył na siostrę groźnie. Kłuły i raniły, jak kamyk w bucie. O czym wiedziała Jane, a co Henry przed nią ukrywał? Jakże upokarzające jest odkrycie, że Jane wiedziała o Henrym coś, o czym ona nie miała pojęcia.

– Zamknij się, Jane – powiedział Henry.

– A niby dlaczego?

– Janey – wtrącił się Peter.

Juliet wodziła spojrzeniem od brata do siostry. W oczach Henry'ego malowało się ostrzeżenie.

– Mamy butelkę likieru, prawda, Jonny? – odezwała się Helen. – Nie otwieraliśmy go, pewnie jest okropny, ale zabawnie będzie spróbować, zgadzacie się?

Alkohol znaleziono, szklanki napełniono, w pokoju jednak nadal czuło się napięcie. Helen podjęła kolejną dzielną próbę rozproszenia go.

– Jaki jest ten twój nowy projektant, Henry? Jonny mówił, że to bardzo malownicza postać.

– Esteban? – mruknął Henry. – Ordynus.

– Za to utalentowany – powiedział Jonathan. – Diabelski temperament, nawet jak na obcokrajowca, ale na Boga, zna się na rzeczy. Kazałem mu popracować nad kilkoma kamieniami, które odkupiliśmy od tamtego gościa. Niezwykłe sztuki. Niewykluczone, że wypróbuję je najpierw w Colchester.

Słowa Jane nabierały mocy jak trucizna w sercu Juliet. Chciała zranić Henry'ego, a teraz dostrzegła okazję.

– Myślałam, że chcesz sprzedać sklep w Colchester.

– Henry? – Jonathan ze zmarszczonym czołem patrzył na brata.

Henry posłał jej nieprzyjazne spojrzenie.

– Nic jeszcze nie zostało postanowione.

– Nie możesz sprzedać sklepu w Colchester – powiedziała Jane. – Mamy go od wieków.

– W głowie mi się nie mieści, że w ogóle bierzesz to pod uwagę.

– Henry – odezwała się Helen. – Zawsze zakładaliśmy, że Colchester będzie dla Aidana.

– Nie możesz być takim tyranem.

Henry uderzył pięścią w stół, porcelana i sztućce podskoczyły ze szczękiem.

– Na litość boską, wy troje, nie patrzcie na mnie tak, jakbym chciał sprzedać waszych pierworodnych synów! Jane, to nie ma nic wspólnego z tobą. Sprzedałaś swoje udziały piętnaście lat temu.

– Nadal jestem w tej rodzinie i los firmy leży mi na sercu – mruknęła Jane.

– Zachowujesz się jak cholernie typowy członek tej rodziny, rozpuszczasz język w sprawach, o których nie masz pojęcia, oto kim jesteś. A teraz ty. – Henry zwrócił rozwścieczony wzrok na brata. – Przeglądałeś ostatnio księgi rachunkowe? Zadałeś sobie trud, żeby pojechać do Colchester i sprawdzić, co rzeczywiście sprzedają – czy raczej czego nie sprzedają? Czy jak zwykle chowasz głowę w piasek i trudne decyzje mnie zostawiasz?

Jonathan nachylił się ku niemu.

– Nie możesz sprzedać tego sklepu – powiedział cicho i stanowczo.

– Ależ mogę, Jonny.

– Nie. Zawarliśmy umowę.

– To było przed wojną. Czasy się zmieniły. Twój problem, Jonny, polega na tym, że nienawidzisz zmian. Lubisz udawać, że wszystko jest słodkie i urocze jak zawsze.

– Nie traktuj mnie jak dziecka. – W głosie Jonny'ego nie pozostał nawet ślad ciepła i dobrego humoru.

– Więc się nie zachowuj jak dziecko. Znajdę dla Aidana miejsce na Bond Street, przyrzekam.

– Nie chcę, żeby Aidanowi znajdowano miejsce. Chcę, żeby miał sklep w Colchester.

– Nie. To niemożliwe.

– A co z bliźniakami? – wtrąciła Jane. Zawsze żarliwie chroniła swoje dzieci, zwłaszcza najstarszych bliźniaków, Eliota i Jake'a, którzy wkroczyli w wiek nastoletni.

Henry przeniósł wzrok na siostrę.

– Nie zostaną jubilerami, Janey. Żaden nie ma do tego smykałki. Będą pracować w City albo pójdą w ślady Petera i zostaną chirurgami.

Juliet się zastanawiała, czy Jane rzuci się na brata, ale złość na jej twarzy ustąpiła miejsca uśmiechowi.

– O rety, obawiam się, że masz rację – powiedziała wesoło. – Dzięki Bogu, że mamy Gabe. – Gabe, zdrobnienie od Gabrielle, była córką Jane i Petera. – Ona może się nadać do firmy, Henry.

Goście przeszli do salonu. Helen nastawiła gramofon, Jane opowiadała o talentach baletowych córki. Peter i Juliet siedzieli na sofie i rozmawiali o wystawie, którą widzieli w National Gallery. Bracia nadal kłócili się na drugim końcu pokoju, Henry podnosił głos, Jonathan mówił cicho, lecz z gniewem. Przestali dopiero wtedy, gdy wszyscy zaczęli się żegnać.

Kiedy wyjeżdżali z miasta, Henry powiedział szeptem:

– Ty suko.

Juliet poczuła dreszcz triumfu. Zmuszenie go do reakcji sprawiło jej satysfakcję, ale z udawaną niewinnością zapytała:

– O co ci chodzi?

– Wiesz doskonale. O sklep.

– Skąd mogłam wiedzieć, że nie omówiłeś tego z Jonnym?

Wziął zakręt za szybko, musiała przytrzymać się deski rozdzielczej.

– A skąd mogłem wiedzieć, że uznasz za stosowne omawiać moje prywatne sprawy podczas kolacji?

– Do głowy by mi nie przyszło, że coś takiego zachowasz w tajemnicy przed Jonnym.

– Kłamiesz. Wiesz, że nie mówię mu o wszystkim. Gdybym to robił, firma nadal by tkwiła w czasach wiktoriańskich.

Kolejny ostry zakręt pokonany ze zbyt wielką prędkością.

– Przestań – powiedziała gniewnie. – Zwolnij, bo zabijesz nas oboje. W końcu i tak musiał się o tym dowiedzieć.

– Ale nie dzisiaj. – Henry nadepnął pedał gazu. – I nie w obecności mojej cholernej siostry.

Przejechali przez bramę Marsh Court. Kiedy wysiedli z jaguara, zimne powietrze zakłuło Juliet w twarz.

W domu zapłaciła Meg za opiekę nad dziećmi i pomachała jej na pożegnanie, gdy dziewczyna wsiadała na rower. Zamknąwszy za sobą drzwi, poczuła, jakby zamykała się w klatce z brutalną furią Henry'ego. Nie poszła do salonu na pokolacyjnego drinka, jak mieli to w zwyczaju po wieczorze spędzonym poza domem. Nie była przygotowana na proszenie go o wybaczenie, na dążenie do zgody. Zamiast tego ruszyła na piętro. Sprawdziła, czy dzieci smacznie śpią, i poszła do sypialni.

Przebrana w koszulę nocną, zmagała się z zameczkiem szafirowego naszyjnika, kiedy do sypialni wszedł Henry. Poczuła na szyi muśnięcie jego silnych dłoni odpinających naszyjnik.

– Nie próbuj znowu zawstydzać mnie przed rodziną, Juliet.

– Dlaczego nie? – Okręciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz. – Ty tak mnie traktujesz.

Położył naszyjnik w pudełku wykładanym białym aksamitem.

– No tak, ale my dobiliśmy targu.

– Jakiego targu?

– Marsh Court i wygodne, łatwe życie dla ciebie. Ty w zamian musisz tylko stać po mojej stronie.

– Pozwalać ci na tyranię, chcesz powiedzieć. Jane miała rację, despota z ciebie.

– A ty jesteś głupia – odparł kąśliwie. – Nie obchodzi mnie, co robisz, pod warunkiem że nie odbija się to na mojej rodzinie. Liczy się wyłącznie utrzymanie rodziny w jedności. Nie pozwolę, żebyś temu przeszkodziła, Juliet.

– Są inne sposoby na utrzymanie rodziny w jedności – odparła z rozgoryczeniem.

– A mianowicie?

– Miłość. Dokonujesz tego poprzez miłość. Nie przez nastawianie ludzi przeciwko sobie. Nie przez zachowywanie spraw w tajemnicy przed nimi.

Henry rozwiązał krawat, zaciskając usta.

– Nie chcę twojej miłości, tej słodkiej i sentymentalnej miłości. Ona zniekształca widzenie i psuje osąd. Rozłóż ją na czynniki pierwsze, a przekonasz się, że jest zrobiona z egotyzmu, złudzeń, własnych interesów i pożądania. Niczego więcej.

Juliet weszła do łóżka. Teraz miała już dość tej kłótni i żałowała, że ją sprowokowała. Czułaby się jednak fatalnie, gdyby pozwoliła, żeby to on miał ostatnie słowo.

– Przynajmniej umiem kochać.

– Och, trudno cię uznać za eksperta. Przecież nie poślubiłaś mnie z miłości.

– Próbowałam cię pokochać.

– Ale ci się nie udało, prawda?

– To ty, Henry, mi to uniemożliwiasz!

– Hipokrytka. – Obnażył zęby. – Wyszłaś za mnie, bo potrzebowałaś źródła utrzymania i sposobu na wydostanie się z Kairu.

Pogarda w jego głosie sprawiła, że od nowa poczuła do niego nienawiść.

– Masz rację – powiedziała zimno. – Jak mogłabym cię kochać? Jak ktokolwiek może cię kochać? Ciebie nie da się kochać.

– A ty jesteś taka sama. Pod słodką i śliczną powierzchownością jesteś twarda jak kamień.

Do furii doprowadziło ją, że przykleja jej etykietkę równie cynicznej i nieczułej jak on.

– Nie mam nic wspólnego z tobą! – krzyknęła.

Stał w nogach łóżka i przyglądał się jej. Posłał jej sardoniczny uśmiech.

– Masz mózg, Juliet, ale rzadko z niego korzystasz. Tamtego dnia, kiedy poznaliśmy się u jubilera w Kairze, dostrzegłem w tobie coś, co rozpoznałem. Targowałaś się o perły, bo nie chciałaś, żeby ten oszust cię przechytrzył. Byłaś nieokrzesana i niewykształcona, ale wiedziałem, że jest w tobie coś, co nas łączy, co będę mógł wykorzystać. Na swój sposób jesteś tak samo wyrachowana i chciwa jak ja.

– Dobry Boże! Piers i ja byliśmy o wiele szczęśliwsi, kiedy ciebie tu nie było!

Jego twarz przybrała barwę kitu i Juliet wiedziała, że go zraniła. Po chwili jednak odpowiedział lodowatym tonem:

– Mam te same odczucia. Tydzień lub dwa w twoim towarzystwie, moja droga, i przekonuję się, że powrót do Londynu jest wielką ulgą.

„Jaki purytański się stałeś, Henry. Przynajmniej w Marsh Court". Nie zapomniała przytyku Jane; zraniona i rozgniewana krzyknęła:

– I kogo tam widujesz, Henry? Kim ona jest?

– Panuj nad sobą – odparł ostro. – Wpadasz w histerię.

– O co chodziło Jane? O czym ona wie?

– Jane dążyła do awantury. – Wrzucił spinki do mankietów do misy na komodzie. – Była pijana i znudzona; cała Jane.

Juliet uklękła na łóżku.

– Nie wierzę ci. Powiedz mi. Nalegam, żebyś mi powiedział!

Henry się skrzywił.

– Na pewno? Jesteś o tym przekonana? Miałem cię za kobietę, która na określone sprawy woli przymykać oko. Skoro jednak ci na tym zależy, to obawiam się, że Jane widziała mnie z Teddie.

– Teddie? – powtórzyła Jane.

– Tak ma na imię.

Idiotyczne imię, przeszło przez głowę Juliet. Zostać pokonaną przez kobietę imieniem Teddie.

– Ta kobieta… – głos się jej załamał – to twoja kochanka?

– Owszem, można tak ją nazwać.

– Od… – trudno było jej wydobyć z siebie słowa. – Od dawna?

– Od kilku miesięcy. To nie jest ważne.

– Dla mnie jest!

Natychmiast pożałowała, że to powiedziała. To tylko zwiększyło jej upokorzenie. Henry patrzył na nią, jakby była dziwną żałosną istotą wyrzuconą przez morze, którą znalazł na plaży.

– Teddie to słodka dziewczyna – powiedział. – Nie robi zamieszania, nigdy nie stawia nadmiernych żądań, ale zaczyna mnie nudzić i wątpię, czy jeszcze się z nią spotkam. Możesz urządzić scenę, jeśli masz ochotę, Juliet, ale nie zamierzam być jej świadkiem, dlatego dzisiaj będę spał w swojej garderobie.

Wyszedł z pokoju.

Juliet leżała, łaknąc zapomnienia we śnie, ale nie mogła go znaleźć. W końcu zeszła na dół i przygotowała sobie kubek kakao, w nadziei że po nim zrobi się senna. W kuchni panował ziąb, włożyła więc stary wełniany płaszcz na szlafrok i usadowiła się w pokoju dziennym, swoim ulubionym pokoju. Rozciągnęła zasłony na drzwiach balkonowych; na dworze srebrna poświata księżycowa malowała kształty drzew, zabudowań gospodarczych i domku ogrodnika na końcu ogrodu.

Pomyślała, że mogłaby otworzyć te drzwi, przejść przez taras i trawnik, przez pola dotrzeć do ujścia rzeki. Szłaby tak długo, aż znalazłaby się daleko, bardzo daleko od Henry'ego i nigdy więcej nie musiałaby go oglądać.

Ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Na piętrze spały dzieci. Marsh Court był jej domem. Helen i Jonny, Jane i Peter oraz Sinclairowie tworzyli jej rodzinę, krąg jej przyjaciół.

Zastanawiała się, czy ma prawo do odczuwania takiego wstrząsu i żalu. Od dawna wiedziała, że ona i Henry się nie kochają. A jednak tego wieczoru jej świat stanął na głowie, przyszłość wydawała się dziwna, obca, zabarwiona niebezpieczeństwem. Może Henry słusznie określił ją jako osobę, która odwraca wzrok od prawdy. Może była taka jak Jonathan, wolała chować głowę w piasek.

Nigdy nie żywiła złudzeń, że ich małżeństwo jest dobre. Gdyby ją naciskano, powiedziałaby, że są nadal ze sobą, ponieważ Henry pożąda jej i potrzebuje żony, która dba o Marsh Court, a ona sama potrzebuje poczucia bezpieczeństwa i domu. I oczywiście z powodu dzieci. Fakt, że Henry sypiał z inną kobietą, uświadomił jej, jak krucha jest jej pewność siebie, jak bardzo polegała na swoim przekonaniu, że w najgorszym razie jest młoda i godna pożądania. Teraz nawet w to zaczęła wątpić. Do głowy przyszedł jej nowy powód do udręki: Teddie nie była pierwsza. Były inne, słodkie, niewybredne dziewczęta, które Henry rzucał, kiedy zaczynały go nudzić.

Pobrali się dla kaprysu; oboje sądzili, że dostrzegają w drugiej osobie cechy, których, jak się okazało, wcale nie było. Od tamtego czasu musieli znosić rozczarowania, bo nie rozumieli się i nie traktowali miło. Teraz znali się aż za dobrze. Nauczyli się, jak

wzajemnie się ranić. „Jesteś taka wyrachowana i chciwa jak ja…”; „Byliśmy o wiele szczęśliwsi, kiedy ciebie tu nie było”. Takich myśli nie powinno wypowiadać się na głos, bo nigdy nie odejdą, będą się czaić w mrocznych kątach jak pająki, od czasu do czasu zaatakują, kąsając i wpuszczając od nowa truciznę.

Kolejne odkrycie: aż do dziś czepiała się źdźbła nadziei, że ich małżeństwo samo z siebie się uleczy, że Henry złagodnieje albo ona zgodzi się na coś mniejszego niż miłość. Ze wzrokiem utkwionym w srebrnoszarym ogrodzie zaakceptowała teraz możliwość, że nigdy tak się nie stanie, zawsze będą prowadzić ze sobą wojnę i do końca życia będzie tęskniła za czymś, czego nie może mieć. Nie była kłótliwa, nie żywiła się awanturami jak Henry, a przykład Jonny’ego i Helen dowodził, że małżeństwo może zaoferować otuchę i radość.

Henry także się nie zmieni. Zawsze będzie nią pogardzał, nigdy nie obdarzy jej uczuciem, nie da pociechy. Prawdopodobnie w głębi serca nie szanował kobiet. Może i podzielał miłość Wintertonów do sztuki, ale w pozostałych kwestiach był bardzo męski i towarzystwo mężczyzn najbardziej mu odpowiadało. Cokolwiek robiła Juliet, jakkolwiek mocno się starała, nie mogła liczyć na jego pochwałę. Jeśli miała przetrwać w tym małżeństwie, musiała na siebie wziąć odpowiedzialność za ulżenie własnej samotności.

I właśnie to tak trudno było znieść, tę świadomość, że na zawsze odmówiono jej wsparcia i poczucia bezpieczeństwa, które inne żony brały za pewnik. Henry uważał, że jest wyrachowana i chciwa, ale się mylił. Nie znał jej tak dobrze, jak mu się wydawało. Mogłaby mu się oddać z uwielbieniem i namiętnością, gdyby tylko ją pokochał. Dlaczego jedynym Wintertonem, którego ona z czasem nie obdarzyła gorącym uczuciem, musiał być jej mąż?

Dopiła kakao i poszła na piętro. Musiała zasnąć, bo o piątej rano obudził ją płacz Charlotte. Przygotowała butelkę i wzięła małą do swojego łóżka. Charley nadal piła, kiedy Juliet usłyszała, że Henry schodzi na dół. Chwilę później rozległ się gardłowy warkot jaguara, który ucichł, gdy samochód wyjechał z podjazdu.

Charley skończyła pić z butelki i Juliet zmieniła jej pieluszkę, potem z dzieckiem w objęciach wsunęła się pod pościel. Charlotte popłakiwała, ciepło i ciężko wsparta o matczyną pierś, Juliet także

płakała, gładząc aksamitną główkę córki. Płakała, ponieważ poślubiła niewłaściwego mężczyznę, ponieważ decyzja, którą podjęła lata temu w Kairze, pozbawiła ją rzeczy najpiękniejszej i najcenniejszej: miłości.

Po południu w drobnym akcie buntu napisała list z kondolencjami do Brandona z farmy Greensea. Nie obchodziło jej, że Brandon ma niewielkie gospodarstwo i jest do szpiku kości lewicowcem. Współczuła mu, bo tak młodo owdowiał. Może jego małżeństwo było udane. Może on i Molly się kochali.

Rozdział piąty

Październik–listopad 1946 roku

Październikowa burza zakołysała autobusem, którym Juliet i Piers wracali ze szkoły w Maldon. Korony drzew się chwiały, złamane gałęzie spadały na drogę, zmuszając kierowcę do gwałtownego hamowania. Dotarłszy do Marsh Court, przebiegli w ulewnym deszczu do domu. Henry był w Londynie; po ich powrocie pani Barrett, która opiekowała się Charley, włożyła płaszcz przeciwdeszczowy i poszła do domu. Piers jadł podwieczorek, a Juliet obchodziła dom, upewniając się, że wszystkie okna są zamknięte i drzwi zaryglowane. Ściągając świetlik na ostatnim piętrze, zobaczyła błyskawicę rozdzierającą niebo.

Podczas gdy Juliet karmiła Charley, Piers stał przy kuchennym oknie, zahipnotyzowany ulewnym deszczem. Spaniel skomlał, kryjąc się pod stołem, Piers wzdrygał się przy każdym grzmocie. Wykąpawszy córeczkę, Juliet pomogła synkowi w odrabianiu lekcji, później zagrała z nim w ludo. A potem była pora iść do łóżka.

Po dwudziestu minutach Juliet zajrzała do dzieci. Kiedy wychodziła z pokoju Piersa, zgasło światło i korytarz pogrążył się w ciemności. Trzymając się poręczy, zeszła ostrożnie na dół i z szuflady w holu wyjęła latarkę. Awarie prądu nie były niczym nietypowym w Marsh Court, dlatego zawsze mieli spory zapas latarek i świec. Juliet wymieniła bezpiecznik, ale nic to nie dało. Mrok zdawał się przesiąkać ściany domu, latarka dawała tylko migotliwy krąg światła. Juliet zastanawiała się, czy burza nie zerwała linii elektrycznej.

W salonie rozpaliła ogień i ustawiła kilka świec na stoliku i kominku. Wyjęła pudełko z przyborami do szycia i usiadła koło

ognia. Żałowała, że nie może włączyć radia, które odrywałoby jej uwagę od wycia wiatru i bębnienia deszczu. Od czasu do czasu gwałtowny poryw wiatru rzucał złamanym konarem na dach i w całym domu wszystko grzechotało. Juliet nasłuchiwała odgłosu spadających dachówek. Świece przesycały pokój dziwną, niesamowitą poświatą.

Mrużąc oczy, nawlekła igłę i zaczęła szyć.

Poprzedniego dnia Frances zadzwoniła do niego do biura; Gillis nie znosił, kiedy to robiła. Powiedziała, że jest samotna, że wariuje w tym cholernym miejscu. Uspokoił ją obietnicą, że nazajutrz ich odwiedzi.

Późno wyjechał z Londynu, zwłokę spowodowała pilna sprawa, która w ostatniej chwili wyniknęła w parlamencie. Potem spowolniała go burza, tworząc na drodze głębokie kałuże i zmuszając do omijania połamanych gałęzi. Kiedy dojeżdżał do Maldon, pogoda jeszcze się pogorszyła. Morze Północne miało barwę popiołu, szalał wicher.

Wysiadłszy z samochodu, Gillis musiał trzymać kapelusz, żeby nie porwał go powiew wiatru. Przy ujściu rzeki przekonał się, że jest przypływ. Prosił Frances, żeby sprawdziła tabelę pływów, ale – co dla niej typowe – pomyliła się. Mieszkała na wyspie od pół roku – czy trudno zapamiętać, że pływy mają miejsce co dwanaście godzin?

Na mokradłach dostrzegł grupę ludzi. Ruszył w ich kierunku. Powiedzieli mu, że utonęła kobieta. Znalazł ją obserwator ptaków wracający do miasta.

Straszliwe przeczucie: odłamek lodu przeszył mu serce. Kiedy grupka się odsunęła, robiąc przejście dla ludzi z noszami, zobaczył ją leżącą w bagnie. Jej biała skóra, którą kiedyś uwielbiał pieścić, już robiła się sina, w długie rude włosy zaplątały się zielska rzeczne.

Jakimś cudem powstrzymał się od krzyku. Zrobił krok w jej stronę, ale sąsiad złapał go za rękę. „Niech pan nie patrzy. Jeśli pan nie przywykł...”.

On oczywiście przywykł. Ale ciała podskakujące na powierzchni morza pod Dunkierką były obce. Kiedyś kochał każdy centymetr ciała Frances i w tym opuszczonym miejscu przypomniał sobie całe

pożądanie i miłość, które w przeszłości do niej czuł. Przytłoczony poczuciem winy i żalu, zachwiał się, jakby pod naporem wiatru, potem przycisnął kłykcie do ust, przełykając żółć piekącą w gardle. On sprowadził ją w to przeklęte miejsce. On ją tu porzucił, beztroską, roztrzepaną Frances, która nie potrafiła zrozumieć tabeli pływów. On ponosił winę.

Mężczyzna obok ciągle mówił. Kobieta nazywała się pani Hart i mieszkała na wyspie Thorney. Teraz szukali dwojga jej dzieci. Sprawdzili w domu, ale tam ich nie było.

Dzieci… Kiedy ładowali ciało Frances na nosze i odchodzili, Gillis jak wszyscy obecni mężczyźni zdjął kapelusz. Potem odsunął się na bok i zwymiotował w wysoką trawę; wstrząs i przerażenie wywracały mu wnętrzności. Dzieci – gdzie były? Oczyma wyobraźni zobaczył je w Blackwater, nurt niósł je do morza. Bóg mu wybaczy, sam sobie nigdy nie będzie w stanie wybaczyć.

Kiedy minął ostatni paroksyzm, Gillis podstawił twarz pod strugi deszczu, by ją ochłodziły i zmyły jego łzy. Napił się z piersiówki, którą miał w kieszeni, i oddalił się od grupy na brzegu. Wzdłuż Blackwater ludzie chodzili po słonych mokradłach i łachach piasku, machając latarkami, wołając Edmunda i Theę. Gillis także gorączkowo omiatał snopem światła swojej latarki zalaną wodą okolicę, rozpaczliwie szukając błysku jasnych włosów chłopca albo czerwieni ulubionej sukienki dziewczynki. Smagał go wiatr. Stracił kapelusz i zamoczył płaszcz. Powiewy rzucały mu w twarz imiona, które wykrzykiwał, i go przedrzeźniały.

Sięgając po kolejną skarpetkę do zacerowania, Juliet usłyszała głośne walenie. Przestraszyła się i upuściła igłę. Zastanawiała się, czy to nowa sztuczka wichru, potem jednak wstała, złapała latarkę i pobiegła do drzwi frontowych. Kto o tak późnej porze składa wizytę przy okropnej pogodzie? Odciągnęła zasuwę.

Na schodach stał Gillis Sinclair. Wiatr rozwiewał mu włosy, twarz oświetlała latarka, którą trzymał w dłoni. Wyglądał na udręczonego.

– Juliet – powiedział. A potem się o nią oparł.

Kiedy pomagała mu wejść do salonu i usiąść na krześle, wyczuła, że cały drży. Deszcz kapał z jego płaszcza na podłogę.

Pośpiesznie nalała whisky do szklanki i wcisnęła mu ją w ręce. Oczy miał szeroko otwarte, utkwione w jakiś punkt w przestrzeni, i widocznie dygotał.

– Gillis – powiedziała łagodnie. – Jesteś przemoczony. Pomogę ci zdjąć mokre rzeczy.

Ściągnęła mu rękawiczki i powiesiła je na kurtynie przed kominkiem. Bała się o Gillisa. Sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Zastanawiała się, czy nie jest chory.

– Stało się coś strasznego – odezwał się.

Wzięła go za rękę.

– Powiedz mi.

– W Blackwater utopiła się kobieta. A jej dzieci… – Przycisnął palce do ust, jego ciało przeszedł silny dreszcz. – Na wyspie Thorney. Znaleźli ją na bagnie.

– Och, Gillis, to okropne. – Juliet nie była w stanie o tym myśleć.

Zadygotał i zakrył twarz rękoma.

– Widziałem ją. Była taka biała. Gdyby nie to, można by pomyśleć, że śpi.

– A dzieci?

– Połowa miasta ich szuka. Pomagałem im. – Zerwał się z krzesła.

Juliet poważnie obawiałaby się o jego zdrowie, gdyby się uparł, że znowu wyjdzie z domu.

– Policja i straż przybrzeżna ich znajdzie – oznajmiła stanowczo. – Dość już zrobiłeś, Gillisie.

Przez moment jego oczy z trudem skupiały się na jej twarzy, potem szarpnął głową w kierunku drzwi.

– Henry’ego nie ma, prawda?

– Nie, jest w Londynie.

– Gospodyni?

– Poszła do domu.

– Mogę skorzystać z telefonu? Przyjechałem tu, bo chciałem wpaść do mariny, ale sztorm zablokował drogę.

Wyszedł do holu. Juliet założyła, że dzwoni do Blanche, żeby jej powiedzieć, że z powodu pogody nie wróci dzisiaj do domu, ale

potem usłyszała jego podniesiony głos.

– Na litość boską, człowieku, rób, co tylko się da! – Później słowa znowu stały się niezrozumiałe.

Kiedy wrócił do pokoju, powiedziała:

– Gillis, musisz zostać tu na noc.

– Tak... dziękuję, Juliet.

Nagły błysk oświetlił pokój, przez moment było jasno jak w dzień. Ogłuszającemu grzmotowi towarzyszył straszny trzask, od którego stary dom zadrżał w posadach.

– Boże, Gillis! – krzyknęła Juliet i zaraz była w jego ramionach. Obejmował ją, pocieszał.

A potem się całowali. Jej dygotanie miało teraz inną przyczynę, brało się z desperacji, pragnienia i rozkoszy; Juliet wiedziała, że on czuje to samo, ponieważ wbijał palce w jej głowę, sprawiając ból, a jego usta, naglące i poszukujące, nie odrywały się od jej ust. Tonęła w deszczu pokrywającym jego skórę, czuła smak wody na jego wargach i języku, wsiąkała w jej ubranie i włosy. Pogrążała się w żarze, sile i mocy Gillisa, zapominając, że oboje mają współmałżonków, zapominając ku swemu wstydowi o biednej martwej kobiecie i jej zagubionych dzieciach, gotowa całować go wiecznie.

– Mamusiu! – rozległ się za jej plecami głos. Juliet głośno wciągnęła powietrze, Gillis wypuścił ją z objęć.

W progu stał Piers.

– Mamusiu, boję się!

– Kochanie... – Podeszła do niego i wzięła go na ręce. Drżała, odgarniając mu włosy z twarzy. – Kochanie, wszystko w porządku. To tylko głupi grzmot. Nie ma się czego bać.

– Czy klucz do domku jest tam gdzie zawsze? – zapytał Gillis.

– Tak. – Z wysiłkiem nadała głosowi zwykłe brzmienie. – Wydaje mi się, że w kominku jest drewno. Zabierz świece i jedzenie, co tylko chcesz, Gillis.

Kiedy wychodził, ich oczy się spotkały; Juliet pomyślała, że dostrzegła cień uśmiechu na jego twarzy. Zaniosła Piersa na piętro. Układając go do snu, usłyszała, jak Gillis zapala samochód, żeby przejechać do domku.

W nocy, nasłuchując wycia wiatru, myślała o pocałunku, ale też o kobiecie, która utonęła, i modliła się, by jej dzieci się odnalazły całe i zdrowe. Pamiętała chłopczyka, jego głos niosący się nad rzeką, i dziewczynkę w czerwonej sukience.

Burza ustała dopiero o trzeciej w nocy. Juliet kilka razy sprawdzała, co u Piersa i Charley – oboje smacznie spali. Przed powrotem do swojego pokoju wyjrzała przez okno na piętrze, starając się zobaczyć domek, ale ukryły go przed nią deszcz i mrok.

W końcu musiała zasnąć, bo kiedy się obudziła, w pokoju pojaśniało. Wicher ustał, a cisza zdawała się rezonować, pulsować niczym fale rozbijające się o brzeg. Juliet podgrzała butelkę dla Charley; nakarmiwszy córeczkę, położyła ją do łóżeczka. Ubrała się i zeszła do kuchni, gdzie zrobiła grzankę i kakao, które wlała do butelki, po czym owinęła jedzenie w ręcznik, żeby zachowało ciepło.

W płaszczu przeciwdeszczowym i gumowcach wyszła z domu. Blade niebo połyskiwało, przepojone światłem niczym gwiaździsty szafir. Juliet zobaczyła, że wielka wierzba rosnąca koło domu została zwalona – przypuszczała, że przez ten sam piorun, który ją posłał w ramiona Gillisa. Z pnia zostały drzazgi, korona pokrywała trawnik jak reje statku wyrzuconego na brzeg, gałązki i liście leżały na ścieżce do domku, na mokrej trawie pozostały kałuże załamujące światło jak klejnoty. Oszołomiona ze szczęścia i niewyspania, wędrowała po ogrodzie Marsh Court jak we śnie. Świeże chłodne powietrze wypełniało jej płuca, stopy ledwie dotykały ziemi, kiedy niczym puch ostu frunęła w stronę domku.

Gillisa jednak nie było. Wiedziała o tym, zanim otworzyła drzwi, i zalało ją rozczarowanie. Samochód nie stał przed domkiem; Gillis pewnie odjechał, kiedy spała. Musiał wracać wcześnie do pracy, pomyślała.

W domku na moment zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że Gillis jest z nią: odświeżony po przespanej nocy, bierze ją w objęcia i całuje. Pragnęła go – odkryła, że ten stan trwa od dawna. Zastanawiała się, jak długo go kocha, dziwiła się własnej ślepocie, która nie pozwoliła jej tego dostrzec. Badając swoje serce, doszła do wniosku, że ta miłość zaczęła się, gdy się poznali, gdy przez dym z ogniska zobaczyła, jak zbliża się ku niej.

Bała się, że dramatyzm burzy rozpalił namiętność, którą Gillis w bardziej normalnych okolicznościach wolałby ukryć. A jeśli tak, to co ona pocznie? Będzie wyczekiwała przy telefonie z nadziejami wolno umierającymi wraz z mijającym czasem?

Nie. Wiedziała, że tak nie będzie. Nie mogłaby żałować tego, co się między nimi stało, nie mogłaby żałować, że w końcu zdołała przelotnie dostrzec miłość.

Ciało chłopca znaleziono tamtego dnia, odpływ zaniósł je do strumienia Bradwell. Utopiona kobieta nazywała się Frances Hart, powiedziała jej Meg, i wynajmowała dom na Thorney od wiosny. Dzieci, Edmund i Thea, były niespełna pięcioletnimi bliźniętami. Przypuszczano, że się bawiły na grobli, skąd porwała je woda, a matka ruszyła im na pomoc. Takie rzeczy się zdarzały. Choćby w zeszłym roku utonął mężczyzna, próbując uratować psa, który wpadł do rzeki z grobli.

Nie przerwano poszukiwań Thei Hart, choć z każdym dniem słabła nadzieja, że dziewczynka zostanie odnaleziona żywa. Kiedy Juliet szła brzegiem Blackwater, uważnie przepatrywała strumyczki i bagniska, szukając dziecinnego bucika albo strzępów czerwonej sukienki. Dręczyła ją myśl, że dziewczynka zaginęła bez śladu. Kilka razy śniła, że porwało ją morze, błysk czerwieni malał i malał w wysokich szarych falach, aż wreszcie całkiem zniknął.

Chłodne popołudnie. Mżawka sprawiła, że w Hyde Parku pociemniały alejki, a trawniki poszarzały. Jakiś odgłos: Juliet obejrzała się, ale to tylko byli dwaj chłopcy; pokrzykując do siebie, biegli w deszczu, rozchlapywali kałuże. W końcu zasłoniły ich drzewa.

Gillis umówił się z nią koło pomnika Rima dłuta Jacoba Epsteina. Oczywiście zdawała sobie sprawę, dlaczego wybrał to odludne miejsce. Gillis Sinclair był postacią publiczną. Młody i przystojny, zawsze przyciągał uwagę. Nie należał do ludzi, na których się patrzy i zaraz się ich zapomina.

Może powinna stąd odejść. Dłonie zacisnęła w pięści, ze zdenerwowania rozbolał ją brzuch. Jeśli tu zostanie – jeśli się spotkają – to będzie początek wielu zdrad. Gillis był przyjacielem Henry'ego. Blanche Sinclair była przyjaciółką Wintertonów. Gillis był ojcem chrzestnym Piersa, a Henry ojcem chrzestnym Claudii Sinclair. Obie rodziny łączyło przywiązanie i wieloletnia przyjaźń.

Pomyślała, że powinna stąd odejść, zanim będzie za późno.

A mimo to została. Zrozumiała wtedy, że dokonała wyboru – że wybrała miłość. Ta świadomość nie sprawiła jej przyjemności, przeciwnie, wyczerpała ją. Juliet ukryła się w cieniu mrocznego, ociekającego wodą drzewa, rozplątując węzeł szala. Nie włożyła szczególnego wysiłku, by zadbać o swój wygląd, miała na sobie stary płaszcz w kolorze butelkowej zieleni, szal Hermèsa ze swojego posagu i prosty czarny kapelusz. Muśnięcie szminką, odrobina perfum.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła go i w jednej chwili jej wątpliwości i zastrzeżenia rozwiały się bez śladu. Miłość zapłonęła w niej niczym płomień i poczuła drżącą radość. Wyłonił się przed nią z mokrej zielonej trawy i srebrnego deszczu, a potem ją objął. Szybko się rozejrzał ponad jej ramieniem i pocałowali się. Usta miał chłodne i suche, jego język muskał jej dolną wargę. Kiedy wreszcie się od siebie odsunęli, ujął jej twarz w obie dłonie.

– Jesteś taka piękna. Cudowna.

– Ty też. Kocham cię, Gillisie. – Wypowiedzenie tych słów na głos sprawiło jej wielką radość.

– Naprawdę? – Roześmiał się. – W takim razie to świetnie, bo ja także cię kocham.

Trzymając się za ręce, ruszyli przez park do bramy.

– Mój przyjaciel ma mieszkanie w Pimlico – powiedział. – Pójdziemy tam?

Już teraz naciskał kciukiem jej dłoń, jakby usiłując dotrzeć do jej wnętrza.

W Pimlico na piwnicznym oknie stała skrzynka z uschłymi brązowymi astrami. Kiedy Gillis otworzył drzwi do mieszkania, zapach kurzu uderzył ich w nozdrza.

Juliet się rozejrzała. Obrazki na ścianach były marnej jakości, przedmioty na półkach źle dobrane i zakurzone. Od razu wiedziała, co to jest: czyjeś dawne gniazdko miłosne.

– Dość tu chłodno, prawda? – powiedział Gillis.

– Raczej tak.

– Mam włączyć ogrzewanie?

– Byłoby miło.

To błąd, pomyślała. Byli tutaj, papierowe postaci w fatalnie napisanym scenariuszu. Powinna wracać do domu.

Gazowy kominek prychnął i ożył. Juliet się pochyliła, ogrzewając dłonie.

– Mam sprawdzić, czy jest coś do picia?

– Nie, dziękuję – odparła.

– Ogrzałaś się? – Ujął jej dłonie i przycisnął do swoich policzków, a potem je ucałował.

Wstrzymała oddech. Muśnięcie opuszką palca, przelotny nacisk, pieszczota: wszystko to było lepsze od słów. Zaprowadził ją do sypialni, gdzie powiesił marynarkę na krześle i zdjął koszulę. Zobaczyła jego długie szczupłe kończyny i muskularny trójkąt torsu. Wokół prawego ramienia wiła się poszarpana blizna.

Próbowała ustalić, co w nim tak bardzo ją pociąga, czy jest to krzywy uśmiech, mglisty błękit jego oczu, czy też coś innego, czego nie potrafi do końca zidentyfikować. Rozsunął zamek sukienki i ściągnął jej przez głowę, potem to samo zrobił z halką. Rozchylił usta i ukląkł, by pocałować pas gołej skóry pomiędzy pończochą a majtkami. Zadrżała z pożądania. Odsunął pościel i położyli się. Jego ciało było twarde, palce badały jej ciężkie piersi i zagłębienie pod kością biodrową. A kiedy jego dłoń powędrowała w dół jej brzucha do miękkiego, sekretnego miejsca pomiędzy udami, Juliet zabrakło tchu.

CZĘŚĆ DRUGA

PRZYPADKOWY KOCHANEK

Rok 1957

Rozdział szósty

Lipiec–sierpień 1957 roku

Aidan malował port w Maldon. Był przypływ, rzeką płynęła płaskodenna barka, ogromna bestia długa na dwadzieścia cztery metry, z wydętymi rdzawymi żaglami. Słońce wydobywało iskry światła z wody barwy umbry. Pędzel Aidana sunął po papierze.

Uświadomił sobie, że ktoś go obserwuje. Dziewczyna, dość wysoka i szczupła, spoglądała mu przez ramię na sztalugi. Miała jasną cerę i długie proste włosy w kolorze platyny.

– Cudowne – powiedziała. Od razu zwrócił uwagę na jej akcent.

– Maszty nie są takie jak trzeba.

– Ale światło idealne. – Podeszła bliżej. – Ten fragment... ruch wody... naprawdę świetny. Jesteś artystą profesjonalnym?

– Nie. – Roześmiał się. – Zupełnie nie.

– A powinieneś być – oznajmiła poważnie. – Studiujesz na akademii?

– Nie. – To był jego czuły punkt. – Żałuję, że nie – dodał.

– A dlaczego nie?

– Ponieważ czekam na powołanie do wojska. – Skrzywił się. – Dwa lata musztry i wrzasków jakiegoś wściekłego gościa, który nie znosi artystycznych typów ze średniej klasy takich jak ja.

– Ale później.

Jest uparta, pomyślał, jakby była osobiście odpowiedzialna za jego przyszłość.

– Później będę pracował w rodzinnej firmie.

– To okropne.

W głębi serca też tak uważał. Zastanawiał się, czy dziewczyna jest artystką. Miała na sobie strój, który mu się kojarzył z bitnikami: spódniczka w szkocką kratę, czarny sweterek i czarne pończochy, chociaż był lipiec.

– A ty malujesz?

– Trochę rysuję, ale nie mam talentu. Mój ojciec, John Carlisle, jest artystą. Konstruktywistą. W przeszłości pracował z drewnem i szkłem, teraz zajął się plastikiem. Widzę u niego między innymi wpływ Charlesa Biedermana. Chociaż tata mówi, że jeśli zajrzy się dostatecznie daleko w przeszłość, zawsze trafia się na Mondriana.

– Jesteś Amerykanką, prawda?

– Urodziłam się w San Francisco. Mieszkaliśmy tam do rozwodu rodziców. Miałam wtedy jedenaście lat i z tatą przeprowadziliśmy się do Londynu.

W szkole był chłopak, którego rodzice się rozwiedli; koledzy patrzyli na niego z mieszaniną niesmaku i zazdrości o otaczającą go aurę skandalu. Ta dziewczyna mówiła o tym rzeczowo, jakby rozwiedzeni rodzice byli rzeczą normalną, a nie wstydliwą.

Wyciągnął do niej rękę.

– Jestem Aidan Winterton.

– Anne Carlisle. – Palce miała drobne i szczupłe, skórę chłodną. Ściskając jego dłoń, łagodnie się uśmiechnęła. Z bliska Aidan dostrzegł, że jej oczy są w niezwykłym szarym kolorze z jaśniejszymi plamkami jak odłamki szkła.

– Mieszkasz gdzieś tutaj, Aidanie?

– Przy głównej ulicy. A ty?

– Jestem z wizytą u przyjaciół w Heybridge. Tata musiał wrócić do Stanów, żeby uporządkować sprawy z mamą. Niedługo też tam lecę.

– Masz rodzeństwo?

– Nie, jestem jedynaczką. A ty?

– Mam siostrę Louise. I tuziny kuzynów. Piersa i Charley w Marsh Court, kilka kilometrów za miastem. Jake'a, Eliota i Gabe w St. Albans. Oraz Sinclairów, Flavię, Claudię, Nate'a i Rory'ego. Ci ostatni to przyszywani kuzyni, ale jak prawdziwi. – Bez Piersa, który wyjechał, życie wydawało się spokojne, ciotka Juliet zabrała Louise i Charley na wakacje do Kornwalii, a to oznaczało, że Wintertonów

było mniej, rzecz absolutnie nietypowa. Zwykle aż się tutaj od nich roiło.

– Jejku – powiedziała Anne. – Co za lista. Mam kuzynów ze strony matki, ale nawet nie znam ich imion.

– Prawdę mówiąc, jest ich trochę za dużo – stwierdził Aidan tonem znużonego światowca. – Czasami na ich widok robi się niedobrze.

– Mówisz tak, bo nie wiesz, jak to jest, kiedy się ma mało krewnych. Najczęściej jesteśmy tylko we dwoje z tatą. Na pewno świetnie się bawicie.

W obliczu jej zapału i szczerości poczuł się dość podle.

– Piers jest w moim wieku – powiedział. – Chodziliśmy razem do szkoły.

– Jaki on jest?

– Piers? – Aidan się uśmiechnął. – Bystry, tak sądzę. I zabawny, kiedy jest w nastroju. Lubi kłótnie, nawet kiedy myśli, że coś nie jest prawdą, upiera się tylko po to, żeby się z tobą nie zgodzić.

– Chcesz powiedzieć, że jest przekorny.

– Tak. – Aidan pomyślał, że to słowo świetnie charakteryzuje Piersa. – Przekorny. Jego siostra Charley jest teraz na wakacjach w Kornwalii z moją siostrą Louise. Piers wyjechał do Nowego Jorku z wujkiem Henrym.

– Do Nowego Jorku? To wspaniale.

– Mogłem jechać z nimi. – Nie miał pojęcia, dlaczego jej o tym powiedział: pewnie dlatego, żeby nie pomyślała, że jest zaściankowy i niezdarny.

Otworzyła szerzej dziwne szare oczy.

– Aidanie, czemu zrezygnowałeś?

Wzruszył ramionami.

– Miałem inne rzeczy do zrobienia. Byłaś w Nowym Jorku?

– Wiele razy. Miasto jest cudowne.

Teraz uważała go za głupiego i nielubiącego przygód. Spróbował się wytłumaczyć.

– Skończyłem szkołę dwa tygodnie temu. Definitywnie. Teraz czekam na powołanie do wojska, więc to moje ostatnie lato wolności.

– I postanowiłeś trochę pomalować, robić to, na co masz ochotę. Rozumiem. – Cofnęła się. – Zajęłam ci za dużo czasu. Teraz dam ci spokój.

– Nie. – Poczerwieniał, potem odchrząknął. – Byłaś w kaplicy Świętego Piotra? W Bradwell-on-Sea? To jedno z moich ulubionych miejsc. – Paplał, brzmiał idiotycznie, ona jednak zapytała:

– Teraz się tam wybierasz?

– Tak. Żeby pomalować, poobserwować ptaki... – O Boże, zamknij się. „Poobserwować ptaki".

– Aidanie, bardzo bym chciała zobaczyć tę kaplicę.

Jego zażenowanie się rozwiało, rumieniec zniknął.

– O dziewiątej piętnaście jest autobus z Maldon – powiedział. – Potem trzeba kawałek przejść pieszo.

– Mam samochód.

Jasne, że ma samochód: jest Amerykanką. Wypuścił powietrze z płuc.

– Pojedziesz?

– Oczywiście.

– To super.

Chociaż istotnie po części odrzucił propozycję wyjazdu do Nowego Jorku, ponieważ chciał mieć trochę czasu dla siebie, powodem odmowy było też to, że nie umiałby przez dziesięć dni słuchać, jak Piers i wujek Henry okrutnie ranią się słowami. Piers może i lubił sprzeczać się z Aidanem, generalnie jednak ich kłótnie nie były z natury złośliwe; Aidan zdawał sobie sprawę, że przyczyną jest on sam, rzadko bowiem zależało mu na czymś tak bardzo jak Piersowi i często pozwalał kuzynowi postawić na swoim. Wobec wujka Henry'ego Piers potrafił być podły. Nie znosił ojca i to było widać.

Kłótnie Aidana z ojcem jak dotąd dotyczyły nie tak znowu częstych sytuacji, kiedy rodzice wychodzili na wieczór i żądali od niego, żeby został z Louise. Aidan kochał ojca, rozumiał jednak, że pewnie o wiele trudniej kochać wujka Henry'ego. Sam z tatą nie pokłócił się nawet o akademię sztuk pięknych, porozmawiali o tym, a później Aidan zaakceptował to, co jak wiedział, jest nieuniknione. Zgodził się, że dobrze będzie pracować w firmie Wintertonów, chociaż miał wrażenie, że umiera.

Ze swoich odczuć zwierzył się tylko Louise. Miała dopiero dwanaście lat, ale umiała słuchać.

– Biedny Aidan – powiedziała. – Ale w weekendy możesz mnie odwiedzać. Ty będziesz malował, a ja zaopiekuję się osiołkami.

Louise od mniej więcej trzeciego roku życia wyobrażała sobie dom, w którym zamieszka, kiedy dorośnie. Miał stać na wsi, blisko rzeki. Louise współczuła osłom pracującym na polach, chciała uratować te chude, zabiedzone zwierzęta i zapewnić im wygodę.

Nazajutrz rano Anne Carlisle spotkała się z Aidanem na głównej ulicy. Prowadziła mały brytyjski samochód, a zamiast włochatej kraciastej spódnicy i czarnego sweterka miała na sobie jasnoniebieskie bawełniane spodnie do kolan, białą bluzkę i skórzane sandały na bosych stopach. Kiedy jechali drogą na Bradwell, opowiedziała mu o swoich planach na przyszłość. We wrześniu zaczynała kurs dla sekretarek. Po opanowaniu stenografii i pisania na maszynie wszędzie będzie mogła dostać pracę. Zależało jej na posadzie w galerii sztuki. Dobrze się znała na sztuce współczesnej, przez całe życie obracała się wśród artystów.

Nie należała do osób gadatliwych, Aidan także nie, i bywały chwile, kiedy milczenie wydawało mu się niezręczne. Anne uśmiechała się rzadko i uroczo, dlatego nie potrafił się oprzeć chęci opowiadania żartów, które by wywołały jej uśmiech. Ona jednak z takim samym namysłem traktowała lekkie uwagi, jak kwestie poważniejsze, po jakimś czasie poczuł się więc głupio i zrezygnował z prób bycia zabawnym.

Z Bradwell-on-Sea wyjechali na trakt z czasów rzymskich. Kiedy droga zmieniła się w wyboistą ścieżkę, Anne zatrzymała samochód i wysiedli. Pobocza zdobiły margerytki, błękitne cykorie i szkarłatne maki. Aidan zawsze kochał tę część wschodniej Anglii z jej bezkresnym morzem, niebem i ziemią przechodzącą w słone mokradła i błota, jakby nie potrafiła się zdecydować, czy jest płynna, czy stała. Część kaplicy, która musiała tak wiele widzieć, stanowiły fragmenty murów z dawnego rzymskiego fortu w Othonie.

– Tam, skąd pochodzę – powiedziała Anne, kiedy obchodzili budowlę – uważamy dom za stary, jeśli ma ponad pięćdziesiąt lat.

Kiedy się przeprowadziłam do Anglii, na początku wydawała mi się staroświecka i wyblakła. Teraz ją lubię.

Oddalili się od kaplicy, idąc wzdłuż opaski brzegowej zbudowanej koło słonego mokradła. Anne miała włosy związane w koński ogon, który przy każdym kroku podskakiwał. Były tak jasne, że w porównaniu z nimi blond Wintertonów wydawał się matowy. Aidan gwałtownie zapragnął dotknąć ich gładkiej jedwabistości. Jej biodra kołysały się, gdy szła po nierównym gruncie. Krótkie nogawki spodni odsłaniały szczupłe i opalone łydki.

Piers twierdził, że miał kilka dziewczyn. Twierdził też, że z dwiema to zrobił, chociaż Aidan nie wiedział, czy mu wierzyć. Sam bywał na spotkaniach w mieszanym towarzystwie (raz na wyjątkowo okropnej i żenującej podwójnej randce – Piers umówił ich z dwiema dziewczynami z miasteczka, które bez przerwy chichotały i szeptały do siebie), ale z żadną dotąd nie chodził. Szkoła z internatem i brak pewności siebie mu nie pomagały, a poza tym na tej strasznej podwójnej randce uświadomił sobie, że nie chce się całować z byle kim. Piers mówił, że zrobił to z dziewczyną, którą znał od kilku godzin. Myśl o takiej nagłej intymności odrzucała Aidana, chociaż nigdy nie przyznałby się do tego Piersowi, bo kuzyn by się z niego śmiał.

Zatrzymali się i wyjęli szkicowniki. Słońce odbijało się oślepiająco od wąskiego pasa morza widocznego za słonymi mokradłami. Osiemset metrów dalej ludzie na plaży szukali sercówek. Anne milczała, pogrążona w głębokim skupieniu, które nie uszło uwagi Aidana. Po kilku próbach nawiązania rozmowy uznał, że to wystarczy, i także skoncentrował się na pracy.

Po pół godzinie odłożyła ołówki.

– Mogę zobaczyć? – zapytał. Podała mu szkicownik.

– Świetne – powiedział.

– Nie musisz być uprzejmy. To jest świetne. – Głową wskazała jego akwalerę, zamazane brązy i szarości. – Ale się tym nie przejmuję. – Schowała szkicownik do plecaka. – Jestem dobra w innych rzeczach.

– Jakich?

Posłała mu jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

– Zorganizowałam kilka ostatnich wystaw taty. Poza tym zawsze kiedy wyjeżdża, kupuję mu bilety na samolot i pociąg, a także rezerwuję pokój w hotelu. A kiedy odwiedzają go przyjaciele, dbam, żeby mieli wygodne miejsce do spania. Czasami pojawia się ich dziesięcioro naraz.

– To musi być trudne.

– Wcale nie. Wychodzimy wszyscy na kolację i cudownie się bawimy. To artyści, przywykli, że nie mają za wiele, i nie są wybredni.

Pomyślał, jak ekscytujące i wyrafinowane jest życie Anne, do jej drzwi pukają artyści, a ona musi im znaleźć nocleg w jakimś domu cyganerii artystycznej, przypuszczalnie w Chelsea albo Fitzrovii. W porównani z tym jego własna egzystencja wydawała się napuszona i nudna.

– Nie możesz jakoś przekonać rodziców, żeby ci pozwolili studiować na akademii? – zapytała.

– Nie – odparł krótko. Położył się na trawie, pod głowę podkładając ręce.

– Przepraszam, nie chcę się wtrącać. Tylko że... to taka szkoda.

– Moja rodzina nie ma za dużo pieniędzy. Ojciec dokonał kilku złych inwestycji, więc nie jest łatwo.

Wcześniej nikomu o tym nie mówił. Nawet Piers nie wiedział, ale on potrafił być wyjątkowo niezainteresowany sprawami, które go nie dotyczyły.

– Tata jest chory – ciągnął Aidan. – Ma problemy z sercem. Musi mniej pracować. Louise chodzi jeszcze do szkoły, mama nie zamierza szukać posady, więc muszę zacząć pomagać tak szybko, jak się da. A artyści wcale nie zarabiają, prawda?

– Właściwie nie. Czy raczej nie przez wiele lat. Tata musi płacić mamie wysokie alimenty, a przedtem nie sprzedawał dużo obrazów. Dopiero kilka lat temu galeria w Londynie zaproponowała, że będzie go reprezentować, i od tego czasu sytuacja się poprawiła. Ale nigdy niczego nam nie brakowało. Nigdy nie głodowaliśmy.

Aidan wiedział, czego boją się rodzice, bo kiedyś późnym wieczorem podsłuchał ich rozmowę. Samochody wymagające

wymiany na nowe, czesne w szkole Louise, remont dachu domu w stylu georgiańskim.

– To, że nie głodujemy, moim rodzicom nie wystarcza – powiedział. – Uważają, że to okropne, że musieliśmy zwolnić pokojówkę. Każdy nawet najmniejszy sprzęt w naszym domu został po kimś odziedziczony. Kiedy Rory podpalił sofę – jest jeszcze mały, nie miał takiego zamiaru, po prostu bawił się zapałkami – i trzeba było kupić nową, rodzice po raz pierwszy w życiu byli w sklepie meblowym.

Przekręcając się na bok i podpierając na łokciu, Anne mierzyła go swoimi poważnymi szarymi oczami.

– Starasz się ich chronić, prawda, Aidanie?

– Tak – odparł. – Chyba tak.

W Mevagissey Charley wydała całe wakacyjne kieszonkowe na figurkę tancerki w białym gipsowym trykocie i spódniczce z siatki. W dniu powrotu do Marsh Court upuściła ją na podłogę w swoim pokoju i jedna noga tancerki się ułamała. Charley wylała morze łez, a Louise, która miała zręczne palce (Charley się obawiała, że sama ma wyjątkowo nieporadne), przykleiła ją. Tancerka nie wyglądała tak jak przedtem, przez co Charley popadła w żałobny nastrój, ale podziękowała kuzynce i pozwoliła jej opowiadać o schronisku dla osłów.

Ciocia Helen przyjechała po Louise.

– Kochanie, taka jesteś brązowa! – powiedziała i pocałowała ją. – Ty też, Charley. Miło spędziłyście czas?

– Louise, może pójdziesz i sprawdzisz, czy masz wszystkie swoje rzeczy? – odezwała się matka. – Charley, pomóż kuzynce.

Zamykając drzwi, Charley usłyszała, jak mama cicho pyta ciocię Helen:

– A Jonny? Co u niego?

Niedługo potem ciocia Helen i Louise pojechały do domu.

Charley wyszła do ogrodu. Biscuit, bardzo stary springer spaniel, truchtał za nią. Czuła się nieswojo i chociaż odwiedziła wszystkie ulubione zakątki, sad, miejsce na ognisko i strumień, gdzie Piers trzymał łódkę, melancholia jej nie opuściła. Myślała, że powinno

istnieć specjalne słowo na smutek, który się pojawia po zakończonych wakacjach; leżąc na trawie porastającej opaskę brzegową z Biscuitem ułożonym na jej brzuchu i głośno dyszącym jej w twarz, zastanawiała się, jak to słowo powinno brzmieć.

Żałowała, że Piersa i taty nie ma w domu. To takie niesprawiedliwe, że Piers pojechał do Nowego Jorku, a ona tylko do nudnej Kornwalii. I nawet nie przysłał widokówki. Zresztą Charley się tego nie spodziewała, Piers był beznadziejny w tego rodzaju sprawach. Chciała jak najszybciej opowiedzieć mu o swojej nowej sztuce. Nigdy nie wyglądał na znudzonego, kiedy czytała mu swoje sztuki, nigdy nie miał roztargnionej miny, którą Charley czasami widywała na twarzy mamy i która kazała jej podejrzewać, że mama myśli o czymś zupełnie innym. W Mevagissey napisała dwie pierwsze sceny. Bohaterka, lady Anthea, była rozkosznie szelmowska. Charley wymyśliła dla niej mnóstwo wyskoków, ale niewykluczone, że Piers podsunąłby jej lepsze propozycje niegodziwych postępków dla lady Anthei. Louise zupełnie się do tego nie przydała, ponieważ nie było w niej ani podłości, ani zazdrości.

Zepchnęła Biscuita i stoczyła się z opaski brzegowej, udając, że jest w ruchu oporu. Wolałaby, żeby był koniec sierpnia, bo wtedy do Marsh Court przyjadą Nate i Rory. Nate z czarnymi kręconymi włosami i zielononiebieskimi oczami wyglądał jak Cygan. Był świetny we wszystkim i z tego powodu strasznie zarozumiały. Nauczył Charley, jak w krykiecie rzucać znad głowy i jak robić bardzo skomplikowany węzeł kotwiczny.

Charley wróciła do domu. Mama siedziała za biurkiem w pokoju dziennym, mozoląc się nad diagramem złożonym z kółek.

– Co robisz, mamo?

Matka westchnęła.

– Rozkład siedzeń na koncert. To prawdziwy koszmar.

– Nie mogą usiąść gdziekolwiek?

– Niestety nie. – Mama odłożyła ołówek. – Najważniejsi ludzie zawsze zjawiają się w ostatniej chwili, musieliby więc siedzieć z tyłu i byliby strasznie obrażeni. W przyszłym roku wcale by nie przyszli i dom dziecka nie miałby pieniędzy. – Odsunęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się do córki. – Kochanie, zrobiłabyś coś dla mnie?

Gdybyś napisała wszystkie nazwiska na małych karteczkach, mogłabym je przekładać.

Charley wiedziała, że właśnie zlecono jej „pożyteczne zadanie" (mama głęboko wierzyła w „pożyteczne zadania"), mimo to powiedziała:

– Jasne.

– To cudownie, kochanie. Bardzo mi pomożesz.

Od ostatnich mniej więcej ośmiu lat wakacje letnie Wintertonów przebiegały według ustalonego wzoru. Dzieci kończyły szkołę w lipcu, potem Juliet i Helen zabierały je do hrabstwa Devon albo do Kornwalii. Czasami jechał z nimi Jonny, Henry natomiast zawsze wtedy pracował. Sierpień był miesiącem koncertów; później co roku Juliet przysięgała sobie, że nigdy więcej się na to nie narazi – praca, zdenerwowanie nie były tego warte – ale nie dotrzymywała danego sobie słowa.

W tym roku było inaczej. Piers i Aidan nie pojechali z nimi do Kornwalii. Henry, który w tym czasie wyjechał do Nowego Jorku, by kupić kamienie, zabrał ze sobą Piersa. Zaproponował Aidanowi, żeby im towarzyszył, ale ten uprzejmie odmówił. Oznajmił, że z Kornwalii także rezygnuje, woli zostać w domu. Później Jonny zachorował i Helen się nim opiekowała, w rezultacie więc Juliet sama z dziewczynkami wyruszyła do Mevagissey. Było miło, ale nie bawiły się tak dobrze jak zwykle. Siedząc na leżaku na plaży, Juliet zadawała sobie pytanie, kiedy wreszcie zupełnie dadzą sobie spokój z wakacjami w West Country.

Do tradycji rodzinnej należało świętowanie w sierpniu ostatniego weekendu lata. Wszyscy, Wintertonowie i Sinclairowie, spotykali się w Marsh Court. Dzieci szalały, a dorośli jedli, pili, grali w niemądre gry i leniuchowali. Od wszystkich oczekiwano udziału w długich spacerach; i zawsze rozpalali ognisko dla uczczenia spotkania. Wtedy koncerty już się odbyły i Juliet mogła się odprężyć.

Wyczekiwała na ten weekend także dlatego, że wtedy spotka się z Gillisem – chociaż to był też powód, żeby się go obawiać. Gillis doskonale udawał, że nic szczególnego ich nie łączy, i czasami Juliet

łapała się na myśli, czy zajęty Wintertonami, przypadkiem rzeczywiście o tym nie zapomniał. W trakcie ich trwającego ponad dziesięć lat romansu bywało, że nie odwiedzał Marsh Court zajęty pracą, i wtedy myślała, że jej unika. Oba te podejrzenia były tak samo żałosne. Oczywiście Gillis wykazywał się rozsądkiem, dbając o dyskrecję, i oczywiście jego praca była ważna. Próbowała siebie przekonać, że powinna jej wystarczyć świadomość jego istnienia, to, że z nim jest.

Ale nie wystarczała. Kiedy przypominała sobie początki ich romansu w smutnych powojennych latach, pamiętała tylko rozkosz. Miłość, pożądanie, żar jego ciała na swoim ciele. Rozkosz przebywania z nim i rozkosz rozłąki, kiedy o nim myślała. Miłość ją odmieniła, więcej, ułatwiła jej tolerowanie Henry'ego. Wcześniej Juliet nie wiedziała, że można kogoś tak bardzo pragnąć, i odkryła w sobie rodzaj brawury. Pewnego wiosennego popołudnia kochali się w starym hangarze na łodzie nad strumieniem. Było okropnie zimno, później miała siniaki od twardej ubitej ziemi. Kiedy wracali do Marsh Court, spotkali nad rzeką rybaka i musiała skrzyżować ręce na piersiach, żeby ukryć smugę kurzu na jedwabnej bluzce.

Teraz rzadziej zdarzało jej się odczuwać rozkosz. Juliet raz jeszcze przebiegła wzrokiem plan rozstawienia krzeseł. Rozkosz zmalała, poczucie winy się zwielokrotniło. Raz próbowała je zracjonalizować. Będą ostrożni, Blanche i Henry nigdy o niczym się nie dowiedzą. Nie może nas zranić coś, o czym nie wiemy. I tak dalej, i tak dalej. Mówiła sobie, że Blanche nie kocha Gillisa tak mocno jak ona, Juliet, że Blanche nie jest kobietą namiętną, a Gillis musi dać upust tej części swojej natury, której małżeństwo nie zdoła zaspokoić.

Ale Blanche Sinclair była przyjaciółką rodziny, dobrą, serdeczną kobietą, kochającą matką, która energicznie wspierała wszelkie inicjatywy dobroczynne. Blanche w niczym nie przypominała Henry'ego i Juliet nie miała prawa osądzać cudzego małżeństwa. W mroczniejszych chwilach nienawidziła siebie za tę hipokryzję i egoistyczne oszukiwanie siebie. Była kochanką Gillisa, ponieważ go pragnęła. To wszystko.

Gillis się obawiał, że najmniejsza nawet niedyskrecja przedostanie się do opinii publicznej. Czasami Juliet myślała, że wolałby, żeby byli

niewidzialni. Każda sytuacja, w której o włos unikali zdemaskowania – znajomy dostrzeżony na ulicy, nieoczekiwany telefon od Blanche – sprawiała, że ogarnięty paniką bladł jak kreda. Juliet nie wolno było dzwonić ani pisać do niego, kontaktować mógł się tylko on. Upokorzenie i wyrzuty sumienia stały się jej chlebem codziennym. Brak równości w ich związku w połączeniu z kłamstwami, które opowiadała Henry'emu lub gospodyni, kiedy ich prosiła o zaopiekowanie się dziećmi, wymyślanie wizyt u dentysty albo krawcowej tłumaczących wyjazdy z domu, wszystko to ją zawstydzało.

Kiedy właściciel garsoniery w Pimlico rozwiódł się z żoną i sprzedał mieszkanie, zaczęli się z Gillisem spotykać w hotelach w Hampstead, Highgate, Hendon, oddalając się od geograficznego serca Londynu w sposób, który zdawał się odzwierciedlać wydłużające się okresy pomiędzy schadzkami. Niepewność zmieniła się w podejrzenie. Pewnego wieczoru w podłym hotelu na przedmieściach Londynu Juliet nie zamierzała dłużej milczeć. Zapytała go: „Czyżbym spadała na liście twoich priorytetów, Gillis? Niech odgadnę porządek: kariera, dzieci, małżeństwo, Juliet. Czy raczej przeceniam swoją ważność? Może zajmuję miejsce po klubie i jachcie?".

Wtedy po raz pierwszy się pokłócili. „Myślałem, że rozumiesz", powiedział z zimną furią w głosie. „Myślałem, że stać cię na dojrzałe zachowanie". Minęły trzy miesiące, zanim znowu go zobaczyła, a wtedy, znużona samotnością, zazdrością i rozpaczą, błagała go o wybaczenie. Miłość pozbawiła ją warstw ochronnych, pozostawiła bezbronną i obnażoną. Romans zaczął się od nowa, ale coś utracili. Spotkania, zawsze przedmiot starannego i ostrożnego planowania, zawsze narażone na odwołanie w ostatniej chwili przez Gillisa, stały się rzadsze, a mimo to jak wcześniej były dla niej wyspami szczęścia i pociechy za brak miłości Henry'ego. Jej dzieci, dom i Gillis, okazjonalny kochanek: to dla nich śpiewało jej serce.

Z czasem zobaczyła go takiego, jakim był: mężczynę czarującego i świadomego swojego uroku, który ma władzę nad kobietami, bez skrupułów ją wykorzystuje i przeznacza najlepsze siły na karierę, lecz to nie sprawiło, że przestała go kochać. Wybaczyła mu jego egocentryzm. Wierzyła, że na swój sposób ją kocha. Miała nadzieję,

że stanowi dla niego schronienie – kochające, nieosądzające, doceniające. Nadal potrafił sprawić, że zapominała o wszystkim i pogrążała się w pozbawiającej tchu rozkoszy. Czasami sama sobie się dziwiła, dziwiła się kompromisom, na które szła, kłamstwom, które opowiadała, płaconej przez nią cenie za kilka chwil radości.

Czwarte dziecko Sinclairów, Rory, urodziło się w 1949 roku. Pewnie powinna nienawidzić Gillisa za ten jednoznaczny dowód, że nadal żyje z Blanche jak mąż z żoną, ale nie czuła do niego złości i z czworga jego dzieci właśnie Rory'ego kochała najbardziej. Słodki urwis, zupełnie nie odziedziczył urody Sinclairów i był zwyczajnym szatynem z perkatym nosem. Nate i Rory często przyjeżdżali do Marsh Court. Charley, wiekowo plasująca się między nimi, uwielbiała ich obu.

Kiedy urodził się Rory, intuicja podpowiedziała Juliet, że niebezpiecznie jest koncentrować całą namiętność i energię na romansie, że musi znaleźć coś jeszcze, co zajęłoby jej myśli – cokolwiek. Pierwszy letni koncert odbył się w Marsh Court w 1949 roku. Z czasem jeden rozrósł się do trzech, wypełniając kolejne soboty sierpnia. Większość uczestników kupowała karnet, choć zawsze pozostawało kilka tańszych miejsc w tylnych rzędach, na które bilety można było kupić na poczcie w Maldon. Uzyskane pieniądze przeznaczone były dla organizacji dobroczynnych zajmujących się dziećmi. Przez lata Juliet zebrała sporą sumę.

Nie była urodzoną organizatorką, mizdrzenie się do ważnych tego świata wyczerpywało ją. Nie mogła zapłacić muzykom normalnych gaży, musiała więc wykorzystać swój urok, żeby ich nakłonić do występu. Atrakcją dla nich powinien być sam Marsh Court, dlatego zapewniała wyśmienity bufet, wygodny dom i cudowny ogród. Czasami zadawała sobie pytanie, czy te koncerty nie są rodzajem pokuty. Jedną z organizacji dobroczynnych, które wspierała, założyła Blanche Sinclair.

Rok po pierwszym koncercie dyrektorka szkoły podstawowej Piersa zaczepiła Juliet, kiedy ta po niego przyjechała. Nauczycielka plastyki nieoczekiwanie odeszła, co stanowiło duży kłopot, a ona ma niejakie pojęcie o sztuce, prawda? Czy byłaby tak dobra i rozważyła przyjęcie zastępstwa, dopóki kogoś nie znajdą? To była dobra szkoła,

tolerancyjnie przymykała oko na okazjonalne napady złego zachowania Piersa, Juliet poczuła się więc zobowiązana odpowiedzieć „tak". Przed pierwszą lekcją było jej niedobrze ze zdenerwowania, tak strasznie się bała, że nie zdoła zapanować nad klasą pełną małych chłopców, ale solidnie się przygotowała i dwie godziny minęły jak z bicza trzasnął, a później czuła ulgę i uniesienie.

Przez siedem ostatnich lat uczyła przez dwa popołudnia w tygodniu i nie przestała, nawet kiedy Piers i Aidan w wieku trzynastu lat przenieśli się do szkoły z internatem. Pomagała Henry'emu przyjmować gości w Londynie, a w weekendy dom był pełen Wintertonów i ich przyjaciół. Była zawsze zajęta, czasami wręcz gorączkowo, i to jej odpowiadało. Nie poradziłaby sobie bez Meg, która pozostała w Marsh Court jako gospodyni, kiedy rozwiązano Land Army. Meg wynajmowała domek w Mundon i mieszkała w nim ze swoją przyjaciółką Sarah.

W 1951 roku konserwatyści wrócili do władzy pod przywództwem siedemdziesięcioześcioletniego wówczas Winstona Churchilla. Gillis nie krył radości. Zawsze lojalnie popierał sir Anthony'ego Edena, drugiego po Churchillu, i Juliet wiedziała, że liczył na to, iż wreszcie los się do niego uśmiechnie. Zwierzył się jej z wiary, że zdoła wrócić na szczyt, który osiągnął przed wojną. Miał czterdzieści kilka lat i równie wielkie ambicje, ale wojna odcisnęła na nim swoje piętno jak na wszystkich z jego pokolenia i od czasu do czasu sporo pił, zresztą nie tylko on, ale Henry i inni przyjaciele Wintertonów także, ponieważ widzieli i robili rzeczy, o których nie byli w stanie spokojnie myśleć.

Kiedy Churchill podupadł na zdrowiu, w 1955 roku na stanowisku premiera zastąpił go sir Anthony Eden. Juliet widziała, jak optymizm Gillisa wolno gaśnie, gdy mijały miesiące, a on pozostawał wciąż w tylnych ławach, bo Eden nie powierzył mu funkcji, na której tak mu zależało. Rok później kryzys sueski zniszczył zdrowie i reputację Edena, a Gillis przekonał się, że współpraca z nim na zawsze go splamiła. Życie czasami przynosi rozczarowanie: to była dla niego trudna lekcja.

Jeśli chodzi o Juliet, to uczyła się żyć jak Wintertonowie, robić dobrą minę do złej gry, nawet gdy serce jej pękało. Wiedziała, że

Gillis nie potrzebuje jej tak bardzo jak ona jego, a to ją upokarzało. Niezliczoną ilość razy postanawiała, że zakończy romans, ale to postanowienie rozpadało się w proch, gdy tylko znowu go widziała.

Jeśli rzadziej kłócili się z Henrym, to dlatego, że rzadziej się widywali. Musiała się zadowolić dwojgiem dzieci, nie dzieliła z Henrym łoża na tyle często, by mogła zajść w następną ciążę. Od poniedziałku do piątku przebywał w mieszkaniu przy Bond Street i Juliet podejrzewała, że przez lata znajdował zastępczynie Teddie. Czasami jego koszule pachniały perfumami, a raz tak zwana przyjaciółka radośnie jej wyznała, że widziała go z kobietą na Strandzie. Juliet miała ochotę ją spoliczkować.

Ich małżeństwo było serią impasów i potyczek przeplatanych od czasu do czasu wielkimi bitwami pełniącymi funkcję wentylu bezpieczeństwa. W kwiecie wieku Henry był czujną i potężną głową rodu. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku firma podźwignęła się z powojennej mizerii. Ludzie mieli teraz więcej pieniędzy, niektórzy wydawali je u Wintertona na perły, diamenty i broszki z teksturowanego złota, chociaż brakowało kamieni szlachetnych, a podatki były wysokie.

Juliet powiedziałaby, że przez większość czasu jest szczęśliwa. W wieku trzydziestu ośmiu lat kochała dzieci i dom i miała wiele zainteresowań. Tylko czasami łapała się na kwestionowaniu własnego zadowolenia, tego czepiania się cienkiej warstwy satysfakcji i uchylania się przed tym, co znajdowało się pod nią.

Wpatrując się w arkusz przed sobą, westchnęła. Szybka poprawka – pani Westmorecott cierpiała na katar sienny, miejsce przy oknie chyba nie jest dla niej odpowiednie – i Juliet uznała, że nie da się już lepiej rozsadzić gości, po czym zaczęła wyciskać po kropli kleju na karteczki, które wycięła Charley.

Piers, Aidan i Anne byli w kawiarni przy High Street w Maldon. Piers i wujek Henry wrócili do domu tego dnia rano, oczy mieli zaczerwienione po długim locie.

– Plaza jest cudowna – powiedziała Anne. – Spędziłyśmy tam z mamą weekend.

– Boże, potrzebowałem tej kawy. – Piers westchnął. – Cholerny lot. Co się działo?

– Niewiele – mruknął Aidan.

– No, teraz to się zmieni. Anne, pewnie uważasz, że w porównaniu z Londynem ta dziura jest nudna jak flaki z olejem.

– O nie, wręcz przeciwnie. Aidan pokazał mi kilka cudownych miejsc.

– Naprawdę? – Piers przeniósł wzrok na Aidana. W jedwabistym błękicie oczu kuzyna malowała się ironia. – Powiedz, gdzieście byli.

– W kaplicy Świętego Piotra... na wyspie Thorney... w Mersea...

– Ekscytujące – skomentował Piers. – Jestem przekonany, że Anne bardzo się podobało. Gdzie mieszkasz?

– U przyjaciół na łodzi w Heybridge.

– Na łodzi. – Piers teatralnie zadrżał. – Okropnie wilgotno i zimno.

– Wcale nie. Lachlan i Sue urządzili ją przytulnie. Lachlan jest konstruktywistą jak mój tata. Sue maluje morskie pejzaże.

– Mieszkanie na łodzi musi im odpowiadać. Zakrapiane wieczory i rozmowy późno w nocy o kubizmie i ekspresjonizmie abstrakcyjnym.

– Kiedy się robi naprawdę zimno, mieszkają z nami w Londynie. Sue jest cudowna, oddałaby ci ostatnią koszulę. Kiedy kilka lat temu tata złamał nogę, bardzo nam wtedy pomogła.

Aidana zdumiewała otwartość Anne. Poczuł ukłucie zazdrości. Wiedział, że Piers, jeśli się do tego przyłożył, potrafił zauroczyć. Delikatne i inteligentne kpiny Piersa jego irytowały, ale innym wydawały się pełne wdzięku.

– Czy Aidan przedstawił cię hordom Wintertonów, Anne?

– Jeszcze nie – odparł Aidan ponuro. Gdyby zaprosił Anne do domu i przedstawił rodzicom, przy kolacji nie daliby jej spokoju. To nie byłoby złośliwe ani niemiłe, ale zadawano by pytania, wygłaszano komentarze i przypuszczenia.

– Poznałam Louise – powiedziała Anne. – Jest taka słodka. A teraz zamówię dla nas po kolejnej filiżance kawy.

– Ja pójdę – zaoferował się Piers.

– Nie, nalegam.

Kiedy Anne była przy kontuarze, Piers cicho gwizdnął.

– Spryciarz z ciebie, stary.

Aidan zmarszczył czoło.

– O co ci chodzi?

– Laleczka z niej.

Aidan nienawidził fałszywego amerykańskiego akcentu kuzyna, nienawidził tej maski światowości, którą tamten nosił.

– To przyjaciółka – oznajmił lodowato. – Lubię ją, to wszystko.

Najczęściej Piers wychodził z domu po śniadaniu. Kiedy Charley zapytała go, dokąd się wybiera, odparł z tym swoim irytującym uśmiechem:

– Na miasto.

– Myślę, że są z Anne Carlisle – powiedziała Louise.

– Kto to jest? – zapytała Charley.

Louise wyjaśniła. Były w pracowni na tyłach jej domu, wypełnionej dziełami Helen, ogromnymi kolorowymi obrazami kwiatów, czasami tylko jednego płatka albo pylnika.

– Poznałaś ją? – dopytywała się Charley.

– Tak. Jest bardzo śliczna.

Louise sama była bardzo śliczna. Chodziły z Charley razem do szkoły i powszechnie się zgadzano, że Louise jest najładniejsza ze wszystkich dziewcząt.

– Aidan się w niej kocha – dodała.

– Skąd wiesz?

– Nigdy o niej nie mówi.

– Pomyślałabym, że jeśli się w kimś kochasz, będziesz cały czas o nim mówić.

– Ale nie Aidan – odparła Louise kategorycznie.

Charley powiedziała mamie i cioci Helen, że pojedzie autobusem do Marsh Court, ale zamiast tego ruszyła do portu. Nie powinna sama wracać do domu ścieżką wzdłuż rzeki, choć często to robiła.

Martwiła się, że Louise wiedziała o Anne Carlisle, podczas gdy ona nie miała o niej pojęcia. Nie znosiła poczucia wykluczenia. Rodzina Louise wydawała się jednością, a jej podzieliła się na odrębne jednostki, które czasami mówiły sobie o różnych sprawach,

a czasami ledwie się do siebie odzywały. Charley nienawidziła, kiedy rodzice się kłócili, robiło się jej od tego niedobrze. Ojciec mówił matce podłe rzeczy, matka, choć zdarzało się to rzadziej, odpowiadała mu tym samym. Charley czuła się zobowiązana do rozweselania rodziców po kłótniach.

Bała się, że się rozwiodą, co byłoby straszne, bo co wtedy Charley by poczęła? Nie ulegało wątpliwości, że z mamą łatwiej byłoby mieszkać, ale z nią na pewno zostałby Piers, a to by znaczyło, że Charley czułaby się w obowiązku zamieszkać z ojcem, żeby nie był sam. A ojciec ciągle byłby w strasznym humorze i robiłby okropne uwagi o mamie, rzecz nie do zniesienia.

Pogrążona w ponurych myślach, Charley za późno się zorientowała, że minęła skręt prowadzący do domu. Już miała zawrócić, kiedy dostrzegła fragment niebieskiego żagla na tle brązowej rzeki. Pokonawszy zakręt, zobaczyła Piersa, Aidana i dziewczynę o jasnych włosach. Niedaleko była zacumowana łódka Piersa.

Za ich plecami leżała szarozielona bryła wyspy Thorney. Zbliżał się przypływ, woda zalewała groblę. Piers i Aidan stali obok siebie na wyspie, Anne po drugiej stronie wody. W podniesionej ręce trzymała białą chusteczkę. Charley pojęła, że chłopcy przygotowują się do biegu przez groblę.

Anne opuściła rękę, chusteczka zatrzepotała. Piers i Aidan pobiegli przez wodę, piętami kopiąc w mokry piasek, podwinięte nogawki spodni mieli pociemniałe od wilgoci, twarze czerwone i wykrzywione z wysiłku.

Kiedy zbliżyli się do brzegu, Piers się wysforował. Wydał triumfalny okrzyk i wyrzucił w górę zaciśniętą pięść. Złapał Anne w objęcia, podniósł ją i okręcił się dokoła. Woda zalewała Aidanowi kostki, kiedy się pochylił, z trudem łapiąc powietrze.

To Anne zobaczyła ją pierwsza.

– Ty na pewno jesteś Charley – powiedziała, podchodząc do niej. – Jesteś słodka! Wyglądasz dokładnie jak Piers.

Słodki, pomyślała Charley i poczuła, jak zbiera się jej na wymioty.

– Charley, do cholery, co ty tu robisz? – Piers wyglądał na zirytowanego.

– Idę na spacer. Mama mówiła, że nie wolno przechodzić przez groblę, kiedy jest przypływ.

– Mama nie musi wiedzieć.

– Jest pora podwieczorku. – Charley ruszyła ścieżką.

Piers ją dogonił.

– Nie waż się słówkiem wspomnieć o tym mamie.

Charley zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

– O czym? Że się popisujesz przed tą dziewczyną?

– Zamknij się, ty głupku.

Kiedy się od nich oddalała, łzy pociekły jej z oczu. Nigdy nie umiała długo być zła na Piersa, dlatego przeniosła urazę na Anne Carlisle. Uznała, że to Anne musiała namówić ich na ten wyścig. Chłopcy to idioci, zgodzili się, żeby jej zaimponować. Charley zobaczyła wyraz twarzy Anne, kiedy Piers złapał ją w objęcia i zaczął się z nią okręcać. Radość pomieszana z sentymentalnym przywiązaniem, które będzie kompletnie zmarnowane na kogoś takiego jak Piers.

Pod koniec sierpnia tegoroczone koncerty się skończyły, Juliet mogła z ulgą odetchnąć i zacząć myśleć o rodzinnym weekendzie.

Jane, Peter, bliźniacy i Gabe przyjechali w piątek wieczorem. Juliet wstała wcześnie w sobotę, żeby przygotować grecką sałatkę i *ful medames*. Teraz, jeśli ktoś wiedział, dokąd się udać, można było kupić dobre gatunki oliwek, jogurtu i czosnku. Przyjemność sprawiało jej odtwarzanie potraw z dzieciństwa. Jonny, Helen, Aidan i Louise mieli się pojawić lada chwila. Na Petera spadł obowiązek zajmowania się barkiem, Jane poszła zobaczyć się ze swoją starą nianią w Maylandsea, a Jake i Eliot, obaj kończący studia medyczne, jeszcze nie wstali. Gillis, Blanche i czworo ich dzieci mieli przyjechać na sobotni piknik, będący tradycją Wintertonów.

Juliet zabrała się do blanszowania migdałów do pikantnych kanapek. Wrzuciła je do gotującej się wody, w której kręciły się i wirowały. Pokroiła pikle i składniki na *chutney*, następnie wyłowiła migdały, przerzuciła do miski z zimną wodą i zdjęła skórki. Nie było przy niej Meg, dała jej wolny weekend, ponieważ Sarah kończyła czterdzieści lat i obie chciały spędzić dzień na wybrzeżu. Mimo że

wstała wcześnie, już miała zaległości, kiełbaski nie były ugotowane, homary czekały na rozczłonkowanie, majonez na ukręcenie.

Poczuła dreszcz podniecenia – za mniej więcej godzinę zobaczy Gillisa. Ubrała się w letnią sukienkę z kwiecistego jedwabiu, którą ochroniła fartuchem. Włosy miała sczesane na bok, wijące się przy twarzy. Minęły ponad dwa miesiące od ich ostatniego spotkania, przeszkodziły im wakacje, koncerty, obowiązki związane z pracą i rodziną.

Zamyśliła się i poparzyła sobie palce, bo próbowała obrać ze skórki migdały świeżo wyjęte z wrzącej wody. Z dłonią pod strumieniem zimnej wyjrzała przez okno. Piers, Aidan i dziewczyna siedzieli na trawniku. Juliet jej nie rozpoznała; dziewczyna była ubrana w jasnoniebieskie spodnie za kolana i białą bluzkę. Włosy barwy platyny wbrew obecnej modzie na loczki miała proste, sięgały ramion.

Do kuchni przybłąkała się Charley.

– Gdzie jest tata?

– Kompletuje sprzęt do krokieta. – Juliet głową wskazała okno. – Kim jest ta dziewczyna? Znam ją?

Charley się wykrzywiła.

– Fuj. To Anne. Amerykanka. Aidan ją kocha... – Ostatni wyraz przeciągnęła.

– Nie bądź niemądra, kochanie.

– To prawda.

– Nawet jeśli, w co wątpię, nie powinnaś takich rzeczy powtarzać.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Czy to Gillis? Juliet poczuła, jak serce się jej ściska.

Podała córce miskę pełną połówek cytryn i wyciskacz.

– Zobacz, co ci się uda z tym zrobić, skarbie.

Zdjęła fartuch, potem w lustrze w holu sprawdziła makijaż i włosy. Kiedy otworzyła frontowe drzwi, na progu stali Jonny, Helen i Louise.

Jonny wręczył jej butelkę bordo, a Helen bukiet róż ze swojego ogrodu. Były uściski i pocałunki, a kiedy weszli do domu, Helen zapytała:

– Jak mogę ci pomóc? Przy homarach? Wiesz, że homary to moja specjalność.

To Piers wpadł na pomysł, by zaprosić Anne do Marsh Court. Dzisiaj, jak zauważył, będzie mogła poznać wszystkich Wintertonów za jednym zamachem. Anne mruczała, że nie chce się narzucać, ale Piers odparł:

– Brednie. Musisz zostać na lunchu. Mama nie będzie miała nic przeciwko temu.

Aidan podejrzewał, że ciocia Juliet jednak się nie ucieszyła, kiedy w ostatniej chwili spadł jej na głowę dodatkowy gość. Na pytanie Piersa, czy Anne może zostać, serdecznym, acz nieprzekonującym tonem odpowiedziała:

– Oczywiście, Anne, gorąco zapraszam, o ile nie będzie ci przeszkadzał ścisk przy stole.

Żar narastał od świtu. Pod błękitnym niebem trawa była blada i sucha jak rafia. Aidan i Piers ustawili na tarasie stoły na kozłach i wynieśli krzesła. Charley i Louise nakryły. Ziewający i rozczochrani bliźniacy wyszli z domu, mrużąc oczy przed słońcem. Potem przyjechali Sinclairowie i wszyscy ruszyli podziwiać nowy samochód wujka Gillisa.

Claudia Sinclair położyła dłoń na brzuchu i powiedziała do Aidana:

– Wymiotowałam sześć razy. Tata przestał się z tego powodu zatrzymywać i po prostu rzygałam w aucie.

– Jedna z naszych rozkoszniejszych podróży – skomentował Gillis ironicznie.

Przy lunchu Aidan wylądował pomiędzy Claudią a Flavią; naprzeciwko niego Piers siedział koło Anne, ale ciocia Juliet uznała, że dziewczyna powinna zająć miejsce między Eliotem a Nate'em. Charley się zirytowała, ponieważ wcześniej siedziała koło Nate'a, a teraz musiała przenieść się na krzesło obok Rory'ego. Po kolejnych przetasowaniach mama i ciocia Juliet podały posiłek.

Aidan miał się świetnie bawić, ale wcale się nie bawił. Po pierwsze, było za gorąco, masło się roztapiało, a sałatki i kanapki wyglądały na zalane olejem. Claudia ciągle odganiała osy, Piers się popisywał, głośno opowiadając cioci Blanche o Nowym Jorku. Na końcu stołu działo się coś pomiędzy jego ojcem a wujkiem Henrym, doszło do jakiegoś nieporozumienia, ponieważ wujek mówił podniesionym głosem, a tata nie odrywał oczu od talerza.

Aidan się zastanawiał, co Anne o nich myśli, czy według niej Wintertonowie są nudnymi burżujami. Chociaż posiłek nazywali piknikiem, to nie był prawdziwy piknik, korzystali przecież z obrusu, serwetek, srebrnych sztućców i kryształowych naczyń, a ciocia Juliet przygotowała wymyślne potrawy. Wyobrażał sobie, że kiedy Anne z ojcem i przyjaciółmi artystami wybierali się na piknik, siadali na trawie, jedli chleb i francuskie sery, pili wino z butelki w słomianym koszu. Wintertonowie utknęli w przeszłości. Jakby nie dostrzegli, że czasy się zmieniły.

W myślach szkicował profil Anne, jej spadające jedwabiste jasne włosy. Mógłby narysować ją z pamięci, zrobił to wiele razy. Dzisiaj rano powiedziała im, że ojciec napisał do niej z prośbą, by dołączyła do niego w San Francisco. Zarezerwował dla niej bilet na środę, czyli za pięć dni.

Strumyczek potu pociekł Aidanowi po karku; szturchnął swojego homara, pogrążając się w przegrzanym, drażliwym posępnym nastroju. Anne była najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu spotkał, ale jeszcze jej tego nie powiedział. Wahał się, dotąd nie potrafił zebrać się na odwagę, żeby zaprosić ją na randkę. Od powrotu Piersa prosta, wygodna cisza, która jak sądził, istniała między nimi, została zapełniona nieustanną gadaniną kuzyna. Wyprawy ze szkicownikami poszły w niepamięć, teraz pływali łódką Piersa po ujściu rzeki. Anne była doświadczoną żeglarką, o czym Aidan nie wiedział, dopóki nie odkrył tego Piers.

Przez ostatnie dwa tygodnie w sercu Aidana kiełkowała okropna zazdrość, wewnętrzny głos szeptał, że ona woli Piersa. Bo dlaczego nie miałaby go woleć? – mruczał ten dokuczliwy głos, Piers był przystojniejszy, zręczniej prowadził rozmowy. Z Aidanem było coś nie w porządku: brakowało mu wszystkich tych cech, na których zależało dziewczętom. No, wojsko, pośpiesz się, pomyślał z goryczą. Nie mógł się już doczekać, kiedy stąd wyjedzie.

Osa zanurkowała do sałatki z kurczaka na talerzu Claudii, która pisnęła i zaczęła machać rękami.

– Odleci, jeśli zostawisz ją w spokoju – powiedział Aidan po raz piąty, myśląc przy tym, biedna cholerna osa, ale Claudia nie

przestała machać i marudzić. Kiedy powiódł spojrzeniem wzdłuż stołu, Anne złapała jego wzrok i uśmiechnęła się do niego.

To wtedy sobie uświadomił, że nie ma nic do stracenia. Lepiej spróbować i ponieść porażkę, niż ciągnąć tę udrękę rozczulania się nad sobą i niezdecydowania. Kiedy tylko uda mu się znaleźć z Anne sam na sam, zaproponuje jej randkę. A jeśli ona się zgodzi, jeśli się okaże, że czuje to samo do niego, nieważne, jak długo będą rozdzieleni przez Amerykę albo przez wojsko, on na nią poczeka.

Turniej krokieta odbywał się po lunchu. Juliet nie brała w nim udziału, bo musiała pozmywać naczynia. Odkręciła gorącą wodę, zanurzyła w niej ręce i zaczęła szorować, choć piekły ją palce, które rano oparzyła. Z trawnika dobiegały krzyki i wiwaty graczy.

To przypuszczalnie ostatni sierpniowy weekend, który razem spędzają w Marsh Court. O tej porze w przyszłym roku Piers i Aidan będą w wojsku. A potem wszyscy staną się dorośli, wyprowadzą się, zawrą związki małżeńskie i będą mieć dzieci. Czas szybko płynie, kilka tych idyllicznych dni ma bezcenną wartość. Serce wezbrało jej miłością do nich wszystkich. Przez kuchenne okno obserwowała Gillisa w kremowych lnianych spodniach i białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem idącego przez trawnik. Promienie słońca odbijały się od jego głowy, która nadal była bardziej złota niż srebrna.

– Powycieram, dobrze, Juliet?

Odwróciła się. Do kuchni weszła Blanche i zdjęła z wieszaka ręcznik.

– Nie chcesz grać w krokieta? – zapytała Juliet.

– Nie znoszę tego. To takie bezsensowne. Za to naczyń jest góra.

– A kiedy skończą, będą chcieli napić się herbaty. Potrzeba więcej filiżanek i spodków. – Wymieniły uśmiechy współczucia i kobiecej solidarności.

Blanche polerowała kieliszek.

– O co się kłócą Henry i Jonny?

– Och – westchnęła Juliet. – Henry uważa, że należy otworzyć kolejny sklep w Londynie, a Jonny sądzi, że ich na to nie stać. Oczywiście Henry postawi na swoim. Niewykluczone – dodała,

podając Blanche mokry talerz – że jego charakterowi wyszłoby na dobre, gdyby stało się odwrotnie, ale wygra, zawsze wygrywa.

Charley i Nate siedzieli na dachu szopy. Charley obserwowała Piersa, Aidana i Anne Carlisle, którzy szli przez trawnik w kierunku miejsca na ognisko.

– Louise uważa, że jest śliczna, ale ja wcale się z nią nie zgadzam – powiedziała.

– Kto? – Nate z zamkniętymi oczami leżał na plecach, głowę o ciemnych kręconych włosach opierał na ręce.

– Ona. Anne.

– Nie lubisz jej?

– Powiedziałam tylko, że według mnie nie jest śliczna. Ma dziwne oczy.

– Dlaczego jej nie lubisz? – Nate przymrużył oczy, chroniąc je przed słońcem. – Z powodu Piersa?

Miał irytujący zwyczaj czytania w jej myślach. Cała uraza wywołana dezercją Piersa wylała się z niej.

– Przez całe lato prawie ze mną nie rozmawiał! Zawsze jest z nią i Aidanem. Powinna chyba zrozumieć, że to nie w porządku. Myślę, że jest wielką egoistką.

– Może Piersowi zależy na odmianie.

– Ale nie na odsunięciu się od nas, swojej rodziny.

Podparł się na łokciu i popatrzył na nią. Promienie słoneczne wzbudziły w jego oczach szmaragdowe iskry.

– To nie jest niemożliwe, wiesz o tym – powiedział całkiem łagodnie.

– Nie mów tak, Nate – odparła Charley zapalczywie.

Wzruszył ramionami.

– Boże, co za cholerny upał.

– Cholerny upał, prawda? – Charley większości przekleństw nauczyła się od Nate'a. On z kolei nauczył się ich w szkole.

Stanął na skraju dachu, a potem skoczył i pięknie wylądował na nogach. Charley skoczyła za nim, ale wylądowała bardzo niezręcznie.

Miała plamy trawy na sukience z żółtej bawełny i dotkliwie bolała ją kostka. Idąc za nim do domu, kulała.

– Po prostu uważam, że nas na to nie stać – powiedział Jonathan. – Dopiero wybrnęliśmy z tych straszych kłopotów, w których znaleźliśmy się po wojnie.

– I dlatego musimy inwestować, Jonny. Nie zarabiasz, jeśli nie inwestujesz. Potrzebny nam drugi sklep.

– Mieliśmy drugi sklep. Sprzedałeś go.

– Chodzi mi o Londyn. – Henry złożył gazetę, gniewnie się krzywiąc. – Tam są pieniądze i ty doskonale o tym wiesz.

– Owszem, gdybyśmy dysponowali gotówką. Ale pożyczać... Nie wiem, dlaczego tak ci się śpieszy.

Turniej krokieta się zakończył, dorośli zabierali gazety, czasopisma i robótki ręczne na leżaki ustawione w zacienionej części tarasu. W jaśminach i różach bzyczały pszczoły. Spaniel Biscuit leżał między donicami i dyszał.

Juliet odłożyła druty.

– Zaparzę herbatę.

– Pomogę ci – zaproponowała Helen.

– Podchwytliwe – powiedział Gillis i przeczytał na głos podpowiedź do hasła w krzyżówce.

– Rozmawiałem z bankiem. Wyrażają zgodę.

– Jezu, Henry...

– Gdzie masz *Almanach krykieta* Wisdena? – zapytał głośno Peter.

– Przyniosę. – Jonny poluzował kołnierzyk i wstał z leżaka. – Muszę trochę się ochłodzić.

Wszedł do domu.

W kuchni Juliet napełniła czajnik i postawiła na kuchence.

– Które filiżanki mam wziąć? Te śliczne małe z porcelany? – zapytała Helen i poszła po nie do kredensu.

Szukając szczypców do cukru, Juliet uświadomiła sobie, że kilka pokoi dalej słychać jakieś zamieszanie. Głosy, czyjś krzyk. Pewnie to jedno z dzieci, pomyślała. Rory zderzył się z czymś, coś rozbił. Miała nadzieję, że nie było to nic starego ani cennego.

– Pójdę sprawdzić. – Helen wyszła z kuchni.

Juliet znalazła szczypce i położyła je na tacy. Herbatniki ułożone na talerzu, dzban z lemoniadą. Później myślała o tym jako o ostatniej doskonałej chwili: słońce wpadające przez okno, taca ze ślicznymi przedmiotami, wyczekiwanie na koniec weekendu, ukochane zwyczajne rzeczy.

Ciszę przeciął głos Jane, wysoki i przerażony.

– Juliet! Juliet, gdzie jesteś?

Pobiegła do drzwi.

– O co chodzi? Co się stało?

– Jonny! Jonny upadł! Henry dzwoni po karetkę. – Twarz Jane się zmarszczyła. Wybuchnęła płaczem.

Poszły razem do biblioteki. Jonny leżał na podłodze, pochylony nad nim Peter robił mu sztuczne oddychanie. Helen klęczała obok męża, gładziła go po ręce i coś mruczała. Louise szlochała.

Udręczony Henry popatrzył na Juliet.

– To przeze mnie? – szepnął. – Z powodu tej kłótni? To było dla niego za wiele?

Po raz pierwszy od lat objęła męża, próbując go pocieszyć.

– Nie, Henry. Nie, Jonny był chory, przecież o tym wiesz.

– Aidan. – Helen podniosła głowę. Oczy miała szeroko otwarte i przerażone. – Potrzebuję go. Gdzie on jest? Gdzie jest Aidan?

Byli przy palenisku. Aidan próbował powstrzymać Piersa przed rozpaleniem ogniska.

– Zawsze to robi wujek Henry – zauważył.

Piers kopnął w gałęzie, które zsunęły się ze stosu. Nic nie powiedział, tylko się uśmiechnął.

– Tata mówił, że w tym roku chyba powinniśmy dać sobie spokój z ogniskiem, bo jest za sucho – ciągnął Aidan.

Piers klepał się po kieszeniach, szukając zapalniczki.

– Musiałem zostawić ją w pokoju. – Odwrócił się i ruszył w stronę domu.

Aidan pomyślał o pójściu za nim, ale zrezygnował. Nie da się powstrzymać Piersa, jeśli coś sobie wbije do głowy, a poza tym nic go to nie obchodziło.

Anne siedziała na pniaku, rękami obejmując kolana.

– Przepraszam, że cię w to wplątaliśmy – powiedział. – Mam na myśli rodzinę.

– Miło było was wszystkich poznać. Wiesz Aidan, masz cudowną rodzinę. – Wyglądała jednak na zgrzaną i zmęczoną.

Aidan odchrząknął i już miał zaproponować, żeby tylko we dwoje pojechali do Maldon, czegoś się napili, może coś zjedli, ale zobaczył, że przez ogród biegnie ku nim ciocia Juliet.

Na początku pomyślał, że to ma coś wspólnego z Piersem. Ciocia Juliet była zła o ognisko, coś w tym rodzaju. Tylko że płakała. Dlaczego płacze?

– Aidanie, twój tata – wydyszała, gdy znalazła się w zasięgu słuchu. – Tak mi przykro, ale zachorował. Musisz natychmiast tam iść.

Wszystkie myśli wyleciały mu z głowy, gdy ponaglany przerażeniem, popędził w górę zbocza, z trudem łapiąc powietrze.

O jedenastej wieczorem Juliet była w kuchni Helen, sprzątając po kolacji, której nikt nie chciał jeść. Wytarła naczynia, przeciągnęła po blatach wilgotną ścierką. Powiesiła ją na wieszaku, schowała talerze i miski do kredensu, wyczyściła zlew, potem otworzyła drzwi i wyszła z domu.

Ogród Helen był ogrodzony murem i pełen barwnych kwiatów, które w świetle księżyca straciły wszystkie kolory. Koło głowy Juliet ślepo zapikowała ćma, odgoniła ją ręką.

Jonny umarł w karetce. Nie dojechał do szpitala. Musiała przyswoić sobie ten fakt, choć wydawał się jej oburzający. Myślała o trojgu rodzeństwa, Henrym, Jonnym i Jane, o tym, że prawie nie musieli kończyć zdań, bo każde doskonale wiedziało, co pozostali myślą. Jak sobie poradzi tych dwoje osieroconych?

Godzinę temu Henry, Peter i Jane pojechali z powrotem do Marsh Court i dzieci. Juliet zamierzała pozostać w domu Helen tak długo, jak będzie tu potrzebna. Przekonała Helen dygoczącą z szoku, żeby wzięła pigułkę, i siedziała przy niej, gładząc ją po włosach, dopóki ta nie zasnęła. Chociaż Juliet przykryła ją kocami i kołdrą z kaczego

puchu, chociaż nadal było nieznośnie gorąco, Helen we śnie dygotała.

Potem Juliet zeszła na dół i przygotowała kolację dla dzieci. Biedna mała Louise płakała bez przerwy, grzebiąc widelcem w jedzeniu. Aidan miał kamienne, suche oczy. Juliet przypuszczała, że jak ona po prostu nie umiał uwierzyć, że Jonny odszedł. W końcu lekko pociągnął Louise za warkocz i powiedział:

– Chodź, przygotuję ci kąpiel.

Oboje poszli na piętro. Kiedy wrócił, nalał whisky dla siebie i Juliet. Pomyślała ze smutkiem, że Aidan dorasta. Teraz nie miał innego wyjścia.

Nad ujściem rzeki nieprawdopodobnie nisko wisiał okrągły pomarańczowy księżyc. Najokropniejszą rzeczą były próby wyobrażenia sobie Helen bez Jonny'ego. Nie potrafiła. Ani razu nie słyszała, by na siebie warczeli. Byli dwiema połówkami całości i po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że za wielką miłość trzeba zapłacić straszną cenę, że teraz zaczyna płacić ją Helen, która nie mając jeszcze pięćdziesięciu lat, będzie musiała przetrwać tyle dni bez Jonny'ego.

Rozdział siódmy

Grudzień 1957 roku

Gruba warstwa szarych chmur wyssała światło z wód ujścia rzeki. Brodźce badały słone mokradła, łebki podskakiwały, pomarańczowe dzioby wbijały się w błoto.

Juliet szła brzegiem Blackwater, oddalając się od Marsh Court. Przy śniadaniu Henry bardzo niegrzecznie potraktował Meg, a Meg, która nie należała do kobiet owijających w bawełnę, odpowiedziała tym samym. Henry wyrzucił ją mniej więcej w tym samym czasie, gdy Meg wręczyła wymówienie. Kiedy Henry wyjechał do Londynu, Meg wsiadła na rower i wróciła do swojego domu w Mundon. Nic nigdy się nie zmienia, pomyślała gorzko Juliet, przypominając sobie, jak na początku ich małżeństwa Henry równie pochopnie zwolnił pokojówkę. Mogą się toczyć wojny, można przeżywać miłość i żałobę, ale Henry zawsze stawia na swoim.

Minęły trzy miesiące od śmierci Jonny'ego. Chociaż był najspokojniejszym i najłagodniejszym z trójki rodzeństwa, bez niego, jak często myślała Juliet, pozostałej dwójce czegoś brakowało. Utracili iskrę. Odwracali się, szukając potwierdzenia i otuchy, ale nikogo tam nie było.

Przez pierwsze sześć tygodni wdowieństwa Helen zamknęła się w sobie, żyła o papierosach i kawie, otulona starym swetrem spędzała czas w pracowni na tyłach domu. Później powoli zaczęła znowu się interesować życiem bliskich. Oczywiście rodzina jej pomagała, gotowali posiłki, odwozili Louise do szkoły. Kiedy Helen na nowo wzięła sprawy w swoje ręce, Juliet wyczuwała, jakie to dla niej trudne, jakby kompletnie zapomniała, jak się to robi.

Kiedy pierwszy szok ustąpił, Henry zareagował na śmierć brata gorączkowym wybuchem energii. Kupił drugi sklep – na Sloane Street – urządził go w tradycyjnym stylu Wintertonów: mahoń, mosiężne gabloty, granatowy gruby dywan, i zatrudnił nowy personel, w tym Gabe córkę Jane. Juliet podejrzewała, że dynamizm Henry'ego jest sposobem na odepchnięcie myśli o tym, co utracił.

Był zły na wszelkie opóźnienia w jego planach restrukturyzacji rodzinnej firmy, zły na każdego, kto próbował okazać mu współczucie, i jak przypuszczała Juliet, zły na Jonny'ego, że ten go opuścił. Jak zawsze urazy wyładowywał na ludziach z najbliższego otoczenia. Kłócił się z Jane, usiłował kłócić się z Gillisem, ale ten go wyśmiał. Henry i Piers pozostawali na wojennej ścieżce od miesięcy, ostatecznie więc rodzina odetchnęła z ulgą, kiedy w październiku chłopaka powołano do wojska. Dwa tygodnie później Aidan podążył w ślady kuzyna.

Juliet się zastanawiała, czy Henry żałował, że w dniu śmierci Jonny'ego tak się odsłonił. Najczęściej na niej wyładowywał swoją mściwość. Nie próbowała nawet wtrącać się w jego kłótnię z Meg. Dobrze wiedziała, że to tylko sprawę pogorszy.

Dzisiaj po południu musiała wyjść na spacer, żeby uciec przed zamętem i napięciem panującymi w Marsh Court. Dotarła do grobli na Thorney. Był odpływ; ponownie zaznała tego dziwnego wrażenia, że stąpa pod powierzchnią rzeki, że pozwala, by rzeka ją pochłonęła. Białe kraby wielkości półkoronówki utknęły w roślinności i schły, wystawione na światło. Wokół niej bagno i woda połyskiwały szaro, perliście.

Z brzegu wyspy spojrzała na stały ląd. Uświadomiła sobie, że stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym przed laty bawiły się te biedne dzieci. Zadrżała, czując przelotną chęć ucieczki na bezpieczny trwały grunt. Otrząsnęła się jednak i ruszyła w głąb wyspy.

Po lewej bagniska i słone mokradła wdzierały się w ujście rzeki, po prawej rosły drzewa, z gałęzi zwieszały się jasnozielone porosty. Dalej zgięte od wiatru niskie żywopłoty otaczały pola. Ktoś musiał wypasać tu owce albo krowy, ponieważ koło furtki stało żelazne zardzewiałe poidło wypełnione po brzegi słonawą wodą.

Droga zakręcała i zwężała się, zbliżając się do domu. Trawnik i rabatki porastały chwasty poczerniałe od grudniowych mrozów. W oknach wpatrujących się ślepo w Juliet nie świeciło się światło. Podchodząc do budynku, zobaczyła łuszczącą się wyblakłą farbę i dziury w dachu tam, gdzie odpadły dachówki.

Mżyło, włożyła więc kaptur i zapięła pod szyją płaszcz przeciwdeszczowy. W ogródku na tyłach muliste kawałki węgla leżały w wejściu do piwniczki, na sznurze wisiały postrzępione ubrania tańczące na wietrze. Wysepki za opaską brzegową, jedne całkiem spore, inne wielkości talerza, znaczyły wody ujścia.

Coś kazało jej podnieść zasuwę na tylnych drzwiach i szarpnąć za klamkę. Drzwi się otworzyły i Juliet zobaczyła mroczny korytarz. Stojąc w progu, nabrała w płuca wilgotnego powietrza. To było tak, jakby mokradła próbowały przejąć dom na własność, powoli go połykając. Juliet weszła do środka i oparła dłoń o ścianę, po części oczekując, że nie całkiem solidna powierzchnia ugnie się pod naciskiem.

Ruszyła korytarzem. Rząd wieszaków wysoko na ścianie sugerował, że ta część służyła do przechowywania płaszczy; przestraszyła się, widząc w poplamionym lustrze odbicie swojej twarzy. Zatrzymała się, ogarnięta niechęcią, by pójść dalej. Hartowie byli ostatnimi lokatorami domu, który od ponad dziesięciu lat stał pusty. Juliet czuła dziwną więź z tym miejscem. Wydarzenia tamtej sztormowej nocy w 1946 roku połączyły ją z Gillisem i zmieniły bieg jej życia.

Ciekawość pchnęła ją jednak do pokoi wypełnionych posępnym zimowym światłem. W kuchni zardzewiały żelazny piec stał we wnęce kominowej. Zielona plama w kształcie łzy znaczyła dno zlewu z białej porcelany. Za kuchnią znajdowała się spiżarka z półkami i okienkiem zakrytym drutem kolczastym. W następnym pokoiku stała drewniana wanna.

Jadalnia, korytarz, salon – wszystkie ziały pustką, były tu tylko kurz, uschłe liście i kilka butelek po piwie, przypuszczalnie zostawionych przez intruzów. Organiczny zapach wilgoci i rozkładu towarzyszył jej, gdy oglądała pokoje. Nie byłaby zdziwiona, gdyby zobaczyła słone łzy kapiące ze ścian, marszczącą się taflę podłogi,

rzekę wzbierającą spośród desek, muszle i lśniące brązowe zielska ociekające w kącie.

Wąskimi schodami weszła na piętro. Z małego korytarzyka prowadziło troje drzwi, dwoje do sypialń z oknami przesłoniętymi pajęczynami, z których rozciągał się widok na wyspę. Trzecie drzwi, naprzeciwko schodów, znajdowały się pod krokwiami. Z krwią pulsującą w uszach Juliet sięgnęła do klamki.

Zaraz potem biegła po schodach, potykając się na stopniach w rozpaczliwym pragnieniu, żeby jak najszybciej opuścić dom. Wychodząc tylnymi drzwiami, chętnie śmiechem skwitowałaby swoje nagłe irracjonalne przerażenie, ale nie była w stanie; kiedy zamykała drzwi, przez głowę przeszła jej myśl, że próbuje zamknąć coś wewnątrz domu.

Przez ogród poszła do drogi. Powiedziała sobie, że jest zmęczona i zdenerwowana poranną sceną z Henrym, nadal nosi żałobę po Jonnym i umysł płata jej figle. To nieuniknione, że na Thorney będzie myślała o dzieciach, które zabrała rzeka, o chłopcu i dziewczynce w czerwonej sukience. Zagubione dzieci... opuszczone domy... cienie i zamknięte drzwi: to były wyświechtane elementy wielu opowieści o duchach.

Mimo że nie wierzyła w duchy, zawsze myślała, że stare domy mają własną duszę, na którą składają się smutki i pragnienia ludzi, którzy w nich mieszkali. Henry potraktowałby taką teorię z pogardą; Juliet przypuszczała, że Helen i Jane odniosłyby się do niej zupełnie inaczej. A Gillis? Nie wiedziała na pewno. Gillis lubił myśleć, że jest racjonalny i analityczny, ale widywała go zauroczonego muzyczną frazą albo wersem wiersza. Usiłował ukryć okresy depresji, ale wiedziała, kiedy go ogarniały, słyszała płaskie tony w jego głosie, patrzyła, jak sięga po butelkę, by zamaskować wysiłki, jakich wymagało od niego utrzymywanie relacji towarzyskich.

Była wdzięczna, kiedy zakręt ukrył przed nią dom. Wiedziała, że nigdy więcej tu nie przyjdzie. Deszcz przybrał na sile, światło słabło. Odsunęła mankiet płaszcza, by spojrzeć na zegarek, i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że na wyspie spędziła ponad godzinę. Ruszyła biegiem, omijając wgłębienia w błotnistej ziemi, odtwarzając trasę, którą tu przyszła.

Tyle że się spóźniła. Rzeka przelewała się przez wyższy brzeg grobli i po kilku krokach woda wirowała wokół kostek Juliet. Poczuła szarpnięcie i wiedziała, że po następnym metrze prąd ją porwie i rzuci do rzeki.

Przeklinając własną głupotę, wróciła na suchy ląd. Przez zasłonę deszczu patrzyła, jak woda pędzi kanałem, odcinając ją od stałego lądu, niosąc ptaki, złamane gałęzie, a także podskakującą i wirującą komodę. Wezbrała w niej panika; nie potrafiła stwierdzić, jak długo będzie uwięziona na wyspie. Cztery godziny? Osiem? Piers i Henry byli żeglarzami, ona nie. Zapadnie mrok i dalej będzie tkwiła w tym dzikim miejscu.

Nie miała latarki, dysponowała tylko słabym płomykiem zapalniczki. Pomimo kaptura z włosów kapała jej woda. Teraz rzeka połykała znaki szczególne brzegu: korzeń drzewa, blok betonu, zardzewiały łańcuch, wszystko zniknęło. Wdrapując się po zboczu, Juliet głośno jęknęła, bo uświadomiła sobie, że nikt nie będzie jej szukał: Henry był w Londynie, Charley w szkole z internatem, a Meg dąsała się w Mundon.

Chociaż dom zapewniłby jej ochronę przed deszczem, zadrżała na myśl o powrocie do środka. Ale grobla była równie odpychająca. Skulona nad chybotliwym płomykiem, zdawała sobie sprawę z wilgotnego chłodu i odgłosów rzeki, plusków wody, trzeszczenia gałęzi, szeptu trawy.

Nagłe wołanie sprawiło, że zaparło jej dech i podniosła wzrok.

– Pani Winterton!

Minęła chwila, nim zlokalizowała kierunek, z którego dobiegł ów męski głos, i dostrzegła łódź wiosłową odbijającą od stałego lądu. Kolejne wołanie – osłoniła dłonią oczy przed deszczem, by lepiej widzieć.

Wydawało jej się, że mała łódź nie wzięła kursu na miejsce, gdzie stała, szybko jednak pojęła, że chodziło o pokonanie zbliżającego się przypływu. Łódka zatoczyła szeroki łuk, a potem ruszyła w stronę wyspy. Kiedy się zbliżyła, Juliet się zorientowała, że wioślarzem jest Joe Brandon z farmy Greensea. Od czasu do czasu go widywała – Greensea nie dzieliła od Marsh Court zbyt wielka odległość, a to

oznaczało, że muszą na siebie wpadać – ale nie rozmawiała z nim od tamtego spotkania w zagajniku w czasie wojny.

Kilka metrów od brzegu wyskoczył z łodzi i brodząc po płyciźnie, podszedł do Juliet.

– Pan Brandon! – Śmiejąc się z ulgą, Juliet miała ochotę rzucić mu się na szyję, zamiast tego tylko uścisnęła mu rękę. – Tak się cieszę, że pana widzę! Myślałam, że będę musiała spędzić tu całą noc. Co za idiotyczny błąd!

– Nie sprawdziła pani, o której są pływy?

– Zapomniałam, chyba myślałam o czymś innym.

– Powinniśmy się zbierać. Będzie pani przeszkadzało, że zmoczy pani nogi?

– Już są mokre.

W łodzi Juliet przycupnęła koło płóciennego plecaka i lornetki. Joe skrzywił się, ustawiając wiosła przeciwko prądowi. Gdy z wysiłkiem nimi poruszał, czarne włosy spadły mu na czoło. Skórę znaczyły krople deszczu, na szyi wystąpiły żyły.

– Trudno się wiosłuje – powiedziała Juliet, a on kiwnął głową.

Drżała, chociaż nie była pewna, ze strachu czy z zimna. W pewnej chwili bała się, że kruchą łupinkę prąd poniesie do ujścia rzeki. Szaroniebieski brzeg się oddalił, zostawili go za sobą.

– Znam te wody – odezwał się Joe. – Pływam po nich od dzieciństwa. Nie musi się pani niczego bać, pani Winterton.

Jego dobroć rozwiązała jej język.

– Tak się cieszę, że pan mnie zobaczył. Bardzo bym nie chciała zostać na wyspie. Jest tam tak zimno i ciemno.

– To dziwne miejsce. Na Thorney nigdy nie czuję się swobodnie.

– Pan też?

– Są takie miejsca.

– Znał pan tę nieszczęsną rodzinę, która tam mieszkała?

– Tylko z widzenia.

– Zastanawiam się, dlaczego zdecydowali się zamieszkać w miejscu tak samotnym i odizolowanym.

Joe Brandon oglądał się przez ramię, kierując łódkę do brzegu.

– Pani przyjaciel znał panią Hart, prawda?

Wpatrywała się w niego zdumiona.

– Mój przyjaciel?

– Ten polityk, Sinclair. Raz widziałem go na grobli, rozmawiał z panią Hart. Były z nimi te biedne dzieci.

– Musiał się pan pomylić – powiedziała ostrzej, niż zamierzała, i zobaczyła, że zmarszczył czoło.

Byli już na płyciźnie; wyskoczył z łódki i podał jej rękę. Juliet ogarnęła konfuzja. „Raz widziałem go na grobli". Jeśli Joe miał rację, to dziwne, że po tragedii Gillis nie wspomniał, że rozmawiał z panią Hart, choćby tylko przelotnie.

– Zapewne – dodała, gdy wyciągał łódkę na brzeg – Gillis i pani Hart spotkali się przypadkiem.

W głowie roiło jej się od pytań. Próbowała sobie wyobrazić: Gillisa i kobietę, która utonęła, jak mijają się na ścieżce i wymieniają na przykład uwagi o pogodzie. Coś było nie w porządku, Juliet czuła niepokój.

– Czy to znaczy, że widział ich pan tutaj? – Wskazała porośnięty krzakami brzeg, na którym stali. – Tu, na tym końcu grobli?

– Nie, byli na wyspie. – Joe zmarszczył czoło. – Pomyślałem, że się żegnali.

Serce jej zadrżało. Przywołała uśmiech na twarz i podała mu rękę.

– Nie wiem, jak panu dziękować. Był pan dla mnie taki dobry.

– To drobiazg – odparł opryskliwie. – Trafi pani stąd do domu?

– O tak, znam tę ścieżkę jak własną kieszeń. Dobranoc, panie Brandon.

Kiwnął jej głową i odszedł w swoją stronę.

Nazajutrz rano Juliet pojechała do Mundon. Meg zaprosiła ją do domu i zaparzyła kawę.

Już wcześniej wręczała wymówienia. Juliet zawsze udawało się ją przekonać do zmiany zdania. Wiele je łączyło, przyjaźniły się od wojny.

– Tak mi przykro z powodu wczorajszej sceny – zaczęła. – Henry powiedział ci rzeczy niedopuszczalne. Ale sama wiesz, jaki on jest.

Meg milczała. Obrażała się szybko, wybaczała wolno, a dzisiaj emanowała chłodem.

Podała Juliet kubek.

– Nigdy nie umiałam pojąć, dlaczego z nim jesteś.

– Ze względu na dzieci. Henry jest ich ojcem.

Meg przyglądała się jej bez współczucia.

– I to jest wystarczająco dobry powód? – A potem oznajmiła: – Sarah i ja wyjeżdżamy za granicę. Rozmawiamy o tym od wieków. Zaoszczędziłyśmy trochę pieniędzy, kupimy samochód i będziemy zwiedzały Francję i Włochy. Mam czterdzieści lat, Juliet. Za granicą byłam tylko raz, spędziłam weekend w Le Touquet. Marzę o słońcu i błękitnym morzu. Chcę siedzieć w winnicy i popijać wino. A jeśli nie zrobimy tego teraz, to nie zrobimy nigdy.

I to był koniec. Meg nie zmieni zdania. Po wyjeździe z miasteczka Juliet zatrzymała się na otwartej przestrzeni. Zgasiła silnik i zapaliła papierosa. Bezlistne korony drzew szeleściły na wietrze, na polu za traktorem podążało stadko mew.

Słowa Meg z nią pozostały – „Nigdy nie umiałam pojąć, dlaczego z nim jesteś" – osądzając ją, wytykając jej braki. Aby przetrwać w małżeństwie, Juliet nauczyła się odwracać wzrok od tego, czego nie chciała oglądać. Wczoraj rano nie stanęła w obronie Meg, ponieważ przez wszystkie te lata nigdy, ani razu nie przekonała Henry'ego do cofnięcia raz powziętej decyzji. Miała nadzieję zatrudnić ją na nowo poza jego plecami, a potem subtelnie dać mu do zrozumienia, że Meg jest bezcenna dla Marsh Court. Tylko że sama Meg nie uważała Juliet za subtelną – myślała, że jest słaba. Przypuszczalnie miała rację. Był taki czas, dawno temu, kiedy Juliet walczyłaby o sprawę, w którą wierzyła.

Z roztargnieniem starła parę z szyby. Dzisiaj rano straciła przyjaciółkę. Czy rozmawiając wczoraj z Joem Brandonem na grobli, utraciła coś więcej? Mimo że usiłowała zlekceważyć jego stwierdzenie, iż widział Gillisa żegnającego się z Frances Hart na wyspie – musiał się pomylić, na pewno istnieje jakieś proste wytłumaczenie – nie potrafiła. Niespokojne, przerażone myśli wpadały jej do głowy jak osy przez pęknięcie w szybie i nie dawały się odpędzić.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i pojechała do Maldon. W bibliotece poprosiła o numery „Essex Chronicle" z października 1946 roku. Wypadek na Thorney i następująca po nim akcja poszukiwania dzieci przez kilka dni były tematem najważniejszych artykułów. Frances

Hart miała trzydzieści jeden lat w chwili śmierci, bliźnięta, Edmund i Thea, skończyły cztery. Pani Hart wynajmowała dom na Thorney od początku lata.

Juliet po raz drugi uważnie przeczytała artykuły. Chociaż zakładała, że pani Hart jest wojenną wdową, w gazecie nie znalazła o tym wzmianki. Pisano o siostrze w Wiltshire i o owdowiałym ojcu. O mężu ani słowa.

Kiedy wyszła z biblioteki, wichura o mało nie zwaliła jej z nóg. Schroniła się w kawiarni, gdzie zamówiła kawę i bułeczkę, ale kawa tylko wzmogła jej zdenerwowanie, a bułeczki nie była w stanie przełknąć. Kobieta, którą poznała w szkole, matka jednego z jej uczniów, nawiązała z nią rozmowę, Juliet jednak udzielała machinalnych odpowiedzi.

Joe Brandon odniósł wrażenie, że Gillis i Frances Hart się znali. A jeśli się nie mylił? Dlaczego Gillis miałby to przed nią ukrywać?

Pożegnała się ze znajomą i wyszła z kawiarni. Myśl o czymś innym, nakazała sobie, idąc do samochodu. Myśl o Charley, która na weekend wróci do domu. Myśl o Bożym Narodzeniu, które będzie za trzy tygodnie. Zawsze uwielbiałaś Boże Narodzenie. Myśl o ozdobieniu Marsh Court ostrokrzewem i jemiołą, o zapachu szczap z jabłoni płonących w kominku, o pakowaniu prezentów i pieczeniu pasztetów.

Po powrocie na ferie świąteczne Charley uznała, że w domu jest dziwnie bez Piersa, który męczył się na dziesięciotygodniowym szkoleniu w obozie wojskowym na wrzosowiskach Yorkshire.

W weekend odwiedzili ich Sinclairowie. Flavia niedawno zaręczyła się z prawnikiem mieszkającym w Holt. Brylant w jej pierścionku był wielki jak ziarno grochu.

Gillis wysłał Rory'ego do łóżka, pozwalając Charley, Louise i Nate'owi zostać w pokoju do zabaw, podczas gdy dorośli pili drinka przed kolacją.

Juliet wsunęła głowę do pokoju.

– O dziewiątej do łóżka, Charley. Kochanie, upewnij się, że Nate i Louise mają wszystko, czego im potrzeba.

Nate leżał na sofie i czytał powieść Johna Wyndhama. Po odejściu Juliet opuścił książkę.

– Prawdę mówiąc – powiedział – potrzebuję piwa i szluga. – Jak kot podniósł się jednym wdzięcznym ruchem. Charley uniosła brwi, patrząc na Louise.

Nate wrócił ze szklanką piwa ze spiżarki. Z kieszeni wyjął paczkę papierosów i zapalniczkę. Dziewczęta patrzyły, jak zapala. Usta mu się zaokrągliły i wydmuchał kółko z dymu.

– Mogę spróbować? – zapytała Charley.

– Nie.

– Nate!

– Jesteś za młoda.

– Ale, Nate...

– Nie – powtórzył stanowczo. – To nie jest dla ciebie dobre. Możecie się napić mojego piwa, jeśli chcecie.

Louise pokręciła głową, ale Charley upiła łyk. Piwo smakowało okropnie, widząc jednak protekcjonalny uśmiech Nate'a, napiła się ponownie.

– Jeszcze trzy lata szkoły – powiedział Nate. – Potem Oksford, a potem będę podróżował. Nie mogę się doczekać.

– Dokąd pojedziesz? – zapytała Louise.

– Do Australii. Może do Nowej Zelandii.

– Są strasznie daleko.

– Wiem. – Jego zielone oczy zabłysły. – O to chodzi.

– Nie będziesz tęsknił za domem? – zapytała Louise.

Charley, która na letnich wakacjach dzieliła pokój z kuzynką, wiedziała, że Louise w Kornwalii płakała za domem.

– Nie wydaje mi się. Choć niewykluczone, że kiedy będę wędrował przez mokradła i ugryzie mnie komar, pomyślę sobie: ciekawe, jak sobie radzą Charley i Louise. – Nate podszedł do okna. – Niebo się rozchmurzyło. Będziemy mogli zobaczyć.

– Co?

– Geminidy. Idziecie?

Włożyli płaszcze i wyszli na dwór. Charley wciągnęła w płuca pieprzowy, mroźny zapach nocnego powietrza. Obserwatorium ojca mieściło się w zaadaptowanej do tego celu szopie. Odsuwało się

dach i widać było gwiazdy. Starała się nie dygotać, kiedy Nate majstrował przy teleskopie.

– Widzisz coś? – zapytała.

– Sputnik okrążający ziemię.

– Naprawdę?

– Nie, jasne, że nie, ty głupia. – Po kilku minutach dodał: – A, zerknijcie.

Pierwsza zrobiła to Louise.

– Och, Nate – westchnęła i Charley się bała, że Louise zaraz się rozpłacze. Od śmierci ojca często płakała.

Charley przystawiła oko do teleskopu. Na początku była tylko zamazana ciemność, a potem jak za sprawą cudu gwiazda oderwała się od swojej wysokiej grzędy i powędrowała przez niebo. Dziewczyna westchnęła i powiedziała:

– Nate.

– Wiem – odparł.

Było wpół do drugiej w nocy. Juliet, Henry i Gillis pili w salonie strzemiennego. Pozostali goście poszli już spać.

Henry ziewnął i wstał.

– Pomyślałem, żeby jutro przed śniadaniem pójść na spacer z psami. Koło siódmej?

– Z wielką chęcią – odparł Gillis.

– W takim razie dobranoc.

– Dobranoc, Henry.

– Jeszcze moment, Gillis – odezwała się Juliet. – Muszę z tobą porozmawiać o prezencie ślubnym dla Flavii.

– Daj odpocząć temu biedakowi, Juliet.

Henry wyszedł z pokoju. Gillis zamknął za nim drzwi, potem wziął ją w objęcia i pocałował. Na początku poczuła, że jak zawsze się rozpływa w jego ramionach, smakując jego usta i wciągając w nozdrza zapach jego skóry: sól, trawa, morze. Później jednak powróciło pytanie – a jeśli? – i pożądanie się cofnęło jak morze podczas odpływu.

Zrobiła krok do tyłu. Gillis uniósł brwi, karcący uśmiech igrał mu na wargach.

– Nie tęskniłaś za mną?

– Jak zawsze.

– O co więc chodzi?

– O nic. – Zamknęła karafkę z whisky. – Pamiętasz rodzinę, która kiedyś mieszkała na Thorney?

Minęła sekunda.

– Jaką rodzinę?

Jaką rodzinę? Juliet patrzyła, jak Gillis podchodzi do kominka i wyjmuje papierosa.

– Nazywali się Hartowie. Frances Hart...

– Frances Hart... – Włożył papierosa do ust i zapalił z zamyśloną miną. – Nie wydaje mi się, żebym znał kogoś o takim nazwisku.

Wtedy już wiedziała. Wiedziała, że Gillis kłamie. Nie zapomina się kobiety, którą widziało się leżącą bez życia na mokradłach. Nie, jeśli się jest Gillisem Sinclairem z ostrą jak brzytwa pamięcią do nazwisk, faktów i liczb.

– Ktoś mi mówił, że cię z nią widział.

– W takim razie się mylił.

– Tak też mu powiedziałam.

– To dobrze. – Położył papierosa na popielniczce stojącej na kominku i wyciągnął do niej ręce. – Chodź tutaj.

Nie poruszyła się, nie odrywając od niego wzroku.

– Pomyślałam, że ten ktoś popełnił błąd, że musiał pomylić cię z kimś, ale teraz nie jestem tego taka pewna.

– Juliet, na miłość boską... – Roześmiał się.

– Był pewny swego, rozumiesz.

– Ktoś ci mówi, że widział mnie z kobietą, która utonęła dziesięć lat temu, i ty wierzysz jemu, nie mnie?

– Więc jednak ją pamiętasz?

Po jego twarzy przemknął grymas.

– Tak. Jak się teraz nad tym zastanowiłem.

Juliet spojrzała na swoje dłonie. W jej wnętrzu otwierała się pustka, otchłań, w którą się stoczy, jeśli nie będzie ostrożna.

– Chodzi o to – powiedziała wolno – że najmocniej by mnie dotknęło, gdybyś mnie okłamał, Gillisie.

– Nie potrafię pojąć, dlaczego wygrzebujesz tę sprawę – oznajmił lodowato.

– Pewnie mogłabym pójść i zapytać go, co dokładnie widział. Pokazać mu twoje fotografie, żeby mieć pewność.

– Nie. – Gillis podniósł głos, który zawibrował w cichym domu. – Nie, nie rób tego – dodał ciszej.

Usiadła, pochylając się do przodu, z łokciami opartymi na udach, ze stopami wbitymi w podłogę, by powstrzymać dygot nóg, i czekała.

Wypuścił powietrze z płuc. Uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową.

– Wiesz, prawie o niej zapomniałem.

– Znałeś ją.

– Tak. Była moją kochanką. – Usiadł obok niej i patrzył na nią z lekkim rozbawieniem. – Czy właśnie to chciałaś usłyszeć, Juliet?

Zwinęła dłonie w pięści, wbijając paznokcie w skórę.

– A dzieci? – zapytała z trudem.

– Były moje. – Odkorkował karafkę, nalał whisky do dwóch szklanek i jedną przesunął po stole w jej stronę. – To był jeden z tych wojennych romansów. Pamiętasz tamte czasy: człowiek nie wiedział, czy dożyje jutra. Założę się, że połowa ludzi w marynarce kogoś miała. Frances to rozumiała. Wiedziała, że musimy zachować nasz związek w tajemnicy. Nie myśl, że nie dbałem o dzieci. Edmund był wspaniałym chłopcem, bystrym i mądrym, nigdy niczego się nie bał. – Nagle urwał i znieruchomiał ze szklanką uniesioną w pół drogi do ust. Otworzył usta jak do niemego krzyku. Po chwili cicho dodał: – Lubiły się bawić na grobli. Mówiłem Frances, żeby im na to nie pozwalała, ale nie potrafiła zatrzymać ich w ogrodzie.

Biedne maluchy, pomyślała Juliet. Oczyma wyobraźni zobaczyła wody Blackwater wzbierające w wąskim kanale pomiędzy wyspą a stałym lądem. Gdzieś z piętra dobiegło skrobanie maleńkich łapek. Trzeba znowu pożyczyć kota od Helen. Stary tłusty kocur Charley był beznadziejny w łowieniu myszy.

Kiedy spojrzała na Gillisa, złapała się na tym, że przygląda mu się takim samym wzrokiem, jakim ogląda śliwy w ogrodzie, kiedy szuka

chorób. Wyglądał jak ten sam piękny Gillis, ale czy zawsze było w nim coś zepsutego?

– A Blanche? – zapytała.

– O niczym nie wie. Blanche surowo traktuje niewierność. W jej oczach to rzecz niewybaczalna.

Juliet opuściła głowę. Za co go osądza? Za to, że zdradził Blanche, a przecież ona też od ponad dziesięciu lat ją zdradza? Czy za to, że miał przed nią tajemnicę?

Wziął jej rękę i ścisnął.

– Strasznie się czułem, okłamując cię.

– Więc dlaczego mnie okłamałeś, Gillisie?

– Uważasz mnie za dobrego człowieka. Nie chciałem rozwiewać twoich złudzeń. Bałem się, że mnie znienawidzisz, jeśli się dowiesz o Frances i dzieciach.

– Tak, mogłam cię znienawidzić.

A mimo to jej dłoń pozostała w jego ciepłej i silnej dłoni. Gillis ją pocałował.

– To był... rodzaj szaleństwa. Wiesz, po Dunkierce byłem w fatalnym stanie. Blanche spodziewała się Nate'a, a ja nie chciałem kolejnego dziecka, nie w tym koszmarze, który wtedy się działo. Blanche protestowała przeciwko konieczności przeniesienia się do domu w okręgu wyborczym, w końcu jednak tam pojechała. Ciąża chyba była czymś w rodzaju nagrody pocieszenia. Miała przynosić jej radość, kiedy beze mnie będzie tkwiła w Wiltshire. Oczywiście teraz uwielbiam Nate'a, ale wtedy... – Zrobił wdech. – Z Frances na początku układało się tak prosto. Była wesoła z natury, pomyślałem: żadnych zobowiązań, i potrzebowałem tego. A potem bliźnięta. Możesz sobie wyobrazić, jaki byłem przerażony. Później cholernie trudno było utrzymywać sprawę w tajemnicy. Ciągle się bałem, że ktoś się dowie. Nie chciałem ranić Blanche. Bałem się, że wszystko zepsuję.

Juliet wyplątała palce z jego uścisku.

– Ciągle myślę o tym, jak wtedy mnie pocałowałeś. – Słowa ją dławiły. – Tamtego wieczoru, w czasie burzy. Po raz pierwszy... Myślałam, że mnie kochasz, ale teraz się zastanawiam, czy nie pocałowałeś mnie po to, żebym nic nie mówiła.

– Nie! – zaprotestował dotknięty. – Jak możesz tak mówić? Juliet, proszę.

– Musiałeś być zrozpaczony. Zdarzyło się coś strasznego. Pewnie się bałeś, że się przy mnie załamiesz.

– Tak. – Przycisnął dłonie do oczu. – Tak. Musiałem być sam. – Opuścił ręce i spojrzał na nią z udręką. – Tamten wieczór – możesz sobie wyobrazić, co przeżywałem? Przyjechałem tu, aby się z nimi zobaczyć, a potem... Biedna Frances... biedni Edmund i Thea. Ledwie wyrośli z niemowlęctwa. Co za okropna strata. Zastanawiałem się, czy powinienem wszystkim powiedzieć prawdę. Potem jednak pomyślałem: jaka korzyść by z tego wyniknęła? Im nie można było już pomóc, a strasznie zraniłbym Blanche. – Oczy mu płonęły, błagając ją o zrozumienie. – Pragnąłem ci powiedzieć, Juliet. Dlatego do ciebie przyszedłem. Zawsze bardzo mnie raził sposób, w jaki traktuje cię Henry. Pomyślałem, że zrozumiesz, jak trudno trwać w niedobranym małżeństwie. Pomyślałem, że ze wszystkich ludzi ty to zrozumiesz.

– Tak – mruknęła.

– Chciałem ci powiedzieć, wiesz o tym, prawda? Ale kiedy cię zobaczyłem, pojąłem, że nie mam prawa obarczać cię moimi problemami. Bałem się, że jeśli z tobą zostanę, załamię się i o wszystkim ci opowiem. Myślałem tylko o tobie.

– Tak, rozumiem.

Nie powstrzymała go, kiedy znowu ją objął. Na uchu czuła jego oddech, na policzku szorstką od zarostu brodę. Muskała kciukiem krótkie włoski na jego karku. Gillis milczał, dopiero potem nagle znowu przemówił.

– Ciągle sobie powtarzam, że to nie była moja wina. Dlaczego więc nie potrafię w to uwierzyć?

Wałkując ciasto na babeczki, Juliet wspominała lato 1946 roku: Gillis odchodzący od ogniska: uśmiechnięty unosi do niej rękę, przystojny i złoty w promieniach słońca. „Miej oko na dziewczynki, dobrze, Juliet?”. Powiedział jej, że idzie na spacer. A w rzeczywistości odwiedzał swoją kochankę Frances Hart na wyspie Thorney.

Kiedy robiła zakupy w miasteczku, u Woolwortha wybierała sztuczne ognie i rzeczy do wypełnienia skarpet, odtwarzała przebieg ich romansu, spotkania, telefony, półgodzinne randki w zimnych parkach, pocałunki pod drzewami, z których kapała woda. Zastanawiała się, czy kiedy leżeli w łóżku w mieszkaniu w Pimlico, on myślał o Frances Hart. Czy tęsknił za zapachem jej skóry, miękko spadającymi włosami.

Pakując w Wigilię prezenty, słuchając kolęd z radia, myślała: tak to się stało. W tamtą sztormową noc Gillis nie pocałował jej dlatego, że ją kochał. Owszem, pociągała go, ale to nigdy nie była miłość. Teraz o tym wiedziała.

Wiązała wstążki i myślała, że byli dla siebie stworzeni, ona i Gillis. Oboje skryci, beztroscy i chciwi. U niej były jeszcze dodatkowe cechy: bierność i pokrętność. Odgradzała się od rzeczy, których nie chciała widzieć, w mrocznych zakątkach umysłu, ostatnio jednak drzwi nie były zamknięte i siarkowe światło zaczynało się nagle sączyć zawsze wtedy, gdy traciła czujność. Cokolwiek Gillis czuł do niej, umarło lata temu, a jakaś część jej osoby od dawna o tym wiedziała. Przypuszczała, że bała się zaakceptować prawdę, że skończyło się i jej małżeństwo, i romans, a teraz jest za późno, żeby zaczynać od nowa. Romans pozwalał jej przetrwać w małżeństwie, choć ani romans, ani małżeństwo nie były warte zachowania.

Brakowało jej talentu do miłości. Miała trzech kochanków: Francuza z żoną i dziećmi w Kairze, Henry'ego, który ją poślubił ze względu na to, jak perłowy naszyjnik prezentował się na jej skórze, oraz Gillisa Sinclaira, który ze zdrady uczynił sztukę. Skończyła trzydzieści osiem lat i nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek jeszcze pokocha jakiegoś mężczyznę.

CZĘŚĆ TRZECIA

DZIEWCZYNA W CZERWONEJ SUKIENCE

Lata 1964–1966

Rozdział ósmy

Styczeń 1964 roku

I co o tym myślisz? – zapytał Esteban.

Esteban Galea był głównym projektantem w firmie Wintertona. Urodzony na Malcie z matki Hiszpanki najpierw mieszkał w Rzymie, potem w Paryżu, a w 1946 roku przeniósł się do Londynu. Znacznie się przyczynił do podniesienia się firmy po wojnie i odniesienia jej finansowego sukcesu.

Przez ostatni miesiąc Esteban pracował nad naszyjnikiem zamówionym przez teksaskiego potentata naftowego, stałego klienta Wintertonów. Naszyjnik, prezent dla jego żony na pięćdziesiąte urodziny, był cudownym rokokowym wirem nakładających się piór, na których diamenty i szafiry otaczały rubiny w kształcie łez.

– Olśniewające – powiedział Aidan. – Jesteś geniuszem.

Esteban wzruszył ramionami.

– Tego chce firma – odparł dość lekceważąco.

– Pokazałeś wujkowi?

– Jeszcze nie. Jak myślę, jest zajęty kłótnią z twoim kuzynem. – Chłodne szarobrązowe oczy Estebana wpatrywały się uważnie w Aidana. – Założyłem, że dlatego przyszedłeś.

Aidan uśmiechnął się kpiąco, doceniając spostrzegawczość Estebana. Dzień zaczął się fatalnie, od gorącej kłótni Piersa z wujkiem Henrym w sklepie, której świadkiem był cały personel. Aidan nie znosił konfliktów, rozgniewany wuj go przerażał, dlatego umknął przy pierwszej sposobności.

Warsztaty mieściły się na piętrze budynku, nad sklepem i biurami, pod prywatnym mieszkaniem, do którego się wchodziło oddzielnym

bocznym wejściem. Przez siedemdziesiąt lat istnienia oddziału przy Bond Street w budynku niewiele się zmieniło. Na zewnątrz huczał ruch uliczny, w pobliskich kawiarniach syczały włoskie ekspresy do kawy, z szaf grających płynęły piosenki Beatlesów i Gerry and the Pacemakers, ale w warsztatach panował szacowny wiktoriański spokój. Wysokie szerokie okna rzucały światło na drewniane stoły, przy których na taboretach siedzieli projektanci i złotnicy. Obok stały sztalugi z barwnymi szkicami. Jedną ścianę od podłogi do sufitu zajmowały szuflady z projektami sięgającymi początków firmy, na innej wisiał olejny portret praprapradziadka Aidana, Haydena Wintertona, przystojnego mężczyzny z wyrachowanym błyskiem w oku.

Obecnie w firmie pracowało czworo Wintertonów. Henry był ich dość apodyktycznym szefem, do dzisiejszego poranka nikt nie odważył się zakwestionować jego władzy. Gabe, kuzynka Aidana, córka Jane i Petera, zarządzała sklepem przy Sloane Street, on i Piers pracowali na New Bond Street. Zaczęli po odbyciu zasadniczej służby wojskowej, przez pierwsze trzy lata poznawali wszystkie aspekty biznesu. Dla Aidana najważniejsze było projektowanie, stąd wielką przyjemność sprawiło mu pół roku spędzone w warsztatach. Henry najwyraźniej o tym wiedział, ponieważ zaproponował, żeby Aidan pełnił funkcję łącznika pomiędzy projektantami a ulubionymi klientami Wintertonów. Piers awansował na zastępcę ojca.

Do obowiązków Aidana należało pozyskiwanie zamówień specjalnych, pilnowanie terminu realizacji oraz informowanie klientów o postępach w realizacji zamówienia. Naszyjnik w kształcie piór był jednym z takich zamówień. Dzisiaj rano zadzwoni do klienta i powie mu, że zlecenie jest na ukończeniu.

Wuj niedawno mu przypomniał, że musi zachowywać się jak zwierzchnik wobec personelu, powiedział więc rzeczowo:

– Dziękuję, Estebanie. Porozmawiam z panem Wintertonem. Będzie chciał obejrzeć ukończony wzór.

Wyszedł z warsztatu. Na podeście przystanął i wyjrzał przez okno. Z tego doskonałego punktu obserwacyjnego widział dach taksówki i piętra autobusów przejeżdżających Bond Street. Był szary

i deszczowy styczniowy dzień. Aidan w wyobraźni bezwiednie szkicował parasole przepychające się na chodniku, tworzące czarno-czerwono-granatową mozaikę. W zasięgu wzroku nie było skrawka trawy ani drzewa. Poczuł ostre ukłucie tęsknoty za otwartą przestrzenią ujścia rzeki i mokradeł.

Zszedł na dół. Przystanął przed drzwiami do gabinetu wuja i nasłuchiwał. Wyglądało na to, że krzyki ustały.

Ostatnie dwa tygodnie Henry Winterton spędził w Bahrajnie, gdzie kupował perły. Piers wykorzystał nieobecność ojca i dokonał zmian w sklepie. Schował do sejfu naszyjniki i bransolety, które uznał za staroświeckie, i polecił Estebanowi zaprojektować bardziej nowoczesną biżuterię. Wprowadził także zmiany w zakresie obowiązków personelu, a jednemu sprzedawcy, który według niego za mało się starał, wręczył wymówienie.

Po powrocie do pracy Henry wpadł w furię. W pewnym momencie Piers warknął do kuzyna:

– Poprzyj mnie, Aidanie.

Aidan jednak nie był w stanie wykrztusić słowa, jak zawsze, gdy miał do czynienia z gniewem wuja. Nikt tak jak wuj nie potrafił sprawić, że Aidan zamieniał się w galaretę, nawet nieustannie wściekły sierżant, pod którym służył w wojsku. W rezultacie nic nie powiedział.

Teraz czuł się z tego powodu źle. Nic by to nie zmieniło, gdyby poparł Piersa, tyle tylko, że wuj także na niego byłby zły. Nie o to jednak chodziło.

Chciał się przekonać, jak czuje się Piers, i pragnął się przed nim wytłumaczyć, dlatego zapukał do jego gabinetu. Nie doczekawszy się odpowiedzi, otworzył drzwi. Pokój był pusty.

W sklepie sprzedawca rozkładał bransoletkę w askamitnym pudełku, prezentując ją klientowi. W pomieszczeniu wyczuwało się niepokój. Aidan podejrzewał, że gdyby nie obecność klienta, personel dyskutowałby teraz o wojnie, która wybuchła między ojcem a synem.

Aidan zwrócił się do panny Burstein, kierowniczki sklepu pracującej tu jeszcze przed wojną:

– Widziała pani pana Piersa?

– Wyszedł.

– Orientuje się pani, kiedy wróci?

– Niestety nie, panie Aidanie. Pan Henry prosił, żeby absolutnie nikt mu nie przeszkadzał. – Zniżyła głos. – Cały personel musi zostać po godzinach, żeby ułożyć wszystko, tak jak było przedtem.

Aidan podziękował i wrócił do siebie. Przeglądając stos dokumentów, nasłuchiwał, czy Piers nie wraca. Do popołudnia podyktował pannie Rolfe, swojej sekretarce, ponad trzydzieści listów, a Piersa nadal nie było.

Spojrzał na zegarek i ziewnął, przeciągając się. Zadzwonił telefon.

– Aidan Winterton, słucham.

– Aidan? – Dziewczęcy głos. – To ty? Mówi Anne. Pamiętasz? Anne Carlisle.

Juliet dowiedziała się o awanturze od Helen.

– Aidan mówił mi, że Piers i Henry strasznie się pokłócili.

Siedziały w wypełnionej światłem pracowni na tyłach domu Helen w Maldon. Na zewnątrz było cicho i mroźno, nisko nad horyzontem płonęło zimowe słońce.

– O co? – zapytała Juliet.

Helen machnęła ręką.

– Chodziło o sposób zarządzania firmą. Piers chce ją unowocześnić.

– Dobry Boże. Tak powiedział Henry'emu?

– Na to wygląda.

– Żałuję, że...

– Że co?

Juliet już miała powiedzieć: żałuję, że Piers nie nauczył się lepiej zarządzać Henrym, ale przecież to było niemożliwe. Piers miał dwadzieścia cztery lata i niecierpliwie pragnął samodzielnie iść przez życie. On i Henry zawsze deptali sobie po odciskach. Westchnęła.

– Chciałabym, żeby tak zdecydowanie nie dążył do konfrontacji.

– Piers czy Henry?

– Piers, oczywiście. Henry nigdy się nie zmieni.

– Henry kazał mu wrócić do sklepu i awansował Aidana na jego miejsce. Kazał Aidanowi przenieść się do gabinetu Piersa.

Juliet wpatrywała się w szwagierkę.

– Henry zrobił Aidana swoim zastępcą?

– Obawiam się, że tak. – Helen wyglądała na nieszczęśliwą.

Trzy tygodnie wcześniej, w Nowy Rok, Juliet rzuciła palenie. Nie było tak trudno, jak się obawiała, chociaż teraz stwierdziła, że brakuje jej czegoś, czym mogłaby zająć uwagę w chwilach takich jak ta.

– Co za głupi człowiek – powiedziała gorzko. – To w stylu Henry'ego karać biednego Piersa, upokarzając go.

Helen otworzyła usta, jakby chciała coś dodać.

– Co? – zapytała Juliet. – Mów.

– Miałam powiedzieć, że Aidan też jest biedny. – Helen zamieszała kawę. – Wiesz, jemu tak samo to się nie podoba.

Na dwudzieste pierwsze urodziny Henry kupił Piersowi małe mieszkanie w Kensington. Wieczorem Juliet tam zadzwoniła. Piers odebrał dopiero po kilku sygnałach i od razu oznajmił, że się śpieszy, bo właśnie wychodzi. Zdołała jednak nakłonić go, żeby w piątek umówił się z nią na lunch.

Przyszła do restauracji Petera Jonesa pięć minut przed czasem, ale musiała czekać kolejnych dwadzieścia, zanim Piers się pojawił. Przywitał się z nią krótko, usiadł i wezwał kelnera. Zamówił stek i pudding z nerek. Pomyślała, że syn wygląda źle: miał podkrążone oczy i żółtą cerę, niestarannie zawiązany krawat i koszulę, którą jak podejrzewała, nosił dłużej niż jeden dzień. Ale fortuna sprzyja młodym, nawet wygnieceni i nieumyci wyglądają atrakcyjnie. Juliet zauważyła, że młoda kobieta przy sąsiednim stoliku ukradkiem zerka na jej syna.

– Miło z twojej strony, że poświęcasz mi czas, Piers – powiedziała. – Od Helen wiem, co się stało.

– Tak? – Spojrzał na nią groźnie. – Cały Aidan, od razu leci pochwalić się mamusi.

– Kochanie, jestem pewna, że to nie tak było.

– Mam być jego podwładnym. Cały personel płaszczy się przed panem Aidanem. – Jego głos ociekał pogardą.

Juliet pękało serce. Cieszyło ją, że Piers, inteligentny i łatwo się nudzący, po zwolnieniu z wojska tak szybko polubił pracę w rodzinnej firmie. To takie irytujące i takie typowe dla Henry'ego, że zrobił to, co ich syna najbardziej zrani.

Dotknęła jego dłoni.

– Ojciec postąpił niesłusznie. Ale jestem pewna, że to chwilowe rozwiązanie. Jest na ciebie zły, kochanie, a wiesz, jak lubi stawiać na swoim.

Dźgnął widelcem pudding.

– On musi mnie wysłuchać, ponieważ mam rację. Firma utknęła w przeszłości, mamo. Na razie obliczenia wyglądają dobrze, ale za dwa lata już takie nie będą, jeśli tata się nie pośpieszy i nie wprowadzi zmian.

– Tak mu powiedziałeś?

– Owszem.

Dobry Boże, pomyślała Juliet.

Piers nadal mówił:

– Robimy za dużo ohydnych naszyjników dla ludzi, którzy mają więcej pieniędzy niż gustu, i za dużo maminych broszek. Wiesz, ogromny szafir albo rubin otoczony diamentami.

Juliet próbowała sobie wyobrazić Piersa pouczającego Henry'ego, jak zarządzać firmą, której szefem był od czterdziestu lat. Przeszedł ją zimny dreszcz.

– Firma musi przynosić zyski, kochanie – powiedziała. – Trzeba sprzedawać to, co ludzie chcą kupować.

– Ludzie chcą nowych rzeczy, nowoczesnych. Młodzi tego chcą. Nie będą sobie zawracać głowy oglądaniem starych rupieci taty.

– Nie wątpię, że masz rację, Piers. Ale kochanie, trzeba postępować wolno i taktownie. Nie z dnia na dzień, kiedy ojca nie ma w kraju!

– Część personelu zgadza się ze mną.

Spojrzała na niego ostro.

– Mam nadzieję, że tego ojcu nie powiedziałeś. Piers, w żadnym razie nie możesz wplątywać w to personelu. Gdyby Henry to usłyszał, mogliby stracić pracę.

– Oczywiście Aidan słowem się nie odezwał – prychnął Piers – tylko stał jak kukła.

– A spodziewałeś się, że co powie?

Piers pokręcił głową.

– Nic – odparł rozgoryczony. – I tak zrobił. Nic nie powiedział. Zresztą i tak sobie z tym nie poradzi. Myśli, że mu się uda, ale nie. Nie ma w sobie ognia.

– To twój kuzyn – przypomniała mu. – Należy do rodziny. Aidan nie ponosi winy za tę sytuację.

– Czyżby? – Spojrzał na nią zimno. – Ale mu odpowiada, że tata i ja się kłócimy. Dzięki temu dostaje to, na czym mu zależy.

– Piers, jestem przekonana, że to nie tak.

– Mamo, nie wiesz, nie było cię tam.

– Znam Aidana – oznajmiła stanowczo. – I wiem, że nigdy by cię nie skrzywdził.

Piers napił się wody.

– Jestem lepszy od niego – powiedział cicho. – Tata zdaje sobie z tego sprawę. Więc dlaczego mnie nie słucha?

Bo nigdy nikogo nie słucha, pomyślała Juliet. Nie umie słuchać i uznałby to za niewybaczalną słabość, gdyby umiał.

– Piers, to firma ojca – oznajmiła szorstko. – W ostatecznym rozrachunku to on podejmuje decyzje.

– W takim razie może powinienem odejść, poszukać czegoś innego.

Wpatrywała się w niego wstrząśnięta.

– Nie możesz odejść z firmy.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, dlatego że gdybyś to zrobił, podałbyś ją Aidanowi na tacy.

– Tak. – Kąciki jego ust wygięły się w dół. – W tym problem.

Rozmowa nie toczyła się tak, jak planowała Juliet. Próbowała nad nią zapanować.

– Proszę, Piers, nie wspominaj więcej o odejściu z firmy. Nikt tego nie chce.

Na moment twarz mu się wykrzywiła i Juliet dostrzegła ból, który krył się pod brawurą. Piers wypuścił powietrze z płuc.

– Nie odejdę, mamo. Firma jest moja.

– Pewnego dnia będzie, kochanie, ale musisz być cierpliwy. Później porozmawiam z ojcem.

– Nie – odparł stanowczo. – Nie chcę, żebyś z nim rozmawiała. Sam sobie poradzę.

Kelner zabrał puste talerze. Kiedy znowu zostali sami, Juliet powiedziała:

– Nie sądzę, żeby tata był bardziej z ciebie zadowolony, kiedy przychodzisz do pracy i wyglądasz, jakbyś po prostu stoczył się z łóżka.

– Nie byłem dzisiaj w pracy – odparł smętnie Piers.

Nadal niekiedy zachowuje się jak naburmuszony dwulatek, pomyślała. Odziedziczył żelazną wolę i wybuchowy temperament po ojcu, choć miał mniejszą niż Henry skłonność do ataków furii. Jego gniew był zimniejszy, bardziej wykalkulowany; Piers długo pielęgnował urazy. Nie potrafiła określić, który budzi w niej większą rozpacz: Piers reagujący w sposób, który z największym prawdopodobieństwem wzmocni niezadowolenie ojca, czy Aidan pozwalający wykorzystać się Henry'emu. A może Henry upokarzający własnego syna.

Henry, pomyślała z gniewem. Oczywiście.

– Nie byłoby lepiej, gdybyś udowodnił ojcu, że jesteś niezastąpiony? – zapytała. – Przez ciężką pracę, dokładanie wszelkich starań.

– Przez podlizywanie mu się, chcesz powiedzieć?

– Nie, przez pokazanie mu, że popełnił błąd.

Piers z namysłem przygryzał wargę.

– Pokazanie, że jestem lepszy od Aidana?

Poczuła się niezręcznie, kiedy tak to ujął, ale potaknęła.

– Stara dobra mama – powiedział, przeciągając słowa. – Nigdy nie myślałem, że poradzisz mi, żebym podłożył Aidanowi nogę.

– Nie o to mi chodziło. – Choć może w gruncie rzeczy na tym ta propozycja polegała. Zażenowana poczuła, że jest nielojalna wobec Helen. – Proszę cię, Piers, postaraj się uporządkować sprawy. Ze względu na mnie, jeśli nic inne nie jest ważne.

Wolno kiwnął głową.

– Dobrze.

– To świetnie. – Ulżyło jej. – A teraz może dajmy sobie spokój z puddingiem, tylko chodźmy do sklepu. Kupię ci koszulę i będziesz mógł pójść do pracy.

Dziesięć minut później rozstali się przed sklepem. Juliet odprowadziła wzrokiem syna przemierzającego Sloane Square, potem wróciła do sklepu po pończochy dla siebie i Charley. Stamtąd poszła do krawcowej w Pimlico.

Po drodze złapała się na notowaniu w myślach zmian, które nastąpiły w mieście. Londyn z lat trzydziestych ze swym posępnym blichtrem zniknął bez śladu. Wojenny Londyn, zniszczony przez bomby i zbankrutowany, także należał do przeszłości. W jego miejsce wyrosło nowe miasto z jasnymi sklepami i nowoczesnymi galeriami. Kiedy z kawiarni wyszedł klient, na chodnik popłynęło *I Want to Hold Your Hand*. Juliet palcami wybijała na dłoni rytm piosenki.

Małą pracownię zaczęła odwiedzać przed wojną, z krawcową Emmeline od dawna się przyjaźniły. Emmeline poczęstowała ją szklaneczką sherry. Juliet piła, relacjonując nieporozumienie pomiędzy Piersem a Henrym. Emmeline, rozwiedziona i od zawsze pozostająca z byłym mężem w złych stosunkach, okazała współczucie.

Roztrzęsiona rozmową z Piersem Juliet kupiła trzy sukienki i wiosenny płaszcz. Rozmyślała o tym, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby Piers zrealizował groźbę odejścia z firmy, pożegnała się z Emmeline i obładowana torbami ruszyła na stację metra. Piers w gniewie był nieprzewidywalny. Próbując narzucić własną wizję zarządzania, wystrzelił pierwszy pocisk ostrzegawczy.

Wieczorem zamierzała porozmawiać z Henrym. Piers mówił, żeby tego nie robiła, ale nic mu nie obiecała. Postara się taktownie przekonać Henry'ego, żeby złagodził podejście do syna.

Wróciła do mieszkania, gdzie najpierw zrobiła sobie herbatę, a potem dżin z tonikiem. Wieczorem mieli się spotkać na kolacji z klientami. Wykąpała się i włożyła jedną z sukien wieczorowych, które dzisiaj kupiła. W pracowni była przekonana, że ciężka satyna jest w głębokim odcieniu fioletu, ale własne lustro powiedziało jej, że to purpura, a w tym kolorze nie było jej do twarzy. Przebrała się

w drugą, szmaragdowozieloną do kolan z jedwabnej mory ze wstążką na wysokim stanie. Czy tak jest lepiej? Przyjrzała się swojemu odbiciu, ale nie była pewna. Do kokardy przypięła diamentową broszkę. Czy Piers lekceważąco określiłby ją jako „maminą”? Hmm.

O siódmej wrócił Henry. Przywitała się z nim i zrobiła mu drinka.

– Jadłam lunch z Piersem – odezwała się.

Byli w sypialni, gdzie Henry wiązał srebrny krawat. Po sześćdziesiątce przybrał trochę na wadze, lekko wyłysiał na czubku głowy, ale wciąż był potężny, nikt prócz Piersa nie kwestionował jego pozycji w imperium Wintertonów. Juliet zastanawiała się, czy postępek Piersa nim wstrząsnął, czy przypomniał, że się starzeje.

– Powiedział mi, co się stało – dodała.

– To nie ma nic wspólnego z tobą, Juliet – odparł Henry ostrzegawczo.

– Jest moim synem. Chcę, żeby był szczęśliwy.

– Nie mieszaj się do spraw, o których nie masz pojęcia.

Przez dziesięciolecia słuchała rodzinnych rozmów o firmie. Czasami miała wrażenie, że dałaby radę sama ją poprowadzić.

– Henry, Piers jest młody. Jest ambitny i chce odbić swój ślad. Ty z pewnością w jego wieku byłeś taki sam.

– Szanowałem ojca. Uznawałem jego autorytet.

– On musi czuć, że ty go słuchasz.

Henry obnażył zęby.

– Piers wierzy, że firma po prostu spadnie mu na kolana. Ale tak się nie stanie. Nie jest jedynym Wintertonem. Musi na nią zasłużyć. Co według ciebie powinienem zrobić? Poklepać go po głowie i powiedzieć, żeby był grzeczny?

– Oczywiście, że nie. Tylko... bądź wobec niego łagodny.

– Łagodny... – Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. Trudno było nie kurczyć się pod jego wzrokiem, trudno było nie czuć, że w zielonej sukience jest jej nie do twarzy, że broszka jest niemodna, a fryzura brzydka.

Nieznacznie się uśmiechnął.

– To zawsze było twoje motto, prawda? Wybierać łatwą drogę, unikać podejmowania trudnych decyzji. Nie stawiać czoła temu, co

trzeba. Najwyraźniej nie przychodzi ci na myśl, że ta słaba, mizdrząca się poza, którą tak lubisz przybierać, nie przystoi kobiecie w twoim wieku.

Juliet się zarumieniła.

– Nie rozumiem, co mój wiek ma z tym wspólnego.

– Pewnie sądziłaś, że trzepocząc rzęsami, zdołasz mnie przekonać, żebym ustąpił Piersowi.

– Nie, Henry – odparła spokojnie. – Aż taka głupia nie jestem. Ja tylko proponuję, żebyś dał mu drugą szansę.

Włożył marynarkę.

– Pewnie mogłaś korzystać z takich sztuczek, kiedy miałaś dziewiętnaście lat, ale teraz to nie podziała. Jesteś za stara na takie sztuczki, Juliet.

Odwróciła się, machinalnie zerkając w lustro, żeby się upewnić, czy nos jej nie błyszczy, a szminka się nie rozmazała. Widząc teraz swoje odbicie, dostrzegła zmarszczki w kącikach oczu, nieznacznie obwisłą szyję.

– Jak przypuszczam, Piers prosił, żebyś się za nim wstawiła.

– Prawdę mówiąc, powiedział, żebym tego nie robiła.

– W takim razie nie jest pozbawiony rozsądku.

Wyszedł z pokoju. Juliet dygotała. Chwilę siedziała, potem włożyła płaszcz. Miała czterdzieści cztery lata, przestała być młoda. Henry zawsze miał talent do obnażania jej słabych stron.

Nie odzywali się, jadąc taksówką do restauracji. Poza własną nienawiścią wyczuwała jego pogardę. Ale czy rzeczywiście go nienawidziła? Dzisiaj wieczorem była zbyt znużona na tego rodzaju silne emocje. Czekał ją wieczór, w czasie którego będzie musiała grać rolę eleganckiej, czarującej Juliet Winterton. Wiedziała, że jak zawsze poradzi sobie doskonale. Czy tym właśnie się stała – aktorką, marionetką składającą się z farby i cieni, która podskakuje na błyszczącym tle?

A jednak kiedy przywitali się z klientami Henry'ego i weszli do restauracji, była zaskoczona, że nie jest bardziej przybita. Mijały godziny i jej wcześniejsze zdenerwowanie zastąpił jeśli nie spokój, to akceptacja. Myślała, że każdy, kto historii jej życia przyjrzałby się z zewnątrz, powierzchownie, pewnie przyznałby, że oskarżenia

Henry'ego choć w części są usprawiedliwione. Jej decyzję, by go poślubić, kiedy samotna i bez grosza znalazła się w Kairze, a później by pozostawać w związku, który zawsze będzie polem bitwy – można interpretować jako słabość i bierność. Podobnie jak postanowienie o zachowaniu w tajemnicy romansu Gillisa z Frances Hart.

Ale ona nie była słaba. Wiedziała o tym. Przetrwała. Więcej, stworzyła dla rodziny wygodny, elegancki dom, wychowała dwoje inteligentnych, cudownych dzieci. Miała przyjaciółki, przede wszystkim Helen. Festiwal muzyczny i lekcje w szkole pomagały jej radzić sobie z brakami w życiu.

Po pozbawionym stabilizacji, biednym dzieciństwie zaparło jej dech na widok bezpieczeństwa, które oferował Marsh Court. Od ćwierć wieku próbowała utrzymać w dłoniach wszystkie nitki. Chociaż starała się ukrywać przed Piersem i Charley najgorsze nieporozumienia z Henrym, nie miała cienia wątpliwości, że wrogość panująca między rodzicami odbiła się na dzieciach. Piers nauczył się wybierać konfrontację zamiast porozumienia. Charley pragnęła kochać, ale nie potrafiła nikomu zaufać. Może dzieci zapłaciły cenę za miłość Juliet do Marsh Court.

Teraz jednak nie musiała już tak bardzo się starać. Teraz nie musiała podejmować prób utrzymania związku, który rozpadł się dawno temu. Jeśli Henry utracił moc ranienia jej, co to mówiło o niej? Jak na nich oboje wpłynął ten długi związek? Ją uczynił twardą, pomyślała. I nieszczęśliwą. Mimo że kierując się dumą i ze względu na dobro rodziny próbowała to ukryć, był w niej smutek. Może właśnie poczucie braku szczęścia sprawiło, że zbyt łatwo uległa czarowi Gillisa. Może w reakcji na małżeństwo bez miłości pokochała go tak namiętnie.

Ich romans zakończył się sześć lat temu. Po wieczorze, kiedy przyznał, że był kochankiem Frances Hart, spotkali się tylko raz, w hotelu pod Epping Forest. Próbowali się kochać, ale było tak, jakby oboje zapomnieli, jak to się robi. Rytm, niegdyś naturalny i łatwy, stał się niezgrabny i chaotyczny i żadnemu z nich nie sprawiło to przyjemności. Wygłosili mało przekonujące, mgliste uwagi o przyszłości i rozstali się. Wracając do Marsh Court, Juliet musiała zatrzymać się na poboczu, by się wypłakać – nie po nim,

lecz po utracie złudzenia. Gillis nie był takim mężczyzną, jakim chciała, żeby był. Potem przez wiele miesiący odczuwała głównie żal i rozczarowanie.

Piers mieszkał w Londynie, Charley skończy szkołę latem albo w Boże Narodzenie, w zależności od tego, czy się zdecyduje zdawać egzaminy wstępne na Oxbridge. Szybko zbliżał się czas, kiedy Juliet nie będzie musiała być z Henrym dla dobra dzieci. Tego wieczoru, rozmawiając przy stole w restauracji o wyprawach na narty i Riwierze, Juliet postanowiła, że kiedy Piers i Charley definitywnie opuszczą dom, znajdzie sposób, by odejść od męża.

To nie będzie proste. Jeśli porzuci męża, będzie musiała wyprowadzić się z Marsh Court. Czy jest w stanie? To złamie jej serce. Poza tym rozwód nie wchodził w grę. Albo Henry musiałby się przyznać do zdrady, rzecz absolutnie wykluczona, albo ona musiałaby udowodnić, że ją zdradza, co byłoby trudne i niesmaczne. W żadnym razie nie skazałaby dzieci na oglądanie podłego sądowego spektaklu, w czasie którego rodzice przerzucaliby się oskarżeniami. Nazwisko Wintertonów nie może zostać unurzane w błocie; Juliet za bardzo ich wszystkich kochała i za wiele im zawdzięczała. Mogła mieć nadzieję najwyżej na separację. Nie wyszłaby ponownie za mąż, ale też nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby kiedyś jej na tym zależało. Miała już dość małżeństwa.

Galeria Katherine Rose znajdowała się przy Blantyre Street w plątaninie uliczek za King's Road. Nad wielką witryną widniała matowa czarna tabliczka z napisem „World's End Gallery" wykonanym małymi srebrnymi literami. W witrynie wisiał obraz Gene'a Davisa, seria precyzyjnie rozmieszczonych landrynkowych pasków na różowym tle. Inne prace artysty można było obejrzeć w galerii. Anne je lubiła. Budziły w niej spokój i kazały myśleć o angielskim wybrzeżu, leżakach i sterczących skałach.

Katherine, szczupła elegancka kobieta po sześćdziesiątce, która niezmiennie nosiła czarny żakiet od Chanel, białą bluzkę i czarne spodnie, od wielu lat przyjaźniła się z Anne i jej ojcem. Kiedy zaręczyny Anne zostały zerwane, to Katherine zaproponowała, żeby

dziewczyna na rok albo dwa przyjechała do Londynu, zamieszkała u niej w pokoju gościnnym i pracowała w galerii. Anne opuściła Amerykę z ulgą, że udało jej się uciec od bałaganu w swoim życiu. Dom Katherine w Hampstead, cały z betonu i szkła, urządzony z prostotą, wydawał jej się niebem. Anne uwielbiała chłodny wystrój galerii, lubiła pracę z klientami i dobrze się rozumiała z drugim asystentem Katherine, szczupłym i żarliwym chłopcem o imieniu Paul.

Jesienią 1957 roku ojcu Anne zaproponowano profesurę w School of the Art Institute w Chicago. Wówczas postanowiła, że także zostanie w Stanach, ale wróciła do San Francisco, gdzie spędziła dzieciństwo. Tam ukończyła kurs dla sekretarek. W dzień razem z pięćdziesięcioma dziewczynami uczyła się stenografii i pisania na maszynie, wieczorem spacerowała po Ocean Beach. Szum Pacyfiku stanowił tło jej rozmyślań, a Morze Północne ze swą nieustępliwą zimną szarością wydawało się jakby z innego świata. Kiedy spoglądała wstecz na tamto lato, lato w Maldon, ogarniało ją niedowierzanie. Przydarzyło jej się tam coś, co zupełnie nie leżało w jej charakterze. Zakochała się w Piersie Wintertonie, a to całkiem do niej nie pasowało.

Z perspektywy łatwo byłoby potraktować to jako zadurzenie, ale Anne nie pozwoliłaby na to uczciwość. Oto świetnie się bawiła, mieszkając na łodzi Lachlana i Sue, miło spędzała czas na spacerach i rozmowach z Aidanem, a potem pewnego dnia pojawił się Piers.

Piers Winterton. Oszałamiający w niebieskich dżinsach i rozpiętej pod szyją białej koszuli. Przystojny – i dobrze o tym wiedział. Wkroczył w jej życie z czarującym uśmiechem i pewnością siebie. Jej upadek, rezygnacja z rozsądku i ostrożności, które jak wierzyła, były integralnymi częściami jej natury: wszystko to nastąpiło w ciągu sekundy. Spojrzała i pokochała. Spojrzała i zapragnęła go.

Flirtował z nią. Zachowała na tyle przytomności umysłu, by wiedzieć, że flirtowałby z każdą w miarę ładną kobietą. Był takim typem. Czasami nie miała nawet pewności, czy go lubi. Czasami myślała, że sympatyczniejszym z dwóch kuzynów Wintertonów jest Aidan. Przy nim czuła się bezpiecznie. Przy Piersie to poczucie ją

opuszczało. Przebywanie z nim było jak zaglądanie do krateru wulkanu.

Zanim rodzice się rozwiedli, wychowywała ją matka, która lubiła na otoczeniu wyładowywać nawet najdrobniejsze emocje. Anne wcześnie nauczyła się ukrywać swoje uczucia. Później czerpała niejaką pociechę z przekonania, że Piers niczego się nie domyślał.

Zaprosił ją do swojego domu w tamten straszny dzień. Piknik, powiedział, urządzamy rodzinny piknik w ogrodzie. Wyobrażała sobie kanapki i lemoniadę, kraciasty obrus rozłożony na trawniku. Zmieszała się, gdy odkryła, że nie uprzedził matki. Anne nie dostała zaproszenia i jako jedyna nie należała do rodziny (Sinclairów traktowano jako przyszywanych krewnych). Piknik okazał się bardzo oficjalnym lunchem na patio za domem Wintertonów. Anne, która przez osiem ostatnich lat z ojcem wynajmowała mieszkania, niektóre składające się tylko z kilku pokoi, odebrała Marsh Court jako przytłaczający. Odnosiła wrażenie, że patrzy na nią gniewnie, przygniata ciężarem historii i brytyjskości.

No i Wintertonowie. Jasnowłosi, niebieskoocy, świadomi swojej wyjątkowości i inteligencji, zarzucili ją – bardzo uprzejmie – pytaniami. Gdzie się zatrzymała? Czym zajmuje się jej ojciec? „Artysta... jakie to ekscytujące". Gdzie chodziła do szkoły i na którym kontynencie obecnie mieszkają jej rodzice? „Rozwiedzeni?". Byli za dobrze wychowani, żeby unieść brwi, ale Anne wyczuwała, że mają na to ochotę. Pani Winterton rozdzieliła ją z Piersem, wyznaczyła jej miejsce między dwoma jego kuzynami. „Nie masz nic przeciwko temu, prawda, Anne?". Czuła się tak, jakby ją przeżuto i wypluto. Jakby oblała egzamin.

Nienawidziła oficjalności, rozpoznawała w niej sposób na trzymanie na dystans outsiderów. Cóż, była outsiderką, prowokacyjnie przyznała to sama przed sobą. Rozmowa wypełniona żartami, których nie rozumiała, dotyczyła ludzi, których nie znała, i toczyła się jakaś rodzinna kłótnia, co wprawiało ją w wielkie zakłopotanie. Wintertonowie byli uprzejmi i serdeczni i Anne odnosiła wrażenie, że to ona nie dorasta do sytuacji, a nie oni. Oferowali jej szansę, żeby na jedno popołudnie stała się częścią rodziny. Ale nie potrafiła, chociaż tego pragnęła. Nie miała pojęcia, jak to zrobić.

Dzień mijał, a ona czuła coraz większe przygnębienie. Panował straszny upał, gorące wilgotne powietrze było gorsze od suchego żaru w San Francisco, a widok Piersa w otoczeniu rodziny uświadomił jej, jak bardzo się od niego różni i jaka jest nieważna. Myliła się, odczytując znaczenie w tym zaproszeniu. Piers traktował ją jak przyjaciółkę, a podejrzewała, że przyjaźń Piersa będzie mniej trwała od przyjaźni Aidana. Pewnie zapomni o niej w chwili, gdy Anne wyjedzie do Ameryki.

A potem stała się ta straszna rzecz. Biedny ojciec Aidana dostał ataku serca. Upewniwszy się, że nic nie może zrobić, nie może pomóc ani nikogo pocieszyć, Anne ukradkiem wyszła. Idąc brzegiem rzeki, płakała.

Teraz od dwóch miesięcy pracowała w galerii Katherine. W tym czasie wahała się pomiędzy przekonaniem, że rzeczą nierozważną byłoby wykopywanie uczuć, które lepiej zostawić pogrzebane, i pogardą do siebie za tchórzostwo. Aidan i jego rodzina oferowali jej tamtego lata przyjaźń, była im winna przynajmniej uprzejmość.

Kiedy zadzwoniła do Aidana, jego oczywista radość udowodniła jej, że postąpiła słusznie. A co do Piersa: to było dawno temu. Jeśli ona zajęła się swoim życiem, to on z całą pewnością też. Wyobrażała sobie, że jest żonaty z jakąś angielską różą, Caroline albo Sereną, mieszka we wspaniałym domu na zielonej wsi. Postanowiła, że zobaczy się z Aidanem, porozmawia z nim i to wszystko, obowiązek spełniony.

Paul przytrzymał drzwi przed ostatnim klientem. Potem we troje zaczęli spuszczać żaluzje i zamykać cenne przedmioty w sejfie.

Spoglądając ponad okularami w kształcie półksiężyców, Katherine zapytała:

– Anne, masz dzisiaj randkę, prawda?

– To nie jest randka, tylko drink ze starym przyjacielem.

– W takim razie biegnij. Damy sobie radę z Paulem.

Anne włożyła płaszcz, zawiązała szal, przejrzała się w lusterku puderniczki i wyszła z galerii.

Kiedy tylko ujrzał, jak wchodzi do pubu Lord Nelson przy King's Road, wstał i pomachał. W lokalu było tłoczno, miał szczęście, że znalazł wolny stolik.

– Aidanie. – Pocałowała go w policzek. – Strasznie się cieszę, że cię widzę. Nie powiem, że się nie zmieniłeś, bo oboje się zmieniliśmy. Byliśmy wtedy dziećmi, prawda?

Zapytał, czego chciałaby się napić.

– Poproszę piwo – odparła. – Brakowało mi angielskiego piwa.

Stojąc w kolejce do baru, Aidan był zadowolony, że ma kilka chwil dla siebie. Odzyska oddech, kupi drinki, a kiedy wróci do stolika, przyzwyczai się już do myśli, że Anne Carlisle jest tutaj z nim, dziewczyna, o której nie zapomniał.

Postawił drinki na stole i otworzył opakowanie czipsów.

– Kiedy wróciłaś?

– Dwa miesiące temu.

Aidan przyswajał sobie tę informację. Jakiś drobny, irracjonalny zakątek jego umysłu liczył na odpowiedź: „dwa tygodnie temu". Coś w tym rodzaju. I na jeszcze bardziej irracjonalne „tęskniłam za tobą, Aidanie".

– Gdzie mieszkasz?

– U mojej przyjaciółki Katherine, właścicielki galerii. Niedługo zacznę szukać własnego lokum. A co u ciebie?

– Mam mieszkanie blisko firmy. Mieszkam tam w tygodniu. Na weekendy najczęściej jeżdżę do domu.

– Do Maldon?

– Tak.

Zapytała o jego matkę, potem powiedziała:

– To straszne, co się wtedy stało. Było mi przykro, że cię zostawiam.

Podsunął jej opakowanie czipsów.

– Kiedy patrzę wstecz, mam wrażenie, że wtedy moje życie rozpadło się na dwie części. Ale teraz doszedłem do siebie i mama też, chociaż długo nie mogła sobie z tym poradzić.

– Od jak dawna pracujesz w rodzinnej firmie?

– Zacząłem zaraz po odbyciu służby wojskowej. – Przypomniał sobie popołudnia, kiedy oboje rysowali w porcie. – Studia na

akademii sztuk pięknych nigdy nie wchodziły w grę, ale śmierć taty jeszcze bardziej je uniemożliwiła. Pewnie i tak nie byłem dość dobry.

– Wręcz przeciwnie, Aidanie.

Zapomniał o iskierkach światła w jej szarych oczach, o jej powadze, przekonaniu i szczerości.

– W weekendy nadal rysuję – powiedział. Chociaż rysowanie weekendowe niewiele dawało. Oboje o tym wiedzieli. Żeby udoskonalić warsztat, trzeba robić to codziennie.

Zapytał o jej rodziców. Opowiedziała mu o tacie w Chicago i mamie, która w Palm Springs otworzyła salon piękności, potem po krótkiej przerwie dodała:

– Byłam zaręczona, ale zerwałam. Strasznie zawaliłam, więc kiedy pojawiła się okazja, żeby tu przyjechać, od razu z niej skorzystałam. A ty, Aidanie? Masz kogoś?

– Jest pewna dziewczyna – odparł wymijająco.

– Jak ma na imię?

– Lynette.

Lynette była drobna, czarnowłosa i pełna werwy. Studentka szkoły aktorskiej, od czasu do czasu proponowała mu wyjście do teatru. Zawsze były tanie jak barszcz bilety na jaskółkę, skąd aktorzy krążący po scenie wyglądali jak mrówki.

– To nie jest poważny związek – dodał. Pomyślał, że powinien go zakończyć. Właściwie od początku o tym wiedział, ale nic nie robił. Często dłoń Lynette wsuwała się w jego dłoń, kiedy marzli na drugim balkonie. Na pożegnanie się całowali. Nie przypisywał ich znajomości żadnego znaczenia, chociaż ona mogła traktować ją inaczej. Niewykluczone, że pragnęła go tak, jak on pragnął Anne.

– Przykro mi z powodu zerwania zaręczyn.

Uśmiechnęła się smętnie.

– Mnie nie. Biedak, nie był facetem dla mnie. A co u reszty twojej rodziny? U kuzynów?

– W porządku.

Poczęstowała się czipsem.

– A u Piersa?

Piers był wściekły na Aidana. Piers unikał rozmów z Aidanem od czasu, kiedy wuj Henry wbił sobie do głowy, że ukarze syna,

awansując Aidana na jego stanowisko. Piers go o to obwiniał, co było bez sensu, ale cholernie typowe dla Piersa. Aidan przypuszczał, że w końcu wuj Henry ochłonie, oni wrócą na dawne miejsca i sytuacja się unormuje.

– Piers doskonale sobie radzi.

Umówili się na kolację w Maldon ze Stanmore'ami, którzy gorliwie sponsorowali letnie koncerty. W sypialni Juliet umalowała się, włożyła złote kolczyki i naszyjnik, po czym zeszła na dół. Popijając dżin z tonikiem, czekała na Henry'ego, który jechał samochodem z Londynu, i przeglądała notatki dotyczące następnej serii koncertów. Kiedy skończyła, spojrzała na zegar: dziesięć po siódmej. W zaproszeniu Stanmore'owie napisali od wpół do ósmej do ósmej. Henry miał jeszcze sporo czasu.

Kwadrans po... dwadzieścia pięć po. Zadzwoniła do mieszkania przy Bond Street, potem do obu sklepów. W żadnym z tych miejsc nikt nie odebrał. Zdenerwowana zatelefonowała do Stanmore'ów z przeprosinami. Henry'ego musiało coś zatrzymać, wyjaśniła, po czym uprzejmie odrzuciła propozycję Margaret Stanmore, żeby przyjechała do nich sama, a Henry do nich dołączy. Wiedziała, że stało się coś złego. Henry nigdy się nie spóźniał. Pewnie przebił oponę i teraz na poboczu jakiejś wiejskiej drogi męczy się z lewarkiem.

Wzięła z biurka papier i kopertę, po czym zasiadła do pisania listu do Charley. Telefon zadzwonił w chwili, gdy się podpisała. Odebrała.

– Henry, czy to ty?

– Nie, mówi Gillis.

Po krótkiej wymianie grzeczności powiedział:

– Prawdę mówiąc, miałem nadzieję na rozmowę z Henrym.

– Prawdę mówiąc, miałam do ciebie dzwonić i zapytać, czy się z nim nie widziałeś.

– Czyli nie ma go w domu?

– Jeszcze nie wrócił. Czekam na niego. Przypuszczam, że przebił oponę albo coś w tym rodzaju.

Gillis się rozłączył. Juliet zrobiła sobie kolejnego drinka, poszła do sypialni i przebrała się. Samochód musiał się zepsuć na jakimś odludziu, w przeciwnym razie Henry zadzwoniłby z budki telefonicznej. Niespokojna wóciła do kuchni, włożyła fartuch i solidnie wyszorowała zlew.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Kiedy otworzyła, na progu zobaczyła policjanta.

– Pani Winterton? – zapytał, a ona potwierdziła. – Czy mógłbym wejść?

Henry nie żył. Jego samochód, mały szybki mercedes, wpadł w poślizg na lodzie na moście pod Langford i wylądował na drzewie. Kolumna kierownicy przebiła Henry'emu serce, zabijając go na miejscu. Kiedy policjant relacjonował wypadek po raz drugi, przypuszczalnie odbierając pusty wyraz jej twarzy jako szok, Juliet pomyślała, że można powiedzieć, iż przyczyna śmierci obu braci Wintertonów była podobna. Jonathan miał wielkie serce, Henry małe i suche; wyobrażała sobie, że pękło jak łupinka nasionka.

Policjant wrócił z kuchni i na stoliku obok Juliet postawił filiżankę herbaty.

– Chciałaby pani, żeby ktoś z panią posiedział? – Nie odpowiedziała, więc zaczął od nowa: – Pani Winterton...

– Moja szwagierka Helen Winterton. Mieszka w Maldon.

Policjant wykręcił numer. Juliet piła herbatę. Usłyszała daleki warkot silnika – to musi być Henry, pomyślała. Ale nie, niemożliwe, przecież Henry nie żyje. Nad jej głową trzasnęły drzwi i przez moment wyobrażała sobie, że poszedł na górę, kiedy ona rozmawiała z policjantem, i będzie zły, bo nie umie znaleźć spinek do mankietów, coś w tym rodzaju. To wydawało się po prostu nieprawdopodobne. Był zbyt potężną osobowością, żeby tak po prostu – co? Dłużej nie istnieć.

Herbata była za słodka, Juliet wolałaby whisky. Pomyślała, że nie będzie w stanie po nim płakać, i na moment ogarnęła ją panika. Było jej przykro, że tak skończył, współczuła mu tej chwili przerażenia, kiedy stracił kontrolę nad samochodem, ale tak współczułaby każdemu, kto umarł nagłą, gwałtowną śmiercią.

Znowu rozległ się dzwonek.

– Otworzę – powiedział policjant.

– Nie – odparła Juliet ostro, wstając z krzesła. – Ja to zrobię.

Telefon zadzwonił, kiedy Piers wszedł do mieszkania. Była trzecia w nocy.

Podniósł słuchawkę.

– Piers Winterton. – Miał za sobą długą noc, pub, restauracja, klub nocny, był pijany i musiał się koncentrować, żeby nie bełkotać.

– Piers, mówi mama. Kochanie, tak mi przykro, ale niestety mam złe wieści.

Powiedziała mu, że doszło do wypadku i że ojciec nie żyje. W pewnym momencie odsunął słuchawkę od ucha i popatrzył na nią, zastanawiając się, czy to mu się nie śni.

– Nie żyje? – powtórzył. – Nie żyje?

– Niestety. Tak mi przykro, kochanie.

– Jesteś pewna?

– Owszem. To był bardzo poważny wypadek.

Usiadł na podłodze. Było mu niedobrze i bał się, że będzie musiał przerwać rozmowę i biec do łazienki.

Z wysiłkiem zapanował nad sobą. Kiedy wiadomość zaczęła do niego docierać, przygładził włosy dłonią i oszołomiony powiedział:

– Ale myśmy się kłócili. Tata i ja. O firmę.

– Wiem. Piers...

– Ostatnią rzeczą, jaką mu powiedziałem... – Nie mógł sobie jednak przypomnieć, co to było. Przypuszczalnie sarkastyczny komentarz do rozkazu, który ojciec mu wydał. Nic przyjemnego. To nie był uśmiech ani podziękowanie, a już z pewnością nie miłe słowa. – Chryste – szepnął.

– Mój drogi, ojciec kochał ciebie, a ty jego. Tylko to się liczy.

Czy naprawdę? Wątpił w to, przypominając sobie obelgi, jakimi ostatnio się z ojcem obrzucali. I czy ojciec go kochał? Teraz już się tego nie dowie.

– Wsiadam do samochodu, mamo – powiedział. – Jadę do domu.

– Nie – zaprotestowała stanowczo. – Nie chcę, żebyś to robił. Prześpij się i przyjedź rano. Jest ze mną Helen, nic mi nie trzeba. –

Powiedziała, że go kocha, i rozłączyła się.

W budynku, w którym Aidan wynajmował pokój, nie było telefonu, korzystał z pobliskiej budki albo dzwonił ze swojego gabinetu w firmie, dlatego o niczym nie wiedział, dopóki rano nie poszedł do pracy. Był pogodny zimowy dzień i Aidan miał doskonały humor. Myślał o Anne, o tym, jak cudownie było znowu ją zobaczyć; wspominał, jak wieczorem, kiedy szedł do pubu na spotkanie, wpadło mu na myśl, że jego osąd z czasów, gdy miał osiemnaście lat, może był do niczego i Anne okaże się – no cóż, zwyczajna, i jak widząc ją, poczuł ulgę i zachwyt, że jest jeszcze piękniejsza, słodsza i milsza, niż zapamiętał.

Wszedł do sklepu i wesoło się przywitał. Potem sobie uświadomił, że wszyscy, panna Burstein, sprzedawcy i panna Rolfe, która powinna pracować u siebie, ale też tu stała, wpatrują się w niego. Pomyślał, że Piers znowu się pokłócił z wujem Henrym, ale wtedy podeszła do niego panna Burstein, położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

– Aidanie, chodźmy do twojego gabinetu, dobrze?

Charley odebrał ze szkoły jej kuzyn Jake. Charley, która płakała od chwili, gdy opiekunka internatu powiedziała jej o śmierci ojca, drżała i szlochała, kiedy do swojego sportowego samochodu wkładał jej neseser. Nie spakowała go jak trzeba, neseser się otworzył i do bagażnika MG wysypały się pończochy i granatowe majtki. Jake wepchnął je z powrotem i zamknął zatrzask.

Był wyższy od niej o co najmniej trzydzieści centymetrów i musiał się schylić, żeby ją objąć. Charley płakała w jego skórzany płaszcz.

– No, już – powiedział. – Zawiozę cię do domu.

Wsiadła do samochodu. Głowa ją bolała i oczy piekły od łez.

– Proszę. – Jake podał jej dwie aspiryny i piersiówkę.

Napiła się czegoś wstrętnego, co paliło ją w gardle i zmuszało do kaszlu, ale przełknęła wszystko.

– To mój lek na kaca – powiedział. Zmusiła się do uśmiechu. Uścisnął jej dłoń. – Tak mi przykro, Charley.

Przygryzając wargę, patrzyła w okno, gdy odjeżdżali spod szkoły.

– Boję się – szepnęła – że nikt oprócz mnie nie będzie go żałował. Że nikt inny nie będzie za nim tęsknił. Biedny tatuś, prawie nikomu nie będzie go brakowało.

– Mamie będzie – odparł Jake. – Teraz straciła obu braci.

– Gdzie jest ciocia Jane?

– Jedzie do Marsh Court. Eliot i ja będziemy za nim tęsknili. Żartowaliśmy, jaki z niego stary drań, ale trudno sobie wyobrazić Marsh Court bez niego. Wszyscy będziemy za nim tęsknili, Charley.

Ale nie mama, pomyślała, biorąc drżący wdech i walcząc ze łzami. Nie była też pewna odczuć Piersa. Jeśli jednak Jake o tym nie wiedział, nie zamierzała mu mówić.

Piers dotarł do Marsh Court przed ósmą. Wyglądał strasznie, wygnieciony i wstrząśnięty, z czarnymi cieniami pod oczami. Helen zaparzyła kawę, Juliet smażyła bekon, jajka i kiełbaski. Helen zaproponowała, że ona to zrobi, ale Juliet odparła, że lepiej zna kaprysy pieca.

Nie była głodna, za to Piers zjadł dużo. Ostatnim kawałkiem chleba wytarł żółtko z talerza.

– Mamo, chcesz, żebym przejrzał dokumenty finansowe?

– Już zaczęłam. Konta bankowe są na jego nazwisko. Właśnie miałam dzwonić do Toma Kendricka.

– Ja to zrobię.

Wyczuwając, że Piers potrzebuje zajęcia, pozwoliła mu na to. Wyszedł z kuchni, a Juliet odkręciła kurek z gorącą wodą.

– Ja pozmywam – powiedziała Helen.

– Muszę coś robić. Czuję się taka niespokojna.

– Spałaś w nocy?

Pokręciła głową.

– Byłam taka wyczerpana, myślałam, że zasnę w jednej chwili. Ale chyba myślałam o różnych rzeczach.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Och... we wszystkim. Pogrzeb... gdzie umieścić ludzi... czy mam dość czystej pościeli. Sama wiesz.

– Zrobimy listę – oznajmiła Helen. – Wiesz, że listy to moja recepta na wszystko.

Juliet usiadła przy stole.

– Ciągle myślę o tym, jak powinno było być. Myślę o tym, co mielibyśmy, gdybyśmy oboje z Henrym byli inni. Co bym teraz opłakiwała? Może wspominałabym cudowną wyprawę samochodem po Włoszech, kiedy byliśmy młodzi. Albo jak świętowaliśmy zdane egzaminy dzieci i pocieszaliśmy się wzajemnie, kiedy wyjechały do szkół z internatem. Albo jak po proszonej kolacji Henry zawsze zmywał, a ja wycierałam, i jak rozmawialiśmy i śmialiśmy się z naszych gości. – Spojrzała na Helen. – Ale ja nic takiego nie mam.

Płakała. Na dworze śnieg padał z sinego nieba.

Do kuchni wszedł Piers. Wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Mamo, Kendrick mówi, że przyjedzie w poniedziałek po południu, jeśli ci to odpowiada.

– Tak, oczywiście.

Piers znowu wyszedł. Juliet wytarła nos i schowała chusteczkę z powrotem w rękaw. Ktoś zadzwonił do drzwi.

– Pewnie to Jane – powiedziała Helen, ściskając ją za ramię. – Otworzę. Juliet, powiadomiłaś Gillisa i Blanche?

– Jeszcze nie.

– Ja to zrobię. I gdybyś mogła znaleźć adresownik Henry'ego, skontaktowałabym się z jego przyjaciółmi.

Uważała go za niezniszczalnego, uświadomiła sobie Juliet, szukając w biurku Henry'ego adresownika. Ale on umarł w wieku sześćdziesięciu jeden lat i ich małżeństwo, którym od dawna była zmęczona, dobiegło końca. Świat zmienił kształt.

Rodzina zebrała się w Marsh Court. Jane, z oczami zaczerwienionymi od płaczu, przyjechała sama. Peter miał dołączyć do nich po porannym dyżurze w przychodni, przyjeżdżał z nim Eliot, który pracował w szpitalu Świętego Tomasza. Charley i Jake dotarli o jedenastej. Po południu stawiły się mieszkające razem w Londynie Louise, która w zeszłym roku skończyła szkołę, a teraz uczyła się w college'u dla sekretarek w Londynie, oraz Gabe, córka Jane.

Wczesnym wieczorem kobiety zgromadziły się w kuchni. Helen i Juliet kroiły i mieszały, Jane serwowała drinki, a Gabe liczyła talerze. Dziewczynki – chociaż oczywiście ani Louise, ani Charley nie były już małe – przyrządzały *trifle*. Charley zawsze robiła ten deser w taki sam sposób: biszkopt, mandarynki, sos i śmietanka z puszki.

Pogrzeb miał się odbyć w piątek, za sześć dni.

– Zostaniesz przez ten tydzień w domu, Louise?

Louise sypała kolorowy groszek na śnieżną śmietanę.

– Nie mogę.

– W college'u na pewno się zgodzą. Zadzwonię.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia i Louise powiedziała:

– Mam pracę, mamo.

Helen wrzuciła do garnka pokrojone marchewki.

– Jaką pracę?

– Modelki.

– No, świetnie – wtrąciła się Jane. – Wcale mnie to nie dziwi. To taka śliczna dziewczyna, Helen.

– Dla czasopisma „Honey", mamo. Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie, ale to okazja.

– Modelka – powtórzyła Helen, marszcząc czoło. – Myślałam, że chcesz zostać sekretarką.

Długa karmelowa grzywka spadła Louise na oczy. Była wysoką szczupłą pięknością, której błękitne oczy często przybierały smętny, marzycielski wyraz. Juliet nigdy nie słyszała, by Louise wyrażała na głos inne pragnienia oprócz założenia schroniska dla osłów. Zakładała, że to typ dziewczyny, który gładko przejdzie ze szkoły do pracy w charakterze sekretarki albo pielęgniarki, a potem w małżeństwo.

– Jeśli mi się uda – dodała Louise – zarobię więcej pieniędzy. A jeśli nie, to będę miała kwalifikacje sekretarki.

– Porozmawiamy później – odparła Helen.

– Mamy dość ziemniaków? – zapytała Juliet.

– Aż nadto. – Jane wyjęła jej skrobaczkę z dłoni i w to miejsce wsunęła szklaneczkę.

Ponieważ konta ojca w dzień po jego śmierci zamrożono, Piers musiał przeprowadzić cokolwiek niezręczną rozmowę z matką o tym, czy ma dość pieniędzy na życie. Widział wyraźnie, że rozmowa sprawiała jej przykrość, uważała temat za prostacki i upokarzający, ale łagodnie i taktownie zdołał się upewnić, że na razie niczego jej nie zabraknie.

Aidan przyjechał do Marsh Court późnym wieczorem w sobotę po zamknięciu sklepów i wrócił do Londynu w niedzielę. Gdy zabrakło Henry'ego Wintertona, ktoś musiał pilnować biznesu. Chociaż Piers był bardzo niezadowolony, że firmą kieruje Aidan, wiedział, że matka potrzebuje go w Marsh Court, i podczas krótkiego pobytu kuzyna dołożył starań, by przynajmniej zachować się wobec niego uprzejmie. Gdyby tylko Aidan okazał lojalność, może cała sytuacja nie wymknęłaby się spod kontroli. Może ojciec przejrzałby na oczy. Ale to, musiał przyznać Piers, było mało prawdopodobne. Nie potrafił wybaczyć Aidanowi, że ten nie poparł go w trakcie kłótni z ojcem, ale miał świadomość, że wkrótce przejmie firmę, dlatego stać go było na wielkoduszność.

Wspomnienie kłótni bardzo go dręczyło. Dlaczego tata w tamten poranek po powrocie z Bahrajnu nie mógł po prostu wejść do sklepu i powiedzieć: „Doskonały pomysł, świetna robota, Piers"? I może klepnąć go po plecach ze słowami: „Moja krew", zamiast na niego wrzeszczeć. W dzieciństwie Piers zawsze usiłował zasłużyć na aprobatę ojca. Uczył się pilnie do egzaminów, trenował ciężko, żeby się dostać do drużyn rugby i krykieta. Ojciec miał zwyczaj wyciągania małego niepowodzenia z morza sukcesów. Jedenaste miejsce z historii, mówił, przeglądając świadectwo. Albo: jeszcze nie dostałeś wyróżnienia, Piers? Po jakimś czasie Piers przestał się starać, spadł w rankingu klasowym i zrezygnował ze sportów. Po co?

Kiedy kończył szkołę, nie znosił jej. Nienawidził dwóch lat wojska od pierwszego do ostatniego dnia. Ale pracę w firmie uwielbiał od samego początku. Zawsze wiedział, że to jego miejsce, i był w tym dobry. Tego ojciec nigdy, przenigdy mu nie powiedział, a świadomość, że rozstali się w gniewie – na zawsze, jak się okazało – bardzo go dręczyła. Kiedy wcześnie rano w niedzielę leżał bezsennie w łóżku, przyszło mu do głowy, że może naprawić to, co

się stało, jeśli dzięki niemu firma osiągnie większy sukces. Uświadomił sobie, że płacze.

Kendrick, prawnik ojca, przyszedł w poniedziałek po południu. Matka zaprowadziła go do dziennego pokoju, potem poszła do kuchni po herbatę. Kendrick, który był bardzo stary, chudy i zakatarzony, przekładał papiery, pociągając bez przerwy nosem.

Matka nalała herbaty do filiżanek.

– Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z faktu, że pan Henry dziesięć dni temu dokonał pewnych zmian w testamencie.

– Nie, panie Kendrick – odparła matka. – Nic o tym nie wiem. A ty, Piers?

On też nie miał o tym pojęcia.

– Czy te zmiany są znaczące?

– Tak, obawiam się, że bardzo.

Kendrick odchrząknął. Wyjaśnił, że Charley będzie otrzymywała roczną rentę w wysokości tysiąca pięciuset funtów. Piers dziedziczy Marsh Court, mieszkanie przy Bond Street oraz pozostały majątek osobisty ojca, Juliet natomiast domek i roczny dochód w wysokości tysiąca funtów.

Następnie prawnik oznajmił, że firma w całości przypadnie Aidanowi. W całości, powtórzył, na wypadek gdyby nie zrozumieli. Oba sklepy, przy Bond Street i Sloane Street, oraz związane z tym pieniądze. W taki oto sposób Piers odkrył, że firma jednak nie będzie jego, za to Aidan dostanie wszystko.

Rozdział dziewiąty

Styczeń–luty 1964 roku

Chociaż kochał Henry'ego, zdradził go. Ta myśl przyszła Gillisowi do głowy, kiedy pastor stanął za pulpitem w kościele Wszystkich Świętych w Maldon. Pomyślał, że Henry nigdy by tak nie postąpił. Miał wiele wad, ale był lojalny wobec przyjaciół.

Na pogrzebie Henry'ego Wintertona żałobnicy zapełnili kościół. Gillis odnalazł wzrokiem Juliet w pierwszej ławce. Czarny kapelusz przykrywał jej jasne włosy. Po obu jej stronach siedziały dzieci, Piers i Charley. Kiedy pastor zaczął mówić – „wybitne zasługi wojenne... człowiek niezwykle zmotywowany i zdeterminowany" – Gillis rozważał naturę zdrady, to, że można kogoś kochać, a jednak zabierać mu jego własność.

Obok niego siedziała Blanche. Ją oczywiście także zdradził. Czy to go określało – nie DSO, Order za Wybitną Służbę, nie kariera polityczna, ale zdrada? Czy niemądry romans z Frances Hart ze wszystkimi katastrofalnymi konsekwencjami był zdarzeniem definiującym jego życie, a wydarzenia tamtej sztormowej nocy nad Blackwater będą go dręczyć do dnia Sądu Ostatecznego?

– Cicho – mruknęła Blanche, dotykając jego rękawa, i Gillis uświadomił sobie, że musiał wydać jakiś odgłos. Wyjął chusteczkę z kieszeni i wydmuchał nos. Był dzisiaj przybity: styczeń, śmierć starego przyjaciela. Wstali o szóstej i w ciemności jechali z Londynu. Nawet kiedy nadszedł poranek, wydawał się mało przekonujący, na niebie wisiały ciężkie chmury, ziemię przykrywała warstwa śniegu. Po pogrzebie pojadą do Marsh Court na lunch z rodziną i przyjaciółmi, wieczorem muszą wracać do Londynu, ponieważ jutro ma spotkanie.

W tej chwili czuł każdy rok ze swoich pięćdziesięciu siedmiu lat. Był wypalony, znużony perspektywą dnia.

„Henry Winterton robił wrażenie na wszystkich, którzy go poznali", mówił pastor. Gillis prychnął w duchu i nastrój mu się przelotnie poprawił. To z pewnością cholerna prawda. Najczęściej było to wrażenie negatywne, ale Henry nie należał do ludzi, których łatwo się zapomina. Jego sarkazm, przyjemność, jaką czerpał z irytowania innych, nigdy Gillisowi nie przeszkadzały. Blanche mówiła, że Gillis jest gruboskórny, i być może zwykle taki był.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj czuł się jak zbity pies. Śmierć Henry'ego Wintertona oznaczała koniec epoki. Kiedy poznali się przed wojną, Henry był człowiekiem o silnym, interesującym charakterze. Jak bardzo Gillis uwielbiał odwiedzać Marsh Court, jak uwielbiał zabawne kłótliwe rozmowy Wintertonów! Zawsze wielkodusznie darzyli go swoim czasem, towarzystwem i przywiązaniem; w jego gardle uformowała się gula, musiał więc ponownie wydmuchać nos i zacząć myśleć o czymś innym: o zamęcie w rządzie w następstwie afery Profumo, o własnych wysiłkach, by napisać pamiętniki wojenne, o czymkolwiek.

Dobry Boże, niech ten dzień się już skończy, modliła się Juliet, gdy opuszczano trumnę do grobu. Charley przyciskała twarz do jej rękawa. Juliet przyciągnęła córkę bliżej i objęła. Z drugiej strony stał Piers, Juliet była świadoma jego milczenia i nieubłaganej furii. Musiała uciec się do szantażu emocjonalnego, żeby go nakłonić do uczestnictwa w pogrzebie ojca. Oba sklepy na znak szacunku były dzisiaj zamknięte, wielu pracowników przyjechało do Maldon na ceremonię pogrzebową. Byłoby miło, myślała Juliet, gdyby udało się przetrwać ten dzień i by Piers nie urządził jakiejś okropnej sceny w obecności ludzi od dawna wiernie służących Wintertonom, jak panna Burstein i panna Rolfe. Byłoby miło, gdyby udało się zachować chociaż pozory godności.

Obliczyła, że około pięćdziesięciu osób ruszy do Marsh Court po pogrzebie. Miała nadzieję, że przygotowali dość jedzenia. W myślach

przejrzała dania ustawione w spiżarce i lodówce, dzieląc je na porcje.

Potem było po wszystkim, pastor ściskał jej dłoń i mruczał kondolencje, mąż leżał w grobie, a ona myślała o łososiu na zimno i gotowanej szynce.

Poszli do samochodu, który Piers zaparkował w pobliżu portu. Był odpływ, woda i piasek miały ten sam jasnoszary chłodny odcień co niebo. Jeszcze tylko poczęstunek i dotrwanie do wieczora, powiedziała sobie, potem będzie mogła się zastanawiać, czy z jej dwudziestoszścioletniego małżeństwa z Henrym Wintertonem coś pozostało.

Matka posłała Aidana po dodatkowe krzesła. Dwa znalazł w pokoju dziennym. Przystanął i przez okno spojrzał ponad pokrytym śniegiem trawnikiem na ognisko. Ciekawe, kto przygotował stos. Pewnie Charley.

Za plecami usłyszał hałas. Do pokoju wszedł Piers.

– Zaplanowałeś to – powiedział.

– Co?

– Co? – powtórzył falsetem Piers, krzywiąc się nieprzyjemnie. – Chciałeś, żeby tata wszystko ci dał. Dlatego mnie nie poparłeś, kiedy miał do mnie pretensje. Próbowałeś wkraść się w jego łaski.

To było takie idiotyczne, takie naciągane, że Aidan miał ochotę wybuchnąć śmiechem.

– Nawet nie wiedziałem, że twój ojciec zmienił testament – zauważył. – Bo niby skąd mógłbym to wiedzieć?

Piers zamknął drzwi.

– Nie wierzę.

Czy Piers naprawdę wyobrażał sobie, że on, Aidan, spiskował z wujem Henrym w kwestii dziedziczenia firmy? Z wysiłkiem poszukał właściwych słów, takich, które zmuszą kuzyna do zdroworozsądkowego spojrzenia na sprawę.

– Nigdy ze mną nie rozmawiał o tym, kto odziedziczy firmę. Ani razu, przysięgam, Piers. Byłem pewien, że ty wszystko dostaniesz. –

Aidan odstawił krzesło. – Skoro musisz wiedzieć, nie poparłem cię wtedy, bo nie byłem w stanie znieść jego gniewu.

– Kłamca. Dostrzegłeś szansę i wykorzystałeś ją.

– Myśl sobie, co chcesz – odparł Aidan gniewnie. – Wiem, że zachowałem się jak tchórz, ale twój ojciec przerażał mnie do szpiku kości i zawsze się pilnowałem, żeby go nie zdenerwować. – Nie podobało mu się szyderstwo w oczach Piersa. Pragnąc wstrząsnąć jego pewnością siebie, dodał: – A zresztą nie jestem pewien, czy masz rację w kwestii modernizowania sklepów. Uważam, że absolutnie wszystko jest w porządku.

Drzwi się otworzyły i weszła Louise. Spojrzała na brata i na kuzyna.

– Mama mówi, żebyś się pośpieszył, bo ciotki nie mają na czym siedzieć. I w dodatku zabraknie dla ciebie kiełbasek.

Temperatura spadła, widzieli własne oddechy na tle bladego nieba. Peter przyniósł zapleśniałe leżaki z szopy, Jane znalazła kartonowe pudła i dołożyli to wszystko do stosu. Flavia i Claudia trzymały na rękach swoje malutkie dzieci, ich mężowie zbierali połamane gałęzie. Helen rzuciła na wierzch kilka garści suchych liści, a Charley gniotła stare gazety i układała wokół ogniska.

Juliet stała z boku i patrzyła. Nie miała zamiaru włączyć się w żadne przedsięwzięcie mające na celu uczczenie Henry'ego. Nie doda listka ani gałązki do ogniska. Jak bardzo musiał jej nienawidzić, skoro zabrał jej Marsh Court, zostawiając domek dla gości! Wiedział, że bardzo kocha dom, chcąc ją więc ukarać za to, że wzięła stronę Piersa, postanowił odmówić jej prawa do mieszkania w nim. Doskonale się orientował, że Juliet nie podważy testamentu, ponieważ oznaczałoby to pozwanie do sądu Piersa. A tego nigdy, przenigdy by nie zrobiła.

Kiedy Charley przystawiła zapałkę do ogniska, Juliet poczuła miażdżący niepokój. Marsh Court był jej bezpiecznym schronieniem, obiektem miłości. Utrzymywała go przy życiu w czasie wojny, pielęgnowała go i dbała o niego przez wszystkie lata. Sadziła rośliny w ogrodze, gotowała, sprzątała, wypełniała go muzyką i śmiechem. Uczyniła z niego prawdziwy przytulny dom.

Renta roczna, którą Henry jej zapisał, była oburzająco mizerna, o wiele niższa od tej dla Charley; zyskał dzięki temu pewność, że zawsze będzie z trudem wiązała koniec z końcem. Konsekwencje jego mściwości rysowały się przed nią, gdy suche liście i gazety zajęły się ogniem i w nieruchomym powietrzu rozszedł się kwaśny dym. Wszystkie luksusy, które dotąd brała za pewnik, modne stroje, otwarte rachunki u Harrodsa i Selfridgesa, samochód, miejsca w Royal Albert Hall i Royal Ballet, nawet perfumy robione dla niej w Paryżu, teraz się jej wymykały.

Ale nic nie było ważne w porównaniu z domem. Tamte rzeczy to przyjemności, nie mają jednak dla niej istotnego znaczenia. Kupowałaby używane ubrania i dla rozrywki pożyczała książki z biblioteki, gdyby to oznaczało, że zachowa Marsh Court.

– Juliet.

Odwróciła się: to był Gillis. Zapytał, jak się czuje.

– Och... – Uśmiechnęła się do niego. – Obawiam się, że nie jestem pogrążoną w żałobie wdową. Raczej wściekłą. Przypuszczam, że słyszałeś?

– O testamencie? Owszem.

– Pewnie całe Essex słyszało.

– Henry zachował się skandalicznie, Juliet. Musisz podważyć testament.

– Nie, nie zrobimy tego ani ja, ani Piers. Rozmawialiśmy o tym. – Rzeczywiście, do późnych godzin. Błagała syna, argumentując, że rozprawa sądowa doprowadzi do nieodwołalnego rozpadu rodziny. Ostatecznie Piers się z nią zgodził.

Gillis zmarszczył czoło.

– Jako wdowa po Henrym masz szansę wygrać. Dam ci nazwisko mojego znajomego.

– Jedynymi ludźmi, którzy zarabiają na tego rodzaju sprawach, są prawnicy, wiesz o tym, Gillis. To takie podłe... nie naraziłabym na to rodziny, w żadnym razie. – Jej spojrzenie pobiegło do Piersa, który stał przy ognisku.

– Musisz przynajmniej zasięgnąć porady u dobrego prawnika.

– Gillis, nic takiego nie zrobimy – oznajmiła ostro i stanowczo, kończąc dalszą dyskusję. Roześmiała się. – Henry zawsze powtarzał,

że najważniejsza jest rodzina. Jeśli nie w innych, to w tej kwestii się z nim zgadzam.

Uniósł ramiona, potwierdzając swoją porażkę.

– Dasz sobie radę?

Chodziło mu o to, czy ma dość pieniędzy na życie. Juliet przypuszczała, że przyjaciele i znajomi, patrząc na nią, zadają sobie to samo pytanie.

– Oczywiście – odparła lekko. – Naprawdę, Gillis, niczego mi nie brakuje.

– Gdybyś kiedykolwiek miała trudności, pamiętaj, że ja jestem. – Odkaszlnął. W niebo gwałtownie skoczyły jaskrawoczerwone płomienie. – Świetnie grałaś rolę żony.

– Nazywam się Winterton – oznajmiła kwaśno. – Zawsze świetnie gramy swoje role, prawda?

Ścisnął jej rękę, musnął ustami policzek. Zamknęła oczy, wyraziście przypominając sobie dawne, inne czasy.

– Przykro mi, ale Blanche i ja musimy już jechać.

– Odprowadzę was.

– Nie trzeba. Niedługo się odezwę. Dbaj o siebie, Juliet. I pamiętaj, jeśli jakoś możemy ci pomóc...

Gillis i Blanche poszli w stronę domu. Juliet uświadomiła sobie, że nie została bez pociechy, że ma rodzinę i przyjaciół, i ogarnął ją spokój. Skończyło się małżeństwo, które tak wiele jej dało i tak bardzo ją dręczyło. Teraz mogła zacząć wszystko od nowa.

Z szopy wyszedł Piers z kanistrem benzyny.

– Poczekaj, stary! – zawołał Peter, ale Piers już chlusnął benzyną na ogień. Rozległ się głośny huk, płomienie rozbiegły się po trawie i wszyscy odskoczyli. – Cholerny głupiec! – krzyknął Peter. – Ktoś mógł się poważnie poparzyć.

Juliet patrzyła, jak Aidan okręca się na pięcie i przez trawnik idzie w stronę rzeki.

Anne Carlisle, która weekend spędzała na łodzi w Heybridge, o śmierci Henry'ego Wintertona dowiedziała się od Lachlana i Sue Macdonaldów. Biedni Piers i Charley, pomyślała, w tak młodym

wieku stracili ojca, i biedna pani Winterton. Napisała list z kondolencjami, w zagajniku nad kanałem zerwała przebiśniegi, owinęła je w mech i bibułkę.

Po długim lunchu z Sue, Lachlanem i ich przyjaciółmi pojechała do Marsh Court. Zbliżając się do domu, zobaczyła słup dymu i przypomniała sobie, że Wintertonowie mają zwyczaj rozpalać ognisko, kiedy dzieje się coś ważnego. To z pewnością rozpalili na cześć Henry'ego.

Zaparkowała na dziedzińcu. Dym wzbijał się w powietrze za domem, można było pomyśleć, że leci z komina. Postanowiła, że wręczy list i przebiśniegi osobie, która otworzy drzwi. Nie zamierzała zostać, w takim czasie byłoby to niestosowne.

Nacisnęła dzwonek. Po długiej chwili usłyszała kroki. Drzwi się otworzyły i Anne stanęła twarzą w twarz z Piersem Wintertonem.

Za plecami Aidana dym z ogniska zbierał się w poszarpane białe smugi wiszące nisko nad polami w coraz chłodniejszym powietrzu. Przed nim wiła się ścieżka, znacząca granicę między słonymi mokradłami a łąkami. Szedł szybko, napędzany gniewem, jego kroki odbijały się od zmarzniętej ziemi, oddech formował się w małe obłoczki. Na odległych polach pasy śniegu bielały na zaoranych polach. Aidan włożył dłonie do kieszeni płaszcza i szedł z pochyloną głową. Lodowate powietrze kłuło go w twarz.

W uszach rozbrzmiewał mu głos Piersa: „Dostrzegłeś szansę i wykorzystałeś ją". Nieprawda: o tym, że wuj Henry zostawił mu firmę, dowiedział się dopiero od Kendricka, prawnika wuja. Po rozmowie z nim siedział przy biurku w swoim gabinecie, oszołomiony szokiem. Nie chcę, myślał, nie chcę.

Dzisiejszy dzień był w każdym calu tak okropny, jak Aidan się spodziewał, Piers przeszywał go wzrokiem, ciocia Juliet była zamknięta w sobie, mama przygnębiona całą tą sprawą. Nie umiał się pogodzić z tym, że stał się obiektem upodobania Wintertonów do porządnej kłótni, i dzisiaj wyczuł, że rodzina dzieli się na frakcje, opowiadając się po jednej lub po drugiej stronie. Najbardziej oburzało go, że Piers z taką łatwością odrzucił lata przyjaźni i osądził

go, nie fatygując się nawet, by wysłuchać jego wersji. Czuł się odizolowany od ludzi, których znał i kochał przez całe swoje życie. O mało nie stracił panowania nad sobą po tym ekshibicjonistycznym pokazie Piersa z kanistrem benzyny, miał ochotę przed całą rodziną krzyknąć na niego, żeby przestał zachowywać się jak idiota. Piers nigdy nie umiał po prostu być zły, musiał się upewnić, że wszyscy o tym wiedzą. Niezdolny ani minuty dłużej przebywać z kuzynem, Aidan się oddalił.

Przed nim niczym szary wieloryb wyłaniała się z morza wyspa. Porastające ją drzewa tworzyły cienką linię w ciemniejszym odcieniu. Wodząc wzrokiem po ujściu, Aidan dostrzegł brodźce i kaczki szukające pożywienia w mokradłach. W niebo z krzykiem wzbiły się setki mew. Kulik... szlamnik z czarnym ogonem... a z karłowatych krzewów dobiegło głośne, przenikliwe wołanie kląskawki. Aidan poczuł, jak się odpręża. Im bardziej się oddalał od Marsh Court, tym lepszy miał nastrój.

Kiedy zbliżył się do grobli, na brzegu wyspy zobaczył kobietę. Miała na sobie granatowy płaszcz, gumowce i szkarłatną wełnianą czapkę na kręconych rudych włosach. Robiła zdjęcie z aparatu ustawionego na statywie.

Aidan poczuł irytację. Cieszył się samotnością i nie był w nastroju do rozmów z nieznajomymi, mimo to zawołał:

– Halo!

Wyprostowała się.

– Cześć!

– Zbliża się przypływ! Powinna pani wracać, w przeciwnym razie utknie pani na wyspie.

Dostrzegł, jak dziewczyna obrzuca wzrokiem wodę przelewającą się przez niższy brzeg grobli.

– Dziękuję! – Zarzuciła plecak na ramię, złapała aparat i statyw i pobiegła wąską ścieżką na grobli. Kiedy koło niego stanęła, powiedziała: – Bardzo panu dziękuję.

Z bliska się przekonał, że jest wysoka, zaledwie kilka centymetrów niższa od niego, i mniej więcej w jego wieku. Uśmiech miała otwarty i przyjacielski; pomimo złego humoru Aidan stwierdził, że także się

uśmiecha. Niebieskie oczy były szeroko rozstawione w owalnej twarzy, piegowate policzki zarumienione z zimna.

– Często fotografuję groble – powiedziała. – Można by pomyśleć, że powinnam się orientować w porach pływów.

– Groble? Dlaczego?

Z jego strony to była tylko uprzejmość, ale dziewczyna pytanie potraktowała poważnie i odpowiedziała po namyśle:

– Są jak mosty pomiędzy dwoma światami. Pomiędzy snami a rzeczywistością. Odnoszę wrażenie, że coś mi mówią.

– Co?

– Pewnie to, żebym się pośpieszyła, bo wtedy nie utonę – odparła z uśmiechem.

Zebrała długie włosy i wepchnęła je pod czapkę.

– Dzisiaj to moja trzecia grobla.

– Naprawdę? Gdzie pani była?

– Na wyspach Osea i Mersea. Chyba zrobiłam ładne ujęcia. Wie pan, ile grobli jest na Wyspach Brytyjskich?

Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Ponad sto.

– Imponujące – powiedział Aidan uprzejmie.

– Nie wszystkie prowadzą w morze albo przez rzeki, niektóre to ścieżki przez mokradła. – Roześmiała się. – Jedni fotografują góry i jeziora, a ja groble. Mam do nich słabość.

Wydało mu się to dziwną obsesją.

– Czy groble nie są dość... eee... zabłocone? Szare i brunatne?

– A co jest nie tak z szarością i brązem?

– Nic – przyznał Aidan, po czym dodał: – Trochę maluję. Mieszkając tutaj, ma się do czynienia z masą szarości i brązu.

– Mam w głowie obraz grobli, której szukam.

– Idealnej?

– Coś w tym rodzaju.

Patrząc na jej wysportowaną figurę, Aidan bez trudu wyobrażał sobie, jak dziewczyna wdrapuje się na skały i brodzi przez rzeki, by znaleźć najlepsze ujęcia.

Spojrzała na zegarek.

– Powinnam wracać do domu.
– A gdzie on jest?
– W Londynie, a dokładnie w Holborn. – Wyciągnęła do niego rękę. – Jestem Freya Catherwood.
Aidan także się przedstawił, po czym głową wskazał statyw.
– Mogę pani pomóc?
– Dziękuję. Zaparkowałam przy drodze.
Kiedy szli do samochodu, zapytał:
– Jest pani profesjonalnym fotografem?
– Nie... Bardzo bym chciała, ale trudno z tego wyżyć.
– Świetny aparat.
– Dosłownie głodowałam, żeby kupić hasselblada.
Jej czerwony mini morris stał na poboczu. Otworzyła bagażnik i włożyła do niego plecak i statyw.
– Podwieźć pana?
– Dziękuję, ale chętnie się przejdę.
– Jeśli poda mi pan swój adres, powiadomię pana o mojej następnej wystawie. A potem, o ile będzie miał pan ochotę, może pan zobaczyć fotografie.
– Z wielką przyjemnością. – Zapisał swój adres na kawałku papieru i wręczył jej. Wsiadła i odjechała.
Aidan planował długi spacer, ale niebo pociemniało i zapowiadało się na śnieg. Nie miał ochoty wieczorem bez latarki wędrować po mokradłach. Co za dzień, pomyślał, wypuszczając powietrze z płuc. Spotkanie z Freyą Catherwood poprawiło mu humor, przez szok i konflikty z całego tygodnia przedarł się zachwyt wywołany powrotem Anne do Anglii.
Wiedział, że musi postępować ostrożnie. Po niedawnym zerwaniu zaręczyn Anne z pewnością nie będzie chciała zbyt szybko angażować się w nowy związek, ale on, dzięki Bogu, przestał być niezgrabnym osiemnastolatkiem, niepotrafiącym wydusić słowa, i kiedy żegnali się przed pubem, zaprosił ją na kolację.
Jego gniew rozpraszał się wraz ze słabnącym światłem i nagle rzeczą niezwykle ważną wydał mu się powrót do Marsh Court. Próbował sobie wyobrazić, jak sam by się czuł, gdyby ojciec postąpił wobec niego tak jak Henry Winterton wobec Piersa. Ale nie był

w stanie. Tata nigdy w taki sposób by go nie zranił, pamięć o nim sprawiała, że sama myśl była zbyt bolesna. Niech Piers dostanie to, na czym tak mu zależy. Aidan tego nie chce. Nigdy nie chciał.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Piers trzymał w objęciach jedwabny szlafrok ojca, kilka książek, a także przybory do golenia i do pisania.

Otworzył drzwi. Na ganku stała jasnowłosa dziewczyna z bukiecikiem kwiatów w dłoni.

– Dzień dobry, Piers – powiedziała. – Przepraszam, że się narzucam.

Mówiła z amerykańskim akcentem. Coś w jego głowie zaskoczyło.

– Anne?

– Tak.

– Chryste, co ty tu robisz? Przecież miałaś być w Ameryce.

– Niedawno wróciłam. Przyszłam, żeby dać to twojej mamie. – Wyciągnęła rękę z przebiśniegami. – Przyjmij moje najszczersze kondolencje.

– Wejdź, proszę.

– Dziękuję, ale wolałabym nie.

– Musisz. To był piekielny dzień, twoja obecność poprawi mi humor. Nalegam.

Rzucił rzeczy ojca na podłogę i przytrzymał przed nią drzwi.

– Skoro tak mówisz... – powiedziała niepewnie. – Nie chcę przeszkadzać. Wpadnę tylko na pięć minut.

Poprowadził ją korytarzem.

– Dobrze cię widzieć. Ile to lat?

– Sześć.

Piers westchnął.

– A wydaje się, że całe cholerne życie.

– Żałuję, że spotykamy się w takich okropnych okolicznościach. Palicie ognisko? Widziałam dym.

– Owszem. Miałem dorzucić to do ognia. – Szturchnął stopą stos na podłodze. – Należą do taty.

Widział, jak Anne usiłuje ukryć zdumienie.

– Mama cię o to prosiła?

– Nie, jasne, że nie.

Zapomniał, jaka jest śliczna. A może przez ten czas wypiękniała.

– Jest tu Aidan?

– Aidan?

– Tak. Umówiliśmy się na kolację w przyszłym tygodniu, ale pomyślałam, że może w tej sytuacji nie będzie chciał.

Piers spojrzał na nią z namysłem.

– Może nie. Chodź, poszukamy czegoś do picia.

Poszła za nim do salonu. W fotelu koło kominka drzemała panna Rolfe. Na kredensie stała butelka sherry; Piers nalał do dwóch kieliszków.

– Zdrowie. – Stuknął kieliszkiem w jej kieliszek. – Miałaś po uszy Kalifornii?

– Coś w tym rodzaju.

– Wróciłaś tu na dobre?

– Na pewien czas. Pracuję w galerii w Chelsea.

– Bajecznie – skomentował z roztargnieniem. Głęboko nad czymś się zastanawiał.

– Piers – powiedziała łagodnie.

– Co?

– Strasznie szybko pijesz.

Zamrugał; w jego szklaneczce widać było dno.

– Nie wiem, jak inaczej przetrwałbym dzisiejszy dzień – wyznał szczerze.

– Współczuję ci z powodu śmierci ojca. Pewnie bardzo za nim tęsknisz.

Pokręcił głową, wyginając usta.

– Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie. Ulżyło mi, że ten stary drań odszedł. Mógłbym ci to wyjaśnić, ale jeszcze bardziej bym cię zanudził. Przepraszam, Anne.

– Piers, możesz o wszystkim mi opowiedzieć – odparła poważnie.

Co dostrzegał w tych świetlistych srebrnoszarych oczach? Sympatię, tak – i może coś więcej. Pomysł, który czaił się na dnie jego świadomości od chwili, gdy Anne Carlisle nieoczekiwanie

stanęła na progu Marsh Court, pomysł na doskonałą okazję odpłacenia Aidanowi, teraz się skrystalizował.

– Ta kolacja z Aidanem to randka? – zapytał wolno.

Uśmiechnęła się: niemądry.

– Nie, oczywiście, że nie. My z Aidanem tylko się przyjaźnimy.

Ona mogła tak myśleć, ale Piers miał silne podejrzenie, że Aidan uważa inaczej. Przecież durzył się w Anne w tamte wakacje sprzed lat, dlatego on, Piers, nie wykonał ruchu.

Obdarzył ją swoim najbardziej uroczym uśmiechem, atrakcyjnie zabarwionym smutkiem i wyczerpaniem człowieka, który doznał poważnej straty.

– Ulżyło mi – powiedział.

– Ulżyło? Z jakiego powodu?

Położył jej dłoń na ramieniu i wyprowadził ją z pokoju, kierując się do spokojniejszej części domu.

– Ponieważ miałem nadzieję, że sam zaproszę cię na kolację.

– Co ona tu robi? – syknęła Charley do Louise.

– Kto?

Były w pokoju zabaw. Charley uchyliła drzwi i wyglądała przez szparę. Na schodach siedzieli Piers i Anne Carlisle.

Louise stanęła obok niej.

– Nie powinna tu być. Nie jest z rodziny – powiedziała Charley.

– Może pociesza Piersa.

Charley nie chciała, żeby Anne Carlisle pocieszała Piersa. Chciała, żeby Anne sobie poszła i zostawiła ich w spokoju.

Widząc jednak, że Louise zupełnie to nie interesuje, zrezygnowała i usiadła na sofie. Sprężyny dawno się połamały, Charley skubała końskie włosie, które wychodziło spomiędzy poduch jak śmietankowy krem z tortu. Żal płonął w jej sercu niczym gniewny ogień. To ją przerażało, musiała oderwać od niego myśli, dlatego zwróciła się do Louise:

– Opowiedz mi o tym fotografie od mody. Jak wygląda? Jest bajecznie seksowny i niegrzeczny?

Cienie gęstniały, tworząc plamy na trawie. Z nieba uciekały resztki światła. Zbierając z tarasu filiżanki, Juliet czuła narastający ból głowy.

W cieniach coś się poruszyło; Juliet spojrzała i zobaczyła idącego przez ogród Aidana.

– Spacer się udał? – zawołała.

– Widziałem parę edredonów i dziewczynę, która fotografowała groblę.

– Dobry Boże. W tym zimnie?

Aidan stanął obok niej.

– Nie chcę firmy, ciociu Juliet. Nigdy nie chciałem. Piers wszystko źle zrozumiał. On powinien ją mieć, będzie o wiele lepszy ode mnie.

Naprawdę? – zastanawiała się Juliet. I czy w odwrotnej sytuacji Piersowi starczyłoby dojrzałości na wyciągnięcie takiego wniosku? Poczuła jednak ulgę.

– Porozmawiaj z nim. Chyba jest w pokoju zabaw z dziewczynami.

Weszli do domu. Piersa jednak nie było z Louise i Charley. Gdyby tylko był, myślała później Juliet.

On jednak siedział na schodach z dziewczyną. Juliet usłyszała, jak Aidan mruczy:

– Anne?

Oświetlała ich lampa. Piers mówił coś cichym, przymilnym głosem, potem pochylił się ku dziewczynie, żeby zdjąć coś – piórko, strzęp popiołu – z jej włosów. Wyraz twarzy, gdy poczuła jego dotyk... Juliet się odwróciła, współczując jej. To było uwielbienie. Nagie uwielbienie.

Piers podniósł głowę. Na widok Aidana się uśmiechnął.

– Anne i ja wybieramy się do pubu. Idziesz z nami, Aidanie?

– Nie, dziękuję.

– Aidan? – ponagliła go Juliet. – Chyba chciałeś coś powiedzieć Piersowi?

Ale wyraz jego oczu stwardniał.

– Nie – odparł. – Nie mam mu nic do powiedzenia.

Po tych słowach odszedł.

Sześć lat temu wyrzucenie Piersa Wintertona z myśli kosztowało Anne wiele spacerów po Ocean Beach, ale w końcu jej się to udało. Na tej samej plaży poznała Glenna Robertsona. Szkicowała dziwne niebieskie stworzenie, które znalazła na piasku, i Glenn kucnął obok niej, brązowooki okularnik, przypatrując się uważnie wyrzuconemu na brzeg biednemu zwierzątku. To velella, powiedział jej, stułbiopław. Wykorzystuje czułki do pływania, a grzebień na grzbiecie do sterowania. Anne spodobało się, że Glenn zna tego rodzaju ciekawostki. Mieli o czym rozmawiać.

Glenn skończył inżynierię elektryczną na Caltechu i pracował w przedsiębiorstwie produkującym kserokopiarki i maszyny do pisania z siedzibą w Market, dzielnicy San Francisco. Anne poszła z nim do kina, potem na kolację do Chinatown. W weekend pojechali do Monterey i spacerowali po Cannery Row, rozmawiając o Steinbecku.

Po osiemnastu miesiącach znajomości oświadczył się jej, a ona powiedziała tak. Pracowała wtedy jako starsza sekretarka w domu handlowym Macy i czasami miała wrażenie, że utknęła, jakby przez przypadek wylądowała w życiu, które jej nie odpowiada. Wiedziała, że musi ruszyć z miejsca. Glenn wszystko zaplanował. Teraz co tydzień będą odkładać jedną trzecią zarobków, dzięki czemu przed ślubem wpłacą depozyt na dom. Nie chciał, by zaczynali wspólne życie w wynajętym mieszkaniu. Dwa lata po ślubie będą mieli pierwsze dziecko, po dwóch kolejnych latach drugie.

– Co dwa lata prorok? – zażartowała Anne, a on zamrugał i odparł:

– Nie, Anne, tylko ta dwójka. Świat już jest przeludniony, nie sądzisz?

W weekendy najbardziej lubił odwiedzać swoich rodziców w Pasadenie. Mama i tata (poprosili Anne, żeby tak się do nich zwracała) byli mili i religijni, Anne i Glenn spali w osobnych pokojach. To nie był dom, w którym można nocami skradać się po korytarzu, żeby uprawiać niedozwolony seks.

I pewnie tak by to trwało, Anne odkładałaby jedną trzecią pensji na dom, kochała się z Glennem we wtorki i piątki, jak lunatyczka wkroczyłaby w małżeństwo, gdyby nie interweniował jej ojciec.

– To sympatyczny chłopak – powiedział jej pewnego wieczoru – ale nie jest odpowiedni dla ciebie.

Wręcz przeciwnie, upierała się Anne. Zamierzała wyjść za Glenna Robertsona.

– Annie. – Ojciec wziął ją za rękę. – Znam cię. Ty go nie kochasz.

Byli w Sausalito. Pomagała ojcu przygotować wystawę jego obrazów w miejscowej galerii. Pochyliła głowę, przygryzając wargę, a on pogładził ją po włosach, jak robił, kiedy była mała i bała się ciemności.

Ciepły wieczór nad Pacyfikiem: siedząc w porcie, patrząc, jak wschodzi księżyc i łodzie kołyszą się na falach, przeszła przez okrutny proces odkrywania, że ojciec miał rację. Nie kochała Glenna. Lubiła, szanowała, ale nie kochała. Na miłość byli zbyt podobni – za bardzo poważni, spokojni i introwertyczni. Oboje świetni w planowaniu i organizowaniu, wzajemnie by się zadusili. Jednak Anne miała też w sobie żywiołową i brawurową cygańskość. Gdyby wyszła za Glenna, ta jej cecha zniknęłaby bez śladu.

Nazajutrz zerwała zaręczyny. Myślała – albo raczej usiłowała samą siebie przekonać – że Glenn tak jak ona dostrzeże i zaakceptuje prawdę, że nie są dla siebie właściwymi partnerami. Ale się pomyliła. Glenn się załamał, silny, dobry mężczyzna szlochał, bo ona nie miała dość rozsądku, żeby wcześniej sobie uświadomić, że potrzebuje czegoś więcej.

Nienawidząc siebie, złożyła wymówienie u Macy'ego, kupiła używanego cadillaca za swoją część oszczędności na dom (starannie podzieloną przez Glenna) i ruszyła w głąb kraju. Kiedy jechała przez rozległe przestrzenie Stanów Zjednoczonych, z Sacramento do Salt Lake City, a stamtąd do Omahy, Chicago i Clevelandu, poczucie winy stopniowo przekształcało się w ulgę. Zdawała sobie sprawę, że uciekła w samą porę. Dwa tygodnie po wyjeździe z Kalifornii dotarła do Nowego Jorku, gdzie sprzedała cadillaca i wynajęła pokój w kamienicy z kruszejących cegieł, gdzie za kuchennymi szafkami połyskiwały karaluchy. Znalazła pracę asystentki w czasopiśmie o modzie. Redaktorka była hałaśliwą, wiecznie narzekającą kobietą, redakcję dręczyły spory i podziały na frakcje. Anne nienawidziła tej pracy, ale z niej nie rezygnowała, potrzebowała pieniędzy na czynsz,

więc traktowała ją jako rodzaj pokuty. Później przyszedł list od Katherine z wiadomościami o otwarciu nowej galerii. Anne odpisała, pytając, czy znajdzie się dla niej praca. Dostała telegram o treści: „Wskakuj do samolotu, kochanie” i Anne tak zrobiła.

Myślała o tym wszystkim w czwartek po pogrzebie, idąc King’s Road na spotkanie z Aidanem w restauracji. Nie chciała znowu popełnić błędu. Podejrzewała, że jest granica, po przekroczeniu której z cierpienia nie da się otrząsnąć.

Aidan był milczący, rozmowę raz po raz przerywały chwile ciszy. Anne przypisała to niedawnej stracie wujka. Kiedy rozprawiali się z *coq au vin*, zapytała:

– Orientujesz się, czy Piers się z kimś spotyka?

Zgarbił się.

– On mi się nie zwierza. Pewnie tak.

– Ma dużo dziewczyn?

– Owszem.

– Na poważnie?

– Nie wydaje mi się. To zależy, co rozumiesz przez „poważnie”. Nie sądzę, by był zakochany. – Spojrzał na nią. – O co chodzi?

– Wiesz, w Stanach narobiłam strasznego bałaganu z Glennem, moim narzeczonym, i następnej pomyłki chybabym nie zniosła. Zastanawiałam się, czy Piers coś o mnie mówił. – Dostrzegłszy, jak zmienia się wyraz jego twarzy, pośpiesznie dodała: – Nie proszę, żebyś zdradził jego zaufanie. Zawsze jednak uważałam cię za dobrego przyjaciela i mam nadzieję, że ty o mnie tak samo myślisz. Chodzi o to, że ta... sprawa z Piersem była taka nieoczekiwana. Kiedy przed laty się poznaliśmy, zupełnie się nie orientowałam, że czuje do mnie coś więcej niż przyjaźń. Martwię się, że teraz to mogło mieć coś wspólnego ze śmiercią ojca, że próbował oderwać myśli, coś w tym rodzaju. – Uśmiechnęła się. – To głupie z mojej strony, prawda? Nie możesz myśleć, że jestem z tego powodu nieszczęśliwa. Piers jest wyjątkowy. A wy, Brytyjczycy, nie nosicie serca na dłoni. – Przerwała, napiła się wina. – Przepraszam, za dużo mówię, ale chyba się w nim zakochałam.

Aidan milczał tak długo, że poczuła się upokorzona, postrzegając siebie jako karykaturę gadatliwej, nadmiernie otwartej Amerykanki,

którą ludzie w rodzaju Wintertonów prawdopodobnie pogardzają.

Potem jednak Aidan powiedział:

– Anne, Piers i ja nie rozmawiamy ze sobą.

To była dla niej nowina.

– Och, nie wiedziałam. A dlaczego?

Wyjaśnił, że ojciec Piersa w ostatniej chwili zmienił testament i zostawił rodzinną firmę jubilerską jemu, Aidanowi, a nie jak wszyscy się spodziewali synowi.

– Jejku, Aidanie, to straszne dla was obu.

– Nie wszyscy tak to widzą. Część rodziny obwinia mnie.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Piers cię obwinia. Czy to mi chcesz powiedzieć?

– A on o tym nie wspomniał?

– Nie rozmawialiśmy o tym.

Pub, do którego Piers ją zabrał w wieczór po pogrzebie ojca, znajdował się na wsi, w pobliżu ujścia rzeki. Anne nie podejrzewałaby, że Piers lubi tego rodzaju lokale, pub z małymi, starymi i mrocznymi pomieszczeniami wcale nie był elegancki, a goście mieli na sobie codzienne ubrania. Ale był magiczny i wszystko, począwszy od bladej warstwy śniegu na polach przez lodowaty słony zapach morza do srebrnej tarczy księżyca podskakującej na wodzie, zauroczyło ją.

– Głównie rozmawialiśmy o Ameryce – wyjaśniła. – Piers uwielbia Stany. Częściej bywał w Nowym Jorku niż ja. I opowiedziałam mu o Glennie. Umie słuchać, prawda?

Aidan nie krył sceptycyzmu. Anne wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jego dłoni.

– Okropne, co pieniądze robią z ludźmi – powiedziała łagodnie. – Byliście dobrymi przyjaciółmi. Nie możesz pozwolić, żeby to was rozdzieliło, Aidanie. – Zawahała się, po czym dodała: – Nie wątpię, że Piers bywa trudny. Sprawia wrażenie aroganta, zgadzasz się? Ale to tylko maska, którą przykrywa prawdziwe emocje. Musiało go zranić, że ojciec wolał zapisać firmę tobie, nie jemu. Rozumiesz to, prawda, Aidanie?

Później, gdy wracała do domu Katherine w Hampstead, po raz setny odtwarzała w myślach ten cudowny moment, kiedy zadzwoniła

do drzwi Marsh Court i otworzył jej Piers. Zobaczyła go i poczuła, jak w jej wnętrzu coś wraca na właściwe miejsce. Nalegał, żeby weszła, i pozwoliła się przekonać, chociaż zdawała sobie sprawę, że w czasie żałoby rodzinę należy pozostawić samą.

Chociaż podejrzewała, że Piers był dość pijany, i dostrzegała jego przygnębienie, wszystko jakimś sposobem nadal było cudowne, a kiedy powiedział: „Miałem nadzieję, że sam zaproszę cię na kolację", poczuła, jak jej życie wchodzi na właściwy tor, jak poczucie nieszczęścia, które przylgnęło do niej na tak długo, w końcu się rozwiewa, a jego miejsce zajmuje coś połyskliwego i wspaniałego.

W drodze na spotkanie z Anne Aidan czepiał się wątłej nadziei, że poszła z Piersem, ponieważ było jej go żal, oraz że sam źle odczytał wyraz jej twarzy, kiedy zobaczył ją z Piersem na schodach w Marsh Court.

Straszne jest odkrycie, jakim głupcem potrafisz być, kiedy jesteś zakochany. „Zawsze jednak uważałam cię za dobrego przyjaciela i mam nadzieję, że ty o mnie tak samo myślisz". Tym przeklętym zdaniem Anne udowodniła, że nie podziela jego pragnień, jej słowa były niczym nóż wbity w jego serce.

Aidan otworzył drzwi swojego pokoju (kuchnię i łazienkę dzielił z innymi lokatorami). Miał w nim rozkładaną sofę, która nie była wygodna ani jako sofa, ani jako łóżko, ani fotel, ani rozkładany stół. Rzadko zwracał uwagę na swoje otoczenie i uważał, że pokój jest wygodny. Nastawił płytę, Ella Fitzgerald śpiewała *Ev'ry Time We Say Goodbye*, ale piosenka wprawiała go w jeszcze gorszy nastrój i wyłączył ją, potem usiadł na sofie i zadał sobie pytanie, dlaczego nie powiedział Anne, że Piers flirtował z nią tylko dlatego, że chciał mu dokuczyć.

Dlatego że by mu nie uwierzyła. Dlatego że to by ją zraniło. Dlatego że by go znienawidziła. Była na takim etapie zadurzenia, że nie potrafiła mówić o niczym innym, tylko o tym cholernym Piersie. Gdyby jej wyznał, że kuzyn jest żigolakiem albo mordercą z siekierą, znalazłaby dla niego jakąś wymówkę.

A mimo to Aidan był przekonany, że taki jest motyw Piersa. Piers mówił mu: „Skoro nie mogę mieć firmy, będę miał Anne". Przypuszczał, że powinien kuzynowi przyłożyć w szczękę albo coś w tym rodzaju, ale trudno było przewidzieć, jak mogłoby to pomóc.

A jednak on też może grać nieuczciwie. Zatrzyma firmę, a jeśli Piers pojawi się w pracy – nie przychodził od śmierci Henry'ego – to Aidan wyraźnie da mu do zrozumienia, że teraz on jest szefem, a Piers najlepiej postąpi, wykonując cholerne polecenia. Jeśli Piersowi to się nie spodoba, może się iść powiesić. A na razie Aidan spróbuje czerpać przyjemność z nieoczekiwanego spadku, zamiast dręczyć się wyrzutami sumienia z tego powodu, i wykorzysta dodatkowe pieniądze na pomoc mamie i kupno samochodu.

Wcześniej czy później Piers znudzi się Anne. Lepiej, żeby rzucił ją bez większych awantur, żeby za mocno jej nie zranił. Aidanowi przyszło do głowy – choć nie lubił się za tę myśl – że będzie wtedy na miejscu i pomoże się jej pozbierać.

Spojrzał na zegarek: wpół do dziesiątej. W aktówce miał przygotowany przez głównego księgowego stos dokumentów, dzięki którym zapozna się z sytuacją finansową firmy. Teraz je wyjął. Przerażała go świadomość tego, czego się podjął, w co wuj Henry go wpakował. Widział zwątpienie w oczach personelu i obawiał się, że było ono uzasadnione.

Po raz pierwszy zobaczyła Marsh Court, kiedy przybyła tu jako młoda żona. Podróżowali przez wiele tygodni i Juliet pamiętała, że oboje z Henrym czuli się oszołomieni, trochę jak we śnie. Wjeżdżali w głąb hrabstwa Essex coraz węższymi drogami; gdy byli blisko domu, widziała plamę jasnej szarości na tle białawego nieba. Marsh Court tamtego dnia wydawał się monumentalny i niedostępny. Myślała wtedy, że niemożliwością byłoby namalowanie wszystkich tych monochromatycznych smug, że taką samą niemożliwością jest wyobrażanie sobie, że jest panią tego pałacu.

Teraz, dwadzieścia sześć lat później, wracała z popołudniowych lekcji w Maldon. Wcześniejsza ulewa straciła na sile, promienie słoneczne sączyły się spomiędzy chmur i błyskały na dachu Marsh

Court. Głęboką miłość do domu ostatnio barwił smutek. Piers zapewnił ją, że będzie mogła tu zostać tak długo, jak zechce, ale Juliet wiedziała, że chociaż syn teraz tak uważa, okoliczności mogą się zmienić.

Zaparkowała samochód i weszła do środka. Następca Biscuita, golden retriever, którego Charley ochrzciła imieniem Lulu, przydreptał, żeby ją przywitać. Juliet pochyliła się i podrapała go za uszami. Martwiła się o dzieci. Charley od śmierci Henry'ego miała zmienne nastroje i sprawiała kłopoty. Na początku tygodnia zadzwoniła opiekunka internatu ze skargą na zachowanie dziewczyny. Juliet przyrzekła, w duchu wzdychając, że porozmawia z córką.

Jeśli zaś chodzi o Piersa, to był obiektem jej współczucia i równocześnie irytacji. Rzucił pracę i zamierzał sprzedać mieszkanie na Bond Street, jak tylko uprawomocni się testament. Planował otworzenie własnej firmy jubilerskiej, a jako kapitał zamierzał wykorzystać pieniądze ze sprzedaży mieszkania. Nie próbował nawet ukryć intencji uczynienia z niej w przyszłości konkurenta Wintertona. Juliet wiedziała od Charley, że Piers nadal widuje tę Amerykankę, Anne Carlisle, w której dawniej kochał się Aidan. Nie podobała się jej myśl, że Piers jest zdolny do umawiania się z dziewczyną tylko po to, żeby dopiec Aidanowi, ale nie mogła tego wykluczyć. Nie potrafiła do niego dotrzeć. Żadne jej słowa nie przebijały się przez twardą, lśniącą warstwę jego gniewu.

Przez boczne drzwi wyszła z domu i z Lulu przy boku ruszyła ścieżką do domku. Była tu po raz pierwszy od czasu, kiedy się dowiedziała, że Henry chciał, by w tym miejscu spędziła resztę życia. Chwilę się wahała z dłonią na klamce, potem weszła do środka.

Parter składał się z saloniku, jadalni, kuchni i spiżarki, piętro z trzech sypialń i łazienki. Wnętrze odremontowano pod koniec lat dwudziestych, kiedy umarła stara ciotka, dla której domek zbudowano, i zaczęto wykorzystywać go jako kwaterę dla gości. Wystrój i umeblowanie odzwierciedlały swój wiek: zielono-białe kafelki w łazience, ściany pomalowane na kość słoniową, turkus i krem, miejscami popękane i łuszczące się. Rzadko używana kuchnia była wyposażona jedynie w podstawowe sprzęty. Budynek wydawał

się zmęczony, zapomniany i niekochany. Ha, skoro zdaniem Henry'ego tylko tyle była warta, to niech tak będzie. Sama ułoży sobie życie.

A jednak kochała Marsh Court i w głębi serca czuła, że powinien do niej należeć. Nie potrafiła uwierzyć, że dom bez niej przetrwa, bez niej, która przez ćwierć wieku dbała o niego i go pielęgnowała. Uświadomiła sobie, że jeśli zostanie stąd wygnana, stanie się inną osobą. Utraci namiętność stanowiącą jądro jej natury – i przypuszczalnie właśnie taki był zamiar Henry'ego.

Rozdział dziesiąty

Kwiecień–październik 1964 roku

Lokal znajdował się przy King's Road pomiędzy sklepem spożywczym a sklepem z męską odzieżą sportową, którego witrynę zdobiła łódź wiosłowa z manekinem w sztruksowych spodniach i koszuli. Wkładając klucz do zamka, Piers poczuł ekscytację.

Sklep był dość mały, podłogę zaśmiecały stare gazety, kartonowe pudła i puste butelki po mleku, w kącie stało poobijane metalowe biurko. Wielką witrynę pokrywała gruba warstwa brudu, przez co przechodnie i pojazdy poruszali się za nią niczym duchy. Piers wolałby coś większego, ale nie mógł sobie na to pozwolić, nie na King's Road, a na tej lokalizacji mu zależało, ponieważ tu były pieniądze.

Butiki wyrastały jak grzyby po deszczu w najmodniejszych częściach Londynu, na Carnaby Street, w Soho i oczywiście przy King's Road. Piers zdawał sobie sprawę, że nie może czekać, że musi wskoczyć na grzbiet wznoszącej się fali. Ale tryby prawa obracały się z doprowadzającą do rozpaczy powolnością, testament nie został jeszcze uwierzytelniony i chociaż Piers miał już chętnego na mieszkanie przy Bond Street, na razie nie mógł go sprzedać. Aby wynająć sklep, musiał pożyczyć z wielu źródeł na poczet spadku.

Drzwi na tyłach prowadziły do labiryntu małych pomieszczeń, niektórych bez okien, a wszystkich zakurzonych i pełnych pajęczyn. Piers planował urządzenie tu magazynów i biura. W niszy była umywalka, kiedy odkręcił kran, z parsknięciem wytrysnął strumyk rdzawej wody. Trzeba wezwać hydraulika i elektryka, zanotował.

Zainstalować telefon. Potem kupić biurka, krzesła, sejf, gabloty i kasę.

Znalazł młodą projektantkę tuż po college'u, która robiła niezwykłe brosze w kształtach wzorowanych na naturze, zwoje z miedzi albo ze złota z ukrytą w nich do połowy pojedynczą perłą lub opalem niczym kropla rosy. Piers wyobrażał je sobie na czarnym aksamicie, połyskujące, niemal żywe. Nie będzie ich trzymał pod kluczem w gablotach, prace Bridget Frost domagały się dotyku, noszenia. Trzeba znaleźć inny sposób na ich eksponowanie.

Sam sklep musi lśnić niczym szkatułka z klejnotami i wabić ludzi z ulicy. Piers widział to oczyma wyobraźni: żadnych dywanów, przyciszonych głosów, starych onieśmielających sprzedawców. Wyobrażał sobie muzykę i entuzjastyczne śliczne dziewczyny za kontuarem, atmosferę pełnej życia włoskiej kafejki, a nie zakładu pogrzebowego jak u Wintertona.

Pozbierał butelki po mleku, wypłukał pod plującym kranem i wystawił przed drzwi dla mleczarza. Gazety i kartony upchnął w koszach na śmieci na maleńkim zapleczu, włożył płaszcz i ruszył do galerii spotkać się z Anne. Zabierał ją na kolację, później szli na przyjęcie. Piers i Anne całowali się i trzymali za ręce – na razie tylko tyle. Traktowała go ozięble, gdy usiłował posunąć się dalej. Już i tak było trudno doprowadzić do sytuacji, kiedy mógłby się posunąć dalej. Widywali się w miejscach publicznych, w pubach, kawiarniach i galeriach sztuki. Była piękna, ale Piers coraz bardziej czuł się jak odrzucony siedemnastolatek i związek z Anne budził w nim taką samą frustrację jak proces uwierzytelnienia testamentu. Pragnął zająć się swoim życiem, ruszyć z miejsca, przejść na następny etap. Miał po uszy czekania, chciał znaleźć się **tam**, być Piersem Wintertonem, który odnosi sukcesy, któremu inni zazdroszczą, którego pozycja jest pewna, kimś, kto się liczy.

Świetnie się bawili, wymyślając nazwę dla sklepu. Z oczywistych powodów „Winterton" nie wchodził w grę.

Anne zapytała Piersa o nazwisko projektantki.

– Bridget Frost.

– Frost… ładnie.

– Nie mogę użyć jej nazwiska. Jeśli wyroby Bridget nie znajdą nabywców, będę musiał ją zwolnić.

Po kolacji w hinduskiej restauracji wypili drinka w pubie i poszli na przyjęcie. Teraz znajdowali się w piwnicy w Islington, gdzie w ścianach były szpary, a butelki piwa chłodziły się w zlewie. Gramofon odtwarzał płytę Dave Clark Five, ludzie wykrzykiwali refren *Bits and Pieces*. Na zewnątrz dudniły grzmoty, goła żarówka pod sufitem bez przerwy migotała.

Piers zajął miejsce w fotelu w kącie pokoju, Anne usadowiła się mu na kolanach i z podziwem przyglądała się jego idealnemu profilowi.

– Mógłbyś to zrobić? – zapytała. – Dać komuś cudowną szansę, a potem tak po prostu mu ją odebrać?

– Owszem. – Odchylił głowę, by opróżnić butelkę. – Chcesz jeszcze się napić?

– Nie, dziękuję.

– Nie pochwalasz tego?

– Nie jestem pewna, czy umiałabym być taka bezwzględna.

– To niezbędne, jeśli mam coś osiągnąć. A poza tym uczyłem się od mistrza. – Piers kwaśno się uśmiechnął.

– Od ojca?

– Tak.

Chociaż Wintertonowie byli zabawnym i miłym towarzystwem i Anne do nich ciągnęło, to równocześnie miała się przed nimi na baczności. Po wieloletniej terapii u psychoanalityka, która pomogła jej poradzić sobie z rozwodem rodziców, od pierwszego spojrzenia rozpoznawała rodzinę dysfunkcyjną. Piers nadal nie rozmawiał z Aidanem, a ponieważ niczego nie robił połowicznie, w konsekwencji nie utrzymywał też relacji z Louise i Helen, chociaż od niemowlęctwa był z nimi blisko związany. Jego zdolność do chowania urazy i mściwość czasami Anne niepokoiły.

– Piers, wiem, że to doświadczenie było dla ciebie bardzo bolesne, ale czy niedługo nie stanie się początkiem czegoś wspaniałego?

Przesuwał palcami w dół i w górę po jej kręgosłupie.

– Chyba nie zamierzasz zasugerować, że to, co zrobił mój ojciec, dla mnie w gruncie rzeczy jest błogosławieństwem?

– Jasne, że nie, ale w ostatecznym rozrachunku może się okazać, że to wcale nie taka zła rzecz, skoro zmusiła cię do pójścia własną drogą. Rodziny bywają strasznie przytłaczające.

– Święta racja. – Piers ziewnął, wyciągając ręce.

Anne rozmyślała o jego rodzinie. Henry Winterton, chociaż nie żył, nadal zdawał się wywierać wielki wpływ. Matka Piersa była nieco wycofana, a ze strony Charley Anne wyczuwała antypatię. Podejrzewała, że burzliwe małżeństwo rodziców nadmiernie uzależniło Charley od brata i teraz dziewczyna traktowała Anne z niechęcią jako intruzkę. Niewykluczone, że Juliet Winterton uważa tak samo. Kobiety pozostające w nieszczęśliwych związkach często oczekują emocjonalnego wsparcia od dzieci, a zwłaszcza od synów. Chociaż istniała też możliwość, że Juliet chłodno i z dystansem odnosi się do każdego, kto nie jest Wintertonem.

Dłoń Piersa przesunęła się po jej biodrze i wylądowała na udzie. Żar jego dotyku obudził w niej pożądanie.

– Chodzi mi o to – usiadła prosto i obciągnęła spódnicę – że robisz coś na własną rękę. Samodzielnie. Nie jesteś zależny od nikogo. Ani od ojca, ani od Aidana.

– I mam za to podziękować Aidanowi?

– Nie podziękować, wcale nie. Ale mu wybaczyć, Piers. To nie była jego wina.

– Tego nie wiesz.

– Wiem. Rozmawiałam z nim o tym.

Ze złością wypuścił powietrze z płuc.

– Jest moim przyjacielem – dodała Anne spokojnie.

Na środku pokoju tańczyła przytulona para. Anne oparła głowę na ramieniu Piersa. Cilla Black śpiewała *Anyone Who Had a Heart*. Anne uwielbiała tę piosenkę, chętnie zamknęłaby oczy i poddała się urokowi chwili, ciepłu obejmujących ją ramion i bolesnym namiętnym słowom, ale wiedziała, że musi jedną sprawę postawić jasno.

– Wolałabym, żebyście się pogodzili – powiedziała. – Jeśli jednak nie umiecie, trudno. Tylko że ja zawsze wybierałam swoich przyjaciół i nie zamierzam tego zmieniać.

Łatwiej było Piersowi obwiniać Aidana, niż stawić czoło bólowi wywołanemu faktem, że ojciec go wydziedziczył. Może na dnie serca Piers wątpił, czy ktokolwiek jest w stanie go pokochać. Mimo tych wszystkich komplikacji miała nadzieję, że jest dla niego bezpieczną odskocznią.

– Myślę, że poczułbyś się lepiej, gdybyś to wszystko zostawił za sobą. – Pocałowała go. – Nie tkwij w miejscu. Pielęgnuj nowe przyjaźnie, zamiast psuć sobie samopoczucie dawnymi.

– Uwielbiam, kiedy jesteś taka zaangażowana. To strasznie słodkie. A ja z pewnością lubię pielęgnować nowe przyjaźnie. – Musnął ustami jej górną wargę. – Mam dość, a ty?

Pożegnali się z Paulem, wygrzebali swoje płaszcze ze stosu na łóżku i wyszli na ulicę. Piers otworzył parasol.

– Chodź do mnie na kawę.

– Już późno, skarbie. Muszę jutro pracować.

Piers zawsze ją zapraszał, ona odmawiała. Wiedziała, że jeśli się zgodzi, on uzna, że pójdzie z nim do łóżka. Nie w tym rzecz, że nie chciała, każdy nerw i komórka jej skóry domagały się jego dotyku. Powstrzymywał ją głos w głowie przypominający o problemach, w które wplątała się z Glennem. Nauczyła się, że samo chodzenie do łóżka nie jest trudne. Dopiero później robi się zimno, a drogę zaśmiecają kawałki złamanego serca.

Pod osłoną parasola pogładził ją po karku.

– Na pół godziny. Tylko na kawę.

– Nie, Piers.

On przestał się uśmiechać, ona poczuła, jak słabnie.

– Do Hampstead jest stąd wiele kilometrów – namawiał. – Zmęczysz się tą podróżą. A ja na pewno znajdę dla ciebie miejsce u siebie.

– To bardzo miłe, ale nie.

– Będę spał na sofie.

– Na pewno.

– Dlaczego nie?

– Dlatego.

Nadąsał się.

– Nigdy nie wiem, na jakim etapie z tobą jestem. Albo czego ode mnie oczekujesz.

– Po prostu chcę być z tobą. To wszystko.

– Ale teraz nie chcesz. Wcale nie chcesz ze mną być. – Zamyślił się, po czym zapytał: – Nie jesteś religijna, co?

Roześmiała się.

– Nie. Dlaczego przyszło ci to do głowy, Piers? Urodziłam się i wychowałam w San Francisco, nie w jakimś zapyziałym miasteczku na prowincji. Nie chcę iść z tobą do łóżka nie dlatego, że jestem purytanką, jeśli tak właśnie myślisz.

– Więc dlaczego? Boisz się ciąży?

– To by była katastrofa, ale nie, właściwie nie w tym rzecz.

– W takim razie oszczędzasz się na zamążpójście.

– Znowu nie. Na pewno nie. – Wzięła go pod rękę. – Chodź, odprowadź mnie na stację metra.

Kiedy szli chodnikiem, poczuła, że irytacja wycieka z niego jak deszcz kapiący z parasola. Wreszcie wybuchnął:

– Czyli nie jesteś pewna, czy mnie lubisz? O to chodzi, tak?

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

– Piers, nie mam cienia wątpliwości, że cię lubię. Problem polega na tym, że cię kocham.

– Och. – Po krótkiej przerwie dodał: – Ja też cię kocham.

Jedno uderzenie serca.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Chwilę milczeli. Pragnęła, by to powtórzył, ale on milczał. Oparła głowę o jego ramię, próbując zapamiętać rytm kropel deszczu i zapach mokrych chodników, żeby do końca życia zachować je w sercu.

A potem Piers powiedział:

– Jeśli się pobierzemy, możemy nazwać sklep „Piers Carlisle". Brzmi z klasą, nie sądzisz?

Aidan wyszedł z pracy po siódmej. Galeria znajdowała się przy Frith Street w Soho, dosłownie kilka kroków dalej, szedł więc energicznie,

przedzierając się przez tłumy na chodniku, rozkoszując się ruchem, napinając ramiona, by otrząsnąć się ze sztywności po całym dniu za biurkiem.

Napis na oknie obwieszczał tytuł wystawy: „Przejścia: fotografie Frei Catherwood". Aidan otworzył drzwi i wszedł do środka. Dostrzegłszy rude włosy Frei w środku sali, w otoczeniu innych ludzi, wolno ruszył wzdłuż ścian. Ktoś poczęstował go kieliszkiem wina, który przyjął z uśmiechem.

Kilka fotografii było kolorowych, większość czarno-białych, przesadny kontrast podkreślał kompozycję. Nagie przestrzenie piasku i wody odznaczały się surowym pięknem. W Brough of Birsay na Orkadach kręta ścieżka wyłaniała się spomiędzy skał, stawów i wodorostów, a na zdjęciu zrobionym na wyspie Lindisfarne tylko czarne słupy wystające z wody znaczyły przebieg grobli, którą zalała woda.

– Nie byłam pewna, czy przyjdziesz.

Odwrócił się: to była Freya. Miała na sobie czarną aksamitną sukienkę bez rękawów. Gołe nogi i sandały na płaskich obcasach jakby sugerowały, że sukienka to jedyne ustępstwo i Freya wolałaby ubrać się w coś innego. Kręcone włosy zebrała w węzeł, w który wpięła długie czarne szpilki, wyglądające jak druty do robótek ręcznych i mające utrzymać loki w ryzach, chociaż na ramiona spadały jej niesforne pasemka.

– W żadnym razie nie przegapiłbym wystawy – odparł Aidan. – Przepraszam za spóźnienie. Niestety, praca.

Ludzie zaczęli wychodzić.

– Dzięki Bogu – mruknęła Freya. – Szczęka mnie boli. Za dużo gadałam.

– Byłaś we wszystkich tych miejscach? Nawet na Orkadach?

– Tak. Zwłaszcza Orkady są cudowne. Pewnego dnia tam wrócę.

– Dużo sprzedałaś?

– Całkiem sporo. Chcesz zobaczyć swoje fotografie?

Zdjęcia z Thorney znajdowały się na końcu galerii i było ich kilka. Podczas gdy Freya żegnała gości i dziękowała za przyjście, Aidan podziwiał prostotę i potęgę jej prac. Swoim aparatem uchwyciła szarą nieprzejrzystość styczniowego nieba i chwilę, kiedy wody

Blackwater zaczynały przelewać się przez groblę. Zauważył, że nie przeszkadzały jej puste przestrzenie w kadrze.

– Mówiłaś, że nie jesteś profesjonalistką – powiedział, kiedy do niego wróciła. – Według mnie to wszystko wygląda cholernie profesjonalnie.

– Dziękuję. Chodziło mi o to, że nie zarabiam w ten sposób na życie. To trudne, kiedy fotografujesz krajobrazy jak ja. Gdybym chciała pracować dla prasy albo lubiła robić fotografie ślubne czy portrety dziewczyn z towarzystwa, pewnie bym się z tego utrzymała. Albo gdybym była nowoczesna i sprytna – i była mężczyzną – pewnie udałoby mi się zarobić na fotografowaniu mody.

– Ale ciebie to nie interesuje?

– Niestety nie. – Odwróciła się, by ucałować na pożegnanie parę wychodzącą z galerii. Później dodała: – Mieszkam i pracuję w Londynie, ale nie tutaj chcę być. Kiedy tylko mam wolne, uciekam na wieś.

Wyobraził ją sobie, jak wkłada plecak i wędruje po wzgórzach i wrzosowiskach. Jak stawia długie kroki, zadowolona z samotności, nie zważając na brzydką pogodę.

– Za rogiem jest włoska restauracja – powiedział. – Masz ochotę na szybką kolację?

– Byłoby świetnie. Pomogę Charlesowi posprzątać i jestem wolna.

– Zajmę stolik.

W restauracji Aidan przejrzał listę win i zamówił butelkę chianti. Kiedy przyszła Freya, wznieśli toast na cześć udanej wystawy.

Uśmiechnęła się.

– Co pocznę, jak mi się skończą groble?

– Znajdziesz coś innego. Mosty… promy… Czym się zajmujesz, kiedy nie fotografujesz?

– Jestem sekretarką medyczną w szpitalu uniwersyteckim. – Zmarszczyła nos. – Nie narzekam. Mam na czynsz, nie muszę pracować w weekendy, więc mogę jeździć i robić zdjęcia. Patrick, u którego pracuję, jest przyjacielem mojego ojca i ortopedą. Zna Charlesa Nortona, właściciela galerii. Szepnął za mną słówko, co było strasznie miłe.

– Twój ojciec jest lekarzem?

– Nie, naukowcem. Wykłada na Oksfordzie.
– Czym się zajmuje?
– Jest profesorem lingwistyki ze specjalizacją w staronordyjskim.
– Dobry Boże.
Uśmiechnęła się.
– Ktoś musi, tak mu powtarzam. Oczywiście żartem. Jest też poetą.
Zauważył, że mówiła o ojcu z dumą i uczuciem.
– To on wybrał ci imię?
– Tak. – Przyjęła bohaterską pozę. – Freya, nordycka bogini miłości, piękna, wojny i śmierci. Na Szetlandach jest pełno moich imienniczek. Chciałabym tam pojechać.
– Cholernie daleko.
– Pociągiem sypialnym do Aberdeen i promem do Lerwick. Łatwe.
– Są tam groble?
– Kilka.
– Znasz staronordyjski?
– Ani słowa. Jestem beznadziejna, jeśli chodzi o języki.
– Mój ojciec cudownie grał na fortepianie, a ja nie umiem zaśpiewać czysto ani jednej nuty.
– Adoptowali mnie. Nie sądzę, żeby tata liczył, że coś po nim odziedziczę.
Rozmawiali o swoich rodzinach. Freya była jedynaczką i kiedy miała jedenaście lat, umarła jej mama. Aidan opowiedział jej o Louise, o tym, że jest modelką i jej fotografie ukażą się w kolorowej wkładce do „Sunday Times". O śmierci ojca i mamie, która mieszka w rodzinnym domu w Maldon.
– Wuj umarł w styczniu – dodał. – Jego dom, Marsh Court, jest niedaleko Blackwater. Poznałem cię w dniu jego pogrzebu. – Zwięźle zrelacjonował kwestię testamentu, firmy i Piersa.
– Więc teraz ty rządzisz – skomentowała, kiedy skończył.
– Więc teraz ja rządzę. – Powiedzenie tego na głos nadal brzmiało dziwnie. Niemal nieuczciwie. – Prawdę mówiąc, to oczywiste piekło. – Po raz pierwszy komuś się do tego przyznał. Freya była bezpiecznym wyborem, ponieważ nie miała nic wspólnego z rodziną. Przesunął makaron widelcem. – Cały czas popełniam błędy. Dzięki

Bogu za personel, na szczęście wiedzą, co robić. Ciągle ktoś mnie powstrzymuje od wtrącania się.

– Przypuszczam, że jesteś lepszy, niż ci się wydaje – odparła uprzejmie. – Przed wystawą zawsze jestem spanikowana. Chodzi o stawanie w świetle reflektorów.

Dolał wina do kieliszków, a potem stwierdził, że mówi jej o czymś, do czego nigdy, przenigdy nie przyznałby się żadnemu z Wintertonów.

– A najgorsze jest to, że nawet nie lubię jubilerstwa. Wszyscy powtarzają, jakie piękne są kamienie, ale ja tego nie widzę. Według mnie są zimne, twarde i jaskrawe. – Zmarszczył czoło, patrząc ponad jej ramieniem na ciemną ulicę za oknem. Lęk, do którego przywykł i który wiązał się z firmą, już się w nim budził na myśl o pójściu jutro do pracy.

Co za idiota, powiedział sobie. Słabeusz bez kręgosłupa.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Nie podejrzewam, żebyś lubiła kości, a jesteś sekretarką ortopedy. Nie trzeba kochać swojej pracy, prawda?

– Nie – odparła Freya. – Chociaż to pomaga.

Piers poprosił, żeby Anne się odwróciła. Otworzył sklep, kazał jej zamknąć oczy i wprowadził ją do środka.

– Teraz możesz popatrzeć.

– Och – szepnęła. Twarz rozjaśniła się jej uśmiechem, kiedy rozglądała się po wnętrzu. – Piers, to jest piękne! Bardzo piękne!

Musiał cholernie się śpieszyć, żeby urządzić sklep, a lista niedoróbek wymagających usunięcia była długa. Musiał zostawić na później niektóre kosztowniejsze rozwiązania, ale testament wreszcie został uwierzytelniony i mógł spłacić część długów.

– Chciałem, żeby wyglądało tu jak w skrzyni ze skarbami – powiedział.

– I tak wygląda. – Anne wolno się obracała, chłonąc każdy szczegół. – Piers, jesteś niesamowity, tu naprawdę tak wygląda.

Jedną ścianę pokrywały arkusze bitej miedzianej blachy. Piers wolałby obić metalem wszystkie cztery ściany, ale nie było go na to

stać, dlatego pozostałe trzy wyklejono lśniącą jasną tapetą. Kafelki na podłodze sprawiały wrażenie, jakby polano je miodem, światło kinkietów wydobywało z miedzi czerwień. Od młodego rzeźbiarza, przyjaciela Bridget, zakupił stojaki w kształcie miniaturowych drzew z nagimi konarami do eksponowania naszyjników i bransoletek. Pierścionki i broszki będą leżały w pudełkach wyścielanych czarnym aksamitem.

Oprowadził Anne po zapleczu. Tutaj ściany były białe.

– Bridget na razie musi korzystać ze swojej pracowni, tu nie ma miejsca. To mój gabinet, a tu – wskazał kąt wąskiego korytarza – gabinet sekretarki.

– Znalazłeś kogoś?

– Smarkulę imieniem Tricia. Jest bardzo drobna, co akurat świetnie się składa.

– Cudownie. Tak ciężko pracowałeś, Piers. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Pocałowali się. Miała na sobie lekką białą sukienkę, przez materiał czuł ciepło jej ciała. Rozpływała się w jego ramionach, płynna i uległa; Piers miał wrażenie, że próbuje zatrzymać w objęciach wodę. Kiedy się cofnął, westchnęła. Zobaczył, że oczy ma rozmarzone i zasnute mgiełką. Pocałował ją znowu, jedną ręką sięgając po sznurek żaluzji, drugą gładząc Anne po udzie i podnosząc jej sukienkę. Wiedział, że tym razem go nie odepchnie. Cichy głos w głowie mówił mu, co za wspaniały dzień, jaki wielki triumf, sklep gotowy do otwarcia i Anne wreszcie pozwalająca na uprawianie miłości.

Akt był szybki i niemal boleśnie intensywny. Później Piers mocno ją do siebie przytulił i pogładził po włosach, wyrównując przy tym oddech.

Po chwili uświadomił sobie, że Anne płacze.

– Cholera – powiedział przerażony. – Co się stało? Co zrobiłem? Skrzywdziłem cię?

Pokręciła głową i stłumionym głosem niewyraźnie odparła:

– Nie chciałam, żeby tak się stało.

– Dlaczego nie?

Tym razem dłużej milczała. Później się wyprostowała, opuszkami palców starła łzy z policzków i znużonym tonem odparła:

– Nie kochasz mnie tak mocno jak ja ciebie, Piers. Widzę to wyraźnie.

Nie rozumiał, dlaczego Anne musi wszystko tak komplikować, ale nie znosił, kiedy płakała – czuł się wtedy strasznie, jakby to on miał jakieś braki – dlatego powiedział:

– Kocham. Kocham, mówię szczerze. I udowodnię ci to.

– Masz bystry umysł, Charlotte, kiedy decydujesz się z niego korzystać.

Panna Stephens, która uczyła Charley angielskiego (około czterdziestki, ciemne kręcone włosy, suchy sarkazm) poprosiła ją, żeby została po lekcji. Nauczycielka pakowała książki do skórzanej aktówki.

– Podjęłaś już decyzję, czy będziesz się starać o przyjęcie na Oksford?

– Nie, panno Stephens. To znaczy jeszcze nie.

– Mam nadzieję, że w czasie letnich wakacji znajdziesz chwilę na zastanowienie się nad swoją przyszłością.

– Tak, panno Stephens.

– To ważna decyzja. Tutaj masz listę lektur, na wypadek gdybyś się zdecydowała. – Podała Charley kartkę papieru. – Przemyśl to starannie, Charlotte. Drugiej szansy nie będziesz miała.

Był środek lipca, dzień przed zakończeniem roku szkolnego. Nazajutrz po południu po Charley przyjechała mama. Po załadowaniu bagażu do morrisa powiedziała jej, że Piers i Anne będą wieczorem na kolacji.

– Wyruszą z Londynu, kiedy Piers zamknie sklep. Na weekend będę miała was oboje w Marsh Court. Jak za dawnych czasów.

To wcale nie będzie jak za dawnych czasów, pomyślała Charley, patrząc w okno samochodu. Nie będzie z nimi ojca. Dawniej – zawsze tak o tym myślała – po powrocie do domu pokazałaby mu świadectwo, a on by je przejrzał, a potem mruknął coś w rodzaju: „Tylko czterdzieści procent z chemii”. Charley odpowiedziałaby,

naśladując głos nauczycielki chemii, pani Mackintosh: „Charlotte musi podchodzić do pracy z większym zaangażowaniem", a ojciec by się roześmiał. Dałby jej banknot jednofuntowy z przestrogą, żeby nie wydała pieniędzy na głupstwa, Charley pocałowałaby go w czubek głowy i powiedziała: „Tak, drogi ojcze". Bawiła go odrobina łagodnej ironii. W każdym razie w jej wykonaniu.

Ale ojciec nie żył, a w Marsh Court miała być ta straszna Anne Carlisle, gapiąca się na nich swoimi dziwnymi rybimi oczami i wygłaszająca mało dowcipne uwagi. Przez ostatnie tygodnie Charley, odbierająca szkołę jako coraz bardziej przytłaczającą i bezsensowną, marzyła o powrocie do domu, ale kiedy teraz jechała cienistymi drogami Hertfordshire, poczucie wyzwolenia, które ją ogarnęło po przekroczeniu bramy, rozwiało się bez śladu i zastąpiła je dawna posępność.

– Nate i Rory także będą – dodała mama. – Wspominałam ci o tym? Nate wrócił, gdziekolwiek był. Gillis i Blanche muszą wyjechać na kilka dni, więc Nate powiedział, że jutro do nas wpadnie razem z Rorym.

– Och. – Charley momentalnie poprawił się humor. – Jak długo zostaną?

– Do niedzieli, o ile nie dłużej. – Mama spojrzała na nią. – Na kolację przyjadą też Helen i Louise.

Zapowiada się interesująco, pomyślała Charley sarkastycznie. Piers prawie się nie odzywał do ciotki i kuzynki od chwili, gdy odkrył, że Aidan dziedziczy Wintertona. Podejrzewała, że mama usiłuje zbudować mosty pomiędzy nimi.

– Pomyślałam, że przygotuję kaczkę – ciągnęła mama. – A ty możesz zrobić *trifle*, jeśli chcesz. Bardzo byś mi pomogła.

I znowu Charley dostała użyteczne zadanie. Ale zobaczy Nate'a, który przez ostatnie dziewięć miesięcy podróżował po świecie, co niezmiernie ją ucieszyło, odparła więc:

– Oczywiście, mamo.

– Kazał mi stać w rzece. Lodowatej. Stopy całkiem mi zsiniały. A potem chciał, żebym biegła przez pole, ale tak przemarzłam, że

ledwie mogłam się ruszać, i krzyczał na mnie: „Jak mogę pracować z modelką, która wygląda dziwnie i kuleje?”.

Były w pokoju Charley w Marsh Court. Louise odegrała, jak próbowała biec na skostniałych stopach, i obie padły na łóżko, pękając ze śmiechu.

Kiedy się uspokoiły, Louise dodała:

– Potem usiłował mnie namówić, żebym poszła z nim do łóżka.

Charley była pod wrażeniem.

– I poszłaś?

– Nie. Był odpychający. Taki stary. No i znowu się na mnie wściekł. Nieważne, fotografie ukażą się w listopadowym „Vogue’u”. – Louise powiedziała to swobodnie, mniej więcej takim tonem, jakim mogłaby informować, że ma zamiar wpaść do sklepu na rogu.

– „Vogue” – powtórzyła Charley. – Rany.

– Co dzisiaj włożysz?

Charley otworzyła szafę.

– To. – Wyjęła sukienkę Mary Quant w kolorze musztardy, krótką, bez rękawów, z głęboką fałdą na przodzie.

– Obrąbek się urwał – zauważyła Louise.

– Zahaczyłam stopą.

– Daj mi igłę i nitkę, to podszyję.

Ponieważ Charley nie miała przyborów do szycia, poszła do sypialni matki. Biorąc opakowanie igieł i rolkę nici, usłyszała warkot samochodu zbliżającego się podjazdem. Ciekawe, kto to, pomyślała. Miała nadzieję, że Nate i Rory.

To byli oni. Z góry dostrzegła czubek brązowej głowy Rory’ego i ciemne loki Nate’a. Stała nieruchomo, patrzyła i myślała, jak bardzo zmienił się Nate od czasu, kiedy ostatnio go widziała. Wyglądał na starszego i jakoś zniechęconego.

Miała na sobie tylko halkę, zawołała więc do nich z podestu i wróciła do siebie.

– Nate się opalił na kolor kasztana – powiedziała do Louise, która zabrała się do przyszywania obrąbka. – A Rory urósł chyba ze trzydzieści centymetrów. Zawsze był niższy ode mnie. – Charley przyglądała się sobie w lustrze. Przez ostatnie trzy lata mierzyła sto pięćdziesiąt osiem centymetrów; małe szanse, myślała ze smutkiem,

że jeszcze urośnie. Niedawno ostrzygła krótko włosy, co było przyjemnym oswobodzeniem się od warkoczy i końskich ogonów.

Piers i Anne przyjechali dopiero po wpół do dziewiątej, a wtedy wszyscy już umierali z głodu i mama martwiła się o kaczkę. Anne była ubrana w czarny haftowany żakiecik i sukienkę z połyskliwego jasnoróżowego materiału. Kiedy Juliet skomplementowała żakiet, Anne odparła:

– Jejku, znalazłam go w Petticoat Lane. To Schiaparelli.

Kolacja składała się z zupy selerowej oraz pieczonej kaczki z pomarańczami i wiśniowym sosem. Piers opowiadał o sklepie. O wielkim triumfie, jakim okazał się weekend po otwarciu, o artykule o jego biżuterii, który ukaże się w prasie, o piosenkarzu z przebojem na liście Top Twenty zachwycającym się wystrojem wnętrza. Charley uważała, że brat mówi za dużo i się przechwala, a poza tym jest nietaktowny, wziąwszy pod uwagę obecność cioci Helen, ale Piers często taki był i kiedy umilkł, by nabrać powietrza, ciocia powiedziała tylko:

– To cudownie, Piers. Jestem przekonana, że odniesiesz sukces.

Jak zwykle Anne rzadko się odzywała – było prawie tak, myślała Charley, jakby racjonowała swój udział w rozmowie i obdarzała tym zaszczytem tylko tych, którzy jej zdaniem byli go godni.

W końcu Piers zamilkł i zajął się jedzeniem. Charley zapytała Nate'a o Amerykę Południową. Podziękowała mu za kilka widokówek, które ustawiła na kominku w swojej sypialni.

– Który kraj najbardziej ci się podobał?

Jasnozielone oczy Nate'a lśniły w opalonej twarzy.

– Chyba Patagonia, piękna i pusta. Ludzie niewiele mają, ale im to nie przeszkadza.

W dzieciństwie Charley lubiła opowieści o żeglowaniu po morzach.

– Opłynąłeś przylądek Horn?

– Nie tym razem. Kiedyś to zrobię. Ale weszliśmy na lodowiec.

– Lodowiec.

– Nie był tak biały, jak można by przypuszczać. Wyglądał raczej brudno. I jeździłem szlakami w górach Torres del Paine.

– Na koniu?

– Nie, na wielbłądzie. – Spojrzał na nią kpiąco. – Jasne, że na koniu. Potem pracowałem na estancii.

– Jako gaucho?

– Raczej parobek. Jak szkoła?

Charley się wykrzywiła.

– Fatalnie. Jak zjedzona przez mole stara sukienka, z której dawno wyrosłam.

Mama zbierała naczynia po kolacji. Charley pomogła zanieść je do kuchni, z której wróciła z deserem.

– Mniam, biszkopt – powiedział Piers.

– Wygląda przepięknie – dodała Anne przypochlebnie. Po chwili szepnęła: – Piers…

Piers odchrząknał.

– Anne i ja mamy wam coś do powiedzenia. – Anne uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. – Wczoraj się pobraliśmy.

Wszyscy milczeli. Powietrze w pokoju zdawało się wibrować. Charley gapiła się na brata. On żartuje, pomyślała. Znowu będą kłopoty. Kiedy był w określonym nastroju, lubił robić zamieszanie.

– Pobraliście się? – powtórzyła mama, marszcząc czoło.

– Tak, mamo.

– Chodzi o to, że się… zaręczyliście?

– Nie, mamo, wzięliśmy ślub.

– Piers? – odezwała się ciocia Helen.

– W magistracie w Chelsea. Wczoraj po południu.

– Zależało nam na cichym ślubie – dodała Anne.

– Moje gratulacje – powiedziała Helen słabo. – To cudowna wiadomość.

– Nie zrobiłeś tego. – Charley nie zamierzała tego powiedzieć, słowa same wymknęły jej się z ust. – Nie zrobiłeś.

– Wręcz przeciwnie. – Piers spojrzał na nią wyzywająco. – Zrobiłem.

Charley odłożyła łyżkę do nakładania. Głos jej drżał, z oczu płynęły łzy.

– Musisz przestać, Piers – syknęła. – Musisz! – Zwróciła się do Anne: – Nie widzisz tego? Nie rozumiesz, że on się z tobą ożenił tylko po to, żeby dokuczyć Aidanowi?

Teraz wszyscy patrzyli na nią z dezaprobatą i szokiem, co było strasznie niesprawiedliwe, bo to Piers zachował się wstrętnie. Przewróciwszy krzesło, wybiegła z pokoju.

Nie miała pojęcia, dokąd pójść, wylądowała więc w kuchni, ale zaraz uświadomiła sobie, że ani minuty dłużej nie zniesie przebywania w domu. Otworzyła drzwi na taras i wybiegła do ogrodu. Nie zatrzymała się przy ognisku, tylko przeskoczyła przez popioły. Potykając się na kępkach trawy, zrzuciła buty i biegła dalej, choć osty kłuły ją w bose stopy. Dotarłszy do wzgórza, wdrapała się po zboczu na szczyt, gdzie ze szlochem padła na ziemię.

Kiedy się uspokoiła, wytarła oczy rękawem. Leżała na plecach i wpatrywała się w niebo. Na zachodzie wciąż pozostała smuga światła. Charley myślała, jakie to wszystko było okropne, jakie złe, i żałowała, że nie może cofnąć zegara. Głowa rozbolała ją od płaczu.

Uświadomiła sobie, że ktoś się do niej zbliża, trawa szeleściła pod czyimiś stopami. Usiadła i obejrzała się przez ramię. Ku swej uldze zobaczyła, że to Nate.

Wszedł na zbocze. Wszelkie przypuszczenia, że okaże jej zrozumienie i pocieszy, szybko się rozwiały.

– Chryste – powiedział z furią. – Coś ty narobiła?

Nate był na nią zły, a to sprawiło, że ona rozgniewała się na niego.

– Powiedziałam tylko to, co wszyscy pozostali myśleli – odparła wyzywająco.

– I uważasz, że to cię usprawiedliwia?

– Ale to prawda! Ożenił się z nią, bo nie może znieść myśli, że Aidan dostał firmę! Dobrze wie, że Aidan lubi Anne, i chce się na nim zemścić!

– Nawet jeśli to prawda – oznajmił Nate surowo – a zwłaszcza jeśli to prawda, nie powinnaś była tego mówić. Nie rozumiesz? Jak twoim zdaniem czuła się Anne?

Już miała odpalić, że guzik ją to obchodzi, ale powstrzymało ją przeczucie, że tego rodzaju stwierdzenie Nate uzna za szczególnie niewybaczalne.

– Znam Piersa – bąknęła. – Znam go lepiej niż ktokolwiek z was. Nie zdajesz sobie sprawy, jaki był przygnębiony z powodu taty. Nawet cię tu nie było, Nate.

Milczał, tylko stał i patrzył na rzekę.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się na mnie wściekasz – powiedziała z urazą. – A ja przecież tylko mówiłam prawdę.

– Bo mleko się rozlało i już tego nie cofniesz, jeśli faktycznie się pobrali. A pobrali się, pytałem Piersa. – Obrzucił ją błyszczącym wzrokiem. – I nie waż się mówić, że mogą się rozwieść. Teraz muszą spróbować razem być.

– Ale on jej nie kocha – mruknęła Charley ponuro.

– Tego nie wiesz.

– Nate, rozprawiał o sklepie godzinami. Dopiero przy deserze o niej wspomniał!

– Przypuszczalnie obawiał się reakcji – powiedział surowo Nate. – Jak się okazało, nie bez powodu.

Westchnął i usiadł obok niej. Długo oboje milczeli. Smuga światła pomiędzy chmurami pociemniała, teraz była granatowa. W ogrodzie pohukiwała sowa.

– Boże, co za scena – odezwał się wreszcie Nate. – Piers nie mógłby wybrać gorszego sposobu na powiadomienie rodziny, nawet gdyby bardzo się starał. No wiesz, jeśli zamierzasz to zrobić, jeśli chcesz się ożenić, nikogo wcześniej nie uprzedziwszy, to dlaczego chociaż nie powiesz o tym matce? – Zapalił papierosa.

– To by się nie stało, gdyby tata nie umarł. – Charley pociągnęła za luźną nitkę w obrąbku sukienki; schludne szwy Louise popruły się podczas biegu przez ogród, a pończochy miała w strzępach. – Wszystko się wtedy zaczęło psuć. Wiem, że tata był okropny, wybuchał przy Piersie, choć nie powinien tego robić, ale na pewno zmieniłby zdanie, jestem tego pewna. Gdyby nie ten wypadek, wszystko by naprawił.

Oczy Nate’a złagodniały.

– A jak ty się czujesz?

– Dobrze.

– Przykro mi z powodu twojego taty. Tęsknisz za nim, prawda?

– Przez cały czas. Tata czasami bywał wredny, wiesz o tym. Ale nas kochał, Piersa i mnie.

– Twój ojciec i Piers nie stanowili dobranej pary.

– Możesz kogoś kochać, nawet jeśli ta osoba cię irytuje – powiedziała znacząco.

– To prawda. – Zwichrzył jej włosy.

Wyciągnęła rękę po papierosa.

– Tacie nie podobało się, że Piers wprowadza zmiany w firmie, bo myślał, że w ten sposób Piers go krytykuje i że go nie obchodzi jego zdanie.

Nate rzucił jej przenikliwe spojrzenie.

– Tak myślisz?

– Owszem. – Ludzie tacy jak jej ojciec, którzy zawsze lubili stawiać na swoim i robili z tego powodu dużo zamieszania, w głębi serca nadal mieli uczucia. Niewiele osób tak jak Charley zdawało sobie z tego sprawę.

Oparła głowę o jego ramię.

– Nie wiem, co robić, Nate.

– Z czym?

– Ze wszystkim.

– Mów.

– Na przykład nie wiem, czy chcę iść na uniwersytet.

– Ciocia Juliet tego chce?

– Powiedziała, że to mój wybór, ale na pewno chce. Tak samo jak moja nauczycielka angielskiego.

– A ty?

– Nie wydaje mi się. Nie czuję ekscytacji na myśl o uniwersytecie, a sądzę, że czułabym, gdyby to było dla mnie dobre, prawda?

– Prawda. Więc nie idź.

– Ale muszę robić coś innego, a nic nie przychodzi mi do głowy.

– Mówisz o zawodzie? Dobrze sobie radzisz z ludźmi. Świetnie rozumiesz ich uczucia. Może powinnaś zostać psychiatrą.

Jego słowa jej pochlebiły, mimo to odparła:

– Ale najpierw trzeba skończyć studia medyczne. Jake tak mówi.

– A ty nie chcesz.

Pokręciła głową.

– Pewnie w końcu pójdę do college'u dla sekretarek tak jak Louise.

– Czyli nie chcesz pracować w Wintertonie?

Zadrżała i oddała mu papierosa.

– Boże, nie. Teraz jest tam okropnie. Żal mi Aidana. Podsłuchałam, jak personel mruczy, że w czasach pana Henry'ego i pana Jonathana było o niebo lepiej. Potem mnie zobaczyli i udawali, że wcale nie rozmawiali o Aidanie. Zresztą to strasznie nudne, takie ekskluzywne, snobistyczne i staroświeckie. Za każdym razem, kiedy tam jestem, mam ochotę zedrzeć ubranie i biegać nago po sklepie, wypisując na ścianach komunistyczne hasła.

– Daj mi znać, jak się zdecydujesz. Za skarby świata nie chciałbym tego przegapić. – Zdjął z rękawa źdźbło trawy. – Kurs dla sekretarek to nie najgorsze wyjście. Miałabyś czas na zastanowienie się.

Charley zaczynała dostrzegać przed sobą ścieżkę, co prawda mglistą, ale z zarysowanymi konturami.

– Jeśli powiem mamie, że chcę się uczyć stenografii i pisania na maszynie, to może się zgodzi, żebym zrobiła kurs w Londynie. I mogłabym mieszkać z Gabe i Louise.

– Chciałabyś?

– Tak. Nie mogę zostać tutaj z Piersem i Anne – odparła żałośnie. Ponieważ Piers idiotycznie ożenił się z Anne Carlisle, Marsh Court w pewnym sensie należało także do niej, co wydawało się Charley niesłuszne i niepojęte.

– Żałuję, że nie mogę ot tak wyjechać. Jak ty.

– Przecież możesz. – Zerknął na nią z ukosa. – Jedź ze mną.

Przed oczami Charley przesunęła się przelotna i cudowna wizja, jak oboje z Nate'em opływają przylądek Horn, zaraz jednak westchnęła.

– Ale mama, Nate. Nigdy mi na to nie pozwoli. Poza tym nie mogłabym zostawić jej samej. – Dotknęła jego czarnych loków. – Masz za długie włosy. Wyglądasz podejrzanie.

Przyglądał się jej uważnie.

– Podoba mi się twoja fryzura. Podkreśla twoje ładne oczy.

– Ładne oczy! – prychnęła Charley. – Boże, Nate, wygadujesz kompletne brednie.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Wracajmy do domu.

– Nie mogę. – Gwałtownie pokręciła głową.

– Dlaczego?

– Będę musiała ją przeprosić! – odparła płaczliwie.

– Anne? Oczywiście.

– Nate, nie mogę! To będzie okropne!

– Im dłużej będziesz zwlekała, tym będzie gorzej – powiedział bez współczucia. Lekko szarpnął ją za rękę. – A jak już przeprosisz, możesz się z nią zaprzyjaźnić.

– Zaprzyjaźnić… Nate, nie umiałabym.

Zachmurzył się.

– Niewykluczone, że masz rację i Piers tak naprawdę jej nie kocha. Ale czy przyszło ci do głowy, że ona kocha jego?

Do Charley wróciło niewygodne wspomnienie radości na twarzy Anne, kiedy Piers ją objął po wygranej w wyścigu na grobli.

– Anne może potrzebować przyjaciółki – dodał. – Obiecaj mi, Charley.

O wpół do pierwszej w nocy Juliet, nie będąc w stanie zasnąć, zeszła do kuchni, z lodówki wyjęła biszkopt z owocami, usiadła przy stole i zaczęła jeść. W czasie kolacji niewiele zjadła, nie miała ochoty na kaczkę po tym, jak ją przyprawiła, upiekła i pokroiła, a nikt nie ruszył deseru, który stał nietknięty na stole, podczas gdy wszyscy próbowali jakoś poradzić sobie ze wstrząsem wywołanym oświadczeniem Piersa.

Helen i Louise wróciły do domu, pozostali dzięki Bogu leżeli w łóżkach i Juliet miała chwilę spokoju na ustalenie, jakie odczucia budzi w niej małżeństwo syna. Prawdę mówiąc, była przerażona. Przerażona, rozczarowana i zdradzona. Nieszczęsny chłopak, żeby tak rzucić im to w twarz! Jak mógł się ożenić, nie radząc się matki? Juliet nie miała okazji zadać oczywistego pytania: czy musieli się pobrać, bo dziecko jest w drodze. Nie była nawet pewna, czy te słowa przeszłyby jej przez usta. Ostatnio Piers tak łatwo tracił panowanie nad sobą, trzeba było bardzo ostrożnie z nim postępować.

Juliet czuła się obrabowana z najróżniejszych rzeczy, jednych ważnych, innych trywialnych. Podobałoby się jej planowanie wesela syna. Żałowała jedwabnej sukni i wielkiego kapelusza, które włożyłaby na uroczystość, a także tortu, który by upiekła dla niego,

czteropiętrowego i udekorowanego różami. Wypełniłaby Marsh Court kwiatami i muzyką, włożyłaby serce i duszę w urządzenie cudownego wesela, które przyniosłoby radość całej rodzinie. Wolałaby mieć czas na poznanie Anne i nauczenie się, jak ją pokochać. Przykrość sprawiało jej, że Piers wybrał taką pospolitą ewentualność – urząd stanu cywilnego. Na litość boską! Śluby są ważne, myślała zirytowana, łyżką wybierając z ciasta wielką porcję śmietany i sosu. Ślub powinien być publiczną deklaracją miłości, składaną w obecności obu rodzin. To pośpieszne małżeństwo przypominało jej własne, i to ją niepokoiło.

No i jest jeszcze Anne. Juliet wybrała z lukru wiśnię. Anne to piękna dziewczyna, Juliet rozumiała, że mężczyźni mogą tracić dla niej głowę. Lepiej, myślała, zawierać małżeństwo dla urody, z pożądania, niż po to, by zrobić komuś na złość, o co oskarżyła brata Charley. Czy Piers byłby do tego zdolny? Nie, z pewnością nie. Juliet nigdy by w to nie uwierzyła. A jednak ich ślub był taki szybki, taki pochopny.

Czy Anne jest właściwą kobietą dla Piersa? Sama wybrałaby dla niego kogoś z większym ogniem, kobietę, która umiałaby radzić sobie z jego arogancją, wiele od niego wymagała i trzymała na dystans tak długo, aż błagałby, żeby go pokochała.

Piers i Anne byli w dawnej sypialni Piersa. Juliet przygotowała dla Anne inny pokój i kiedy szli spać, powstało zamieszanie wywołane nową sytuacją, które Anne przerwała, mówiąc stanowczo, że przenocują w pojedynczym łóżku, to żaden problem, na pewno będzie im wygodnie. Tak oto znaleźli się w pokoju z mapą świata przypiętą do ściany oraz modelami spitfire'ów i hurricane'ów ustawionymi na półce. Piers się rozbierał, rzucając każdą część garderoby na podłogę, co, jak odkrywała Anne, miał w zwyczaju.

Zrobił ruch, by pomóc jej zdjąć żakiet, ale się od niego odsunęła.

– To prawda? – zapytała.

– Co?

– To, co Charley powiedziała o Aidanie.

– Nie, jasne, że nie. – Ściągnął skarpetkę.

Jakimś sposobem przetrwała wieczór, choć w głowie ciągle brzmiał wykrzyczany przez Charley zarzut – „Nie rozumiesz, że on ożenił się z tobą tylko po to, żeby dopiec Aidanowi?" – i wywoływał paniczny strach.

– Charlotte uważa, że Aidan coś do mnie czuje – powiedziała wolno.

– Nic o tym nie wiem.

Nie zaciągnęli zasłon i przez okno wpadała księżycowa poświata, wydobywając z mroku profil Piersa. Anne kochała jego proste czoło, wygiętą górną wargę, choć może jednak nie powinny do niej należeć.

– Piers?

– Od śmierci taty w styczniu prawie nie rozmawiałem z Aidanem – odparł ponuro. – To było przed twoim powrotem. Skąd mam wiedzieć, czy cię lubi, czy nie? – Nagi podszedł do okna i zapatrzył się na mroczny ogród.

Ten argument ją pocieszył.

– Tak, rozumiem. – Wstała i dołączyła do niego. Objęła go w pasie, kładąc twarz na jego ramieniu. – To stało się tak szybko. Pewnie dla Charley to także jest trudne.

– Charley – odparł, odwracając się do niej i biorąc ją w objęcia – nie lubi zmian. Chyba się nie pokłócimy, co?

– Chyba nigdy dotąd nie kłóciłam się z nagim facetem.

Rozpiął jej żakiet i zdjął z niej, potem rozsunął zamek błyskawiczny sukienki. Anne strząsnęła ją z siebie, sukienka spadła jej do stóp.

Całował ją w czoło, dłonie położył na jej pośladkach.

– No, to mamy jeszcze jeden pierwszy raz. Nigdy z nikim nie kochałem się w tym łóżku.

– Myślałam, że wy, Brytyjczycy, lubicie tarmosić pokojówki.

– A ja myślałem – mruknął, pieszcząc jej ciało i uśmiechając się szelmowsko – że Amerykanki są bardzo zasadnicze i porządne. Wiesz, pieką ciasta, chodzą do kościoła i tak dalej.

Wtedy już Anne nie była w stanie mówić, Piers wziął ją więc na ręce i zaniósł do łóżka. Kochał się z nią szybko, gwałtownie i cicho (w sąsiednim pokoju spał Rory). Później przytulili się do siebie.

Piers od razu zasnął. Anne myślała, że także zapadnie w sen, ale się okazało, że musi iść do łazienki. Wyswobodziła się z objęć Piersa, uważając, by go nie obudzić, włożyła szlafrok i ruszyła korytarzem. W ogromnym Marsh Court była tylko jedna łazienka – wielkie, pełne przeciągów pomieszczenie, w którym nawet w lipcu panował chłód. Oczywiście bez prysznica, tylko z potężną emaliowaną wanną, zimną w dotyku, nawet jeśli odkręciło się gorącą wodę. Wszystko tutaj, chociaż lśniło czystością, było od dziesięcioleci przestarzałe. Cały dom taki jest, pomyślała Anne, myjąc ręce i patrząc na swoje odbicie w srebrnym lustrze, które stanowiło podsumowanie całości: urocze, ale tak poplamione ze starości, że w gruncie rzeczy nie spełniało swojej funkcji i człowiek nie widział, jak właściwie wygląda. Zastanawiała się, czy Wintertonowie uważali, że marnotrawstwem jest wyrzucanie rzeczy, zanim całkiem się rozpadną, czy nie stać ich na remont, a może tego nie dostrzegali albo ich to nie obchodziło.

Wróciła do pokoju. Na schodach rozległy się kroki: nie tylko ona tej nocy nie spała. Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Piers przekręcił się na plecy. Spojrzała na niego z uczuciem, potem położyła się obok niego. Czy to możliwe, że Aidan się w niej kocha? Nic nie dawał po sobie poznać. Ale Aidan był zupełnie inny niż Piers. Zastanawiał się nad każdą sprawą i miał w sobie spokój i opanowanie, których brakowało Piersowi. Wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy mieszkała na łodzi Lachlana i Sue, całe lato spędziła z Aidanem. Piers pojawił się później. Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby zakochać się w Aidanie. Uważała siebie za jego przyjaciółkę, nie kochankę.

Teraz jednak przypomniała sobie radość w głosie Aidana, kiedy po powrocie do Anglii do niego zadzwoniła. Nie zapytał: „Anne jaka?”, nie powiedział: „Przykro mi, jestem zajęty”, ale od razu zaprosił ją na drinka. Kiedy żegnali się w pubie, zaproponował kolację. Chociaż ona odebrała to jako spotkanie przyjaciół, nie randkę, niewykluczone, że on traktował do inaczej. Czyżby do tego stopnia pogrążyła się w swej tęsknocie za Piersem, że nie dostrzegła uczuć Aidana?

Jeśli jednak sama się nie zorientowała, że Aidan się w niej durzy (o ile to prawda), czy zorientowałby się Piers? Bywał spostrzegawczy, ale nieczęsto z tej umiejętności korzystał. Piers należał do osób,

które interesują tylko własne sprawy, i teraz myślał wyłącznie o swojej firmie, którą – pochlebnie dla Anne – nazwał „Piers Carlisle".

Kiedy po raz pierwszy poprosił ją, żeby za niego wyszła (po tym, jak tamtego wieczoru kochali się w sklepie), odmówiła. Nazajutrz ponowił oświadczyny, i następnego dnia, i następnego. Coś kazało jej się wstrzymać. Po rozwodzie rodziców czuła się odizolowana od świata. Miała wtedy wrażenie, jak usiłowała wyjaśnić ojcu, jakby patrzyła przez szybę. Ojciec zaangażował terapeutę, który jej tłumaczył, że trauma może zaburzyć reakcje emocjonalne. I właśnie to, myślała, przydarzyło się Piersowi. Śmierć ojca i odkrycie, że boleśnie go odtrącił, stępiło jego emocje.

Czy powinna wyjść za człowieka, który nie do końca jest jedną całością? Ostatecznie jednak się zgodziła. Przecież sama też tego pragnęła.

Założyła, że Piers zaproponował ślub w urzędzie stanu cywilnego, ponieważ uznał, że brakuje mu czasu. Anne, wciąż zmagająca się z następstwami zerwanych zaręczyn z Glennem – przed wyjazdem z San Francisco musiała odwołać wszystkie ustalenia związane z weselem – przystała na to.

– Jeśli zaprosimy mamę, to będziemy musieli też zaprosić Charley – zauważył Piers, kiedy rozmawiali o ślubie – a potem Charley powie Louise i ani się obejrzysz, a dowiedzą się wszyscy kuzyni i skończy się na tłumie gości.

Anne dała się przekonać, teraz jednak widziała, że postąpili niewłaściwie, że pomysł był okropny i że zgodziła się po części z tchórzostwa – nie znosiła być w centrum uwagi – a po części, rzecz bardziej wstydliwa, ze strachu, do którego ledwie się przed sobą przyznawała, że miłość Piersa do niej może nie jest dostatecznie silna, by przetrwać wielkie rodzinne wesele i zwrócony na nich wzrok wszystkich obecnych.

Swym postępkiem zranili Juliet, Anne zrozumiała to dzisiaj wieczorem. Jej ojcu także będzie przykro, chociaż nigdy tego nie powie.

Piers nadal nie wybaczył Aidanowi, że dostał firmę. Leżąc w łóżku, Anne pomyślała, że Aidan może także nie wybaczyć Piersowi. No

cóż, już za późno. Ona i Piers są małżeństwem, a jeśli Aidan kiedyś coś do niej czuł, to będzie musiał z tego zrezygnować. Najlepsze, co ona może zrobić, to spróbować pomóc w zasypaniu przepaści dzielącej kuzynów.

Jedynymi gośćmi na ślubie byli Katherine Rose z galerii i szkolny przyjaciel Piersa Jamie Mortimer. Uśmiechając się w ciemności, Anne wspominała ceremonię. Zapomniała o bukiecie, Katherine wyskoczyła więc do kwiaciarni i kupiła ogromny bukiet morelowych i kremowych róż oraz kremowe pączki do butonierek dla Piersa i Jamiego. Podczas ceremonii stary sygnet Piersa posłużył jako obrączka dla Anne. Bridget Frost, projektantka Piersa, robiła dla Anne pierścionek zaręczynowy i obrączkę z teksturowanego złota i diamentów, które sprytnie będą tworzyć całość. Później poszli na kolację do Pruniera, gdzie Jamie postawił butelkę szampana, a Katherine robiła zdjęcia. A po kolacji we dwoje wrócili do Piersa i się kochali.

Piers uważał, że powinni kupić większe mieszkanie, Anne, której od dzieciństwa wpajano ostrożne obchodzenie się z pieniędzmi, była zdania, że to niepotrzebne. Rozmawiali o tym, jadąc do domu z Marsh Court. Zauważyła, że przecież mają mnóstwo pomieszczeń: kuchnię, salon, sypialnię i łazienkę.

– Ale nie ma jadalni – odparł Piers. – Co będzie, kiedy zaprosimy gości?

Anne i ojciec zabierali gości do włoskich kafejek albo częstowali rybą i frytkami owiniętymi w gazetę.

– Pójdziemy do restauracji. Będzie zabawniej.

– I mniej zmywania. – Piers jednym palcem poruszył kierownicą, robiąc zakręt.

Teraz, jako żona, Anne zaczynała na własnej skórze się przekonywać, jak wygląda życie z Piersem Wintertonem. Pracował sześć dni w tygodniu, często po dwanaście godzin, niekiedy dłużej. Dość regularnie wyjeżdżał na dzień lub dwa na drugi koniec kraju, żeby obejrzeć pracę jakiegoś projektanta albo kupić tanio wyposażenie. Na Anne spadło robienie zakupów i dbanie o mieszkanie. Dwa razy w tygodniu po pracy zabierała rzeczy do pralni, płaciła pół korony i następnego dnia odbierała je czyste

i poskładane. W te wieczory, kiedy zostawali w domu, przyrządzała na kolacje proste potrawy w rodzaju spaghetti z serem albo ulubione kiełbaski Piersa. Nie była dobrą kucharką, gotowanie jej nie interesowało.

Za to nie znosiła bałaganu. Piers zostawiał filiżanki po kawie na podłokietniku fotela albo na dywanie, umywalkę w łazience znaczyły włoski po goleniu. W sklepie utrzymywał nieskazitelny porządek, ale w domu był strasznym flejtuchem. Anne przypuszczała, że sprzątała po nim matka. Nie chciała zrzędzić, przyrzekła więc sobie, że zatrudni sprzątaczkę, kiedy będą mieli więcej pieniędzy, a na razie przed pójściem do pracy pobieżnie doprowadzała mieszkanie do ładu.

W wolnym czasie wychodzili na miasto z przyjaciółmi Piersa, właścicielami agencji modelek, studia nagrań, sieci butików czy agencji sekretarek. Mieli oni samochody, mieszkania w Chelsea albo domy w Islington, które remontowali. Niektórzy jak Piers pochodzili z bogatych rodzin i uczyli się w szkołach z internatem, inni wszystko zawdzięczali sobie i mówili z tak silnym akcentem cockneyowskim, z Glasgow albo Liverpoolu, że w gwarze modnej restauracji Anne z trudem ich rozumiała.

– Londyn rozkwita – powiedziała Katherine. Urodziła się w Stanach, ale ostatnie trzydzieści lat spędziła w Anglii. – Widać, jak się rozwija, otrząsa z pajęczyn i sadzy.

We wrześniu przyjechał ojciec Anne. Ponieważ nie mieli pokoju gościnnego, zatrzymał się w małym hotelu tuż za rogiem. Anne wzięła kilka dni wolnego. Odwiedzili sklep, gdzie John Carlisle podziwiał biżuterię Piersa. We czworo z Juliet zjedli lunch, chociaż Piers nie został na deser.

– Lubisz go, prawda, tato? – zapytała, kiedy pewnego popołudnia wałęsali się po National Gallery.

– Tak. Ciężko pracuje. Nie zniósłbym próżniaka.

– Wiem o tym.

Stali przed *Ostatnią drogą Temeraire'a* Turnera.

– Popatrz – powiedział ojciec. – Niezwykłe, jak można nadać okrętowi taki smutny wygląd. Piers jest bardzo zajęty, mam rację, Annie? Nie chciałbym myśleć, że jesteś samotna.

Czy była samotna? Pod koniec tego tygodnia płakała, żegnając się z ojcem na Heathrow.

W październiku zachorowała. Myślała już, że doszła do siebie, ale potem pewnego dnia rano w galerii musiała pobiec do łazienki.

Kiedy wróciła do biurka, Katherine zapytała:

– Wszystko z tobą w porządku, kochanie?

– Teraz tak. – Anne poklepała się po brzuchu. – To przez ostrygi.

– Osobiście nie biorę ich do ust. W Livorno zjadłam zepsute i myślałam, że umrę.

Nazajutrz rano znowu wymiotowała. Kiedy wyszła z łazienki, Paula nie było, Katherine posłała go do sklepu po kawę ziarnistą.

– Myślałam, że bierzesz pigułkę, Anne – powiedziała.

– Brałam, ale było mi po niej strasznie niedobrze.

Katherine oderwała wzrok od księgi zamówień i uważnie przyglądała się Anne.

– O co chodzi? – zapytała dziewczyna.

– Może jesteś w ciąży?

– W ciąży?

– To prawdopodobne – odparła Katherine łagodnie. – Nie da się tego wykluczyć.

Zadzwonił telefon i odebrała, nie dodając nic więcej.

Anne miała pisać wstęp do nowego katalogu. Wzięła długopis, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Od dwóch miesięcy nie miała okresu. Zaburzenia kładła na karb małżeństwa oraz regularnie i bardzo często uprawianego seksu; gdzieś czytała, że tak się zdarza.

Żałowała, że nie ma z kim porozmawiać. Żałowała, że nie ma siostry ani takiej matki, która wysłuchałaby zwierzeń. Oczywiście była Juliet Winterton, ale w żadnym razie nie mogła omawiać symptomów ciąży z teściową. Ani z nikim innym z rodziny. Nie potrafiła stwierdzić, co właściwie o niej myślą.

W pralni poznała kiedyś dziewczynę imieniem Ceridwen, swoją rówieśniczkę i matkę małego Owena. Anne bawiła się z nim, kiedy Ceridwen wyjmowała z pralki mokre pranie, potem zaczęły rozmawiać i Ceridwen zaprosiła ją na kawę. Była energiczną i inteligentną Walijką, miała czarne włosy, bladą papierową cerę i świadczące o zmęczeniu cienie pod oczami, które wyglądały jak

siniaki po kciukach. Rodzice wyrzucili ją z domu, kiedy zaszła w ciążę, choć nie miała męża. Przeniosła się z Walii do Londynu i teraz mieszkała z innymi dziewczynami we wspólnie wynajmowanym domu w podlejszej części Notting Hill, w dzień pracowała w kawiarni, wieczorami uczyła się angielskiego i bibliotekarstwa. Anne często opiekowała się wtedy Owenem.

Tamtego dnia wyszła z galerii o piątej, metrem pojechała na Notting Hill i ze stacji ulicami zasypanymi miedzianymi opadłymi liśćmi powędrowała do domu Ceridwen. Myślała: dziecko, i chciało jej się płakać z radości. Myślała: dziecko, i ogarniała ją panika. Na litość boską, co ona pocznie z dzieckiem?

Rozdział jedenasty

Grudzień 1964 roku – maj 1965 roku

Autorem farsy zatytułowanej *Za przeproszeniem!* był szef amatorskiej grupy teatralnej, mężczyzna po czterdziestce imieniem Kenneth, który zawsze nosił czarny sweter z wywijanym kołnierzem i żółtozielone sztruksowe spodnie. Charley grała pokojówkę Fifi i musiała od czasu do czasu wbiegać na scenę z miotełką do kurzu w dłoni.

Próby trwały przez trzy tygodnie, premierę zaplanowano za miesiąc, w styczniu. Pewnego wieczoru po próbie Kenneth przekazał im swoje uwagi.

– Ludzie chętnie przyjmą coś innego niż pantomima – zakończył; Charley uznała, że z przesadną pewnością siebie. – Jestem przekonany, że będziemy mieli przyzwoitą widownię.

– Wieczny optymista – mruknął odtwórca głównej roli.

Charley uświadomiła sobie, że mówił do niej. Zarumieniła się. Nazywał się Christian Fraser i był oszołamiająco przystojny z włosami barwy toffi i podłużnymi sennymi szaroniebieskimi oczami. Do tej chwili słyszała od niego jedynie utyskiwanie w rodzaju: „Nie możesz wybrać lepszego momentu na to wejście?" albo „Podaj mi scenariusz". Plotki głosiły, że ma romans z debiutantką, olśniewającą ciemnowłosą Lizzie Scott.

Spotkanie się zakończyło, wszyscy się żegnali, wkładając płaszcze i czapki. Okazało się, że Charley wychodzi z budynku równocześnie z Christianem.

– Wiesz, to straszne bzdury – powiedział.

– Owszem – zgodziła się.

Wyszli z zimnej, źle oświetlonej kościelnej sali przy bocznej uliczce w Kensington. Ścieżka prowadziła koło cmentarza. Cisy z czerwonymi jagodami na gałązkach, które kazały Charley myśleć o Bożym Narodzeniu, rzucały cienie.

– Ken znowu daje upust swojej próżności – ciągnął Christian. – Robię, co mogę z moją rolą, ale są granice, nie sądzisz? Chyba zacznę myśleć o przejściu.

– To znaczy opuścisz zespół?

– Nie chcę marnować talentu. Są inne grupy.

– Jesteś bardzo dobry – odważyła się powiedzieć Charley.

Za plecami usłyszała tupot biegnących stóp. Po chwili zrównała się z nimi Lizzie Scott.

– Cholerny Ken. Nienawidzę go. Autobus mi ucieknie.

Na końcu ścieżki Charley się pożegnała.

– Cześć, Charley – odparł Christian. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Wracała do domu w Chelsea, oszołomiona szczęściem i optymizmem. Christian Fraser się do niej odezwał. Znał jej imię. Widział w niej dziewczynę, z którą mężczyzna taki jak on może porozmawiać, uznał, że jest godna, by jej wyznać, że sztuka jest okropna (co było prawdą) i niewykluczone, że poszuka innego zespołu. Wyobrażała sobie, jak jej proponuje, żeby razem z nim dała sobie spokój z amatorską grupą teatralną z Kinwell Road. Zmierzyłby ją zamyślonym spojrzeniem i oznajmił: „Tyle wkładasz w tę rolę, Charley. Bez ciebie sztuka by nie istniała. Masz w sobie coś wyjątkowego. Doskonale się nam razem pracuje".

Przeszła przez Fulham Road i ruszyła Sydney Street. W Londynie mieszkała od trzech i pół miesiąca. Uczyła się w college'u dla sekretarek, gdzie poznawała tajniki stenografii, pisania na maszynie i praktyk stosowanych w handlu. Było w porządku, nie ekscytująco, ale w porządku.

Jej współlokatorki miały chłopaków. Josh, chłopak Louise, szczupły, ciemnowłosy i inteligentny, robił doktorat z fizyki teoretycznej na Imperial College. Charley nigdy by nie przypuszczała, że Louise będzie się z kimś takim umawiała. Kuzynka zrezygnowała z college'u i pracowała jako modelka na cały etat. Zapraszano ją na

przyjęcia i weekendy, gdzie poznawała sławnych aktorów, piosenkarzy, fotografów i projektantów mody. Na pytanie Charley, czy któryś chciał się z nią umówić na randkę, odpowiedziała:

– Ciągle chcą, ale według mnie nie są interesujący.

Woli Josha, wyjaśniła. On jest interesujący.

Chłopak Gabe, Adam, z dość długimi jasnoblond włosami i podłużną, piękną, smutną twarzą, był solistą w zespole baletowym w Pimlico. Dał Gabe i Charley bilety na przedstawienie. To był taniec nowoczesny, nikt nie nosił spódniczek, tylko czarne trykoty, a scenografia była skromna. Balet wydawał się Charley dość nudny i dziwny, do chwili gdy Adam zatańczył w duecie z primabaleriną zespołu, wtedy bowiem poruszona do głębi czystymi emocjami tancerzy zaczęła myśleć o najróżniejszych rzeczach, o ojcu i Piersie, o tym, że Nate znowu jest na drugim końcu świata, i w oczach wezbrały jej łzy. Kiedy bardzo głośno pociągnęła nosem, osoba siedząca przed nią odwróciła się i obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem.

Louise i Josh byli bardzo mili, zapraszali ją, żeby z nimi wychodziła, ale miała dość rozsądku, żeby odmówić. Czasami spotykała się na drinku z Aidanem albo Jakiem, czasami odwiedzała Eliota, który się ożenił i mieszkał w Richmond. Kiedy tylko mogła, kupowała bilet do teatru. Nie przeszkadzało jej, że idzie sama, pod pewnymi względami tak wolała, ponieważ nie musiała wtedy z nikim rozmawiać i bez reszty mogła skupić się na przedstawieniu. Po spektaklu czuła się rozdygotana i nieco skonsternowana, jakby świat na scenie był prawdziwy, a wszystko poza nią stanowiło jedynie bladą imitację.

Czasami, motywowana obietnicą złożoną Nate'owi, po zajęciach szła do mieszkania Piersa. Zwykle zastawała tylko Anne. Charley myślała, że jeśli ciąża powoduje, że czujesz się tak okropnie, jak wygląda Anne, to sama chyba z dzieci zrezygnuje. Anne, zawsze blada, teraz była przezroczysta. Często biegała do łazienki, żeby wymiotować, albo próbowała zjeść jakieś ohydztwo, na przykład wątrobę, bo lekarz powiedział jej, że ma anemię. W mieszkaniu panował straszny bałagan, nawet Charley, która nie należała do porządnickich, widziała wyraźnie, że Anne się poddała.

Dokładała wszelkich starań, by rozmowa jakoś się toczyła, wypełniała ją zabawnymi historyjkami z college'u, wszystkim, co przyszło jej do głowy, ale to był wielki wysiłek i nie mogła się powstrzymać od współczucia bratu, który ożenił się z taką zimną rybą. Dla kontrastu Piers nieodmiennie tryskał energią, kiedy odwiedzała go w sklepie. Uwielbiała to niewielkie lśniące wnętrze i widziała wyraźnie, jaki dumny jest Piers. Zawsze był zajęty, rozmawiał przez telefon, wykrzykiwał polecenia sekretarce, rozpakowywał pudła. Chociaż Charley nie interesowała się biżuterią – okropna wada u kogoś z Wintertonów – kupiła u niego miedzianą broszkę w kształcie lisa, ponieważ przypominała jej lisy biegające po trawnikach Marsh Court w mgliste poranki. Skończywszy osiemnaście lat, dysponowała teraz własnymi pieniędzmi, roczną rentą zapisaną jej przez ojca.

Otworzyła drzwi domu w Chelsea, w którym mieszkała z kuzynkami, i weszła do środka. Louise i Josh byli w kuchni. Louise smażyła jajka. Na widok Charley zapytała:

– Chcesz jajko?

– Poproszę dwa.

– Jak poszło?

– Lizzie zapomniała wszystkich swoich kwestii. Nie pamiętała ani linijki i Kenneth ją obrugał. A tobie jak minął dzień?

– Dobrze. – Louise rozbijała jajka. – Hector zrobił kilka uroczych ujęć. Miałam na sobie suknię ślubną. Wyglądałam jak panna Havisham.

– A co u ciebie, Josh?

– Miałem bardzo ekscytujący dzień, ale nie ma sensu ci go tłumaczyć, bo nie zrozumiałabyś – odparł Josh rzeczowo, wcale nie pogardliwie. Charley wiedziała, że ma rację, rzeczywiście nic by nie pojęła.

– Rozmawialiśmy o Bożym Narodzeniu – powiedziała Louise. – Zaprosiłam Josha, żeby do nas przyjechał, ale zamierza pracować.

– Będę miał laboratorium tylko dla siebie. – Josh posmarował grzankę masłem. – Odwalę kawał roboty.

– Nie możesz pracować w Boże Narodzenie – odparła Charley.

– Zawsze pracuję. To jeden z plusów bycia żydem, rozumiesz. Nam wolno nie obchodzić tego święta.

Przed Bożym Narodzeniem była jeszcze jedna próba. Lizzie Scott leżała w łóżku z grypą i zastąpiła ją dublerka. Po próbie Christian Fraser dogonił Charley na ścieżce koło cmentarza.

– Powtórzę Lizzie to, co mówił Ken: że powinna przyjść na próbę, nawet gdyby umierała.

Charley spojrzała na niego. Dzisiaj wieczorem uśmiechnął się do niej dwa razy; to były uśmiechy konspiracyjne, z rodzaju „dlaczego się na to zgadzamy".

– Lizzie to twoja dziewczyna? – zapytała bez ogródek.

– Owszem, kilka razy się spotkaliśmy. Dlaczego pytasz?

– Tak się zastanawiałam.

– Przedstawiasz swoją kandydaturę na to stanowisko?

Zalała się rumieńcem.

– Nie… przepraszam… nie chciałam być wścibska.

– Jesteś śliczna, Charley.

– Och. – Po raz pierwszy powiedział jej to mężczyzna. Owszem, mama jej to powtarzała, ale przecież musiała, to obowiązek matek. Ojciec nigdy, może dlatego, żeby nie wbić jej w pychę, a może dlatego, że wcale nie uważał jej za śliczną. Oczywiście Piers nigdy nic takiego jej nie powiedział. Piers zauważał tylko siebie. A jeśli chodzi o ciotki, wujów i kuzynów, to dlaczego mieliby wyróżniać Charley, skoro przyćmiewa ją piękna Louise? Nate powiedział jej, że ma piękne oczy, ale tylko się wygłupiał.

– Jesteś zaskoczona – powiedział Christian. – Ty tak nie sądzisz?

– Nie zastanawiałam się nad tym zbytnio – odparła szczerze.

Roześmiał się.

– Szczerość godna podziwu. Zaprosiłbym cię na drinka, ale muszę pędzić do metra. Może po świętach.

Dwa dni później pojechała do Marsh Court. To było ich pierwsze Boże Narodzenie bez ojca. Zawsze przynosił choinkę i wstawiał do wielkiej donicy z kamieniami i ziemią, tym razem zrobiły to Charley i mama. Drzewko ciągle się ślizgało w donicy, w końcu obie płakały ze śmiechu, a potem z trudem łapały oddech, wlokąc ją do domu, podczas gdy pod nogami kręciła się im Lulu.

– Odpocznijmy chwilę, zanim zaczniemy dekorować, dobrze? – zaproponowała mama drżącym głosem.

Charley poszła do swojego pokoju, gdzie trochę popłakała. Zastanawiała się, czy mama też płacze, trudno było to stwierdzić.

Później, dekorując drzewko łańcuchami i wieszając bombki, Charley odtwarzała w pamięci rozmowę z Christianem. Postanowiła, że wyjdzie za mąż z miłości; podejrzewała, że małżeństwo rodziców takie nie było. Poszła do sypialni, żeby się przebrać do kolacji, i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. „Jesteś śliczna". Nałożyła cień na powieki, napluła do tuszu do rzęs i pomalowała rzęsy. „Zaprosiłbym cię na drinka… Może po świętach". Rozważała, w jakim sensie Christian użył słowa „może". Chodziło mu o to, że może ją zaprosi, a w tym wypadku może nie, czy że zrobi to zaraz po Bożym Narodzeniu, a może później, w styczniu? I co z Lizzie Scott? Naprawdę była jego dziewczyną czy nie? A jeśli była, czy Charley postąpi słusznie, idąc z nim na drinka?

Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem nie było prób. Na początku stycznia Charley wróciła do Londynu z Louise, która kupiła nowy samochód, mini morrisa. W czwartek poszła na próbę. Przekroczywszy próg sali, poszukała wzrokiem Christiana. Serce jej podskoczyło, kiedy go zobaczyła. Ruszyła w jego kierunku. Przywitał ją przyjaźnie, ale nadal rozmawiał z dwojgiem innych aktorów. Charley brakowało odwagi, żeby do nich dołączyć.

Lizzie wyzdrowiała i na szczęście nauczyła się kwestii. Tego wieczoru oboje z Christianem byli rewelacyjni. Podczas przerwy na kawę stali we dwoje w kącie. Wieczór mijał i nastrój Charley się pogarszał. Wychodząc z sali, miała nadzieję, że Christian dogoni ją na ścieżce koło cmentarza. Dziewczyna od rekwizytów towarzyszyła jej do ulicy, opowiadając o pomyłce, którą popełniła w pierwszym akcie: „Myślałam, że Kenneth będzie wściekły!".

Na ulicy dziewczyna powiedziała:

– Idziemy w tym samym kierunku, prawda?

Wtedy rozległo się wołanie:

– Charley!

Kiedy się odwróciła, zobaczyła biegnącego Christiana.

– Już myślałem, że mi uciekniesz – powiedział.

Nagle wieczór stał się doskonały. Rekwizytorka popatrzyła na Christiana, potem na Charley.

– Muszę lecieć do autobusu. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Było mroźno, Christian okutał się w płaszcz i szalik. Rozcierając dłonie, dmuchał na nie.

– Śmieszne, że tak szybko wyszłaś. Myślałem, że idziemy na drinka.

– Myślałam, że zapomniałeś.

– Ja? Nigdy nie zapominam. Znam świetną knajpkę.

Szli ramię w ramię ulicami i zaułkami, których Charley nie znała. Mróz połyskiwał na chodnikach i nadawał powietrzu pachnącą dymem ostrość. Oświetlone wnętrza taksówek, pubów i kawiarni z grupkami klientów wyglądały tajemniczo i wyrafinowanie.

Rozmawiali o sztuce, Kennecie i Bożym Narodzeniu. Christian nie wspominał o odejściu z zespołu amatorskiego. Jego świetny pub wydał się Charley całkiem podobny do innych londyńskich pubów: brązowawy wystrój, powietrze gęste od papierosowego dymu. Usiedli w sali głównej. Barman zapytał ją o wiek, odpowiedziała, że ma dwadzieścia jeden lat, bo się obawiała, że jej osiemnaście Christian uzna za dziecinne.

Kupił dla niej dżin z limą, dla siebie piwo.

– Tęskniłaś za mną? – zapytał, otwierając czipsy.

Chociaż wiedziała, że powinna odpowiedzieć z taką samą nonszalancją, z jaką okłamała barmana, złapała się na tym, że mówi krótko:

– Tak.

Posypał czipsy solą zawiniętą w niebieski papier.

– Wpadłaś mi w oko.

– Naprawdę?

– Owszem. Nie dziw się tak, głuptasie. Bardzo cię lubię. Już myślałem, że nasza randka nie dojdzie do skutku.

Charley czuła, że użyte przez Christiana słowa kryją w sobie przeszkodę, którą musi pokonać.

– Nie mam chłopaka, jeśli tym się martwisz.

– Właściwie chodziło mi o Lizzie. – Wrzucił czipsa do ust. – Jest strasznie zazdrosna.

– Tak?

– Nie znosi, jeśli nawet spojrzę na inną.

– Długo się z nią spotykasz?

– Nie, poznałem ją na próbach. Będę musiał dokonać wyboru.

Czy to znaczy, że Christian się zastanawia, jak delikatnie zerwać z Lizzie? A może chce powiedzieć, że powinni poczekać, aż w przyszłym tygodniu wystawią zaplanowane trzy spektakle.

– Nie chcę nikogo ranić – powiedziała. – Mogę poczekać, to mi nie przeszkadza.

Przyjrzał się jej uważnie i napił się piwa.

– Rzecz w tym, że to bardziej problem, którą z was wybrać. Trudna sprawa, kiedy podobają ci się dwie. Byłoby łatwiej, gdybym znał więcej faktów.

– Jakich faktów? – zapytała zdumiona.

– Nie znam cię za dobrze. Z Lizzie byłem kilka razy w łóżku. Przed podjęciem decyzji my też musimy to zrobić.

Charley nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Przecież Christian w żadnym razie nie może mówić tego poważnie – na pewno źle go zrozumiała.

– Wtedy będę wiedział, którą z was lubię bardziej – dodał; teraz już nie było wątpliwości, o co mu chodzi. Wziął jej rękę i splótł swoje palce z jej palcami, patrzył przy tym w jej oczy, ciepło się uśmiechając. – Dowiem się, która z was bardziej mi odpowiada.

– Masz na myśli – zaczęła, szukając odpowiednich słów – coś w rodzaju konkursu?

– Tak bym tego nie ujął, bo to brzmi dość okrutnie. Chciałabyś być moją dziewczyną, Charley, prawda?

Jego udo napierało na jej nogę. Chciałaby?

– Nie sądzę – odparła. – Nie, pewnie nie.

To zbiło go z tropu.

– Dlaczego nie?

– Sama nie wiem. – Gdyby mu powiedziała, jaka się czuje zszokowana i rozczarowana, pewnie by ją wyśmiał.

Ale on i tak się śmiał, choć najpierw mocniej zmarszczył brwi.

– Nie jesteś dziewicą, co? – Pokręcił głową, z rozbawieniem westchnął. – Boże, jesteś, prawda? Dobra, nie było rozmowy.

– Christian…

– Powiedziałem: zapomnij o tym.

– Myślałam, że możemy się zaprzyjaźnić – szepnęła, usiłując coś uratować.

Przełknął resztę piwa, wstał i włożył płaszcz. Charley zabrała swoje rzeczy.

Na mroźnej ulicy powiedziała:

– Christian, bardzo cię lubię.

Zmierzwił jej włosy.

– Musisz dorosnąć, wiesz o tym? Nie możesz wiecznie grać małej księżniczki tatusia.

Po tych słowach odszedł. Charley patrzyła, jak znika w mroku. Ruszyła w kierunku, który wydał jej się właściwy, ale się zgubiła, wędrując po nieznanych ulicach, co tylko pogłębiło jej upokorzenie. W końcu natrafiła na starą kobietę, wolno pchającą wiklinowy wózek na zakupy. W środku były ubrania, brudny koc, zniszczona książka w miękkiej oprawie, szarawa robótka na drutach, a także filiżanka i spodek – jakby w koszu mieścił się jej dom, pomyślała Charley.

Kobieta powiedziała jej, jak dojść do Sydney Street. Charley podziękowała i szła dalej, zastanawiając się, czy nie powinna skłamać w kwestii dziewictwa. Wyobrażała sobie, jak Christian mówi o tym kolegom z zespołu. Będą się z niej śmiać. Ciekawe, czy oceniłby ją za jej umiejętności albo ich brak w łóżku. Ile dałby jej punktów na dziesięć? Czy jakieś dziewczyny zgodziłyby się na jego propozycję, a może miałyby dość seksualnej pewności siebie, żeby go wykpić? Nie żałowała odmowy, tylko tego, że nie odmówiła mu w bardziej dowcipny sposób.

W końcu odnalazła dom w Chelsea i weszła do środka.

– Charley, to ty? – zawołała Louise, wychodząc na podest w piżamie.

– Tak.

– Jak było?

– Dobrze. – Nigdy nie będzie w stanie nikomu powiedzieć o Christianie, nawet Louise.

Kuzynka ziewnęła.

– Jutro wcześnie zaczynam. Dobranoc.

Charley zdjęła płaszcz i czapkę, po czym poszła na górę do swojej sypialni. Nade wszystko pragnęła wrócić do Marsh Court, w pokoju dziennym siedzieć po turecku na dywanie przed kominkiem i czytać ulubioną książkę, z mamą usadowioną w fotelu, która robi na drutach albo pisze list. Wzięła jednak głęboki wdech i przypomniała sobie, że sama wybrała Londyn, przygodę i wolność.

Nie wróciła do zespołu teatralnego i tęskniła za sceną; ktoś inny, pewnie dziewczyna od rekwizytów, machał miotełką do kurzu, ubrany w czarną sukienkę i biały fartuszek Charley. Wstąpiła do innej grupy w Bayswater, oddalonej od centrum i według Christiana pewnie niemodnej, która w repertuarze miała sztuki poważne, a nie francuskie farsy. Mężczyźni nosili swetry irlandzkie, dziewczęta czarne albo oliwkowe golfy, po próbach wszyscy szli do pubu, gdzie dyskutowali o wielkich sprawach, przykładach niesprawiedliwości i socjalizmie.

Juliet w ulewnym deszczu jechała drogą z Maldon. Nagle zobaczyła zaparkowanego na poboczu dżipa. Maska była otwarta, nad silnikiem pochylał się mężczyzna. Zatrzymała się, bo w promieniu wielu kilometrów nie było warsztatu.

– Mogę jakoś pomóc?

Kiedy mężczyzna się wyprostował, poznała Joego Brandona. Kołnierz kurtki miał podniesiony, mokre czarne włosy spadały mu na oczy.

Zamknął klapę i uderzył w nią dłonią.

– Coś jest nie tak z elektryką. Muszę go odholować na farmę.

– Chętnie pomogę.

– Dziękuję, ale to ciężka bestia, w żadnym razie nie wymagałbym tego od pani morrisa. Jutro z samego rana przyjadę po niego traktorem.

Deszcz lał jak z cebra z ciemnego nieba i bębnił o oba pojazdy.

– Proszę przynajmniej pozwolić, żebym podwiozła pana do Greensea.

– Miło z pani strony…

– Nie zgodzę się, żeby znowu pan przemókł, panie Brandon. – Uśmiechnęła się, wspominając popołudnie, kiedy łódką przewiózł ją z wyspy Thorney. – Wziąwszy pod uwagę sytuację, chociaż tyle mogę zrobić. Dla odmiany ja pana uratuję.

Przez moment zastanawiała się, czy odmówi i będzie się upierał przy powrocie pieszo do Greensea. On jednak odparł:

– Dziękuję, pani Winterton. To naprawdę uprzejme z pani strony.

Gdy ruszyli, ulewa zasłaniała widoczność, wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody. Juliet musiała się koncentrować na drodze i nie przeszkadzało jej, że Joe nie próbował nawiązać rozmowy. Wąskie boczne drogi były zalane.

– Musi pani skręcić w lewo przy następnym zjeździe – powiedział.

– Znam drogę. – Spojrzała na niego. – Byłam w Greensea i pamiętam. To było dawno temu, w czasie wojny, kiedy pańska żona chorowała. Posłałam jej kilka drobiazgów.

– Nie przypominam sobie.

– Zwrócił pan wszystko.

– Tak? Zachowałem się niegrzecznie.

– To naprawdę były drobiazgi.

Rozwidlona błyskawica, rysa srebra na fioletowym niebie oświetliła ciągnące się po lewej słone mokradła. Morris grzechotał i podskakiwał na wąskiej drodze wijącej się wśród zalanych pól. Przed sobą Juliet zobaczyła topole otaczające wiejski dom ukryty za taflą wody.

Zaparkowała przed drzwiami.

– Dziękuję, pani Winterton. – Wyraźnie się zawahał. – Napije się pani herbaty?

Przyjęła propozycję, bo ciekawiło ją, jak mieszka Joe Brandon. Szybko pokonała drogę od samochodu do ganku.

Otworzył drzwi i wprowadził ją do środka. Z ich płaszczy woda kapała na czerwoną kamienną podłogę holu. Trzy psy różnych ras i rozmiarów wybiegły im na powitanie.

Joe odebrał płaszcz od Juliet i powiesił na wieszaku.

– Christine? – zawołał. – Przyprowadziłem gościa.

Rozległy się kroki i pojawiła się kobieta. Juliet przypuszczała, że jest po siedemdziesiątce. Rzadkie siwe włosy miała krótko obcięte,

twarz szczupłą, ogorzałą i pomarszczoną. Była wysoka i chuda, ubrana w szare spodnie i robiony na drutach sweter w kolorze butelkowej zieleni.

Joe Brandon dokonał prezentacji:

– Pani Winterton, to moja ciotka, panna Christine Brandon.

Uścisnęły sobie ręce.

– Telefon dzwoni przez całe popołudnie, Joe – powiedziała Christine oskarżycielsko.

– Nie szkodzi, już wróciłem. Mamy szansę na herbatę?

Christine Brandon poszła do kuchni.

– Nie cierpi, kiedy parzę herbatę – wyjaśnił Joe, prowadząc Juliet do salonu. – Mówi, że robię bałagan w jej kuchni.

Psy podążyły za nimi; usiadły przy kominku i dysząc z wyciągniętymi językami, wpatrywały się w swego pana z uwielbieniem. Zadzwonił telefon.

– Przepraszam – powiedział Joe. – Muszę odebrać.

Poprosił, żeby się rozgościła. Juliet podziękowała, ale nie od razu usiadła. Jej uwagę przyciągnął chłopak, chyba o kilka lat młodszy od Piersa, który leżał na jednej z sof i najwyraźniej słodko spał.

Kiedy Joe rozmawiał przez telefon – „Roy, jak dobrze, że cię słyszę. Tak, ten tydzień mi odpowiada, jeśli uważasz, że tak jest najlepiej" – Juliet rozglądała się po pokoju.

Był wielki i przestronny, w kształcie kwadratu, z wysokim sufitem. Na wysokich oknach wisiały kremowe zasłony. Dwie sofy obite wyblakłym perkalem stały naprzeciwko siebie po obu stronach marmurowego kominka. Obok jednej była komoda, obok drugiej małe pianino. Kominek zdobiły dwie figurki z drezdeńskiej porcelany i ładny stary zegar. Na niskim kredensie zobaczyła gramofon i stos płyt, kilka wysokich biblioteczek zapełniały książki, grube historyczne tomy i wydania Penguina w miękkich oprawach. Na stoliku leżały gazety: „New Statesman", „Tribune" i „Guardian", ten ostatni otwarty na niemal rozwiązanej krzyżówce.

Z okna rozciągał się widok na ogrodzony murem ogród, za którym ciągnął się sad, szary i mokry. Joe Brandon bezgłośnie ją przeprosił, po czym powiedział do słuchawki:

– Roy, to twoja decyzja. Wiesz, że ten aspekt zostawiam tobie. Co o tym sądzi Paddy?

Trudno było nie zwracać uwagi na młodego człowieka na sofie. Rysy miał przyjemne, ale usta posępnie wygięte nawet we śnie.

Juliet przyglądała się oprawnym fotografiom na kredensie przy ścianie. Zwłaszcza jedna ją zainteresowała, przedstawiała grupę żołnierzy w mundurach polowych. Na innej śliczna młoda kobieta uśmiechała się zaraźliwie.

– To Molly – powiedział Joe Brandon, odkładając słuchawkę.

– Jest taka piękna.

– Była. Już nie.

Juliet spojrzała na telefon.

– Problemy?

– Nic, czego nie da się rozwiązać. Pomagam londyńskiej organizacji dobroczynnej zajmującej się edukacją. Przysyłają chłopców z miasta na moją farmę, żeby poznali wieś. Obozują w Greensea. Moja ziemia nie w całości nadaje się pod uprawę, więc chętnie robię z niej inny użytek. Niektórzy z tych chłopców mają za sobą kłopoty z prawem, poprawczak. Próbujemy im pokazać, że są inne możliwości. – Podnosząc głos, Joe powiedział: – Neville.

Chłopak na sofie otworzył oczy i usiadł tak szybko, że Juliet zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście spał, czy udawał.

– Cześć, wujku Joe. – Przydługie brązowe włosy miał zmierzwione, ubranie wygniecione.

– Neville, to pani Winterton. Pani Winterton, to mój chrześniak, Neville Stone.

Wymienili uścisk dłoni. Neville obdarzył ją sennym uśmiechem.

– Dżip wysiadł, Nev – powiedział Joe. – Rano będę potrzebował twojej pomocy.

– Jasne.

– Zamknąłeś kury?

– Jeszcze nie.

– Robi się ciemno. Lis nie będzie na ciebie czekał.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Christine Brandon, niosąc tacę z herbatą. Postawiła ją na stole i wyszła.

Neville zwlókł się z sofy, złapał garść herbatników i ruszył do drzwi. Coś mu przyszło na myśl, bo przystanął.

– Skoro dżip nawalił, to jak wieczorem dostanę się do pubu?

– Możesz pożyczyć mój rower. – Joe nalewał herbatę.

– Rower.

– Tak. To ta rzecz z dwoma kołami i kierownicą, która stoi w małej stodole. A przy okazji napompuj koła.

Neville westchnął i wyszedł. Joe zawołał za nim:

– Jutro rano pukam do twoich drzwi o szóstej!

– O szóstej! – usłyszeli jeszcze niezadowolone prychnięcie Neville'a.

– Jego ojciec był moim przyjacielem – powiedział Joe. – To dobry chłopak, ale strasznie leniwy. – Podał jej filiżankę i przyniósł fotografię żołnierzy w pustynnych polowych mundurach. – Tu jest jego ojciec, Richard Stone. – Wskazał wysokiego przystojnego mężczyznę na końcu szeregu. – Zginął pod El Alamein. Od tamtego czasu staram się mieć oko na chłopaka, robić co w mojej mocy.

– Jego matka żyje?

– Virginia jest aktorką, często wyjeżdża na tournée. Dwa tygodnie temu Neville'a wyrzucono z uniwersytetu. Jeszcze wszystkiego mi nie opowiedział, ale mam nadzieję, że będzie mógł wrócić i zrobić dyplom. Powiedziałem, że może u mnie zamieszkać i pomagać mi, kiedy się będzie zastanawiał, co robić dalej. Jak się do czegoś przyłoży, potrafi wykonać dobrą robotę.

Juliet uważniej przyjrzała się fotografii.

– To Gezira Sporting Club, prawda?

– Zna go pani?

– Ojciec i ja przez pewien czas mieszkaliśmy w Kairze.

Joe lekko się uśmiechnął.

– Wyobrażałem sobie, że jest pani dziewczyną z serca Anglii – powiedział. – Szkoła z internatem, dobre małżeństwo, „Country Life", polowania z psami, naszyjniki z pereł.

Pokręciła głową.

– Kompletnie się pan pomylił. – Ponownie spojrzała na fotografię, na uśmiechniętego przystojnego mężczyznę z ciemną karnacją, który stał obok Richarda Stone'a. – To pan.

Potaknął.

– Kair był fascynujący, chociaż miałem wrażenie, że tylko dotknąłem powierzchni. Długo pani tam była?

– Kilka lat. Byłam wtedy bardzo młoda, chyba młodsza od Neville'a.

– Ma dwadzieścia dwa lata.

– Więc młodsza. To było tak dawno temu. Tam poznałam Henry'ego.

– Proszę przyjąć moje kondolencje. Pamiętam, jak było ciężko po śmierci Molly. Christine utrzymywała wszystko w całości. Bez niej farma popadłaby w ruinę. Ale pani ma dzieci, prawda? Na pewno są dla pani pociechą.

Czy rzeczywiście? Juliet martwiła się o Charley w Londynie. Miała wrażenie, że córka jest za młoda, żeby mieszkać samodzielnie, a świadomość, że przecież jako dziewiętnastolatka mieszkała sama w Kairze, wcale jej nie uspokajała. Pamiętała straszną samotność, decyzje, które podejmowała i których potem żałowała. Z domu zniknęło światło, odkąd Charley wyjechała. Juliet próbowała ją przekonać, żeby znalazła kurs dla sekretarek bliżej Maldon, ale dziewczyna twardo obstawała przy Londynie.

O Piersa i Anne także się martwiła – oczywiście cudownie będzie mieć wnuka i oczywiście dziecko może ich do siebie zbliżyć, ale co, jeśli tak się nie stanie? Niektóre kobiety bez problemu przechodziły przez ciążę, Anne natomiast nie radziła sobie dobrze, wyglądała na chorą i znużoną. Gdyby tylko zrezygnowała z pracy w galerii i odpoczęła, myślała Juliet. Gdyby tylko Piers nie był tak zajęty nową firmą i zauważył, że Anne przeżywa trudny okres.

Nie mogła jednak tego wszystkiego powiedzieć Joemu Brandonowi, tak samo jak nie mogła mu wyznać, że śmierć Henry'ego w gruncie rzeczy przyniosła jej ulgę.

– Tak, oczywiście – odparła. – To wielka pociecha.

Jadąc do domu, rozmyślała o Joem Brandonie. Dom w Greensea był schludny i czysty, a jednak czuło się w nim atmosferę powagi, nieobecności. Czegoś brakowało, może świeżych kwiatów, kolorowej poduszki, lekkiej powieści otwartej na stole, czekającej na powrót czytelniczki do domu. Juliet się zastanawiała, czy Joe dlatego zaludnia dom nieborakami, nicponiem chrześniakiem, uciekinierami

ze slumsów, żeby utrzymać w ryzach samotność. A czy kochanie i utrata obiektu miłości, co stało się jego udziałem, mimo że bolesne, nie było lepsze od niezaznania miłości, jak w jej wypadku?

Joe musiał trzykrotnie walnąć w drzwi Neville'a, zanim chłopak otworzył, ziewając szeroko, w niezasznurowanych butach, w swetrze naciągniętym na piżamę. Włożył mu kubek kawy w dłoń, a sam poszedł po traktor. Joe przysiadł na stopniu i ruszyli. Na drodze nie było nikogo, deszcz ustał, pozostawiając kałuże barwy kawy.

Neville pomógł mu założyć hol na dżipa. Do Greensea on prowadził traktor, a Joe kierował dżipem. Kiedy wrócili, Christine już przygotowała śniadanie. Przy bekonie, jajkach i kiełbaskach Joe zapytał, o której Neville wrócił w nocy do domu.

– Nie wiem.

Później zapytał, czy chłopak dzwonił do college'u, żeby się dowiedzieć, czy cofną swoją decyzję i pozwolą mu zrobić dyplom.

– Jeszcze nie.

– Musisz się wziąć w garść. To ty prosisz ich o przysługę.

Neville włożył w usta kolejny kawałek chleba, mruknął coś niezrozumiale i wstał od stołu. Pięć minut później zatrzasnął za sobą frontowe drzwi.

Joe zdawał sobie sprawę, że źle to rozegrał. Zamierzał nawiązać rozmowę, a skończyło się na tym, że chłopaka przesłuchiwał. Powinien zadzwonić do Virginii i porozmawiać z nią o Neville'u, tylko że Viriginia była na tournée na północy Anglii. W takim razie napisze list. Musi jej przypomnieć, że ma syna, który trochę się pogubił.

Virginia, obecnie czterdziestoparoletnia, była utalentowana, zabawna i piękna. Przed laty Joe miał z nią romans. Wtedy uważał, że go uwiodła, ponieważ oboje w bardzo młodym wieku stracili partnerów, może więc Virginia czuła, że coś ich łączy. Z perspektywy czasu podejrzewał, że było jej go żal i chciała go rozweselić. Romans trwał z przerwami pięć lat. Joe wyszedł z niego z poczuciem odpowiedzialności za Neville'a, którego Virginia radośnie zaniedbywała, wysyłając go jako pięciolatka do szkoły z internatem,

podrzucając przyjaciołom lub krewnym, kiedy wyjeżdżała na tournée.

Przypomnienie Virginii o jej obowiązkach pewnie niewiele zmieni, ale musiał spróbować. Chłopcy, z którymi się stykał poprzez organizację Roya i Paddy, stanowili aż nazbyt dobitny przykład, co się dzieje, kiedy rodzina nie zajmuje się dzieckiem. Wagarowali albo w wieku piętnastu lat rzucali szkołę, a jeśli nie było ojca i nikt nie pomógł im znaleźć pracy w dokach czy fabryce samochodów, często pozostawali bez stałego zajęcia. Czasami wpadali w złe towarzystwo i mieli kłopoty z prawem.

Neville wprawdzie cieszył się ochroną dawaną przez pieniądze i klasę, ale nigdy nie nauczył się ciężko pracować. Dzięki wrodzonemu urokowi uchodziło mu na sucho o wiele za dużo wybryków, myślał Joe. Szkoda, że nie odziedziczył talentu aktorskiego Virginii – ale Virginia, niezależnie od porażek w roli matki, zawsze ciężko pracowała. Samotnie troszczyła się o ubranie i jedzenie dla Neville'a, a także płaciła czesne za jego szkołę, i Joe ją za to podziwiał. Neville tymczasem narzekał i jęczał na samą myśl o pracy.

Joe zaniósł naczynia do kuchni i podziękował Christine za śniadanie, potem wyszedł z domu. Główne zabudowania Greensea wzniesiono w połowie osiemnastego wieku, skrzydła i dobudówki dodawano przez lata. To był raczej solidny, porządny dom niż piękny czy przyciągający uwagę, ale pasował do płaskich pól, a słone mokradła i ujście rzeki znajdowały się niedaleko. Latem powietrze smakowało solą i zatrwianem.

Molly była zawołaną ogrodniczką, potomstwo żonkili, które zasadziła na trawnikach, otaczało dom morzem złotych kwiatów kołyszących się na wietrze. Joe co jesień sadził nowe cebulki dla upamiętnienia żony. Za ogrodem widać było ślady średniowiecznej fosy. Teraz pozostały tylko dwa spore stawy, na których chłopców z Londynu uczyli, czy raczej próbowali uczyć wędkowania i wiosłowania, zanim wypuszczali ich na Blackwater. Wiosłowanie zwykle cieszyło się większą popularnością niż wędkowanie. Łowienie ryb wymaga cierpliwości.

Greensea miała powierzchnię sześciuset akrów. Połowę gruntów obsiewano ozimą pszenicą lub jęczmieniem, na drugiej pasły się mleczne krowy. Christine hodowała drób i kilka świń na bekon. Podczas wojny musieli zaorać więcej akrów, choć niewiele to dało; łąki, położone zbyt blisko słonych mokradeł, by cokolwiek mogło na nich bujnie rosnąć, od tamtego czasu zostawiono odłogiem i korzystano z nich tylko przez miesiąc w roku, wtedy chłopcy z Londynu rozstawiali tam swoje namioty.

Joe spędził poranek, reperując dżipa, a po południu z pomocą swojego robotnika, Teda Blacklocka, naprawiał płoty i czyścił rowy. To była nieprzyjemna, mokra praca, Ted nie należał do gaduł i Joe pozwolił swoim myślom błądzić. Trochę się martwił o Neville'a, trochę rozmyślał o Juliet Winterton. Często widywał ją na ulicach Maldon, ale przed wczorajszym dniem rozmawiał z nią tylko dwa razy. Raz w czasie wojny, kiedy zaskoczył ją buszującą w zagajniku. Po drugim spotkaniu, kiedy przewiózł ją łódką z Thorney na główny ląd, zaczął podejrzewać, że chyba źle ją oceniał.

Zobaczył ją wtedy stojącą na brzegu. Jego uwagę przyciągnęły ciemnozłote włosy, barwna plama na tle szarości. Współczuł jej, gdy wracała do Marsh Court, szczupła postać w mroku idąca ścieżką wzdłuż ujścia. Człowiek słyszy różne historie. Tego małżeństwa nie uważano za szczęśliwe.

Nie był plotkarzem, ale nawet do niego dotarły pogłoski, że Henry Winterton zostawił żonie tylko niewielką rentę i domek. O czymś takim musiało się dowiedzieć całe hrabstwo. Wczoraj złożył jej kondolencje, ponieważ tak się robi i ponieważ przypuszczał, że bardzo by nie chciała, żeby wiedział o jej upokorzeniu.

Kiedy wczoraj wyjechała z Greensea, Joe uświadomił sobie, że coś się zmieniło. Przeglądał pocztę i nagle Christine go zapytała:

– Co się dzieje? Ty śpiewasz? Co w ciebie wstąpiło, Joe?

Była w nim lekkość, której od dawna nie czuł. Utrzymywała się pomimo starcia z Neville'em, pomimo zimna i wilgoci. Joe pojął, że to ma coś wspólnego z Juliet Winterton.

Skończyli pracę, zamknęli narzędzia w szopie. Joe podziękował Tedowi i pożegnał się z nim, potem ruszył do domu. Słońce zachodziło, malując pola barwami moreli i fioletu. Joe pamiętał

dzień, kiedy Molly sadziła cebulki żonkili. Z szalikiem w biało-czerwoną kratkę na włosach, w spodniach khaki pochylała się nad ziemią. A potem jej obraz przysłoniło świeższe wspomnienie Juliet Winterton wysiadającej z samochodu w ulewnym deszczu, ofiarowującej mu uśmiech i podwiezienie do Greensea.

– No, na co czekasz? – powiedział na głos. Wyjął z kieszeni nóż i zaczął ścinać żonkile. Łodyga po łodydze, złote, pomarańczowe i białe, aż miał ich pełne naręcze.

W szkole zaproponowano jej więcej godzin, co przyjęła z ulgą. Ubierała się na poranne lekcje: granatowa spódnica, biała bluzka, rozpinany sweter, stosownie skromne kolczyki. Pomyślała, że powinna sprzedać część biżuterii. To były krzykliwe ozdoby od Wintertona – nie lubiła ich, odzwierciedlały raczej gust Henry'ego niż jej, a teraz jako wdowa nie będzie miała zbyt wielu okazji ich nosić. Podejrzewała, że w ostatnim roku została skreślona z wielu list: niewygodna samotna kobieta, dla której żadna pani domu nie potrafi znaleźć miejsca. Nie była już bogatą, godną zazdrości Juliet Winterton, tylko wdową w trudnej sytuacji materialnej, zmuszoną do pracy, żeby się utrzymać.

Szczypta pudru, muśnięcie szminką i była gotowa. Sprawdziła, że w torebce ma portmonetkę i chusteczkę do nosa, pogładziła Lulu na pożegnanie, wzięła torbę z materiałami na lekcje i otworzyła frontowe drzwi.

Jej wzrok przyciągnęła plama złota. Na ganku leżał ogromny bukiet żonkili, owinięty w brązowy papier i związany byle jak sznurkiem. Podniosła go, podziwiając kolor mówiący o wiośnie i optymizmie.

W bukiet był wetknięty kawałek papieru. Juliet go rozwinęła.

Przeczytała: „Droga Pani Winterton, bardzo dziękuję za Pani wczorajszą uprzejmość". I jeszcze podpis: „Joe".

Żonkile, pomyślała. Dlaczego przysłał jej żonkile?

Po powrocie ze szkoły włożyła kwiaty do kilku wazonów i rozstawiła je w pokojach. Przez te piętnaście miesięcy od śmierci Henry'ego dom stał się dziwnie bezbarwny. A może od dawna taki był, tylko ona dopiero niedawno to zauważyła? Od czasu do czasu łapała się

na myśli: Powinnam pomalować ten pokój, rozjaśnić tamten. Ale nic nie robiła. To wydawało jej się zadaniem ponad siły.

Teraz żółte kwiaty przyciągały jej wzrok, kiedy chodziła z pokoju do pokoju. Coś jej mówiły, ale na razie nie potrafiła ich zrozumieć.

Aidan i Freya byli na grobli. Freya ustawiła statyw na płaskim kawałku ziemi, by zrobić zdjęcia odpływu. Woda spłynęła z grobli, Freya spojrzała w obiektyw, wyregulowała przysłonę i czas naświetlania. Rozległ się trzask, szum obracającego się filmu.

Aidan oparł się o płot. Rysował Freyę schyloną nad aparatem. Falista linia, gdzie pasmo kręconych włosów wymknęło się spod beretu, delikatne cieniowanie, gdzie wetknęła spodnie w buty. Rzeka wyraźnie opadała, jakby ktoś wyciągnął zatyczkę z wanny. Niebo barwy niezapominajek rzucało plamy błękitu na powierzchnię wody, powietrze pachniało wiosną, zielenią i obietnicą.

Ostatnie pół roku pod wieloma względami było fatalne, ale przyjaźń z Freyą dostarczyła mu niejakiej pociechy. Chociaż nic nie mogło zrekompensować mdlącej furii, która go zalała na wieść o ślubie Piersa z Anne, długie spacery z Freyą w weekendy przynajmniej pomagały mu się rozerwać. W jego fantazjach Anne szlochała, żałując, że wyszła za mąż, i błagając go o wybaczenie. Intensywność gniewu wstrząsnęła nim i sprawiła, że poczuł do siebie niesmak.

Kiedy usłyszał o ciąży Anne, gniew ustąpił miejsca wrażeniu żałosnej daremności. To oraz harówka w firmie wywołały w nim poczucie beznadziei.

Z kanału wyłoniła się lśniąca od wody grobla. Freya obejrzała się na Aidana.

– Chciałabym pójść na wyspę.

Spakowali jej rzeczy i ruszyli groblą. Drzewa na jedynej drodze na wyspie pokrywały się listkami. Kiedy wspinali się po zboczu, a potem szli krętą ścieżką, rozmawiali o tym, co widzieli, o ptakach, kwiatach, żywopłotach. Freya miała trzy aparaty: dwa hasselblady, które umieszczała na statywie, oraz mniejszą leicę M2, noszoną na szyi. Na polu pojawiły się dwa zające, szybko więc wycelowała w nie

obiektyw i zrobiła kilkanaście ujęć, naciskając przysłonę i przewijając film ze swobodą wynikającą z doświadczenia.

– Szybka jesteś – powiedział Aidan.

– To konieczne.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że robisz tyle zdjęć.

– Robię setki. Selekcji dokonuję na etapie negatywów. Czasami zatrzymuję tylko kilka. Jestem taka jak ty, pracuję, starając się uzyskać właściwy rezultat.

Zjedli lunch, złożony z kanapek z serem i piklami oraz kawy, na opasce brzegowej z drugiej strony wyspy. Poniżej rozciągało się wielkie słone mokradło, porośnięte jasnozielonymi i szarymi kępkami łobody i zatrwianu. Aidanowi wydawało się, że wiatr, który ich atakuje, rozwiewa jego problemy. Powiedział Frei, że ten tydzień w pracy był lepszy. Przez większość czasu miał wrażenie, że wie, co robi.

Wrócili z opaski brzegowej do miejsca, gdzie grobla łączyła się z wyspą. W ziemi i wodzie niebo odbijało się jak w lustrze.

– Zdarzyło ci się, że masz w pamięci jakiś obraz i nie jesteś pewien, czy to wspomnienie, czy coś, co widziałeś we śnie? – zapytała Freya.

– Albo wspomnienie snu.

– Tak odbieram to miejsce. Jak sen.

– Dobry czy zły?

Pokręciła głową.

– Po prostu sen.

Ruszyli groblą. Freya szła pierwsza, omijając mokre kamienie. Na ramieniu niosła statyw, jej długie włosy powiewały na wietrze. Wygląda dziko, pomyślał Aidan. Wyobraził ją sobie biegającą tutaj pięć tysięcy lat temu, łowiącą ryby włócznią, ścigającą brzegiem wilka, jelenia albo inne zwierzę.

Przynajmniej skończyły się nudności, pomyślała Anne. Nie sądziła, by ktokolwiek (oczywiście z wyjątkiem innej ciężarnej kobiety) był w stanie zrozumieć, jak jest cudownie, kiedy się nie wymiotuje. Ona wymiotowała przez pierwsze pięć miesięcy, o wiele dłużej, niż zapowiadano w książce dla młodej mamy. Lekarz poradził jej, żeby

rano przed wstaniem z łóżka zjadała suchego krakersa, ale się dławiła. Kiedy próbowała mu powiedzieć, jak strasznie się czuje, przez większość czasu mając nudności albo wymiotując, zapytał, czy jej małżeństwo jest szczęśliwe. Później na pytania o samopoczucie zawsze odpowiadała, że jest dobre.

Czy jej małżeństwo było szczęśliwe? Często tak. Anne była szczęśliwa, kiedy o siódmej Piers wracał do domu i wychodzili do włoskiej knajpki na spaghetti. Była szczęśliwa, kiedy w jej urodziny zabrał ją do wiejskiego hotelu w Surrey i podarował jedną z pięknych broszek Bridget Frost. Zrobił jej niespodziankę i hotelem, i broszką; Piersowi świetnie wychodziły niespodzianki.

Odwiedziła Aidana w nowym mieszkaniu w Chelsea, w jasnych wysokich pokojach z wielkimi skośnymi oknami na ostatnim piętrze kamienicy oddalonej tylko o kilka ulic od domu, w którym mieszkały Louise, Gabe i Charley. Ściany były białe, ozdobione obrazami i fotografiami.

– Cudowne – powiedziała Anne, rozglądając się dokoła. – Tyle światła.

Jedna z fotografii przedstawiała szaroczarne zamglone wybrzeże.

– A to jest świetne.

– Zdjęcie zrobiła moja przyjaciółka, Freya Catherwood. – Otworzył szkicownik. – To ona.

Aidan pokolorował włosy i kurtkę dziewczyny na jaskrawą czerwień, reszta rysunku była czarna. Zawsze kiedy pokazywał jej swoje prace, Anne chciała go zapytać, po co siedzi cały dzień w biurze, skoro powinien tym się zajmować. Ale milczała. Wiedziała, że może usłyszeć coś, co jej się nie spodoba. Domyślała się, że Aidan nie lubi pracy w Wintertonie, przypuszczała, że wykonuje swoje obowiązki dobrze i sumiennie, ponieważ do wszystkiego tak podchodzi, ale nie sprawia mu to przyjemności. Nasuwało się więc pytanie, dlaczego po prostu nie przekaże nieszczęsnej firmy Piersowi. Może dlatego, że za bardzo był zły na Piersa, który wobec niego zachowywał się okropnie. A może dlatego, że Piers odebrał mu coś – kogoś – z kim Aidan wiązał nadzieje.

– Jak nowe mieszkanie? – zapytał Aidan.

– Ojej. – Westchnęła i usiadła na sofie. – Pomalowałam szafki w kuchni, przynajmniej już nie są brązowe. Louise szyje mi zasłony. Len w kolorze kości słoniowej zamiast tego ohydnego kwiecistego perkalu.

Anne nie umiała polubić nowego mieszkania. Mówiła sobie, że nie powinna marudzić jak rozpieszczone dziecko, że mnóstwo ludzi nie ma nawet dachu nad głową i że z czasem się przyzwyczai. Ale to nie pomagało.

Nowe mieszkanie składało się z dwóch sypialń, salonu, jadalni i kuchni. Sporo kosztowało, dlatego czuła, że powinna je lubić, ale salon z małymi oknami wychodził na północ, więc było w nim mroczno i chłodno, w rezultacie nikt nie miał ochoty tam przesiadywać. Piers był dumny ze wspaniałego marmurowego kominka, Anne go nie cierpiała, wolała bowiem lekkość i nowoczesność. Linoleum w małej wąskiej kuchni z okienkiem pod sufitem miało barwę błota, podobnie jak szafki, które od razu przemalowała. O wiele bardziej by jej odpowiadało, gdyby znaleźli coś, co mogliby wyremontować zgodnie z własnym gustem, jak zrobił to Aidan. Tylko że nie mogła przedstawić tego argumentu Piersowi, bo nigdy nie rozmawiała z nim o jego kuzynie.

Przestała wspominać Piersowi o swoich wizytach u Aidana dawno temu, na początku ciąży, kiedy z powodu nudności czuła się okropnie i nie miała siły na kłótnie, na jego dąsy. Piers zakładał, że nie widuje się z Aidanem, a ona nie wyprowadzała go z błędu. Nie planowała tego. Gdyby teraz powiedziała Piersowi prawdę, pomyślałby, że specjalnie utrzymuje kontakty z Aidanem w tajemnicy. W gruncie rzeczy tak było. Zaraz po urodzeniu dziecka, przyrzekała sobie. Zaraz po urodzeniu dziecka, kiedy wszystko wróci do normy, znajdzie sposób na porozmawianie z Piersem o Aidanie.

– Ciasto? – Aidan machnął puszką.

– Aidanie, masz ciasto?

– Kupiłem dla ciebie.

– Kochany jesteś. Proszę wielki kawałek, jeśli można. – Była szczupłą kobietą z bardzo wielkim brzuchem. Uważała, że powinna wyrównać tę dysproporcję.

– Urządziliśmy proszoną kolację – powiedziała.

– Kogo zaprosiliście?

– Przyjaciół Piersa. Bridget – jest słodka – i jej chłopaka. I tego projektanta mody, na którego liczy Piers. Wiesz, ma nadzieję, że włączy jego biżuterię do swoich projektów. A także Sylvie Duvallier z mężem. Sylvie jest bardzo interesująca, zakłada czasopismo. Szuka dziennikarzy i fotografów. Twoja przyjaciółka Freya powinna się z nią skontaktować.

– Freya fotografuje wyłącznie krajobrazy.

– Niewykluczone, że Sylvie będzie to odpowiadać. – Anne wyjęła z torebki adresownik. Zapisała coś na kartce, którą wydarła i podała Aidanowi. – Niech Freya zadzwoni pod ten numer. Powiedz jej, żeby się powołała na Anne Winterton. Sylvie to urocza kobieta. Przegadałam z nią całą kolację.

– Jak się udała?

– Aidanie, było okropnie! – Anne się skrzywiła. – Próbowałam upiec pasztet. Kupiłam *Good Housekeeping* i naprawdę się starałam. Zajęło mi to cały dzień, a rezultat był niejadalny!

– I co zrobiłaś? – zapytał rozbawiony Aidan.

– Zadzwoniłam do Piersa. Szlochałam! Żałosne, co? Posłał Tricię do Fortnuma po homara, majonez, kawę i ciasto orzechowe. Gościom bardzo smakowało, ale…

– Ale co?

– Wszystkie kobiety Wintertonów potrafią gotować! Louise, nawet Charley! Ja też powinnam, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Masz inne talenty. To bez znaczenia.

Anne uważała inaczej.

– Kłopot z wami, Wintertonami, polega na tym, że wszystko robicie cholernie dobrze – powiedziała głosem bardziej niż odrobinę cierpkim. – Twoja mama i mama Piersa są wspaniałymi ogrodniczkami. Działają w organizacjach charytatywnych. Prowadzą ogromne, pełne przeciągów stare domy i nawet im powieka nie drgnie, kiedy nocuje u nich kilka osób. I wyśmienicie gotują. – Pokręciła głową. – Nie jestem odpowiednią żoną dla Wintertona.

– Brakuje ci galerii, prawda?

Westchnęła.

– Strasznie. Ale byłam za bardzo zmęczona, Aidanie. Na nic się nie przydawałam Katherine, plącząc się po galerii jak słoń.

Miesiąc temu zrezygnowała z pracy. Ulżyło jej, chociaż teraz więcej czasu spędzała w domu, a nie czuła się w nim na tyle wygodnie, by szukać zajęć, które zabiłyby nudę.

Skończyła jeść ciasto i pożegnała się z Aidanem. Kiedy ją odprowadzał do drzwi, powiedziała:

– Przekaż Frei, że jeśli chce, to z Katherine też porozmawiam o jej fotografiach. Od czasu do czasu urządzamy wystawy dla dobrze zapowiadających się artystów.

Szła ulicami skąpanymi różaną poświatą słońca. Czasem w te wieczory, gdy Piers wracał późno, Anne odwiedzała Ceridwen, Walijkę, którą poznała w pralni, w podniszczonym domu na Notting Hill. Współlokatorka Ceridwen, Maria, była pielęgniarką i miała córeczkę Nancy. Odeszła od męża, ponieważ bił je obie. Anne często przynosiła butelkę wina i we trzy rozmawiały godzinami.

Rozumiała, że Piersowi łatwiej jest obwiniać Aidana, niż pogodzić się z faktem, że ojciec postanowił go zranić, ale Piers na razie nie chciałby nawet o tym słuchać. Od śmierci Henry'ego Wintertona minęło półtora roku, długi okres na chowanie urazy. Piers pielęgnował swoje pretensje i był ekspertem w wynajdywaniu sposobów na ich podsycanie. Anne zaproponowała wizytę u terapeuty, ale odmówił. Wolał hołubić swój gniew.

Był taki czas, kiedy sądziła, że może pełnić funkcję pośrednika pomiędzy kuzynami, należał jednak do odległej przeszłości. Tylko Wintertonowie mogli rozwiązać swoje spory, niewykluczone, że arogancją z jej strony było przekonanie, że będzie mogła pomóc. „Nie widzisz, że ożenił się z tobą tylko po to, żeby dopiec Aidanowi?". W mroczniejszych chwilach dręczyły ją słowa Charley. Nieświadomie znalazła się na linii ognia.

Nazajutrz po południu Louise przyniosła nowe zasłony. Kiedy je powiesiły i Anne została sama, posprzątała po lunchu, a potem zmęczona poszła się położyć. Oparła dłonie na wielkim brzuchu. Teraz dziecko poruszało się rzadziej, jakby brakowało mu miejsca. Ludzie pytali, czy woli chłopca, czy dziewczynkę, ale jej naprawdę było wszystko jedno. Na początku ciąży martwiła się, że trwające

miesiącami nudności mogą zaszkodzić dziecku, że urodzi się małe, słabe albo chore. Przesuwając dzisiaj ręką po brzuchu, natrafiała na stópkę albo ramię i była pewna, że wszystko będzie dobrze. To jedzenie, które zdołała utrzymać, dziecko od niej wzięło, chociaż więc ona chudła, to ono rosło. Jeszcze nie wybrali imienia. Anne zapadała w drzemkę, myśląc o imionach coraz bardziej nieprawdopodobnych. Archie… Meg… Salome… Elvis…

Obudziła się skonsternowana, rozgrzana i słaba. Spojrzała na zegarek: kwadrans po ósmej.

– Piers? – zawołała, ale nie doczekała się odpowiedzi. Musiała skorzystać z łazienki i z wysiłkiem wstała. Po nogach najpierw coś jej pociekło, potem zaczęło obficie się lać. Przestraszyła się, że nie zdążyła w porę do łazienki, zaraz jednak uświadomiła sobie, że odeszły jej wody.

Przebrała się i zadzwoniła do sklepu. Nikt nie odebrał. Miała rozpaczliwą nadzieję, że Piers jest w drodze, i pragnęła usłyszeć szczęk klucza w zamku. Mdlący ból w podbrzuszu, całkiem podobny do silnych bólów menstruacyjnych, pojawiał się i znikał. Zadzwoniła do szpitala i opisała objawy. W odpowiedzi usłyszała, że zaczął się poród i powinna natychmiast przyjechać. „Poród". Anne zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów zgodnie z instrukcjami zawartymi w *Porodzie bez strachu*. A potem znowu zadzwoniła do sklepu.

I znowu nikt nie odebrał. Próbowała sobie przypomnieć, do których restauracji Piers lubił zabierać partnerów biznesowych, i po kolei je obdzwoniła, ale nigdzie go nie zastała. Wzięła torbę z niezbędnymi rzeczami i napisała liścik do Piersa, który przypięła do kuchennych drzwi, gdzie z całą pewnością rzuci mu się w oczy. Potem wybrała numer do Ceridwen. Przyjaciółka odparła, że zostawi Owena pod opieką Marii i natychmiast wskakuje do taksówki.

Anne czekała na Ceridwen przy oknie, siłą woli nakazując Piersowi, żeby wyłonił się zza zakrętu. Zobaczyła jednak taksówkę i zeszła na dół. Bóle przybierały na sile; w taksówce Anne trzymała przyjaciółkę za rękę i koncentrowała się na oddechu.

– Poczekam, aż przyjdzie Piers – obiecała Ceridwen, kiedy weszły do szpitala. – Jak go poznam?

– Ciemny, przystojny, zawsze się śpieszy.

Pielęgniarka zabrała Anne. Kazała jej się przebrać w koszulę i zostawiła ją w sali z wysokim łóżkiem. Po jakimś czasie przyszła inna; po badaniu powiedziała, że rozwarcie ma cztery centymetry, a następnie ogoliła ją i zrobiła jej lewatywę, mimo że Anne, która starannie przestudiowała *Poród bez strachu*, protestowała, że to nie jest konieczne.

– Czy mój mąż już przyszedł? – zapytała, gdy okropna procedura dobiegła końca.

– Dowiem się. – Pielęgniarka, niska kobieta z grubymi kostkami, wyszła z sali.

Fale bólu zalewały jej ciało. Anne brała głębokie wdechy i próbowała wizualizować mięśnie macicy wpychające dziecko do kanału rodnego, przybliżające chwilę, kiedy zobaczy noworodka po raz pierwszy. Ból jest dobry, ponieważ sprowadza jej syna na świat. Wiedziała, że to chłopiec, niecierpliwie pragnący zająć się swoim życiem jak Piers.

Wróciła pielęgniarka.

– Mąż tu jest, pani Winterton.

– Mogę go zobaczyć?

Kobieta zachichotała.

– Nie, skarbie.

Anne pomyślała, że musi sama przez to przejść. W sali pojawił się lekarz, zbadał ją i próbował przycisnąć jej do twarzy maskę.

– Nie. – Anne machnęła ręką. – Nie chcę tego.

Przyszło jej na myśl, że chociaż nie jest taką dobrą kucharką i panią domu jak inne kobiety z rodziny Wintertonów, ale tego zadania nikt prócz niej nie jest w stanie wykonać. Zamierzała zrobić to dobrze.

Telefon zadzwonił o piątej rano. Juliet zbiegła na dół.

Wiedziała, że to Piers, zanim jeszcze podniosła słuchawkę.

– Halo? Piers? Wszystko w porządku?

Anne urodziła dziecko, chłopczyka.

– Oboje dobrze się czują – ciągnął Piers. – Mały waży trzy tysiące siedemset siedemdziesiąt pięć gramów. Jest największym dzieckiem na oddziale. Nadaliśmy mu imię Edward. Zdrobniale Eddie. – W jego głosie brzmiało oszołomienie, mówił za szybko, słowa wpadały na siebie.

– Dzisiaj do was przyjadę – odparła z ulgą i wielką radością.

Zrobiła sobie herbatę i poszła z powrotem do łóżka. Chociaż maj prawie się już kończył, wczesne poranki w domu nadal były chłodne. Juliet owinęła się puchową kołdrą i rozmyślała o wnuku. Zastanawiała się, czy pokocha go od razu, czy będzie musiał minąć jakiś czas. Współczuła Anne, pamiętając ból, krew, brutalność porodu.

Zamknęli linię kolejową z Maldon, pojechała więc samochodem do Witham i tam wsiadła do pociągu do Londynu. W drzwiach szpitala spotkała się z Piersem i razem poszli na oddział.

Twarz Anne była tak biała jak poduszki. Juliet ją ucałowała, dała jej szalik, który zrobiła na drutach dla dziecka, i paczkę przygotowaną dla Anne, bo podejrzewała, że Piers mógł nie pomyśleć o rzeczach, takich jak pachnące mydło, nowa koszula nocna, krem do rąk Yardleya.

– Chciałabyś wziąć na ręce wnuka, mamo? – zapytał Piers.

Juliet odkryła, że przez dziewięć miesięcy ze wstrzymanym oddechem czekała na tę chwilę. Usiadła na krześle, Piers podał jej dziecko. Poczuła jego ciężar i ciepło. Jak doskonale pasował do zgięcia jej ręki! Przyglądała się uważnie różowym usteczkom, zmarszczkom na czole, które zostały naszkicowane jakby na przyszłość, kiedy za wiele, wiele lat ten chłopczyk się zestarzeje. Cienką czaszkę wydłużyły trudy przyjścia na świat, co nadało mu wygląd elfa, pomarszczone dłonie sprawiały wrażenie nieproporcjonalnie wielkich na cienkich jak patyki rączkach i wolno się poruszały jak wodorosty kołysane nurtem.

– Dzień dobry, kochanie – szepnęła, czując, jak miłość zalewa jej serce. – Dzień dobry, Edwardzie. Witaj w rodzinie.

Kiedy godzina odwiedzin dobiegła końca, Juliet poszła z Piersem do jego mieszkania. Chociaż mu proponowała, żeby się zdrzemnął (całą noc był na nogach, czuwając w szpitalu), nie chciał, twierdził, że nie

jest zmęczony. W kuchni słyszała, jak telefonuje do przyjaciół, by ich powiadomić o narodzinach dziecka.

Zrobiła herbatę i zaniosła do salonu.

– Dzwoniłeś do Helen?

– Ty jej powiedz.

Poczuła frustrację, ale nie mogła się zmusić, żeby go upomnieć. Miał ten rozbiegany szklisty wzrok człowieka, któremu z dnia na dzień życie się zmieniło.

Kiedy wypili herbatę, oznajmił:

– Chyba na chwilę przymknę oczy.

Wyciągnął się na sofie i po sekundzie głęboko spał.

W domu kończyło się mleko. Juliet przejrzała szafki, sporządziła listę i poszła do sklepu. W drodze powrotnej z budki telefonicznej zadzwoniła do Helen z wiadomością o dziecku.

Później poprosiła ją o numer Aidana i zanotowała go na liście zakupów. Dzieci czynią cuda, dzieci pozwalają na nowy początek. Edward był pierwszym z nowego pokolenia Wintertonów. Miała nadzieję, że to cudowne wydarzenie doprowadzi wojujących kuzynów do zgody.

Kiedy Aidan odebrał, powiedziała:

– Mówi Juliet. Pomyślałam, że chciałbyś się o tym dowiedzieć. W nocy Anne urodziła synka.

– Dobrze się czuje?

– Bardzo dobrze. Jest zmęczona, ale ogromnie szczęśliwa. – Powiedziała, jak chłopczyk ma na imię i ile waży, po czym dodała: – Anne będzie w szpitalu przez tydzień. Znasz adres Piersa?

Odpowiedział twierdząco, podziękował jej za telefon i się rozłączył.

Aidan poszedł do Hamleysa i kupił jasnoniebieskiego pluszowego misia, a stamtąd do Harrodsa, gdzie sprzedawca pomógł mu wybrać maleńkie białe ubranko.

Miał już dość tej długiej niezgody z Piersem. Wydawała się głupia i przesadzona. A przecież był czas, kiedy się nie rozstawali. Myślał o zabawach z dzieciństwa w ogrodzie w Marsh Court, o szopach i tratwach, które budowali, o wycieczkach rowerowych i rejsach

łódką Piersa. Kiedy mieli jakieś piętnaście lat, wywrócili łódkę i Aidan nadal pamiętał szok wywołany zimną wodą i panikę, bo nigdzie nie widział Piersa, a potem ulgę, gdy kuzyn wypłynął, kaszląc i spluwając, kręcąc mokrą głową, śmiejąc się. Z Piersem wypalili pierwszego papierosa, którego Aidan podkradł ojcu z papierośnicy. Razem wypili pierwsze piwo w podejrzanym pubie w zaułku w Maldon, gdzie nikogo nie obchodziło, czy są pełnoletni.

Wszystko to przestało być ważne z powodu daremnej kłótni o pieniądze i dziewczynę. Aidan pomyślał, że już dawno powinien był znaleźć sposób na naprawienie relacji.

W tydzień po narodzinach dziecka poszedł do Piersa i Anne i nacisnął dzwonek. Rozległy się kroki na schodach, drzwi się otworzyły.

Piers wpatrywał się w niego.

– Cholera, co ty tu robisz?

– Przyszedłem, aby dać ci to. – Wyciągnął rękę z prezentem. – To dla dziecka.

– Nie, dziękuję. Nie potrzebujemy tego.

Aidan opanował się i spróbował jeszcze raz.

– Wiem, ostatnio między nami nie układa się dobrze, ale czy możemy przynajmniej traktować się uprzejmie?

– Anne i ja nie chcemy, żebyś tu przychodził. Nie jesteś pożądanym gościem.

– Jestem z rodziny – odparł Aidan cicho. – Ty i ja należymy do jednej rodziny, Piers. Na litość boską, jak długo będziesz chował urazę?

Piers pobladł.

– Jak długo będzie trzeba. A teraz spadaj.

Drzwi się zamknęły. Wściekły, zraniony i upokorzony Aidan odszedł. Kilkanaście domów dalej przed gankiem stał wózek dziecięcy. Wrzucił do niego paczkę, po czym ruszył dalej.

Rozdział dwunasty

Czerwiec–wrzesień 1965 roku

Kiedy Juliet była mała, ojciec opowiedział jej legendę o golemie, stworze o ludzkim kształcie, ale ulepionym z gliny na brzegu rzeki. Chłopak, którego odkryła na mokradłach, przypomniał jej ojcowską opowieść. Szary i lepki, ślizgał się na błotnistym brzegu strumienia Marsh.

– Pomóc ci? – zawołała. – Nic ci nie jest?

Kolejne pośliźnięcie, po którym chłopak stracił równowagę i padł na plecy. Z trudem usiadł, jęcząc i trzymając się za kostkę. Dziesięć metrów dalej w wąskim kanale wody leżała wywrócona łódka. Powiew wiatru przesunął ją, znacząc biały żagiel smugami błota.

Kolejny jęk.

– Cholera, zabiją mnie.

Juliet ruszyła ku niemu, stawiając stopy na kępkach traw.

– Kto cię zabije?

– Roy i Paddy. I pan Brandon.

A więc to jeden z chłopców z poprawczaka. Młodszy od Piersa, nastolatek.

– Ta łódka nie jest twoja, prawda?

Pokręcił głową.

– Pan Brandon wie, że ją zabrałeś?

Ta sama odpowiedź.

– Mówiłem pani, zabije mnie, cholera.

– Zanim to zrobi – oznajmiła Juliet praktycznie – musisz wydostać się z tego bagna.

– Nie mogę. Noga mnie boli.

Jej gumowce zapadły się w ziemię, kiedy się ku niemu przysunęła.

– Daj mi rękę. – Pomogła mu dojść do porośniętego trawą gruntu.

– Łódka. – Obejrzał się za siebie.

– Pan Brandon się nią zajmie. Chodź, cały się trzęsiesz. Zaprowadzę cię do mojego domu.

Opierając się na niej, wolno pokuśtykał do Marsh Court. Powiedział, że ma na imię Gary, że skończył siedemnaście lat i pochodzi z Battersea. Nienawidzi wsi. Wszędzie bagno i te cholerne zwierzęta, które mu się dziwnie przyglądają.

W Marsh Court przygotowała mu kąpiel i kazała zostawić zabrudzone ubranie na podłodze. Dała mu ręcznik i stare rzeczy Piersa, a sama poszła na dół i zadzwoniła do Greensea.

Odebrał Joe Brandon.

– Mówi Juliet Winterton. Nie brakuje wam przypadkiem chłopca imieniem Gary?

– Znalazła go pani?

– Tak, jest u mnie.

– Dzięki Bogu. – W jego głosie usłyszała ulgę. – Zaraz po niego przyjadę. A nie miał ze sobą łódki?

– Jest w strumieniu, niestety, leży do góry dnem.

Joe przyjechał dziesięć minut później swoim dżipem.

– Jak długo go szukacie? – zapytała, otwierając mu drzwi.

– Od rana. – Zmarszczył czoło. – Już miałem zawiadomić straż przybrzeżną. Człowiek się martwi, kiedy robią tego rodzaju głupoty, ponieważ nie znają ujścia. Staramy się wbić im do głowy, jak niebezpieczne są prądy i jak łatwo mogą znieść łódkę na pełne morze, ale sama pani wie, jacy są chłopcy, nie zawsze słuchają.

Owszem, wiedziała, jacy są chłopcy. Próba doprowadzenia do zgody między Piersem a Aidanem poszła katastrofalnie źle. Juliet tylko pogorszyła sprawę; żałowała, że się wtrąciła, i serce ją bolało, kiedy o tym myślała.

– Gary sprawia sympatyczne wrażenie – powiedziała.

– Straszny nicpoń z niego, ale nie mogę nic poradzić na to, że mam do niego słabość. Ale proszę mu tego nie powtarzać.

Dotąd widywała Joego walczącego z żywiołami, w porywach wiatru i ulewnym deszczu. Dzisiaj, ogolony i uczesany, w ciemnych

spodniach, białej koszuli rozpiętej pod szyją i marynarce wyglądał nieoczekiwanie i niepokojąco przystojnie. Przypomniała sobie żonkile, ten ogromny bukiet, który zostawił jej na ganku, i nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, dlaczego je przysłał. Sprawiał wrażenie poważnego, zamkniętego w sobie mężczyzny, któremu są obce tego rodzaju ekstrawaganckie gesty.

Gary kuśtykał po schodach. Jego pojawienie się przerwało coraz bardziej niezręczną ciszę.

– Idiota z ciebie – powiedział Joe całkiem sympatycznie. – Mogłeś utonąć.

Gary miał kwaśną minę.

– Ta cholerna, głupia…

– Gary.

– Przepraszam – mruknął w stronę Juliet. – Nie chciała robić tego, do czego próbowałem ją zmusić. Myślę, że coś z nią nie tak.

– Niech popatrzę na twoją stopę.

Chłopak usiadł na stopniu i wyciągnął nogę.

– Zrobię kakao – zaproponowała Juliet.

– Dziękuję, ale nie, zabiorę go do domu. – Joe uśmiechnął się do niej ponuro. – Nie wydaje mi się, żeby miał złamane kości, ale poważnie potłukł kostkę i musimy ją unieruchomić. Poza tym sprawiliśmy pani dość kłopotów. Po łódkę przyjdziemy z Royem później, jeśli to pani odpowiada. Dziękuję za wszystko, co pani zrobiła. Jestem pani wdzięczny. Obaj jesteśmy.

Joe i Roy w sztormiakach i gumowcach pojechali ratować łódkę. Stojąc w strumieniu i odwracając ją, Joe myślał o Juliet Winterton. Ostatnio sporo o niej myślał. Włosy miała splątane od wiatru, smugę błota na policzku, ale wyglądała po prostu przepięknie. Przypuszczalnie uważa go za cholernie irytującego sąsiada, skoro pozwala swoim rozrabiakom wałęsać się po jej ziemi.

Roy popłynął łódką do strumienia Mundon, Joe włożył zabłocony żagiel do dżipa i pojechał do Greensea. W domu się przebrał, potem Christine podała kolację. Christine nie należała do gaduł, ale to nawet jak na nich był niezwykle cichy posiłek. Wydawało się, że dom

połknął ich słowa. Joe zastanawiał się, czy Juliet Winterton czuje to samo, samotna w wielkim pustym domu. Dzisiaj po raz pierwszy był w Marsh Court. Wnętrze wyglądało mrocznie i groźnie, miało atmosferę fortecy, którą zbudowano, aby chronić się przed światem albo dla zapewnienia bezpieczeństwa władzy oraz bogactwu Wintertonów. Chociaż ze sobą sąsiadowali, Joe nigdy nie miał z nimi wiele wspólnego i ich drogi rzadko się krzyżowały. Znał ich raczej ze słyszenia niż z osobistych kontaktów: majętni, żarliwi torysi, zaprzyjaźnieni tylko z kilkoma okolicznymi rodzinami. Dotąd nie miał ochoty poznać ich bliżej.

Ciągnęło go do Juliet Winterton w sposób, w jaki od bardzo, bardzo długiego czasu nie ciągnęło go do żadnej kobiety. Nie dostrzegał w niej cech, które budziły w nim lekką antypatię do Wintertonów: zamknięcia we własnym kręgu, snobizmu, poczucia wyższości. Z Juliet emanowały uczciwość i szczerość, a także dobroć. Nie miała pretensji, że Gary naniósł błota do jej domu, i potraktowała chłopaka ze współczuciem i łagodnością.

Po kolacji zajrzał do obory, później wypuścił psy, żeby pobiegały po sadzie. Wieczór był pogodny, powietrze słodkie od aromatu róż. Joe nigdy nie sądził, by do jego wad należało tchórzostwo, ale teraz zmienił zdanie. Dlaczego tak trudno sformułować słowa, zadać proste pytanie? Molly nie chciałaby, żeby do końca życia był sam, wiedział o tym. Więc skąd to wahanie? Zdawał sobie sprawę, że powstrzymuje go strach. Strach, że znalazł kobietę, której pragnął, ale ona go odrzuci. Strach przed kolejną stratą. Strach przed zakochaniem się, przed wejściem w to uczucie za głęboko, przed narażeniem się na ryzyko i cierpienie, które w tej sytuacji były nieuniknione.

Ale on już wkroczył za głęboko. Przeszedł groblę, a teraz zalała ją woda, odcinając mu powrót. Zaczął ścinać różowe i białe róże o najpiękniejszym zapachu, potem zamknął psy. Zrób to, powiedział do siebie. Nie myśl o tym, tylko to zrób.

Juliet posprzątała łazienkę, zamiotła zaschnięte błoto w holu i zjadła kolację. Później usiłowała popracować nad lekcjami, ale nie

potrafiła się skoncentrować. Coś rozpraszało jej uwagę. Czuła drżenie w żołądku, takie jak przed wyruszeniem w długą podróż.

Słysząc warkot zbliżającego się silnika, spojrzała w okno. Rozpoznała dżipa Joego i otworzyła drzwi.

Zmierzch rzucał głębokie cienie na jego oczy i usta.

– Proszę wybaczyć, że tak późno przychodzę – powiedział. – To dla pani. Żeby pani podziękować.

Podał jej bukiet róż, jak żonkile owiniętych w brązowy papier i związanych sznurkiem.

– Joe, są piękne. – Juliet zanurzyła nos w płatkach. – Co za cudowny zapach. Jak się czuje Gary?

– Trochę kuleje, ale poza tym dobrze.

– Udało się wam odzyskać łódź?

– Tak, Roy przyprowadził ją do Greensea. – Odchrząknął. – Zastanawiałem się, czy miałaby pani ochotę przyjść do nas na podwieczorek w niedzielę. Będzie też mój brat z rodziną. Chciałbym, żeby ich pani poznała, to znaczy, o ile ma pani czas.

– Tak – odparła Juliet. – Będzie mi bardzo miło.

Kiedy odjechał, wróciła do domu i ułożyła róże w wazonie z białej porcelany. Przy tym zajęciu uświadomiła sobie, że Joe Brandon ją pociąga. Minęło tyle czasu, odkąd czuła choć iskrę pożądania do mężczyzny, że nie od razu zidentyfikowała to doznanie. Co on o niej myśli? Nie miała pojęcia. Żonkile, pomyślała, róże. Przypomniała sobie, jak wiele lat temu Jonny powiedział, że Joe Brandon nie należy do ich świata. Czy to możliwe, że ona należy do świata Joego? Czy to możliwe?

W niedzielę po południu Juliet pojechała do Greensea. Kiedy skręciła z głównej drogi na wąskie wiejskie gościńce, doświadczyła tego samego uczucia co przy poprzedniej podróży tą trasą, wrażenia zanurzenia się w pradawnym, odizolowanym od upływu czasu krajobrazie. Promienie słoneczne odbijały się w ciemnych wodach jeziora i nadawały liściom topoli biały kolor.

Zaparkowała na podwórzu i zadzwoniła do drzwi. Otworzyła kobieta mniej więcej w jej wieku. Miała brązowe włosy i radosną twarz.

– Pewnie pani Winterton – powiedziała. – Jestem Hazel Brandon, bratowa Joego.

Uścisnęły sobie ręce. Hazel poprowadziła ją do pokoju, z którego przez otwarte drzwi balkonowe wychodziło się na tylny ogród.

– Joe! – zawołała.

Siedział na jednym z leżaków ustawionych na trawniku i rozmawiał z mocno zbudowanym mężczyzną o czerwonej twarzy. W pobliżu nastoletnie dziewczyny rzucały piłkę psom. Ale jaśniejące spojrzenie Juliet spoczęło na Joem.

– Witaj w Greensea, Juliet. – Wstał i podszedł do niej. – Chodź, poznasz pozostałych.

Fred był większą, grubszą, hałaśliwszą wersją brata. Miał takie same ciemnobrązowe oczy, ale osadzone w szerokiej i ogorzałej twarzy, tak innej od opalonej i szczupłej twarzy Joego.

– Joe opowiadał nam o tobie – powiedział Fred. – Uratowałaś jednego z jego chuliganów, prawda? Taka chudzina jak ty. – Podniósł głos. – Dziewczynki! Chodźcie się przywitać!

Cztery wysokie szatynki z różowymi policzkami przybiegły ku nim.

– Susie, Debbie, Heather i Glenys – przedstawił je Fred.

Dorośli usiedli na leżakach, dziewczyny wróciły do zabawy z psami. Christine postawiła tacę na stole i zaczęła nalewać herbatę. Juliet przeniosła wzrok z powrotem na Joego i przekonała się, że on wpatruje się w nią. Pośpiesznie odwróciła spojrzenie, jakby użądliła ją jedna z pszczół bzyczących w lawendzie.

Za trawnikiem rozciągał się spory teren z mniej wypielęgnowaną trawą, na którym rosły jabłonie i śliwy. Wszystko wyglądało, jakby było tu od zawsze: morwa przy murze poznaczonym szarymi i złotymi porostami, wieloletnie rośliny pokryte pękającymi pączkami na rabatkach. Nawet zardzewiały żeliwny stół pod drzewami sprawiał wrażenie, jakby wyrastał z wysokiej trawy.

Herbata była rozlana, każdy dostał rogalik. Fred zapytał, gdzie mieszka Juliet.

– W Marsh Court, na północny wschód od Mundon.

– Dom widać z opaski brzegowej – uzupełnił Joe.

– Trzy szczyty? Czerwony dach? – Fred zwrócił się do żony: – Hazel, a przypadkiem nie budowaliśmy łodzi dla gościa, który znał

Wintertonów?

– To był bardzo ładny jachcik – odparła Hazel, podając Juliet filiżankę.

– Wiele lat temu, niedługo po wojnie.

– Polityk… wysoki, blondyn…

– Nie zapomnę tego jachtu. Jak go nazwał? „Morska Tancerka", tak. „Morska Tancerka".

Na słoneczne czerwcowe popołudnie padł cień.

– Gillis Sinclair – powiedziała Juliet. – Mówicie o Gillisie Sinclairze.

Jedna z dziewcząt rzuciła patyk do sadu i zaraz one i psy zniknęły między drzewami. Myśli Juliet powędrowały niemal dwadzieścia lat w przeszłość, do lata 1946 roku. Gillis często przyjeżdżał wtedy do Marsh Court. Powiedział jej, że kupuje w tej okolicy jacht, choć w rzeczywistości odwiedzał Frances Hart na wyspie Thorney. On nadal żeglował Morską Tancerką po Morzu Północnym i ujściach rzek na wschodnim wybrzeżu, ale Frances Hart i jej dzieci dawno nie żyły, zabrane przez Blackwater. Raz jeszcze ukradkiem zerknęła na Joego. Czy pamiętał, jak kiedyś jej powiedział, że widział Gillisa z Frances Hart? Nie dał po sobie poznać, że tak.

– Gdzie mieszkasz, Fred? – zapytała, pragnąc, by rozmowa przestała dotyczyć przeszłości.

– Na West Mersea. Znasz ją?

– Często bywałam na tej wyspie. Zabieraliśmy tam dzieci, kiedy były małe.

– Najlepsze miejsce na świecie. Nie zamieszkałbym nigdzie indziej. Możecie sobie wziąć Capri i Monte Carlo, Mersea to moje miejsce. Zacząłem budować jachty po wojnie. Twój przyjaciel Sinclair był jednym z naszych pierwszych klientów. Teraz to solidna mała stocznia. Chciałem ją przekazać synom, a popatrz, co mam! – Ryknął śmiechem. – Cztery córki!

– Susie doskonale by się nadawała do prowadzenia firmy – powiedział Joe.

– Susie – powtórzyła Hazel lekceważąco. – Spotyka się z chłopakiem z klubu tenisowego. Takim chudzielcem z pryszczami. Niedługo będzie wesele, Joe, zobaczysz.

Rozmowa przeniosła się na zbiory i żeglowanie. Kiedy zjedli, Christine zaniosła naczynia do domu, a Fred, Hazel i córki odjechali.

Joe odprowadzał gości, Juliet przyglądała się różom zasadzonym przy murze. Pszczoła z okrągłym brązowym tułowiem posypanym złotym pyłkiem zanurzyła się w płatkach. Juliet czuła niepokój i konsternację. Co właściwie wyprawia, zadurzając się w mężczyźnie, którego widziała kilka razy? Przecież prawie nic o nim nie wie.

Joe wrócił do ogrodu.

– Nie powinnam cię wstrzymywać, Joe. Czas się zbierać.

– Musisz? Miałem nadzieję, że pokażę ci farmę.

Poczuła dreszcz przyjemności.

– W takim razie zgoda. Dziękuję, to bardzo miłe. – Może ją lubił. Trudno było to stwierdzić.

Dom stojący na niewielkim wzniesieniu otaczał ogród. Zbudowano go dwieście lat temu, mówił Joe, w miejscu mniejszego. Brandonowie zawsze mieszkali w Greensea, w Mundon były ich groby sięgające czasów Stuartów. Co w porównaniu z nim czyni Wintertonów parweniuszami, pomyślała Juliet.

W ogródku kuchennym płonęły szkarłatne kwiaty fasoli, pomiędzy rzędami warzyw posadzono aksamitki. Rozmowa o rodzajach nasion i zbiorach dała Juliet solidne oparcie, coś, czego mogła się przytrzymać. Miała wrażenie, że grunt usuwa jej się spod nóg, zmieniając krajobraz, do którego przywykła. Oto ona, Juliet Winterton, nieszczęśliwa w małżeństwie z Henrym, ślepo i fatalnie zakochana w Gillisie Sinclairze. Była przekonana, że to koniec jej historii.

W sadzie sączące się przez liście promienie słoneczne zdobiły trawę plamami. Uprawiali cztery gatunki śliw, wyjaśniał Joe, a także damaszki i renklody. Z dojrzałych owoców Christine robiła przetwory. Część umysłu Juliet pozwalała jej dyskutować o dżemach i konfiturach, reszta niczym motyl badała nowy świat. Coraz silniej uświadamiała sobie obecność idącego obok Joego, nie odrywała od niego wzroku i niemal czuła żar jego ciała. Wydatne mięśnie pod białą koszulą, cienka warstwa potu nad górną wargą, gdy z sadu wyszli na duszny upał otwartej przestrzeni: dostrzegała wszystkie te szczegóły, budziły w niej niepokój. I ta mroczna głębia jego oczu –

co w nich zobaczyła, kiedy na nią spojrzał? To było jak spoglądanie w czarne lustro; czuła, jak ją wciąga.

Osłoniła oczy przed słońcem. W gorącym powietrzu leniwie unosiły się drobinki kurzu, maszty niczym wykonane ołówkiem kreski wyrastały z pól, wyznaczając kręty bieg strumieni. Srebrzyste lśnienie wody zdawało się drżeć i unosić nad zieloną trawą jak miraż.

Grunty Greensea sięgały do słonych mokradeł, powiedział Joe.

– To labirynt strumyków. Raz się tam zgubiłem, kiedy byłem dzieckiem. Popłynąłem łódką i za długo zostałem. Zrobiło się ciemno i skończyło się na tym, że kręciłem się w kółko. Ojciec zlał mnie pasem. To mnie nauczyło, żeby nawet w ciemności umieć znaleźć drogę.

– Urodziłeś się tutaj?

– Tak.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy zawsze się mieszka w jednym miejscu.

– W czasie wojny byłem w północnej Afryce i tęskniłem za Greensea. – Spojrzał na mokradła. – Na pustyni ciągle przywoływałem w pamięci krajobraz, bagna i strumienie. Wydawało się, że znam je z innego życia. Jakby należały do innego świata.

Wracając równym krokiem przez sad, milczeli. Kiedy otworzył dla niej drzwi samochodu i Juliet wsiadła, zauważyła, że jego dłoń pozostała na klamce, jakby nie chciał, żeby odjeżdżała.

Ciało Anne, niegdyś zgrabne i posłuszne, teraz zachowywało się tak, jakby miało własną wolę. Brzuch jej obwisł, mleko płynęło z piersi w najbardziej żenujących sytuacjach: kiedy pchając wózek, szła z synkiem do przychodni na ważenie albo kiedy wyskakiwała do sklepu po chleb. Nie, to niewłaściwe określenie, teraz nigdzie nie mogła wyskoczyć. Każda wycieczka, nawet krótka, wymagała, żeby Anne sprawdziła pieluszkę Eddiemu, ubrała go w kurteczkę i czapkę, jeśli było chłodno, zwlokła ciężki wózek z piętra na dół (lokator z parteru, pan Lord, burczał, jeśli zostawiała wózek w holu), podczas gdy Eddie wrzeszczał w łóżeczku, jakby porzuciła go na zawsze. Potem zjeżdżała wózkiem po kamiennych schodach – co ich

podkusiło, żeby uważać za dobry pomysł kupno mieszkania w domu, w którym do frontowych drzwi trzeba wchodzić po schodach? – i biegła po synka, ten zaś najczęściej był już w histerii i zdążył zwymiotować na ubranie, co oznaczało, że musiała go nakarmić, żeby się uspokoił, i przebrać.

Martwiła się, że kiedy ona zmaga się z wózkiem, jakaś wariatka, która straciła swoje dziecko, wedrze się do mieszkania i porwie Eddiego, i martwiła się, że ktoś ukradnie kosztowny wózek marki Silver Cross, prezent od jej ojca, kiedy ona zajmuje się dzieckiem. Od narodzin Eddiego martwienie się świetnie jej wychodziło, była prawdziwą artystką w tej dziedzinie. Zastanawiała się, czy powodem jest niedosypianie (prawdę mówiąc, prawie wcale nie spała; uważała, że ma dobrą noc, jeśli synek nie budził jej przez trzy godziny), czy raczej to, że została matką. Czy też kwestia, o której przed narodzeniem dziecka nikt nie mówi, bo brzmi zbyt skandalicznie, a poza tym i tak by w to nie uwierzyła, że ciąża i poród nie stanowią nawet połowy tego, że nic nie wraca do stanu wcześniej uważanego przez nią za normalny, ani ciało, ani rozkład dnia, a jednak oczekuje się od niej wykonywania dawnych obowiązków, sprzątania i prania, robienia zakupów i gotowania, chociaż bywały dni, że synek zasypiał tylko na pół godziny, a kiedy nie spał, niemożliwością było zajęcie się czymś innym.

Kiedy Eddie miał dwa miesiące, Piers uznał, że powinni zaprosić gości na kolację. Tylko rodzina i bliscy przyjaciele, powiedział, żeby się odprężyć. Anne się zgodziła, ponieważ wiedziała, że Piers podziela jej odczucia, że ich dawne życie, które obojgu sprawiało przyjemność, skończyło się, choć żadne z nich tego nie planowało. Karmiąc Eddiego, kartkowała książkę kucharską. Postanowiła, że na przystawkę poda suflet serowy. W książkach kucharskich pisano, że suflety nie są wcale takie trudne do zrobienia, jak się powszechnie sądzi. Na danie główne pieczona szynka i sałatka waldorf; już upieczoną szynkę można kupić u rzeźnika, co oznacza, że nie trzeba nic z nią robić, a z sałatką każdy sobie poradzi, prawda? I na deser pomarańcze i makaroniki, które Piers kupi u Fortnuma w drodze do domu.

Zaprosili trzy pary: kuzynkę Piersa Gabe i jej chłopaka Adama, Claudię, młodszą córkę Gillisa Sinclaira, i jej męża Toby'ego oraz Jamiego Mortimera, który był świadkiem na ich ślubie, i jego dziewczynę Glorię. W wieczór kolacji Piers wrócił do domu późno i bez makaroników. W kredensie mieli opakowanie herbatników marki Nice; Anne uznała, że muszą wystarczyć.

W salonie panował bałagan. Anne chciała go wysprzątać, ale się jej nie udało. Poprosiła Piersa, żeby to zrobił, kiedy będzie karmiła Eddiego, ale gdy weszła do pokoju, on smacznie spał na sofie. Poczuła wściekłość – nie powinien spać, skoro to nie on musi w nocy wstawać do dziecka! – wiedziała jednak, że to niedorzeczne pretensje. Piers do późna pracował. Jej obowiązkiem było dziecko, jego – osiągnięcie sukcesu w biznesie.

Położyła Eddiego i przebrała się w prostą sukienkę z czarnego lnu, do której przypięła broszkę, prezent od Piersa. Włożyła fartuch, po czym starła ser na suflet; śpieszyła się, bo się obawiała, że Eddie znowu zacznie płakać. W połowie przygotowywania beszamelu usłyszała jego lament. W książce kucharskiej ostrzegano, by nie przerywać robienia sosu na tym etapie, bo skutki będą opłakane, Anne pobiegła więc do pokoju dziecinnego po synka, położyła go na leżaczku na kuchennym stole i śpiewała mu, mieszając w garnku.

Do kuchni zajrzał Piers.

– Boże. Padam z nóg.

– Możesz go popilnować?

– Muszę się przebrać.

– Piers, a ja muszę zrobić suflet. Posprzątałeś w salonie?

– Jeszcze nie. – Wziął na ręce Eddiego, który od razu się uspokoił. Przy Piersie Eddie o wiele rzadziej płakał. Anne zastanawiała się, czy powodem jest to, że kiedy synek na nią patrzy, myśli „mleko", czy to, że Piers po prostu umie go uspokoić, czy też to, że Piers lepiej sobie radzi z małymi dziećmi, koniec kropka, i może byłoby lepiej, gdyby siedział w domu, karmiąc i przewijając, a ona wróciłaby do galerii.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Chryste – powiedział Piers. – Która godzina?

– Siódma. Mówiliśmy od siódmej do wpół do ósmej.

– W takiej sytuacji nikt nie pojawia się o siódmej. – Burcząc, zszedł na dół i otworzył drzwi Jamiemu i Glorii. Gloria była niska i pulchna, z kręconymi ciemnymi włosami. Miała na sobie obcisłą, połyskliwą czerwoną sukienkę. Anne się przywitała i wróciła do sufletu.

Piers wsadził głowę do kuchni.

– Ona pije tylko babycham – syknął.

– Myślałam, że kupiłeś szampana?

– Nie pije szampana, tylko babycham. Muszę pójść do monopolowego. Będziesz pełniła honory domu?

Anne wstawiła suflet do piekarnika i poszła do salonu. Piers wcześniej ułożył Eddiego w łóżeczku. Anne rozmawiała z Jamiem i Glorią, potem przyszli Gabe i Adam. Piers wrócił z napojem dla Glorii. Anne pobiegła do kuchni. Suflet wyglądał dobrze, urósł i był jasnobrązowy z wierzchu. Przypomniała sobie, że nie nakryła do stołu, i zaczęła liczyć sztućce. Stół był za mały na osiem osób – o ile Claudia i Toby się zjawią, było już za dwadzieścia pięć ósma.

Przeciągłe dzwonienie: to oni. Z pokoju dziecinnego dobiegł płacz.

Gabe przekrzywiła głowę, nasłuchując.

– To Eddie?

– Ojej. – Anne znieruchomiała z garścią łyżek w dłoni.

– Pójdę po niego – powiedziała Gabe.

– Nie, nakarmię go, to mu wystarczy do końca kolacji. Przepraszam.

Eddie był rozgrzaną czerwoną kulką gniewu. Mruczała do niego, kołysała go, uspokajała. Zadławił się, biorąc sutek w usta, więc poklepała go po pleckach. Był strasznie głodny, w końcu więc zaczął ssać.

Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju weszła Claudia.

– Anne, kochanie, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale suflet niestety się przypalił.

– Bardzo?

– Obawiam się, że tak. Mogę nastawić jajka, zrobimy je z majonezem. W lodówce masz tuzin.

– Proszę – wykrztusiła z trudem Anne. Chciało jej się płakać. Kompletnie zapomniała o suflecie, który jeszcze przed kwadransem

wyglądał idealnie. Powstrzymała łzy, poczekała, aż Eddiemu się odbije, przewinęła go i położyła do łóżeczka. Żuł rączkę, mlaszcząc.

Claudia i Gabe były w kuchni. Gabe myła sałatę, na piecu gotowały się jajka. Na widok sufletu, który czarny i opadnięty leżał w zlewie, znowu zachciało jej się płakać.

– Na pierwszej kolacji dla rodziców Toby'ego kot dorwał się do łososia. – Claudia ryknęła śmiechem. – Musiałam dopasować kawałki jak w układance. Czułam się okropnie, podając teściom jedzenie, które skubał kot.

Anne przelała jajka na sitko i opłukała zimną wodą, później we trzy je obrały, podzieliły na połówki i ułożyły na liściach sałaty.

– Bardzo wam dziękuję – powiedziała Anne. – Wracajcie do salonu.

– Pomożemy ci pozmywać – zaproponowała Claudia.

– Nie, bardzo proszę.

Anne chętnie została sama; nakładając majonez na jajka, starała się za bardzo nie przejmować. Kiedy zaniosła talerze do pokoju, Piers powiedział:

– Myślałem, że miał być suflet.

– Spaliłam go.

– Nie wiem, czy to wino pasuje do jajek.

– Och, nie bądź taki marudny, Piers – wtrąciła Claudia wesoło. – Po prostu je rozlej.

– Cudowna broszka – zwróciła się Gloria do Anne.

– Ze sklepu Piersa.

– Powinnaś mnie odwiedzić – dodał Piers.

Rozległ się płacz.

– Tylko nie to – powiedziała Anne z niepokojem. Wstała od stołu.

Eddie znowu był głodny. Pragnęła mu powiedzieć: „Karmiłam cię cztery razy w ciągu dwóch godzin", ale nic by to nie dało. Usiadła na niskim krześle i rozpięła sukienkę. Eddie chwilę ssał, potem się rozejrzał. Oczy miał szeroko otwarte.

Do pokoju weszła Claudia.

– Brzuszek go boli?

– Może.

– Wiesz co, on wygląda na rozbudzonego.

– Nie może być rozbudzony! Przez cały dzień nie spał!

– Natasha wieczorami zawsze sprawiała kłopoty. Mogę? – Claudia wzięła dziecko od Anne. – Pozwól, żebym go utuliła. Cudowny, cudowny chłopczyk. Podły stary Toby mówi, że nie możemy mieć więcej.

Wróciły do jadalni. Claudia niosła Eddiego w objęciach.

– A nie powinien spać? – zapytał Piers.

– Powinien – odparła Anne spiętym głosem – ale nie śpi.

Zebrała talerze i zaniosła je do kuchni. Bolała ją głowa. Nalała wody do wielkiej szklanki i wypiła. Położyła szynkę na talerzu, poszukała noża do krojenia. Przyszła Gabe i zjadła resztę jajek. Gabe pochłaniała ogromne ilości jedzenia, a mimo to była wysoka i bardzo szczupła.

Anne spojrzała na sałatkę, którą zrobiła wcześniej.

– Zapomniałam o orzechach. – Zajrzała do kredensu. – Nie wydaje mi się, żebyśmy jakieś mieli.

– Nie przejmowałabym się tym – odparła Gabe. – Nie wszyscy lubią orzechy. To jak żucie kawałków drewna.

Zaniosły jedzenie do jadalni. Piers opowiadał o firmie.

– Dzisiaj rano sklep pękał w szwach. Musicie wszyscy przyjść.

– Pewnie pracujesz do późna – zauważył Toby.

– Owszem.

– Prawie nie widywałem dzieci, kiedy założyłem biznes.

– Prawie nie widujesz ich teraz, kochanie – wtrąciła się Claudia. – Myślałam, że tak wolisz. – Ułożyła dziecko w wygodniejszej pozycji. Źrenice Eddiego były ciemnymi kreskami pod opadającymi powiekami.

– Masz nadzieję, że wrócisz do galerii, Anne? – zapytała Gabe.

– Nie wiem. Bardzo bym chciała, ale nie wiem.

– Nie zostawiłabyś przecież Eddiego, prawda? – powiedział Piers.

– Nie, oczywiście, że nie. – Anne tęsknie pomyślała o galerii, o chłodnym cichym wnętrzu, kojącej pracy wybierania i sprzedawania obrazów. Miała wrażenie, że to nie tylko było inne życie, ale też, że to życie należało do innej osoby.

– Powinnaś znaleźć sobie nianię – powiedziała Claudia. – Bez Karen oszalałabym. Dzięki niej mogę iść do fryzjera i na zakupy bez wózka.

– I dlatego muszę pracować do nocy – oznajmił Toby z ironicznym uśmiechem. – Żeby zapłacić niani i za fryzury, i za zakupy.

– Zamknij się, Toby. Teraz położę małego do łóżeczka, dobrze, Anne? – Claudia pocałowała Eddiego w główkę. – Świetnie się z nami bawi, ale musi się wyspać.

Anne podała deser, potem zaparzyła kawę. Pomyślała, że to jej jedyna kulinarna umiejętność: mocna aromatyczna kawa, a nie słaba brytyjska lura. Piers nastawił płytę, wypili butelkę brandy, a potem, o wpół do dwunastej, goście się pożegnali.

Anne sprzątnęła filiżanki i szklanki po brandy. Do kuchni wszedł Piers.

– Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek była w tym dobra – powiedziała.

– W czym? – Otwierał szafki, szukając alkoholu.

– W gotowaniu. Przyjmowaniu gości.

– Było wspaniale. Wszyscy świetnie się bawili.

– Piers. Posiłek był okropny. Spalony suflet i sałatka waldorf bez orzechów. Szynkę kupiłam u rzeźnika, ciastka były ze sklepu. Ja tylko podzieliłam na cząstki kilka pomarańczy.

Przycisnął usta do jej karku.

– A jakie to ma znaczenie?

Odsunęła się od niego gwałtownie.

– Dla mnie ma. Oto wy, Wintertonowie, tacy piękni i mądrzy, tyle macie wspólnego. Wspomnienia, dzieciństwo. Nawet te cholerne ogniska. A ja wiecznie na zewnątrz.

Patrzył na nią zdziwiony.

– Anne, to jakieś brednie. Wszyscy dokładają starań, żebyś się poczuła częścią rodziny. Myślisz tak, bo jesteś zmęczona dzieckiem.

– O tak, dziecko – odparła gorzko. – Dlaczego nikt nie mówi prawdy o dzieciach? Ponieważ nikt by się na nie więcej nie decydował, tak uważam. Ludzkość przestałaby istnieć. – Zabrała się do zmywania. – Może powinnam zatrudnić nianię, jak mówiła Claudia.

– Chryste, w tym domu nie ma nic do picia. – Piers nalał sobie wody.

– Albo sprzątaczkę. Myślałam o tym, Piers. Tylko na kilka godzin w tygodniu, żebym miała pomoc teraz, kiedy Eddie ciągle się budzi w nocy.

Wypił wodę i powiedział:

– Nie możemy sobie pozwolić na sprzątaczkę. Ani na nianię.

Odrywała nożem spalony ser ze ścianek naczynia.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nas na to nie stać. Właściwie nie stać nas na szampana. Ani na ten przeklęty babycham, skoro o tym mowa.

– Piers?

– Musiałem sporo pożyczyć.

– Ile?

– Dokładnie nie wiem. – Unikał jej wzroku.

– Powinieneś mi powiedzieć. – Jak mógł? Przestraszyła się.

– Załatwię to. Na razie musimy być ostrożni, to wszystko. Aż sytuacja się poprawi. Potem będziesz mogła mieć tyle sprzątaczek, ile zapragniesz.

– Myślałam – zaczęła, starając się, by jej głos nie zdradził, że jest zła albo niespokojna – że ze spadkiem po ojcu i po sprzedaży mieszkania…

– Firma wszystko pochłonęła. – Skubał resztki szynki. – Nie chciałem cię martwić.

– Piers. – Odłożyła nóż i objęła go. Widziała, że to go dręczy, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. – Powinieneś był mi powiedzieć. Musimy sobie o wszystkim mówić. O złych i o dobrych rzeczach.

– Niedługo będzie lepiej. – Pogładził ją po plecach. – Zawsze jest tak, kiedy się rozkręca biznes, wszyscy to powtarzają. Pierwszy rok zawsze jest trudny.

Pocałowali się. Nie kochali się od narodzin Eddiego, teraz po raz pierwszy poczuła dreszcz pożądania.

Ciszę zmącił płacz. Anne poszła do pokoju dziecinnego. Wyjęła Eddiego z łóżeczka i nakarmiła go, myśląc o słowach Piersa. To, że nie mieli pieniędzy, nie martwiło jej tak bardzo jak to, że nie powiedział jej o długach. Na jaką sumę właściwie byli zadłużeni?

A skoro brakowało im środków, dlaczego wydali tyle pieniędzy na mieszkanie, którego nawet nie lubiła?

Minęło wpół do pierwszej w nocy, a ona była na nogach od piątej rano. Ciągle na kilka sekund zasypiała, karmiąc Eddiego, wreszcie wbiła paznokcie w kciuk, żeby zachować przytomność.

Kiedy Eddie został nakarmiony i przewinięty, jego ciemne oczy spojrzały na nią, usta rozchyliły się w uśmiechu.

– Witaj, kłopocie – szepnęła z uczuciem.

Siedziała, trzymając go w objęciach i cichutko nucąc. Nauczyła się, jak z niemowlęciem nieruchomieć, co najwyraźniej go usypiało. Żadnego kontaktu wzrokowego, tylko spokojna obecność i delikatne nucenie. To następna rzecz, o której z góry cię nie uprzedzają, pomyślała, układając synka do łóżeczka: jaką głęboką miłością to się kończy.

Obchodząc wielkie pole pszenicy, Joe wspominał Juliet spacerującą przy jego boku po sadzie. Wieczorami, kiedy uzupełniał księgi rachunkowe, nawiedzała go, rozpraszała uśmiechem albo gestem. Po tygodniu popełniania błędów, braku uwagi i ciągłych pytań Christine, czy źle się czuje, już wiedział, że musi coś z tym zrobić. Ale co? Zapomniał, jak się zalecać do kobiety. Nie w tym rzecz, że się bał, że zrobi z siebie głupca, problem polegał raczej na tym, że wyczuwał w niej ranę, kruchość, która go wzruszała i równocześnie stanowiła przestrogę. W żadnym razie świadomie by nie skrzywdził Juliet, wiedział jednak, że mógłby to zrobić niechcący.

Postanowił zaprosić ją na kolację, choć nie brakowało przeszkód i najróżniejszych komplikacji. Gdyby poszli do restauracji w Maldon, w ciągu jednego dnia cały okręg by usłyszał, że Joe Brandon i wdowa po Henrym Wintertonie zjedli razem kolację. Wcale by się tym nie przejmował, ale nie chciał, by Juliet stała się tematem plotek. W takim razie dokąd powinni się wybrać? Rzadko gdzieś bywał. Chleb i ser w pubie na targach rolniczych, lekki posiłek w skromnym lokalu, jeśli miał sprawę do załatwienia w Londynie i zostawał tam na noc. Fred zasypałby go gradem dobrodusznych

ciekawskich pytań, gdyby poprosił go o radę, a Christine uważała, że filiżanka kawy w kawiarni w Maldon to strata pieniędzy.

No i była kwestia transportu. Nie mógł przecież dżipem zawieźć Juliet Winterton do restauracji. Pozostawiony przez armię amerykańską w 1944 roku dżip liczył teraz ponad dwadzieścia lat i był poobijany. Dobrze się znali, Joe zawsze przywracał go do stanu używalności, ale gdyby się zepsuł po drodze? Co więcej, nawet po dokładnym umyciu wyczuwało się w nim zapachy farmy.

Odwiedził cieszący się dobrą opinią komis z używanymi samochodami pod Colchester i kupił dwuletniego rovera. Sprzedawca sprawiał sympatyczne wrażenie, Joe zapytał go więc, czy w okolicy są jakieś przyzwoite restauracje. W odpowiedzi usłyszał o kilku. W drodze do domu zastanawiał się, jak do tego doszło, że tak odizolował się od świata, iż musiał o tego rodzaju rzeczy pytać nieznajomych.

Wieczorem zadzwonił do Juliet Winterton. Kiedy przyjęła zaproszenie, fala podniecenia i radości rozpaliła te części jego serca, które od lat wydawały się uśpione.

Ostrzygł się, sprawdził, czy najlepszy garnitur jest w dobrym stanie, wyczyścił buty. Przejrzał koszule i kupił dwie nowe. Uważał, że zachowuje się śmiesznie, jak nastolatek. Ubierając się przed kolacją, po raz pierwszy od lat przyjrzał się uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Postarzał się: pasma siwizny srebrzyły się na skroniach, z kącików ust opadały głębokie zmarszczki. Stary, zaniedbany i wycofany ze świata. Jaki pożytek może mieć z niego kobieta taka jak Juliet Winterton?

W drodze do restauracji rozmowa co rusz zamierała. Może powinien był znaleźć coś bliżej domu: podróż obnażyła to, że zupełnie nic o sobie nie wiedzieli. Miał nadzieję, że drink rozwiąże im języki. Juliet skomplementowała jego samochód; nie powiedział jej, że kupił go specjalnie na tę okazję, ponieważ zabrzmiałoby to nieracjonalnie, przesadnie.

Restauracja była sztywnym, oficjalnym lokalem na obrzeżach: białe obrusy, srebrne sztućce, wysokie okna z widokiem na taras i prostokątny staw. Juliet poszła się odświeżyć, Joe strzepnął pyłek z mankietu, przejrzał menu.

Kiedy wróciła do stolika, wstał. Wcześniej zdjęła żakiet, pod którym miała sukienkę z lśniącego materiału w tym samym ciemnym odcieniu złota co jej włosy. Kelner odsunął dla niej krzesło i usiedli.

– Wyglądasz pięknie – powiedział Joe.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem.

– Nie mam pojęcia, jaki jest ten lokal. Byłaś tu wcześniej?

– Niestety nie. Minęły wieki, odkąd jadłam kolację na mieście. – Pochyliła głowę, nieznacznie marszcząc czoło. – Wyszłam z wprawy.

– Podejrzewam, że nie do tego stopnia co ja.

– Możemy razem przez to przebrnąć, prawda?

Pomyślał, że ją lubi, że go pociąga i bardzo ją lubi.

– Napijemy się wina?

– Z przyjemnością.

To była restauracja, w której nazwy potraw podawano po francusku; kiedy Juliet je czytała, Joe stwierdził, że ma doskonały akcent. Złożyli zamówienie i po wielu teatralnych gestach kelner nalał wino.

Stuknęli się kieliszkami.

– Za wspólne brnięcie – powiedziała.

Joe powtórzył toast.

Rozmawiali o wsi, o długich spacerach, o książkach. Juliet opowiedziała o letnich koncertach na cele charytatywne, Joe o corocznych wyjazdach na koncerty Proms, na które chodził z żoną swojego przyjaciela Roya, Paddy, ponieważ Roy nie lubił muzyki i nie widział w niej sensu. Patrząc na Juliet, notował w myślach to, jak włosy spadają jej na ramiona, plamki zieleni w oczach, elegancję każdego ruchu: obrót dłoni ilustrujący sens zdania, odchylenie głowy, gdy się śmiała.

Potem odwiózł ją do Marsh Court. Okna domu były ciemne. Nie podobało mu się, że oprócz niej nikogo nie ma w tym wielkim pustym domu. Nie podobało mu się, że może jest samotna. Zdawał sobie sprawę, że zaczyna ją kochać. Dziwna rzecz: od tak dawna sądził, że miłość już nie jest dla niego.

Pocałowała go w policzek.

– Cudownie się bawiłam, Joe. Bardzo ci dziękuję.

Poczekał, aż zamknie za sobą drzwi, i pojechał do siebie. Wiszący wysoko na niebie półksiężyc rzucał poświatę na pola, nowy samochód gładko sunął po zakrętach i wybojach drogi prowadzącej do Greensea.

Kiedy w domu nalał sobie brandy i zdjął krawat, jego wzrok powędrował do fotografii Molly na kredensie. W dniach i tygodniach po jej śmierci co wieczór zabierał do łóżka jakieś jej ubranie. Ale zapach wietrzał i w końcu poprosił Paddy, żeby pomogła mu opróżnić szafy. Z każdym kolejnym rokiem tracił cząstki Molly. Jednego dnia uświadomił sobie, że nie potrafi sobie przypomnieć odgłosu jej kroków, następnego odkrywał, że zapomniał, jakie piosenki lubiła śpiewać przy zmywaniu.

Pamięć kradnie to, co dla nas najcenniejsze. Uczucie do Juliet Winterton będzie jak ponowne złożenie Molly do trumny. Tego odgłosu Joe nie zapomniał – ziemi spadającej na wieko.

W pierwszym dniu w nowej pracy w Wydziale Gospodarki Wodnej w Finsbury Charley przewróciła filiżankę z herbatą, kiedy zbierała listy, żeby odnieść je do sekretariatu. Herbata rozlała się po blacie, tworząc jasnobrązową powódź.

Młody mężczyzna przy sąsiednim biurku skoczył jej na pomoc. Charley gorączkowo ratowała dokumenty, on wycierał plamę swoją chusteczką do nosa.

– Najlepiej rozłożyć je na grzejniku – poradził. – Szybko wyschną. Będą jak nowe.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Jest pani nowa, tak?

– To mój pierwszy dzień. – Charley się skrzywiła. – Pewnie też ostatni.

Ponieważ do jej obowiązków nawet po wpadce z herbatą nadal należało zbieranie poczty, widywała go codziennie. Zawsze się do niej uśmiechał, częstował ją cukierkiem.

Pewnego dnia rano powiedział:

– Wczoraj mi pani brakowało.

– Wzięłam wolne. Poszłam do sądu Old Bailey.

Uniósł brwi.

– Musiałam zebrać materiały – wyjaśniła. – Piszę sztukę sądową i chciałam zobaczyć, jak wygląda rozprawa.

– Kto ją wystawi?

Spodobało jej się to pytanie – najwyraźniej nie uważał, że to hobby, rozrywka w wolnym czasie.

– Moja grupa teatralna w przyszłym roku, o ile oczywiście skończę na czas.

W następnym tygodniu to jego nie było przez dwa dni. Kiedy wrócił, Charley zapytała:

– Miał pan urlop?

– Żona zachorowała i musiałem opiekować się synkiem.

Mężczyzna w granatowym garniturze w paski, przeciągając słowa, powiedział:

– Panie Renfrew, skoro ma pan czas na pogawędki, to może będzie pan tak dobry i poda mi te obliczenia.

– Tak, panie Fielding, są prawie gotowe. – Zniżył głos, zwracając się do Charley: – Jada pani lunch w stołówce?

– Owszem, często. Około pierwszej.

Metropolitalny Wydział Gospodarki Wodnej mieścił się w wielkim czerwonym budynku, dość imponującym. Fasety i rzeźbione sufity dziwnie kontrastowały z poobijanymi metalowymi stołami i krzesłami.

O pierwszej Charley zeszła do stołówki. Idąc z tacą od kontuaru, dostrzegła Renfrew, który jadł kanapki z opakowania z pergaminu.

– Zająłem miejsce dla pani – powiedział.

– Dziękuję, panie Renfrew.

– Jestem Daniel.

– A ja Charlotte. Po prostu Charley. Mam nadzieję, że rano nie wpakowałam cię w kłopoty.

Pokręcił głową.

– Fielding się mnie czepia, bo wziąłem wolne, to wszystko. Jak idzie praca nad sztuką?

– Wolno. – Do wizyty w Old Bailey doświadczenia Charley z salami sądowymi ograniczały się do serialu o Perrym Masonie. W Old Bailey

było zupełnie inaczej, przez większość czasu nudnie, chociaż czasami smutno. Życie tych ludzi było smutne.

– Żona czuje się lepiej?

– Poprawia się jej, dziękuję. Pomaga nam teściowa. Zwykle to ona opiekuje się Simonem, kiedy Jeannette jest chora, ale w zeszłym tygodniu musiała wyjechać. Próbowałem mu załatwić dodatkowe dni w przedszkolu, nie udało się. Fielding to sarkastyczny drań, najwyraźniej uważa, że nie potrafię właściwie zorganizować spraw w domu.

Mówił bardziej ze znużeniem niż ze złością. Charley zastanawiała się, z jakiego powodu jego żona tak często choruje, ale nie znała go na tyle dobrze, by o to zapytać.

– Podoba ci się praca tutaj? – zapytał Daniel.

– Jest w porządku.

Pomyślała, że ma miły uśmiech, rozjaśniający jego orzechowe oczy, ptasie i przenikliwe.

– Jak rozumiem, nie zamierzasz spędzić reszty życia, pracując w Metropolitalnym Wydziale Gospodarki Wodnej?

– Pewnie nie – odparła Charley.

– Nie dostarczamy tematu do sztuki, co?

– Nie, potrzebowałam pracy. Chociaż nigdy nie wiadomo.

– Morderstwo w magazynku materiałów biurowych… romans nad wózkiem z herbatą. – Rzucił na nią spojrzenie. – Wcale nie żartuję, Charley.

– Wiem, że nie.

– W szkole uwielbiałem lekcje angielskiego.

– Często chodzisz do teatru?

– Teraz nie.

– Idę po kawę. Chciałbyś?

– Nie, dziękuję. Mam termos.

– Kit kata?

– Dziękuję, ale też nie.

Mimo to kupiła kit kata i poczęstowała go kawałkiem.

Przez następne tygodnie często razem jadali lunch. Daniel był zabawny, inteligentny i spostrzegawczy, i bardzo go lubiła. Drobny i przeciętnego wzrostu, miał szerokie kości policzkowe i wąską brodę,

co nadawało mu wygląd wesołego sprytnego elfa. Charley przyjemność sprawiało rozbawianie go, patrzenie na jego uśmiech. Gęste brązowe włosy spadały mu na czoło; jego przełożony Fielding lubił powtarzać, swoim zwyczajem ironicznie przeciągając słowa: „Gdyby był pan członkiem Beatlesów, panie Renfrew, to owszem, ale nie w biurze". Chociaż oboje wyśmiewali się z co bardziej uciążliwych ludzi w Wydziale Gospodarki Wodnej, zwłaszcza z Fieldinga, Charley wyczuwała, że Daniel poważnie traktuje swoją pracę i wykonuje ją dobrze.

Po pewnym czasie oświeciło ją (poczuła się jak idiotka, nie uświadamiając sobie tego wcześniej), że Daniel jest w trudnej sytuacji. Chora żona, mały synek. Ponieważ czuł się zobowiązany rewanżować się jej za kit katy, powiedziała mu, że jest na diecie i już nie je batoników.

Daniel pracował w Wydziale Gospodarki Wodnej od pięciu lat. Mieszkał z rodziną w Islington, jego synek Simon miał pięć lat. Minęło trochę czasu, nim Charley poczuła, że są na tyle blisko, żeby go zapytać o zdrowie żony.

Po pracy szli na przystanek autobusowy.

– To rodzaj reumatyzmu – wyjaśnił. – Zaczęło się po narodzinach Simona. Wcześniej była zdrowa jak rydz. Ataki pojawiają się i mijają.

– Okropne – odparła Charley. – To musi być dla niej straszne.

– Stawy puchną i ją bolą. Kiedy jest naprawdę źle, nie jest w stanie wziąć Simona na ręce, gotować ani nic. Lekarze niewiele mogą poradzić, przepisują jej tylko aspirynę. – Uniósł brwi, które wyglądały jak spiczaste chińskie kapelusze nad jego skośnymi oczami. – Najgorsze jest to, że nie umie cieszyć się dzieckiem. Nie znosi myśli, że nie może zaopiekować się Simonem.

– Och, Danielu. – Charley na pocieszenie go uściskała, potem przyjechał jego autobus.

Ponaglana wyrzutami sumienia i świadomością, że jej samej szczęście sprzyja, Charley postanowiła odwiedzić Anne. W metrze do Kensington napisała kilka linijek dialogu do swojej sztuki, ale brzmiały sztucznie, zgniotła więc kartkę i w drodze ze stacji wrzuciła ją do kosza.

Drzwi otworzyła jej Anne. Płacz dziecka przybierał na sile, gdy wchodziły po schodach. Mieszkanie było wielkie i pretensjonalne: można zaufać Piersowi, pomyślała Charley, że wybierze coś tak okropnego. Gipsowe gzymsy pod sufitem pokrywał kurz, kominek w salonie z różowego kamienia wyglądał jak mielonka. Był zimny, mglisty jesienny dzień i Anne włączyła grzejnik elektryczny.

Wyjęła czerwonego jak burak Eddiego z wózka.

– Hej, skarbie – powiedziała łagodnie.

– Jest głodny?

– Nie może być, właśnie go nakarmiłam. Napijesz się kawy?

– Zaparzę, jeśli chcesz.

– Nie będziesz wiedziała, jak obsłużyć ekspres.

W głosie Anne brzmiała rezygnacja, nie krytycyzm, co sprawiło, że Charley poczuła się bezużyteczna, zaproponowała więc, że potrzyma Eddiego.

– Dzisiaj jest trochę marudny – odparła Anne, ale podała dziecko Charley.

Eddie skrzywił buzię, przygotowując się do płaczu. Charley oparła go sobie o ramię i tanecznym krokiem obeszła pokój. Wyglądało na to, że chłopczyk lubi patrzeć w okno, dlatego stojąc plecami do parapetu, kołysała się, dopóki Anne nie przyniosła kawy.

– Zasnął?

– Chyba tak. – Główka Eddiego opierała się ciężko o jej ramię. Charley musnęła policzkiem jego miękkie jak puch włoski.

– Dzięki Bogu. – Anne usiadła, zamknęła oczy i przycisnęła palce do twarzy. Nie miała makijażu, na sukience widniała smuga dziecięcych wymiotów. Przed zajściem w ciążę zawsze była irytująco zadbana, ale to już należało do przeszłości. W towarzystwie bratowej Charley odczuwała głównie nudę i wyrzuty sumienia. Dzisiaj dodatkowo było jej żal Anne.

– Mogłabym opiekować się Eddiem – zaproponowała – jeśli chcielibyście z Piersem gdzieś pójść. – Kiedy Anne milczała, dodała: – Wiem, co robić z niemowlętami. Czasami opiekuję się Eliotem.

– Nie w tym rzecz – odparła Anne. – To nie jest problem w znalezieniu opiekunki. – Nalała kawę do filiżanek. – Piers rzadko wraca do domu przed dziewiątą, czasem dopiero o dziesiątej,

a wtedy padam z nóg i nie jestem w stanie ruszyć palcem. Niekiedy Louise przychodzi późnym popołudniem, żebym mogła wyjść sama.

Charley zdenerwowała się, że Louise jej o tym nie wspomniała.

– Aha. No, w każdym razie masz moją ofertę. – Zdawała sobie sprawę, że nie zabrzmiało to miło.

– Skoro zasnął, powinien leżeć w wózku – powiedziała Anne. – Staram się go odzwyczaić od zasypiania tylko wtedy, kiedy jest na rękach.

Charley położyła Eddiego i okryła go kocykiem.

– Piers dużo pracuje?

– Nie spocznie, dopóki nie będzie lepszy od wszystkich jubilerów w Londynie, zwłaszcza oczywiście od Wintertona – odparła Anne apatycznie. W jej głosie nie było rozbawienia ani uczucia, choć Charley wychwyciła w nim nutkę gniewu. Szukała w myślach jakiegoś tematu, ale Anne ją uprzedziła.

– Pamiętasz tę kolację w Marsh Court, kiedy Piers powiedział rodzinie o naszym ślubie?

Wszystkie zmysły Charley się wyostrzyły. Jasne, że pamiętała. Mogłaby słowo w słowo powtórzyć rozmowę z tamtego wieczoru. To irytujące, jak trudno zapomnieć okropne rzeczy, takie na przykład, że Nate był na nią zły, podczas gdy miłe wylatują jej z głowy zaraz po tym, jak się wydarzyły. Miała nadzieję, że Anne zapomniała o tamtym wieczorze, ale teraz widziała, jaka była naiwna i jak bardzo nastawiona na uspokojenie własnego sumienia.

– Tak – odparła ostrożnie.

– Powiedziałaś wtedy, że Piers ożenił się ze mną tylko po to, żeby dokuczyć Aidanowi. Dlaczego?

Charley milczała. Żałowała, że tu przyszła. Pragnęła, żeby Eddie się obudził i znowu zaczął płakać.

– Charley, tylko odpowiedz. – Anne roześmiała się krótko. – O nic cię nie obwiniam.

– Nie powinnam była tego mówić. Zachowałam się strasznie i bardzo przepraszam. Byłam w złym nastroju i tak po prostu wyszło. Wcale tak nie myślałam. – Co było żałosne i nawet nie do końca prawdziwe. Wyczuwała, że Anne za nią nie przepada; wbrew rozsądkowi miała jej to za złe.

– A ja uważam, że myślałaś – powiedziała Anne cicho.

– No, wtedy tak, ale się myliłam.

– Czy Aidan się we mnie kochał?

Charley pokręciła głową.

– Nie wiem.

Anne miała spuszczony wzrok.

– Ciągle o tym myślę. Ciągle się zastanawiam, czy Piers coś takiego by zrobił? Na pewno nie.

Powiedz coś, nakazała sobie Charley z gniewem, nie siedź jak manekin.

– Anne, Piers kocha ciebie i Eddiego. Bardzo kocha.

Anne na nią spojrzała. Minę miała posępną.

– Więc dlaczego nigdy go tu nie ma?

– Piers zawsze taki był. Wpada w obsesję na punkcie różnych rzeczy i nie widzi nic poza tym.

To jednak nie pomogło.

– Nie widzi syna? Nie widzi mnie?

Charley nie przychodziło nic więcej do głowy, a to, co już powiedziała, tylko sprawę pogorszyło. Anne najwyraźniej się opanowała. Zapytała Charley o pracę, a ta w odpowiedzi coś wykrztusiła. Rozmowa znowu zamarła. Dziesięć minut później Charley wyszła. Idąc do domu, żałowała, że nie jest mężczyzną i nie może wpaść do pubu na dżin, ale brakowało jej zimnej krwi, żeby zrobić to w pojedynkę. Bardzo się wstydziła i w domu z ulgą odkryła, że Gabe i Louise wyszły.

Rano wstała późno i ostatnia zostawiła w kuchni miskę po płatkach i okruchy grzanki. Zwykle zakładała, że Louise albo Gabe posprzątają później (obie miały zamiłowanie do porządku), teraz jednak pojęła, że to także było wstrętne. Naprawdę, obecnie nie darzyła samej siebie zbyt wielką sympatią. Może bałaganiarstwo i niechlujstwo nie są do tego stopnia pociągającymi cechami, jak z taką łatwością i wygodnie zakładała. Żałowała, że nie może wymazać rozmowy z Anne, zwłaszcza ostatnich dziesięciu minut niemal kompletnego milczenia. Z zakamarka pamięci, w którym upychała rzeczy nieprzyjemne, odezwał się inny głos, głos Christina Frasera

mówiącego: „Ty naprawdę musisz dorosnąć, wiesz o tym?”. Myjąc naczynia w zlewie, pomyślała, że przypuszczalnie miał rację.

Kilka dni później zwierzyła się Danielowi. Z kimś musiała o tym porozmawiać. Pękłaby z pogardy do siebie i żalu, gdyby zatrzymała to dla siebie, a Daniel był wyrozumiały i nie należał do rodziny.

Pokrótce opowiedziała o śmierci ojca, kłótni Piersa i Aidana, swojej antypatii do Anne.

– Dlaczego jej nie lubisz? – zapytał.

Kiedyś Nate zadał jej to samo pytanie. Była pora lunchu, siedzieli w stołówce. Łaknąc pociechy dawanej przez czekoladę, kupiła kit kata, oderwała paluszek i podała Danielowi.

– Bo Piers spędzał cały czas z nią i zupełnie nie zwracał na mnie uwagi. A ona zawsze była doskonała w każdym calu.

– Dlaczego to ci przeszkadzało?

– Bo ja wcale nie jestem doskonała! – Z oczu trysnęły jej łzy.

– A ja myślę, że jesteś.

Tak ją to zaskoczyło, że oczy jej obeschły.

– Nieprawda – odparła kłótliwie. – Ani trochę.

– Jesteś zabawna, mądra, miła. I piękna.

Teraz mówił głupstwa.

– Danielu, to nieprawda – oznajmiła stanowczo. – Jestem niska i tłusta. Nie powinnam tego jeść. – Pchnęła ostatni paluszek w jego stronę i westchnęła. – Muszę to naprawić.

– Może ci się nie udać.

– Muszę.

– Charley, nie wszystko da się naprawić.

Opowiedział jej, że poznał Jeannette w szóstej klasie szkoły podstawowej. Umawiali się na randki od pięciu miesięcy, kiedy się okazało, że Jeannette jest w ciąży. Pobrali się po sześciu tygodniach. Oboje mieli po osiemnaście lat.

– Zamierzałem iść na uniwersytet, a Jeannette chciała zostać pielęgniarką. Nawet nie zdaliśmy matury. Zamiast tego pobraliśmy się i urodził się Simon. Ale nie narzekam, on to najwspanialsza rzecz, jaka mi się przydarzyła. Tylko że nigdy nie będę studiował i może do końca życia będę tu pracował. Nie da się cofnąć czasu.

– Mógłbyś studiować wieczorowo.

– Może kiedyś. Teraz wieczorami kąpię Simona, kładę go do łóżka, potem przygotowuję kolację i zajmuję się domem. Bo wiesz, Jeannette niewiele daje radę zrobić. Gramy w scrabble'a albo oglądamy telewizję i jeśli Jeannette czuje się źle, pomagam jej przygotować się do snu. Próbuję czytać w łóżku, ale najczęściej zasypiam po kilku stronach.

Charley gorąco mu współczuła, ale nie wierzyła, że ma rację. Była przekonana, że uda jej się znaleźć sposób na naprawienie sytuacji. W weekend pojechała do Marsh Court. Mama malowała hol, zmieniając zszarzały brąz, z którym Charley się wychowała i który kochała, na jasną żółć. Charley jej pomogła. Stojąc na drabinie i pokrywając emulsją blade, nieco upiorne prostokąty po zdjętych obrazach, wpadła na pomysł. Porozmawia z Piersem.

Po wielu telefonach i licznych wiadomościach w końcu w czwartkowy wieczór szła na spotkanie z bratem do pubu przy King's Road.

Kiedy siadała obok niego przy barze, Piers oznajmił, że ma dziesięć minut. Zamówił dla niej dżin z tonikiem. Stało się coś? Chodzi o mamę?

– Mama czuje się świetnie. Odnawia dom.

– Dobry Boże. – Uniósł brwi. – To powinno zapewnić jej zajęcie na następną dekadę.

– Właściwie to chciałam porozmawiać z tobą o Anne.

– O Anne? – Wyjął paczkę rothmanów, wysunął papierosa. – Zapalisz?

– Nie, dziękuję. Nie wydaje mi się, żeby była szczęśliwa, Piers.

– Jest zmęczona, to wszystko. Dziecko… – odparł niejasno.

– Nie chodzi tylko o dziecko. – Nie umiała znaleźć sposobu na powiedzenie tego taktownie, a poza tym zaczynał ją irytować, oznajmiła więc wprost: – Chodzi o ciebie. Może powinieneś czasami wracać wcześniej do domu.

– Może nie powinnaś wtykać nosa w moje sprawy.

Denerwowała się, widząc jego minę. Zawsze umiał wywołać w niej poczucie, że jest małą, głupią, nic nieznaczącą młodszą siostrą.

– Piers, ona jest w fatalnym nastroju.

– Odwiedzasz ją… Jak często?

Zarumieniła się.

– Nie wiem… raz na trzy, cztery tygodnie.

– I to czyni cię ekspertką od samopoczucia mojej żony?

– Nie chciałam…

– Trafiłaś na jej zły dzień, i tyle. Anne wie, że muszę rozkręcić firmę. Rozumie to.

Charley rozejrzała się po pubie. Przenosiła wzrok z jednej pary na drugą: niektóre wyglądały na radosne, inne na znudzone, kilka najwyraźniej przyszło się pokłócić.

– Ona jest samotna, Piers. Eddie jest uroczy, ale wymaga ciężkiej pracy.

– Anne ci to powiedziała?

– Nie – przyznała.

– Nie wtrącaj się, Charley. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. – Mierząc ją zimnym spojrzeniem, zgasił papierosa. – Naprawdę nie masz pojęcia.

Kiedy wróciła do domu, Louise i Josh oglądali serial *Z-Cars*. Josh przyniósł pudełko maltesersów, Charley zjadła kilka, rozmyślając o słowach Daniela, że nie wszystko da się naprawić. Zdawała sobie sprawę, że mówił o sobie. Powiedział, że syn to najlepsza rzecz, jaka mu się w życiu zdarzyła, ale Jeannette tak nie określił. Musieli się pobrać, ponieważ dziecko było w drodze, niewykluczone jednak, że wcale jej nie kochał.

A jeśli chodzi o Piersa, to przypuszczalnie miał rację. Jego małżeństwo to nie jej sprawa, mimo to Charley czuła się odpowiedzialna, okropnie odpowiedzialna. „Ciągle o tym myślę", powiedziała Anne. To, co Charley wykrzyczała przy kolacji w Marsh Court, teraz dręczyło Anne. Charley oddałaby niemal wszystko, żeby to cofnąć.

Poszła na górę i wyjęła rękopis sztuki. Siedziała nad nim do wczesnego ranka, wyrzucając fragmenty tekstu i skreślając wszystko, co wydawało jej się słabe albo nieprawdziwe, szukając w sercu sposobu na przekazanie myśli i uczuć. Dowiedziała się, że słowa są ważne. Niosą konsekwencje. Trzeba znaleźć właściwe.

Rozdział trzynasty

Październik–grudzień 1965 roku

Joe mówił, że jesteś nauczycielką, Juliet – powiedziała Paddy.

Byli w Greensea, w pokoju z wysokimi oknami i spłowiałymi perkalowymi sofami. Kilka dni wcześniej Joe powiedział, że chciałby, żeby poznała jego najbliższych przyjaciół.

Roy i Paddy – Patricia – prowadzili organizację charytatywną, która urządzała dla chłopców ze slumsów obozy na wsi. Paddy była mniej więcej w wieku Juliet, drobna, ciemnowłosa i tryskała energią. Roy, typowy mieszkaniec hrabstwa Yorkshire, silnie zbudowany brodacz w okularach, miał siwiejące jasne włosy. Przeglądał książki na półkach.

– Uczę plastyki w szkole dla chłopców w Maldon – odparła Juliet.

Roy spojrzał na nią.

– Państwowej czy prywatnej?

Joe podał Juliet kieliszek sherry. Podziękowała mu i zwróciła się do Roya:

– Prywatnej, ale co roku przyjmujemy kilku chłopców, którzy dostają stypendium.

– Stypendia – powtórzył Roy lekceważąco. – Dla bystrych i zdolnych, tak? Nie dla tych, którym najbardziej potrzebne przyzwoite wykształcenie.

– Nie sądzę, żeby Juliet wybierała tych chłopców – wtrącił Joe, podając Royowi piwo.

– Nie mam prawa głosu – wyjaśniła Juliet. – Nie jestem na etacie, mam tylko kilka godzin. Dostałam tę pracę, kiedy poprzedni nauczyciel musiał nagle odejść. Dyrektorka wiedziała, że trochę

rysuję, ponieważ pomagałam robić scenografię do jasełek, kiedy mój syn chodził do przedszkola.

– Więc twój syn odebrał prywatne wykształcenie?

– Córka także.

– To świetnie dla nich obojga – oznajmił Roy takim tonem, jakby coś udowodnił.

– Przecież ludzie mają prawo wybierać dla dzieci to, co dla nich najlepsze, prawda?

– A jeśli to prawo wpływa na wybór innych ludzi?

– Przestań ją maglować, Roy – zawołał Joe przez ramię, otwierając kolejne piwo.

– Przepraszam. – Roy uśmiechnął się. – To jeden z moich koników.

– Problem z Royem polega na tym, że jest beznadziejnym idealistą – stwierdziła Paddy, przyjmując od Joego szklankę. – Znasz biedną Juliet dopiero od pięciu minut, skarbie. Trochę za wcześnie na oskarżanie jej o poczucie, że ma prawo do przywilejów.

– Wykształcenie jest kluczem do dobrobytu społeczeństwa. Chciałbym, żeby dostęp do niego był sprawiedliwszy, to wszystko. Mogę pożyczyć, Joe? – Roy wybrał powieść Isaaca Asimova w miękkiej oprawie.

– Jasne.

Roy usadowił się w fotelu.

– Niektórzy z naszych chłopców dorastali, nie mając w domu ani jednej książki. Spróbuj to sobie wyobrazić, jeśli potrafisz, Juliet. Kiedy ja byłem mały, potykaliśmy się o nie.

– W czasie wojny brakowało mi nowych książek – powiedziała Juliet. – Postanowiłam więc, że przeczytam wszystko, co jest w bibliotece Marsh Court. Ale nie dałam rady. Wojna się skończyła, zanim dotarłam do ostatniej półki. Przebrnęłam jednak przez *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego* i jestem z tego dumna.

– Dobry Boże – westchnęła Paddy. – Mnie nie udało się wyjść poza pierwszy rozdział.

Joe usiadł na sofie obok Juliet.

– Do Afryki zabrałem ze sobą tomik wierszy Andrew Marvella. Drobnym drukiem, bo musiał się zmieścić w plecaku.

– Joe, ty stary romantyku – skomentowała Paddy, po czym zacytowała: – „Słodkie wonne kiście na ustach moich miażdżą się soczyście”[1].

Ojciec i jego książki były stałymi punktami dzieciństwa, w którym brakowało stabilizacji, pomyślała Juliet. Bohaterów powieści traktowała jak przyjaciół, ich domy jak sąsiedztwo. Wróciło do niej wspomnienie z początku małżeństwa: w salonie w Marsh Court obserwowała tańczących Helen i Jonny’ego. Łatwość i swoboda, z jakimi się do siebie odnosili, pokazywały, czego brakuje w jej małżeństwie z Henrym. Zadawała sobie wtedy pytanie, czy udany związek to kwestia szczęścia, czy też trzeba być odpowiednią osobą, żeby taki był. Nie wyobrażała sobie domu bez książek, ale nie potrafiła także sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy oboje małżonkowie bardzo się kochają.

Pragnęła, by ten wieczór przebiegł miło. Pragnęła, by przyjaciele Joego polubili ją, i pragnęła ich lubić. Była świadoma obecności Joego tuż koło siebie. Jak łatwo byłoby przesunąć palce o kilka centymetrów i położyć je na jego ramieniu. Marzyła, żeby się odwrócił, wziął jej rękę i przycisnął do swojego policzka.

Od kolacji w Colchester minęło dwa i pół miesiąca. Chociaż od tamtego czasu chodzili razem na spacery i kilka razy wybrali się do restauracji, Juliet nadal nie wiedziała, co Joe o niej myśli. Była przekonana, że ją lubi, istniała jednak możliwość, że szuka towarzystwa, nie miłości. Nie potrafiła stwierdzić, czy swojej zdolności do pokochania kobiety nie pogrzebał razem z żoną. A jeśli tak, czy przyjaźń jej wystarczy? Wiedziała, że nie.

Joe poszedł sprawdzić przygotowania do kolacji. Kiedy wrócił, Paddy zapytała go o Neville’a.

– Ma pracę w teatrze. Trzymam za niego kciuki.

– Jemu to się przyda – powiedział Roy.

– Wyjdzie na prostą – odparł Joe.

Roy prychnął z niedowierzaniem.

– Piękna suknia – zauważyła Paddy.

– Ta? – Juliet była ubrana w prostą sukienkę z czarnego jedwabiu od Hardy’ego Amiesa. – Jedna z moich ulubionych. Mam ją od lat.

– I naszyjnik… taki śliczny.

Juliet dobrała do sukienki brylantowe kolczyki i takiż naszyjnik.

– Mój zmarły mąż był jubilerem – wyjaśniła – więc jestem rozpieszczona. Mam mnóstwo ślicznych rzeczy.

Już wcześniej sobie uświadomiła, że za bardzo się wystroiła. Roy miał na sobie kraciastą koszulę i sztruksowe spodnie, Paddy kraciastą spódnicę do kolan i robiony na drutach sweter. Joe wyglądał przystojnie w ciemnym garniturze i białej koszuli.

Kiedy oznajmił, że kolacja jest gotowa, przeszli do jadalni. Przy zupie rozmawiali o sytuacji politycznej w Rodezji i Afryce Południowej.

– U nas oczywiście są równie silne podziały, tylko że wynikają nie z polityki, ale z przynależności do klas społecznych – powiedział Roy.

– Nie jestem pewien, czy można porównywać nasz system klasowy z apartheidem. – Joe częstował gości chlebem.

– Dostrzeżesz mnóstwo podobieństw, kiedy dobrze się przyjrzysz.

– System klasowy nie jest definiowany przez prawo.

– Brednie. Opowiadasz brednie, Joe.

– Roy – ostrzegawczo wtrąciła się Paddy.

– My po prostu robimy to inaczej. Z większą subtelnością.

– Ludzie nie lądują w więzieniu z powodu systemu klasowego – zauważyła Juliet.

– Jesteś tego pewna? – Roy podał liczby dowodzące, że w więzieniach jest nieproporcjonalnie więcej przedstawicieli klasy robotniczej. – Ten kraj jest tak samo podzielony jak Afryka Południowa – zakończył.

Juliet złapała wzrok Joego. Uśmiechnął się porozumiewawczo. W uśmiechu była też sympatia i coś więcej; serce przeszył jej dreszcz radości. Chociaż wokół niej trwała burzliwa dyskusja, Juliet nie brała w niej aktywnego udziału. W tamtej chwili coś się zmieniło. Wszystkie jej wątpliwości zniknęły, ich miejsce zajęły nadzieja i optymizm.

Pozostałą część wieczoru musiała jakoś przetrwać: było miło, ale wiedziała, że to tylko odwleka rozmowę, którą później przeprowadzą. Słowa Roya – „mnóstwo domów nadal ma wejścia dla służby… w tym kraju najważniejsze jest znać swoje miejsce” – czasami

przebijały się przez mgiełkę szczęścia, ale zaraz wracała do istoty tego wieczoru, do iskry zrozumienia i pożądania w oczach Joego. Czy była gotowa znowu pokochać, jeśli rzeczywiście coś do niej czuł? Zdawała sobie sprawę, że oboje boją się zranienia. Joe Brandon wydawał się dobrym człowiekiem – ale czy tak samo nie myślała o Gillisie? Teraz pojęła, że przez ostatnie tygodnie wyczekiwała, że Joe ujawni jakiś defekt. Okaże się apodyktyczny jak Henry albo niewierny jak Gillis.

Nie, Joe był inny. Teraz znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest o wiele lepszy, że odznacza się bezwzględną prawością, której nie miał Gillis, i życzliwością całkowicie obcą Henry'emu.

– Nie jesteśmy małżeństwem – powiedziała Paddy. – Roy i ja nie wierzymy w małżeństwo. Co nie znaczy, że potępiamy ludzi, którzy je zawierają. Nam po prostu nie odpowiada.

– Sąsiedzi tego nie pochwalają – dodał Roy.

– Toast. – Joe wzniósł szklankę. – Za potrząśnięcie burżujami.

A jeśli – znowu to jeśli – oboje zburzą mury, za którymi się schronili, co wtedy? Czy Juliet zniosłaby zaloty, nieobecności, kłótnie i godzenie się, wszystkie te nieuniknione rekwizyty miłości? Czy nie prostsze byłoby życie, które jak wcześniej sądziła, jest jej pisane, rezygnacja ze związku, czerpanie satysfakcji z pracy, dzieci i malutkiego wnuka?

– Powinieneś zrobić sobie wolne, Roy – powiedział Joe. – Wyjechać na trochę.

– Ja? A co z tobą, Joe? Kiedy ostatnio miałeś urlop?

– Wiesz dobrze, że rolnicy nie mają urlopów.

Paddy wzięła Roya za rękę i opowiedziała o planowanym tygodniu w Peak District, a spojrzenie Joego po raz kolejny spoczęło na Juliet.

– Po co mi wakacje? Mam tu wszystko, czego potrzebuję – powiedział.

Poczucie spokoju i pewności otuliło ją niczym mgła spowijająca mokradła. Musiała tylko cierpliwie poczekać, a przekona się, co przyniesie przyszłość. Na niektóre rzeczy warto czekać.

Wieczór dobiegł końca. Roy i Paddy wracali do Londynu; pożegnali się i Joe z progu im pomachał.

Wcześniej nalegał, że sam przywiezie i odwiezie Juliet.

– W ciemne jesienne wieczory te wiejskie drogi bywają zdradzieckie – odparł, kiedy protestowała, że nie ma takiej potrzeby, bo przecież może wziąć swój samochód.

Kiedy wyjeżdżali z Greensea, podmuchy gwałtownego wiatru zrywały liście z drzew, w świetle reflektorów wirowały poszarpane czarne kształty.

– Roy to porządny gość, ale na dłuższą metę nie umie oderwać się od polityki. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadzało.

– Polubiłam go. I Paddy też, bardzo. Przez dwadzieścia pięć lat byłam żoną Henry'ego, przywykłam do nieporozumień.

Joe przepuścił samochód i wjechał na skrzyżowanie. Juliet spojrzała na jego profil: zdecydowana linia brody, prosty nos, wysokie czoło.

– Pewnego dnia opowiem ci o Henrym – dodała. – Ale jeszcze nie teraz. Miło spędziłam wieczór, Joe, i nie chcę go psuć. Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

Księżyc w pełni rzucał bladą poświatę na pola i żywopłoty. Płomykówka zanurkowała i muskając trawę, badała swoje terytorium. Juliet chciałaby, żeby ta podróż trwała dłużej, a równocześnie pragnęła, żeby się zakończyła, bo wtedy spojrzenia i wymiany zdań z całego wieczoru osiągną naturalne zwieńczenie.

Joe skręcił na drogę prowadzącą do Marsh Court. Zaparkował przed domem, wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera.

A potem wziął ją w ramiona i łagodnie pocałował. Jego usta były ciepłe i suche, zadawały pytania. Odpowiedziała na pocałunki i poczuła jego palce naciskające na jej kręgosłup.

Po chwili odsunęli się od siebie i powiedziała:

– Nie byłam pewna, co o mnie myślisz.

– Myślę, że jesteś onieśmielającą kobietą.

– „Onieśmielająca" brzmi tak fatalnie jak „hetera".

– Nie całuję heter.

Pocałowali się znowu, tym razem rozchylając wargi, mocno się do siebie tuląc. Juliet pomyślała, że musi być ostrożna, w przeszłości popełniła tyle błędów, nie powinni tak się śpieszyć. Wszystkie

zastrzeżenia jednak uleciały, nic nie znacząc w porównaniu z jej pragnieniem.

– Wejdź – powiedziała.

Wsunęła klucz do zamka. W domu poszli na piętro. W pokoju, który niegdyś dzieliła z Henrym, Joe rozsunął zamek błyskawiczny jej sukienki z czarnego jedwabiu. Halka, pończochy, stanik – wszystko po kolei z niej zdejmował. Ona niezgrabnie odpinała guziki jego koszuli i pasek. Na łóżku zarzuconym ich ubraniami otworzyła się przed nim i jęknęła z rozkoszy, kiedy go w sobie poczuła.

Później leżeli obok siebie. Nie zapalili lampy ani nie zaciągnęli zasłon i poświata księżyca oblewała fragmenty ich splecionych ciał, tworząc mozaikę czarno-srebrnych plam. Całował ją, pieścił każdy skrawek jej skóry, poznawał piersi i uda. Zimne powietrze, księżyc i jego skóra smakująca solą, cytrynami i zimnym dworem. Znowu się z nią kochał, a ona się w nim zatraciła, zapomniała, kim jest, gdzie jest, świadoma jedynie głębokiej rozkoszy płonącej w jej wnętrzu.

Nazajutrz wcześnie rano pojechał do siebie. W progu się pocałowali. Nie mówili zbyt wiele; podejrzewała, że jego tak jak ją wyczerpało szczęście. Potem wzięła psa na spacer. Świat tego ranka wyglądał pięknie, niebo na zachodzie miało barwę fioletu, powietrze było rześkie, wypełnione zapachem opadłych liści i ostatnich róż. W powiewie wiatru zawirowały liście na chodniku, astry skłoniły swoje jasnopurpurowe główki. Juliet zawsze kochała jesień.

Kiedy była dziewczyną, sądziła, że miłość jest dla młodych, że pasuje do gładkiej skóry i włosów bez pasm siwizny. Teraz odkrywała, jak bardzo się myliła. Miłość do Joego Brandona będzie jak wkroczenie na nieznaną ziemię. Po części czuła uniesienie, po części strach. Nie ufała swojemu osądowi w kwestii uczuć, wcześniej popełniała przecież błędy i gdyby z miłości zdawało się egzamin, na pewno by go oblała. Chociaż nie uważała, że tym razem popełnia błąd.

Przeszedł ją dreszcz niepokoju na myśl, jak niewiele o nim wie. Co robił, kiedy jeździł do Londynu, z kim się tam spotykał. Kim byli jego przyjaciele, czy od czasu do czasu wpadał na dawne kochanki, o których nie miała pojęcia. Myślała też o tym, jak niewiele mu

zdradziła o sobie. Pewnego dnia musi mu opowiedzieć o Henrym. I o Gillisie. Co Joe sobie pomyśli, kiedy pozna prawdę?

Musimy tylko przez jakiś czas zachować ostrożność, dopóki sytuacja się nie poprawi, powiedział Piers żonie. To nie była nawet połowa prawdy.

Bo prawda była taka, że po uszy siedział w długach. Czynsze na King's Road były wysokie, wyposażenie sklepu kosztowało o wiele więcej, niż zakładał. Musiał kupić towar, a chociaż Bridget nie żądała wysokiej marży, to inni, bardziej znani złotnicy owszem. Były też rachunki: prąd, telefon, woda, pensje dla personelu, sekretarki Tricii i dla sprzedawców, Garetha i Debory.

Z kapitału pozostawionego w spadku przez ojca część pożarła firma, resztę dodał do pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży kawalerskiego mieszkania, żeby kupić nowe w Kensington, a mimo to musiał wziąć spory kredyt hipoteczny. Dodać do tego trzeba nowy piec, lodówkę i pralkę (jak zauważyła Anne, nie można od niej oczekiwać, że będzie woziła worki brudnych pieluszek do pralni) oraz wózek, łóżeczko, nosidełko i meble do pokoju dziecinnego – i rachunki zaczęły się spiętrzać.

Pół roku pracy na swoim nauczyło go, że był naiwny, wierząc, iż kiedy klienci zobaczą w witrynie jego piękną i niepowtarzalną biżuterię, natychmiast wejdą i ją kupią. To po prostu tak nie działało. Czasami wchodzili, rozpływali się nad różnymi wyrobami, brali je do ręki, a potem wychodzili, nic nie kupując. Zbyt często tylko przyglądali się oknu wystawowemu i szli dalej. Bywało, że przedpołudniami odwiedzało ich zaledwie kilku klientów. Ostatecznie musiał też kupić gabloty na co cenniejszą biżuterię. Wprawdzie Gareth i Debora mieli na nie oko, ale rzeczy ginęły, znajdowały drogę do kieszeni albo torebki, co dodatkowo uszczuplało i tak mizerne zyski.

Sądził, że większe mieszkanie jest mu potrzebne, ponieważ będzie musiał przyjmować gości. Pół roku temu wyobrażał sobie, że na kameralne kolacje zaprosi tego dziennikarza z czasopisma o modzie i tamtego fotografa pracującego z rozchwytywaną modelką. Że

wykorzysta prywatne kontakty do rozbudowy firmy. Potem jednak urodziło się dziecko. Teraz w mieszkaniu panował wieczny bałagan, Eddie ciągle płakał i kiedy w zeszłą niedzielę Piers zapytał Anne, czy nie miałaby ochoty urządzić małego przyjęcia, odpowiedziała mu krzykiem. „Czy nie miałabym na to ochoty? Wiesz, na co miałabym ochotę? Spać tak długo, aż sama się obudzę! Ludzie tak robią, prawda?”.

Wstrząśnięty, zrezygnował z przyjęcia i zaproponował, że pójdzie z synkiem na spacer, a Anne będzie mogła odpocząć. W ponure listopadowe popołudnie pchał wózek po parku, a Eddie spod czapeczki wpatrywał się w niego oczami jak paciorki. Piers przypuszczał, że synek będzie bardziej interesujący, kiedy trochę podrośnie, kiedy zacznie mówić i robić różne rzeczy. Na razie Eddie był kulką białej wełny, często wilgotną i cokolwiek cuchnącą, gotową w każdej chwili zacząć płakać. Mając do czynienia z jego drobnym, kruchym ciałkiem, Piers stawał się nerwowy i czuł się niekompetentny.

Po godzinie wrócił do domu, uznając, że Anne może się już na niego nie gniewa. Ostatnio często była na niego zła, narzekała, że Piers do późna pracuje, co szczególnie go rozgoryczało, bo co niby miał robić? Firma musiała przynieść zyski. Na myśl o klęsce robiło mu się niedobrze. Anne nie pracowała już w galerii i tylko on zarabiał na jedzenie, ubranie i dach nad głową dla ich małej rodziny. On zajmował się firmą, ona – dzieckiem.

A potem nadszedł ten okropny, pamiętny dzień, kiedy nic nie sprzedali. Nic. Ani kolczyków, ani broszki. Piers nie potrafił spojrzeć w oczy podwładnym, kiedy wieczorem szli do domu. W biurze przeglądał księgi zakupów i sprzedaży, nic nie widząc, otępiały. Snuło się za nim widmo klęski. A jeśli źle to rozumiał? Jeśli nie miał do tego ręki? Może wybrał złe projekty. Może jego sprzedawcy nie nadawali się do tej pracy.

W dolnej szufladzie szafy z aktami była butelka szkockiej. Piers nalał na palec do szklanki. Kilka łyków, papieros i wiara w siebie z wolna zaczęła powracać. Na początku musi zmniejszyć wydatki, ale tak, by nie wpłynęło to negatywnie na wizerunek firmy. Zwolni księgowego, sam zajmie się rachunkowością. Siedząc przy biurku,

kwaśno się uśmiechnął. Jedną z korzyści szkolenia, któremu ojciec poddawał go przez lata, było to, że znał każdy aspekt prowadzenia firmy jubilerskiej. Nadal wierzył w swoją główną projektantkę i czuł, że sklep ma dobrą lokalizację. Musi jednak rozreklamować firmę, dać się poznać jako jubiler. Sukces nadejdzie, kiedy Piers Carlisle znajdzie się we właściwych gazetach i czasopismach, kiedy jego wyroby będą nosić właściwi ludzie. Wtedy klienci będą walić drzwiami i oknami do sklepu przy King's Road.

Włożył płaszcz i pozamykał drzwi. Pomyślał, żeby zadzwonić do Anne i uprzedzić, że wróci późno, ale nie zniósłby kolejnych lamentów. A poza tym nie podobało mu się, że musi prosić ją o pozwolenie na spędzenie wieczoru na mieście.

Poszedł do Ad Lib w Soho. Lokal pękał w szwach, grupa śpiewała głośno, dziewczyny w krótkich spódniczkach tańczyły na parkiecie. Piers znalazł wolne miejsce i usiadł. Doszedł do wniosku, że musi poszukać innego, tańszego projektanta. Może wzory Bridget nie odpowiadają powszechnym gustom. Dziewczyny na parkiecie może i wyglądają tak modnie i nowocześnie jak Jean Shrimpton i Mary Quant, ale w większości to pewnie pielęgniarki i stenotypistki. Oprócz projektów Bridget powinien zaproponować rzeczy, na które stać te dziewczyny, z tańszych materiałów, zabawne, nowoczesne i inne. Musi zwiększyć zyski, żeby utrzymać wierzycieli na dystans. Gdyby tylko zdołał ściągnąć klientów do sklepu, może skusiłaby ich droższa biżuteria.

Kelnerka, która przyniosła mu drinka, szepnęła, że dzisiaj wieczorem w Ad Lib był George Harrison. Piers powiódł wzrokiem po lokalu.

I wtedy go zobaczył. W kącie siedział Aidan, towarzyszyli mu trzej mężczyźni, w tym dwaj klienci Wintertona, Louise Winterton i jeszcze jedna dziewczyna. W srebrnym wiaderku do góry dnem stała butelka po szampanie. Piers patrzył, jak Aidan gestem daje znać kelnerce, żeby przyniosła następną.

Nagła furia sprawiła, że serce zaczęło mu walić jak młotem. Dlaczego Aidanowi wszystko zawsze przychodzi z taką łatwością? Oto on haruje do nocy, i oto Aidan przepija zyski firmy, która powinna należeć do niego, Piersa. On stara się jak może, żeby

pozyskać klientów, Aidan dostał ich w spadku i chodzi z nimi na kolację. On próbuje rozkręcić biznes, Aidan zbiera zyski przynoszone przez dobrze znaną na rynku, odnoszącą sukcesy firmę.

Louise się roześmiała i odrzuciła do tyłu długie lśniące włosy. Aidan powiedział coś, pozostali się uśmiechnęli. Fotograf mody, którego Piers rozpoznał z prasy, zatrzymał się przy ich stoliku i zamienił kilka słów. On, który kiedyś był najbliższym przyjacielem, został wyrzucony z zaczarowanego kręgu. W ustach poczuł smak goryczy i porażki.

Zespół zagrał *The Last Time*, tłum ludzi ruszył na parkiet. A Piersowi przyszło do głowy, że nie został pozbawiony aktywów. Należy do niego Marsh Court, zarówno dom, jak i otaczająca go cenna ziemia. Czy mógłby go sprzedać? Nie teraz, kiedy nadal mieszka tam matka – ale gdyby w przyszłości się przeniosła, to dlaczego nie? Nie należał do osób przywiązujących się do miejsc. Marsh Court był domem jego dzieciństwa i lennem ojca. Jego duch nadal krążył po korytarzach.

Nie może ponieść porażki. Jeśli firma splajtuje, to będzie oznaczało wygraną Aidana. Musi zwyciężyć bez względu na koszty. Koszty są bez znaczenia, pomyślał, zdejmując marynarkę z krzesła i wychodząc.

Dostrzegł znajomą postać przechodzącą przez ulicę.

– Hej, Esteban! – zawołał. Projektant się odwrócił i ruszył w jego stronę.

– Piers, co u ciebie? – Esteban Galea uścisnął mu rękę. – Jak sklep?

– Świetnie. Powinieneś mnie odwiedzić i sam zobaczyć.

– Przekonać się, jak radzi sobie konkurencja? Niewykluczone, że to zrobię. Hej, brakuje nam ciebie, Piers. Bez ciebie już nie jest tak, jak było.

– Naprawdę?

Esteban się roześmiał.

– Mówię prawdę, z firmy wyciekło życie.

– Może czas pomyśleć o zmianie.

Esteban klepnął go w plecy.

– Jeśli się zdecyduję, przyrzekam, że będziesz pierwszą osobą, do której zadzwonię.

Juliet usłyszała warkot rovera Joego na podjeździe i zbiegła na dół, żeby otworzyć drzwi.

Zrobiła omlety, które zjedli przy kuchennym stole. Rozmawiali o tym i o owym, wzajemnie się poznając. O operze, którą kochał Joe, o jazzie współczesnym, o jej ulubionej muzyce kameralnej. Powiedział, że po śmierci Molly chciał sprzedać Greensea. W domu wszystko mu ją przypominało i zaczął go nienawidzić. Wystawił farmę na sprzedaż, ale w tamtych czasach mało kto kupował i w końcu wycofał ofertę. Czasami Juliet zadawała sobie pytanie, czy dla Joego duch Molly nadal wędruje po sadzie i na granicy słonych mokradeł.

Zdumiewało ją, że wbrew temu, co mu się przydarzyło – przyjaciele polegli na polu bitwy, młoda żona zabrana przez straszną chorobę – Joe nadal wierzy, iż świat można zmienić. Przy jego idealizmie zdradzała swój cynizm. Jej zdaniem nie można poczuwać się do odpowiedzialności za dobrobyt każdego człowieka. Już i tak dostatecznie trudno jest utrzymać rodzinę w jedności. Nie można doprowadzać się do szaleństwa, zamartwiając się wszystkimi problemami świata.

Pocałowali się w progu kuchni, Juliet w plecy wbijała się klamka. Joe przesunął palcami po jej szczęce i obdarzył ją uśmiechem. Potem poszli na piętro do łóżka.

Kiedy odjechał, posprzątała po lunchu, zabrała przybory do rysowania i włożyła płaszcz. Nad okolicą osiadała mgła; idąc przez ogród, Juliet widziała krople wody wiszące na źdźbłach trawy i toczące się po ostatnich liściach. Granica pomiędzy lądem a wodą była zamazana, mokradło zdawało się stapiać z rzeką, ptaki stały się niewidzialne, słychać było tylko ich wołanie, stłumiony trzepot skrzydeł.

Próbowała ustalić, co kocha w Joem, ale wskazanie tych cech było równie trudne jak uchwycenie zmiennego krajobrazu. Gest, uśmiech. Szczodrość, troska o tych, którym fortuna mniej sprzyja niż jemu.

Jego spokój i solidność, a także to, że czasami zachowywał się nieprzewidywalnie. Że podrzucił jej naręcze żonkili. Że jest płomiennym i czułym kochankiem. Myślała, jaki to szczęśliwy traf, że mężczyzna, w którym się zakochała, mieszka zaledwie kilka kilometrów od jej domu.

Kierowała się ku wyspie Thorney. Ścieżka biegła po szczycie wysokiego wału. Płytkie kałuże znaczyły bagno pomiędzy kępami zżółkłej trawy. Odpływ zredukował Blackwater do wąskiego kanału z leniwie płynącą wodą barwy kawy. Początkowo Juliet nie widziała wyspy, później wyłoniła się z mgły, ulotna i nieuchwytna.

Ścieżka zakręciła i Juliet dostrzegła mężczyznę stojącego na brzegu w odległości nie więcej niż dwudziestu metrów od niej, w miejscu, gdzie grobla łączyła się ze stałym lądem. Niski i mocno zbudowany, miał krótko ostrzyżone siwe włosy, marynarską kurtkę i szalik. Wokół niego krążył pies, zamazana smuga bieli.

Mężczyzna odwrócił się w jej stronę. Gdy się zbliżała, nie odrywał od niej wzroku. Nie uśmiechnął się, nie przywitał, tylko obserwował z tą czujną, pełną namysłu miną, jakby się zastanawiał, co ma z nią zrobić.

Poczuła zagrożenie: cisza, mgła, samotność. Wszystko mogło się zdarzyć. Odwróciła się i ruszyła z powrotem, ale przez cały czas wydawało jej się, że jego gorący wzrok pali ją w plecy. Raz czy dwa obejrzała się przez ramię, ale nikogo już tam nie było.

Kiedy Eddie skończył pięć i pół miesiąca, zaczął przesypiać noce. Nagle jakby ktoś przekręcił kontakt. Ludzie mówili Anne, że gdy dziecko będzie spało do rana, poczuje się jak nowa, ale była wyczerpana i nie wierzyła, że to kiedykolwiek się stanie.

Sen też poprawił humor Eddiemu. Chichotał do Anne i próbował złapać łyżkę, kiedy w jego wysokim krzesełku karmiła go rozgniecionym sucharkiem. Śmieszyły go ptaki w parku, psy na ulicy. Nad łóżeczkiem zawiesiła mu karuzelę z papierowych ptaszków na drucikach. Kładła go, żeby na nie patrzył, a sama myła włosy i malowała się. Wkładając głowę pod strumień wody, tuszując rzęsy, słyszała, jak synek śmieje się i gaworzy.

Zaczęła się cieszyć z jego obecności. Zabierała go do galerii i chwaliła się nim przed Katherine i Paulem, odwiedzała Ceridwen, gdzie we trzy grały w scrabble'a, a dzieci bawiły się i przepychały w zimnym brudnym salonie. Anne i Eddie pojechali pociągiem do Witham, stamtąd odebrała ich Juliet i samochodem zawiozła do Marsh Court. Spędzili tam cztery dni. Anne zaczynała lubić Marsh Court. Pomogła Juliet wybrać kolory farb do pokoi. Mgły przypominały jej San Francisco.

Miała wrażenie, jakby z długiego tunelu wychodziła na światło. Kupiła sobie książkę kucharską z bardzo prostymi przepisami i uczyła się gotować potrawki i przyrządzać ryby. Sprzątała mieszkanie, kiedy Eddie drzemał, kupiła farbę i zmieniła wystrój. Malując ściany, podczas gdy Eddie leżał na brzuszku i usiłował podciągnąć się do plastikowego autka albo klocka, rozmyślała o swoim małżeństwie. Wydawało jej się, że oboje z Piersem żyją na oddzielnych torach, które biegną równolegle i rzadko się krzyżują. Niektóre z problemów powstały, ponieważ rozmowy zmieniły się w pośpieszną wymianę zdań, zanim Eddie zacznie płakać, zadzwoni telefon albo Piers będzie musiał biec do sklepu. Niektóre były głębsze.

Nawet jeśli to, że Piers ożenił się z nią na złość Aidanowi, nie do końca odpowiadało rzeczywistości, Anne zaczęła wierzyć, że w słowach Charley jest ziarno prawdy. Przecież Charley znała Piersa lepiej niż ktokolwiek inny. Anne nie była przekonana, czy sam Piers wie, dlaczego się z nią ożenił. W swoim czasie skutki jej wizyty w Marsh Court w dzień pogrzebu Henry'ego Wintertona wydawały jej się cudem, dla Piersa jednak ich spotkanie oznaczało coś innego. Miała nadzieję, że jeśli dostatecznie długo będzie o tym rozmyślała, cała ta sprawa utraci moc ranienia jej, okazało się jednak, że się myliła.

– Jakie warzywa przygotujesz? – zapytała Helen, otwierając lodówkę. – Masz kilka porów.

Były w kuchni w Marsh Court. Helen przyszła na lunch, po którym miały zająć się planowaniem kolejnej serii letnich koncertów.

Spodziewały się też Margaret Stanmore, która zgodziła się jeden sponsorować.

Juliet zajrzała do lodówki.

– Wyglądają dość marnie. Jak myślisz, Margaret nie będzie miała nic przeciwko mrożonemu groszkowi?

– Jestem pewna, że nie. Jak *quiche*?

Juliet wyjęła go z piekarnika. Ciasto syczało, złotobrązowe i idealne. Spodziewały się Margaret lada chwila. Po jej wyjściu, kiedy zostaną we dwie z Helen, Juliet zamierzała powiedzieć jej o Joem. Pękała z chęci opowiedzenia jej o nim.

Pobiegła na górę do swojej sypialni przyczesać włosy i nałożyć szminkę. Patrząc przez okna, zobaczyła zbliżającego się do domu mężczyznę. Zeszła do holu, a stamtąd na podwórze.

– Chodzi o podjazd? – zawołała. Ktoś miał przyjechać z Mundon naprawić dziury.

Kiedy się zbliżył, rozpoznała w nim nieznajomego, którego kilka dni temu widziała na grobli prowadzącej na Thorney. Pies, biały angielski bulterier z czarną łatką na oku, dreptał obok niego. Czego ten człowiek tu szuka? Juliet zeszła do niego.

Mężczyzna wyjął niedopałek z ust i pstryknął nim w kałużę.

– Nie, nie chodzi o podjazd. Chciałem z panią porozmawiać o Gillisie Sinclairze.

Mówił z walijskim zaśpiewem. Stojąc naprzeciwko niego, Juliet uznała, że jest po pięćdziesiątce. Nie był wysoki, ale potężnie zbudowany, miał szerokie umięśnione ramiona i ogorzałą mięsistą twarz. Mankiety jego dwurzędowej kurtki strzępiły się, a buty, chociaż wyglansowane, były pomarszczone od zużycia. Tatuaż na przegubie przedstawiał kotwicę.

– On nie mieszka tutaj, tylko w Londynie – powiedziała.

– Racja. Bryn! – krzyknął ostro do psa, nerwowego stworzenia, który rzucił się w pogoń prawdopodobnie za królikiem. – Do nogi. Do nogi! Zna pani Gillisa od dawna, prawda, pani Winterton?

Z równowagi wytrąciło ją, że wiedział, jak się nazywa.

– Gillis jest pańskim przyjacielem? – zapytała. Nieznajomy jednak nie wyglądał na człowieka, z którym Gillis pozostawałby w bliskich relacjach.

– Nazywam się David Morgan. Może Gillis o mnie wspomniał.

– Niestety nie – odparła zimno. – Jestem bardzo zajęta…

– Służyłem pod nim w czasie wojny. Byliśmy razem w marynarce.

Pomimo marnego wyglądu budził respekt, typowy dla ludzi, którzy służyli w wojsku. Juliet zastanawiała się, czy znalazłszy się na dnie, człowiek ten miał nadzieję uzyskać korzyści finansowe ze znajomości z Gillisem, może chce prosić go o pożyczkę albo dorywczą pracę. Ale dlaczego tu przyszedł? I skąd zna jej nazwisko?

– Próbuje się pan z nim skontaktować, panie Morgan? – zapytała energicznie. – Może pan to zrobić przez biuro parlamentarne pana Sinclaira.

Jego niebieskie oczy pod napuchniętymi czerwonymi powiekami przesunęły się po domu.

– Ładny ma pani dom. Tak go zapamiętałem. Oczywiście widziałem go tylko po ciemku.

Jego uśmiech sugerował wtajemniczenie – ze wstrząsem uświadomiła sobie, że chodzi o nią. Wyczuwała, że z powodu, który jeszcze nie był dla niej jasny, próbował ją wyprowadzić z równowagi. I to mu się udało: niepokój ścisnął jej serce, poczucie zagrożenia z czasu spotkania nad Blackwater teraz się zwiększyło.

– Przepraszam, wybaczy pan, ale muszę już iść.

– Nie widziałem pani tamtej nocy. Gillis nocował w domku, pani była w domu.

„Domek. Tamta noc”. Puls jej przyśpieszył i bez słowa się w niego wpatrywała.

– Kochanie, mam ci zrobić dżin z tonikiem? – zawołała z progu Helen. – Czy wolisz sherry?

Juliet się odwróciła.

– Nie przedstawi nas pani? – zapytał Morgan.

– Dżin z tonikiem proszę – odparła. – Zaraz wracam.

Po odejściu Helen przymknęła drzwi. „Gillis nocował w domku, pani była w domu”. Wiedziała, że Morgan mówi o sztormowej nocy, kiedy utonęła Frances Hart i Gillis przyszedł do Marsh Court. Morgan chciał jej dzisiaj o czymś powiedzieć, tego była pewna. Bała się, co za chwilę usłyszy.

– Proszę wybaczyć, ale naprawdę muszę iść. Mam gości – oznajmiła piskliwym głosem. – Może zostawi mi pan numer telefonu, pod którym pan Sinclair będzie mógł się z panem skontaktować.

– Nie zrobi tego. Próbowałem, ale on doskonale umie udawać nieosiągalnego. – Morgan wyciągnął papierosa z paczki senior service'ów. Spojrzał na Juliet. – Wie pani, chciałem mu przypomnieć o dziewczynce. Chciałem mu dać do zrozumienia, że nie zapomniałem. – Musiała zdradzić, jak bardzo to nią wstrząsnęło, bo Morgan się uśmiechnął. – Pani wie o dziewczynce, prawda, pani Winterton?

Serce waliło jej o żebra. Cicho zapytała:

– Mówi pan o Thei Hart? O dziewczynce, która utonęła?

– Nie utonęła.

To wtedy zaczęła myśleć, że jest szalony. Tak, to na pewno wariat, a ona musi się go pozbyć.

– Ależ tak – powiedziała. – Wiem, że tak.

– Nie. Jeśli tak pani mówił, to kłamał.

– Wykluczone.

– W gruncie rzeczy to było łatwe. – Morgan stał zbyt blisko. Otoczył ją zatęchły, ostry zapach ubrań noszonych zbyt długo i za rzadko pranych. – Gillis zadzwonił do mnie z pani domu, a potem ukrył ją w domku. Chyba wiem, skoro to ja zabrałem ją stąd. Wiele się nad tym zastanawiałem. Można by rzec, że to mnie gryzło. Mała dziewczynka, odesłana, jakby nic dla niego nie znaczyła.

Thea Hart utonęła. Nieślubną córkę Gillisa tamtej sztormowej nocy zabrała Blackwater. Jakimś sposobem Morgan wiedział o Gillisie i Frances Hart; skądś się orientował, że Gillis nocował wtedy w domku, i wymyślił tę dziwaczną historię, żeby jej użyć przeciwko niemu.

– Kłamie pan – szepnęła. Tak, na pewno kłamał, chociaż nie znała jego motywów. Może chciał szantażować Gillisa.

– Myślę, że pani wie, że nie kłamię. Zawiozłem małą do sierocińca w Southampton. Przekazałem ją kobiecie, która go prowadziła, nazywała się Farmer. Jest pani dobrą aktorką, pani Winterton, ale myślę, że pani wie o tym wszystkim.

Oczy miał chytre. Rozpoznała w nich oskarżenie – co jej zarzucał? Udział, wspólnictwo? Czy to możliwe, że wiedział też o ich romansie? Wiedział, że była kochanką Gillisa? Juliet musiała opanować drżenie.

– Muszę iść – szepnęła.

Morgan wzruszył ramionami.

– Jestem spłukany. – Znowu spojrzał na dom. – Ma pani gości, tak?

Implikacje zawarte w tym pytaniu były jasne. Juliet usłyszała samochód zbliżający się główną drogą i szybko weszła do domu. Torebka leżała na stoliku w holu, były w niej pieniądze, którymi zamierzała zapłacić za naprawę podjazdu. Dygoczącymi palcami wyjęła banknoty i wybiegła na ganek.

Morgan siedział na kamiennej ławce przy półkolistej części podjazdu. Wielką kwadratową dłonią gładził psa i czule do niego przemawiał.

– Niech pan idzie – syknęła, wciskając mu pieniądze w rękę. – I niech pan nigdy tu nie wraca!

Schował je do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– A pani niech powie Gillisowi, że kiedy się z nim skontaktuję, lepiej by było, żeby ze mną porozmawiał.

Odszedł z Brynem przy nodze. Juliet przez chwilę nie mogła złapać tchu i bała się, że zemdleje. Potem na podjeździe pojawił się samochód Margaret Stanmore. Juliet zmusiła się do głębokiego wdechu i wyszła jej na powitanie.

Ostatecznie jednak nie powiedziała Helen o Joem. Nie była w stanie, jedyne, na co z wielkim wysiłkiem się zdobyła, to rozsądna rozmowa o programie i zaproszonych artystach. Helen zorientowała się, że coś jest nie w porządku, i kiedy Margaret na moment wyszła z pokoju, Juliet z wymuszonym uśmiechem powiedziała, że strasznie boli ją głowa. A Helen, kochana Helen, postarała się jak najszybciej zakończyć spotkanie. Kiedy Margaret się pożegnała, zapytała:

– Podać ci coś, Juliet? Filiżankę herbaty? Aspirynę?

– To bardzo miłe z twojej strony, ale dziękuję, nie.

– Połóż się i zdrzemnij. – Helen lekko uścisnęła jej ramię. – Mnie to zawsze pomaga. Jutro do ciebie zadzwonię.

Juliet została sama, a jednak wcale tego nie chciała. Bała się, że David Morgan wróci. Bała się, co może odkryć, grzebiąc w przeszłości.

Helen wcześniej pozmywała, Juliet powycierała naczynia i je schowała. Lulu skomlała jej przy nodze, domagając się spaceru. Juliet otworzyła tylne drzwi i wypuściła psa do ogrodu. Złapała się na tym, że patrzy na ognisko i dalej, na opaskę brzegową. Bała się, że na tle szarych chmur może zobaczyć tam Morgana, który ją obserwuje.

Cofnęła się myślami dziewiętnaście lat w przeszłość, z wysiłkiem oddzielając wspomnienia od przykrywającej je warstwy czasu i przypuszczeń. W noc sztormu Gillis zadzwonił z Marsh Court. Morgan mówił, że dzwonił do niego. Że przyjechał do domku i zabrał małą Theę do sierocińca. W głowie jej się kręciło, nie umiała tego pojąć, znaleźć w tym sensu.

Gillis spędził noc w domku, rano wyjechał przed świtem. Dziesięć lat później, kiedy się przyznał do romansu z Frances Hart, powiedział też, że wolał spać w domku, ponieważ się bał, że jeśli z nią zostanie, załamie się i wyzna jej prawdę o Frances i dzieciach. Nie chciał jej w to wplątywać. „Myślałem tylko o tobie". I był jeszcze Piers, którego obudziła burza, i drzewo w ogrodzie zwalone uderzeniem pioruna.

Morgan ujawnił przed nią okrutniejszą prawdę. Jego wersja tłumaczyła, dlaczego Gillis bez pożegnania tak wcześnie wyjechał. Juliet odkrywała, że pod kłamstwami kryły się inne kłamstwa, kłębiące się teraz w jej umyśle. Pamiętała, że znaleźli ciało chłopca, dziewczynka zaginęła bez śladu.

Poszła na koniec tarasu, skąd widać było domek, mały budynek w cieniu cyprysa. Zimne wilgotne powietrze uderzyło ją w twarz. Lulu biegła ku niej przez trawnik. Wróciły do domu.

Chociaż zgodnie z radą Helen położyła się, nie mogła się rozluźnić. „Gillis zadzwonił do mnie z pani domu, a potem ukrył ją w domku. Chyba wiem, to ja zabrałem ją stąd". Skąd Morgan mógłby się orientować w zabudowaniach Marsh Court, gdyby wcześniej tu nie był? Skąd wiedziałby o związku Thei Hart z Gillisem, gdyby Gillis mu o tym nie powiedział? Morgan znał wszystkie szczegóły, także te, które ona dopiero teraz zaczynała rozumieć. Mówił prawdę.

O szóstej zatelefonowała do Joego i odwołała zaplanowaną kolację, okłamując go tak samo jak Helen, że boli ją głowa. Oszukiwała go, pogardzając sobą.

Godzinę później zadzwoniła do londyńskiego domu Sinclairów. Odebrała Blanche. Juliet zapytała ją, jak się czuje, Blanche odpowiedziała, że dobrze. Krótko porozmawiały o dzieciach, wyraziły żal, że dawno się nie widziały. Blanche miała głos zmęczony i przybity.

– Gillis jest w domu? – zapytała Juliet. – Chciałabym zasięgnąć jego rady. To mały problem prawniczy, nic ważnego, ale dość delikatna sprawa, a Tom Kendrick wyjechał. – Kolejne kłamstwa.

– Już go proszę.

Gillis przejął słuchawkę.

– Możesz rozmawiać? – zapytała Juliet.

– Właściwie nie.

– Muszę się z tobą zobaczyć. Coś się stało. Musimy się spotkać w cztery oczy.

– W tej chwili to dość trudne.

– Sprawa jest poważna – oznajmiła Juliet ostro. – Będę w mieście w czwartek. Rano mam wizytę u dentysty, ale powinnam być wolna około dwunastej.

– Przyjdź do nas. Będę czekał o pierwszej.

Czwartek: idąc przez Green Park, Juliet dotykała nową plombę czubkiem języka. Znieczulenie miejscowe już przestało działać, kiedy zadzwoniła do drzwi Sinclairów w St. James's Place.

Gillis wprowadził ją do środka.

– Blanche jest na lunchu dobroczynnym – powiedział. – Jadłaś coś?

Poklepała się po policzku.

– Plomba.

– Biedactwo. Herbaty? Kawy? Jakiś alkohol, żeby się rozluźnić?

– Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba.

Zbudowany w osiemnastym wieku dom Sinclairów odznaczał się niejaką majestatycznością. Można było sobie wyobrazić toczące się tutaj ważne rozmowy. Pokoje były przestronne i wysokie, ale Blanche

wiedziała, jak zapewnić im przytulność i surowość salonu łagodziły kolorowe poduszki, jasne obrazy i rośliny doniczkowe. Dwa ogromne wazony z rudymi chryzantemami stały po obu stronach kominka. Niespokojna i pobudzona Juliet pomyślała, że wyglądają jak urny na prochy.

Gillis nalał sobie drinka. Przytył od czasu, kiedy ostatni raz go widziała, przybrał w pasie. Pod opalenizną (nadal był zapalonym żeglarzem, cała rodzina lubiła wyjeżdżać na narty) jego skóra wyglądała woskowo.

– Odwiedził mnie niejaki David Morgan – powiedziała Juliet.

Zobaczyła, jak Gillis się wzdryga, jakby to nazwisko uderzyło go niczym cios. Odstawił karafkę z whisky, zatkał korkiem.

– Morgan był w Marsh Court?

– Tak.

– Cholera – mruknął cicho.

Czy w jego oczach dostrzegła przerażenie? Uświadomiła sobie lekkie pulsowanie w szczęce po stronie leczonego zęba.

– Czego chciał?

– Pozornie chodziło o to, żebym przekazała ci wiadomość. Że się z tobą skontaktuje i masz z nim porozmawiać. Myślę jednak, że w rzeczywistości przyszedł po to, żeby powiedzieć mi o twojej córce.

– Córce?

– Tak, Gillisie, twojej córce Thei.

W jej głosie zabrzmiała nutka szyderstwa. Wszelkie wątpliwości, których się czepiała, nadzieja, że Morgan całą tę historię wymyślił, rozpierzchły się niczym drobinki kurzu tańczące w kwadratowych smugach słońca wpadających przez okna.

– Thea nie utonęła, prawda? Znalazłeś ją, ale udawałeś, że nie żyje. Potem odesłałeś do sierocińca. Morgan powiedział, że ją tam odwiózł. Proszę. – Uciszyła go, unosząc rękę. – Nic nie mów. Jeszcze nie. Nie zniosę twoich kolejnych kłamstw. Jestem pewna, że gdybym spróbowała, zdołałabym potwierdzić jego opowieść. Nie pamiętał za dobrze sierocińca, ale podał mi nazwisko kobiety, która go prowadziła.

Gillis usiadł w fotelu.

– Nie zamierzałem cię okłamywać.

Wygląda na starego, pomyślała, na starego i zmęczonego. Czas dopadł Gillisa Sinclaira. Kiedyś szedł ku niej przez dym i mokradła, potem słońce oblało go złotem i zakochała się w nim. Jej żal i smutek zdawały się wypełniać pokój.

Napił się whisky, przesunął dłonią po twarzy.

– Powiedz mi – szepnęła. – Powiedz mi prawdę.

Poruszył ustami i w końcu zaczął mówić:

– Morgan służył pode mną w czasie wojny. Poznałem go w Dunkierce. Zawsze uważałem, że Dunkierka coś z nim zrobiła – z nami wieloma zrobiła. Jest niebezpieczny. Użyteczny, ale trzeba mieć go na oku. Żadnego współczucia ani sumienia. Nigdy nie stronił od alkoholu, a z czasem zaczął pić bardzo dużo. – Zacisnął wargi, potem wypuścił powietrze. – Jakiś czas temu przestaliśmy się kontaktować. Po wojnie pracował dla mnie, ale przeholował z awanturami i go wyrzuciłem. Nie widziałem go ponad dziesięć lat. Jakiś rok temu pojawił się na moim progu. Wydaje mi się, że niezbyt dobrze mu się powodziło. Kazałem mu się odczepić. Dzwonił do mnie od czasu do czasu, ale zawsze odkładałem słuchawkę.

– Czego chciał? – zapytała cicho, chociaż domyślała się odpowiedzi.

– Oczywiście pieniędzy. – Gillis uśmiechnął się z rezygnacją. – Nic mu nie dałem. Wiedziałem, że jeśli raz dam, to nigdy się nie skończy.

Tykanie zegara, sygnał karetki pędzącej ulicą.

– Miałem nadzieję, że się zapije na śmierć – ciągnął Gillis cicho. – Albo urządzi awanturę niewłaściwemu człowiekowi. Nigdy bym nie pomyślał, że przyjdzie do ciebie.

– Dziecko, Gillis.

Spojrzał na nią.

– Thea? Tak, to prawda, nie zginęła.

Na moment Juliet pochyliła głowę, zamknęła oczy. Ząb ją bolał, tępe pulsowanie wibrowało w szczęce. Zmusiła się, by podnieść na niego wzrok. Kiedyś go kochałam, pomyślała. Wydawało się, że to było w innym życiu.

– Jak mogłeś?

– Osądzaj mnie, skoro tego chcesz, Juliet. Obawiam się, że na to zasługuję.

Sekrety i kłamstwa, pomyślała. Nigdy nie łączyło ich nic istotnego, tylko sekrety i kłamstwa.

– Gdzie ją znalazłeś? – szepnęła.

– W domu, w tym piekielnym domu na Thorney. – Uśmiechnął się gorzko. – Szukali tam, ale pomyślałem, że sam sprawdzę. Znałem dom lepiej niż oni. Thea była spokojną dziewczynką, domatorką, nie przypominała brata, więc uznałem, że na pewno wróciła do domu, jeśli się przestraszyła. Syna nie zdołałem znaleźć, ale ją tak. Schowała się w szafie na podeście pod pościelą. Zawsze wybierała tę kryjówkę, kiedy się bawiliśmy w chowanego. Małe dzieci zawsze się chowają w to samo miejsce, prawda?

Zajrzał do swojej szklanki, która była pusta. Juliet wstała, wyjęła mu ją z ręki i napełniła. Sobie też nalała w nadziei, że alkohol złagodzi ból zęba.

– Nie odzywała się do mnie – powiedział, kiedy podała mu whisky. – Była w fatalnym stanie, przemarznięta na kość i rozdygotana. Ubranie miała przemoczone. Wysuszyłem ją, przebrałem w suche rzeczy i owinąłem w koc. Przez cały ten czas nie powiedziała ani słowa. Nie płakała. Można by pomyśleć, że powinna płakać. Czułem, że drży jak struna fortepianu, którą raz po raz się naciska. Bałem się o nią. Zostawiłem ją w łóżku i poszedłem szukać Edmunda. – Napił się. – Ale go straciłem. Wiedziałem o tym. Szukałem go, choć wiedziałem, że odszedł… Czułem to. Musiał wejść do wody po piłkę albo łódkę i porwał go nurt, coś w tym rodzaju. Frances na pewno pobiegła za nim. Była niedbała, ale kochała dzieci. Próbowała go ratować. Może Thea wszystko widziała, widziała, jak nurt ich zabiera, a potem…

Głos mu zamarł jak szum jesiennych liści unoszonych powiewem w dal. Po kilku minutach milczenia westchnął i powiedział:

– Musiała wrócić do domu. Nigdy nie mogłem znieść myśli o biednej małej Thei wracającej samotnie do domu. Może myślała, że tam są. Kiedy ją znalazłem, może czekała, aż przyjdą do domu.

Przesunął dłonią po oczach błyszczących od łez. Odchrząknął i jego głos nabrał siły.

– Miałem zamiar przewieźć ją na stały ląd i powiadomić tych, co jej szukali, że wszystko z nią w porządku. Zdawałem sobie sprawę, że

w chwili, gdy o niej powiem, dla mnie wszystko się skończy. Myślałem, żeby ją oddać i zwiać, licząc, że będzie dobrze, ale wystarczyłoby, żeby powiedziała „tatusiu", i to sprawę by załatwiło – moja kariera, małżeństwo, życie, wszystko na zawsze by przepadło. A cholernie ciężko pracowałem. W połowie drogi przez groblę dotarło do mnie, że nikomu nie muszę nic mówić. Nikt nie wiedział, że tam jestem. Nikt nie znał prawdy o naszym związku. Ukryłem ją pod płaszczem. Trzymałem się z daleka od ludzi przeszukujących mokradła i zaniosłem ją do samochodu. – Spojrzał na Juliet. – Chyba spanikowałem. Nie byłem w stanie stawić temu czoła… Blanche… moja praca… wszystko. Tego rodzaju decyzje podejmuje się w jednej chwili, prawda?

Nie przychodziły jej na myśl żadne okoliczności, w których porzuciłaby własne dziecko.

– Dlaczego zabrałeś ją do domku?

– Myślałem o hotelu, ale się bałem, że mnie rozpoznają i ktoś zacznie zadawać pytania. Oczywiście nie mogłem przywieźć jej do Londynu. Potem przypomniałem sobie o domku w Marsh Court. Uznałem, że jeśli tam się schronimy, będę mógł się zastanowić, co dalej robić. Była w szoku, przemarznięta i bezwładna, ciągle zasypiała, więc musiałem działać szybko. Musiałem ją ogrzać i nakarmić. Do Marsh Court było niedaleko, a wiedziałem, że Henry jest w Londynie, spotkałem się z nim poprzedniego wieczoru. Zastanawiałem się, czy powinienem iść prosto do domku i mieć nadzieję, że znajdę dość drewna w kominku, nie angażować cię w to, ale to nie był dobry pomysł. Mogłaś zobaczyć dym z komina, a poza tym musiałem zdobyć jedzenie i picie dla Thei, a także zadzwonić do Morgana. Wiedziałem, że będzie dyskretny. Wtedy mu ufałem. Wykonywał dla mnie różne zlecenia, które chciałem zachować w tajemnicy. To przez niego pół roku wcześniej załatwiłem wynajem tego przeklętego domu na wyspie. Nie powiedziałem mu o Frances i dzieciach, ale musiał sam się domyślić. – Urwał, wpatrując się w szklankę. – Zostawiłem Theę na tylnym siedzeniu samochodu i poszedłem do Marsh Court porozmawiać z tobą. Potem zaniosłem ją do domku. Rozpaliłem w piecu i zagrzałem mleko, które wziąłem z twojej kuchni. Posłodziłem je mocno, bo Thea była

w szoku. Nie chciała pić z filiżanki, więc karmiłem ją łyżką. Udało mi się wmusić w nią połowę mleka. Kiedy skóra jej poróżowiała, wiedziałem, że będzie dobrze. Całą noc ją obejmowałem. Trzymałem ją w ramionach do świtu.

– A rano oddałeś nieznajomemu.

– Tak. – Skierował na nią oczy czerwone od powstrzymywanych łez. – Tak, właśnie tak zrobiłem. Myślałem, że na tym koniec. Kiedy Morgan ją zabrał, ulżyło mi. Ale to oczywiście nie był koniec. Tego rodzaju rzeczy nigdy się nie kończą.

– Gillis, to była twoja córka – powiedziała Juliet schrypniętym głosem.

– Jaki miałaby ze mnie pożytek? – W jego oczach malowało się wyzwanie. – Byłem fatalnym ojcem. Zasługiwała na kogoś lepszego. W czasie kampanii wyborczej w czterdziestym piątym roku poznałem kobietę, która prowadziła sierociniec w Southampton.

– Pani Farmer.

– Tak. Opiekowała się kilkorgiem dzieci. Przekazałem jej darowiznę, dopilnowałem, żeby napisano o tym w gazetach. – Uśmiechnął się cynicznie, bez wesołości. – Była dobrą, uczciwą kobietą, ale beznadziejną w sprawach finansowych; znasz ten typ, macierzyński i kompletnie niepraktyczny. Nigdy nie wyszła za mąż, własnych dzieci nie miała. Wiedziałem, że dobrze zaopiekuje się Theą, i mówiłem sobie, że dla niej tak będzie najlepiej, że zapewniam jej nowy początek, nowe życie. Morgan miał ją tam zawieźć, bo mnie by poznała. A zresztą…

– Chciałeś mieć ją z głowy? – Pogardzała nim.

– Chciałem – odparł cicho – żeby to się nie działo. Chciałem odzyskać swoje życie. To był koszmar… pragnąłem, żeby się skończył. – Skubał materiał spodni na kolanach. – Kazałem Morganowi, by powiedział pani Farmer, że Theę znaleziono na ulicy podczas nalotów w Londynie. Oczywiście nadaliśmy jej nowe imię i nazwisko. Morgan miał powiedzieć, że sierociniec, w którym dotąd była, został zamknięty, i trzeba znaleźć dla niej inne miejsce. Pani Farmer zapewne podejrzewała, że to stek kłamstw, ale dostała pieniądze, rozumiesz, a bardzo ich potrzebowała. Te dzieci były jej życiem. Słyszałem, że umarła kilka lat po oddaniu Thei do adopcji

i sierociniec zlikwidowano. To było śmieszne staroświeckie miejsce, pozostałość po wojnie. Dzisiaj nie miałoby szans, za dużo formalności, teraz inaczej takie sprawy się załatwia. – Wydał odgłos będący czymś pomiędzy śmiechem a płaczem. – Kilka tygodni później kazałem Morganowi zadzwonić tam i dowiedzieć się, jak Thea się czuje. Wiesz, że nadal słowem się nie odezwała? Szok czasami tak działa na dzieci, że przestają mówić. Bóg wie, ile czasu minęło, zanim się z tego otrząsnęła. Więc jednak mogło mi to ujść na sucho. Mogłem ją przekazać ludziom na mokradłach i odejść. Nie musiałbym angażować Morgana. Ale wtedy o tym nie wiedziałem. – Z jego głosu zniknęły emocje, jakby uczucia, które kiedyś wzbudziły wypadki tamtej nocy, dawno się wypaliły.

– Co się z nią stało, Gillis? Gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Naprawdę – dodał pośpiesznie, nie pozwalając jej ciągnąć przepytywania. – Nie chciałem wiedzieć, tę sprawę postawiłem jasno. Morgan miał przekazać pani Farmer pieniądze, kiedy zawiózł tam Theę, i dokonać kolejnej wpłaty po umieszczeniu jej w odpowiedniej rodzinie adopcyjnej. Wszystko załatwiono anonimowo. Nic mnie z nią nie łączyło.

– Poza Morganem.

– Tak – potwierdził ponuro. – Poza Morganem.

Chwilę oboje milczeli. Gillis wypił resztę whisky i wstał.

– Dość szybko ktoś ją zaadoptował. Była bystrą, śliczną istotką i łatwiej znaleźć rodziców dla dziewcząt niż dla chłopców. Porządna rodzina, dobry dom. Morgan nie będzie więcej cię niepokoił, Juliet, dopilnuję tego. Nie musisz się o to martwić.

Naprawdę w to wierzył?

– Gillisie, to już nie jest tylko twój sekret – powiedziała cicho. – Teraz jest także mój. A ja go nie chcę. Przykro mi, ale nie. – Nie umiała zaakceptować tej sytuacji. Gorzko żałowała, że się zgodziła zachować w tajemnicy jego romans z Frances Hart. Była taka głupia. Składała mu obietnice, ponieważ go kochała. – Musisz powiedzieć Blanche.

Pokręcił głową.

– Nie mogę.

– A ja nie mogę tak tego zostawić, nie tym razem. A jeśli Thea miała rodzinę?

– Nawet jeśli, to jakie ma to teraz znaczenie? – odparł zimno.

– Opłakiwali ją przez te wszystkie lata. Musisz powiedzieć im prawdę, postąpić jak trzeba.

– Nie.

– Sądzisz, że Blanche ci nie wybaczy? Przecież to było dawno temu.

– Nie, Juliet, to wykluczone.

Nienawidziła go za jego słabość, za to, że wplątał ją w sieć swoich oszustw.

– W takim razie ja jej powiem – oznajmiła surowo. – Przykro mi, ale nie mogę na to pozwolić. To zbyt okropne. Czym innym jest ukrywanie romansu, Gillisie, a zupełnie czym innym ukrywanie istnienia dziecka, pozwalanie ludziom wierzyć, że nie żyje, skoro żyje.

– Blanche jest chora.

– Co? – Wpatrywała się w niego. Żałowała, że wypiła whisky, rozbolała ją od niej głowa i z trudem zbierała myśli. Ząb nadal ćmił, oczy piekły i czuła się zmęczona.

– Ma raka.

Przez ułamek sekundy sądziła, że ją okłamuje. Próbuje zaskarbić sobie jej współczucie, wydostać się z pułapki. Dostrzegła jednak popielaty odcień jego skóry. Klęska otuliła go niczym woal.

– Boże, Gillis.

– Nikomu nie mówiliśmy. – Zapalił papierosa. – Dzieciom też nie. Blanche mi nie pozwoliła. Przystałem na to, ale teraz powiedziano jej, że choroba jest śmiertelna, więc dłużej nie można tego ukrywać. Nate musi wrócić do domu. Najbardziej się boję rozmowy z Rorym, są blisko ze sobą związani. Blanche chodzi do lekarza w Royal Marsden. Była u niego w poniedziałek. Powiedział… powiedział mi, kiedy Blanche pobierali krew, że teraz to kwestia kilku miesięcy. – Wstał i podszedł do okna. Zapatrzył się na uliczny ruch. Stanęła obok niego. Usłyszała, jak mówi: – To takie cholernie niesprawiedliwe. Tego rodzaju rzeczy nie powinny się przydarzać

dobrym ludziom. Gdyby mnie się przytrafiło, to miałoby jakiś sens, prawda?

– Nie możesz tak myśleć, Gillisie.

– Nie mogę jej powiedzieć. – Patrzył jej badawczo w oczy. – Rozumiesz, Juliet? Nie mogę powiedzieć jej i nie mogę powiedzieć dzieciom. Błagam, o niczym jej nie wspominaj.

Jakie miała wyjście? Zgodziła się na jego prośbę. Kiedy kiwnęła głową, z oczu popłynęły mu łzy.

– Biedny Gillis – powiedziała. – To straszne. Biedna Blanche.

– Prawie przez cały czas cierpi ból. Próbuje myśleć o Bożym Narodzeniu. Wiesz, jak bardzo kocha Boże Narodzenie. Myśli o prezentach dla wnuków i w ogóle. – Chwycił ją za ręce i mocno ścisnął. – Więcej nie usłyszysz o Morganie, obiecuję, Juliet. Musisz o nim zapomnieć.

Słuchając go, czuła ciężar na sercu i zastanawiała się, czy kiedykolwiek się go pozbędzie.

Gillis ponuro się roześmiał.

– To zabawne – powiedział. – Zasmakujesz sukcesu, pomyślności fortuny i myślisz, że to będzie trwało, a kiedy przez palce przeciekają wszystkie te rzeczy, do których twoim zdaniem masz prawo, na co twoim zdaniem zasłużyłeś, zrobiłbyś wszystko, żeby je odzyskać. Wiele czasu mi zajęło zrozumienie, że ambicje, cała ta chwała nigdy w gruncie rzeczy się nie liczyły. A ja myślałem, że jestem mądry. Że jestem wyjątkowy.

Kwadrans później pożegnała się z nim. Rano myślała, że może wpadnie do Anne i zobaczy wnuka, ale wiedziała, że nie zdoła udawać spokojnej. Blanche, Thea Hart: tego było za dużo. Anne zorientuje się, że coś jest nie w porządku. A poza tym bolał ją ząb.

Na Pall Mall poczuła, że jest zbyt wyczerpana, żeby zmagać się z metrem, wsiadła więc do taksówki i pojechała na dworzec Liverpool. Zdążyła na kilka minut przed odjazdem pociągu; był zatłoczony i biegła po peronie, zaglądając przez okna, aż wreszcie znalazła wolne miejsce. Przy akompaniamencie szurania jakoś przecisnęła się na środek przedziału i pociąg ruszył.

Poczuła mdłości. Nie może urządzić przedstawienia, wymiotując albo mdlejąc w pełnym przedziale. Z torebki wygrzebała opakowanie

dropsów. Nie jadła od siódmej rano. Słodka mięta pomogła, żołądek jej się uspokoił, serce uciszyło. Zmusiła się do koncentracji na widoku za brudnym oknem i odliczała stacje: Stratford, Manor Par, Ilford, Ramford. Ale w głowie wirowały jej myśli – Blanche, Thea Hart, David Morgan.

Wreszcie dojechali do Witham, gdzie pociąg kończył bieg. Juliet przesiadła się do samochodu. Łatwiej się jej oddychało, gdy jechała znajomymi drogami prowadzącymi do jej nieba, jej schronienia: do Marsh Court. Weszła do domu, rzuciła torebkę i płaszcz na schody, w kuchni włożyła grzankę do tostera i nastawiła wodę w czajniku, z łazienki przyniosła aspirynę. Kiedy zadzwonił telefon, zastanawiała się, czy to Joe. Nie odebrała.

Zaniosła herbatę i grzankę do pokoju porannego i usiadła w swoim ulubionym fotelu pod oknem. Jadła grzankę ostrożnie, żując zdrową połową szczęki. Joe, pomyślała, co mam z nim zrobić? Czy mogę powiedzieć mu prawdę?

Nie, nie może, nie tylko dlatego, że przyrzekła Gillisowi nikomu nic nie mówić. Joe uznałby historię Gillisa za obrzydliwą, pogardzałby nim, bo porzucił córkę, i nią też pewnie by pogardzał, bo kochała człowieka zdolnego do takiego postępku. Nie mogła opowiedzieć mu o Hartach, nie przyznając się do romansu z Gillisem. Obie te sprawy były nierozerwalnie połączone. Juliet nie zdołałaby mu wytłumaczyć swoich decyzji, nie mówiąc o głębokiej miłości do Gillisa.

Niewykluczone, że pora zakończyć znajomość z Joem. Skoro nie może być wobec niego szczera, to chyba powinna z nim zerwać.

Na samą myśl o takim rozwiązaniu bolało ją serce; znużona zamknęła oczy. Krótka drzemka, powiedziała sobie, dziesięć minut, nie więcej. Zapadła jednak w głęboki sen bez rojeń.

Kiedy się obudziła, zapadł już wieczór. Ząb przestał ją boleć, głowa też, ponury nastrój i niepewność ustąpiły. Zaciągnęła zasłony.

Już wystarczająco długo była samotna i pogrążona w beznadziei. W życiu nie trafia się zbyt wiele szans na szczęście. Romans z Gillisem należał do odległej przeszłości, tak samo jak wybory, których wtedy dokonywali. Nie odegrała żadnej roli w porzuceniu Thei przez Gillisa, nie musiała się wstydzić z powodu tamtych wydarzeń, przecież dowiedziała się o nich dopiero dzisiaj. Gillis

przyrzekł, że rozprawi się z Morganem, a ona powinna pozwolić, żeby przeszłość sama sobą się zajęła. Nie musi płacić za błędy Gillisa.

Poza tym czy nie ma prawa do odrobiny szczęścia? Czy nie ma prawa do życia?

Blanche Sinclair umarła trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Pogrzeb odbył się w smętnym, zawieszonym w czasie okresie pomiędzy świętami a Nowym Rokiem. Przez całą uroczystość Gillis płakał okropnym zduszonym szlochem mężczyzny nienawykłego do okazywania uczuć. Z jednej jego strony siedziały córki, Flavia i Claudia, z drugiej synowie, Nathan i Rory. Gdzieś tam, przed laty odesłana daleko, żyła jeszcze jedna córka, nieświadoma swojego pochodzenia. Juliet wciąż pamiętała sen, który się jej śnił niedługo po tamtym wypadku, sen o miotanej falami szarego Morza Północnego dziewczynce w czerwonej sukience.

Odpędziła ten obraz, zmuszając się do myślenia o czymś innym, czymkolwiek: wilgotnym chłodzie kościoła, majestatycznych dźwiękach organów, które się rozległy, gdy zebrani wstali, by odśpiewać jeden z ulubionych hymnów Blanche: *Prowadź mnie, Wielki Odkupicielu*.

1 A. Marvell, *Ogród*, przeł. S. Barańczak [w:] *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia*, Warszawa 1982.

Rozdział czternasty

Luty 1966 roku

Charley znalazła Nate'a w barze hotelowym w Holborn. Krzykliwy wystrój rzucał się w oczy, fotele były pomarańczowe, zasłony groszkowe i brzoskwiniowe. Nate stał przy oknie. Śpiewał głośno hiszpańską piosenkę, szeroko gestykulując.

Obok niego siedziała kobieta (czarne włosy upięte w kok, modna czarna sukienka), która na widok Charley z niesmakiem powiedziała:

– Dzięki Bogu. Zabierz go do domu. Jest twój.

Wzięła torebkę i wyszła.

Telefon zadzwonił pół godziny wcześniej, o dziewiątej, kiedy Charley w swojej sypialni pracowała nad sztuką.

– Znalazłam twój numer w adresowniku Nathana – oznajmił kobiecy głos w słuchawce. Rozmówczyni wcześniej przedstawiła się jako Jacqueline Watson, znajoma Nate'a. – Powiedział, żeby do ciebie zadzwonić. Zachowuje się okropnie, grożą, że go wyrzucą. Musisz po niego przyjechać.

Nate nadal śpiewał.

– Zamknij się, Nate – powiedziała Charley.

Posłuchał i zaraz rozejrzał się dokoła, mrugając.

– Gdzie jest Jacqueline?

– Chyba poszła do domu.

– Napijesz się?

– Nie. I ty też nie potrzebujesz więcej alkoholu. – Wywlokła potykającego się Nate'a z baru; widziała, że ludzie się im przyglądają.

Nie czuła się na siłach, by jechać z nim metrem, zatrzymała więc taksówkę. Kiedy wsiedli, powiedziała:

– Nate, musisz z tym skończyć.

– Tak? – Mętne spojrzenie stwardniało, gdy na nią spojrzał, pojawiło się w nim coś na kształt niechęci.

– Owszem. Obchodzisz mnie i nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

– Charlotte Winterton, strasznie dobra, szlachetna i cnotliwa. Kiedy stałaś się taką nudziarą?

Nie znosiła, gdy tak do niej mówił. Wyjrzała przez okno na migoczącą siarkową poświatę ulicznych latarni, przygryzając wargę.

– To nie poprawia wcale sytuacji, Nate – powiedziała cicho.

– Moja mama umarła. Jak cokolwiek może poprawić tę sytuację?

Nastąpiło długie, pełne napięcia milczenie, w czasie którego Charley usiłowała powstrzymać łzy. Przerwał je Nate:

– Przepraszam. Przykro mi, Charley. Nie chciałem tego powiedzieć. Za wiele wypiłem. Zły dzień.

– Wyjątkowo czy przeciętnie zły?

– Sam nie wiem. – Nate westchnął. – Wszystkie wydają się jednakowe. – Dotknął jej rękawa. – Dziękuję, że przyszłaś.

– To żaden problem. Jacqueline to twoja dziewczyna?

– Podejrzewam, że po dzisiejszym wieczorze już nie. – Spojrzał na nią. – To bez znaczenia. Właściwie nie. Czy tak?

Charley zastanawiała się, czy to ma znaczenie dla Jacqueline, ale serce ją bolało na widok jego martwego spojrzenia.

– Nie, jasne, że nie – odparła łagodnie.

Zbliżali się do domu Sinclairów.

– Twój tata jest w domu?

Nate pokręcił głową.

– Jadłeś coś?

Zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć.

– Chyba nie.

Charley zapłaciła taksówkarzowi i weszli do domu. Na dnie lodówki znalazła wyglądające na dość stare kiełbaski i wrzuciła je do garnka. Kuchnia miała wygląd pomieszczenia, o które niegdyś dbano, a teraz zostało porzucone na pastwę losu przez dwóch bardzo zajętych i głęboko nieszczęśliwych mężczyzn.

Zrobiła kanapki z kiełbaskami. Zjedli je w salonie; mrok rozpraszały tylko stołowe lampy i poświata księżyca wpadająca przez okno.

– Jak się czuje Rory? – zapytała Charley.

– Właściwie to nie wiem. – Nate rozłożył kanapkę. – Wrócił do szkoły. Piszę do niego, ale ten mały drań niewiele zdradza w swoich listach.

– Ja też do niego piszę.

– To miło z twojej strony.

– A co w pracy?

Nate pracował w banku handlowym.

– Znośnie. A twoja sztuka?

– Posuwa się.

Zrzucił marynarkę. Charley miała ochotę odgarnąć czarne loki, które spadły mu na czoło. Pragnęła sprawić, żeby znowu się uśmiechnął, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

– Więc w końcu – powiedział, wyciskając sos pomidorowy na kanapkę – jedno z nas idzie do przodu.

Anne, Piers i Eddie się przeziębili. Wszyscy troje kichali i kaszlali, pełne złości lamenty Eddiego, któremu zatkany nos nie pozwalał spać przez całą noc, niosły się po mieszkaniu.

Anne nienawidziła ponurych zimowych poranków. Wstawanie po ciemku, zjadanie śniadania po ciemku: nie sądziła, by kiedykolwiek do tego przywykła. Kiedy o siódmej zawlokła się do kuchni, żeby zrobić sobie kawę, za oknem na tle czarnego nieba wirował deszcz ze śniegiem.

Piers stał przy piecu, pośpiesznie pijąc herbatę.

– Muszę iść – powiedział. – Wieczorem wrócę późno. Zabieram klienta na kolację.

– Jak późno?

– O jedenastej… może koło północy. – Pochylił się, żeby ją pocałować.

– W zlewie leży skórka banana – powiedziała.

– Kosz jest pełny.

Poczuła falę złości.

– Więc go opróżnij.

Posłał jej zaskoczone spojrzenie.

– Muszę iść do pracy.

– Ale mógłbyś wyrzucić do kosza skórkę i okruchy po grzance, Piers. Mógłbyś umyć miskę po płatkach. A nawet – dodała ironicznie – mógłbyś zamieść podłogę. Chociaż nie przypuszczam, żebyś wiedział, gdzie trzymamy szczotkę.

Nie cierpiał, kiedy go krytykowano. Mruknął coś. Anne wyłapała słowa „twoja praca".

– Moją pracą jest Eddie. – Wpatrywała się w niego bez krzty uczucia. – Eddie, który jest chory i prawie całą noc nie spał. Posprzątaj po sobie, tylko o to proszę.

– Nie mam czasu.

– To ci zajmie dwie minuty! – Stwierdziła, że podnosi głos. – Usunięcie tych okruchów zajmie ci tylko dwie minuty!

– W takim razie dobrze – odparł z furią. Gwałtownym ruchem wyjął plastikową miskę ze zlewu i zmiótł do niej resztki, po czym wybiegł z mieszkania, zatrzaskując za sobą drzwi.

Eddie zaczął płakać. Anne na moment przymknęła oczy, potem poszła po synka.

Następne godziny wcale nie były lepsze. Skończyło się mleko, Piers resztę zużył do płatków, ubrała więc Eddiego w zimowy kombinezon i poszła do sklepu. Deszcz ze śniegiem ciął ją w twarz, spod kół przejeżdżających samochodów pryskała brudna woda. Kupiła chleb, aspirynę, jagnięcinę, a także biszkopty dla Eddiego. Kiedy wróciła do domu, lokator z parteru, Lord, wyszedł do niej ze skargą na płacz, trzaskanie drzwiami i miskę, którą Piers zostawił przy schodach – przypuszczalnie albo nie był w stanie po raz kolejny mierzyć się z jej złośliwością, albo nie chciał zawracać sobie głowy przynoszeniem jej do kuchni.

– Mam lekki sen – dodał Lord. – Wolałbym, żeby nie pozwalała pani dziecku tyle płakać.

Anne przeprosiła przez zaciśnięte zęby, wzięła na ręce Eddiego, wózek, torbę z zakupami i miskę i z trudem wspięła się na piętro.

W mieszkaniu posadziła Eddiego w otoczeniu zabawek na dywanie i nastawiła kawę. Po dwóch filiżankach i trzech aspirynach poczuła

się lepiej. Eddie dzisiaj mniej pociągał nosem i radośnie żuł rękę klowna z materiału. Anne miała nadzieję, że Piers zadzwoni i przeprosi za sprzeczkę, ale tego nie zrobił. Zastanawiała się, czemu na to liczyła: Piers nigdy nie przepraszał. Przeprosiny oznaczałyby przyznanie, że nie miał racji, a przecież Piers Winterton nigdy się nie mylił.

Sama mogłaby do niego zatelefonować, rozśmieszyć opowiastką o Lordzie i misce i w ten sposób załagodzić nieporozumienie, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Może i jej gniew był nieproporcjonalnie wielki w stosunku do sytuacji (przypuszczała, że Piers tak uważał), tylko że nie o to chodziło. Wiedziała, że mogłaby to ciągnąć, gniew w jej sercu by narastał, ale to ona zawsze by przepraszała, zawsze się wycofywała, żeby uniknąć stawienia czoła prawdziwemu rozdźwiękowi, który między nimi powstał. Przypomniała sobie lekkie wstrząsy w San Francisco, poprzedzające chwilę, gdy ziemia się przesunęła i przekręciła, zrzucając z półek książki. Teraz także je wyczuwała.

Sprzątała mieszkanie, robiła pranie i gotowała gulasz jagnięcy, ze względu na Lorda chodząc przy tym na palcach i uciszając Eddiego, gdy tylko zaczynał płakać. Nie była w stanie znowu znosić po schodach dziecka i wózka, dlatego została w domu. Zmiksowała dla Eddiego kawałek jagnięciny, potem go wykąpała. Po wypiciu butelki zasnął bez marudzenia.

Porządkując salon, zastanawiała się, czy każde z małżonków tyle samo miłości inwestuje w małżeństwo. Może zawsze jedno kocha mocniej niż drugie, a może szalki wagi przez cały czas się kołyszą. Zdawała sobie sprawę, że ryzykuje, wychodząc za Piersa. Był ambitny, miał w sobie pasję i silną wolę. Jeśli godziłaby się na wszystko, czego Piers chce, małżeństwo by przetrwało. Tylko czy to jej wystarczy?

Przyjechała do Anglii, by uciec przed zamieszaniem, które nastąpiło po zerwanych zaręczynach z Glennem, ostatnio jednak zaczęła zadawać sobie pytanie, czy nie wpakowała się w jeszcze gorszy chaos i czy wychodząc za Piersa, nie wybrała mężczyzny będącego pod wieloma względami przeciwieństwem Glenna, ale który tak samo jak Glenn był dla niej nieodpowiedni. To, co układało się doskonale

przed narodzinami Eddiego, teraz się popsuło. Przyjście na świat dziecka odsłoniło braki w ich relacjach.

Jej niezależność i zdecydowanie tonęły przytłoczone obowiązkami domowymi. Czasami z trudem przypominała sobie tamtą pewną siebie dziewczynę, która samochodem przejechała Stany z jednego końca na drugi. Nie lubiła kobiety, która zajęła jej miejsce, stworzenia z rozczochranymi włosami wrzeszczącego na męża z powodu błahostek.

Spojrzała na zegarek: za kwadrans siódma. Maleńka kuchnia zdawała się kurczyć, więziła ją w sobie. Piers wróci za wiele godzin – przed Anne rozciągał się długi wieczór. Łaknęła drinka i rozmowy z inną dorosłą osobą, która nie spędza dni na przejmowaniu się odparzeniami od pieluch i odstawianiem od piersi.

Zadzwoniła do Louise, a Louise, słodka Louise, natychmiast zgodziła się popilnować Eddiego. Dokąd jednak Anne miała pójść? Katherine wyjechała, Ceridwen była na zajęciach w szkole wieczorowej. Pomyślała o Aidanie. Nie widziała go od tygodni. Nadal nie powiedziała Piersowi o wizytach u Aidana, ale to nie miało znaczenia, ponieważ wróci do domu przed nim.

– Napijesz się wina? – zapytał Aidan.

Anne zdjęła płaszcz. Pod nim miała czarne spodnie i włochaty sweter w jasnym, zimowym odcieniu szarości.

– Byłoby cudownie.

– Pięknie wyglądasz.

– Aidanie, z nosa schodzi mi skóra i mam worki pod oczami. Jestem wykończona i mam wszystkiego dość.

– Mimo to – odparł, podając jej kieliszek.

W wąskiej kuchni otwierał szafki, szukając czegoś do wina. Otworzył puszkę oliwek i przesypał je do miski. Kiedy wrócił do pokoju, Anne przyglądała się akwareli.

– Podoba mi się – powiedziała. – To twoja, prawda?

– To północny Norfolk. Był sztorm i te cudowne pasiaste klify. Pojechaliśmy tam z Freyą.

– Co u niej?

– Doskonale. Jest bardzo podekscytowana pokazem. – Przyjaciółka Anne, Katherine Rose, zaproponowała Frei wystawę. – Dziękuję, że porozmawiałaś o niej z Katherine.

– To była przyjemność. Freya jest bardzo utalentowana. Chodzicie ze sobą?

– Nie. – Pokręcił głową. – Tylko się przyjaźnimy. Jak ci minął dzień?

Skrzywiła się.

– Nie należał do najlepszych. A tobie?

– To samo. Ty pierwsza.

Westchnęła.

– Rano pokłóciliśmy się z Piersem. Zanim jeszcze wypiłam kawę. Z mojej winy.

Aidan w to wątpił. Pomyślał, że winny prawdopodobnie był Piers.

– Chodziło o coś konkretnego?

– Och… – Usiadła na sofie, podwijając nogę. – Mam po uszy sprzątania po nim, ale nie tylko w tym rzecz.

Podejrzewał, że jeśli zapyta o coś więcej, Anne może zamknąć się w sobie. Odczuwał satysfakcję na wieść, że między nią a Piersem się nie układa, wiedział jednak, że nie może się z tym zdradzić. Wstał i zaczął w swoim zbiorze szukać odpowiedniej płyty.

– Urodzenie Eddiego zmieniło mnie – mówiła Anne. – Mam wrażenie, jakby przez moje życie przeleciał huragan. Wybuchł wulkan albo nastąpiło trzęsienie ziemi. Widzę jednak, że Piers tak nie odczuwa. Może to typowe dla mężczyzn. Nie rozumie, że wszystko się zmieniło. Nawet nie przewija Eddiego. Nosi go na rękach, ale go nie przewija. Wydaje mi się, jakbym zostawiła Piersa za sobą, a on nawet tego nie zauważył.

Aidana przeszedł lekki dreszcz radości, kiedy słuchał, jak Anne krytykuje męża. Z mściwą satysfakcją pomyślał, że przecież od początku wiedział, że ten związek nie może się udać.

Nastawił płytę z mazurkami Chopina.

– Może po prostu masz zły dzień – powiedział.

– Może. Ale nie chodzi tylko o Piersa, o mnie też. Nie wydaje mi się, żebym się nadawała na panią domu. Wszystkie te obowiązki… opieka nad dzieckiem… niektóre kobiety to kochają, prawda? Nawet

Eddie – uwielbiam go, ale tracę rozum, kiedy jestem z nim zamknięta w mieszkaniu.

Aidan wskazał butelkę, w odpowiedzi podsunęła mu kieliszek.

– Przekonałam się, że z trudem radzę sobie z chaosem – ciągnęła smętnie. – A przy małym dziecku zawsze jest chaos, bo wszystko jest takie nieprzewidywalne. Co się ze mną dzieje, Aidanie? Wychowałam się w artystycznym światku, nie powinny mi przeszkadzać okruchy grzanek w zlewie.

– Nic na to nie poradzisz. Taka jesteś.

Zrzuciła buty i podciągnęła kolana pod brodę.

– Jestem samotna, siedząc z dzieckiem w domu. Nikt cię o tym nie uprzedza. Ciągle myślę, że my, kobiety, nie powinnyśmy tak żyć, zamknięte w domach z maleństwem, z którym nawet nie można porozmawiać. Może powinnyśmy mieszkać razem, kiedy mężczyźni wychodzą polować na mamuty, czy co tam właściwie robicie. – Roześmiała się, ale w jej oczach nie było rozbawienia.

– Piers wie, że tu jesteś? – zapytał, siląc się na swobodny ton.

Pokręciła głową.

– Dzisiaj późno wraca. Eddiem opiekuje się Louise, więc spędzę u ciebie godzinę, nie dłużej. – Skrzywiła się; już wcześniej zauważył, że robi tak, kiedy czuje się winna. Zapytała, jak jemu minął dzień.

Księgi rachunkowe Wintertona leżały pomiędzy nimi na stoliku.

– Parszywie. Miałem spotkanie z księgowymi. Tracimy pieniądze. Niezbyt dużo, ale zyski z miesiąca na miesiąc maleją.

– Przykro mi. Czasy są ciężkie. Piersowi też jest trudno.

Aidan dolał wina do kieliszków.

– Tracimy zyski, odkąd umarł wuj Henry. Jak mówiłem, niezbyt wiele, ale różnicę widać.

– Co zrobisz?

Właśnie, co zrobi?

– Panna Rolfe niedługo idzie na emeryturę, więc nie zatrudnimy nikogo na jej miejsce. Niewykluczone, że trzeba będzie zwolnić jednego ze sprzedawców. – Cierpł na samą myśl o tym. Wszyscy podwładni pracowali w Wintertonie od lat, byli jak członkowie rodziny. – Problem z firmą taką jak nasza polega na tym, że nie można ciąć kosztów. Musimy robić dobre wrażenie, ponieważ tym się

zajmujemy, tym jesteśmy. – Wypuścił powietrze z płuc. – Sam nie wiem, Anne. Zastanawiam się nad tym przez cały dzień i na razie nie znalazłem rozwiązania. Nie znoszę, że to ja muszę podejmować tego rodzaju decyzje. Boję się, że zrobię to źle. Tak bym chciał, żeby wuj Henry żył. On zawsze wiedział, jak postąpić.

– Powinniście pracować razem z Piersem.

Spojrzał na nią ostro.

– Wiesz, że to niemożliwe.

– Naprawdę?

– Anne…

– Idź i porozmawiaj z nim.

– Kiedy ostatni raz próbowałem, zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Myślał, że Anne porzuci temat, ale się pomylił.

– Więc powinieneś spróbować jeszcze raz. Piers jest bardzo dumny. Nigdy nie wykona pierwszego ruchu.

– To wszystko jego wina – odparł Aidan sztywno. – Gdyby wtedy nie zaszalał, nic by się nie wydarzyło. Nie rozumiem, dlaczego ode mnie się oczekuje, żebym błagał go o wybaczenie.

– Nie proszę, żebyś go błagał, tylko żebyś znalazł sposób na zakończenie tego głupiego sporu, który robi krzywdę waszej rodzinie i firmie. Przecież to widzisz, Aidanie. Przecież dostrzegasz, jak nieszczęśliwe są z tego powodu twoja matka i Juliet. Ty musisz wyciągnąć rękę do zgody, ponieważ Piers tego nie zrobi. – Powiedziała to bez pretensji, ale też bez współczucia.

Kiedy milczał, wzruszyła ramionami.

– Nie? Dobra. Nie sądziłam, że się zgodzisz, ale musiałam spróbować.

– Ale chyba – zaczął gorąco – widzisz, że to nie jest sprawiedliwe…

– W życiu mało co jest sprawiedliwe, Aidanie – przerwała mu. – Jeszcze się tego nie nauczyłeś? – Odgarnęła włosy i zobaczył bladość jej cery, zapadnięte oczy, w których malowała się rezygnacja, a może rozpacz.

– Przepraszam – mruknął. – Nie mogę tego zrobić.

Zamilkli, muzyka Chopina wypełniła pokój.

– To wygląda, jakbyście grali w jakąś koszmarną grę. – Odstawiła kieliszek. – A mnie się robi niedobrze na myśl, że zostałam w nią

wkręcona.

– Anne.

Usiadł obok niej i otoczył ramieniem jej plecy. Oparła głowę o jego ramię.

– Tata często to grał – powiedział. Gorzko-słodka muzyka wypełniła pokój. – Na fortepianie w naszym domu w Maldon. Może nastawię coś weselszego. Otworzę następne wino.

– Powinnam już iść…

– Jeden kieliszek i zadzwonię po taksówkę.

Położył na adapterze *Rubber Soul* i poszedł do kuchni. Z szafki wyjął butelkę chablis i odkorkował.

Po powrocie do pokoju zobaczył, że Anne leży na sofie i śpi. Przykrył ją pledem, ściszył muzykę. Nalał sobie wina i zaczął przeglądać księgi. Od czasu do czasu patrzył na nią, na srebrną aureolę włosów i kruche kości dłoni opartej o twarz. Myślał, czy jej nie obudzić, ale zrezygnował. Rozważał to, co mówiła o Piersie. Nigdy wcześniej nie słyszał, by w taki sposób go oceniała. Była w jego mieszkaniu i wyznawała, że ma dość życia małżeńskiego. Powiedział sobie, że przynajmniej tutaj jest szczęśliwa, że ją ochrania, oferuje schronienie, i lekceważył cichy głos przekonujący, że sam siebie okłamuje, a jego motywy nie są aż tak szlachetne, jak by chciał wierzyć.

Anne obudziła się ze snu, w którym salon w jej mieszkaniu bardzo się powiększył, sufit wznosił się wysoko nad głową, a na ścianach wisiały obrazy. Ziewnęła i otworzyła oczy. Była u Aidana, który leżał na stojącej naprzeciwko sofie, oczy miał zamknięte, dokumenty rozrzucone wokół siebie.

Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest dziesięć po dwunastej. Krzyknęła, budząc Aidana.

– Muszę iść – powiedziała. – Moje rzeczy…

Z płaszczem i torebką w dłoni wybiegła z domu. Na Cheyne Walk dostrzegła żółte światło taksówki i gwałtownie pomachała. „Błagam, żeby Piers nie wrócił jeszcze do domu. Błagam, niech się spóźni”.

Taksówka wlokła się jak żółw, co rusz trafiali na czerwone światła, wreszcie jednak dotarła do domu. Zapłaciła kierowcy, otworzyła frontowe drzwi i cichutko pobiegła po schodach, żeby nie zirytować Lorda. Weszła do mieszkania i powiedziała:

– Louise, tak mi przykro…

– Odesłałem ją do domu. – Piers podniósł się z fotela.

Podeszła do niego i cmoknęła go w policzek.

– Dawno wróciłeś?

– Wiele godzin temu. Kolację odwołano.

– Och. Tak mi przykro, kochanie, gdybym wiedziała…

– Wiem od Louise, że byłaś u Aidana.

Musiała jej powiedzieć, dokąd się wybiera, gdyby były jakieś problemy z Eddiem.

– Nie zamierzałam tak się zasiedzieć – powiedziała zakłopotana.

– W to nie wątpię. Często go widujesz?

– Od czasu do czasu. – Zdjęła płaszcz. – Piers, od lat jesteśmy przyjaciółmi. Dawno ci o tym mówiłam.

W jego niebieskich oczach malowała się pustka.

– Od czasu do czasu… czyli jak często?

– Raz na trzy, cztery tygodnie, coś w tym rodzaju.

– Nigdy o tym nie wspominałaś.

Czuła się zbita z tropu.

– Przepraszam, byłam zajęta dzieckiem i w ogóle. – To była mało przekonująca wymówka.

Spochmurniał.

– Louise wiedziała, a ja nie.

– Piers. – Roześmiała się krótko, próbując złagodzić napięcie. – W twoich ustach wygląda to na spisek.

– Louise cię kryje, kiedy odwiedzasz Aidana. Miły układ.

– Na litość boską – warknęła. – Louise opiekuje się Eddiem, bo jej to nie przeszkadza i dobrze sobie z nim radzi. Odwiedzam Aidana, ponieważ go lubię, jest moim przyjacielem. Przepraszam, że ci o tym nie mówiłam, powinnam była, ale chcesz znać prawdę?

– Nadal na nią czekam – odparł nieprzyjemnym tonem.

– Więc dobrze. Nie byłam w stanie ci powiedzieć. Jeśli chodzi o Aidana, zachowujesz się nieracjonalnie. Tracisz panowanie nad

sobą, jeśli ktoś tylko wspomni jego imię.

Posłał jej przykry uśmieszek.

– Wygląda na to, że miałem powód.

– Co to znaczy?

– Jest wpół do pierwszej w nocy.

– Wiem. Przepraszam. Zasnęłam. Byłam zmęczona, napiliśmy się wina i po prostu zasnęłam.

Poszła do kuchni po szklankę wody. W zlewie leżał bukiet róż z cieplarni, nie pachniały, ich pąsowe płatki w słabym świetle wydawały się niemal czarne.

Wróciła do pokoju.

– Piers, cudowne kwiaty. To takie miłe z twojej strony.

Wzruszył ramionami.

– Miałem dobry dzień. Jak dotąd najlepszy, i pomyślałem… – W tej chwili minę miał skonsternowaną, nie rozgniewaną.

– Kochanie, to wspaniale.

– Też tak myślałem. – W jego głosie wciąż pobrzmiewało niedowierzanie. – Chciałem to uczcić, ale kiedy przyszedłem do domu, okazało się, że jesteś u Aidana. – Zmarszczył czoło. – Zasnęłaś… Daj spokój, Anne. Jesteś kreatywną, pełną inwencji kobietą. Nie możesz wymylić czegoś lepszego?

Wpatrywała się w niego.

– Co sugerujesz?

– Spędziłaś pięć godzin z Aidanem, śpiąc? Co naprawdę robiliście?

Sekundę lub dwie potrwało, nim pojęła, że Piers oskarża ją o romans z Aidanem. Myśl była tak szokująca i idiotyczna, że na moment odebrało jej mowę.

– Piers – powiedziała drżącym głosem. – Aidan i ja się przyjaźnimy, nic więcej.

– Nie wierzę ci.

– Mówię prawdę. Przykro mi, jeśli ta prawda cię rozczarowała.

– Rozczarowała? – powtórzył z gniewem.

Nagle miała ich obu dość. Tego, że pielęgnują urazy, wciągają całą rodzinę w spór, chociaż mogliby go rozwiązać uśmiechem i uściskiem dłoni. Była zbyt zmęczona, żeby się kłócić albo przerzucać mosty.

Skoro tak chcą, skoro wzajemna niechęć jest dla nich taka ważna, to niech będzie, ona przestanie się wtrącać.

Z gniewem strzepnęła poduszkę.

– Chciałbyś mieć jakieś uzasadnienie dla wszystkich złych uczuć do Aidana. Obawiam się jednak, że ja ci go nie dostarczę. Zasnęłam na sofie, kiedy Aidan przeglądał księgi rachunkowe. On też zasnął, a jak się obudziliśmy, była północ. Wydarzyło się tylko to i nic więcej. Od ciebie zależy, czy w to uwierzysz, czy nie.

Ściągnął usta.

– Musisz mnie brać za idiotę.

– Nie. – Spojrzała na niego stanowczo. – Myślę, że masz obsesję na punkcie bycia lepszym od Aidana i do tego stopnia zżera cię zazdrość, że zaczynasz sobie wyobrażać różne rzeczy. – Wzięła torebkę i szal. – Powiem ci, co naprawdę myślę, Piers. Uważam, że chowasz urazę, bo dzięki temu nie musisz stawić czoła prawdzie. Nie chcesz przyznać, jakim człowiekiem był twój ojciec, nie chcesz przyznać, że czasami nie masz racji. I wiesz co? Trudno cię wtedy lubić. Nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię brałam. Ta sprawa z twoim ojcem i Aidanem to już przeszłość. Przywyknij. Nie wyładowuj się na mnie.

– Zabrał mi spadek i teraz zabiera mi żonę.

Serce rwało się jej na strzępy, mimo to powiedziała:

– Mój Boże, czy ty siebie słyszysz? Koniec rozmowy, Piers. Mam tego dość.

Sądową sztukę Charley zatytułowaną *Gambit królewski* wystawiono trzy razy w lutym. Pierwszy spektakl okazał się porażką, fragmenty scenografii odpadały, aktorzy zapominali kwestii. Przyrzekła sobie, że nigdy więcej się na to nie narazi.

Drugi wieczór był lepszy. Daniel przyszedł na spektakl. Charley grała małą rólkę i pomagała przy rekwizytach; kiedy kurtyna po raz ostatni spadła, poszła zobaczyć się z nim w holu przy sali kościelnej.

– I co o tym myślisz?

– Niesamowite. Bardzo mi się podobało. Trzy razy wywoływano aktorów. Doskonała robota, Charley.

Wzięła go pod ramię i poszli do oddalonego o kilka ulic pubu, do którego nikt z zespołu teatralnego raczej by się nie wybrał. Czuła równocześnie zmęczenie i uniesienie. Daniel kupił piwo i czipsy. Usiedli i rozmawiali o przedstawieniu. O fragmencie, kiedy Kevin zszedł ze sceny po złej stronie i musiał obiec ją za kulisami. O zdemaskowaniu prawdziwego złoczyńscy – błyskotliwe, gryzłem paznokcie w napięciu, powiedział Daniel.

– Przyrzekam, że kiedy twoją sztukę będą grali na West Endzie, przyjdę ją obejrzeć.

– Danielu, wczoraj było tak okropnie, że o mało nie zrezygnowałam.

– Nie możesz – oznajmił poważnie. – Nawet się nie waż tego robić. Gdy twoi bohaterowie rozmawiali, myślałem: to takie prawdziwe, takie słuszne.

– Najlepiej nakreśliłam Maxa. – Max był złoczyńcą.

– I ten żal, który dodałaś na końcu, kiedy się przyznawał. Kobieta obok mnie miała łzy w oczach.

– Świetnie mi wychodzi żal. Mam praktykę.

– Nie tak wielką jak ja.

Pomyślała, że wygląda dzisiaj na znużonego.

– Jak się czuje Jeannette?

– Niezbyt dobrze. Simon ma świnkę. Teściowa jest u nas.

– Biedny Simon. I biedna Jeannette. Biedny ty.

– Nie marnuj na mnie swojego współczucia. – Odchylił głowę, wyciągając ręce. – Czekałem na ten wieczór od tygodni.

– W takim razie sytuacja rzeczywiście musiała być fatalna. – To była machinalna nonszalancka odpowiedź w stylu Wintertonów, Charley wygłosiła ją bez namysłu, ale zaraz na widok jego miny pożałowała, że lepiej nie dobrała słów.

– Myślałem, że nie dam rady. Jeannette chciała zrobić Simonowi podwieczorek i upuściła opakowanie jajek na podłogę. Nie potrafi utrzymać rzeczy. Strasznie się zdenerwowała. Godzinami ją uspokajałem.

– Jesteś bardzo dobry, Danielu.

– Nieprawda. – Oczy miał mroczne. – Płakała i powtarzała, jaka bezużyteczna się czuje, a ja zmuszałem się, żeby nie patrzeć na

zegar. Myślałem: błagam, przestań płakać, żebym mógł wyjść z domu; błagam, już nie płacz, żebym nie stracił pierwszego wieczoru na mieście od miesiąca. – Wzruszył ramionami. – Jeannette jest dobra i uczciwa. Ja nie.

– Mylisz się. Jesteś uroczy. Bardzo cię lubię.

– A ja ciebie, Charley.

Słysząc to, poczuła, jak zalewa ją ciepło. A potem Daniel cicho dodał:

– Nigdy jej nie kochałem. Nigdy.

Spojrzała na niego zszokowana, zaraz jednak ze współczuciem położyła dłoń na jego dłoni. Pogładził kciukiem jej palce.

– Byliśmy dziećmi, kiedy się pobraliśmy. – Zaśmiał się ironicznie. – Jeannette była moją pierwszą dziewczyną. Nie kochałem jej, po prostu się spotykaliśmy. Potem popełniliśmy idiotyczny błąd i do końca życia będziemy za niego płacić. Lubię ją i szanuję, ale jej nie kocham. Mimo to jednak nigdy od niej nie odejdę. Chociaż cierpi, nigdy się nie skarży. Ja na jej miejscu ciągle bym jęczał, jakie to niesprawiedliwe. Doskonale radzi sobie z Simonem, uwielbiam patrzeć na nich, kiedy są razem. Od czasu do czasu jednak przyglądam się swojemu życiu i myślę: jak to się stało? Skąd się tu wziąłem?

– Przykro mi. – Nic innego nie przyszło jej do głowy.

Uśmiechnął się do niej krzywo.

– Nie, to mnie jest przykro. To twój wieczór, a ja go rujnuję, użalając się nad sobą.

– Danielu, nie bądź niemądry.

Spojrzał na zegarek.

– Chyba muszę już iść. Świetnie się bawiłem.

Wyszli na chodnik pokryty warstwą lodu. Powietrze było lodowate. Ulicą jechały nieliczne samochody.

Przed stacją metra Daniel odwrócił się do niej.

– Próbuję ci powiedzieć, żebyś nie marnowała swoich szans. Wykorzystuj okazje. Będę trzymał za ciebie kciuki.

Uściskała go. I nagle się całowali. Tulił ją mocno, a ona chciała, żeby nigdy nie przestawał jej całować. Było tak, jakby się z nim połączyła, stała się częścią jego ciała. Odgłosy miasta umilkły,

Charley była świadoma tylko jego smaku i dotyku, zapachu jego skóry i włosów, gwałtowności pocałunków.

Kiedy się od niej odsunął, odczuła to tak, jakby w jej wnętrzu otworzyła się pustka. Rozstali się, ona zbiegła na peron, on ruszył na przystanek autobusowy. W metrze wydawało jej się, że usta ma posiniaczone, a twarz podrapaną od jego zarostu. Jej pierwszy pocałunek: przekroczyła granicę i pragnęła komuś o tym opowiedzieć. Chętnie krzyczałaby o tym na głos, kiedy pociąg pędził tunelem od stacji do stacji.

W czasie krótkiej drogi do domu zastanawiała się, co będzie dalej. Może pozostaną przyjaciółmi i tylko od czasu do czasu będą się całować ze smutkiem i żalem, nigdy nie mówiąc o tym, co mogłoby być. A może ona wynajmie mieszkanie (wyobrażała sobie, że w okolicy znanej z artystów, w pobliżu Russell Square), gdzie będą mogli prowadzić w tajemnicy namiętny romans.

Weszła do domu. W salonie grało radio, Gabe jadła czekoladki, Louise robiła na drutach. Na widok Charley zapytała:

– Jak poszło?

Charley zapomniała o sztuce. Musiała pozbierać myśli, zanim odpowiedziała:

– O wiele lepiej niż wczoraj. Co za ulga.

Gabe machnęła w jej stronę bombonierką.

– Poczęstuj się.

Charley wybrała pomadkę o smaku toffi. Wyczuwała, że przerwała im rozmowę. Powiodła spojrzeniem od Louise do Gabe.

– Co się dzieje?

– Nie słyszałaś?

– O czym?

– O Anne.

To imię zawsze budziło w Charley wyrzuty sumienia.

– Ale co?

– Odeszła od Piersa – wyjaśniła Gabe. – Wiem od mamy. Powiedziała jej twoja mama.

Uniesienie Charley zniknęło, jakby ktoś wytarł zaparowaną szybę.

– Odeszła od niego…

– Tak… to straszne, zgadzasz się? Zamieszkała u przyjaciół na Notting Hill.

– Zamieszkała… To znaczy na zawsze?

Gabe patrzyła na nią swoimi niebieskimi oczami.

– Nie mam pojęcia.

– A co z Eddiem?

– Zabrała go ze sobą.

– O nie. Biedny Piers.

– Piers? – powtórzyła Gabe zjadliwie. – Według mnie to jego wina. – Włożyła do ust następną czekoladkę.

– Tego nie wiesz, Gabe – powiedziała Louise.

– Nie, ale prawdopodobnie tak jest.

– Ale oni są małżeństwem dopiero od półtora roku! – Charlie zrobiło się niedobrze. – A Eddie jest malutki!

Anne zapytała ją, czy to prawda, że Piers ożenił się z nią na złość Aidanowi. Powiedziała: „Nie mogę przestać o tym myśleć". Charley wiedziała, że jest za tę sytuację odpowiedzialna, że rozpad małżeństwa Piersa nastąpił z jej winy. Z powodu zazdrości i urazy zasiała w Anne ziarno nieufności. Musiała uwierzyć, że Piers nigdy jej nie kochał. I dlatego go opuściła.

Niedługo potem Louise i Gabe poszły spać. Oszołomiona przygnębieniem i poczuciem winy Charley została w salonie. Musiała z kimś porozmawiać. Na myśl przyszedł jej Nate. Było późno, ale Nate nigdy się nie kładł przed północą, tak więc Charley zadzwoniła do domu Sinclairów.

Odebrał Nate.

– Jak udało się przedstawienie?

– Dobrze.

Usłyszała szelest i wyobraziła sobie, że Nate wyjmuje papierosa z paczki.

– Jak to: dobrze? Charley, wszystko z tobą w porządku?

– Anne odeszła od Piersa.

– Poważnie? – Rozległ się trzask zapalniczki. – To znaczy faktycznie od niego odeszła, a nie zaczęła mieć po uszy tego, że jest irytującym draniem? Odeszła, czyli zostawiła go?

– Tak. I to jest moja wina, Nate!

Zapadło milczenie. Wyobrażała sobie, jak Nate przetrawia wiadomość i wspomina tamten okropny wieczór w Marsh Court, kiedy się pokłócili na opasce brzegowej; na pewno myśli, że Charley jest okropna.

On jednak łagodnie powiedział:

– Charley, to nieprawda.

– Prawda. Powodem jest to, co jej powiedziałam, wiem o tym.

– Nie. Żony nie opuszczają mężów z powodu cudzych nietaktownych wypowiedzi. Trzeba czegoś o wiele więcej.

Pociągnęła nosem.

– Ale to na pewno nie pomogło.

– A ja uważam, że Anne miała po uszy grania drugich skrzypiec po obsesji Piersa, żeby zrobić z Aidana mielone mięso.

Nie uważała, że Nate ma całkowitą rację, wiedziała, że jednak po części ponosi odpowiedzialność i że musi to wyjaśnić, ale poczuła się trochę lepiej i zapytała:

– A co u ciebie, Nate?

– Ucieszysz się, że przestałem się zachowywać jak idiota. Obecnie jestem człowiekiem, który prowadzi porządne życie i ma czyste serce.

– To wielka ulga.

– Wiesz, miałem dość samego siebie – powiedział po chwili – i przyszło mi na myśl, że inni ludzie mogą podzielać to uczucie.

– Ja nigdy nie miałabym ciebie dość, Nate, za to znudził mi się Wydział Gospodarki Wodnej. Myślę o porzuceniu pracy. Postanowiłam skupić się na pisaniu. – Pomyślała, że zabrzmiało to pompatycznie.

Nate jednak odpowiedział:

– Świetnie. Najwyższy czas.

Pożegnali się i rozłączyli.

W nocy nie mogła zasnąć przez wiele godzin, najróżniejsze myśli kłębiły się jej w głowie. Sztuka, pocałunek, Anne. Sztuka wcale nie jest taka dobra, jak z dobroci powiedział jej Daniel, intryga razi wtórnością, coś na kształt rozwodnionego Alfreda Hitchcocka, a konstrukcja pozostawia wiele do życzenia. Ale kilka fragmentów się

jej udało, z kilku kwestii była dumna, tylko że trafiały się w tekście jak porzeczki w puddingu.

Wiedziała także, że nie będą mieli z Danielem sekretnego namiętnego romansu, jak sobie wyobrażała. Nie tylko dlatego, że Daniel nie był człowiekiem zdolnym do oszukiwania, ale także dlatego, że ona by na to nie pozwoliła. Nigdy więcej nie poczuje dreszczu wywołanego jego pocałunkiem. Jeśli rzeczywiście przyczyniła się do rozstania Piersa i Anne, to przecież o wiele większy błąd by popełniła, gdyby romansowała z żonatym, prawda?

Daniel nadal będzie się opiekował Jeannette i Simonem, bo jest dobry i lojalny. Myśl, że do końca życia będzie się czuł uwięziony, wywołała w Charley głęboki smutek. Powiedział, że pewnych rzeczy nie da się naprawić, i chociaż wciąż nie chciała w to uwierzyć, strasznie się bała, że Daniel może mieć rację.

Niezależnie od tego, jak bardzo Piers jest irytujący i do jakiego stopnia Gabe ma rację w kwestii jego winy, dręczyło ją, że jest sam w tym okropnym mieszkaniu. Musiała jakoś odkupić swoje pochopne słowa, ale nie miała zielonego pojęcia, jak tego dokonać; prawdę mówiąc, teraz o niczym nie miała zielonego pojęcia. Jej niechęć do Anne wydawała się dziecinna i nierozsądna. Dotrzymała obietnicy danej Nate'owi, że zaprzyjaźni się z Anne, nie włożyła jednak w to serca. Kolejna sprawa, nad którą musi popracować.

CZĘŚĆ CZWARTA

GROBLA

Rok 1966

Rozdział piętnasty

Maj–czerwiec 1966 roku

Kiedy Piers był chłopcem, ojciec chrzestny Gillis Sinclair dwa razy w roku zapraszał go na podwieczorek do herbaciarni Guntera. Wyczekiwał na to niecierpliwie, ponieważ wolno mu były zjadać ogromne porcje lodów i ciasta. Tradycja trwała, chociaż kiedy Piers dorósł, podwieczorek zmienił się w lunch, najczęściej w Rules.

Gillis zadzwonił do niego w ubiegłym tygodniu i zaproponował spotkanie. Piers miał ochotę odmówić – interesy wreszcie zaczynały iść dobrze i miał masę pracy, poza tym wyczuwając niejaką apatię w głosie ojca chrzestnego, spodziewał się dwóch trudnych godzin, w czasie których będzie musiał podtrzymywać wesołą rozmowę, żeby staruszek nie zaczął snuć sentymentalnych wspominków o cioci Blanche.

Mimo to się zgodził. Ojciec chrzestny zawsze dobrze go traktował. Jako nastolatek Piers ogromnie podziwiał Gillisa: bohater wojenny, człowiek, któremu z jednakową łatwością przychodziło żeglowanie, strzelanie z broni palnej i zamówienie koktajlu. Na pogrzebie Blanche było mu go żal. Wyglądało, jakby życie po części wyciekło z biedaka. Zastanawiał się, czy Gillis czuje się samotny.

Ojciec chrzestny czekał na niego w restauracji. Zamówił jak zawsze szampana, to stało się ich tradycją. Piers nie przepadał za szampanem, ale było o wiele za późno, żeby mówić o tym Gillisowi. Rozmawiali o polityce, biznesie i żeglowaniu, zmiatając z talerza najpierw ostrygi, potem stek i pudding z nerek.

Przy kawie Gillis powiedział:

– Słyszałem, że odszedłeś od żony.

Piers pokręcił głową.

– Ona odeszła ode mnie. – Nadal ogarniała go lodowata furia na wspomnienie dnia, gdy wrócił z pracy i przekonał się, że Anne i Eddiego nie ma, że zniknęły ich rzeczy, a na stoliku leżał list od niej. Co ona sobie myślała, cholera, tak go zostawiając? Na litość boską, byli małżeństwem.

– Dlaczego? Co zrobiłeś?

Piers się najeżył.

– To nie była moja wina.

Gillis przyjrzał mu się z namysłem.

– Jesteś tego pewien?

– Tak, oczywiście – odparł Piers sztywno, przeszywając ojca chrzestnego gniewnym wzrokiem. – Kto ci powiedział? Mama?

Gillis pokręcił głową.

– Nie. Dowiedziałem się od twojej ciotki Jane. Wpadłem na nią u Claridge'a, upijała się martini z wódką. – Uśmiechnął się jak dawniej, szelmowsko. – Chwilę dotrzymałem jej towarzystwa. – Wyraz jego twarzy uległ zmianie. Wyjął papierośnicę i podsunął ją Piersowi. – Przez całe swoje małżeństwo popełniałem błędy. Nie idź w moje ślady.

– Co masz na myśli?

Gillis utkwił swoje przenikliwe szaroniebieskie oczy w twarzy chrześniaka. Piersowi nie podobał się ich wyraz.

– Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję Blanche, dopóki nie zachorowała. Śmieszne, pod pewnymi względami te ostatnie miesiące były najlepszym okresem naszego małżeństwa. Należę do ludzi, którzy łatwo się nudzą, lubią ciągle nowe podniety. Myślę, że jesteś taki sam. Kariera, firma, kobiety… to bez znaczenia, ciągle za czymś goniłem. Byłem głupcem. To, czego potrzebowałem, miałem tuż przed sobą, ale zabrakło mi rozsądku, żeby to zrozumieć, aż było za późno.

Mrugnięcie, jakby opadła kurtyna, i Gillis znowu stał się dobrodusznym, szczodrym ojcem chrzestnym.

– Proszę. – Z kieszeni wyjął kopertę. – Kup coś dla syna.

Kiedy skończyli drinki i papierosy, wyszli z restauracji. Rozstali się, ściskając sobie dłonie na pożegnanie, i Piers pojechał na Notting Hill,

gdzie miał odebrać Eddiego. Anne zadzwoniła do niego i zaproponowała, żeby raz w tygodniu opiekował się Eddiem, dzięki czemu będzie regularnie spędzał z nim czas, a ona zyska szansę na nadrobienie zaległości. Piers zgodził się zajmować dzieckiem w środowe popołudnia od przerwy na lunch.

Zabrał Eddiego, wózek, idiotycznie wielką torbę z pieluszkami, ubranka i zabawki, po czym ruszył do domu. Z pieniędzmi nadal było krucho, zdecydował się na metro zamiast taksówki, co jak się wkrótce przekonał, było błędem z powodu schodów zwykłych i ruchomych. Pociąg był zatłoczony, skończyło się na tym, że Piers stał w grzechoczącym, kołyszącym się wagonie, a Eddie płakał, bo nie podobał mu się hałas. Albo tak sądził Piers – Eddie niedługo kończył rok i sam jeszcze nie potrafił wyjaśnić, dlaczego płacze. To samo, tylko w odwrotnej kolejności, czekało go na South Kensington, gdzie wysiadł z dzieckiem pod jedną pachą, wózkiem pod drugą i torbą na ramieniu. Ludzie tłoczyli się przed nim i potrącali go, śpiesząc się, by jak najszybciej opuścić stację. Chciał odpowiedzieć im tym samym, ale ze względu na Eddiego nie mógł.

W mieszkaniu pragnął tylko usiąść z kawą i wyrównać oddech, smrodek jednak powiedział mu, że trzeba zmienić pieluszkę Eddiemu. Odwijając kwadrat brudnej tkaniny, poczuł nudności wzbierające w gardle, ale zdołał je przełknąć i oczyścił syna. Potem jak komediowy bezużyteczny tata ukłuł się agrafką, wrzasnął i zaczął ssać kciuk. Eddie najwyraźniej uznał to za prześmieszne, a potem posikał czystą pieluszkę i ręcznik, na którym Piers go przewijał. Powódź zmoczyła koszulkę i butki, w końcu więc Piers wsadził go do wanienki, a sam poszukał plastra. Eddie chciał złapać brzytwę leżącą na krawędzi wanny, poślizgnął się i uderzył w głowę. Wstrzymawszy oddech na przerażająco długą chwilę, zaczął przeraźliwie płakać. Idiota z ciebie, powiedział sobie Piers, owijając szlochające dziecko w ręcznik i próbując je uspokoić. Koncertowy bezużyteczny idiota.

W końcu zapanował spokój. Ubrał Eddiego i usiadł z nim na sofie. Obaj musieli zasnąć, bo kiedy Piers otworzył oczy, wskazówki zegara przesunęły się na wpół do piątej. Ciepła główka Eddiego opierała się o jego ramię, nóżki o klatkę piersiową. Piers pocałował gęste białe

włoski i znowu został ugodzony, tym razem miłością do syna. Myślał, że serce mu pęknie.

Potem obudził się Eddie, rozdrażniony i wymagający.

– To jego najgorsza pora – przestrzegła Piersa Anne.

Musiał przygotować mu jedzenie: rozgniecione gotowane jajko i miękkie chlebowe paluszki, z Eddiem opartym na biodrze, ponieważ za każdym razem, kiedy sadzał go na dywanie z zabawkami, mały płakał. Większość jajka wylądowała na podłodze, trochę mleka na sweterku i znowu trzeba było go przebrać.

Po podwieczorku nie miał sił znowu męczyć się w metrze, i na Notting Hill pojechał taksówką.

– Jaki był? – zapytała Anne, gdy przekazywał jej Eddiego i jego rzeczy.

– Grzeczny – odparł Piers. Później, czując potrzebę szczerości, dodał: – Prawdę mówiąc, to była cholernie ciężka robota. Wyczerpująca. Ale pod pewnym względem miła.

Wrócił do siebie. Łazienka była zarzucona mokrymi ręcznikami, podłogę w kuchni znaczyły plamy jajka. Zaparzył sobie herbatę, zrobił grzankę i zjadł ją w salonie przy włączonym radiu.

Tęsknił za nimi. Mieszkanie wydawało się puste bez nich dwojga, puste, brzydkie i niechlujne, bo ostatnio nikt tu nie sprzątał. Nie przypominało prawdziwego domu. Gdyby Anne tu była, robiłaby kolację, fatalnie i w złym nastroju, ponieważ zawsze gotowała fatalnie i w złym nastroju, a Eddie by marudził, jak zwykle przed snem. Piers nigdy nie pomyślałby, że będzie mu brakowało takich zwykłych rzeczy, a jednak. Chociaż próbował, nie udawało mu się wzbudzić w sobie uzasadnionego gniewu na Anne z powodu jej kłamstw dotyczących Aidana. Przekonał się, że już nie jest zły, tylko rozpaczliwie smutny. Pragnął, żeby wróciła do domu, ale nie wiedział, jak ją do tego nakłonić. Nie wiedział nawet, czy ona chce tu wrócić.

Włożył marynarkę, żeby pójść do sklepu na rogu po coś do jedzenia, i znalazł kopertę, którą dał mu Gillis. Otworzył ją, spodziewając się jak zwykle czeku na dwadzieścia pięć funtów.

Z niejakim wstrząsem zobaczył, że to czek na tysiąc funtów. Wpatrywał się weń i zastanawiał, czy staruszek nie popełnił błędu –

ale nie, podpis i data były w porządku. Był wdzięczny i ulżyło mu, bo teraz mógł spłacić część długów, ale równocześnie czuł dziwny niepokój.

W piątek wieczorem Gillis wypłynął Morską Tancerką z ujścia Crouch, korzystając z wieczornego pływu. Gwiazdy szkicowały wzory na czystym niebie, wiał wiatr. Znał te wody jak własną kieszeń, orientował się, gdzie grozi niebezpieczeństwo, mielizny, wyspy i stare wraki zatopione w mokradłach. Raz trafił na minę, która tkwiła w piasku niczym przerośnięty zżarty rdzą żelazny kasztan.

Morska Tancerka była sporym jachtem, żeglowanie w pojedynkę sprawiało niejaką trudność, ale Gillis znał ją na wylot i wiedział, czego się spodziewać. Przyjaźnili się przecież od dwudziestu lat. Zawsze lubił żeglować sam, zwłaszcza nocami. Wokół nie było innych łodzi, a kiedy wpłynął na otwarte wody Morza Północnego, wydawało się, że ma tę rozległą przestrzeń tylko dla siebie. Zgasił silnik i postawił żagle. Ogarnął go spokój, gdy spojrzał w niebo, poczuł wznoszenie się i opadanie fal pod dziobem, usłyszał delikatny szum wiatru w płótnie żagla. Był zmęczony i nie w sosie, w gruncie rzeczy od jakiegoś czasu nie był sobą i czuł ulgę, że jego piękna, elegancka Morska Tancerka mniej lub bardziej wykonuje pracę sama.

Odkręcił piersiówkę i napił się whisky. Jego życie można odmierzyć łodziami: zaczęło się od małej z dzieciństwa, potem był ojcowski jacht sprzedany po bankructwie, a w czasie wojny korwety, niszczyciele i łodzie torpedowe, które potajemnie nocami transportował na duńskie wybrzeże. Oraz ogromna flotylla użyta do ewakuacji niedobitków armii brytyjskiej latem 1940 roku. Niezależnie od swoich wad wziął w tym udział i był z tego dumny.

Ale myśli o Dunkierce przypominały mu Morgana i ulotny spokój pierzchł, zastąpiony nerwowym niepokojem, który dręczył go od chwili, kiedy Juliet mu powiedziała o ponownym pojawieniu się Walijczyka. Morgan zatelefonował do biura Gillisa nazajutrz po wizycie Juliet w Londynie. Nie zostawił Gillisowi wyboru, musiał się z nim spotkać i mu zapłacić.

Morgan żądał pieniędzy za to, że będzie milczał o Thei. Gillis dał mu zadowalającą sumę i modlił się, by Walijczyk wydał ją na alkohol i zapił się na śmierć. Ale się nie zapił, niech będzie przeklęty, i po miesięcu znowu się odezwał. „Chcę kupić dom", powiedział Gillisowi. „Znalazłem ładny domek pod Swansea i potrzebuję gotówki na depozyt".

Gillis wypisał czek. Wtedy Blanche była już ciężko chora i przerażała go myśl o Davidzie Morganie rozmawiającym z dziennikarzem albo co gorsza z kimś z rodziny.

Po raz kolejny zobaczył Morgana po śmierci Blanche. Pewnego dnia wyszedł z domu i dostrzegł go, swoje przeznaczenie, na drugim końcu placu. Zrozumiał wtedy, że ten człowiek nigdy nie da mu spokoju. Jakim był głupcem, wierząc, że więź, która powstała w czasie służby w marynarce wojennej, zapewni mu bezpieczeństwo. Morgan nie miał ani krzty lojalności i sumienia.

Gillisowi dotąd się udawało, ale wiedział, że to koniec. Dziękował Bogu, że Morgan zwrócił się do Juliet, a nie do Blanche, i że Blanche nie dowiedziała się o Frances. Na myśl o żonie oczy zaszły mu łzami. Oparty o reling, napił się znowu whisky i spojrzał na fale uderzające o burtę jachtu. Szlochał, wspominając jej straszny koniec. Na sześć tygodni przed śmiercią nastąpiły przerzuty do kręgosłupa, co skutkowało paraliżem. Cierpiała strasznie, a on nie mógł w żaden sposób jej pomóc. Lekarze także byli bezradni. Blanche, choć gorliwa chrześcijanka, błagała o śmierć. Gillis miał mnóstwo wspomnień, z którymi trudno mu było żyć, ale to było najgorsze.

Plusk, plusk, plusk: woda rozbijała się o burtę z hipnotyczną, rytmiczną siłą. Wiatr się wzmagał. Gillis po raz pierwszy wpadł do Morza Północnego w lodowatą noc w kwietniu 1940 roku, kiedy na początku wojny w zachodniej Europie jego okręt został trafiony przez U-Boota. Kilku marynarzy wciągnęło go do szalupy. Nigdy nie zapomniał szoku wywołanego lodowatą wodą, smaku soli na ustach i powolnego odrętwienia ogarniającego ciało. Wcześniej zawsze sądził, że będzie walczył do ostatniego oddechu, wtedy jednak dowiedział się o sobie czegoś innego. Kilka minut dłużej i poddałby się zimnu, zamknąłby oczy, wyciągnął ręce i pozwolił, by prąd go porwał. I wcale tak bardzo by się nie buntował.

Od miesięcy nie czuł takiej jasności myśli. Obie córki były dobrze urządzone i pomogą Nate'owi opiekować się Rorym. Po śmierci Blanche Gillis zmienił testament: Nate'owi zostawił dom w Londynie, ustanowił fundusz powierniczy dla Rory'ego, dom w Wiltshire zapisał Claudii i Flavii. Przypuszczał, że go sprzedadzą.

Morgan stał się pasożytem, potworem. Ostatnio serce Gillisa waliło przy każdym dzwonku telefonu i pukaniu do drzwi. Wyczekiwanie go znużyło; świadomość, że Morgan lada moment może zniszczyć jego życie, była nie do zniesienia. W trakcie ostatniej rozmowy Gillis zagroził Morganowi policją, w końcu szantaż to przestępstwo, ale Walijczyk roześmiał mu się w twarz.

– O moich występkach napiszą w krótkiej notce gdzieś w środku gazety – powiedział. – Za to twoje znajdą się w nagłówkach na pierwszej stronie.

Gillis i Blanche od początku małżeństwa żyli luksusowo: dwa domy, wyjazdy na narty, dwutygodniowe wakacje na południu Francji, czesne dla dzieci, samochody, wesela, goście i darowizny na organizacje charytatywne, które były tak ważne dla Blanche. Nigdy nie oszczędzali. Kapitał Gillisa stanowiły dwa domy i skromny portfel akcji, gotówkę wydawali na bieżąco. Gdyby dożył osiemdziesiątki, Morgan nadal by tu był, dręcząc go, wyciskając z niego pieniądze, żywe uosobienie decyzji, którą pod wpływem chwili podjął dwadzieścia lat temu. W chwili tchórzostwa, w chwili optymizmu, teraz już nie miał pewności.

Nie chodziło o to, że nie zasłużył na taki osąd, ale musiał myśleć o dzieciach i ich przyszłości. Bankructwo jego ojca zmusiło go, by zaczynał od zera, bez grosza przy duszy, i lata poprzedzające ożenek z Blanche wypełniała mu walka. Nie chciał, by z jego powodu synowie musieli zmagać się z podobnymi trudnościami. Nie pozwoli, by ich życie było zbrukane wstydem. On na to zasłużył, oni nie.

Wypił resztę whisky, wpatrując się w morze. Już nie wydawało się spokojne, ale czarne i złośliwe. Przerażała go myśl o zanurzeniu się w ten ogromny mrok. Śmieszne, jak czepiamy się życia, chociaż straciło smak. Zakręcił piersiówkę, włożył ją do kieszeni i chwilę stał, obserwując wznoszenie się i opadanie fal.

Po raz ostatni sprawdził stery. Poklepał maszty Morskiej Tancerki, jakby w ten sposób jej dziękując, i wrócił do relingu. To nie było złe życie, właściwie nie, wyłączając kilka przykrych lat na końcu. Ale niczego nie żałował. Miejsc, w których bywał, rzeczy, które zrobił, kobiet, które kochał: niczego nie żałował. Nigdy nie wierzył w żale poniewczasie.

Był koniec maja, ferie z okazji Zielonych Świątek. Juliet spędzała długi weekend u swojej przyjaciółki Olwen na Sussex Downs. Poznały się w szkole podstawowej w Maldon, w której Juliet uczyła plastyki, a Olwen przed laty francuskiego. Później pod Lewes założyła własną szkołę, Merivel Hall. Przyjmowała do niej uczniów, z którymi inne instytucje miały kłopoty: dzieci nieposłuszne, dzieci mające problemy z nauką pisania i czytania, dzieci niepotrafiące się przystosować do szkolnego życia.

W tamtą sobotę dopisała pogoda, Juliet zaproponowała więc, że będzie towarzyszyła grupie uczniów i jednej z nauczycielek, pannie Hewitt, w wędrówce przez Downs. Dziewczęta, których rodzice mieszkali za daleko, żeby zabrać je na kilka dni do domu, zdobywały odznaki skautowskie.

Zakończywszy pomyślnie wyprawę, kobiety prowadziły zmęczone uczennice wąskimi drogami do szkoły. W jednej ze wsi trafiły na sklepik. Dziewczyny weszły kupić lody.

Nauczycielki czekały na zewnątrz. Panna Hewitt opowiadała o swoim narzeczonym, który służył w wojsku.

– Nie jestem pewna, czy polubię Cypr. Trevor mówi, że strasznie tam gorąco, a ja dostaję potówek i nie pływam za dobrze. Gdzie się podziały te dziewczyny? – W jej głosie zabrzmiał niepokój. – Mam nadzieję, że nie kupują papierosów. Denise Adams jest do tego zdolna.

Juliet zaoferowała, że po nie pójdzie. W sklepie dziewczyny odpakowywały lody i oglądały komiksy na ladzie.

Uwagę Juliet zwrócił nagłówek w wieczornej gazecie. *Jacht członka parlamentu znaleziony na mieliźnie*. Przesunęła wzrokiem po artykule i w oczy rzuciła jej się nazwa jachtu – Morska Tancerka. To przecież

jacht Gillisa. Fred Brandon zbudował go w swojej stoczni na wyspie Mersea. Z walącym sercem wygrzebała drobne z portmonetki i kupiła gazetę.

Wydawało jej się, że na zewnątrz zrobiło się zimniej. Powiedziała pannie Hewitt, że chce zadzwonić z budki na rogu, więc niech idą, ona je dogoni. Kiedy zniknęły jej z oczu, przez przełaz poszła na łąkę i usiadła na trawie. Artykuł musiała przeczytać w samotności.

Gillis zaginął na morzu. Znaleźli jego jacht na mieliźnie pod Shoeburyness. W piątek późnym wieczorem wypłynął na Morskiej Tancerce z mariny w Burnham-on-Crouch. Na pokładzie nikogo prócz niego nie było. W artykule podano jeszcze, że szuka go straż przybrzeżna.

Juliet usiłowała przetrawić wiadomość. Najpierw Blanche, a teraz Gillis; biedne dzieci. To wykraczało poza jej zdolności pojmowania. Gillis był doświadczonym żeglarzem, nie mógł ot, tak wypaść z pokładu do morza. Nie potrafiła otrząsnąć się z wrażenia, że to jakaś pomyłka, że kiedy po powrocie do szkoły zadzwoni, dowie się, że wszystko jest w porządku. Pamiętała o szalupie ratunkowej. Coś musiało szwankować na jachcie i Gillis przesiadł się do szalupy. Prędzej czy później go znajdą.

Wróciła do Merivel Hall. Olwen już na nią czekała; powiedziała, że kilka razy dzwoniła Charley.

Charley była u Sinclairów.

– Mamo, to straszne. – Głos jej drżał. – Biedny Nate. Biedny Rory.

Juliet zapytała ją o szalupę. Okazało się, że była przymocowana do jachtu. Serce Juliet niespokojnie zabiło.

– Jacht osiadł na mieliźnie – mówiła Charley. – Nate pytał, czy doszło do jakiejś awarii, ale na razie nikt mu nie odpowiedział.

– Kiedy go znaleźli?

– Dzisiaj rano. Nate mówił, że proponował wujkowi Gillisowi, że z nim popłynie, ale wujek mu powiedział, że zabiera ludzi z klubu jachtowego. Tylko że popłynął sam, mamo.

– Może zmienił zdanie – odparła Juliet, stwierdziła jednak, że w uszach znowu jej brzmi rozdzierający szloch Gillisa na pogrzebie Blanche. – Wracam do Londynu. Będę u was za kilka godzin.

Spakowała się, Olwen odwiozła ją na dworzec w Lewes. W Brighton przesiadła się na pociąg do Londynu. Szokiem dla niej była informacja, że szalupę znaleziono przy jachcie. Zastanawiała się, czy Gillis się poślizgnął i wypadł za burtę. Jeśli tak, musiał długo być w lodowatej wodzie Morza Północnego, a nikt nie zdoła tego przetrwać, nawet człowiek tak silny i sprawny jak Gillis.

Z dworca Victoria poszła na St. James's. Zmrok jeszcze nie zapadł, park był zielony i tajemniczy. Kilkoro turystów zaglądało przez bramę pałacu Buckingham.

Dzwoniąc do drzwi, starała się nie myśleć o wielu innych okazjach, kiedy odwiedzała Sinclairów, o kolacjach, koktajlach i uroczystościach rodzinnych. Starała się nie myśleć o podwójnym życiu, które z Gillisem prowadzili przez tyle lat. Tak wiele z przeszłości teraz wydawało się daremne i podłe.

Otworzył Nate. Objęli się i poczuła, jak bardzo jest napięty.

– Tak mi przykro, Nate. To straszne. Wiesz coś więcej?

Pokręcił głową i cicho powiedział:

– Rory myśli, że zaraz zadzwoni telefon i to będzie tata. Jest takim idiotą.

Weszli do kuchni. Przy piecu stała Charley i mieszała w garnku. Flavia, starsza córka Gillisa, nakrywała do stołu. Juliet ucałowała obie.

– Toby wyjechał, więc ze względu na dzieci Claudia będzie tu dopiero jutro – wyjaśniła Flavia.

Rory wpatrywał się w mapę wybrzeża Essex rozłożoną na końcu stołu.

– Może tata przegapił ujście, kiedy po ciemku wracał do domu – powiedział.

– Noc była jasna – odparł Nate. – Świeciły gwiazdy i księżyc.

– Tutaj. Tam mogły być chmury.

– Och, na litość boską – mruknął Nate.

– Poskładaj mapę, żeby było miejsce na talerze – powiedziała łagodnie Flavia.

Rory'emu nie wychodziło składanie, więc Nate wyrwał mu mapę i zrobił to jak trzeba. Charley spojrzała na Juliet.

– Masz butelkę wina, Nate? – zapytała Juliet. – Myślę, że wszystkim nam dobrze by to zrobiło.

Nate przyniósł butelkę burgunda. Otworzył ją i nalał do pięciu kieliszków, w tym odrobinę dla Rory'ego.

Podczas posiłku Juliet opowiadała o pieszej wędrówce ze skautkami, żeby zapełnić ciszę. Nate odzywał się rzadko, za to Rory ciągle mówił o ojcu, szalupach i straży przybrzeżnej. Kiedy kończyli jeść gulasz, który ugotowała Charley, Nate poszedł po następną butelkę.

Rory podsunął bratu kieliszek.

– Mogę…?

– Nie.

– Nate.

– Zamknij się. – Nate nalał sobie i szybko wypił.

– To nie w porządku…

– Hej, czy przypadkiem dzisiaj w telewizji nie ma Tommy'ego Coopera? – wtrąciła się Flavia. – Chodź, Rory, ja go uwielbiam, a ty?

Poszli na piętro.

– Chryste – jęknął Nate, łapiąc się za głowę. – Dzięki Bogu.

Charley ścisnęła go za ramię.

– Cholera jasna, dlaczego on nie może zrozumieć, że ojciec nie żyje? Mówiłem mu o łodzi. Dlaczego to do niego nie trafia?

Bo nie chce, żeby trafiło, pomyślała Juliet. Bo nie potrafi tego znieść.

Nate wstał, strącając dłoń Charley.

– Tata był wyśmienitym żeglarzem. Na rany Chrystusa, wiele lat służył w marynarce. Żeglował wzdłuż wybrzeża setki razy.

– Jeśli jednak wydarzyło się coś nieoczekiwanego…

– Gillis zawsze mówił, że morze jest nieprzewidywalne – wsparła córkę Juliet.

– To wówczas skorzystałby z szalupy. – Głos Nate'a brzmiał tak, jakby niezliczoną ilość razy powtarzał to sobie w myślach. – Spuściłby na wodę tę cholerną szalupę.

– Nate, tego nie wiesz. – Słowa Nate'a odbijały echem pytania, które zadawała sobie Juliet. Pragnęła znowu go objąć, ale był spięty, nie chciał, by go dotykano. – Nikt tego nie wie – dodała łagodnie.

– Mógł zachorować – powiedziała Charley. – Przecież sam mówiłeś, że niepokoił się o swoje serce?

Nate oparł się o komodę.

– Może – odparł ze znużeniem. – Tak, może zachorował.

Zadzwonił telefon i Nate poszedł odebrać.

– Nie chciał być przykry dla Rory'ego – powiedziała Charley.

– Wiem, kochanie.

– On po prostu strasznie się martwi.

– Wiem.

Wrócił Nate.

– Ktoś z okręgu wyborczego.

Charley go przytuliła. Nate zamknął oczy i odwzajemnił uścisk.

– Przepraszam. Wiem, zachowuję się okropnie. Zajrzę do Rory'ego.

Juliet i Charley sprzątały kuchnię, podczas gdy pozostali oglądali na piętrze telewizję. W domu panowała nerwowa atmosfera, pełna wyczekiwania, telefon bez przerwy dzwonił. Skończywszy porządkowanie, pożegnały się z Sinclairami.

– Jeśli mogłabym w czymś wam pomóc – powiedziała Juliet na odchodnym, pomyślała jednak, że te słowa rzadko bywają równie nieadekwatne.

Juliet zadzwoniła z Londynu do Joego i powiedziała mu o zniknięciu Gillisa; zaoferował, że odbierze ją ze stacji w Witham. Był jej pociechą, ukojeniem i radością; przebywając daleko, tęskniła za nim. Brakowało jej jego leniwego uśmiechu, błysku w oczach na jej widok. Brakowało jego dotyku, chłodnej pieszczoty ust na skórze i rozkoszy rozkwitającej w jej wnętrzu, kiedy się kochali.

Kilka tygodni wcześniej wybrali się na spacer brzegiem strumienia Mundon i naszkicowała go, jak z dłonią przysłaniającą oczy wpatruje się w ujście. Jedno pociągnięcie ołówkiem na długie proste plecy, kilka kresek na czarne włosy zmierzwione wiatrem. Zaznaczone łukiem barczyste ramiona i kształt ust. Próbowała uchwycić to, jak zawsze jest napięty, sprawiając wrażenie, że jest na granicy ruchu.

Potrzeba Joego wdzierała się w jej myśli, kiedy prowadziła lekcje, i rozpraszała ją nagłym waleniem serca, gdy wysyłała przypomnienia

o letnich koncertach. Wraz z Joem wróciła do jej życia szansa na radość. Czasami łapała się na wyobrażaniu sobie wspólnej przyszłości z nim: ciche wieczory w jego domu na uboczu, wyjazdy do Londynu na koncert, długie spacery po plaży. Leniwe niedzielne poranki w łóżku, czytanie gazet i kochanie się. Albo będą podróżować – do Francji, Włoch, a może nawet do Egiptu, o którym często rozmawiali.

Ale gdy siedziała w pociągu, te fantazje straciły na sile, przypominały teraz przetartą tkaninę, i wkrótce jej zszokowany umysł, nie znajdując żadnego miłego miejsca, powrócił do wydarzeń dnia.

Joe czekał na nią na peronie. Nie dbając o to, kto ich widzi, podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła go całować, złakniona jego ciepła i otuchy, którą jej dawał. Dostrzegła gapiącą się sąsiadkę. Juliet pozdrowiła ją rześkim głosem, gdy trzymając się pod ręce, szli ze stacji do samochodu.

– Kto to był? – zapytał Joe, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu.

– Diana Warburton. Henry i ja czasami spotykaliśmy się z nią na kolacji. Jutro cała okolica będzie wiedziała, że wdowa po Henrym Wintertonie i Joe Brandon się widują.

– Przeszkadza ci to?

– A tobie?

– Nie, ja wolałbym, żeby nasz związek był bardziej otwarty. Owdowiałaś ponad dwa lata temu, Juliet. To przyzwoity okres. Chciałbym poznać ludzi, na których ci zależy. Twoich przyjaciół… rodzinę.

– Mnie też na tym zależy, Joe, jesteś najlepszą rzeczą, jaka zdarzyła mi się od lat. Jest cudownie i bardzo bym nie chciała, żeby stała się nam krzywda. Tego się boję. – Zaśmiała się bez przekonania. – Przepraszam, to głupie.

Znowu delikatnie ją pocałował.

– Jesteś zmęczona, to wszystko, miałaś trudny dzień. Przykro mi z powodu twojego przyjaciela.

– To straszne, Joe. Tak mi żal jego dzieci.

– Jaki on był?

– Inteligentny. Przystojny. Ambitny. – I egoistyczny, pomyślała. Ale należał do tych ludzi, którzy jeśli chcą, potrafią rozjaśnić pokój.

Wsiedli do samochodu i ruszyli przez mroczną okolicę. Tam, gdzie droga się zwężała, gałęzie biły w karoserię rovera. Ponura szarość otulała pola i zagajniki. Nie było tu latarń ulicznych, a dzisiejszego wieczoru ciemności nie rozpraszał księżyc.

– Joe, boję się, że to było samobójstwo – powiedziała szczerze Juliet. – Boję się, że Gillis się zabił.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Kochanie, jesteś pewna?

Pokręciła głową.

– Nie, nie jestem. – Zauważyła, że Joe nie próbował jej przekonywać, że ratownicy mogą jeszcze odnaleźć Gillisa żywego, za dobrze znał Morze Północne.

– Przychodzi ci do głowy powód, dla którego mógł się targnąć na swoje życie?

Mnóstwo powodów: poczucie winy i żal… może też strach. Na pewno skontaktował się z nim Morgan. Co zaszło między nimi, jakie padły groźby, jakie złożono obietnice?

– Pół roku temu żona Gillisa umarła na raka – powiedziała. – To było straszne, biedna Blanche. Myślę też, że martwił się o swoje zdrowie.

Przed oczami stanęły jej wspomnienia wieczorów, które z Henrym i Gillisem spędzała w Marsh Court, rozmawiając do późnej nocy. Wydawało się, że to było tak dawno temu. W innych czasach, pewnie oni też byli wtedy innymi ludźmi.

– Gillis przyjaźnił się z Henrym na długo przedtem, zanim zaprzyjaźnił się ze mną – dodała. – Potrafił oczarować Henry'ego, a to niewielu osobom się udawało.

– Tobie nie?

– Nie. Ja miałam talent do irytowania go. Nie sądzę, żeby małżeństwo dobrze mi wychodziło. Chyba nie miałam do tego szczęśliwej ręki.

– A istnieje coś takiego?

– Tak, wydaje mi się, że tak.

Uścisnął jej dłoń.

– To już przeszłość. Możesz zacząć od nowa.

Czy rzeczywiście? Chociaż była wyczerpana, po jego słowach zalała ją fala ulgi, pierwsza miła chwila w tym okropnym dniu. Henry nie żył, biedny Gillis także. Ten rozdział jej życia ze wszystkimi jego sekretami, żalami i urazami był zamknięty i nie musi więcej się nim przejmować. Frances Hart i jej zaginioną córkę Theę, i to, że zdradziła Blanche – wszystko to może zostawić za sobą.

Joe ma rację, powiedziała sobie. Opłacze Gillisa, a potem zacznie od nowa.

Ciało Gillisa znaleziono trzy dni później, morze wyrzuciło je na brzeg niedaleko wyspy Canvey. Sekcja potwierdziła, że przyczyną śmierci było utonięcie. Wtedy już zaczęły krążyć plotki, w prasie pojawiły się nieprzyjemne insynuacje dotyczące jego służby w marynarce oraz żeglarskiego doświadczenia. „Przyjaciel" mówił o przeszkodach, które hamowały karierę Gillisa, i o niedawnej śmierci jego żony.

Jane zwierzyła się Juliet, że Gillis prosił Petera, by polecił jakiegoś kardiologa. Od Charley Juliet się dowiedziała, że policja wypytywała Nate'a o nastrój ojca przed wypadkiem. Miał kłopoty finansowe? Dużo pił? Pomyślała o Davidzie Morganie. „Więcej o nim nie usłyszysz", powiedział Gillis. „Przyrzekam, Juliet". Rzeczywiście nie słyszała. Gillis rozprawił się z dawnym towarzyszem z marynarki w taki albo inny sposób. Tylko jakim kosztem?

Koroner zezwolił na pogrzeb w cztery dni po wydaniu orzeczenia o śmierci na skutek wypadku. W następnym tygodniu żałobnicy zgromadzili się na wysypanej żwirem ścieżce przed kościółkiem w Wiltshire. Wcześniej padało, liście ostrokrzewów i cisów połyskiwały. Rodzina Wintertonów stawiła się w komplecie, by uczcić życie Gillisa Sinclaira, starego przyjaciela i ojca chrzestnego Piersa. Charley i Louise rozmawiały z chłopcami Sinclairów. Jane i Claudia z chusteczką przy nosie stały przy schodach, Piers dyskutował o czymś z Flavią, Gabe i bliźniacy, trochę spóźnieni, pędzili ścieżką.

W cieniu ociekających wodą drzew Juliet dostrzegła znajomą postać i serce mocniej jej zabiło. Patrzyła, jak David Morgan

z Brynem przy nodze rusza przez dziedziniec kościelny.

Stała sparaliżowana przerażeniem. Morgan spojrzał na nią i w jego oczach odczytała wyzwanie. Przeprosiła polityka, z którym rozmawiała, i szybkim krokiem przemierzyła trawę.

– Co pan tu robi? – syknęła.

Pies, podekscytowany i ruchliwy, węszył przy nagrobku.

– Przyszedłem oddać cześć. Tak jak pani, pani Winterton.

Wezbrała w niej furia.

– Doprowadził pan Gillisa do śmierci! Pan!

– Nie wydaje mi się, żeby to była prawda. Według mnie sam to sobie zrobił. Ale nie kłóćmy się o to. Musimy porozmawiać.

– Nie mam panu nic do powiedzenia.

Kiedy się do niej zbliżył, z trudem się powstrzymała, żeby się nie cofnąć. Czuła jego oddech, widziała pożółkłe białka oczu i plątaninę czerwonych żyłek na nosie. Przypomniała sobie, jak Gillis jej mówił, że Morgan to pijak.

– Pewnie będzie się chciała pani nad tym zastanowić – powiedział cicho. – Gillis nie żyje, ale ja nadal znam pani sekrety. Mówiła pani rodzinie o tym, co oboje robiliście w pokojach hotelowych, prawda?

Poczuła mdłości. Skąd Morgan o tym wiedział? Przypomniała sobie słowa Gillisa: „Po wojnie wykonywał dla mnie różne prace". Może Gillis, przytłoczony nawałem prac w parlamencie, zlecał Morganowi zarezerwowanie pokoju w hotelu wybranym na randkę… i może Morgan czekał na zewnątrz, zbierając informacje, które mogą się okazać przydatne w przyszłości.

Kącikiem oka dostrzegła, że żałobnicy wolno wchodzą do kościoła, a Piers zbliża się do niej.

– Muszę iść – mruknęła cicho.

Wcisnął jej do ręki kawałek papieru.

– Niech pani do mnie zadzwoni – powiedział Morgan.

Pies z ujadaniem popędził na pole.

– Niech cię szlag – burknął Morgan. – Bryn, do nogi, ale już! – krzyknął, idąc za psem.

– Mamo? – zawołał Piers. Odwróciła się ku niemu. – Mamo, wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście, w absolutnym porządku. – Chociaż drżała na całym ciele, zmusiła się do uśmiechu.

– Kim był ten człowiek?

– Nikim. Zabłądził i pytał o drogę.

Weszli do kościoła. Charley zajęła im miejsca w ławce. Pastor przemówił, zebrani wstali, by odśpiewać hymn. Po hymnie wygłoszono mowy pogrzebowe. Kiedy przyjaciel z parlamentu przypominał o przedwojennych wysiłkach Gillisa, by uświadomić krajowi zagrożenie, jakie stanowiły Niemcy Hitlera, Juliet otworzyła torebkę i pod pretekstem szukania chusteczki do nosa zerknęła na karteczkę od Morgana. Był na niej numer telefonu. Schowała ją do kieszonki na zamek błyskawiczny i zamknęła torebkę.

Oficer marynarki mówił o odwadze, którą wykazał się Gillis, walcząc w okupowanej Europie. Zacytował Homera – „Jak los liści na drzewach, taki też los rodu ludzkiego" – i te słowa sprawiły, że w oczach Juliet wezbrały łzy. Myśl o migotliwych wzorach, które na starą kamienną podłogę rzuca światło sączące się przez konary drzew rosnących koło okien kościoła, powiedziała sobie. Myśl o zatęchłym kościelnym zapachu, przytłumionym teraz zaduchem wilgotnych płaszczy i parasoli. Nie myśl o tamtej sztormowej nocy ani o Morganie pytającym: „Mówiła pani rodzinie o tym, co oboje robiliście w pokojach hotelowych, prawda?".

Pomimo przerażającego spotkania głos oficera podziałał na nią kojąco i ogarnął ją nieoczekiwany spokój. Wróciły wspomnienia, wspomnienia o przystojnym złotym mężczyźnie, którego dawno temu poznała w jesienny dzień. O namiętnym i trudnym kochanku, człowieku wyjątkowych talentów i zalet, które nie zawsze łączyły się w całość, o bohaterze ze skazą, wiecznie rozczarowanym tym, że poniósł klęskę, nie realizując świetnych zapowiedzi z młodości, człowieku brukającym swoje cnoty egoizmem i chciwością. Biedny Gillis, jego największą wadą była wiara, że musi mieć wszystko – jaką gorzką lekcję zapewne odebrał tamtej sztormowej nocy nad Blackwater, kiedy odkrył, że to jednak jest niemożliwe.

Dzisiaj w kościele kogoś brakowało. Gillis był ojcem trzech synów i trzech córek. Czworo ślubnych dzieci siedziało ramię w ramię w pierwszej ławce. Edmund Hart utonął w Blackwater, ale gdzieś

w świecie żyła Thea, nieświadoma tego, że dzisiaj jest pogrzeb jej ojca. A ze wszystkich ludzi prawdę znali jedynie Morgan i Juliet.

Rozdział szesnasty

Czerwiec 1966 roku

Freya kupiła nową sukienkę na wernisaż w galerii World's End i teraz miała do niej zastrzeżenia. Sukienka była krótka i czerwona; zasuwając zamek błyskawiczny, myślała ponuro, że nikt nie przegapi jej w tłumie. Powinna była wybrać szarość albo beż, dzięki czemu wtopiłaby się w tło.

Kiedy w swojej kawalerce w Holborn wciągała pończochy i wkładała pantofle na obcasach, była przekonana, że popełniła straszny błąd. A jeśli nikt nie przyjdzie na wystawę? Jeśli nie pojawią się przyjaciele, chociaż usilnie ich zapraszała? Na godzinę przed otwarciem wyobraziła sobie taką scenę: pracownicy galerii próbują rozweselić ją rozmową, kiedy się okazuje, że nie przyszła ani jedna osoba. A jeśli ludzie popatrzą na fotografię w witrynie i pójdą dalej? Nigdy nie powinna się na to zgodzić. Te prace są częścią niej, kiedy ktoś je odrzuca, to jakby ją odrzucał. Niektórzy myślą, że każdy może zrobić zdjęcie: ustawiasz obiektyw i naciskasz przysłonę.

Pozbieraj się, Freya, i przestań się mazać. Korzystając z ręcznego lusterka, nałożyła odrobinę szminki na usta i pomalowała rzęsy. Związała włosy w węzeł i spięła szylkretowym grzebieniem, przez cały czas surowo się napominając. Twórczość nie ma większego sensu, jeśli nikt jej nie ogląda. Strach przed odrzuceniem jest formą próżności. Zamiast się załamywać z powodu ataku paniki, powinna być wdzięczna Aidanowi, Anne i Katherine, bo to dzięki nim została otwarta ta wystawa.

To Anne Winterton przekonała właścicielkę galerii, Katherine Rose, do zaprezentowania prac Frei. Anne była żoną kuzyna Aidana,

Piersa, chociaż teraz pozostawała z nim w separacji. Freya już wcześniej się zorientowała, że Aidan kocha Anne. Nie powiedział jej o tym, ale też nie musiał, ponieważ strasznie łatwo było go przejrzeć. I właśnie to, że Aidan kocha Anne, wzmagało niepokój Frei związany z wieczorem. Ponieważ ona, Freya, kochała Aidana.

Nie planowała tego. Kiedy człowiekowi brakuje pewnych rzeczy, kiedy jak ona nie ma historii, musi to jakoś sobie wynagrodzić. Musi siebie stworzyć. Freya zawsze miała ambicje i dość wcześnie poznała przykłady, kiedy miłość je niweczy – dowiedziała się także, że dziewczynom jest trudniej. Jej szkolna przyjaciółka Linda, która zamierzała studiować stomatologię, w przedostatniej klasie szkoły średniej zaszła w ciążę. W wieku siedemnastu lat została żoną, rok później matką i teraz ich trzyosobowa rodzina zajmowała dwa pokoje w zawilgoconym domu w podłej dzielnicy Oksfordu. Była też Tessa, która pracowała w szpitalu w gabinecie naprzeciwko Frei. Miała romans z żonatym lekarzem, a kiedy z nią zerwał, przestała jeść i coraz bardziej chudła. Ostatnio Freya słyszała, że rodzice oddali ją do szpitala psychiatrycznego blisko swojego domu w Manchesterze.

Doszła więc do wniosku, że miłości najlepiej unikać. Teoretycznie wiedziała, że uczucie może rozwijać się gładko (na przykład jej rodzice zakochali się w sobie jako nastolatkowie), częściej jednak tak się nie działo. Freya zadurzyła się w Aidanie Wintertonie od pierwszej chwili, od spotkania na grobli na Thorney. Doceniła jego wzrost, urodę, ciepło malujące się w orzechowych oczach i powagę, z jaką rozmawiał o jej pracy. Poprosiła go o nazwisko i adres. Czy tak by postąpiła, gdyby wtedy wiedziała o Anne? Po prostu by się pożegnała, podziękowała za przypomnienie o przypływie i postarała się więcej go nie widzieć.

Więc tak: na początku było zadurzenie. Z tego łatwo się można wyleczyć, ale między nimi szybko nawiązała się przyjaźń, a jest o wiele trudniej, kiedy kogoś się lubi, kiedy można z tym kimś rozmawiać o wszystkim, kiedy jest miły, wielkoduszny i ma takie same zainteresowania. I kiedy na jego widok serce bije szybciej i we wnętrzu rozlewa się ciepło.

Zadurzenie i przyjaźń tworzyły oszałamiającą mieszankę, która groziła, że przerodzi się w coś poważniejszego. Freya, tak ostrożna

w kwestii miłości, postąpiła pochopnie. Czuła, jak wpada w coś urzekającego, i pragnęła, by to trwało.

A potem Anne odeszła od Piersa. Freya widziała błysk triumfu w oczach Aidana, kiedy jej o tym powiedział. Nie miała cienia wątpliwości, że Anne nadal kocha Piersa, choć do Aidana najwyraźniej na razie to nie docierało. Bywał uparty, zmianę zdania postrzegał jako słabość. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że Anne zawsze będzie kochała Piersa, ale przecież wcześniej czy później musi to chyba dostrzec?

Sprawdziła, czy w torebce ma szminkę i portmonetkę, zamknęła drzwi na klucz i zbiegła po schodach; czuła przy tym, jak wraca jej pewność siebie. Nawet jeśli na wystawę przyjdzie tylko jedna osoba i tej jednej osobie spodobają się jej prace, to wystarczy. Freya miała dopiero dwadzieścia cztery lata i mnóstwo czasu przed sobą, by dowieść swej wartości.

Kiedy szła na stację metra, uświadomiła sobie, że nie pamięta, kiedy ostatnio śnił się jej sen o grobli, który nawiedzał ją od dzieciństwa. Czasami przychodził, kiedy była zmęczona, niespokojna albo niepewna, dokąd zmierza jej życie. Zawsze było tak samo: ciemne niebo i czarna wzburzona woda przelewająca się przez wąską ścieżkę prowadzącą z jednego brzegu rzeki na drugi. Pod stopami widziała pas brzegu, po drugiej stronie rzeki były pola i żywopłoty. Krajobraz raczej posępny niż przerażający. Nigdzie nie było ludzi, poruszała się wyłącznie woda. Sen niepokoił ją dlatego, że się powtarzał.

Z jego powodu zaczęła fotografować groble. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tkwiły jej w głowie. Przez większość czasu była przekonana, że to sen, chociaż przeszło jej przez myśl, że to może być wspomnienie. Zwiedziła ponad dwadzieścia grobli, zanim przyjechała na Thorney. Kiedy przemierzyła ścieżkę pomiędzy brzegiem rzeki a wyspą, poczuła dreszcz rozpoznania. Były tu pola, mokradła i grobla zakręcająca takim samym łukiem jak ta z jej snu. Dziwne, że śni o miejscu, w którym nigdy nie była.

Zastanawiała się, czy spędzili wakacje w okolicach Maldon, kiedy była mała, ale ojciec zapewnił ją, że nie. Mogła tylko przypuszczać,

że widziała fotografię tej grobli i z jakiegoś powodu ją zauroczyła. Ale dlaczego właśnie ona – i dlaczego nie chciała jej opuścić?

– Louise mi mówiła, że Anne znowu pracuje w galerii – powiedziała Helen.

– Tak, od kilku tygodni.

Był piątek, późne popołudnie, Helen i Juliet jechały pociągiem do Londynu na wernisaż Frei Catherwood. Juliet nie miała na to ochoty. Kolejna długa podróż, druga w tym tygodniu, bo przecież od pogrzebu Gillisa minęły dopiero trzy dni, a strach, który poczuła w trakcie rozmowy z Morganem na dziedzińcu kościoła, zwinął się w węzeł pod jej mostkiem.

Wydarzenie jednak od dawna było zaplanowane, a Helen zależało, żeby wziąć w nim udział i okazać wsparcie Aidanowi i Frei. Juliet wiele tygodni temu zgodziła się dotrzymać towarzystwa przyjaciółce i w ten sposób oszczędzić jej samotnej podróży, ale nie cieszyła się na myśl o tym wieczorze.

Jeszcze nie zadzwoniła do Morgana. Nie potrafiła zdecydować, co zrobić. Wiedziała, że jeśli się z nim skontaktuje, on zażąda pieniędzy, a nie miała pojęcia, jaka to może być suma. Nie dysponowała wielkimi środkami na koncie, tylko miesięcznym dochodem z małej renty rocznej i skromną pensją nauczycielską. Obawiała się, że jeśli zapłaci Morganowi, ten będzie raz po raz wracał, pasożyt wysysający z niej krew.

Chociaż wystawa nie była wydarzeniem familijnym, rodzina będzie w galerii, a ostatnio tworzyło to mieszankę wybuchową. Rozpad rodziny i pojawienie się Morgana na pogrzebie Gillisa – myśli Juliet nieustannie przeskakiwały pomiędzy tymi dwoma na oko nierozwiązywalnymi problemami.

Juliet położyła sobie na kolanach płaszcz przeciwdeszczowy, żeby pasażer, który wszedł do przedziału, mógł usiąść.

– Pracuje na pół etatu – powiedziała. – Dwie dziewczyny, z którymi mieszka, zajmują się Eddiem, kiedy jest w galerii. Na zmianę opiekują się swoimi dziećmi, dzięki czemu mogą pracować.

– Byłaś w tym domu, prawda?

– Kilka razy. – Juliet zmarszczyła nos. – Wydaje mi się, że jest okropny.

Dom na Notting Hill, w którym mieszkała Anne, przeraził ją. Unosił się w nim odór pleśni i mokrego prania, poza tym jakimś cudem był zaparowany i równocześnie zimny. Framugi okienne próchniały, z sufitu odpadły kawałki tynku. W domu było troje małych dzieci, tak więc w pokojach suszyły się pieluszki, wszędzie leżały nadgryzione herbatniki i plastikowe zabawki. Juliet miała wrażenie, że zwłaszcza salon jest szczególnie przygnębiający z sofą i niepasującymi do niej fotelami z przetartymi obiciami oraz marnym muralem na ścianie przedstawiającym tęczę na błękitnym niebie nad wzgórzem poznaczonym białymi kwiatami i rozmazanymi kępkami trawy.

Anne była wybredna i Juliet się zastanawiała, jak to znosi. Ale przecież opieka nad niemowlęciem to samotne zajęcie, zwłaszcza jeśli mąż pracuje do późna. Przypuszczała, że wspólny dom oferuje synowej towarzystwo, a jednakowy udział trzech kobiet w opiece nad dziećmi pozwala jej na powrót do pracy.

Juliet kontynuowała swoje ukradkowe działania mające na celu pogodzenie zwaśnionych części rodziny, ale bez sukcesu. Upominała Piersa, prosiła Anne. Ponieważ Piers obwiniał Aidana o rozpad swojego małżeństwa, generalnie unikała rozmów o tej sprawie z Helen. Helen naturalnie stanęłaby po stronie Aidana, podczas gdy Juliet uważała, że obaj postępują źle. Chociaż ani przez moment nie wierzyła, że Anne miała romans z Aidanem, co stanowczo oznajmiła synowi, była zła na Aidana, że pozwolił, by sprawy zaszły za daleko. Anne cechowała pewna niewinność i Juliet podejrzewała, że Aidan to wykorzystał. No i nie mogła nic poradzić na to, że czuła się w obowiązku bronić Piersa. Przecież był jej synem.

Cała ta historia jednak postawiła między nią a Helen barierę i Juliet przygnębiało, że nie są już sobie tak bliskie jak w przeszłości. Obawiała się, że tego rozdźwięku nie da się usunąć. Bała się, że pewnego dnia Anne wróci do San Francisco i zabierze ze sobą Eddiego.

– Jak długo Aidan zna Freyę? – zapytała, próbując zmienić temat.

– Poznali się w dzień pogrzebu Henry’ego.

Juliet przypomniała sobie, jak Aidan odchodzi od ogniska i rusza ścieżką wzdłuż ujścia. Ciężkie chmury, padający śnieg i Piers wylewający benzynę na płomienie.

– Przyjaźnią się czy to coś więcej?

– Aidan mówi, że tylko się przyjaźnią.

– A ty…? – ponagliła łagodnie Juliet.

Helen odwinęła batonik i poczęstowała kawałkiem Juliet.

– Nie byłabym zaskoczona, gdyby coś z tego wyszło. Pasują do siebie. Oboje to natury artystyczne, oczywiście, i uwielbiają przebywać na łonie przyrody. Freya zatrzymała się u nas kilka razy, kiedy zwiedzali rezerwaty ptaków na wschodnim wybrzeżu. Jest bardzo miła, dobrze wychowana i wygadana. Dziewczyna pełna życia. Kiedy wychodzi z domu, masz wrażenie, że opuszcza go powiew świeżego powietrza. I jest śliczna, ma niesamowitą jasną karnację ze słodkimi piegami i cudowne rude włosy, po prostu boskie.

Juliet, która znała Helen od dawna, wyczuła rezerwę.

– Aidan powiedział mi, że jest adoptowana – ciągnęła Helen, szukając w torebce puderniczki. – Wiem, że to niesprawiedliwe, ale nic nie mogę poradzić na to, że mam wątpliwości. Człowiek zawsze się zastanawia nad dziećmi adoptowanymi, prawda? Rodzina jest bardzo ważna i chciałoby się wiedzieć, skąd dana osoba pochodzi. – Patrząc w lusterko, przypudrowała nos. – Spędzają ze mną weekend. Będę miała całe stadko, Louise i Josha też.

– Cieszysz się, prawda?

– Bardzo. Jest tak cicho, kiedy są w Londynie. A z nimi dom znowu żyje.

Rozmowa zeszła na inne sprawy, potem pociąg zatrzymał się na stacji Manor Park i kolejnych czterech pasażerów wsiadło do przedziału, uniemożliwiając im pogawędkę. Juliet patrzyła w okno. Jechali wzdłuż rzędów domów z wąskimi tylnymi ogródkami, przedzielonymi tu i tam fabrykami i gazowniami. Z czarnymi od sadzy cegłami kontrastowały białe kulki kalin i zwisające pąsowe główki piwonii. Joego po raz ostatni widziała przed pogrzebem Gillisa. Przypuszczała, że to wypełniony zajęciami czas na farmie, a może też Joe zajął się działalnością charytatywną albo tym

przystojnym leniwym chłopakiem, Neville'em Stone'em. Z Joego emanowała uczciwość, to była definiująca go cecha. Juliet wiele razy unikała powiedzenia mu prawdy, a przez to ukrywała przed nim wielką część swojego życia, część, która ją kształtowała w przeszłości i obecnie. Bez Gillisa i bez tego wszystkiego, co wyniknęło z ich romansu, byłaby inną kobietą.

Czy powinna powiedzieć mu o Morganie? I jak wtedy Joe zareaguje? Jej sekret był jak plama oleju na czystej rzece, wkradał się w każdy niezbrukany zakątek. Powinna rodzinie powiedzieć prawdę? Oznajmić Charley i Nate'owi, że ich matka i ojciec mieli romans? Albo Piersowi, synowi Henry'ego i chrześniakowi Gillisa, że jeden zdradzał drugiego przez dziesięć lat? Poinformować dzieci Sinclairów, że ojciec nie był wierny ich matce? Czy pozwoli, żeby ją do tego zmusił ten pasożyt, który już zniszczył Gillisa? Nie: sprzeciwiała się tej myśli każdym uderzeniem serca, każdą kroplą krwi płynącą w jej żyłach.

A mimo to przeszłość wywierała na nią presję, była tak blisko, że zdawała się przedzierać przez mur, którym Juliet się otoczyła. Czuła ją teraz, rozpychającą się, wywołującą w niej tę samą klaustrofobiczną panikę co zatłoczony przedział.

Aidan zauważył Freyę w chwili, gdy wszedł do galerii. Miała na sobie czerwoną sukienkę, rude loki zwinęła w węzeł na czubku głowy.

Pocałowała go w policzek.

– Nienawidzę tego – szepnęła. – Nie wiem, dlaczego to robię.

– Żebyś pewnego dnia była sławna i bogata. – Rozejrzał się po fotografiach. – Wyglądają fantastycznie.

Trochę się odprężyła.

– Katherine i Anne wykonały wspaniałą pracę.

– Ty także.

Freya często siebie umniejszała. Patrząc na nią, można by pomyśleć, że jest bezgranicznie pewna siebie, ale Aidan wiedział, że energiczne, radosne zachowanie ukrywa wiele wątpliwości. Z jej

dzisiejszego podenerwowania wnioskował, że wieczór jest dla niej udręką.

Galeria World's End była elegancka i modna, prezentowano w niej artystów z całego świata. Może jej reputacja wpędzała Freyę w kompleksy. Fotografie zawieszono na jednej ścianie długiego i wąskiego pomieszczenia. Na końcu, nad biurkiem Katherine, znajdowało się ogromne powiększenie jednej z ulubionych fotografii Aidana, zrobionej na Thorney. Strukturalna i surowa, zdominowała salę.

Z adapteru płynął koncert skrzypcowy Vivaldiego. Freya schowała się w kącie z kieliszkiem różowego wina, ale gdy goście zaczęli się zjawiać, wyszła im na powitanie. Aidan złapał się na tym, że siłą woli nakazuje ludziom wchodzić do środka. Jedna osoba, dwie… kilka… i nagle sala wyglądała na solidnie zapełnioną.

Anne podeszła do Frei, szepnęła jej coś do ucha i obie przez tłum ruszyły w stronę kobiety w futrze, która wolno przechodziła od fotografii do fotografii, uważnie się im przyglądając i zapisując coś w notatniku. Freya była kilka centymetrów wyższa od Anne, miała szersze ramiona i pełniejsze piersi. Anne ubrała się w białą bluzkę i krótką czarną spódnicę. Zeszczuplała po odejściu od Piersa i przy Frei sprawiała wrażenie drobnej, niemal wyblakłej. Choć wszystkie obecne kobiety wyglądały blado w porównaniu z Freyą. W czerwonej sukience krążyła po galerii jak płomień; wreszcie z Anne przy boku zatrzymała się, żeby porozmawiać z kobietą z notatnikiem.

Aidana powinna ogarnąć czysta radość na wieść o separacji Piersa i Anne, tak jednak nie było. Dręczyła go myśl o roli, jaką odegrał w ich zerwaniu. Pozwolił, by Anne wierzyła, że tamtego wieczoru, kiedy go odwiedziła, on także zasnął, tylko że to nie była prawda. Mógł ją obudzić po półgodzinie, ale tego nie zrobił. Kierowały nim radość, że przyszła do niego, kiedy była nieszczęśliwa, i triumf, że Piers o tej wizycie nie miał pojęcia. A także uraza, pragnienie zemsty. Żaden z tych motywów nie był powodem do dumy.

Martwiło go, że Eddie nie mieszka z ojcem. Oboje z Louise stracili ojca zbyt wcześnie, żeby taki układ mógł go satysfakcjonować. Nie widywał zbyt często Anne, odkąd rozstała się z Piersem. Kiedy raz zaprosił ją na drinka, odparła, że nie ma z kim zostawić synka.

Zaproponował, żeby w takim razie przyszła z Eddiem, na co z namysłem stwierdziła:

– Nie wydaje mi się, że to dobry pomysł, Aidanie. To na pewno nie pomoże.

Z jej bezbarwnego tonu domyślił się, że jest głęboko nieszczęśliwa. Odseparowała się nie tylko od Piersa, ale też od Aidana. A jeśli miała dość ich obu, kto mógłby mieć do niej pretensje? Zachowywał się podstępnie. Często wstydził się za siebie.

Przez ostatnie dwa miesiące zajmował się unowocześnianiem bardziej staroświeckich aspektów działania firmy. Okazało się, że Piers miał rację, twierdząc, że firma tkwi w przeszłości. Zyski nadal malały, sprzedaż spadała, koszty rosły. Aidan zdawał sobie sprawę, że konieczne są zmiany, ale brakowało mu pewności siebie, by je wprowadzić. Pojawiły się nowe trendy we wzornictwie i Winterton nie zaspokajał aktualnych gustów. Aidan rozmawiał o tym z Estebanem, głównym projektantem, nie chciał jednak za bardzo naciskać. Esteban był drażliwy, gdyby zaczął podejrzewać, że Aidan sugeruje, iż jego praca nie jest dostatecznie dobra, pewnie by wybiegł i nie wrócił. A to byłaby katastrofa, bez Estebana Winterton by nie przetrwał.

W końcu nie miał wyjścia, musiał zwolnić jednego ze sprzedawców, który połowę czasu spędzał w pomieszczeniu socjalnym, paląc papierosy, a resztę, o ile Aidan się orientował, u swojego bukmachera. Poprosił swoją kuzynkę Gabe, kierowniczkę sklepu przy Sloane Street, żeby mu towarzyszyła i okazała moralne wsparcie, kiedy będzie wręczał wymówienie. To było okropne, nienawidził całej tej sprawy. Ze wstydem wspominał, że nie umiał znaleźć odpowiednich słów i ostatecznie to Gabe rzeczowo i bez emocji oznajmiła sprzedawcy, że jest zwolniony.

Od tamtego czasu przy Bond Street panowało napięcie. Personel traktował Aidana uprzejmie, ale przestali z nim gawędzić. Wuj Henry codziennie rano witał pracowników lekkimi komentarzami wywołującymi wrażenie, że dużo wie o ich życiu prywatnym. „Piękny dzień, panno Burstein, wieczorem będzie pani mogła wyjść do ogrodu” albo: „Jak się czuje pański syn, panie Lewis?”. Aidan postępował tak samo, w odpowiedzi jak wuj otrzymując kiwnięcia

głową i uśmiechy. Myślał przygnębiony, że się zamienia w Henry'ego Wintertona.

Wziął kolejny kieliszek wina z tacy, z którą wśród gości krążył kelner. Freya się śmiała i z ożywieniem mówiła. W czerwonej sukience, z niesfornymi włosami bardziej niż kiedykolwiek wyglądała jak północna bogini. Galeria była zatłoczona, goście gromadzili się wokół fotografii i wymieniali uwagi. Nowi ciągle przybywali, czuło się, że jest udana impreza. Aidan cieszył się ze względu na Freyę.

Złapał jej spojrzenie i zaraz do niego podeszła.

– To była Sylvie Duvallier – szepnęła mu do ucha. – Wiesz, ta przyjaciółka Anne, która zakłada czasopismo o sztuce. Mówi, że będzie mi dawała stałe zlecenia. – Freya tryskała podnieceniem.

A potem przyszła jego mama z ciocią Juliet, Louise, Charley i Joshem. Opowiadali o incydencie na stacji przy Sloane Street, o szaleńcu, który zbiegał po ruchomych schodach i zdzierał z siebie ubranie, i Aidan musiał ich wysłuchać.

Juliet szła wzdłuż rzędu fotografii, wreszcie dotarła na drugi koniec galerii, gdzie na środku ściany umieszczono pojedynczy czarno-biały kadr, podpisany „Grobla na wyspie Thorney". I bez podpisu od razu rozpoznała to miejsce.

Był pas wody, przez który łódką przewiózł ją Joe, kiedy przypływ uwięził ją na wyspie, i był ukryty gdzieś wśród drzew dom, w którym mieszkała Frances Hart z dziećmi. Było miejsce, gdzie widziała bawiące się maluchy, chłopczyka i dziewczynkę, Theę w czerwonej sukience. Na powierzchni półtora metra kwadratowego fotografia tworzyła dramatyczny i przykuwający uwagę obraz, grobla przecinała kompozycję niczym nóż.

– Podoba ci się, ciociu Juliet?

Odwróciła się – za nią stał Aidan.

– Bardzo – odparła.

To nie była prawda. Fotografia niepokoiła ją, nie chciała stać blisko niej. Zbyt łatwo było wyobrazić sobie dziewczynkę na brzegu albo chłopca brodzącego w wodzie w pogoni za plastikową łódką, którą porwała rzeka.

– Freya ma słabość do grobli. W każdym razie do tej. – Aidan głową wskazał fotografię. – Śni o niej.

– Naprawdę? Dziwne.

Juliet powiodła wzrokiem po sali, aż wypatrzyła w tłumie węzeł jasnorudych włosów Frei Catherwood.

Wracając pociągiem do domu, rozmyślała o tym, co powiedział Aidan: „Freya ma słabość do grobli. W każdym razie do tej. Śni o niej". Chciała zapytać Helen, czy się orientuje, co Aidan miał na myśli, ale Helen drzemała. Juliet także czasami śniła się grobla, więc dlaczego Frei nie miałaby się śnić? Artystów często fascynują określone sceny. Weźmy Moneta, który często malował swój ogród w Giverny. Nie da się znaleźć źródła impulsu, który każe ci rysować coś ciągle od nowa, jakbyś próbował wydobyć z obiektu prawdę. Sama Juliet namalowała pewnie dziesiątki razy widok z opaski brzegowej.

Freya Catherwood została adoptowana. Wiele dzieci adoptowano, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Juliet myślała o Thei Hart, ponieważ trzy dni temu pochowali Gillisa i pojawił się Morgan ze swoimi groźbami. Była zmęczona, wyczerpana nerwowo i przygnieciona ogromem zmartwień, a wieczór okazał się trudny, członkowie rodziny stali osobno, nie czując potrzeby połączenia się, dlatego też dręczyła ją wyobraźnia, tworząc nieistniejące związki i mówiąc jej, że Freya Catherwood może być nieślubną córką Gillisa. Że Freya Catherwood jest Theą Hart.

Zabrała ze sobą powieść Grahama Greene'a do poczytania w pociągu; teraz wyjęła ją i otworzyła, nie była jednak w stanie się skupić. Fotografia Frei nakładała się na słowa, czarna linia wyznaczająca groblę przecinała stronę. Rytmiczny stukot kół stał się echem kroków Gillisa, kiedy biegiem oddalał się od wyspy z dzieckiem ukrytym pod płaszczem.

Odłożyła książkę. Było jej gorąco, rozpięła więc płaszcz. Pewnie coś jej dolega, tak, o to chodzi, nie czuje się dobrze, za wielki stres, a ten robak zwątpienia, który zaczął ją drążyć w galerii, to objaw choroby. Podejrzenia są jak wirusy, wkradają się w system

krwionośny, rozprzestrzeniają i nie można ich powstrzymać. To jednak nie była prawda, tylko myśl, przypuszczenie, nic ponadto, i kiedy jutro rano się obudzi po przespanej nocy, będzie mogła ją odrzucić.

Helen się poruszyła; pociąg zbliżał się do Witham. Juliet zostawiła pod dworcem samochód. Odwiozła Helen do Maldon i ruszyła do Marsh Court. W domu panował ziąb, dlatego nie zdejmując płaszcza, napełniła czajnik wodą i postawiła na piecu.

Stała przy oknie. Za tarasem mrok okrywał ogród, brzeg rzeki i ujście. Udowodni sobie, że się myli. Wygrzebie z pamięci każdy strzęp informacji, który kiedykolwiek poznała na temat Thei Hart, i znajdzie coś, co ją uspokoi.

Gdyby Gillis żył, zadzwoniłaby do niego i porozmawiała o dziewczynie. Ale Gillis umarł, utonął w tych samych wodach, w których rzekomo utonęła jego córka. Przyszło jej do głowy, że jest w tym ironiczna sprawiedliwość. Gillis powiedział jej, że Thea miała cztery lata, kiedy zginęli jej matka i brat. To by znaczyło, że teraz ma dwadzieścia cztery. A Freya? Juliet oceniała ją na dwadzieścia kilka. Co jeszcze mówił Gillis? Że David Morgan zabrał dziecko do sierocińca w Southampton. Że prowadzącej go kobiecie podał fałszywe nazwisko dziewczynki i powiedział, że Thea to sierota wojenna.

Juliet przypomniała sobie, jak przelotnie widziała Theę Hart bawiącą się na grobli: czerwona sukienka, drobna jak duszek. Czy dziewczynka miała rude włosy? Nie potrafiła sobie przypomnieć, choć wysilała pamięć.

Wzięła tabletkę nasenną i rano czuła się lepiej, ale godziny mijały i wróciła niepewność, spychając na bok nawet głęboki niepokój dotyczący Morgana. Męczyły ją wspomnienia z dnia pogrzebu Henry'ego: chłodne zachmurzone niebo, strumień benzyny wylany na ognisko i Aidan idący w stronę grobli, gdzie spotkał Freyę. Fakty mieszały się z przypuszczeniami i Juliet nie mogła odrzucić możliwości, że Freya to Thea Hart. A jeśli tak, to jaki okrutny kaprys losu naznaczył tamten dzień, stykając ze sobą Freyę i Aidana?

Po południu pojechała do Maldon, gdzie po zrobieniu zakupów postanowiła odwiedzić Helen. Drzwi otworzył Aidan. Młodzi ludzie

siedzieli na oszklonej werandzie; wejście Juliet przerwało rozmowę, którą podjęli, kiedy się z nią przywitali. Wrócili z piętnastokilometrowej wędrówki, wyjaśniła Louise. Miała zabłocone dżinsy, włosy Frei tworzyły szalony obłok wokół jej twarzy. Juliet wyczuwała, że do nich nie pasuje, że nic ją z nimi już nie łączy. Josh powiedział coś, co Freya skwitowała głośnym śmiechem. Spokojna dziewczynka, nieśmiała: tak Gillis opisał Theę. Myliłam się, pomyślała Juliet. Na pewno się myliłam.

A jednak kiedy Helen wyszła do kuchni, Juliet odciągnęła Freyę na bok. Wystawa szalenie jej się podobała. Zastanawia się nad kupnem fotografii. Czy mogłyby porozmawiać?

Wyszły do ogrodu. W konarach jabłoni śpiewał kos, otaczający ogród mur łapał i skupiał promienie słoneczne. Freya się uśmiechnęła. Czy Juliet ma konkretny kadr na myśli? Który się jej najbardziej podobał?

– Fotografia Thorney była wspaniała.

– Dziękuję.

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego ją zrobiłaś. – Własny śmiech wydał się jej fałszywy. – Sama trochę maluję, a poznanie inspiracji innego artysty jest interesujące.

Freya wsunęła dłonie w kieszenie spodni i zmrużyła oczy przed słońcem.

– To dość dziwne. – Zerknęła z ukosa na Juliet, jakby ją oceniała. – Od wielu lat ten obraz mi się śnił, a potem go znalazłam.

– Znalazłaś? – powtórzyła Juliet.

– Tam, na Thorney. To tak, jakbym ją pamiętała, ale nie pamiętam, nie mogę pamiętać, ponieważ nigdy tam nie byłam. Dziwne, ale kiedy pierwszy raz tam pojechałam, rozpoznałam to miejsce. Wyglądało dokładnie jak w moim śnie. Przypuszczam, że fotografie były rodzajem egzorcyzmu. Właściwie to się zastanawiałam, czy dzięki nim nie uda mi się powtrzymać tego snu.

Z oszklonej werandy dobiegły podniesione radosne głosy. Węzeł przerażenia pod sercem Juliet się zacisnął, niemal ją dusząc.

– Nie rozumiem.

Freya potrząsnęła głową, zakołysały się skręcone w spiralki rude loki.

– Ani ja, prawdę mówiąc. Jakbym tam kiedyś była. Ojciec powiedział, że to musiało być dawno temu, zanim mnie zaadoptowali.

Helen wołała je z progu. Juliet odwróciła się gwałtownie, niezdolna zrozumieć jej słów. Chyba chodziło o kawę. Freya zrobiła krok w kierunku domu, ale Juliet złapała ją za rękaw.

– Ile miałaś lat, kiedy cię adoptowano?

– Cztery. Miałam cztery lata.

– A ile masz teraz?

Uniesione nieznacznie brwi: zaskoczenie pytaniem.

– Dwadzieścia cztery.

– Czy mogę zapytać… – Wyduszała słowa niczym pestki z cytryny. – Wiesz coś o swoim pochodzeniu? Coś pamiętasz?

Freya pokręciła głową.

– Zupełnie nic. Ojciec mi mówił, że umieszczono mnie w sierocińcu.

– Gdzie? – zapytała Juliet chrapliwie.

– W Southampton.

Słońce ją oślepiało, oszałamiało. Gillis powiedział, że David Morgan zabrał Theę Hart do sierocińca w Southampton.

– Co było wcześniej… – ciągnęła Freya, wzruszając ramionami – nie mam pojęcia. Rodzice przyszli do sierocińca i wybrali mnie. – W niebieskoszarych oczach dziewczyny (czy to oczy Gillisa?) pojawiła się czułość. Uśmiechnęła się ciepło. – Tata mówił, że kiedy z mamą mnie zobaczyli, wiedzieli, że mnie zabiorą. Nie potrafię pojąć dlaczego, byłam brzydkim, kościstym stworzeniem. I milczałam. Kobieta z sierocińca myślała, że mam nie po kolei w głowie. Cztery lata i nie odzywałam się słowem. Ja na ich miejscu pewnie weszłabym dalej i znalazła śliczną dziewczynkę, której buzia się nie zamyka. To był cud, tak zawsze powtarza tata. Czekali na mnie, a ja byłam ich cudem. – Freya odgarnęła włosy z twarzy. – Starałam się, żeby fotografia wyglądała jak mój sen. Żeby widz mógł zobaczyć mój sen.

Potem mówiła o czasie naświetlania i długościach ogniskowej. Juliet nie słuchała. To nie sen, myślała przerażona, ale koszmar senny.

Na pewno wypiła kawę z Helen, ale zupełnie tego nie pamiętała, nie pamiętała też powrotu do Marsh Court. W domu rozpakowała zakupy, ale zapomniała, jak wykonać prostą czynność, i stwierdziła, że gapi się na marchewki i nie wie, co z nimi zrobić. Usiadła przy kuchennym stole. Obserwowała, jak drżą jej dłonie.

W noc sztormu Gillis znalazł córeczkę w domu na Thorney, ukrywającą się w szafie na podeście. Przeszmuglował ją z wyspy do domku w Marsh Court, skąd przed świtem zabrał ją Morgan. Zawiózł Theę do sierocińca w Southampton z pieniędzmi i instrukcją, że należy ją oddać do adopcji. Dziewczynka nie mówiła, co prawdopodobnie było skutkiem szoku. „Przez cały czas słowem się nie odezwała", powiedział Gillis, kiedy w końcu wyznał Juliet prawdę o wypadkach tamtej nocy. Freya użyła niemal tych samych słów, opisując swoją niemotę. Wtedy Juliet poczuła pewność, że Freya Catherwood jest zaginioną córką Gillisa.

Catherwoodowie zaadoptowali ją i wychowali jak własne dziecko. Freya – Thea – twierdziła, że nie pamięta zupełnie nic z okresu przed adopcją, ale się myliła. Coś z przeszłości pozostało: powracający sen o grobli, na której się bawiła z bratem bliźniakiem. Obraz dręczył Freyę z powodu zapomnianych koszmarnych wypadków, pozostał z nią, gdy dorosła, i zmusił do sprawdzenia, czy grobla naprawdę istnieje. Dlatego w popołudnie po pogrzebie Henry'ego przyjechała nad Blackwater, gdzie spotkał ją Aidan.

Lulu siedziała przy kuchennych drzwiach i optymistycznie dyszała. Juliet wzięła smycz i wyszła z domu. Od popołudnia chmury zakryły niebo i słońce, nadając krajobrazowi szarą barwę. Kiedyś w Wintertonie przymierzyła sznur szarych pereł. Henry wyjął go z gabloty i zapiął na jej szyi. Perły nie pasowały do jej karnacji i wkrótce wróciły na miejsce, ale teraz przypomniała sobie ich połysk. Otaczał ją ten sam posępny, matowy odcień, była zamknięta przez rzekę i niebo jak owad uwięziony pomiędzy papierem a szkłem.

Szła w kierunku grobli, do miejsca, gdzie zginęli Frances Hart i jej syn, gdzie Gillis podjął swą brzemienną w skutki decyzję, by nikomu nie mówić, że jego córka przeżyła. Szła do ścieżki, która nawiedzała ją od dnia, gdy zobaczyła bawiących się tam Edmunda i Theę. Wiele

ją kosztowało, by unieść wzrok. Kogo mogłaby teraz zobaczyć? Dzieci bawiące się na płyciźnie? Albo Morgana obserwującego ją z brzegu rzeki?

Próba przekonania siebie, że to odkrycie nic nie zmieniło, że Freya Catherwood nie ma nic wspólnego z nią, z Joem i wszystkimi pozostałymi osobami, była z góry skazana na porażkę. Podobnie jak mówienie sobie, że Freya może zniknąć z życia Wintertonów z taką łatwością, z jaką w nie wkroczyła. Wiedziała, że to nie wystarczy. „Nie zdziwiłabym się, gdyby coś z tego wyszło", powiedziała Helen, kiedy w pociągu rozmawiały o Aidanie i Frei. „Pasują do siebie". A jeśli związek tych dwojga młodych miał się przerodzić w coś więcej niż przyjaźń, jak mając świadomość własnego postępku, Juliet by to zniosła, widując często Freyę? Jakie nowe dowody mogą wyjść na światło dzienne, jakie listy z sierocińca albo wspomnienia przybranego ojca Frei mogą doprowadzić do zadania pytań i uzyskania odpowiedzi?

W domu machinalnie zajęła się kolacją i nalała sobie drinka. Sama dodała dwa do dwóch, pewnego dnia zrobi to ktoś inny. Na przykład wspomni w rozmowie z Freyą o tragedii na Thorney, a ona z ciekawości przeczyta te same artykuły w gazetach, które Juliet przestudiowała w bibliotece w Maldon po tym, jak Joe powiedział jej o Gillisie i Frances Hart. Niewykluczone, że Freyę uderzyłoby to, że chociaż chłopca odnaleziono, to dziewczynka zaginęła bez śladu. I zaczęłaby się zastanawiać.

Juliet otworzyła puszkę sardynek, pokroiła chleb na grzanki. Przypomniała sobie, jak na początku wojny ujście zamarzło. Na spacerze z psem próbowała przejść po lodowym moście na wyspę, ale pewnie zaczęła się odwilż, z której Juliet nie zdawała sobie sprawy, i pod jej ciężarem na szarobiałej lśniącej powierzchni rozkwitła siatka pęknięć, a to, co wydawało się solidne, zaczęło przesuwać się i pękać. Teraz działo się to samo. Nic nie było już bezpieczne ani stałe. Wszystko, co kochała i ceniła, było zagrożone.

Wyjąć chleb z tostera, posmarować masłem, położyć sardynki. Usiadła przy stole, wpatrując się w talerz i szklankę. Napiła się dżinu, potem wstała i zgarnęła sardynki do miski dla kota. Grzankę porwała na kawałki i wyrzuciła ptakom.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Miała ochotę nie reagować, niechby dzwonił, a ona jeszcze chwilę czepiałaby się cennych resztek szczęścia.

Otworzyła drzwi. To był Joe. Przyjrzała mu się, pochłaniając każdy szczegół: rozwiane wiatrem czarne włosy, silne muskularne ramiona i uśmiech rozjaśniający oczy na jej widok.

Wprowadziła go do salonu.

– Wyjeżdżałeś?

– Byłem w Londynie.

– Spotkałeś się z Royem i Paddy? – zapytała przesadnie lekkim tonem.

– Pogadaliśmy, owszem. I przelotnie widziałem się z Neville'em.

Wyglądał na zakłopotanego. Usłyszał coś? Może ich rozmowa o Gillisie przypomniała mu, że kiedyś widział go z Frances Hart. Może on też pomyślał o tamtej tragedii. Albo – Juliet stłumiła dreszcz – Morgan pojechał do Greensea rozlać swoją truciznę. Jeszcze do niego nie zadzwoniła. Kawałek papieru, który jej dał, nadal tkwił schowany w biurku. Wyczuwała jego obecność w domu. Morgan mógł się zniecierpliwić i postanowił, że ją ukarze.

Ale Joe wyjął z kieszeni małe niebieskie pudełko.

– Pojechałem do Londynu, żeby to wybrać dla ciebie. – Spojrzał na nią oczami wypełnionymi ciepłem i uczuciem. – Nigdy nie sądziłem, że po Molly jeszcze kogoś pokocham. Myślałem, że mam to za sobą. Jesteś moim cudem, Juliet. Jesteś dobra, serdeczna, wielkoduszna i piękna, sprawiłaś, że sobie przypomniałem, czym jest szczęście. Dzięki tobie znowu żyję i nigdy nie zdołam wyrazić, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny. Zastanawiam się, czy zgodzisz się zostać moją żoną.

Poderwała głowę, popatrzyła na niego.

– Co? – szepnęła.

– Wyjdź za mnie, Juliet. Wyjdziesz? Uczynisz ze mnie najszczęśliwszego człowieka na świecie.

Ogarnęła ją panika. Gdyby zadał jej to pytanie miesiąc, tydzień temu…

Włożył jej pudełeczko w dłoń.

– Otwórz, kochanie.

Posłuchała. W środku był pierścionek z diamentami.

– Trudno było kupować pierścionek u Wintertona – powiedział Joe. – Mam nadzieję, że ci się podoba. Musisz wiedzieć, że daję ci go z miłością i szacunkiem. Ale jeśli nie przypadł ci do gustu, wybierzesz sobie coś innego.

Pierścionek z diamentami z kwadratowym szlifem osadzonymi w zwojach złota i otoczonymi drobnymi perłami był śliczny. Juliet zamknęła oczy, na moment wyobrażając sobie inną przyszłość, w której przyjęłaby oświadczyny Joego Brandona i wyszła za niego. Był właściwym mężczyzną dla niej, zrozumiała to już jakiś czas temu. Z nim byłaby szczęśliwa do końca życia.

Nie mogła jednak go poślubić; pewnie od dnia, kiedy na podjeździe Marsh Court pojawił się Morgan, zdawała sobie sprawę, że taka chwila nadejdzie. Kochała Joego, ale musiała się z nim rozstać. Nie zrobi mu tego, co Gillis zrobił jej. Wplątał ją w tę sprawę, przywożąc Theę do domku. Morgan był przekonany, że brała udział w ukryciu dziecka, i naprawdę, jeśli spojrzeć na to racjonalnie, można go zrozumieć. Była kochanką Gillisa. Gillis ukrył Theę w posiadłości Wintertonów. Niezależnie od tego, jak głośno krzyczałaby o swojej niewinności, sprawiała wrażenie winnej: winnej poprzez związek z Gillisem. Choć gorąco pragnęła w to wierzyć, nie uwolniła się od przeszłości. Nigdy się od niej nie uwolni.

Gillis jej nie ochronił, ale ona ochroni Joego. Nie zbruka go brudem, który do niej przylgnął. Stała w rzece, woda się podnosiła, sięgała jej szyi i Juliet nie potrafiła się uratować.

Może jednak uratować jego. Ze straszliwą jasnością wiedziała, co musi zrobić.

Włożyła pierścionek do pudełeczka. Trzask zamykanego wieczka był jak trzask zamykanych drzwi.

– Nie mogę za ciebie wyjść, Joe. Przykro mi, ale nie mogę.

Zachmurzył się.

– Rozumiem twoje zastrzeżenia dotyczące instytucji małżeństwa, ale ja nie jestem Henrym Wintertonem. Nie potraktowałbym cię tak jak on.

– Nie w tym rzecz.

– Obwiniasz się o klęskę swojego małżeństwa, Juliet, ale się mylisz. Nie masz powodu do wstydu. Zrobiłaś, co w twojej mocy. Niedawno powiedziałaś, że chyba nie masz talentu do małżeństwa, ale nie w tym rzecz. Wykorzystujesz to, co masz. A z tego może powstać coś dobrego i pięknego, wiesz o tym.

Zalała ją rozpacz.

– Joe, nie mogę.

– W takim razie nie teraz, ale za pół roku, za rok. Powiedz, że zostawiasz mi nadzieję.

Sama odmowa wyjścia za niego to za mało, nie wystarczy nawet, że przestanie się z nim spotykać. Nie – serce jej pękało – dzisiaj musi się upewnić, że on nie będzie chciał więcej jej widzieć. Tylko wtedy będzie mogła go chronić.

– Nie, Joe, ani teraz, ani nigdy.

Jej słowa były niczym ciosy; w jego oczach zgasło światło.

– Dlaczego?

Zrób to, nakazała sobie. Załatw to raz na zawsze. Kiedyś w Kairze widziała, jak rzeźnik podrzyna gardło kozie. Szybkie, czyste cięcie nożem, krew tryskająca z rany.

– Dlatego że nie chcę – odparła spokojnie.

– Nie rozumiem. Coś się stało? – Joe pobladł. – Juliet, jesteś chora?

Musi sprawić, żeby ją znienawidził. Musi spojrzeć mu w oczy, ukryć rozpacz, przyjąć bezduszny ton – nie, obojętny – i znaleźć słowa, po których zacznie nią pogardzać.

Nie! – krzyknęło jej serce.

Innego wyjścia nie miała.

– Nie kocham cię, Joe – oznajmiła lodowato. – Myślałam, że tak, ale się myliłam.

– Nigdy tak nie mów! – Zrobił krok w jej stronę. – Ukrywasz coś przede mną. Coś się stało!

– Owszem, choć nie sądzę, żebyś to zauważył. – Lekko się roześmiała. – Próbowałam dawać ci do zrozumienia, że nie chcę się z tobą spotykać, ale to do ciebie nie docierało.

– Juliet, dlaczego tak mówisz? – szepnął.

A ona z wysiłkiem się uśmiechnęła i przytknęła ostrze do jego gardła.

– Jak w ogóle mogłeś myśleć, że nam się uda? Wyobrażałeś sobie, że tylko dlatego, że wpuściłam cię do swojego łóżka, mogę cię uznać za odpowiedniego kandydata na męża? Joe, jakiś ty naiwny! Naprawdę uważałeś, że opuszczę Marsh Court i będę z tobą żyła jako żona farmera? Widzisz mnie dojącą krowy i karmiącą świnie? Jeśli tak, to nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydawało. Naprawdę, możesz mi wierzyć.

Kiedy poszedł i zamknęła za nim drzwi po raz ostatni, usiadła na najniższym stopniu schodów i przycisnęła dłonie do twarzy. Słyszała z wolna cichnący warkot odjeżdżającego dżipa. Była sama w Marsh Court, będzie sama przez miesiące i lata, do końca. Teraz ból ograniczał się do serca, ale wiedziała, że się rozprzestrzeni, zapłonie i spali ją na popiół.

Wreszcie zaczęła płakać, suche duszące szlochy wstrząsały jej ciałem i z trudem łapała powietrze. Później popłynęły łzy, mocząc jej twarz i dłonie; pochyliła się, zakryła głowę rękami i starała się być jak najmniejsza, usiłowała siebie wymazać, przestać istnieć.

– To on – mówiła Maria, współlokatorka Anne. – Jestem pewna, że to był Michael. Przed naszym domem. Był w innym samochodzie i odjechał, kiedy go zobaczyłam, ale wiem, że to on. – Obgryzała paznokieć. – Jak mnie znalazł? Tylko mamie powiedziałam, gdzie jestem.

Charley była w domu na Notting Hill. Regularnie raz w tygodniu opiekowała się Eddiem. Minęło trochę czasu, nim przekonała Anne, że jest osobą odpowiedzialną, taką, której Anne może bez cienia wątpliwości powierzyć ukochanego synka, i wreszcie jej się udało.

Anne miała wyjść, została jednak i pocieszała Marię. Michael był brutalnym mężem, od którego Maria uciekła.

– Myślisz, że mogą być problemy? – zapytała Anne.

Kolejny kawałek paznokcia został sprawnie oderwany. Maria jest ładna, pomyślała Charley, oprócz tych zniszczonych rąk.

– Powiedział, że mnie zabije, jeśli od niego odejdę. Zrobiłby to.

– Masz dokąd się przenieść na jakiś czas?

Maria pokręciła głową.

– Do mamy nie mogę, nie ośmieliłabym się. Poza tym chodzi o pracę. Chyba że ty chcesz, żebym się wyniosła.

– Jasne, że nie.

– Nie wiesz, do czego jest zdolny. Nie znasz go.

Anne objęła Marię.

– Tu jesteś bezpieczna. Nawet jeśli to był on, nie wejdzie do domu. Nic ci nie grozi.

Maria popatrzyła na Anne, później zwróciła się do Charley i tonem luźnej pogawędki powiedziała:

– Michael uderzał moją głową w kuchenny zlew. Wiele razy. Nie wiem dokładnie ile, próbowałam liczyć, żeby zająć czymś myśli, ale straciłam przytomność. – Zaciśniętą pięścią biła w powietrze, jakby pukała do drzwi. – Potem zamknął mnie na klucz w domu. Przez dwa dni nie mogłam pójść do lekarza. – Wstała. – Zajrzę do Nancy, a ty idź, Anne, rozerwij się.

Po jej wyjściu Anne powiedziała:

– Lepiej z nią zostanę.

– Co zrobisz, jeśli on tu przyjdzie?

– Wezwę policję. – Anne podniosła się i przekręciła klucz w tylnych drzwiach. – Powinnyśmy mieć telefon i wizjer w drzwiach. Będę płaciła rachunek, jeśli to konieczne. To zacofanie nie mieć telefonu. – Pozbierała filiżanki po kawie. – Co u Nate'a?

– Och, sama wiesz. Fatalnie. Godzinami rozmawiamy.

– Jest w żałobie, a to musi potrwać.

Kiedyś żarliwość Anne zirytowałaby ją, teraz nie. Doszły do porozumienia. Charley dokładała wysiłków, żeby doceniać szczerą i troskliwą naturę Anne, a Anne uczyła się nie analizować każdej nonszalanckiej uwagi.

– Zostanę z Marią – powiedziała Anne. – Idź do domu.

W drzwiach Charley przystanęła.

– Nie boisz się…

– Czego?

– Że ten Michael tu przyjdzie. Nie zastanowiłabyś się nad…

– Powrotem do Piersa? To chciałaś powiedzieć?

Trzymaj język za zębami, gaduło, upomniała się w duchu Charley. Zaraz jednak pomyślała: a co tam, cholera.

– Lepiej być z Piersem niż z facetem, który wali głową kobiety o zlew.

– Piers nie powiedział, że chce, żebym wróciła.

– Ale chce.

– Tylko że musi to powiedzieć. – Przez moment Anne wyglądała na strasznie nieszczęśliwą. – Musi to powiedzieć we właściwy sposób.

Charley wyszła. Zbliżała się dziewiąta i pomyślała, że mogłaby odwiedzić Piersa. Regularnie kontaktowała się z Piersem i Nate'em, co czasami wiele ją kosztowało, bo obaj byli w rozsypce.

Poszła pieszo, korzystając z pogodnego wieczoru i faktu, że do South Kensington nie było daleko. Rozmyślała o Marii i jej brutalnym mężu. Dlaczego krzywdzi się osobę, którą przyrzekło się kochać? Niepokoiło ją, że miłość z taką łatwością może się przekształcić w nienawiść, jakby to były dwie strony tej samej monety.

Zadzwoniła do drzwi. Kiedy Piers otworzył, powiedziała:

– Tylko kawę proszę.

Półki w salonie pokrywała warstwa kurzu, na dywanie leżał talerz z resztką posiłku, fasoli na grzance, sądząc z wyglądu zasuszonych pomarańczowych resztek. Był taki czas, kiedy Piers ciągle wyglądał na rozgniewanego, ale teraz był ciągle smutny. Zaraził tym Charley.

Piers zrobił kawę rozpuszczalną, miałką i niesmakującą jak kawa. Charley musiała usunąć papiery i szlafrok z sofy, żeby móc usiąść.

– Jak interesy?

– Coraz lepiej.

– Byłam u Anne.

Spojrzał na nią czujnie.

– Tak? Jak się czuje?

– Dobrze. Tęskni za tobą.

Z irytacją się skrzywił.

– Charley, wiem, że chcesz dobrze, ale o niczym nie masz pojęcia. Gdyby za mną tęskniła, wróciłaby do domu. Nic jej nie stoi na przeszkodzie. – Zakołysał filiżanką. – Ciągle myślę, że lada chwila dowiem się, że zamieszkała z Aidanem.

Charley była siedem lat młodsza od brata, ale czasami czuła się o wiele od niego starsza. Och, Piers, pomyślała, jak możesz tak bardzo się mylić? Nie wiadomo skąd powróciło wspomnienie sprzed lat.

– Pamiętasz te wakacje, kiedy umarł wujek Jonny? Miałam dość, bo zupełnie na mnie nie zwracałeś uwagi i cały czas spędzałeś z Aidanem i Anne.

Wzruszył ramionami, zrobił obojętną minę i wytrząsnął papierosa z paczki woodbine'ów. Ignorując tę próbę zniechęcenia jej, ciągnęła:

– Raz poszłam za wami na Thorney. Ty i Aidan ścigaliście się na grobli. Wygrałeś i przytuliłeś Anne.

– Charley, to wszystko jest bardzo wzruszające, ale… – zaczął znudzonym tonem.

– Widziałam wyraz jej twarzy – przerwała mu. – Była w tobie zakochana. Dziewięć lat temu, Piers, już była w tobie zakochana. I nadal cię kocha. – Z Piersem owijanie w bawełnę nie miało sensu, zawsze trzeba było mówić prosto z mostu.

Pstryknął zapalniczką, a kiedy płomień się nie pojawił, upuścił ją, mrucząc pod nosem przekleństwo.

– Piers – powiedziała z irytacją.

– Co? – Jego oczy przypominały niebieskie kamienie.

– Ona musi się dowiedzieć, że ją kochasz, ty idioto. – Coś przyszło jej na myśl i uważnie się mu przyjrzała. – Bo kochasz, prawda?

Spojrzał na nią ze złością, ale zaraz nadął policzki i wolno wypuścił powietrze z płuc, kręcąc głową.

– Tak – odparł z niejaką rozpaczą w głosie. – Tak myślę.

– Tak myślisz?

– Nie jestem dobry w tych sprawach. Skąd mogę wiedzieć? – Usiadł prosto, opierając luźno ręce na kolanach i wpatrując się w stolik. – A poza tym ona najwyraźniej już mnie nie potrzebuje, więc jaki w tym sens?

Charley podejrzewała, że jedną z rzeczy, które Anne próbowała nauczyć Piersa, było to, iż doskonale potrafi sama zadbać o siebie i Eddiego, a miłość to coś więcej niż tylko płacenie rachunków i naprawianie popsutej pralki. Ale czy Piers kiedykolwiek to zrozumie?

– Pomogłoby – powiedziała cierpliwie – gdybyś posprzątał mieszkanie i zaniósł koszule do pralni. – Mankiety miał szarawe.

Zamrugał.

– Tak myślisz?

– Ja o tym wiem.

Potarł oczy.

– Czasami myślę, że coś ze mną nie w porządku.

– Nieprawda. Po prostu jesteś facetem, w dodatku dość beznadziejnym – odparła Charley serdecznie i zmierzwiła mu włosy.

Rozdział siedemnasty

Czerwiec–lipiec 1966 roku

Dom na nią napierał, miażdżył ją. Tylko on jej został, a nienawidziła go.

Zadzwoniła Helen, ale Juliet powiedziała, że ma dużo pracy w szkole. Przyjaciółki z Londynu i Maldon także telefonowały i pisały – wszystkim odmawiała. Zadzwoniła do szkoły i powiedziała, że jest chora. Była zbyt zmęczona, żeby gotować, i kiedy pamiętała, że powinna coś zjeść, żywiła się z puszek.

Raz przyszedł Joe. Usłyszała dżipa zbliżającego się podjazdem. Kiedy rozległ się dzwonek, Juliet stała w holu z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi dłońmi. Zaczął walić do drzwi i wołać:

– Juliet, proszę, porozmawiaj ze mną!

Nie poruszyła się. Minęło kilka sekund. Znowu uderzył pięścią w drzwi.

– Dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać?

Przeszło jej przez myśl, żeby otworzyć i powiedzieć mu prawdę. Był dobrym, uczciwym człowiekiem, może by zrozumiał.

Ale została na miejscu i po chwili usłyszała jego kroki na żwirze, potem warkot silnika. Oczy ją bolały, w głowie pulsowało.

Traciła wszystko, co było dla niej cenne. Wszystko się kończyło. Już utraciła Joego, Freya była niczym bomba umieszczona w samym środku rodziny, gotowa rozerwać wszystkich na strzępy. Co nie znaczy, że wiele do zniszczenia zostało. Rodzina już była w strzępach.

Pies potrzebował spacerów; raz na dzień wędrowała wzdłuż ujścia. Lulu szalała przy króliczych norach, węszyła w trawie. Kiedy rzadko

jakiś człowiek pojawiał się w zasięgu wzroku, Juliet drgała przestraszona, jakby zapomniała, że istnieją inni ludzie. Raz widząc mężczyznę stojącego przy słonych mokradłach, skuliła się, bo myślała, że to Morgan. Ale tamten opuścił lornetkę i przekonała się, że to obserwator ptaków, wyglądający na nieszkodliwego sześćdziesięcioparolatek, który przywitał się z nią kiwnięciem głowy.

A potem pewnego wieczoru, kiedy zbliżała się do wyspy, wydało jej się, że znowu zobaczyła dziewczynkę. Wśród wierzb na wybrzeżu Thorney dostrzegła błysk czerwieni, który był jak czerwona sukienka wydymana wiatrem. Cicho krzyknęła i chwyciła się płotu, by zachować równowagę. Serce mdląco jej przyśpieszyło i bała się, że zemdleje. Zmusiła się, żeby jeszcze raz spojrzeć, i przekonała się, że to kawałek materiału, który zaczepił się w szarozielonych gałęziach rdestnic zwieszających się nad rzeką. Szkarłatna tkanina powiewała na wietrze.

Wracając do domu, minęła miejsce, gdzie Wintertonowie rozpalali ogniska. Teraz krąg popiołów wydawał się symbolizować rozpad, a nie świętowanie. Kiedy zamknęła oczy, wyobraziła sobie ludzi, którzy niegdyś stali tu z nią i przyglądali się płomieniom skaczącym w niebo. Henry, Jonny, Gillis, Blanche – wszyscy odeszli, ich bliskość należała do przeszłości, zmieniła się w cienie tańczące chaotycznie w zmierzchu.

W nocy śniło jej się, że tonie. Nie w Blackwater, ale w turkusowym błękicie jakiegoś zapamiętanego z dzieciństwa południowego morza. Na początku była blisko brzegu. Piasek, palmy, rząd sklepów i hoteliki, wszystko to wydało jej się znajome. Później jednak fale poniosły ją w morze i wkrótce poczuła się zagubiona, stopami nie sięgała już dna. Była sama, w pobliżu nie widziała innych pływaków i niezależnie od tego, jak mocno poruszała rękami i nogami, nie potrafiła skierować się do brzegu. Piasek i palmy zniknęły z pola widzenia, wzburzone morze stało się ciemne i zimne. Ogromna fala wepchnęła ją pod powierzchnię, napełniła usta i nos wodą. Woda z gardła lała się do płuc i Juliet wiedziała, że tonie.

Obudziła się, z trudem łapiąc powietrze. Świt jeszcze nie nadszedł, żaden promyk światła nie sączył się przez zasłony, ciemność przygniatała ją swoim ciężarem. Skrzypnięcia i jęki starego domu

przekształciły się w kroki ludzi, którzy kiedyś tu mieszkali. Nie powinnam była zostawać w tych murach, pomyślała, tylko dawno się stąd wyprowadzić. Marsh Court stał się kryptą dla wszystkich jej nadziei.

Nastał poranek. Nie wstała. Nie widziała sensu.

Po południu głód i pies wygnały ją z łóżka. W kuchni nakarmiła Lulu, dla siebie zrobiła herbatę i grzankę z zatęchłej resztki chleba. Wypuściła psa tylnymi drzwiami, włożyła gumowce, na piżamę narzuciła stary płaszcz przeciwdeszczowy i wyszła na dwór.

Podmuchy wiatru ze wschodu niosły srebrzysty deszcz, przepleciony z błyskami słońca. Juliet wzięła klucze do domku; uwolniona z zamknięcia Lulu podskakiwała koło niej, kiedy szła ścieżką. Otworzyła drzwi domku, przekroczyła próg. Meble pokrywał kurz, książki i gry, które miały zapewnić rozrywkę gościom, teraz wyglądały na stare i zniszczone. Juliet wyobraziła sobie w tym wnętrzu Gillisa i Blanche: ona zrzuca szpilki, on relacjonuje jej kłótnie z Henrym. Inny obraz: Gillis skulony przed kominkiem trzyma na kolanach córkę i łyżeczką poi ją ciepłym mlekiem.

To miejsce zdrady, wypełnione kłamstwami. Powietrze było kwaśne i zatęchłe, dusiło ją.

Zgarnęła układanki i książki w miękkich oprawach do kartonowego pudła, po czym poszła do ogrodu. Wyrzuciła zawartość na popioły po ostatnim ognisku i wróciła w górę zbocza do domku, żeby zerwać zasłony i zwinąć w rulon zakurzone chodniki. Ułożyła je ostrożnie, tak by nie zdusiły płomieni. Chociaż była słaba i zmęczona, chociaż miała złamane serce, nadal należała do rodziny Wintertonów i zamierzała rozpalić ognisko, które będzie widoczne na całych mokradłach.

Freya powiedziała jej, że fotografie są czymś w rodzaju egzorcyzmów. Juliet także musi unicestwić przeszłość, bo tylko wtedy będzie w stanie zbudować dla siebie przyszłość. Raz po raz wracała do domku. Drewniane wieszaki na ubrania, wiklinowy fotel, poduszka: wszystko wędrowało na stos. Gazeta z głównego domu i roczniki „The Field", ulubionego czasopisma Henry'ego. Sukienki, których już nie nosiła, zniszczone zabawki, którymi dzieci od lat się nie bawiły, połamany komplet do krokieta.

W luki powtykała suche gałązki, potem z szopy wzięła kanister z benzyną i polała nią stos. Przystawiła zapalniczkę do gazety, chwyciła psa za obrożę i się cofnęła. Zaczęło się od cichych trzasków, po których rozległ się szum, gdy zapaliła się benzyna i płomienie rozbiegły się na wszystkie strony. Lulu zaskomlała, Juliet uklękła więc i uspokajająco poskrobała ją za uchem. Paliła przeszłość, kłamstwa i zdrady. Paliła swoją historię.

Pąsowe iskry na tle nieba tańczyły, płomienie rzucały rubinową poświatę na gałęzie. Juliet wyobraziła sobie, jak drzewa zaczynają płonąć, trawa czernieje i zamienia się w popiół, ogień pędzi ścieżką i z trzaskiem pożera Marsh Court. Z Lulu w ramionach stanęła daleko od ogniska, gdzie gęsty biały dym tworzył parawan pomiędzy nią a domem.

Nazajutrz rano wstała wcześnie. Wykąpała się, ubrała, utapirowała włosy. Trochę kremu, odrobina szminki. Dygotała: powinna coś zjeść. W lodówce były jajka – zrobiła z nich omlet, podgrzała pomidory z puszki i napiła się czarnej herbaty, bo mleko skwaśniało. Wyszła z domu. Był pogodny dzień, powietrze chłodne i świeże. Promienie słońca załamywały się w kroplach rosy. Ognisko zmieniło się w okrągły szarawy dywan, w jego środku żarzyły się węgliki różowe jak fuksja, z białymi obwódkami. Smużki dymu wznosiły się z popiołów, w których dostrzegała szkielety spalonych przedmiotów: mosiężny zawias, kółko od zasłon.

Często żałowała, że wyszła za Henry'ego Wintertona, i zadawała sobie pytanie, czy razem z perłowym naszyjnikiem sprzedała siebie. Dzisiaj postrzegała to inaczej, jako odważną decyzję podjętą w takim okresie życia, kiedy miała przed sobą niewiele możliwości. Wtedy dzięki tej decyzji zyskała wielkie bogactwa. Dom, kraj i rodzinę.

Teraz musiała odnaleźć w sobie tę samą odwagę, uporządkować chaos. Najpierw załatwi sprawę z Morganem, potem doprowadzi do zgody w rodzinie. I Joe… tęskniła za nim, łaknęła otuchy, jaką dawały jego ramiona, siła i wiara w nią. Nie ceniła go dostatecznie, za mało mu ufała. Zaufanie to istotny element miłości. Jeszcze jedno powinna naprawić.

Pozwoliła, by jej obawy się namnożyły i przytłoczyły ją. Nieważne, jakie łączyło się z tym ryzyko, bardziej bała się powrotu depresji i niemożności działania z poprzedniego tygodnia. Przypuszczała, że jest skryta z natury, a może tę cechę wymusiło dzieciństwo spędzone w obcych krajach, gdzie często była jedyną podporą i powiernicą człowieka pielęgnującego własne demony. Teraz musiała się zmienić.

Dzisiaj pojedzie do Maldon, pochodzi po sklepach i kupi żywność. Najpierw jednak zrobi coś innego. Weszła do domu i z biurka wzięła karteczkę, którą Morgan dał jej na pogrzebie Gillisa. Wykręciła numer.

Morgan odebrał. Jak się spodziewała, zażądał pieniędzy.

– Nie – odparła krótko. – Przyniosę panu coś lepszego. – Powiedziała, żeby spotkał się z nią na grobli o ósmej wieczorem w sobotę, i odłożyła słuchawkę.

Dzieci leżały w łóżkach, Anne na piętrze przygotowywała ubranie do pracy na następny dzień. Nagle usłyszała hałas z dołu. Głośny trzask, jakby coś – ktoś – wpadło przez frontowe drzwi. A potem rozległy się wrzaski.

Cichutko sprawdziła, czy Eddie, Nancy i Owen śpią, po czym zamknęła drzwi do ich pokoi, które znajdowały się na drugim piętrze, i na palcach zeszła do połowy schodów prowadzących na pierwsze.

Na linoleum w holu leżały kawałki drewna, jakiś mężczyzna wrzeszczał:

– Idziesz ze mną, suko, nawet jeśli będę cię stąd musiał wywlec!

Maria płakała, Ceridwen przemawiała spokojnym, rozsądnym tonem:

– Michael, porozmawiajmy.

– Nie przyszedłem tu gadać. A ty się zamknij, kurwa. Stań tak, żebym mógł cię widzieć, ale się, kurwa, zamknij.

W holu coś się poruszyło i Anne przywarła do ściany. To była Ceridwen, która łapiąc wzrok Anne, bezgłośnie powiedziała „policja”, po czym zniknęła jej z oczu.

Michael nadal wrzeszczał, jego słowa odbijały się od schodów, stąd Anne wiedziała, że cała trójka jest w holu. Cichutko pokonała resztę

schodów i weszła do sypialni Ceridwen. Podbiegła do okna i podniosła łuszczącą się ramę, modląc się, żeby mąż Marii nie usłyszał skrzypnięcia. Zastanawiała się, czy dobrze robi, zostawiając dzieci, w tym Eddiego, w domu, w którym jest szaleniec, czy raczej powinna w jakiś sposób zabrać je wszystkie ze sobą. Wiedziała jednak, że to niemożliwe, wyśliznęła się więc przez okno na płaski dach dobudówki kuchennej. Na jego skraju przykucnęła i zeskoczyła na trawę.

Wyszła na główną ulicę. Przed budką telefoniczną stała kolejka, ale kiedy wyjaśniła, że sprawa jest pilna i musi wezwać policję, przepuścili ją. Starsza kobieta skończyła rozmowę i wpuściła ją do budki.

Drżącymi palcami wybrała 999. A jeśli Michael zrobił coś strasznego? Jeśli zabił Marię albo podpalił dom? Pragnęła jak najszybciej wrócić do Eddiego i zabrać go w bezpieczne miejsce.

W słuchawce odezwał się głos. Anne pośpiesznie wyjaśniła, co się stało.

– Małżeńska kłótnia? – powtórzył głos. – Naszym zdaniem najlepszym wyjściem jest niewtrącanie się w domowe sprawy, proszę pani.

Anne pomyślała, że jej nie zrozumiał. Usiłowała mu wyjaśnić powagę sytuacji.

– Jej mąż w przeszłości stosował przemoc. Groził, że ją zabije.

Czy usłyszała westchnienie?

– Małżonkowie mają własne sposoby na rozwiązywanie nieporozumień. Ostatnią rzeczą, na jakiej im zależy, kiedy się sprzeczają, jest policja pojawiająca się na progu.

– Błagam…

– Jeśli będę miał wolnego człowieka, to go do was przyślę. Moja rada, kochanie, niech pani wraca do domu i napije się herbaty. Do kłótni trzeba dwojga, zawsze to powtarzam.

Połączenie zostało przerwane. Anne wpatrywała się w słuchawkę, serce jej waliło, w ustach miała sucho. Co powinna zrobić? Pomyślała o Piersie. Może poprosić go o pomoc? Powinna?

Nie miała wyboru. Wykręciła jego numer.

– Nie przychodź sam – nalegała, bo nagle poczuła lęk o niego. – Musisz kogoś ze sobą zabrać. Kogoś naprawdę wielkiego.

– Trzeba założyć kilka zasuw na te drzwi – powiedział Piers. – Przyjdę jutro wieczorem i to zrobię.

Godzinę później siedzieli w pokoju Anne i pili bardzo mocną kawę, którą zaparzyła. Piers przyprowadził Jamiego i Roba, obaj byli rugbystami, i Michael w końcu opuścił dom. Ceridwen dała Marii tabletkę nasenną i położyła ją do łóżka, a Jamie i Rob poszli do pubu przy tej samej ulicy.

Anne było zimno, ale nieważne, ile swetrów włożyła, nie umiała się rozgrzać. Nie potrafiła znieść myśli, że znów straci Eddiego z oka, przeniosła go więc do swojego łóżka. Rozmawiali cicho, żeby go nie obudzić.

– Muszę zainstalować telefon – powiedziała. – Zajmę się tym jutro.

– Wróć do domu – powiedział Piers zgodnie z jej oczekiwaniami.

– Nie mogę.

– Anne, na litość boską…

Siedzieli na skraju łóżka. Wystarczyło, by wyciągnęła rękę, a on wziąłby ją w objęcia. Trudno było tego nie zrobić.

– Piers, nie mogę.

– Tęsknię za tobą. Źle mi bez ciebie.

Pamiętała, jaką ulgę poczuła, kiedy pojawił się w domu z Jamiem i Robem, i jak spokojnie i stanowczo przekonał Michaela do wyjścia.

– Wiem – odparła, dygocząc na całym ciele. – Też tak czuję.

– Myliłem się co do Aidana, przyznaję, że się myliłem.

Powiedział to tak, jakby szedł na wielkie ustępstwo.

– Oczywiście, że tak – oznajmiła z energią, na jaką było ją stać. – Nie kocham Aidana, nigdy nie kochałam. Nigdy mnie nie pociągał.

Była zbyt zmęczona, żeby radzić sobie z dumą Piersa. Pragnęła się skulić obok Eddiego i zasnąć, ale prowadzili pierwszą poważną rozmowę od wieków, musiała więc dołożyć starań, żeby do niego dotrzeć.

– Musisz zdecydować, co jest dla ciebie ważniejsze – powiedziała. – Eddie i ja czy twój stosunek do Aidana.

Oczy mu błysnęły.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Wręcz przeciwnie, Piers, i zawsze tak było. Ta głupia rywalizacja zajmuje twoje myśli. Czy ty na przykład w ogóle zauważyłeś, jak bardzo mi przeszkadzało, że przestałam pracować w galerii? Zdawałeś sobie sprawę, że dla mnie to było równie przygnębiające, jak dla ciebie utrata rodzinnej firmy?

– Wiedziałem, że praca sprawiała ci przyjemność…

– Ale mam dziecko. Tak myślałeś, prawda? Wszyscy tak myślą. Kocham Eddiego bardziej, niż potrafiłabym wyrazić, i myślę, że dobrze go wychowuję, ale to mi nie wystarcza. Wiele osób uważa, że powinno wystarczać, ale tak nie jest. – Serce mocno jej biło. Odstawiła kubek z kawą na stolik nocny, lepiej, żeby więcej nie piła. – Uświadomiłam sobie, że potrzebuję czegoś więcej, czegoś, w czym jestem dobra. O wiele lepiej niż wcześniej radzę sobie z obowiązkami domowymi, ale nie wkładam w to serca, nigdy nie będę. Jestem dobra w pracy, wiem o tym. Chcę wykorzystać swoją wiedzę i doświadczenie. Dzięki temu mam w świecie swoje miejsce.

Zapadło milczenie, jakby Piers przyswajał sobie jej słowa, potem powiedział:

– Jeśli wrócisz do domu, będziesz mogła pracować w galerii. Zatrudnimy nianię albo *au pair*. Interesy idą lepiej.

– Cieszę się, ale…

– Wróć ze mną.

Pokręciła głową, niezdolna mówić.

– Proszę. Anne, proszę.

Po raz pierwszy ją błagał.

– Nie, Piers – powiedziała cicho i pocałowała go w policzek. – Powinieneś już iść, ale bardzo ci dziękuję. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły. Byłeś cudowny. Jestem z ciebie taka dumna.

Na dole otworzyła frontowe drzwi i wyjrzała na ulicę, sprawdzając, czy nie ma w pobliżu Michaela.

– A jeśli wróci? – zapytał Piers.

– Nie wróci, w każdym razie nie dzisiaj wieczorem. Wystraszyłeś go – odparła, udając pewność siebie.

– Zostanę. Będę spał na sofie, jeśli chcesz.

Pokręciła głową. Spojrzała mu w oczy i powiedziała:

– Nie wrócę do domu tylko dlatego, że przestało mi się tu podobać. Ty musisz naprawdę tego chcieć, Piers. Musisz chcieć naszego powrotu bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

Juliet siedziała przy toaletce, przed nią leżały szkatułki z biżuterią. Niebieskie jak chabry szafiry z Kaszmiru, dziedzictwo Wintertonów, wysypywały się z aksamitnego etui. Szmaragdy połyskiwały na tle białej satyny. Przesunęła opuszkami palców po bransolecie ze złota, po bransoletce z akwamarynami, którą Henry podarował jej na dwudzieste urodziny, po broszce w kształcie łodygi kwiatów zdobionej klejnotami.

Jej dłoń spoczęła na zielonej skórzanej kasetce zawierającej perły. Otworzyła ją i w oczy rzuciła jej się ich symetria i połysk. Pamiętała swoje piętnaste urodziny, kiedy ojciec podarował jej te perły, i to, że ponieważ była w niedoświadczonym i nadąsanym wieku, prezent wcale się jej nie spodobał. I jak później nauczyła się podziwiać ich wyjątkowość, tajemniczość i sposób, w jaki podkreślały kolor jej oczu.

A potem ojciec umarł i postanowiła je sprzedać, i w jej życie wkroczył Henry Winterton. Perły należały do niej, były jej częścią. Miała wrażenie, że klejnoty Wintertonów tylko pożyczyła, za to naszyjnik był jej własnością i dlatego wykorzysta go do dobicia targu, do tej ostatniej rozpaczliwej próby ochronienia rodziny.

Czasami już tych pereł nie kochała. Czasami myślała, że kosztowały ją zbyt wiele. Zgarnęła je na dłoń i wyszła z pokoju.

Tego wieczoru, kiedy Juliet szła w stronę grobli, był odpływ, woda uciekała w morze, niosąc ze sobą kawałki drewna, trzy łabędzie i pustą butelkę po winie. Cienie znaczyły pola i żywopłoty, niebo miało kolor kredy. W powietrzu czuć było zapach dymu – ktoś musiał rozpalić ognisko – na tle trawy barwy piasku wyróżniały się różowawe kwiatki jeżyn i fioletowe rdestnic. Przed sobą widziała wyspę, smugę jasnej zieleni zwieńczonej ciemniejszymi drzewami.

Muskała opuszkami palców naszyjnik w kieszeni, czując chłodną jedwabistość pereł. Światło odbijało się od rzeki; przysłaniając oczy,

zobaczyła go, stał na brzegu i rzucał patyk psu. Wielu mężczyzn miało w sobie mrok. Był w Gillisie, pozwolił mu porzucić córkę, i w Henrym, który kontrolował rodzinę żelazną ręką. U Morgana ów mrok znajdował się bliżej powierzchni i był intensywniejszy.

Patyk zatoczył łuk w powietrzu i Bryn niczym jasna strzała pomknął po trawie. Dłoń Juliet znowu powędrowała do pereł, jakby to był talizman.

Kiedy podeszła do Morgana, zapytał:

– Co mi pani przyniosła?

– To. – Wyjęła naszyjnik z kieszeni i poczuła, jak przesuwa się jej między palcami.

Spojrzał z pogardą.

– Taką błyskotkę…

Pokręciła głową.

– Są warte wiele pieniędzy. Perły słonowodne należą do rzadkości. Mój mąż dał je do wyceny, są w najlepszym gatunku.

Wyciągnął do niej rękę.

– Niech pani pokaże.

– Jeszcze nie. – Przycisnęła naszyjnik do piersi.

– Powiedziałem, niech pani je da. – Gwałtownie się ku niej nachylił. Skuliła się; niezręczne ruchy i odór alkoholu w oddechu świadczyły, że pił. Nie był wysoki, ale mocno zbudowany i muskularny i zdawała sobie sprawę z jego siły fizycznej. Co Gillis o nim mówił? „Ani krzty współczucia czy sumienia”.

– Najpierw musi pan o czymś wiedzieć. – Zmusiła się, by spojrzeć w jego przekrwione niebieskie oczy. – Więcej nic panu nie dam, rozumie pan? Nie może pan nigdy więcej się ze mną kontaktować, musi pan odejść i nigdy tu nie wracać.

Bryn z patykiem w pysku przytruchtał do Morgana; skomlał i tańczył wokół pana. Za nimi Blackwater gnająca do morza zaczęła się zwężać, pod płytką wodą widać było początek grobli.

Morgan burknął coś do psa, potem powiedział:

– Nie wydaje mi się, żeby sytuacja pozwalała na stawianie warunków, pani Winterton.

– Jeśli jeszcze pana zobaczę, wezwę policję. Zrobię to, przysięgam, choćby nie wiem ile mnie to kosztowało.

Wyciągnął rękę. Perły zsunęły się na jego dłoń.

– Nie, wcale nie, ty głupia suko. – Wygiął wargi. – Będziesz skomleć i piszczeć jak wszyscy twojego pokroju, a potem zrobisz, co ci każę.

Pies niecierpliwie skubał Morgana po kostkach. Mężczyzna zaklął, wyrwał patyk z psiego pyska i rzucił nim przez ramię. Bryn popędził, wskakując do wody przelewającej się przez początek grobli. Rzeka porwała psa i poniosła go, wirującego na wartko płynącym nurcie.

– Bryn! – krzyknął Morgan. – Wracaj, Bryn, niech cię szlag!

Wbiegł na płyciznę, ślizgając się na mokrych kamieniach, potem z wyciągniętą ręką wszedł głębiej.

– Bryn! Bryn, tutaj!

Rzeka sięgała mu do ud, po chwili do pasa. Wydawało się, że dotknął psa na moment przed utratą równowagi, i zaraz poniósł go nurt, najpierw okręcając nim jak korkiem, a potem spychając w głąb. Na chwilę połknęła go woda.

Wynurzając się, krzyknął:

– Pomocy! – Błagalnie wyciągnął ręce do stojącej na brzegu Juliet. – Na litość boską, nie umiem pływać!

Przez sekundę trwała w bezruchu i tylko patrzyła na tonącego. Kończyny miała jak z kamienia, serce także. Potem się rozejrzała, zobaczyła długą gałąź i złapała ją. Pobiegła brzegiem i podała gałąź Morganowi.

– Złap ją! – zawołała. – Wyciągnę cię!

Machał rękami w wodzie, która oddalała go od gałęzi. Juliet weszła głębiej. Stopy zapadły się jej w bagnie, od zimnej jak lód wody zabrakło powietrza w płucach.

– Łap! – krzyknęła. – Szybko!

Poczuła szarpnięcie, kiedy chwycił gałąź. Bała się, że ją jej wyrwie, kiedy będzie ciągnęła go w stronę brzegu, zrobiła więc kolejny krok. Nagle złapał ją za sukienkę, gałąź wysunęła się jej z palców i oboje potoczyli się w wartkim nurcie, oddalając się od wyspy i grobli. Ruchy Juliet krępowały mokre ubranie i Morgan, który uczepił się jej, jakby mogła utrzymać go na powierzchni.

Gorączkowo się miotała, usiłując dotknąć stopami dna rzeki. Nad nią niebo ciemniało. Woda zalewała jej usta i nos, uniemożliwiając

oddychanie. Miała wrażenie, że z zimna zamarzają jej płuca; okręcana przez nurt, widziała, jak brzeg rzeki, wyspa i mokradła wirują jak szalone. Siły ją opuszczały. Morgan, śmiertelny balast, ciągnął ją w dół, w mroczną głębię rzeki. Tonęła.

A potem jego chwyt zelżał, palce się wyprostowały i puścił ją. Juliet z wysiłkiem się wynurzyła. Kiedy ostatni raz go widziała, leżał twarzą w wodzie, odpływ niósł go w morze.

Ujście składało się z niezliczonych strumyczków, płycizn i wysepek, gdzie osiąść mogły rzeczy wyrzucone przez wodę. Kanały tworzyły zakręty i wiry na rozległej przestrzeni pokrytej przez trawę i bagno, przez którą prowadziło pełne meandrów koryto Blackwater.

Juliet musiała stracić przytomność, bo obudził ją szum trzcin i płynącej wody. Leżała na zboczu trawiastej wyspy. Wcześniej dopłynęła do brzegu, walcząc z całej siły z prądem, który pchał ją do ujścia. Teraz każdy mięsień płonął jej z bólu. Błoto wysychało na jej rękach i nogach, pękało, gdy trzęsła się z zimna. Zapadał zmierzch, Blackwater wyglądała jak wąski ciemny strumyk. Juliet powiodła wzrokiem po brzegu, ale nigdzie nie widziała Morgana.

Mogłaby tu leżeć i spać, ale z trudem się podniosła, a potem ślizgając się na błocie, chwytając się kępek traw, wdrapała się na solidniejszy grunt. Tam się wyprostowała i jeszcze raz przyjrzała uważnie rzece. Zbliżała się noc, wybrzeże okrywała ciemność. Nie dostrzegła śladu Morgana ani jego psa.

Wracając na ścieżkę prowadzącą do Marsh Court, mogła tylko stawiać jedną stopę przed drugą. Wkrótce jednak odzyskała przytomność umysłu i powiodła czujnym wzrokiem po okolicy, czy nie ma tu obserwatorów ptaków i łodzi. Nikt nie może jej zobaczyć w podartym, zabłoconym ubraniu, z zielskiem we włosach. Jeśli Morgan zginął (zadrżała, była bowiem tego pewna), absolutnie nic nie może jej z nim łączyć. Nikomu nie może zrodzić się w głowie podejrzenie, że spotkała się z nim tego wieczoru.

Z drżeniem serca przypomniała sobie jednak o perłach. Włożył je do kieszeni czy upuścił, w pośpiechu ratując Bryna? Wyobraziła sobie, jak ciało wyławiają z wody, jak policja opróżnia kieszenie

kurtki w poszukiwaniu dokumentu tożsamości i znajduje perły, jej cenne, znane, pamiątkowe perły.

Na zachodzie, gdzie słońce kryło się za horyzontem, niebo żarzyło się na różowo. Juliet doszła do grobli, która wyłoniła się z rzeki niczym szary kręgosłup łączący stały ląd z wyspą, nieważny i ulotny. Przystanęła na brzegu, przybita i wyczerpana. Przed jej oczami odtwarzały się minione chwile. Wspominała ulgę, gdy unoszona prądem poczuła, jak jego uchwyt słabnie, i porwała go rzeka. Była wyprana z emocji. Odsunie te sprawy na bok i nigdy więcej nie będzie o nich myślała. Nie zachowa wspomnień, zapomni o wszystkim.

Pomiędzy kamieniami i roślinnością dostrzegła błysk, uwięziony w szarościach i brązach. Głośno westchnęła. Schyliła się i wyciągnęła naszyjnik. Od pereł odpadło zaschnięte błoto, kamyczki i muszle. Zamknęła oczy, kołysząc się w mroku, przyciskając perły do piersi. A potem wróciła do domu.

Dopiero później, kiedy moczyła się w wannie, zobaczyła setki zadrapań na dłoniach i kolanach, które powstały, kiedy z rzeki czołgała się na bezpieczny brzeg. Posmarowała je środkiem dezynfekującym, spuściła kamyczki i fragmenty zielsk do ścieku. Dokładnie umyła perły.

Położyła się do łóżka i zamknęła oczy. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będzie w stanie się poruszyć. Dygocząc, zastanawiała się, czy nie ma gorączki. Wyciągnęła rękę, jakby w ten sposób mogła dotknąć leżącego obok Joego i ogrzać się przy nim. Była zmęczona samotnością, samotność znużyła ją dawno temu, a poza tym miała Joego we krwi, krążył w jej żyłach, nieodłączny, perła, którą zawsze będzie przechowywać w swoim sercu.

Z pieniędzy zaoszczędzonych z rocznej renty i z Piersem jako żyrantem Charley kupiła dom przy Roupell Street w Waterloo.

W sobotę Nate pomagał jej przy przeprowadzce, transportując rzeczy z domu w Chelsea na południowy brzeg rzeki.

– Josh właściwie mieszka z Louise – wyjaśniła, kiedy przenosili kartonowe pudła – i czuję, że im przeszkadzam. A Gabe zamierza

kupić sobie mieszkanie.

Nate miał spotkanie z prawnikiem Sinclairów, tak więc w południe poszedł. Charley zabrała się do rozpakowywania pudeł. Dom był szeregowcem zbudowanym w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku. Pośrednik w handlu nieruchomościami opisał go jako „domek rzemieślnika". Składał się z dwóch sypialń na piętrze oraz kuchni i salonu na parterze. Niektóre framugi były spróchniałe, w jednej sypialni od sufitu odpadł kawałek tynku, a ubikacja mieściła się w przybudówce, co oznaczało wyprawy przez wilgotny i zarośnięty ogród. Charley pokochała domek. Zamierzała w drugiej sypialni, tej z dziurą w suficie, urządzić gabinet. Zaczęła pracę nad następną sztuką.

Kiedy szukała czajnika, żeby zaparzyć herbatę, ktoś zadzwonił do drzwi. Poszła otworzyć.

To był Nate.

– Rory uciekł ze szkoły – powiedział. – Nikt nie wie, gdzie się podział. Charley, nie mam pojęcia, co począć.

W drodze do Sinclairów Nate zrelacjonował jej sytuację.

– Myślą, że uciekł wczoraj wieczorem. Kolega go krył. W szkole zorientowali się dopiero podczas śniadania. Uznali, że poszedł na spacer albo coś w tym rodzaju, bo zachowuje się trochę dziwnie od śmierci taty, ale kiedy nie wrócił, zadzwonili do Flavii. Ona zadzwoniła do mnie, ale oczywiście mnie nie złapała, więc zatelefonowała do Claudii. Pomyślała, że może jest u nich. Kiedy wróciłem do domu, czekał na mnie Toby.

– Rory nie odezwał się do Flavii ani Claudii?

– Nie. – Nate był chory ze zmartwienia. – Nic nie wiedzą.

– A ten chłopak, który go krył… coś powiedział?

– Wydaje mu się, że Rory zabrał namiot.

– Namiot?

– Z harcówki. Dyrektor twierdzi, że jednego brakuje. – Nate pokręcił głową. – A jeśli… faktycznie uciekł? Postanowił, że wstąpi do marynarki handlowej albo zrobi coś równie głupiego? To do niego podobne.

Charley pragnęła dotknąć jego ręki, ale nie mogła, ponieważ prowadził samochód. Dojechali do domu. Nate zaparkował i wysiedli.

W salonie Toby, mąż Claudii, czytał „Timesa”. Na ich widok wstał.

– Macie coś?

– Nic. A ty?

Toby pokręcił głową.

– Dzwoniła Claudia. Zastanawia się, czy nie pojechał gdzieś, gdzie jeździliście na wakacje, coś w tym stylu.

Nathan wpatrywał się w Toby’ego.

– Co?

– Szczęśliwe wspomnienia i tak dalej. – Krzywiąc się, Toby poskładał gazetę. – My jeździliśmy na wakacje nad lodowatą rzekę w Szkocji. Ojciec cały czas na nas wrzeszczał, bo za bardzo hałasowaliśmy i płoszyliśmy łososie. Nie wróciłbym tam, nawet gdybyście mi zapłacili. Ale warto się nad tym zastanowić.

– Często jeździliśmy do Antibes – powiedział Nate. – Albo na narty.

Toby odchrząknął.

– Może powinieneś zwrócić się do policji.

Charley przysiadła na krześle. Pomyślała o namiocie.

– Nate, byliście kiedyś na biwaku?

– Nigdy. Tata by się nie zgodził. Wolał żeglować. – Westchnął. Charley wiedziała, że myśli o ojcu i jachcie, Morskiej Tancerce. Nagle zmarszczył czoło. – Chociaż mama…

– Tak?

– Rory raz pojechał na biwak z mamą. Ciągle o to prosił, więc go zabrała. Miał wtedy jedenaście, dwanaście lat. Bardzo mu się podobało. Bez przerwy nam o tym opowiadał.

– Dokąd pojechali?

– Nie potrafię sobie przypomnieć.

Wstała i podeszła do niego. W oczach miał szaleństwo. Wzięła go za ręce.

– Nate?

– Znasz okolicę na wschód od Marsh Court? Rolnik pozwolił im rozbić namiot na polu. Byli na tyle blisko Marsh Court, że mama mogła pójść się tam wykąpać. Jak to się nazywa? Ta dziwna błotnista plaża, która wygląda jak koniec świata. I jest tam kościół. Wydaje mi się, że także rzymski fort.

– To kaplica St. Peter-on-the-Wall – powiedziała Charley.

– Czuję się strasznie samotny. Kiedy byłem w Ameryce Południowej… no, od czasu do czasu tęskniłem za rodzicami, ale jeśli mam być szczery, to nie za bardzo. Chyba wiedziałem, że tu są i znowu ich zobaczę. Ale teraz nienawidzę tego domu. Założę się, że Rory także. To nie jest nasz dom. Rory pewnie to samo czuje.

Wyjechali z Londynu i kierowali się na północny wschód. Dłonie Nate'a zaciśnięte na kierownicy pobielały.

– Powinienem spędzać z nim więcej czasu. Bo wiesz, biedaczysko ma dopiero szesnaście lat. Gdzie teraz?

Charley spojrzała na mapę.

– Skręć w prawo. Nate, nie możesz siebie obwiniać. Robisz, co możesz.

– Nie obwiniam siebie. – Zjechał z głównej drogi. Charley zauważyła, jak ostrożnie prowadzi, nie łamie ograniczeń prędkości, starannie rozgląda się na skrzyżowaniach, jakby się spodziewał, że niebezpieczeństwo pojawi się znikąd. Jechali po zacienionej stronie drogi. – Obwiniam tatę. Jak mógł? Jak mógł zdecydować, że nas opuści? Zaplanował to.

– Nate…

– Zastanów się. Jacht. Samotny rejs. Popłynąłbym z nim.

– Nie wiesz na pewno.

– To nie pomaga.

– Nie – odparła Charley ze smutkiem. – Pewnie nie.

W samochodzie zapadło milczenie. Im bardziej na wschód, tym drogi stawały się węższe. Widzieli pojedynczy dom wśród pól, wioskę, kobietę z psem. Rozłożyste gałęzie drzew tworzyły migotliwy wzór cienia i światła.

– Wujek Gillis był jednym z najbardziej pełnych życia ludzi, jakich znałam – odezwała się Charley. – Ale czasami ogarniała go chandra, Nate, wiesz o tym. Czarny pies, tak to raz nazwał, cytując Churchilla. Ale tak mogło się zdarzyć. Rozumiem, że to trudne.

Znowu umilkli. Pomyślała: chcę, żeby było ci lepiej. Chcę cię objąć, pocałować i pokazać, jak bardzo cię kocham. Uświadamiając sobie, co przed chwilą pomyślała i z jaką mocą naprawdę tak uważa, pojmując, że uczucie do Nate'a ukrywała nie tylko przed nim, ale i przed sobą, zarumieniła się i udała, że szuka czegoś w torebce.

Pomiędzy starymi biletami autobusowymi i zużytymi szminkami znalazła opakowanie miętowych dropsów. Oczyściła je z kłaczków i podała jeden Nate'owi.

– Nie umiem mu pomóc – powiedział nagle. – Nie wiem, jak z nim rozmawiać. W jaki sposób mam sprawić, żeby znowu poczuł się bezpiecznie, skoro mnie samemu nic nie wydaje się bezpieczne?

Charley pomyślała, że może nic nigdy nie jest bezpieczne, tylko przez chwilę tak się nam wydaje.

– Może powinieneś udawać.

– Nie jestem pewien, czy potrafię. Czasami myślę, że równie dobrze mogłoby mnie tu nie być.

Spojrzała na niego.

– Co to znaczy?

– Nienawidzę pracy. Używanie pieniędzy do ich pomnażania to nie dla mnie. Może znowu wyjadę. Nie zrobiłem tego ze względu na Rory'ego, ale jeśli go zawiodłem, to jaki w tym sens? – Wypuścił powietrze z płuc. – Jezu, Charley. A jeśli postanowił popływać i utonął? Jeśli wciągnęły go ruchome piaski? Albo zatrzymał samochód jakiegoś szaleńca? Wiesz, jaki on jest.

– Przestań. Nate, po prostu przestań.

Zaczęła mu opowiadać o pracy na pół etatu w księgarni w Bloomsbury i o nowej sztuce, którą zaczęła pisać zainspirowana spotkaniem starej kobiety z wózkiem sklepowym w tamten okropny wieczór z Christianem: sztukę o tym, jak poradzić sobie w Londynie, jeśli nie ma się dachu nad głową, co może się skończyć tak, że cały dom wozi się w wózku. Mówiła o wszystkim, byle zająć jego uwagę. A przez cały czas myślała: co, jeśli Rory'ego nie ma w kaplicy St. Peter? Nate miał rację. Chłopak był podatny na wypadki.

Zatrzymali się w Bradwell-on-Sea i Nate z budki zadzwonił do Toby'ego. Wychodząc z niej, kręcił głową.

– Toby nie ma nowych wiadomości. Jeśli go nie znajdziemy, dzwonię na policję.

Kręta droga za wsią zmieniła się w trakt, a kiedy trakt się skończył, Nate zaparkował.

Poszli wzdłuż pola. Charley wsunęła rękę pod ramię Nate'a i starała się o niczym nie myśleć. Przed nimi wznosiła się kaplica oświetlona

promieniami sączącymi się przez szare i granatowe chmury. Minęli ją i po chwili dostrzegli blisko drogi rozbity na trawie namiot, a obok niego Rory'ego, który dorzucał do ognia gałązki i suche liście.

Podniósł głowę i pomachał do nich. Charley się bała, że Nate go skrzyczy, ale on spokojnie powiedział:

– Fajne ognisko. Możemy się przysiąść?

– Jasne – odparł Rory. – Macie ochotę na kakao? Będziecie musieli pić z jednego kubka.

Rory spędził noc, owinięty w stary barani kożuch mamy, który bez wiedzy Nate'a zabrał do szkoły.

– Nadal nią pachnie – powiedział, a Charley łzy wezbrały w oczach. – Po prostu chciałem o niej pomyśleć – wyjaśnił. – I o tacie. W szkole nie da się tego zrobić.

Charley zostawiła braci i wróciła do samochodu. Fioletowe cienie kładły się na polach. Stwierdziła, że nie jest w stanie określić, kiedy zaczęła kochać Nate'a; to jak pisanie sztuki, pomyślała, nie da się jednoznacznie powiedzieć, że wtedy a wtedy zrodził się pomysł. Jej miłość do niego składała się z wielu elementów: jej zadurzenia z czasów nastoletnich, jego dobroci – i irytacji na nią – kiedy wrócił z Ameryki Południowej, i tamtej chwili w kuchni Sinclairów, gdy wziął ją w objęcia i trzymał tak, jakby była jedyną trwałą rzeczą w świecie, który wokół niego rozpada się na kawałki.

Przypomniała sobie, jak Nate pokazał geminidy jej i Louise. Minęło pół godziny, nim dostrzegła dwie niewyraźne postaci zbliżające się ku niej w mroku. Uniosła wzrok i siłą woli nakazała sobie znowu to zobaczyć: gwiazdę przecinającą czarne jak sadza niebo.

W niedzielę Joe wstał o szóstej i jak zwykle ruszył na obchód farmy. Jeśli dobra pogoda się utrzyma, żniwa rozpoczną się wcześniej.

Dwa problemy nie dawały mu spokoju, kiedy Juliet odrzuciła jego oświadczyny. Pierwszym był Gary, chłopak, którego znalazł w błotnistym strumieniu na ziemi Wintertonów. Został złapany, gdy włamywał się do sklepu żelaznego w Battersea; ten głupi wybryk zapewnił mu noc w areszcie i zarzut o włamanie. Joe wstawił się za

nim na rozprawie, zaręczył za jego dobry charakter i opowiedział o poprawie, jaka nastąpiła w jego zachowaniu podczas dwóch tygodni spędzonych w Greensea. Gary łatwo ulegał wpływom – Joe podkreślił, że wspólnik chłopaka był starszym od niego notorycznym kryminalistą. Sędzia jednak zignorował jego argumenty i skazał chłopaka na pół roku w poprawczaku w Borstal. Joe wyszedł z sali z gorzkim smakiem w ustach.

Drugi problem stanowił jego chrześniak Neville. Pracował jako stolarz w teatrze na West Endzie; pewnego dnia przyłapano go, jak częstował się drobnymi z kasy. Jego matka Virginia zadzwoniła do Joego; strasznie zmartwiła ją ta sprawa. Kolejna podróż do Londynu: poszedł z Virginią do teatru i wspólnie przekonywali dyrektorów, żeby nie wnosili oskarżenia. Po godzinie trudnej rozmowy zgodzili się nie zawiadamiać policji. Joe i Virginia podziękowali i wyszli. Na ulicy matka Neville'a otwarcie płakała. Joe obejmował ją, podczas gdy obok przepływał strumień przechodniów. Nigdy wcześniej nie widział, by poza sceną Virginia kiedykolwiek szlochała.

Zabrał Neville'a z powrotem do Greensea, gdzie nagadał chłopakowi do słuchu i zaznaczył, że daje mu ostatnią szansę. Powiedział, że matka ciężko harowała, żeby zapewnić mu przyzwoite wykształcenie, a on, chociaż miał nieskończenie lepszy start życiowy niż chłopcy ze slumsów, którzy przyjeżdżali do Greensea, lekką ręką o mało tego nie zaprzepaścił. Na koniec dodał, że gdyby ojciec Neville'a żył, wstydziłby się za niego.

Następnego dnia skruszony Neville przyrzekł, że się poprawi. W trakcie pobytu w Greensea dokładał starań, rano bez słowa skargi wstawał i pomagał Joemu od świtu do zmierzchu. Joe myślał, że Neville istotnie czyni postępy. Niemal zaczął wiązać z nim nadzieje.

Gorzką ironią losu było to, że chłopaka, o którym powiedział prawdę, nie udało mu się uratować, podczas gdy chłopak, dla którego skłamał, dostał drugą szansę. Zapewnił ludzi z teatru, że Neville jest z gruntu uczciwy i przyzwoity, chociaż dobrze wiedział, że to nie zawsze odpowiada prawdzie. Skłamał, ponieważ kochał Neville'a, jego los leżał mu na sercu.

Ziemia była twarda jak skała po okresie upałów, ale chmury zbierające się na wschodzie zapowiadały deszcz. Szedł przez sad,

psy biegły przed nim. Rok temu spacerował z Juliet pod tymi drzewami. W chwilach przygnębienia zastanawiał się, czy były prawdziwe te podłe słowa, które mu powiedziała, odrzucając jego oświadczyny. Trudno było wyobrazić sobie elegancką, piękną, wyrafinowaną Juliet Winterton prowadzącą życie farmera. Byłoby to jak rzucenie rubinu w błoto. Niewykluczone, że ich związek należał do tych, które świetnie się układają, jeśli istnieją w nim okresy oddalenia, ale się kruszą, gdy partnerzy zostają zmuszeni do ciągłej bliskości.

Wychodząc dzisiaj z chłodnego cienia sadu na oślepiające słońce na otwartej przestrzeni, nie chciał w to wierzyć. Jego serce się przeciwko temu buntowało: znał ją, wiedział, że nie ma w sobie cienia okrucieństwa, szczypty snobizmu. Stało się coś złego, coś przed nim ukrywała, coś spowodowało, że go odrzuciła. Nie potrafił znieść jej nieobecności i postanowił, że pojedzie do Marsh Court, żeby z nią porozmawiać.

Szedł w stronę strumienia. Rzucił gumową piłkę psom szalejącym na łące z nosami przy ziemi. Terier rasy Jack Russell przeciął sobie łapę na potłuczonej butelce, którą rzucił jakiś idiota. Joe wziął go pod ramię i zawrócił. Oczyścił ranę pod kranem na podwórzu.

– To tylko zadrapanie, stary – mruknął. Kulejąc, pies odszedł. Joe zdjął koszulę i włożył głowę pod lodowaty strumień, by zmyć z niej kurz.

Wyprostował się. Żar słońca był tak wielki, że kropelki wody momentalnie parowały z jego skóry.

Coś się poruszyło na drugim końcu podwórza. Ktoś wypowiedział jego imię. Odwrócił się i zobaczył ją.

Nad mokradłami niosło się bicie kościelnych dzwonów, kiedy Juliet jechała do Greensea. Spłowiałe pola wyglądały jak płachty płótna. Głowa ją bolała, odwaga opuszczała, gdy zbliżała się do farmy.

Trzy dni minęły, odkąd wyczołgała się z Blackwater. Przeleżała je w łóżku; miała gorączkę i brakowało jej sił. Dzisiaj rano obudziła się odświeżona, trzeźwo myśląca, z normalną temperaturą. Wstała, wykąpała się i ubrała.

Zaparkowała na podjeździe. Nikt nie otworzył, gdy zapukała do frontowych drzwi, poszła więc na tyły domu, potem do kuchennego ogródka. W dusznym powietrzu cienka bawełniana sukienka lepiła się jej do nóg.

Zobaczyła go na podwórzu koło stodoły; wkładał koszulę. Kiedy się odezwała, odwrócił się.

– Juliet.

Słysząc swoje imię w jego ustach, poczuła, jak coś się w niej załamuje, i kolana się pod nią ugięły. Musiała się zachwiać, ponieważ rzucił się ku niej i objął ją w talii. Z jego pomocą weszła do domu. Zaprowadził ją do kuchni, gdzie na szczęście było cudownie chłodno.

Podsunął jej krzesło i kazał usiąść, potem nalał wody do szklanki i włożył jej w rękę.

– Wypij. Jest piekielny upał.

– Joe…

– Nic nie mów, tylko pij.

Posłuchała i pokój przestał wirować. Opróżniwszy szklankę, powiedziała:

– Tak mi przykro. Byłam chora, nic poważnego, ale…

– Wyglądasz na chorą – przerwał jej ostro i usiadł obok niej.

– Tęskniłam za tobą – szepnęła. Zamknęła oczy, odgradzając się od otoczenia i od niego, niezdolna na to patrzeć. – Potraktowałam cię okropnie! Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

Podał jej chusteczkę, w którą wytarła nos.

– Nie mam ci nic do wybaczenia.

– Wręcz przeciwnie. Tylko o tym nie wiesz.

– Więc mi powiedz.

Pomyślała o jego słodkim uśmiechu, pełnym miłości i dobroci, i znowu się zawahała.

– Znienawidzisz mnie.

– Nie. Nie mógłbym. Cokolwiek to jest, możesz mi powiedzieć. – Przyjrzawszy się jej uważnie, uśmiechnął się. – Niech zgadnę. Już wyszłaś za mąż. Sekretny związek z dekadenckim arystokratą.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Nie, nie o to chodzi.

– Więc o co? Juliet, zamierzasz mi wyznać, że masz przeszłość? A kto jej nie ma?

– Moja najwyraźniej się o mnie upomniała. – Wiedziała jednak, że czas tajemnic minął. Chwyciła mocno jego dłoń. – Kochany Joe. Jakże jesteś mi drogi. Dziękuję losowi, że cię spotkałam. Nie kochałam zbyt często i nie zawsze kochałam mądrze…

Opowiedziała mu swoją historię. O Gillisie, w którym niegdyś kochała się nieprzytomnie, i o dokonanym wiele lat później odkryciu, zresztą sprowokowanym przez Joego, że Gillis był ojcem dzieci Frances Hart. I o wszystkim, co nastąpiło później: o Blanche, Frei i spotkaniu z Morganem na grobli sprzed trzech dni.

– Zastanawiam się, czy czegoś nie słyszałeś – powiedziała na koniec. – O znalezieniu ciała. – Zacisnęła usta.

– Nie. – Ujął jej obie ręce w swoje. – Są tu tysiące zatoczek i stawów, w które przypływ może rzucić topielca. Jeśli nie żyje, może minąć sporo czasu, zanim go znajdą.

– Nie żyje. Jestem tego pewna. – Nigdy nie zapomni widoku Morgana z twarzą w dół, unoszonego przez prąd.

Joe objął ją, przytulił do siebie. Oparła głowę o jego ramię.

– Powinnaś mi była powiedzieć. Rozprawiłbym się z nim.

– Wiem, Joe, ale nie chciałam cię w to wplątać. Nie chciałam, żeby stała ci się krzywda. Dlatego mówiłam te straszne rzeczy. Serce mi pękało i chciałam umrzeć.

Gładził ją po włosach.

– Zrobilibyśmy wszystko, żeby chronić naszych ukochanych. Kłamalibyśmy, kradli i sprzedali siebie, byle tylko nie zaatakowały ich wilki. Nie jesteś jedyna, Juliet. Musisz mi przyrzec, że jeśli w przyszłości coś cię będzie niepokoiło, przyjdziesz z tym do mnie.

Przyrzekła. Ciężar spadł z jej ramion i od dawna, bardzo dawna nie czuła się tak lekko. Westchnęła.

– Muszę porozmawiać z Freyą. Znaleźć sposób na powiedzenie jej prawdy bez wspominania o Gillisie. Ze względu na jego dzieci, rozumiesz. Dość się nacierpiały. Pojadę do Londynu. Odwiedzę Aidana i poproszę go o adres Frei. – Postanowiła, że równocześnie przemówi mu do rozsądku. Piersowi także. Ten nieszczęsny spór dzielił rodzinę i zamierzała położyć temu kres.

– Pojadę z tobą.

– Nie, Joe, dziękuję ci, ale nie. Muszę załatwić to sama. Ale kiedy wszystko uporządkuję, wrócę do domu – do ciebie, jeśli będziesz mnie chciał.

Spojrzała na niego z nadzieją.

– Kiedy wrócisz do domu – pocałował ją delikatnie – nigdy więcej nie pozwolę ci odejść. Prawdę mówiąc, to doskonały pomysł, żebyśmy zostali w sypialni. Neville zajmie się farmą, a Christine może od czasu do czasu przyniesie nam coś do jedzenia. Co o tym myślisz?

– Myślę – odparła, podczas gdy jego dłoń przesuwała się po krzywiznach jej ciała: talii, biodrze, udzie – że to cudowny pomysł.

Rozdział osiemnasty

Lipiec 1966 roku

Juliet wcześniej nie była w mieszkaniu Aidana. Rozglądając się, pomyślała, jak białe ściany i obrazy doskonale do niego pasują. Poczęstował ją kawą, a ona poprosiła go o numer telefonu Frei. Jej uwagę przykuł wielki obraz olejny koło okna; kiedy Aidan poszedł po dzbanuszek z mlekiem, przyjrzała mu się uważnie. Słońce sączyło się spomiędzy chmur na mokradła, piasek i morze. Niemal słyszało się cichy szum fal.

– Zwykle nie maluję olejnych, tylko akwarele – powiedział Aidan, stając obok niej. – Podoba mi się sposób, w jaki kolory łączą się ze sobą. Pomyślałem jednak, że spróbuję.

Odwróciła się do niego.

– Marnujesz się w Wintertonie. Na pewno o tym wiesz, Aidanie.

– Potrzebuję pieniędzy. Nie tylko dla siebie, dla mamy też.

– To oczywiste, wszyscy ich potrzebują. Ale nie jesteś taki jak Piers, nigdy nie zależało ci na pozorach. I masz siostrę, która odnosi sukcesy w pracy i ma dużo pieniędzy. Znam Helen, wolałaby raczej codziennie jeść chleb z serem, niż gdybyś z jej powodu miał być nieszczęśliwy.

Kiedy na pożegnanie pocałowała go w policzek, zapytała:

– Jesteś pewien, że w Wintertonie trzyma cię troska o mamę? A może coś jeszcze?

Zawsze łatwiej jej było rozmawiać z Piersem, kiedy coś robiła, prowadziła samochód, spacerowała, cokolwiek, dzięki czemu unikała

konfrontacji twarzą w twarz, dlatego uzbroiła się w gumowe rękawice i butelkę ajaksu, zanim zapukała do jego drzwi.

Wręczyła mu ajax i oznajmiła, że zajmą się kuchnią. Trochę burczał, ale zrobił, co kazała. Wytłumaczyła mu, jak się czyści zlew, myśląc przy tym, że może wszystko potoczyłoby się lepiej, gdyby nauczyła go tego lata temu.

Sama szorowała piec, usuwając lepką warstwę resztek jedzenia i plam oleju.

– Nie miałam łatwego małżeństwa – zaczęła. – Pobraliśmy się po dwutygodniowej znajomości i niewiele nas łączyło. Gdybyś ty się nie urodził, odeszłabym od niego. Pociechę, by tak to nazwać, znajdowałam gdzie indziej, twój ojciec także.

– Mamo…

– Jesteś dorosły, Piers, pora, żebyś się o tym dowiedział. Twój ojciec zapewniał rodzinie dostatnie życie, ale miał ostry język i obawiam się, że czasami ty najbardziej obrywałeś. Próbowałam cię chronić, choć nie zawsze mi się to udawało, a może nie robiłam tego jak trzeba. To jedna z rzeczy, których najbardziej żałuję, i rozumiem, że możesz czuć urazę. Ale chowanie urazy nie przyniesie ci pożytku. To cię dręczy, nawet w tej chwili, widzę to wyraźnie. Twoja Anne jest warta stu Henrych. Powinieneś o tym pamiętać.

– Mamo. – Z jego uniesionych dłoni pociekła szara woda, kiedy gwałtownie się do niej odwrócił. – Poprosiłem ją, żeby wróciła do domu. Odmówiła.

– Więc poproś jeszcze raz. Proś, aż ci wybaczy. Jesteś Wintertonem, Piers, Wintertonowie się nie poddają.

Wypłukała ścierkę, żeby ładnie wypolerować piec.

– Jak interesy? – zapytała tonem luźnej pogawędki.

– Nieźle – odparł, po czym dodał: – To był dziwny dzień. Pokręcony. Broszki Bridget wprost znikały z półek. Dzisiaj sprzedaliśmy dwadzieścia, mamo. Dwadzieścia.

– To mnie nie dziwi. Zawsze wiedziałam, że sobie poradzisz.

Ze zdziwioną miną znieruchomiał.

– W numerze „Vogue'a" z tego miesiąca jest fotografia Louise z broszką Bridget.

– Louise zawsze miała dobry gust.

– Ale dlaczego miałaby to zrobić? Dlaczego miałaby mi pomagać?

– Ponieważ jest twoją kuzynką – odparła Juliet cierpliwie. – Ponieważ cię kocha. Ponieważ jesteście rodziną. – Głową wskazała zlew. – Dobra robota. Teraz wyczyść krany.

Piers spryskał je ajaxem.

– Jeszcze o jednej sprawie chcę z tobą porozmawiać. Myślę, że powinieneś sprzedać dom.

– Jaki dom?

– Marsh Court. Chociaż tego mieszkania też powinieneś się pozbyć.

– Nie mogę sprzedać Marsh Court.

– Dlaczego?

– Ty tam mieszkasz, mamo.

– Dla mnie jest za duży. A poza tym może zmiana dobrze by mi zrobiła.

– Co? – Wyglądał na zszokowanego. – Co ty, mamo, planujesz?

– Jeszcze nie wiem na pewno – odparła wymijająco. Zamierzała zamieszkać w Greensea, ale dzisiaj nie powie Piersowi o Joem. Wszystko po kolei. – A poza tym – dodała energicznie – pomyślałam, że za część pieniędzy ze sprzedaży mógłbyś kupić dom w Londynie. Eddiemu potrzebny jest ogród. I powiedziałabym, że firmie przyda się kapitał, mam rację?

Następnego dnia Anne miała iść do pracy, ale Eddie nie czuł się dobrze, zadzwoniła więc do Katherine i powiedziała, że nie może przyjść, odrobi te godziny, kiedy mały wyzdrowieje. Pod pewnym względem czuła ulgę, mając pretekst do zostania w domu, bo się bała, że Michael może wrócić, i wolała być z Eddiem, zamiast przekazywać go pod opiekę Ceridwen albo Marii.

Kiedy wieszała pieluszki, ktoś zadzwonił do drzwi. Piers zamontował zasuwę i łańcuch; Anne wyjrzała ostrożnie i zobaczyła Juliet. Zaprosiła ją do środka.

– Eddie śpi – wyjaśniła. – Przeziębił się, biedactwo. Napijesz się kawy?

Wyszły z kubkami do ogrodu. Widząc Juliet w jasnym świetle, Anne pomyślała, że teściowa wygląda na wychudzoną, bladą i zmęczoną.

– Powinnaś przyjechać do nas na kilka dni – powiedziała łagodnie. – Mamy wolny pokój, niezbyt elegancki, ale urządziłabym go wygodnie. Spędziłabyś czas z Eddiem. Byłby zachwycony, ja też. W tym ogromnym domu musisz się czuć samotna.

– Bardzo chętnie. – Juliet powiodła wzrokiem po ogrodzie, po trójkołowych rowerkach, piaskownicy i ciężarówkach z plastiku. Odchrząknęła. – Zawsze starałam się nie wtrącać. Nie miałam teściowej, ale wyobrażam sobie, że gdybym miała, nie chciałabym, żeby zarzucała mnie nadmiarem rad.

– Nigdy tego nie robiłaś. Zawsze byłaś dla mnie taka dobra.

– To zrozumiałe. Jesteś idealną synową.

Anne się uśmiechnęła.

– Juliet, to słodkie, ale nieprawdziwe i wiesz o tym. Nasz pośpieszny ślub musiał być dla ciebie strasznym szokiem.

– Piers zawsze był uparty. Nigdy nie oczekiwałam, że będzie postępował konwencjonalnie.

– Przyjęłaś mnie serdecznie w rodzinie, mnie, amerykańską dziewczynę z dziwnymi manierami i sposobem bycia. Podejrzewam, że to nie było łatwe.

– To korzyść dla nas, jeśli czasami ktoś nami potrząśnie – odparła Juliet stanowczo.

– No i ten bałagan, którego narobiliśmy z Piersem… Więc jeśli chcesz się wtrącić, to proszę bardzo.

– Widziałam się z nim wczoraj wieczorem. Nauczyłam go czyścić zlew.

– Świetnie.

– Nie będę ci mówiła, jak bardzo za tobą tęskni i jak mocno cię kocha, bo jestem pewna, że o tym wiesz. Chciałam ci natomiast powiedzieć, że widzę, jaka jesteś dla niego dobra. Piers potrzebuje uspokajającego wpływu. Potrzebuje też kogoś, kto mu się przeciwstawi, a ty to robisz. Mam nadzieję, że zdołacie znaleźć sposób na ułożenie spraw między wami.

Niedługo potem Juliet wyszła. Płucząc pieluszki i rozwieszając je na sznurze, Anne myślała o rozmowie z teściową. Przyjęła ją do rodziny, zaakceptowała, podobnie jak pozostali Wintertonowie. Przypomniała sobie tamtą okropną kolację, kiedy Gabe i Claudia pomogły jej

poradzić sobie z płaczącym niemowlęciem i spalonym sufletem. Nawet Charley zmieniła podejście i chętnie opiekowała się Eddiem. Anne zrozumiała, że przez swoje gorączkowe pragnienie, by zostać częścią rodziny, przez świadomość, że odebrała inne wychowanie i inaczej podchodzi do życia, może była nadmiernie drażliwa. Spodziewała się krytyki, która wcale nie następowała. Juliet ceniła ją taką, jaka była. Przyszła, żeby jej o tym powiedzieć.

Spojrzała na zegar. Eddie spał od ponad dwóch godzin. Poszła na piętro sprawdzić, co z nim.

Leżał w łóżeczku, apatycznie wodząc wzrokiem za karuzelą z ptaszkami. Z nosa mu ciekło, oczy miał załzawione. Na jej widok sapnął i uśmiechnął się.

Wzięła go na ręce. Buzię miał czerwoną, wydawał się rozpalony.

– Biedny chłopczyk – szepnęła. – Wcale nie czujesz się dobrze, prawda? Przygotujemy ci smaczny zimny napój i zobaczymy, czy to ci pomoże.

Kiedy po szóstej Piers zamykał sklep, ktoś zastukał w okno. Podciągnął żaluzję i zobaczył Estebana.

Otworzył drzwi.

– Cześć, Estebanie.

Esteban klepnął go po ramieniu.

– Piers, miło cię widzieć. – Obrzucił wnętrze szybkim spojrzeniem. – Ładny sklep. Ptaszek szepnął mi, że twoja biżuteria idzie jak świeże bułeczki.

– No tak – odparł Piers skromnie. Spodobała mu się ta metafora. – Rzeczywiście, firma się rozkręca.

Projektant zaproponował, że postawi Piersowi drinka. Piers się zgodził; kiedy zamykał na klucz frontowe drzwi, zadzwonił telefon, ale go zignorował. Poszli do pubu Lord Nelson.

Esteban postawił przed nim pintę piwa.

– Za twój sklep. Za Piersa Carlisle'a.

Stuknęli się kuflami. A jeśli ona nigdy nie wróci? Powinien czuć uniesienie z powodu sukcesu, na który tak ciężko pracował, ale triumf miał smak piołunu. Wiedział, że udaje radość, zamiast ją czuć.

– I za Wintertona – dodał wielkodusznie.

Esteban się skrzywił.

– Twój kuzyn to porządny gość, ale nie ma talentów twojego ojca. Trzeba się orientować nie tylko w tym, co się sprzedaje teraz, ale co będzie szło za rok, dwa, pięć lat.

– A Aidan się nie orientuje?

– Nie. On… – Esteban machnął ręką. – Czeka, aż coś się stanie, coś złego, spadną zyski albo wzór się nie sprzedaje, i dopiero wtedy coś robi.

– Reaguje – powiedział Piers.

– Tak, właśnie o tym mówię. Trzeba przewidywać przyszłość. Trzeba – Esteban znowu machnął ręką – trzeba być jasnowidzem.

– O tak. – Piers napił się piwa. – To były trudne dwa lata. Myślałem, że wszystko robię źle. O mało nie splajtowałem.

– Ale ci się udało. – Esteban przesunął w jego stronę paczkę gitane'ów i zapalniczkę. – Jesteś jak ojciec. Masz dar. – Poczekał, aż Piers zapali, i oznajmił: – Myślę, że czas najwyższy, żebym odszedł z Wintertona.

Piers prawie się zadławił.

– Chcesz odejść? Estebanie, pracujesz tam od…

– Za długo – skończył za niego Maltańczyk. – Zatęchłem jak stary chleb.

Piers się roześmiał.

– Brednie. Nie zauważyłem, żeby brakowało ci pomysłów.

– Może gdybym się przeniósł gdzie indziej, na nowo znalazłbym inspirację.

Piersa przeszył dreszcz podniecenia, kiedy zrozumiał, dlaczego projektant do niego przyszedł. Starannie położył papierosa na popielniczce i spojrzał na Estebana.

– Mów dalej.

– Masz młodą firmę. Chciałbym być w niej od początku. Razem dokonamy wielkich rzeczy, wiem o tym. Powiedzmy, że będę u ciebie pracował. Oczywiście jako główny projektant. Ta kobieta… – Esteban pstryknął palcami.

– Bridget.

– Byłaby moją podwładną. Dostałbym udział w zyskach, dajmy na to dwadzieścia pięć procent, oraz nadzór nad stroną artystyczną. O podwyżce pensji nie muszę wspominać.

Słowo „okay” pieczętujące umowę już się formowało na języku Piersa, zamiast tego jednak powiedział:

– Zastanowię się nad tym, Estebanie. Dziękuję, że się do mnie zwróciłeś, to mi pochlebia i doceniam to. Odezwę się do ciebie pod koniec tygodnia.

Niedługo potem się rozstali. Był pogodny wieczór i Piers zdecydował, że pójdzie pieszo. Rozmyślał o nieoczekiwanej ofercie. Esteban uciekał z okrętu, ponieważ uważał, że Piers Carlisle jest lepszy od Wintertona. Ich główny projektant chciał pracować u niego – cóż dobitniej mogło potwierdzić sukces i umiejętności Piersa?

Nigdy na niczym innym mu nie zależało. Bez Estebana Winterton nie przetrwa. Aidan nie przetrwa. Poniesie porażkę.

A mimo to Piers się wahał. To nie miało sensu. Przeciskając się przez tłumy na zakurzonych londyńskich ulicach, usiłował zrozumieć, co przed chwilą się stało. Był zmęczony, nieco wypalony. Wydawało się, że minęły lata, odkąd miał prawdziwe wakacje, a ostatnio trudno mu było myśleć o czymś innym niż Anne i Eddie.

Wszedł do domu. Usłyszał, że u niego w mieszkaniu dzwoni telefon, i popędził na górę, biorąc po trzy stopnie naraz.

Podniósł słuchawkę. Pomyślał, że to Esteban po namyśle cofa swoją niezwykłą ofertę.

– Halo?

– Piers. – To była Anne, rozdygotana i przerażona. – Jestem w szpitalu dziecięcym Westminster. Eddie jest bardzo chory. Miał atak. To było straszne. Leży w izolatce. Na początku lekarze nie chcieli mi powiedzieć, co mu jest, ale ich zmusiłam. Myślą, że to odra albo… albo…

Głos jej się załamał. Słyszał jej szlochy.

– Anne – powiedział z całą łagodnością, na jaką umiał się zdobyć, tłumiąc przerażenie. – Kochanie.

– To może być zapalenie opon mózgowych, Piers. O Boże, musisz przyjechać, musisz natychmiast tu przyjechać.

Juliet siedziała w restauracji Lyons przy Coventry Street, na stoliku przed nią stała filiżanka kawy. Podnosząc wzrok, zobaczyła Freyę. Cmoknęły się na powitanie i usiadły. Juliet zamówiła dla dziewczyny kawę i talerz ciastek.

– Chciałam porozmawiać z tobą o fotografii grobli na Thorney – powiedziała.

– Zdecydowała się pani?

Juliet się zastanawiała, czy Freya odziedziczyła po matce karnację i kolor włosów. Jeśli tak, to rozumiała, dlaczego Gillis zakochał się w tej różowo-złotej urodzie.

– Tak. Zdecydowałam się.

Nie śpiesząc się, żeby Freya miała czas na przetrawienie jej słów, opowiedziała o tragedii, która miała miejsce w 1946 roku, o utonięciu Frances Hart i jej syna Edmunda. Pominęła jednak rolę odegraną przez niewiernego, nierozważnego Gillisa, ponieważ to przyniosłoby jedynie szkodę.

Mówiła o małej rodzinie mieszkającej na Thorney i wypadkach sztormowej nocy. Oraz o bliźniaczej siostrze Edmunda,Thei, która jak sądzono, także utonęła, ale której ciała nie znaleziono.

Freya otworzyła szeroko oczy, odstawiając filiżankę.

– Bliźniaczka…

– Zastanawiałam się, czy to możliwe, że ty jesteś Theą Hart. Czy jesteś zaginioną córką Frances Hart. To wyjaśniałoby, dlaczego pamiętasz groblę. Jesteś w odpowiednim wieku, Freyo, i zostałaś adopotowana jako małe dziecko. – Wyjęła z torebki notatki. – Poszłam do biblioteki w Maldon i przejrzałam stare numery „Essex Gazette”. Była tylko jedna fotografia Frances Hart, w dodatku niezbyt dobra, ale pomyślałam, że dostrzegam podobieństwo. Obawiam się, że postąpiłam bardzo źle: wyrwałam stronę z gazety, kiedy bibliotekarka odwróciła wzrok, i przeszmuglowałam ją w torebce.

Freya rozwinęła gazetę i zapatrzyła się w małą fotografię.

– Myśli pani, że ta kobieta może być moją matką…

– Myślę, że to bardzo prawdopodobne. Zadawałam sobie pytanie, czy woda mogła ponieść dziecko wyżej w górę rzeki, a ono jakimś sposobem wydostało się na brzeg. – To była najmniej wiarygodna część jej wersji tej historii, pełna luk, szybko więc się nad nią

prześlizgnęła. – Może ten, kto ją znalazł, nie zdawał sobie sprawy, kim jest dziewczynka, bo nie czytał gazet ani nie słuchał radia. Inaczej się wtedy żyło, ludzie byli odizolowani od świata, zwłaszcza we wschodniej części hrabstwa. I może ten, kto ją znalazł, oddał ją do sierocińca.

– Ale mój sierociniec był w Southampton – odparła Freya.

– Wiem, to daleko stąd. W tamtych czasach dzieci często przenoszono, tak sądzę.

– Ojciec mi mówił, że wcześniej byłam gdzie indziej.

– Wiesz gdzie?

– Chyba w Londynie. Mogę go zapytać.

Morgan z polecenia Gillisa powiedział pani Farmer w sierocińcu w Southampton, że Theę znaleziono błąkającą się samotnie po ulicach Londynu w czasie nalotów, przypomniała sobie Juliet.

Powiedzenie prawdy niosło zagrożenie nie tylko dla Juliet i rodziny, ale także dla Frei. Dziewczyna zbladła.

Juliet ujęła ją za rękę.

– Nie wiem, czy nie wyświadczam ci niedźwiedziej przysługi, opowiadając o tym wszystkim. Mam nadzieję, że nie. Choć może się mylę, może ty wolałabyś o tym nie wiedzieć. Podjęcie decyzji zajęło mi wiele czasu, ale dokładnie pamiętam tamtą noc. Nigdy jej nie zapomnę. Raz widziałam te dzieci, bawiły się na grobli, i pomyślałam, że gdybym była tamtą dziewczynką i gdyby z rodziny nikt mi nie pozostał, to chciałabym wiedzieć. – Przesunęła kartkę z notatkami po stole. – W „Essex Gazette" napisano, że rodzina Frances pochodziła z Broad Chalke w Wiltshire. Jej rodzice przypuszczalnie już umarli, ale siostra może żyje. Jeśli chcesz, możesz spróbować ją odszukać. Ale pamiętaj, zrób tak, jak według ciebie będzie najlepiej.

O drugiej w nocy Piers i Anne siedzieli w szpitalnym barku. Barek był nieczynny, metalowe krzesła poustawiano na stołach, ale Piers przyprowadził tu Anne, żeby mogła wypłakać się na osobności.

To były łzy ulgi. Eddie chorował na odrę, nie na zapalenie opon mózgowych. Lekarze zbili gorączkę lekami, pielęgniarka obmyła go

gąbką i teraz smacznie spał w izolatce.

Piers zdjął dwa krzesła.

– Nie wiem, dlaczego płaczę, jego stan się poprawia – powiedziała Anne i spojrzała na męża. – Och, Piers, nie. Przestań, kochanie, proszę cię.

On jednak nie potrafił się powstrzymać. Z oczu płynęły mu łzy. Czuł się jak idiota: mężczyźni przecież nie płaczą.

Objęła go.

– Wszystko będzie dobrze, mój kochany. Eddie wyzdrowieje.

– Myślałem, że go stracimy.

– Ale tak się nie stanie, skarbie.

– Straciłem ciebie.

– Nieprawda. Kocham cię.

Przycisnął jej głowę do piersi, bojąc się ją puścić.

– Ja oboje was tak bardzo kocham.

Usiedli. Piers wydmuchał nos, wytarł twarz rękawem, poszukał w kieszeni papierosów, ale zaraz schował je z powrotem. Anne w torebce znalazła orzeszki w czekoladzie. Otworzyła opakowanie.

– Kiedy ostatnio jadłeś?

– Na lunch zjadłem kanapkę z serem. O szóstej wypiłem piwo. – W głowie mu się nie mieściło, że rozmawiał z Estebanem zaledwie osiem godzin temu. Wydawało się, że to było przed tygodniem.

– Powinnam była wcześniej pójść z nim do lekarza.

– Nie wiedziałaś.

– Powinnam była wiedzieć. Jestem jego matką. Myślałam, że to przeziębienie. A kiedy dostał ataku… Piers, myślałam, że umrze.

– Dzięki Bogu, że masz telefon i mogłaś zadzwonić po karetkę.

– Co ja narobiłam. – Głos opadł jej do szeptu. – Myślałam o sobie, nie o Eddiem, o swoich potrzebach. Nie o wilgoci w domu… Eddie pewnie się zaraził od któregoś z tamtych dzieci. I zostawiłam go, kiedy pojawił się ten obłąkaniec… Jestem beznadziejną matką.

On był beznadziejnym mężem, ale wiedział, że to nie jest odpowiednia pora na mówienie o tym. Pomyślał, że to najgorszy wieczór w jego życiu. Wspomnienie Eddiego, małego, niereagującego na nic i kruchego, podłączonego do kroplówek, będzie go długo dręczyło. Strach i niepewność pozostały, dostał

ostrzeżenie, co może się stać, jeśli nie zachowa się ostrożności, jeśli człowiek jest na tyle głupi, by nie rozpoznać, co jest dla niego najdroższe.

– Jesteś wspaniałą matką, a Eddie wspaniałym chłopcem. To ja muszę się zmienić, Anne, i zmienię się, przyrzekam. Przepraszam za wszystko. Byłem takim głupcem.

Znowu wzruszony, odwrócił wzrok. Usłyszał, jak Anne mówi:

– Myślę, że potrzebujesz więcej słodyczy.

Rozprostowała mu dłoń i wysypała na nią orzeszki.

– Arachidy w czekoladzie, lekarstwo na wszystko – oznajmił mądrze. – Myślisz, że leczą idiotyzm, egoizm i zazdrość?

– Nie wyszłabym za ciebie, gdybyś nie miał zalet.

– Żałujesz?

– Nie. – Zmarszczyła czoło. – Chociaż czasami tak. Kiedy myślałam, że mnie nie kochasz.

Odsunął jasną grzywkę z jej czoła, ujął jej dłonie.

– Kocham cię. Tak bardzo cię kocham. Wynagrodzę ci to. Zrezygnuję z firmy, jeśli tego chcesz. Sprzedam sklep.

– Nie musisz tego robić.

– Mówię tylko, że jestem gotowy na wszystko.

Pokręciła głową.

– Uwielbiam twój zapał, Piers, twoją energię. Musimy tylko odnaleźć równowagę, to wszystko.

Poradzi sobie, pomyślał. Nie popełni wobec Eddiego tych błędów, które ojciec popełnił wobec niego. Będzie chwalił syna, kiedy zrobi coś dobrze, i powtarzał mu, że go kocha.

– Wróć ze mną do domu, Anne – powiedział. – Bardzo proszę, wróć do domu.

W pociągu powrotnym z Salisbury Freya z ulgą znalazła pusty przedział i usiadła przy oknie. Oparła głowę o szybę. Na peronie ludzie kupowali czasopisma, śpieszyli się do pociągów. Zastanawiała się, czy jej matka stała kiedyś tutaj, niecierpliwie przytupując, z ognistymi włosami wymykającymi się spod modnego w latach

trzydziestych kapelusika. A może w mundurze Kobiecej Służby Pomocniczej w zimowy śnieżny wieczór czekała na opóźniony pociąg.

Kiedy Marion Thomas, młodsza siostra Frances Hart, otworzyła drzwi, na widok Frei położyła dłoń na ustach i cicho westchnęła. Potem się odwróciła, wycierając oczy złożoną chusteczką do nosa.

– Przepraszam – powiedziała Freya. – Nie chciałam pani przestraszyć.

Marion schowała chusteczkę do rękawa.

– Wyglądasz jak ona. Po prostu lustrzane odbicie. Tylko oczy masz inne. Fran miała brązowe. Nie spodziewałam się tego, to wszystko, myślałam, że to jakaś pomyłka.

Marion Thomas miała czterdzieści kilka lat, kręcone brązowe włosy z kilkoma pasemkami siwizny i pełne życia niebieskie oczy. Natychmiast zaparzyła kawę, wyłożyła herbatniki na talerz i wygodnie usadziła Freyę. Marion była jej ciocią. Był też wujek Eric oraz troje kuzynów: Mark, Lorna i Sam. Sam, trzynastoletni, gadatliwy, ruchliwy, przeziębił się i został w domu. Przebiegł przez pokój, ledwie przystając, żeby się przywitać, kiedy Marion ich sobie przedstawiła.

– Jutro wraca do szkoły – oznajmiła sucho.

Kuzyni: Freya miała wiele do przetrawienia.

Marion mieszkała w tym domu całe swoje życie. Obie z Frances urodziły się i wychowały we wsi Broad Chalke w hrabstwie Wiltshire pomiędzy wzgórzami i strumieniami. Mleczarnię zbudowano z kamienia i cegły, część dachu pokrywała strzecha, na brukowanym podwórzu była studnia. Według Frei wyglądało to jak z baśni. W torbie miała aparat i ręka ją świerzbiła, żeby ten widok uwiecznić, przyswoić.

W salonie zatłoczonym porządnie wypchanymi kwiecistymi sofami stała ciemna komoda pełna białej i niebieskiej porcelany. Marion wyjęła z koperty zdjęcia i rozłożyła je na stoliku. To ich ojciec, powiedziała, stukając w niewielką kwadratową fotografię, ojciec jej i Frances. Prowadził mleczarnię, ale zamknięto ją na początku lat pięćdziesiątych.

– Tata umarł w pięćdziesiątym drugim – powiedziała Marion. – Kiedy się urodziły bliźnięta, to znaczy ty i Edmund, nie wolno nam

było wymieniać imienia Frances. Bo nie wyszła za mąż, rozumiesz. Raz przyjechała tu z wami, ale ojciec nie wpuścił jej za próg. Nigdy jej nie wybaczył. Obwiniał ją o śmierć naszej matki, mówił, że złamała jej serce, ale to nonsens. Mama umarła na raka i zachorowała długo przed tym, zanim Frances go poznała.

– Kogo poznała?

Marion podsunęła jej kolejną fotografię.

– Popatrz. Musiała być w twoim wieku. Wyglądasz identycznie. Była miła, ta nasza Fran, ale roztrzepana. Zawsze gubiła pieniądze na autobus i zadania domowe. – Przerwała, by nalać herbatę do filiżanek. – Nie wiem, kim był twój ojciec, Fran mi nie powiedziała. Jej kochanek. Kiedy o nim mówiła, tak go nazywała, „mój kochanek". Oczywiście na pewno był żonaty, nie byłam aż tak naiwna, żeby się tego nie domyślić. Poznała go w czterdziestym roku i później rzadko ją widywałam. Wstąpiła do Kobiecej Służby Pomocniczej, a ja padałam z nóg, opiekując się chorą mamą i pomagając tacie w mleczarni. Potem wyszłam za mąż i urodziłam Marka. – Marion podała Frei filiżankę. – Fran się ode mnie oddaliła. Nie chciała, żebym o nim wiedziała. To był jej sekret. Zastanawiałam się, czy nie jest kimś sławnym, kimś, o kim piszą w gazetach, ale nigdy mi nie powiedziała. Wcześniej byłyśmy ze sobą blisko, chociaż dzieliło nas pięć lat. Ale bardzo się różniłyśmy. Fran była śliczna, ja nie, Fran miała ambicje, a ja zawsze chciałam tylko zostać w domu z mamą i tatą.

– Jakie ambicje?

Marion westchnęła.

– Och, typowe dla młodych dziewcząt. Zobaczyć świat. Urodzić dzieci. Zakochać się w księciu z bajki, zamieszkać z nim w zamku i żyć długo i szczęśliwie. Cóż, znalazła swojego księcia, ale nie jestem pewna, czy ją uszczęśliwił. Myślę, że na początku tak, ale potem się popsuło, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach. Co nie znaczy, że Fran by się do tego przyznała. Uwielbiała go, widziałam to wyraźnie. Nie pisała często, ale kiedy to robiła, rozwodziła się nad tym, jakie ekscytujące jest jej życie, jacy oboje z Edmundem jesteście śliczni i mądrzy, jak niedługo przeniesiecie się do ładnego

domu i muszę do niej przyjechać. Oczywiście to wszystko były mrzonki, ale taka była Fran.

Freya miała wrażenie, że wstrzymuje oddech.

– A jaki był Edmund?

– Słodki malec, ale biedną Fran owinął sobie wokół palca. Pamiętam, że miał piękne złote włosy. Fran mówiła, że marnują się u chłopca. Był urodziwym chłopcem. Mam zdjęcie.

Podała je Frei. Zrobiono je w studiu – w stylu, który dwadzieścia lat temu wyszedł z mody – przedstawiało chłopczyka w krótkich spodenkach, w białej koszuli z muszką i włosami gładko przyczesanymi z przedziałkiem z boku, oraz dziewczynkę – Frei zaparło dech w piersiach, kiedy rozpoznała siebie sprzed lat – w bawełnianej sukience, ze wstążką we włosach. Czy pamiętała tę sukienkę w wesoły wzór złożony z pasków i róż? Może jej obraz pozostał gdzieś na dnie pamięci.

– Dała mi to, kiedy ostatni raz się widziałyśmy – ciągnęła Marion. – Powiedziałam jej, że wygląda na zmęczoną, i rzeczywiście taka była, wyczerpana do cna, ale mnie nie słuchała. Frances zawsze postrzegała świat w sposób, w jaki chciała go widzieć, a ty musiałaś to zaakceptować, w przeciwnym razie się obrażała. – Podsunęła Frei talerz z herbatnikami. – Chociaż przyznała, że czasami jest samotna. Nie widywała go, tego swojego kochanka, tak często, jak by chciała. Miała dość czekania na niego, czekania na listy i telefony. Ja byłam wtedy w takiej samej sytuacji, Eric walczył na Dalekim Wschodzie, i pogadałyśmy sobie od serca o samotnym wychowywaniu dzieci. Kiedy wyjeżdżałam, uściskała mnie na pożegnanie i powiedziała, że muszę częściej ją odwiedzać, ale nigdy więcej jej nie zobaczyłam. Nie mieliśmy czasu ani pieniędzy na podróże, poza tym byłam zajęta dziećmi i pomaganiem tacie. A potem przeniosła się na tę wyspę. – Marion ściągnęła usta i wolno pokręciła głową. – Nienawidziła tego miejsca. Mówiła, że jest tam jak w więzieniu. Powinnam była się postarać. Myślałam, że mam czas. Zawsze tak myślimy, prawda?

Pociąg wytoczył się ze stacji. Tylne ogródki szeregowców zastąpiły pola, zagajniki i kredowe strumienie. To była starodawna część Anglii, historią przesiąkły zarówno stojące kamienie, jak

i średniowieczne katedry. Freya pomyślała, że pewnego dnia powinna zwiedzić te strony.

Marion zaproponowała, że zaprowadzi ją na grób matki. Poszły przez wieś do ładnego kościółka z krzemienia z kwadratową wieżą i krenelażami. Na dziedzińcu koło głogu tablica nagrobna znaczyła miejsce ostatniego spoczynku Frances i Edmunda Hartów.

Serce Frei ścisnęło się, jakby przepuszczano je przez wyżymaczkę, aż w końcu nie wiedziała, w jakim jest kształcie. Czy wolałaby, jak zastanawiała się Juliet Winterton, o tym nie wiedzieć?

Nie. To był dar, nieoczekiwany i bolesny, ale dar. Zawsze brakowało jej części siebie, jej metryka urodzenia, krótsza niż u większości ludzi, zawierała tylko nazwiska rodziców adopcyjnych, jakby się urodziła, mając cztery lata.

– Pamiętasz ich? – zapytała Marion, gdy stały nad grobem. Freya pokręciła głową.

Pomyślała jednak, że na swój sposób pamięta. Oto, co zawsze jej towarzyszyło: nieobecność, jak wtedy, gdy cichnie wiatr. Głos tuż poza zasięgiem słuchu. Cień przy jej stopach, który podążał za nią, gdziekolwiek szła, i nieuchwytna obecność tak wyrazista, że czasami oglądała się za siebie.

Teraz wiedziała. To był jej bliźniak Edmund.

Po dziewięciu dniach, kiedy wysypka zniknęła, zabrali Eddiego do domu. Chociaż wielką ulgą było, że znowu mają go przy sobie, że kryzys minął, Anne wbrew swoim oczekiwaniom wcale się nie odprężyła. Przez kilka pierwszych nocy spała na rozkładanym łóżku w pokoju dziecinnym. Nigdy nie zapomni przerażenia, kiedy jej synek dostał ataku i nagle zobaczyła, że jej dotychczasowy świat może się rozpaść; i już nigdy więcej nie będzie brała dobrego zdrowia Eddiego za pewnik.

Takie same uczucia budziło w niej małżeństwo. Odnosili się do siebie z Piersem ostrożnie. Były wyboiste ścieżki, na których mogli się potknąć, i rzeki, do których mogli wpaść, gdyby stracili równowagę. Ale się kochali, tego przynajmniej wreszcie była pewna, i istniała szansa, że to im pomoże znaleźć drogę.

Pewnego wieczoru opowiedział jej o swoim ojcu. Po części go kochałem, mówił, po części nienawidziłem. Chciałem być taki jak on, silny, gwałtowny, niedbający o opinię innych. Pragnąłem, by on też mnie kochał. Może na swój sposób kochał, ale tego nie okazywał. Jego pokolenie – cóż, tata panował nad emocjami. Jeśli kiedykolwiek usłyszysz, że mówię do Eddiego tak, jak on mówił do mnie, jeśli kiedykolwiek powiem mu, żeby się nie mazał i był mężczyzną, każ mi się zamknąć, na rany boskie. Myślę, że dlatego nabrałem przekonania, że miłość jest ryzykowna. Możesz wiele dać i nic nie dostać w zamian.

Anne siedziała u Piersa na kolanach. Oparła głowę o jego głowę i głaskała go po włosach. Drzwi pokoju dziecinnego zostawili otwarte, żeby usłyszeć, gdy Eddie się rozpłacze. Planowali zatrudnienie niani na godziny, dzięki czemu Anne będzie mogła wrócić do pracy, kiedy będzie pewna, że Eddie jest zdrowy. Zamierzali jesienią wystawić mieszkanie na sprzedaż i rozejrzeć się za domem. Ale jeszcze nie teraz. Nie mogli się śpieszyć, musieli robić krok po kroku.

Na razie Rory wracał ze szkoły do domu w weekendy. Nate zabrał go na pierwszy weekend, a teraz obaj pomagali odnowić pokój gościnny w nowym domu Charley, gdzie z sufitu odpadły kolejne kawałki, grzebiąc jej maszynę do pisania pod białą warstwą proszku.

Nate z twarzą owiniętą szalikiem siedział na drabinie, odrywając fragmenty tynku, a Rory wynosił gruz na tylny ogródek. Charley usuwała kurz z maszyny do pisania.

Kiedy Rory wyszedł, Nate powiedział:

– Zwykle po ucieczce releguje się ucznia, ale Claudia poszła porozmawiać z dyrektorem. Nie można się sprzeciwić Claudii, nikt tego nie potrafi. Wiesz, że trzeba skuć cały sufit? W przeciwnym razie zostaniesz tu pogrzebana żywcem.

– Nic mi nie będzie.

– Mówię poważnie. Zrobię to, ale potrzebuję narzędzi.

– Lubisz mój dom, prawda, Nate?

– Ma charakter. Jak ty.

Wrócił Rory.

– Ten gruz można wykorzystać na ogródek skalny, wystarczy położyć warstwę ziemi i zasadzić kwiaty. Kiedyś taki zrobiliśmy z mamą. Jeśli chcesz, tobie też zrobię.

Charley mu podziękowała. Nate kazał im się cofnąć, więc oboje z Rorym wyszli na korytarz. Z sufitu z ogromnym hukiem spadł wielki kawał.

– Super – powiedział Rory.

– Pomogę ci.

– Dam radę. – Chłopak zszedł po schodach, uginając się pod ciężarem.

– Naprawdę chcesz skalniak? – zapytał Nate.

– Chcę ten, który zrobi Rory. Kupuję dywan do salonu. Tylko pomyśl – powiedziała lekko – ja z dywanem i skalniakiem. – Czasami wieczorem w domu było bardzo cicho. Po raz pierwszy w życiu mieszkała sama. Brakowało jej gwaru i zamętu, który powodowali inni.

– Jedna z mamy organizacji charytatywnych urządza bal na jej cześć. Będą zbierać fundusze.

– To miło, Nate. Pójdziesz, prawda?

– Wszyscy czworo pójdziemy.

– Zaprosisz jedną ze swoich dziewczyn?

– Wolałbym nie. – Pochylił się, palcami strzepując kurz z włosów.

– Już ich nie kochasz? – zapytała kpiąco.

– Dobry Boże, nie. – Zszedł z drabiny. – Nigdy nie kochałem. Ale kocham kogoś innego.

Poczucie straty, kurczenie się, jakby ktoś wyciągnął zatyczkę, i całe szczęście i optymizm zaczęły z niej wyciekać. Musiała jednak użyć właściwych słów, bo Nate zasłużył, żeby znowu być szczęśliwym.

– Zapytasz ją?

– Nie wiem, czy ja ją interesuję.

– Musisz zapytać – oznajmiła stanowczo. – Inaczej się nie dowiesz.

Roześmiał się.

– Boże, Charley.

– Co? Co takiego powiedziałam?

– Nie widzisz tego? To ty. To zawsze byłaś ty. Nigdy nikt inny.

Gapiła się na niego.

– Ja?

– Tak. – Stanął przed nią, splatając swoje palce z jej palcami. – Kocham się w tobie. Od powrotu z Ameryki Południowej. Nigdy nikogo nie było.

– Ja? – szepnęła. Położyła dłoń na sercu. – Nate…

– Och, nie zaczynaj wyć, nie jest tak źle, prawda?

Niezdolna wykrztusić słowa, pocałowała go. Jego usta były ciepłe, suche i smakowały tynkiem.

Potem rozległy się kroki na schodach i Rory na ich widok powiedział:

– O Boże, fuj, Nate, naprawdę.

Odsunęli się od siebie, ale Charley, stojąc pośrodku zrujnowanego pokoju, wiedziała, że są na początku czegoś, co będzie idealne.

Louise powiedziała Aidanowi, że Eddie wyzdrowiał i że Anne wróciła do domu. Nazajutrz rano Aidan poszedł do sklepu przy King's Road zobaczyć się z Piersem.

Sekretarka, drobna ciemnowłosa dziewczyna, zaprowadziła go do gabinetu. Na jego widok Piers tak gwałtownie poderwał się z krzesła, że je przewrócił.

– Wysłuchaj mnie – powiedział szybko Aidan. Ku jego zaskoczeniu kuzyn zawołał do sekretarki:

– Tricia, możesz nam przynieść dwie kawy? – Odsunął krzesło po drugiej stronie biurka. – Siadaj.

Aidan usiadł.

– Chcę, żebyś wziął Wintertona.

Piers postawił swoje krzesło.

– Aidanie…

– Firma. Weź ją. Powinieneś wziąć ją dużo wcześniej.

Tricia przyniosła dwa kubki.

– Dlaczego? – zapytał Piers.

– Dlatego, że ja jej nie chcę. Nigdy nie chciałem. I dlatego, że nie jestem w tym dobry, a ty tak.

– Rozpuszczalna – powiedział Piers, kiedy Aidan podniósł kubek do ust. – Lubię rozpuszczalną, a ty? Anne nie może o tym wiedzieć, do kawy ma stosunek niemal religijny, więc piję ją tylko w pracy. – Marszcząc czoło, dodał: – Nie potrzebuję Wintertona, mam ten sklep. Dobrze sobie radzę.

– Pomyślałem, że będziesz chciał obydwa. – Drapiąc się w głowę, Aidan próbował przekazać mu wnioski, do których doszedł po wizycie Juliet. – Powinienem studiować na akademii sztuk pięknych. Powinienem się przy tym uprzeć, dawno temu powiedzieć rodzicom, że firma mnie nie interesuje. Powtarzałem sobie, że robię to z obowiązku wobec rodziny, że muszę utrzymać mamę, ale prawda jest taka, że się bałem. Trudno zostać odnoszącym sukcesy malarzem, i bałem się, że mogę ponieść porażkę, zrobić z siebie idiotę i wszystko zawalić. – Spojrzał na Piersa. – Problem z naszą rodziną polega na tym, że wszystko zamieniamy w złoto, prawda? Nie możemy ponieść porażki, bo Wintertonowie nie ponoszą porażek. Łatwiej nie próbować czegoś nowego, łatwiej robić, czego się od nas oczekuje. Ale ja nienawidzę chodzić do pracy. Codziennie rano czuję wstręt. Wujek Henry nigdy by się tak nie czuł, nigdy nie byłoby mu niedobrze, że musi zwolnić pracownika. Ty też nie, Piers, tak mi się wydaje. Jesteś jak ojciec, rozkoszujesz się konfliktami. Ja taki nie jestem. Nie da się prowadzić firmy, myśląc tak jak ja. Jeśli tam zostanę, doprowadzę ją do ruiny.

Piers nie tknął swojej kawy, tylko się w nią wpatrywał.

– Zrobiłbyś to? – zapytał, podnosząc wzrok. – Po prostu oddałbyś mi firmę?

– Tak.

– Po wszystkim, co się stało?

– Tak, z radością.

– Nawet po Anne?

– Nawet po Anne. – W tej sprawie trudniej było okazać wielkoduszność. – Kochałem ją, ale to już przeszłość. Wmawiałem sobie, że ją kocham, z przyzwyczajenia. Albo z uporu. Tak czy owak, ona zawsze odnosiła się do mnie tylko jak do przyjaciela.

– Wiem – powiedział Piers. Zapadło pełne napięcia milczenie. – A co z pieniędzmi?

– Mam mieszkanie. Nadaje się na pracownię, światło jest doskonałe. Nie potrzeba mi wiele.

Piers postukał ołówkiem w biurko.

– Dyrektor kreatywny.

– Co?

– Nigdy nie mieliśmy dyrektora kreatywnego, a powinniśmy. Skoro mamy połączyć obie firmy, a utrzymanie Piersa Carlisle'a jako młodszej, tańszej marki w Wintertonie wydaje się sensowne, potrzebujemy kogoś, kto będzie miał oko na projektantów. Wiesz, jaki jest Esteban, lubi się rządzić. A Bridget jest świetna i nie chciałbym jej stracić. – Aidan nie odpowiadał, Piers więc kontynuował: – Na pół etatu. Nie musiałbyś mieć tutaj gabinetu, gdybyś nie chciał. Dyrektor kreatywny doradczy, jeśli wolisz. Znasz firmę, znasz Estebana i pozostałych pracowników i zawsze ten aspekt naszej działalności ci się podobał. Byłbyś idealny.

Aidan wolno pokiwał głową. Podobno trzeba dziesięciu lat na rozkręcenie kariery artystycznej. Regularny niewielki dochód przyda się w tym okresie.

Wstał.

– Zatrzymaj Gabe w sklepie przy Sloane Street – powiedział. – Właściwie uważam, że powinna kierować obydwoma sklepami. Jest dobra. Uwielbia to, jest przerażająco kompetentna i całkowicie bezwzględna. Przypomina mi wujka Henry'ego.

– Wszystko w rodzinie – odparł Piers.

– Właśnie. – Aidan wyciągnął rękę. – Umowa stoi?

– Stoi.

Uścisnęli sobie ręce.

– Odwiedź nas – powiedział Piers. – Chciałbym, żebyś poznał Eddiego. Przepraszam, że ostatnim razem zachowałem się jak dupek.

– Przyjdę.

Wychodząc ze sklepu, Aidan czuł się lżejszy, jakby z ramion spadł mu ciężar. Szedł King's Road sprężystym krokiem. Freya, pomyślał, musi powiedzieć Frei o swojej decyzji. Powiadomi mamę, Louise i resztę hałaśliwej, dokuczliwej rodziny w odpowiednim czasie, na razie jednak najbardziej na świecie pragnął porozmawiać z Freyą.

Freya usiadła z ojcem w salonie domu z czerwonej cegły przy Woodstock Road w Oksfordzie, w którym się wychowała.

– Chyba odnalazłam matkę biologiczną – zaczęła. Opowiedziała mu o Hartach, o tym, jak daty pasują do tego, co o swojej przeszłości wiedziała. Pokazała fotografię bliźniąt, którą dostała od Marion Thomas, i zdjęcie Frances.

Ojciec jakby w oczach się postarzał, nagle wyglądał na smutnego i zmęczonego. Zawsze mu się wydawało, że jest coś podejrzanego w tej adopcji, przyznał. Żadnych dokumentów. Prowadząca sierociniec pani Farmer była rozdygotana, nie ulegało wątpliwości, że chce jak najszybciej pozbyć się dziecka. Opowiedziała mu licho skleconą historyjkę o tym, że dziewczynkę znaleziono błąkającą się po ulicy w czasie nalotów i przekazano do londyńskiego sierocińca, który potem został zamknięty.

– Powinienem był zadać jej więcej pytań – powiedział. – Ale się nie ośmieliłem. Twoja mama już się zdecydowała.

Jego rękę trzymała, kiedy dwadzieścia lat temu weszła do tego domu. Jego rękę trzymała, kiedy w pierwszy dzień odprowadzał ją do szkoły i kiedy zabierał ją ze szpitala po operacji migdałków.

Teraz też ujęła go za rękę.

– Nie chciałabym, żeby było inaczej.

– A twój ojciec?

Pokręciła głową.

– Nic.

– Przeszkadza ci to?

Chwilę się zastanawiała.

– Nie, nie sądzę. Wygląda na to, że raczej go tam nie było. Nie jest ważny, prawda? – Oparła głowę o jego ramię. – Jesteś najlepszym ojcem, jakiego mogłabym mieć. A mama była najlepszą matką.

Kiedy jednak wróciła do Londynu, niepokój w niej pozostał, wrażenie, że następuje zmiana, że elementy jej świata z trzaskiem zmieniają miejsca. Sylvie Duvallier, właścicielka „Image”, złożyła jej w liście propozycję wykonania serii fotografii krajobrazowych, które ukażą się w czasopiśmie. Praca na cały rok. Freya czuła, że znajduje się na granicy czegoś cudownego. Zaczynała dostrzegać nowy świat.

To jest początek, myślała. Zawsze tego pragnęłam, choć z trudem wierzyłam, że jest możliwe, a teraz się okazało, że jednak tak.

Przez otwarte okno wpadał gwar uliczny i dźwięk klaksonów. Jakiś pijak przechodząc zygzakiem na drugą stronę, obrzucił przekleństwami furgonetkę i uderzył w jej maskę. Horyzont stanowił plątaninę dachów i anten telewizyjnych, na roślinność składały się czarne od sadzy ligustry i lepkie lipy, niebo jak ryżowy pudding znaczyły cętki. Londyn był w porządku, ale skończyła z nim. Tu zaczynała, ale to nie było jej miejsce. Zastanawiała się, czy matka odczuwała to samo, czy z całej siły pragnęła uciec z tamtego ślicznego, przeładowanego meblami domu w Wiltshire.

Pragnęła czegoś więcej, niż miała matka, a poza tym czasy się zmieniły. Freya nie będzie czekała na ukochanego, jak na swojego kochanka czekała Frances. Postrzegała świat wnikliwie, okiem fotografa, i sądziła, że Aidan darzy ją uczuciem. Będzie jednak musiał sam je w sobie odkryć, ona ma inne rzeczy do zrobienia.

Ściągnęła plecak z szafy i zaczęła się pakować.

Za zgodą Piersa Juliet wystawiła Marsh Court na sprzedaż. Młoda para – jak właściwie mogli sobie pozwolić na kupno? – rozejrzała się i krytycznie skomentowała staroświecką kuchnię oraz brak centralnego ogrzewania.

– Trzeba by ją całkowicie przebudować – oznajmiła żona, marszcząc nos na widok łazienki. Juliet chciała zauważyć, że mieszkała tu przez dwadzieścia osiem lat, że kocha ten dom, tutaj urodziła dzieci. Zachowała jednak milczenie i jakoś zniosła resztę mało entuzjastycznego obchodu. Pożegnawszy się z parą, zniechęcona wróciła do staroświeckiej kuchni, nastawiła czajnik i zaparzyła herbatę w dzbanku.

Zadzwoniła do Anne z pytaniem, czy Eddie czuje się dobrze, potem usiadła nad programami i listami. To będą ostatnie koncerty w Marsh Court, dlatego chciała, by finalna seria była najlepsza ze wszystkich. Przyjadą przyjaciele z Essex i z Londynu.

Chociaż dołożyła wszelkich starań, by naprawić to, co dało się naprawić, zbudowane przez nią mosty wydawały się kruche. Piers

i Anne próbowali zacząć od nowa, ale nie potrafiła przewidzieć, co ich czeka. Nie wiedziała też, jakie skutki będzie miała decyzja o powiedzeniu Frei o jej związku z rodziną Hartów. Co do Charley i Nate'a – byli jeszcze bardzo młodzi, kto wie, jak długo potrwa ich miłość? Juliet jednak sądziła, że okaże się trwała. Między nimi zawsze istniała więź.

Przedstawi Joego rodzinie, jak tylko opadnie kurz po ostatnich burzliwych wydarzeniach. Kiedy Marsh Court zostanie sprzedany, Juliet przeprowadzi się do Greensea, do tego odizolowanego starego domu, który wydawał się częścią krajobrazu. Będą z Joem oddychać tym samym powietrzem, będą dzielić się nadziejami i obawami. A ona nauczy się być żoną farmera.

Kiedy Aidan wrócił z pracy, czekał na niego list od Frei. Ściągnął kurtkę i pobiegł do mieszkania, gdzie otworzył kopertę i zaczął czytać.

Freya pisała, że zrezygnowała z posady w szpitalu i teraz będzie się zajmowała wyłącznie fotografią. Postanowiła też, że wróci na Orkady.

Orkady. Aidan usiadł na sofie oszołomiony. Ponownie przeczytał list. Freya już wyjechała z Londynu. Nie pisała, jak długo pozostanie na wyspach. Niewykluczone, pomyślał, czytając list po raz trzeci, że zamieszka tam na stałe. To by go nie zaskoczyło.

Freya i ja tylko się przyjaźnimy, nie tak dawno powiedział Anne. Jakim był głupcem. Szanował i lubił Freyę, jej towarzystwo sprawiało mu niezwykłą przyjemność. Ale też bardzo go pociągała. Dlaczego tyle czasu zajęło mu uświadomienie sobie, że ją kocha? Dlatego, pomyślał rozsądnie, że nabrał zwyczaju dostrzegania tego, czego najbardziej pragnie, dopiero wtedy gdy było za późno. Zwyczaj niemożności zobaczenia – upokarzający dla kogoś, kto lubił myśleć o sobie jako o artyście.

Cóż, więcej tak nie będzie. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Piersa. Czy Piers rozważyłby przejęcie firmy wcześniej, niż planowali? Powiedzmy od jutra.

– Chryste, tak – odparł Piers. A potem, może zdając sobie sprawę ze swego przesadnego entuzjazmu, zapytał: – Wszystko w porządku?

Aidan zapewnił go, że tak, i się rozłączył. Wybrał numer Gabe, której podał instrukcje gwarantujące, że bez niego firma będzie działała płynnie.

– Teraz szefem będzie Piers – powiedział, wyobrażając sobie, jak z ciekawości jej niebieskie oczy przybierają rozmiary spodków.

– Piers? – powtórzyła.

– Tak, Piers. – Aidan nic więcej jej nie zdradził. – W razie problemów zwróć się do niego.

Skończywszy rozmowę, wyjął plecak, trapery, płaszcz przeciwdeszczowy. Lornetkę, namiot, śpiwór, szkicownik, małą torbę z przyborami do malowania.

Cholera, jak dostanie się na Orkady? Zadzwonił telefon. Główny księgowy Wintertona jęczał o podatkach, poczas gdy Aidan przeglądał kolejowy rozkład jazdy.

Pociąg do Inverness wyjeżdżał z Euston tuż po ósmej. Podróż trwała ponad osiem godzin, w trakcie których Aidan patrzył, jak za oknem wiele, wiele razy miasto ustępuje miejsca wzgórzom, a te polom.

Gdzieś za Pitlochry zasnął i obudził się w Aviemore. Na zboczach jaśniały żółte kolcolisty, na horyzoncie wznosiły się niebieskoszare góry z czapami śniegu, choć był środek lata. Dywany szmaragdowego mchu rozciągały się w zagajnikach brzozowych i sosnowych. Aidan z zachwytem przyglądał się krajobrazowi, potem poszedł do wagonu restauracyjnego, gdzie kupił kawę i zapiekankę z baraniną. Pił i jadł, zauroczony widokiem.

Noc spędził w pensjonacie w Inverness. Padało, ulice i budynki były szare, w powietrzu unosił się chłód, ale od czasu do czasu promienie słońca przedzierały się przez chmury i odbijały od mokrych dróg. Rano Aidan wrócił na dworzec i wsiadł do pociągu do Thurso. Dwie godziny później opuścił stację. Włożył plecak i poszedł do portu Scrabster zadowolony z możliwości rozprostowania nóg po długiej

podróży. Na niebie kłębiły się chmury, morze miało barwę granitu, ulewny deszcz dziurawił kałuże. Samotne szare domy z małymi oknami i skośnymi dachami stawiały czoło burzliwej pogodzie na Pentland Firth.

Aidan zajął miejsce w kolejce; prom przybił i po chwili pasażerowie weszli na pokład. Aidan znalazł miejsce dla siebie, naciągnął kaptur na głowę i patrzył, jak port maleje.

Deszcz zelżał, wyjął więc notatnik, ale odłożył go, gdy w polu widzenia pojawiły się wysokie czerwone klify na wyspie Hoy. Z grupą innych pasażerów stanął przy relingu, choć wiatr bił go w twarz. Porywy przegnały chmury i promienie słońca lały się jak roztopione złoto. Sąsiad wskazał Starca z Hoy; Aidan przez lornetkę przyjrzał się formacji skalnej w kształcie czerwonobrązowego olbrzyma stojącego na straży wyspy.

Dwie godziny po wypłynięciu ze Scrabster prom przybił do brzegu w Stromness na Mainland, największej wyspie archipelagu Orkady. Było to uporządkowane ładne miasteczko z brukowanymi drogami pomiędzy szarymi budynkami, zdominowane przez port. Aidan przemierzył je całe, później poszedł wzdłuż nabrzeża. Palce go świerzbiły, by namalować kontrastujące materiały, szarożółty bruk, blaszane szopy, pęki jasnozielonych wodorostów wyrastających na opasce brzegowej.

W knajpce zamówił herbatę i zapytał o drogę do Kirkwall, stolicy Orkad, co wydało mu się równie dobrym miejscem startu jak każde inne. Przyjechał autobus i powiózł go przez trawiasty krajobraz. Nie było tu drzew ani gór, tylko niskie wzniesienia, pośród których często dostrzegał jezioro albo morze. Ląd zwęził się do cienkiego przesmyku pomiędzy taflami wody.

Kiedy autobus dojechał do Kikrwall, lunęło jak z cebra. Aidan nie miał pojęcia, gdzie jest Freya. Popytał w sklepach i pubach. Czy ktoś widział wysoką rudowłosą Angielkę? Zauważył, że rudowłosych jest tu sporo.

Wynajął pokój w pensjonacie, zjadł coś. Na niebie połyskiwała tęcza, pasma barwnego jedwabiu nad portem. Aidan wrócił przez miasto na plażę Scapa. Biały piasek znaczyły muszle; teraz było tu spokojnie, ale dwadzieścia siedem lat temu w zatoce Scapa Flow

pancernik Royal Oak został storpedowany przez niemieckiego U-Boota, w wyniku czego ponad osiemdziesięciu mężczyzn i chłopców utonęło. Ostrygojady uderzały pomarańczowymi dziobami w ziemię, od morza wiał lekki wiatr. Fale przepływały nad piaskiem i kamieniami, szeptem opowiadając historie. Aidan poczuł, jak coś w nim łagodnieje, jak rozplątuje się supeł ciasno związany od długiego czasu. Pomyślał o ojcu, żałując, że nie mogą przyjechać tu razem, żeby obserwować ptaki i wędrować. Znad zatoki nadciągała srebrzysta tafla deszczu. Aidan wrócił do miasta.

Kiedy się rano obudził, niebo miało oślepiająco błękitny kolor. Aidan zjadł śniadanie i wyszedł na miasto. W pobliżu ogromnej bryły katedry Świętego Magnusa zbudowanej z czerwonego piaskowca natrafił na księgarnię. Kupił przewodnik, po czym popijając kawę w kawiarni, przejrzał go. Były w nim fotografie stojących kamieni i kamiennych komnat. Menhiry różniły się kształtami, jedne były wysokie, wąskie i spiczaste, inne wyglądały, jakby odcięto je pod kątem, zawsze jednak otaczały je niskie wzgórza i woda.

Frei nie było w Kirkwall, pod koniec dnia miał tę pewność. W tym niewielkim miasteczku gdzieś by ją zobaczył. Nazajutrz wymeldował się z pensjonatu, kupił chleb, jabłka i ser, po czym autobusem pojechał w głąb wyspy. Podróżował przez krajobraz, gdzie odległa przeszłość, neolityczna i piktyjska, często dawała o sobie znać, jakby znajdowała się tuż za zasięgiem wzroku. Ołówek Aidana biegał po papierze.

Wysiadł z autobusu w pobliżu Ring of Brodgar. Frei tu nie znalazł, cały dzień spędził na szkicowaniu morza, jeziora i menhirów wieńczących wzgórze. Kamienie tworzyły idealny okrąg w środku misy utworzonej przez wznoszący się grunt. W wilgotnej trawie kwitły rzeżuchy, intensywnie żółte kaczeńce zdawały się pochłaniać światło słońca. Aidan wędrował w górę, ku kamieniom, buty zapadały mu się w błotnistej ziemi. Woda, powietrze, ziemia: te trzy żywioły wspólnie tworzyły tu magię. Czuł, jak palce stają się bardziej elastyczne, ołówek zaczyna robić to, na czym mu zależało. Uczył się, jak znowu widzieć.

Noc spędził w namiocie rozbitym na polu. Rano zimna rosa połyskiwała na trawie. Żona farmera zaprosiła go na śniadanie. Kiedy

w kuchni nalewała mocną i czarną herbatę do kubków, zapytał, czy widziała rudowłosą dziewczynę, wysoką, szczupłą, mniej więcej w jego wieku. Angielkę.

– Dwa dni temu była przy kręgu. Rozbiła obóz jak pan.

– Mówiła, dokąd się wybiera?

– Do Skara Brae. Podwiózł ją tam mój syn Donald.

Skara Brae znajdowała się na zachodnim brzegu wyspy. Aidan część drogi przebył autostopem, część pieszo, ale Freya już ruszyła dalej, kiedy tam dotarł. Zastanawiał się, czy zawsze jak w baśni będzie go wyprzedzała o dzień. Stracił poczucie czasu, wędrując po neolitycznej osadzie nad brzegiem morza, którą przez wiele stuleci przykrywały wydmy i odsłonił ją dopiero wielki sztorm sprzed stu lat. Zbocze klifu porastały maleńkie białe i niebieskie kwiatki, wydrzyki nurkowały nad cyplem, spienione fale biły o brzeg. I nieodłączny szum morza. Aidan usiadł na trawie, wyjął akwarele i namalował otaczający go krajobraz: smugę zieleni, idealną plażę z białym piaskiem, odległe wyspy wynurzające się z szaroniebieskiego morza jak morświny. Lepsze, pomyślał, kiedy skończył. Już nie wygląda martwo.

Rozbił się na polu, ale w nocy pogoda się pogorszyła, wicher groził, że porwie namiot. Biegał wokół niego, ubrany tylko w dżinsy, i wbijał śledzie kamieniem. Deszcz napadał do środka i zamoczył śpiwór, Aidan do rana trząsł się z zimna. Kiedy się obudził, niebo było ciemne od chmur, a on miał wilgotne ubranie. Zastanawiał się, czy znowu się nie spóźnił. Freya mogła ruszyć dalej, popłynąć na inną wyspę albo dalej na północ, na Szetlandy albo Wyspy Owcze.

Zjadł ostatnie jabłko i piętkę chleba, spakował się i ruszył na Brough of Birsay, wysepkę przy północno-zachodnim rogu wyspy. Wiał silny wiatr, tworząc na morzu białą pianę, ale słońce wysuszyło mu ubranie, gdy szedł do grobli. Wysepka była wysoką skałą zwieńczoną zielenią. Odpływ obmywał kamienną ścieżkę płytką warstwą wody.

Aidan był zmęczony, głodny i lekko oszołomiony, ale zobaczył ją, jak stoi na skałach i spogląda na kanał. Wiatr szarpał jej włosami i kapturem płaszcza przeciwdeszczowego w kolorze khaki. Aidan

wdrapał się na głazy. Kiedy go dostrzegła, wyprostowała się i zgarnęła włosy z twarzy.

– Aidan – powiedziała. – O Boże, Aidan.

– Cześć, Freyo.

– Ale…? – Nagle się roześmiała. – Co ty tu robisz? I co ze… no, wszystkim? Z Wintertonem… twoją pracą?

– Winterton może iść do diabła, a ja przyjechałem, żeby cię odnaleźć.

– Naprawdę? – W oczach zapłonęły jej iskierki i znowu się roześmiała.

– Oczywiście. Myślałaś, że tego nie zrobię? – Delikatnie pogładził ją po policzku, podziwiając jej miękką, przezroczystą cerę, kochając każdy pieg na jej nosie.

– Nie byłam pewna – szepnęła.

– Chciałem zobaczyć miejsca, które kochasz. Chciałem być z tobą. Jeśli jednak wolisz być sama, jeśli uważasz, że jestem cholernym natrętem, wrócę do domu. Choć najpierw spróbuję cię przekonać do zmiany zdania.

Pokręciła głową.

– Aidanie, nie chcę, żebyś wracał do domu. Naprawdę nie chcę.

Długo się całowali. Kiedy wreszcie się od siebie odsunęli, Aidan powiódł wzrokiem po krajobrazie.

– Całe to piękno – powiedział – to niemal za wiele.

– Prawda?

– Spaliłem mosty. Wszystkie.

– To dobrze – oznajmiła, nagle poważniejąc. – Cieszę się.

Kiedy morze się cofnęło, poszli groblą, trzymając się za ręce. Na wyspie znowu się pocałowali. Wspinając się po kamieniach, raz po raz przystawali, żeby się całować.

Rozdział dziewiętnasty

Grudzień 1966 roku

Ktoś zadzwonił łyżeczką w kieliszek, a kiedy gwar nie zelżał, Gabe huknęła:

– Cisza! Dajcie coś powiedzieć Piersowi i Aidanowi!

Goście umilkli i spojrzeli na dwóch kuzynów stojących ramię w ramię przy kontuarze. Helen lekko uniosła brwi, a Juliet od razu pojęła, że okazuje w ten sposób ulgę, wdzięczność i uznanie faktu, iż był taki czas, kiedy żadna z nich nie sądziła, by taki dzień kiedykolwiek nadszedł. W tłumie krążyła kelnerka z tacą pełną kieliszków szampana.

Piers zaczął od powitania rodziny, przyjaciół, pracowników i klientów na otwarciu nowego sklepu Piersa Carlisle'a, młodego i nowoczesnego oddziału Wintertona. Rozległ się śmiech, kiedy odnajdując właściwy rytm, rozbawił słuchaczy anegdotą o praprapradziadku Haydenie Wintertonie, założycielu firmy. Juliet z uśmiechem oparła się o Joego, on musnął dłonią jej biodro.

Pobrali się dwa miesiące wcześniej w kościele w Maldon, w cichej ceremonii wzięli udział tylko ci, których oboje najbardziej kochali. Joe bez problemu wsiąkł w rodzinę i Juliet zadawała sobie pytanie, dlaczego tak długo to odkładała. Tamtej jesieni wciąż kwitło mnóstwo róż Boule de Neige; Juliet ścięła je o świcie, kiedy na płatkach perliła się rosa, a Helen zawiozła je do miasta i udekorowała nimi kościół. Panna młoda była ubrana w suknię z kremowego jedwabiu, do dekoltu miała przypięty pączek róży, na palcu pierścionek zaręczynowy – innej biżuterii nie włożyła.

Ustalili datę ślubu zaraz po sprzedaży domu. Marsh Court wiele dla niej znaczył, nie chciała, by stał pusty. Był okres, kiedy rozpaczliwie poszukiwała nabywcy, ale potem, zupełnie nieoczekiwanie, ofertę złożyli Louise i Josh.

– Za rok, dwa zamierzam zrezygnować z pracy modelki, ciociu Juliet – powiedziała Louise. – W Marsh Court można urządzić cudowny hotel. Wiesz, myśl o prowadzeniu własnego hotelu od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie. I będzie tam mnóstwo miejsca na schronisko dla osiołków.

Piers nadal przemawiał, teraz poważnie:

– Na sukces Wintertona złożyły się konsekwencja w przestrzeganiu ustalonych zasad oraz korzystanie z kamieni najwyższej jakości, zwłaszcza diamentów, szafirów i pereł, w eleganckich i oryginalnych wzorach.

Juliet nie włożyła swoich pereł od tamtego dnia, gdy wyciągnęła je z bagna na grobli. Nie była pewna, czy jeszcze kiedykolwiek je włoży. Najlepsze klejnoty mają magię, snują swoją historię. W sercu tych pereł kryła się mroczna opowieść.

Ciało Morgana znaleźli trzy tygodnie po tym, jak spotkała się z nim nad Blackwater. Nie dokonano oficjalnej identyfikacji, ale nie miała wątpliwości, że to on. Po długim przebywaniu w wodzie niewiele pozostało cech szczególnych z wyjątkiem dwóch małych tatuaży. W miejscowych gazetach podawano rysopis topielca: mężczyzna około sześćdziesięcioletni, mocno zbudowany, mierzący około stu siedemdziesięciu centymetrów, najprawdopodobniej marynarz, sądząc po tatuażach na rękach, przedstawiających jaskółkę i kotwicę. Ciało znalezione w strumieniu Bradwell przez tydzień okupowało nagłówki w prasie, później, jako że tajemnica nie doczekała się rozwiązania, informacje trafiały na dalsze strony, a potem całkiem przestano o tym pisać.

Minęło jednak wiele czasu, zanim serce przestało jej walić przy każdym dzwonku do drzwi i telefonie. Śniła o Morganie, który ociekający wodą, oblepiony błotem, podnosił się z rzeki i stawał na brzegu graniczącym z polem, wpatrując się w Marsh Court.

Koszmary ustąpiły, kiedy przeprowadziła się do Greensea. Czuła się tam bezpieczna, odgrodzona od świata cisami, ostrokrzewami

i słonymi mokradłami. Na koniec roku szkolnego zrezygnowała z posady nauczycielki. Teraz sama uczyła się być żoną farmera. Uczyła się dzielić kuchnię z Christine Brandon i łagodnie wyprowadzać Neville'a z ogarniającej go czasami opryskliwości. Poznawała także przekształcającą moc miłości i głębokie, ciche przyjemności wynikające z dawania i brania. Uczyła się, jak znowu być szczęśliwą.

Oklaski po przemowie Piersa ucichły. Anne zwróciła się do Frei:

– Uwielbiam te fotografie. Kupimy kilka i powiesimy w sklepie.

Ogromne odbitki fotografii zrobionych na Orkadach zdobiły jedną ciemną jak węgiel ścianę.

– Nie musicie ich kupować – odparła Freya. – Dam ci je.

– Kupimy – powtórzyła Anne stanowczo.

– W takim razie dziękuję. I dziękuję, że tyle dla mnie robisz.

– Prawdę mówiąc, to pomysł Piersa. Ja pomyślałam, żeby urządzić wernisaż zamiast kolejnego nudnego przyjęcia koktajlowego, a on zaproponował, żebyśmy pokazali twoje nowe prace.

– Jest wspaniale. – Freya powiodła wzrokiem po zatłoczonym wnętrzu. – Oboje jesteście niesamowici.

Na King's Road zwolnił się stosowny lokal i Piers natychmiast go kupił. Przestrzeń sklepowa była cztery razy większa od sklepiku, w którym dwa lata temu zaczynał. Razem z Anne urządzili wnętrze. Uczyli się dzielić obowiązkami. Piers opiekował się Eddiem w środowe popołudnia, kiedy Anne pracowała w galerii, i w niedzielne poranki, żeby mogła nadrobić wszelkie zaległości.

Po sprzedaży Marsh Court kupili dom przy Loudoun Road po zachodniej stronie St. John's Wood. Anne go uwielbiała. Pokoje były ciche, przestronne i ładne. Dom miał pięć sypialń, ogród i frontowe drzwi na poziomie ziemi, co oznaczało, że nie trzeba wnosić wózka po schodach.

– Wprowadzamy się za dwa tygodnie – powiedziała Anne, kiedy Freya zapytała, czy coś się ruszyło w tej sprawie. – Jest mnóstwo do zrobienia, ale oboje z Piersem nie możemy się już doczekać.

Ręka ją świerzbiła, żeby zająć się nowym domem; zgromadziła próbki tapet i farb oraz tkanin. Uwielbiała zaglądać do sklepów z materiałami dekoracyjnymi i meblami i postanowiła, że zostanie

projektantką wnętrz. Wiedziała, że praca ją pochłonie, a jeśli będzie pracowała w domu, łatwiej będzie pogodzić obowiązki zawodowe z opieką nad Eddiem. Zwierzyła się z ambitnych planów Louise, a ta poprosiła ją, żeby zaprojektowała sypialnie i inne pomieszczenia Marsh Court z myślą o przekształceniu go w hotel. Wielki projekt, chrzest ogniowy: Anne była równocześnie przerażona i podekscytowana.

Piers oddał głos Aidanowi, a Anne zapytała Freyę o domek, który kupili z Aidanem na South Ronaldsay na Orkadach.

– Kiedy pada, przecieka dach, a pada dość często. Liczymy, że uda się nam go naprawić w przyszłym tygodniu. Potem doprowadzimy elektryczność. Romantyczność związana ze światłem świec po jakimś czasie się wyczerpuje. – Freya się zarumieniła. – Musimy zakończyć remont do lata.

– Freyo? – zapytała Anne.

– W maju spodziewamy się dziecka.

– Och, Freyo, to cudownie! – Anne mocno ją uściskała.

– Pobieramy się – dodała Freya, zbierając rude loki w nieporządny węzeł. – Pewnie powinniśmy załatwić to wcześniej, ale było tyle rzeczy do zrobienia. Wczoraj wieczorem powiedzieliśmy Helen. To będzie szybki, cichy ślub. Kiedy urodzi się dziecko, będziemy na ostatni tydzień miesiąca przenosili się do Londynu. W wagonie sypialnym jest miejsce na nosidełko. Tata tak się cieszy, że zostanie dziadkiem; nie może się tego doczekać.

Rozległy się oklaski dla Aidana. Freya klaskała energicznie.

Aidan powiedział, że jest zaszczycony, kontynuując wielką tradycję wzornictwa Wintertona, i przyjemność mu sprawia praca z dwojgiem niezwykle utalentowanych projektantów. Esteban wyrzucił pięść w górę, Bridget uśmiechnęła się skromnie. Charley, która stała z Nate'em w środku półkola gości otaczających kuzynów, biła brawo jak wszyscy.

– Są jak pies z kotem – zwierzył się jej wcześniej tego wieczoru Aidan. – Bridget uważa, że Esteban jest nieznośnie zarozumiały, a Esteban klepie ją po tyłku i nazywa „dziewczynką". Założę się, że nim minie rok, stracimy oboje. Wiesz, zostanę w Wintertonie, dopóki

nie zdobędę pozycji jako malarz. O ile mi się to uda – dodał szybko, przesądnie.

Co miesiąc przez trzy tygodnie Aidan malował na Orkadach, potem pociągiem sypialnym jechał do Londynu i przez ostatni tydzień pełnił funkcję dyrektora kreatywnego. W zeszłym miesiącu Charley i Nate odwiedzili Aidana i Freyę na South Ronaldsay, wcześniej Nate rzucił pracę w banku. Aidan pokazał jej wtedy kilka swoich obrazów, przedstawiających impresje o morzu i krajobrazach na Orkadach, a Charley pomyślała, że jeśli na tym świecie jest jakaś sprawiedliwość, Aidan zyska uznanie jako artysta.

Nauczyła się jednak, że sprawiedliwość nie zawsze zwycięża. Pisała sztukę o przemocy domowej pod tytułem *Trzeba dwojga*, zainspirowaną losem Marii, przyjaciółki Anne, której głową mąż uderzał o zlew. Dokonujesz złego wyboru i naznacza on resztę twojego życia: tego Charley także się nauczyła. Kilka dni wcześniej była na zakupach u Foyle'a i wpadła na Daniela. Poszli na kawę; zapytała, co u niego.

– Właściwie niewiele się zmieniło – odparł bez rozczulania się nad sobą, co zawsze w nim podziwiała. – Nadal pracuję w Wydziale Gospodarki Wodnej, ale Fielding dostał awans, dzięki Bogu. Jeannette znowu miała zły okres, choć najgorsze chyba ma za sobą, a Simon jest wspaniały, uczy się czytać i kupiliśmy mu rowerek z dodatkowymi kółeczkami. A ty?

– No cóż. – Już miała wdać się w opowieść o wszystkim, co niedawno się jej przydarzyło: sztukę o staruszce z wózkiem sklepowym wystawiono z sukcesem w sali nad pubem w Ealing, a na wiosnę miała wyjść za Nate'a. Postanowili sprzedać swoje domy w Londynie i przenieść się do uroczego starego domu na wsi w Hampshire, położonego na tyle blisko szkoły Rory'ego, że nie będzie musiał mieszkać w internacie. Zaraz jednak uświadomiła sobie niemożność zrelacjonowania wszystkich tych cudownych rzeczy biednemu Danielowi, a równocześnie pojęła, jak bardzo ta myśl jest protekcjonalna. – Nadal piszę i kogoś poznałam.

– To wspaniale. – Uśmiechnął się do niej i zadał wszystkie właściwe pytania. – Prawdę mówiąc, ja też mam nowinę. Oboje z Jeannette przygotowujemy się do matury w szkole wieczorowej. Pewnie zajmie

nam to wiele lat, ale przyrzekliśmy sobie, że nie zrezygnujemy, dopóki nie osiągniemy celu. A potem kto wie? Nie będziemy mieć więcej dzieci, Jeannette nie jest dość silna, a Simon chodzi do szkoły, co oznacza dla nas więcej wolnego czasu. Mam nadzieję, że jeśli dobrze będę sobie radził, w końcu uda mi się skończyć studia. Nie wiem jak, ale się nie poddaję.

Rozstali się, całując się w policzki i obiecując, że pozostaną w kontakcie. Charley wiedziała, że ta obietnica nie zostanie spełniona.

„Kogoś spotkałam". To nie była prawda o jej związku z Nate'em. Nigdy go nie spotkała, on zawsze przy niej był. Od samego początku kochała go i kłóciła się z nim; tak było teraz i przypuszczała, że tak będzie do dnia jej śmierci.

Wzniesiono toasty za nowy sklep; w kącie zgromadziły się Juliet, Helen i Jane.

– Rok wypełniony po brzegi ślubami – powiedziała z niejakim oszołomieniem Helen, przekazawszy szwagierkom nowinę o Aidanie i Frei. – Myślicie, że można się tym zmęczyć?

– A nie moglibyśmy załatwić tego za jednym zamachem? – Jane zapaliła papierosa. – Ustawimy ich wszystkich w nawie: Louise i Josha, Nate'a i Charley, Aidana i Freyę.

– Szalenie praktyczne – zgodziła się Juliet. – I tylko jeden ogromny tort z trzema figurkami młodych par.

Roześmiały się.

– A Gabe i Adam… – zwróciła się Helen do Jane. – Myślisz, że…?

Jane ściągnęła usta i pokręciła głową.

– Gabe za dobrze się bawi, zarządzając trzema sklepami i wszystkim rozkazując. Ostatnio biednego Adama ledwie zauważa.

– Obawiam się, że Aidan się uprze, żeby cała rodzina na ślub pojechała na północ, na tę lodowatą wietrzną wysepkę. Już widzę siebie, matkę pana młodego, z rozczochranymi włosami – powiedziała Helen.

– Dlaczego na takich imprezach nigdy nie ma dość alkoholu? – zapytała Jane i zniknęła w tłumie w poszukiwaniu kieliszka wina.

– Ale ty ją kochasz, Helen, prawda? – zapytała Juliet.

– O tak, bardzo. Kochana z niej dziewczyna. – Helen się uśmiechnęła. – Tylko pomyśl o cudownych rudowłosych wnukach, jakie będę miała. Musiałam się po prostu przyzwyczaić do tej myśli. W tym sęk, zgadzasz się? Trzeba się do różnych rzeczy przyzwyczaić.

– Dzięki Bogu, już po wszystkim – powiedział Aidan.

– Rewelacyjnie przemawiałeś – odparła Freya. – Byłam z ciebie taka dumna.

Stali w kącie pokoju pod fotografią Brough of Birsay. Morze przelewało się pomiędzy wyspą a głównym lądem, rozbijając się o skały. Na burzowym niebie krążyły mewy.

– Nie mogę się doczekać, kiedy wrócimy do domu. A ty?

Uśmiechnęła się konspiracyjnie. Ich dom stał nad smaganą wiatrami zatoką; Freya powiedziała, że to nie był praktyczny zakup, ale od pierwszego spojrzenia oboje z Aidanem wiedzieli, że tam zamieszkają.

– O niczym nie marzę.

– Jak tam maluszek?

– Dobrze. Tak, bardzo dobrze.

Położyła dłoń na brzuchu. Zapuszczała korzenie. Tworzyła swoją historię. Jeśli urodzi się dziewczynka, nazwą ją Ingrid Frances – Ingrid, ponieważ to było imię z Orkadów, Frances po matce, której Freya zupełnie nie pamiętała. Chłopiec będzie się nazywał Edmund Aidan Winterton. I może pewnego dnia zacznie pracować w rodzinnej firmie. Albo zostanie malarzem. Albo kimś innym, zgodnie ze swoimi marzeniami – kto to wie?

Powoli goście zaczęli się żegnać. Młodzi wybierali się do restauracji. Charley próbowała namówić Juliet i Joego, żeby poszli z nimi, ale Juliet nagle poczuła ukłucie tęsknoty za izolacją i spokojem Greensea. Podziękowała córce, ale odmówiła, wykorzystując jako pretekst pracę Joego na farmie.

Tłum się przerzedzał. Joe na drugim końcu pomieszczenia rozmawiał z Jane, Peterem i Helen.

Juliet ruszyła do niego. Jej wzrok przyciągnęły klejnoty w witrynach. Wintertonowie tworzą nowe wzory, pomyślała,

zmieniają łańcuszki i klamerki. Lśniące kamienie dodawano do pasm złota i srebra, które przewijały się przez ich życie, intensywne rubiny i topazy, granaty i cytryny w stłumionych odcieniach. Srebrna łyżeczka na chrzest, złota obrączka ślubna. Zabytkowy naszyjnik, nowa srebrna bransoletka wysadzana czarnymi odłamkami granitu.

Joe spojrzał na nią i się uśmiechnął. Podszedł do niej i wziął ją za rękę.

– Idziemy? – zapytał.

– Tak, bardzo chętnie. Chciałabym wrócić do domu.

Wyszli na oświetloną gwiazdami zimową ulicę.

POLECAMY INNE TYTUŁY JUDITH LENNOX DOSTĘPNE W FORMIE E-BOOKA:

1) Krok w nieznane
2) Serce nocy
3) Dziecko cienia
4) Florenckie lato
5) Tajemne lata
6) Trudne powroty
7) Trzy przyjaciółki
8) Wszystkie moje siostry
9) Zimowy domek

Spis treści

Podziękowania
CZĘŚĆ PIERWSZA. NASZYJNIK Z PEREŁ
- Rozdział pierwszy
- Rozdział drugi
- Rozdział trzeci
- Rozdział czwarty
- Rozdział piąty

CZĘŚĆ DRUGA. PRZYPADKOWY KOCHANEK
- Rozdział szósty
- Rozdział siódmy

CZĘŚĆ TRZECIA. DZIEWCZYNA W CZERWONEJ SUKIENCE
- Rozdział ósmy
- Rozdział dziewiąty
- Rozdział dziesiąty
- Rozdział jedenasty
- Rozdział dwunasty
- Rozdział trzynasty
- Rozdział czternasty

CZĘŚĆ CZWARTA. GROBLA
- Rozdział piętnasty
- Rozdział szesnasty
- Rozdział siedemnasty
- Rozdział osiemnasty
- Rozdział dziewiętnasty